

Elektryzujący thriller o dwojce ludzi naznaczonych przeszłością,  
którzy postanawiają wspólnie rozwikłać zagadkę serii morderstw i porwań.

# ZABIĆ OJCA



# SANDRONE DAZIERI



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

SANDRONE DAZIERI  
**ZABIĆ OJCA**

Z języka włoskiego przełożyła  
Aneta Banasik



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA



Tytuł oryginału:

*Uccidi il Padre*

Copyright © 2014 Sandrone Dazieri

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2018 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Anna Slotorsz / [artnovo.pl](http://artnovo.pl)

Redakcja: Bogusława Wójcikowska

Korekta: Marta Chmarzyńska, Joanna Rodkiewicz

ISBN: 978-83-8110-761-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# SPIS TREŚCI

## I. Wcześniej

### II. Kamienny krąg

1

2

3

4

5

### III. Wcześniej

### IV. Starzy przyjaciele

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

### V. Wcześniej

### VI. Wizyty domowe

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

## VII. Wcześniej

## VIII. Podążaj za kompasem

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

Zakończenie

[Od autora](#)

[Przypisy](#)

Ta książka jest wytworem wyobraźni. Opisywani bohaterowie, a także miejsca zostały wybrane przez autora, aby uwiarygodnić przedstawioną historię. Jakikolwiek podobieństwo do wydarzeń, miejsc i osób żywych lub martwych jest całkowicie przypadkowe.



Dla Olgi – za to, że wytrwała

I  
WCZEŚNIEJ

Świat jest skośną ścianą z szarego cementu. Świat to stłumione dźwięki i echa. Świat to przestrzeń, której miarą jest podwójna rozpiętość jego otwartych ramion. Pierwszą rzeczą, której chłopczyk nauczył się w tym zamkniętym świecie, były jego nowe imiona. Ma ich dwa. Syn to jego ulubione. Ma do niego prawo, kiedy dobrze się zachowuje, kiedy jest posłuszny, kiedy jego myśli są jasne i szybkie. W przeciwnym razie zwany jest Bestią. Kiedy jego imię brzmi Bestia, chłopczyk dostaje karę. Kiedy jego imię brzmi Bestia, chłopczyk cierpi zimno i głód. Kiedy jego imię brzmi Bestia, zamknięty świat śmierdzi.

Jeśli Syn nie chce zmienić się w Bestię, musi pamiętać, gdzie jest właściwe miejsce każdej rzeczy, którą mu powierzono, i dbać o porządek. Wiadro na odchody musi wisieć na belce i czekać na opróżnienie. Dzbanek na wodę musi stać zawsze na środku stołu. Łóżko musi być zawsze pościelone i czyste, a kołdra bez jednej zmarszczki. Taca na jedzenie musi znajdować się zawsze obok klapki.

Klapka stanowi centrum zamkniętego świata. Chłopczyk boi się jej, a zarazem czci ją jak jakieś kapryśne bóstwo. Klapka nagle się otwiera albo przez kilka dni pozostaje zamknięta. Przez klapkę wsuwane jest jedzenie, czyste ubrania i koce, książki i kredki. W ten sam sposób wymierzane są kary.

Błędy są zawsze karane. Za niewielkimi uchybieniami czyha głód. Za tymi większymi – przejmujący chłód lub gorąco nie do wytrzymania. Pewnego razu było mu tak ciepło, że przestał się pocić. Upadł na cementową podłogę, myśląc, że umiera. Wybawiła go struga zimnej wody. Znowu stał się Synem, mógł pić i czyścić wiadro, w którym bzykały muchy. Kary w zamkniętym świecie są ciężkie. Nieuniknione i skrupulatnie wymierzane.

Wierzył w to, dopóki nie odkrył, że zamknięty świat nie jest doskonały. Zamknięty świat ma szkę. Szczelina o długości jego palca wskazującego pojawiła się w ścianie w miejscu, gdzie belka z wiadrem zanurza się w cemencie.

Chłopczyk przez wiele tygodni nie ośmielił się zbadać jej z bliska. Wiedział, że tam jest, i ta świadomość męczyła go, paląc jak żywy ogień. Chłopczyk wiedział, że obserwacja szczeliny to jedna z rzeczy zabronionych, ponieważ w zamkniętym świecie wszystko to, co nie jest wyraźnie dozwolone, jest zabronione. Ale pewnej nocy chłopczyk uległ temu pragnieniu. Po raz pierwszy od dłuższego czasu, który w jego zamkniętym świecie zdawał się tkwić w miejscu, naruszył reguły. Zrobił to ostrożnie, powoli, planując dokładnie każdy ruch. Podniósł się z łóżka i przewrócił się na podłogę.

Głupia Bestia. Niezdarna Bestia. Udając, że musi się oprzeć o ścianę, żeby wstać, na chwilę skierował lewe oko w stronę szczeliny. Nie zobaczył nic poza ciemnością, ale wyjątkowość tego gestu sprawiła, że przez kilka godzin pocił się ze strachu. Czekał na karę

*i na ból. Czekał, aż opanuje go uczucie zimna i głodu. Tymczasem nic się nie stało. To była niezwykła niespodzianka. W czasie wypełnionych oczekiwaniami godzin, które zmieniły się potem w bezsenność i niespokojny dzień, chłopczyk zrozumiał, że nie wszystkie jego ruchy są obserwowane. Nie wszystkie jego działania są rozważane i osądzone. Nie wszystko, co robi, pociąga za sobą nagrodę lub karę. Poczł się zagubiony i samotny jak w pierwszych dniach pobytu w zamkniętym świecie, gdy wspomnienie o tym, co było wcześniej, kiedy mury nie istniały, a on miał inne imię niż Syn i Bestia, było jeszcze bardzo silne. Chłopczyk poczuł, jak rozpadają się jego dotychczasowe przekonania, i odważył się spojrzeć ponownie. Za drugim razem przez prawie całą sekundę nie odrywał wzroku od pęknięcia. Za trzecim razem trwało to już tyle, ile trwa jeden oddech. I wtedy zobaczył. Ujrzał zielen. Ujrzał błękit. Zobaczył chmurę przypominającą świnkę. Zobaczył czerwony dach jakiegoś domu.*

*Teraz chłopiec znowu patrzy. Stojąc na czubkach palców i próbując utrzymać równowagę, opiera o zimną ścianę z cementu rozpostarte ramiona. Na zewnątrz coś się porusza w świetle, które przypomina chłopcu blask wschodzącego słońca. To ciemna postać, która staje się coraz większa w miarę, jak zbliża się do niego. Nagle chłopiec zdaje sobie sprawę, że popełnił największy błąd w swoim życiu, a nadużycie, którego się dopuścił, jest niewybaczalne.*

*Mężczyzna, który idzie po łące, to Ojciec. Chłopcę go obserwuje. Jakby słysząc jego myśli, Ojciec przyśpiesza kroku. Zmierza prosto ku niemu.*

*W ręce trzyma nóż.*

## II KAMIENNY KRAJ

# 1

Koszmar zaczął się na początku września, w sobotę o piątej po południu, wraz z pojawieniem się mężczyzny w krótkich spodenkach, który gwałtownie wymachiwał rękami, próbując zatrzymać samochód. Na głowie miał koszulkę chroniącą przed słońcem, a na stopach parę zniszczonych kłapek.

Starszy posterunkowy przyglądał się człowiekowi w szortach, podjeżdżając do skraju drogi szybkiego ruchu, i w końcu zaliczył go do kategorii „niespełna rozumu”. Po siedemnastu latach służby, setkach pijaków i ludzi w stanie delirium przywołanych do porządku po dobroci i nie tylko potrafił na pierwszy rzut oka rozpoznać osoby niespełna rozumu. A ten tutaj bez wątpienia należał do tej grupy.

Dwaj policjanci wysiedli z samochodu, a mężczyzna w szortach skulił się i zaczął coś mamrotać. Był wyczerpany i odwodniony, więc młodszy posterunkowy podał mu butelkę z wodą, którą trzymał w bocznej kieszeni w drzwiach samochodu, nie zwracając uwagi na pełne obrzydzenia spojrzenie kolegi.

Dopiero wtedy słowa mężczyzny w krótkich spodenkach stały się zrozumiałe.

– Moja żona zniknęła – powiedział. – I mój syn też.

Nazywał się Stefano Maugeri i tego ranka pojechał z rodziną na piknik kilka kilometrów za miasto, w okolice Pratoni del Vivaro. Zjedli obiad dość wcześnie i mężczyzna zasnął ukołysany delikatną bryzą. A kiedy się obudził, jego żony i syna już nie było.

Przez trzy godziny szukał ich bez rezultatu, krążąc po okolicy, aż w końcu ryzykując udarem, całkiem zdezorientowany znalazł się na poboczu drogi szybkiego ruchu. Starszy posterunkowy, który zaczął wątpić w swoje wcześniejsze przeświadczenie, zapytał go, dlaczego nie próbował skontaktować się z żoną przez komórkę, na co Maugeri odpowiedział, że dzwonił, ale odzywała się tylko sekretarka, a w końcu rozładował mu się telefon.

Starszy posterunkowy spojrzał na mężczyznę z nieco mniejszym sceptycyzmem. Mógł się poszczycić sporą kolekcją interwencji w sprawach żon, które zniknęły, zabierając ze sobą dzieci, chociaż żadna z nich nie porzuciła męża na środku łąki. Przynajmniej nie żywego.

Policjanci wrócili z mężczyzną na miejsce zdarzenia, ale nikogo tam nie było. Inni wycieczkowicze odjechali, a na poboczu drogi, niedaleko obrusu w kolorze fuksji, na którym leżały resztki jedzenia oraz lalka Ben 10 – młody bohater potrafiący przyjmować postać różnych kosmicznych potworów – stał samotnie szary fiat bravo Maugeriego.

W tej sytuacji tylko Ben 10 mógłby zmienić się w ogromną muchę i przeszukać okolicę

w nadziei na odnalezienie zaginionych, bo dwaj policjanci nie byli w stanie zrobić nic więcej oprócz zawiadomienia bazy i ogłoszenia alarmu, czym zapoczątkowali jedną z najbardziej spektakularnych akcji poszukiwawczych, jakie odbyły się w tej okolicy w ostatnich latach.

Wtedy właśnie do gry wkroczyła Colomba. Był to jej pierwszy dzień pracy po dłuższej przerwie i miał się okazać jednym z najgorszych.



Colomba wyglądała dość poważnie jak na swoje trzydzieści dwa lata, zwłaszcza zważywszy na siateczkę zmarszczek wokół zielonych oczu, niemniej jej umięśnione ciało, szerokie ramiona oraz twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi przyciągały męskie spojrzenia. Twarz wojowniczką, jak powiedział kiedyś jeden z jej kochanków, który jeździł konno na oklep i obcinał bułatem głowy swoich wrogów. Ona zaśmiała się, a potem go dosiadła i ujeżdżała, aż zabrakło mu tchu. Teraz, siedząc na brzegu wanny z komórką w ręce, wpatrywała się w wyświetlacz, na którym widniało nazwisko Alfreda Roverego, i czuła się bardziej ofiarą niż wojowniczką. Komendant wydziału dochodzeniowo-śledczego w Rzymie był ciągle jeszcze, przynajmniej formalnie, jej szefem i mentorem, a teraz dzwonił do niej już piąty raz w ciągu trzech minut, a ona nie odpowiadała.

Colomba wyszła spod prysznic i ciągle jeszcze siedziała w szlafroku, chociaż była już bardzo spóźniona na kolację u przyjaciół, którym po długich namowach obiecała, że przyjdzie. Od kiedy wyszła ze szpitala, większość czasu spędzała samotnie. Prawie nie wyściubiła nosa z domu, z wyjątkiem ranków, czy wręcz świtów, kiedy ubrana w dres biegała wzdłuż Tybru toczącego wody pod oknami jej mieszkania, które znajdowało się dwa kroki od Watykanu.

Jogging na nadbrzeżu był doskonałym ćwiczeniem na refleks, gdyż oprócz dziur musiała uważać na psie odchody, a także na szczury, które wyskakiwały ze stosów śmieci, ale Colombie to nie przeszkadzało, podobnie jak nie zwracała uwagi na spaliny unoszące się nad jej głową. Taki właśnie jest Rzym, a ona uwielbia to miasto także dlatego, że było brudne i złe, chociaż turyści nigdy tego nie pojmą. Co drugi dzień po joggingu Colomba robiła zakupy w minimarkecie na rogu, prowadzonym przez dwóch Tamilów, a w sobotę docierała nawet do straganu na placu Cavoura, gdzie wypełniała torbę używanymi książkami, które czytała przez kolejny tydzień, mieszając klasykę, kryminały i harlequiny, i rzadko którąś kończyła. Gubiła się wśród zagmatwanych wątków, a te zbyt jasne szybko ją nudziły. Na niczym nie mogła się skoncentrować. Czasami miała wrażenie, jakby wszystko po niej spływało.

Przez całe dni Colomba nie rozmawiała z nikim poza sprzedawcami. Co prawda miała matkę, ale ta mogła jej słuchać, nie otwierając ust, byli też przyjaciele i koledzy z pracy, którzy jeszcze czasami dzwonili. W tych rzadkich chwilach, kiedy robiła rachunek sumienia, zdawała sobie sprawę z tego, że przesadza. Nie chodziło przecież o to, że dobrze się czuła we własnym towarzystwie, co zawsze doskonale jej wychodziło, lecz o poczucie obojętności

wobec świata zewnętrznego. Miała świadomość, że jest to konsekwencja minionych wydarzeń, wina przeżytej katastrofy, ale mimo że bardzo się starała, nie była w stanie przebić tej niewidzialnej błony, która oddzielała ją od reszty ludzkości. Dlatego zmusiła się do przyjęcia zaproszenia na wieczór, ale zrobiła to z takim wahaniem, że ciągle jeszcze siedziała w domu, zastanawiając się, w co się ubrać, gdy tymczasem jej przyjaciele raczyli się już trzecim z kolei aperitifem.

Poczekala, aż telefon przestanie dzwonić, po czym wróciła do szczotkowania włosów. W szpitalu obcięli je na krótko, ale już odrosły, osiągając prawie normalną długość. Colomba przyglądała się pojedynczym białym nitkom, kiedy zadzwonił domofon. Przez chwilę znieruchomiała ze szczotką w ręce, mając nadzieję, że to pomyłka, ale dzwonek odezwał się ponownie. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Pod jej domem stał zaparkowany radiowóz. *O kurwa*, pomyślała, chwytając komórkę, żeby oddzwonić do Roverego.

Szef odpowiedział natychmiast po pierwszym sygnale.

– Wysłałem po ciebie radiowóz – rzucił zamiast powitania.

– Już tu jest – odpowiedziała Colomba.

– Chciałem cię uprzedzić, ale nie odbierasz telefonu.

– Brałam prysznic. Spieszę się na kolację. Przykro mi, ale musi pan polecić koledze, żeby wrócił do bazy.

– I nie jesteś nawet ciekawa, po co go przysłałem?

– Nie.

– I tak ci powiem. Jesteś mi potrzebna w Praton del Vivaro.

– Co się tam stało?

– Nie chcę psuć ci niespodzianki.

– Właśnie mi ją pan zrobił.

– Ta, która na ciebie czeka, jest o wiele bardziej interesująca.

Colomba prychnęła zniecierpliwiona.

– *Dottore*<sup>1</sup>... chyba pan zapomniał, że jestem na chorobowym.

Rovere zmienił ton i zapytał poważnie:

– Czy w ostatnim czasie o cokolwiek cię prosiłem?

– Nie, ani razu – przyznała.

– Czy nalegałem, żebyś wróciła, zanim skończy ci się zwolnienie, albo próbowałem przekonać cię, żebyś mimo wszystko pracowała?

– Nie.

– A więc nie możesz nie wyświadczyć mi tej przysługi.

– Pewnie, że mogę.

– Colombo, jesteś mi naprawdę potrzebna.

Po tonie jego głosu poznała, że nie przesadza. Na chwilę zapadła cisza. Czuła, że zapędził

ją w kozi róg.

- Czy to naprawdę konieczne? – zapytała w końcu.
- Oczywiście.
- Dlaczego nie chce mi pan podać szczegółów?
- Nie chcę, żeby miały wpływ na twoją decyzję.
- Bardzo miło z pana strony.
- No to jak? Tak czy nie?

*Ostatni raz*, pomyślała Colomba.

- Dobra. Tylko niech pan powie koledze przy domofonie, żeby przestał dzwonić.

Rovere się rozłączył, a ona przez kilka chwil wpatrywała się w telefon, zanim wreszcie zadzwoniła do swojego zniecierpliwionego oczekiwaniem przyjaciela i powiadomiła go, że nie przyjdzie na kolację. Po wysłuchaniu w odpowiedzi niezbyt przekonujących słów protestu włożyła podarte džinsy i bluzę marki Angry Birds. Wybrała ubrania z pełną świadomością, ponieważ nigdy nie założyłaby czegoś takiego, będąc na służbie.

Wzięła klucze ze stolika w przedpokoju i automatycznym gestem sprawdziła, czy kabura jest na swoim miejscu przy pasku. Jej palce natrafiły na pustkę. Natychmiast przypomniała sobie, że pistolet znajduje się w depozycie od dnia, w którym trafiła do szpitala, mimo to uczucie, jakiego doznała, było bardzo nieprzyjemne – jak potknięcie się na nieistniejącym stopniu. Cofnęła się myślami do chwili, gdy po raz ostatni trzymała w ręce broń i pod wpływem emocji pociągnęła za spust.

Natychmiast poczuła, że brakuje jej tchu, a pokój wypełniają szybko poruszające się cienie. Cienie krzyczały, przesuwały się wzdłuż ścian i pełzając po podłodze, a ona nie mogła skoncentrować na nich spojrzenia. Pozostawały ciągle poza zasięgiem wzroku i mogła je dostrzec jedynie kątem oka. Colomba miała świadomość, że są tylko złudzeniem, ale wyczuwała je każdą tkanką ciała. Była przerażona. Ślepy, wszechogarniający strach tamował jej oddech, potęgując wrażenie, że się dusi. Po omacku poszukała krawędzi stolika i uderzyła weń wierzchem dłoni. Ból eksplodował, przeszywając palce i całe ramię niczym prąd, ale znikł zbyt szybko. Uderzała raz za razem, dopóki nie pękła jej skóra na knykcium, a wyładowanie złości ponownie nie wprawiło w ruch jej płuc jak defibrylator serca w czasie zawału. Zamachała rękami, wciągnęła ogromny haust powietrza i po chwili zaczęła normalnie oddychać. Cienie znikły, strach zmienił się w lodowate krople potu na karku.

W końcu przecież ciągle żyła. Powtarzała to sobie przez kolejne pięć minut, klęcząc na podłodze, aż wreszcie zdanie to zaczęło nabierać sensu.

Przez następne pięć minut Colomba siedziała na podłodze i próbowała uspokoić oddech. Od czasu ostatniego ataku paniki minęło wiele dni, całe tygodnie. Problemy zaczęły się zaraz po wyjściu ze szpitala. Ostrzegali ją, że może się to zdarzyć – po tym, co przeszła, należało się tego spodziewać – ale kiedy ją informowano, pomyślała, że chodzi o sporadyczne drgawki i bezsenność. Tymczasem pierwszy atak przypominał prawdziwe trzęsienie ziemi i wstrząsnął nią do głębi, a drugi okazał się jeszcze gorszy. Brakowało jej powietrza i straciła przytomność w przekonaniu, że umiera. Ataki powtarzały się dość często, czasami nawet trzy, cztery razy dziennie. Wystarczyło niewiele, żeby je wywołać – jakiś hałas czy zapach, na przykład woń dymu.

Psycholog ze szpitala dał jej swój numer telefonu na wypadek, gdyby potrzebowała wsparcia. Nawet więcej, prosił ją, żeby się z nim skontaktowała. Ale Colomba nie chciała rozmawiać ani z nim, ani z nikim innym o tym, co przeżywała. Robiąc karierę w męskim świecie, nauczyła się ukrywać swoje słabości i problemy, gdyż zdawała sobie sprawę, że wielu kolegów bardziej zaakceptowałyby ją, gdyby nosiła im kawę niż pistolet za pasem. Poza tym tak naprawdę była przekonana, że na to zasłużyła. Kara za katastrofę.

Gdy nakładała plaster na krwawiący knykieć, przyszła jej ochota, żeby zadzwonić do Roverego i posłać go do diabła, ale w końcu zrezygnowała. Postanowiła ograniczyć spotkanie do minimum, byleby nie uchybić zasadom dobrego wychowania, a potem wrócić do domu i wrzucić do skrzynki list z dymisją, który trzymała w szufladzie w kuchni. A kiedy już go wyśle, będzie musiała zdecydować, co zrobić z resztą swego życia, mając nadzieję, że nie skończy jak niektórzy koledzy na emeryturze krążący koło komisariatu, aby czuć się nadal częścią policyjnej rodziny.

Na zewnątrz rozszalała się burza tak gwałtowna, jakby chciała ruszyć z posad bryłę świata. Colomba założyła kurtkę przeciwdeszczową na bluzę i wyszła.

Chłopak siedzący za kierownicą radiowozu wysiadł, żeby się z nią przywitać, nie zważając na padający deszcz.

– *Dottoressa Caselli, posterunkowy Alberti Massimo.*

– Wracaj do samochodu, bo zmokniesz – odpowiedziała, siadając na miejscu pasażera. Kilku sąsiadów uzbrojonych w parasole z ciekawością przyglądało się całej scenie. Niedawno wprowadziła się do tej kamienicy i nie wszyscy wiedzieli, czym się zajmuje. Może nawet nikt, zważywszy, że bardzo rzadko zatrzymywała się na pogaduszki.

W radiowozie Colomba poczuła się jak w domu. Blask koguta na przedniej szybie,

odbiornik radiowy, zdjęcia poszukiwanych przestępców przyklejone do osłony przeciwsłonecznej przypominały jej znajome, od dawna niewidziane twarze. *Naprawdę jesteś gotowa odejść?* – zastanawiała się w myślach. Nie, nie była gotowa. Ale nie miała innego wyjścia.

Alberti włączył syrenę i ruszył.

Colomba prychnęła.

– Wyłącz ją – powiedziała. – Nigdzie nam się nie spieszy.

– Dostałem rozkaz, żeby się pośpieszyć, *dottorressa* – odpowiedział Alberti, ale zastosował się do jej polecenia.

Posterunkowy miał około dwudziestu pięciu lat i jasną, piegowatą skórę. Pachniał wodą po goleniu, której zapach spodobał się Colombie, chociaż uznała, że zupełnie nie pasuje do późnej pory. Być może chłopak nosił ze sobą buteleczkę i spryskał się przed chwilą, żeby sprawić korzystne wrażenie. Również jego mundur był wyjątkowo czysty i odprasowany.

– Jesteś nowy? – zapytała.

– Po rocznej przerwie miesiąc temu skończyłem szkołę, *dottorressa*. Pochodzę z Neapolu.

– Późno się zdecydowałeś na naukę.

– Gdyby nie udało mi się wygrać konkursu w ubiegłym roku, teraz byłbym już za stary. Udało mi się rzutem na taśmę.

– Powodzenia – mruknęła.

– *Dottorressa*, mogę pani zadać jedno pytanie?

– Wał śmiało.

– Jak się można dostać do dochodzeniówki?

Colomba się skrzywiła. Prawie wszyscy z drogówki marzyli o tym, aby przejść do wydziału dochodzeniowo-śledczego.

– Trzeba się zgłosić. Musisz złożyć wniosek do swojego przełożonego, a potem skończyć odpowiedni kurs. Ale jeśli ci się uda, zapamiętaj sobie, że ta praca wcale nie jest taka fascynująca, jak ci się wydaje. Musisz zapomnieć o zegarku.

– Mogę zapytać, jak pani się udało?

– Wygrałam konkurs w Mediolanie, gdzie przez dwa lata pracowałam w komendzie głównej, a potem trafiłam do wydziału antynarkotykowego w Palermo. Kiedy komendant Rovere przeniósł się do Rzymu cztery lata temu, przyjechałam z nim jako jego zastępczyni.

– Do wydziału zabójstw?

– Dam ci dobrą radę, nie używaj tej nazwy, jeśli nie chcesz, żeby wszyscy wiedzieli, że jesteś pingwinem – tak nazywano nowych policjantów – to się sprawdza w serialach. Tymczasem to jest trzecia sekcja wydziału dochodzeniowo-śledczego. Okej?

– Przepraszam, *dottorressa* – powiedział Alberti, a kiedy w dodatku się zaczerwienił, jego piegi stały się bardziej widoczne.

Colomba miała dość mówienia o sobie.

– Dlaczego wysłali cię na patrol w pojedynkę?

– Zwykle pełnię służbę razem ze starszym kolegą, ale dzisiaj zgłosiłem się na ochotnika, żeby pomóc w poszukiwaniach. Razem z kolegą znaleźliśmy dziś na drodze szybkiego ruchu pana Maugeriego.

– Zrozum, do kurwy nędzy, że nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Alberti opowiedział Colombie o zaginionych wycieczkowiczach i o mężczyźnie w krótkich spodenkach.

– Tak naprawdę niczego się nie dowiedziałem. Poszedłem do mieszkania, a potem pokręciłem się trochę w pobliżu – zakończył posterunkowy.

– Byłeś w domu tej rodziny?

– Tak. Jeśli żona od niego uciekła, to nic ze sobą nie wzięła.

– A co mówią sąsiedzi?

– Nic konkretnego, *dottor*essa, same bzdury – powiedział Alberti i znowu się uśmiechnął. Już samo to, że nie próbował przybierać marsowej miny, jak to miały w zwyczaju pingwiny, działało na jego korzyść.

Colomba też mimo woli wykrzywiła twarz w uśmiechu i prawie poczuła ból, tak bardzo się od tego odzwyczaiła.

– Gdzie jedziemy?

– Centrum zarządzania poszukiwaniami znajduje się w ujeżdżalni w Vivaro. Oprócz nas są tam jeszcze karabinierzy, strażacy i obrona cywilna. A także wielu cywili, którzy robią mnóstwo zamieszania. Sprawa szybko się rozniosła.

– Jak zwykle – zauważyła Colomba z przekąsem.

– Trzy godziny temu było trochę bałaganu. Widziałem, jak dwa samochody terenowe ruszały w kierunku Monte Cavo. Siedzieli w nich oficerowie i *dottor* De Angelis. Zna go pani?

– Tak.

Nie przepadała za nim. Sędzia śledczy Franco De Angelis bardzo lubił być na pierwszych stronach gazet. Miał jeszcze ze dwa lata do emerytury i chodziły słuchy, że bardzo chce się dostać do Krajowej Rady Sądownictwa i że nie cofnie się przed niczym, żeby ten cel osiągnąć.

– Jak daleko jest do Monte Cavo z tego miejsca, gdzie zaginieni zatrzymali się na piknik? – zapytała.

– Dwa kilometry przez las, dziesięć drogą. Chce pani zobaczyć dokumenty? Na tablicy rozdzielczej jest wydruk.

Colomba sięgnęła po kartki, wśród których były też dwa zdjęcia zaginionych ściągnięte z Facebooka. Trzydziestodziewięcioletnia Lucia Balestri, o czarnych kręconych włosach, nie wyglądała zbyt atrakcyjnie. Chłopczyk był pulchny, nosił grube okulary, przypominające dna od butelek. Siedział w szkolnej ławce i nie patrzył w obiektyw. Miał sześć i pół roku i na

imię Luca.

– Jeśli matka z synem dotarli do Monte Cavo, to musieli zafundować sobie niezły spacer. I nikt ich nie zauważył?

– Tak wynika z moich informacji.

Deszcz lał coraz bardziej i zaczęły tworzyć się korki, ale gdy włączyli sygnał, samochody usuwały się przed nimi jak fale przed Mojżeszem i dotarli do zjazdu w kierunku Velletri w ciągu trzydziestu minut. Colomba zauważyła mnóstwo jeżdżących w tę i z powrotem radiowozów i samochodów terenowych obrony cywilnej, które koło ogrodzenia ujeżdżalni sprawiały już wrażenie jednej zbitej masy. Kompleks hipodromu składał się z zaniedbanych jednopiętrowych budynków stojących wokół toru do jazdy konnej.

Posuwali się bardzo wolno, jakby szli pieszo, wzdłuż drogi szybkiego ruchu, na której tłoczyły się radiowozy, samochody osobowe, autobusy karabinierów, karetki pogotowia i wozy strażackie. Pojawiły się dwa wozy transmisyjne z antenami satelitarnymi na dachach, należące do dwóch różnych stacji telewizyjnych, oraz przewoźna kuchnia, z której unosił się gęsty dym. *Brakuje tylko straganów i sprzedawcy losów na loterię*, pomyślała Colomba.

Alberti zaparkował za przyczepą kempingową.

– Jesteśmy na miejscu, *dottoressa* – powiedział. – Komendant Rovere czeka na panią w sztabie operacyjnym.

– Wiesz, gdzie to jest?

– Tak, *dottoressa*.

– To prowadź, będzie szybciej.

Posterunkowy zaciągnął hamulec ręczny i poprowadził ją między budynkami, które sprawiały wrażenie opustoszałych. Colomba, słysząc rżenie koni za ścianą, pomyślała, że wolałaby nie spotkać żadnego z nich uciekającego z boksu z powodu burzy. Kiedy dotarli do właściwego budynku, dwaj umundurowani policjanci stojący przy wejściu zaszalutowali Albertiemu, nie zwracając uwagi na Colombę, którą wzięli za cywila.

– Poczekał tu – powiedziała i bez pukania otworzyła drzwi, na których wisiała kartka z napisem: POLICJA PAŃSTWOWA – NIE WCHODZIĆ BEZ POZWOLENIA.

W pokoju urządzono archiwum, z metalowymi szafkami na dokumenty ustawionymi wzdłuż ścian. Kilku policjantów w mundurach i w cywilu siedziało przy czterech wielkich biurkach stojących na środku i rozmawiało przez telefon lub radio. Colomba poszukała wzrokiem Alfreda Roverego, który pochylał się nad rozłożoną na jednym z biurek mapą. Był to niski, mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna, o rzadkich siwych włosach zaczesanych starannie do tyłu. Colomba zauważyła, że jego buty i skarpety pokrywało błoto sięgające do pół łydki.

Policjant siedzący przy wejściu podniósł wzrok i rozpoznał ją.

– *Dottoressa Caselli!* – zawołał, zrywając się z miejsca. Colomba nie pamiętała jego nazwiska, a jedynie kod Argo 03, którego używał na służbie w centrali. Wszyscy obecni na



chwilę przerwali rozmowy i spojrzeli na nią.

Colomba zmusiła się do uśmiechu i podniosła dłoń w geście powitania, który miał jednocześnie zachęcić ich do powrotu do przerwanych zajęć.

– Nie przeszkadzajcie sobie.

Argo uściśnął jej dłoń.

– Jak się pani ma? Brakowało nam pani.

– A mnie was wcale – spróbowała wykręcić się żartem.

Argo wrócił do telefonu i po chwili znowu zewsząd słychać było szum prowadzonych rozmów. Z usłyszanych fragmentów zdołała wydedukować, że na drodze szybkiego ruchu ustawiono blokady i kontrole. Dziwne. To nie były zwykłe procedury stosowane w przypadku zaginięcia.

Podszedł do niej Rovere. Objął ją serdecznie i spojrzął w oczy. Poczowała woń papierosów.

– Dobrze wyglądasz, Colombo. Naprawdę.

– Dziękuję, panie komendancie – odpowiedziała i przyszło jej na myśl, że on sprawia wrażenie zmęczonego i znacznie starszego. Miał podkrążone oczy i długą brodę. – Co się dzieje?

– Jesteś ciekawa?

– Wcale. Ale skoro tu już jestem...

– Zaraz wszystkiego się dowiesz – zapewnił i wzięwszy ją pod ramię, poprowadził do drzwi. – Potrzebny nam samochód.

– Mój stoi przy bramie.

– Nie, musimy wziąć jeepa.

Kiedy wyszli, Alberti, który opierał się o mur, stanął na baczność.

– Jeszcze tu jesteś? – zaatakował go Rovere.

– To ja kazałam mu poczekać – wyjaśniła Colomba. – Myślałam, że nie zajmie mi to wiele czasu.

– Umiesz prowadzić jeepa? – zwrócił się do Albertiego Rovere.

– Tak, *dottore*.

– To znajdź jakiegoś i podjedź po nas. Poczekamy tutaj – rozkazał komendant.

Alberti oddalił się biegiem, a Rovere zapalił papierosa, ignorując znak zakazujący palenia.

– Jedziemy do Monte Cavo? – zapytała Colomba.

– Nic ci nie mówię, a ty i tak wszystkiego się domyślasz.

– Myślał pan, że nie będzie mi się chciało rozmawiać z kierowcą?

– Miałem taką nadzieję.

– Co znajdziemy na miejscu?

– Przekonasz się na własne oczy.

Jeden z pick-upów przejechał na wstecznym przez podwórze, o włos mijając zaparkowany motocykl drogowki.

– Najwyższy czas. – Rovere ponownie chciał wziąć Colombę pod ramię, ale mu się wywinęła.

– Czas nagli?

– Tak, za jakąś godzinkę nie będziemy tam już mile widziani.

– Dlaczego?

– Założę się, że sama na to wpadniesz.

Rovere otworzył jej drzwi, Colomba jednak zatrzymała się koło samochodu.

– Poważnie zastanawiam się nad powrotem do domu, *dottore* – odezwała się. – Nie lubiłam zagadek nawet wtedy, gdy byłam mała.

– Kłamczucha. Gdyby to była prawda, wybrałabyś inny zawód.

– Właśnie mam taki zamiar.

Komendant westchnął.

– Jesteś pewna?

– Nigdy niczego nie byłam bardziej pewna.

– Porozmawiamy o tym później. No już, wsiadaj.

Colomba wślizgnęła się z rezygnacją na tylne siedzenie.

– Świetnie – dodał Rovere, siadając z przodu.

Zgodnie z instrukcjami komendanta z ujeżdżalni wyjechali na drogę prowadzącą do Vivaro i po przejechaniu niecałych pięciu kilometrów dotarli na via dei Laghi, łączącą się na końcu z drogą szybkiego ruchu do Rocca di Papa. Minęli ostatnie domy i zajazd, gdzie kilku policjantów piło kawę i paliło papierosy w altanie. Wydawało się, że wszyscy cywile pochowali się w domach, a na zewnątrz zostali tylko mundurowi i ich służbowe samochody. Przejechali kolejny kilometr i skręcili w ulicę wznoszącą się ku Monte Cavo.

Kiedy się zatrzymali, wokół było pusto. Za drzewami widocznymi na końcu drogi Colomba dostrzegła w ciemnościach błyski wyładowań fotoelektrycznych noktowizorów.

– Dalej musimy iść pieszo, bo droga jest zbyt wąska – wyjaśnił Rovere, po czym otworzył bagażnik i wyjął dwie latarki.

– Mam szukać ukrytych kartek ze wskazówkami?

– Byłoby nieźle, gdyby czasami zostawiali nam takie łatwe do identyfikacji ślady – powiedział Rovere, podając jej latarkę.

– Jakie ślady?

– Cierpliwości.

Skierowali się w stronę ścieżki. Po jej obu stronach rosły drzewa, a ich gałęzie spletały się w górze, tworząc zielony korytarz. Deszcz przestał padać i panowała głucha cisza, a zapach wilgoci i gnijących liści przypominał Colombie grzyby, które jako dziecko zbierała z wujkiem, zmarłym kilka lat temu. Teraz nie mogła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek udało im się wrócić z pełnym koszykiem.

Rovere zapalił kolejnego papierosa, mimo że oddychał z trudem z powodu wysiłku

włożonego w pieszą wędrówkę.

– To jest via Sacra – powiedział.

– Co to znaczy? – zapytała Colomba.

– Ta droga prowadziła do rzymskiej świątyni. Widzisz? Zachowało się jeszcze oryginalne brukowanie – wyjaśnił komendant, kierując światło latarki na kostkę z szarego bazaltu zniszczoną przez czas. – Jedna z grup poszukiwawczych trzy godziny temu zapuściła się w tę okolicę i dotarła aż do tarasu widokowego.

– Jakiego tarasu?

Rovere skierował latarkę w stronę kępy drzew, którą mieli przed sobą.

– Tam, z tyłu.

Colomba pochyliła głowę i przeszła pod splecionymi gałęziami, a po chwili znalazła się na szerokim kamiennym tarasie otoczonym metalową barierką. Dziesięć metrów niżej rozciągała się polana, z sosnami i dębami na środku. Pomiędzy drogą a drzewami stały dwa samochody terenowe i ciężarówka używana w policji do transportu sprzętu technicznego. Słychać było pomruk generatora prądu dla noktowizorów i strzępy rozmów.

Rovere podszedł do niej, dysząc jak lokomotywa.

– Śledczy zatrzymali się właśnie w tym miejscu. I przez przypadek je zauważyli.

Colomba skierowała snop światła w dół, podążając za wskazówkami szefa.

Na oświetlonej samotnej skale zauważyła jasną plamę, którą z początku wzięła za plastikową reklamówkę wplątaną w gałęzie krzaka. Dopiero kiedy skupiła na tym światło latarki, zrozumiała, że ma przed sobą parę biało-niebieskich butów sportowych, które zawieszane na krzaku kręciły się wolno wokół własnej osi. Nawet z takiej odległości dostrzegła, że są to buty dziecka, rozmiar dwadzieścia dziewięć, najwyżej trzydzieści.

– Chłopczyk spadł stąd?

– Przyjrzyj się dokładniej.

Colomba posłuchała i zdała sobie sprawę, że buty wcale nie zaplątały się w gałęziach, lecz zostały do nich przywiązane sznurówkami. Odwróciła się w stronę Roverego.

– Ktoś je tam umieścił.

– No właśnie. I dlatego śledczy zeszli na dół. Przejdź tędy – wskazał na ścieżkę. – Tylko ostrożnie, bo jest dość stromo. Jeden z policjantów zdążył już skrócić sobie kostkę.

Rovere szedł przodem, a Colomba tuż za nim, zaciekawiona mimo woli tym, co znajdzie na dole. Kto powiesił buty na krzaku? Dlaczego?

Niespodziewany podmuch wiatru spryskał jej twarz kroplami deszczu i Colomba wzdrygnęła się, czując, jak znowu zaczyna brakować jej powietrza. *Na dziś wystarczy ataków paniki*, upomniała się w myślach. *Kiedy wrócę do domu, postaram się o jakiś naprawdę dorodny i może nawet się poryczę. Ale nie teraz, bardzo proszę.* Nie miała pojęcia, z kim rozmawia. Wiedziała tylko, że atmosfera tego miejsca przyprawia ją o gęsią skórę, i jak najszybciej chciała się stąd ulotnić. Minęli szpaler drzew i znaleźli się na stromym

zboczu porośniętym chaszczami i jeżynami, na którym w półokręgu tkwiły sporej wielkości skały. Przy jednej z nich zgromadziło się około dziesięciu osób, wśród których byli Franco De Angelis i zastępca komendanta Marco Santini z centrali wydziału śledczego. Dwaj mężczyźni w białych kombinezonach robili zdjęcia czegoś, co znajdowało się u podnóża skały, a czego Colomba nie była w stanie dostrzec. Na kamizelkach techników widniał znak jednostek zajmujących się przestępstwami popełnionymi ze szczególnym okrucieństwem i w tym momencie Colomba wszystko zrozumiała, chociaż podświadomie już od dawna czuła, co się zdarzyło. Przecież nie zajmowała się poszukiwaniem zaginionych osób, pracowała w sekcji zabójstw. Podeszła bliżej. Masyw skalny rzucał zaostrozony cień na postać skuloną na ziemi. *Niech to nie będzie dziecko*, pomyślała i jej prośba została wysłuchana.

To było ciało matki.

Ktoś odciął jej głowę.

Ciało zostało ułożone na boku, ze zgiętymi nogami i ręką umieszczoną pod spodem. Drugie ramię natomiast leżało wyciągnięte poziomo, a dłoń zwrócona była wnętrzem ku górze. Końcówka szyi połyskiwała sino w świetle reflektorów, a wilgotna biel kości błyszczała nieprzyjemnie. Głowa znajdowała się w odległości metra, leżała na policzku, twarz była zwrócona w kierunku ciała.

Colomba odwróciła wzrok od trupa i zdała sobie sprawę, że wszyscy się jej przyglądają.

Santini wyglądał na wściekłego. Był to dobrze zbudowany mężczyzna koło pięćdziesiątki z cienkimi wąsami.

– Kto ciebie tu zaprosił? – warknął.

– Ja – odpowiedział Rovere.

– A po co, jeśli mogę zapytać?

– Konsultacja specjalistyczna.

Santini uniósł ramiona ku niebu, po czym się oddalił.

Colomba podała rękę sędziemu.

– Bardzo dobrze – powiedział w roztargnieniu i natychmiast odszedł, ciągnąc ze sobą Roverego. Widać było, że dyskutują o czymś po cichu.

Pozostali nadal się jej przyglądali, niektórzy znali ją z widzenia, inni tylko słyszeli plotki na jej temat, ale nie spuszczała z niej wzroku, aż wreszcie wybawił ją z kłopotu Mario Tirelli, który wyłonił się z ciemności. Patolog był wysokim, szczupłym mężczyzną i nosił kapelusz charakterystyczny dla wędkarzy. Żuł lukrecję, której laski nosił zawsze w srebrnej papierośnicy, co najmniej tak starej jak on.

– Jak się masz? – zapytał, ściskając jej rękę swoimi niemal lodowatymi dłońmi. – Bardzo mi ciebie brakowało.

– Mnie ciebie też – odparła szczerze. – Ciągle jeszcze jestem na zwolnieniu, nie ciesz się zbyt.

– To co tu robisz w taki deszcz?

– Wygląda na to, że komendantowi zależy na mojej obecności. Ale powiedz mi, co oni tu robią.

– Masz na myśli SIC<sup>2</sup> czy tych z UCV<sup>3</sup>?

– Wszystkich. Przecież oni zajmują się przestępczością zorganizowaną i seryjnymi morderstwami, a tu mamy tylko jednego trupa.

– Teoretycznie mogą zajmować się nawet zagubionymi kotami, jeśli prokuratura się do

nich zwróci.

– A De Angelis jest przyjacielem Santiniego.

– Ręka rękę myje. Ci dwaj chętnie drapią się nawzajem po plecach. Oczywiście Santini nie ufa technikom policyjnym i dlatego przyprowadził tych błaznów w białych kombinezonach. Jeśli uda im się znaleźć jakieś dowody, nie będzie się musiał dzielić zasługami.

– A jak nic nie znajdzie?

– To zrzuci winę na was.

– Gówniana sytuacja.

– Normalna. Powinnaś odpoczywać, zamiast się w tym babrać.

– Ty też. Przecież jesteś na emeryturze, nie?

Tirelli się uśmiechnął.

– Jestem tu w roli konsultanta. Nie lubię siedzieć w domu i czytać kryminałów, a krzyżówek nie umiem rozwiązywać. – Patolog był bezdzietnym wdowcem i należało przypuszczać, że umrze ze skalpelem w ręce. – Chcesz usłyszeć, co mam do powiedzenia o tej kobiecie, czy dalej będziesz udawać, że cię to nie interesuje?

– Mów.

– Obcięcie głowy przy użyciu broni białej o wygiętym ostrzu. Morderca musiał uderzyć co najmniej cztery, pięć razy, aby oddzielić ją od korpusu między drugim a trzecim kręgiem. Prawdopodobnie już pierwsze uderzenie w potylicę spowodowało zgon, kobieta znajdowała się wtedy w pozycji stojącej.

– Zaatakował ją od tyłu?

– Z kierunku cięcia można wnioskować, że tak. Zmarła w ciągu minuty po natychmiastowej utracie przytomności. Stan zwłok wskazuje, że zdarzyło się to dziś po południu, ale z uwagi na intensywne opady trudno będzie ustalić konkretną godzinę. Według mnie tak między trzynastą a osiemnastą. Przekonasz się, że ci z UCV przygotują własną ekspertyzę – dodał z ironią.

– Na ciele nie ma śladów, który by wskazywały, że się broniła – zauważyła Colomba. – Musiała znać mordercę, w przeciwnym razie odwróciłaby się co najmniej o trzy czwarte obrotu, zanim ją zaatakował.

– Zaatakował ją z zaskoczenia, a potem dokończył obcinanie głowy już na ziemi.

Wykorzystując sytuację, że Santini i reszta odeszli od ciała, Colomba wróciła, aby przyjrzeć się zwłokom. Zrobiła to automatycznie, prawie nie zdając sobie sprawy z własnych ruchów. Tirelli podążył za nią.

– Nie zdjęto jej ubrania – stwierdziła. – Nie mamy więc do czynienia z gwałtem *post mortem*.

– Też tak uważam.

Przyjrzała się z bliska głowie. Oczy były w nienaruszonym stanie.

- Nie ma śladów penetracji w jamie ustnej i uszach.
- Dzięki Bogu.
- Dziecko było przy tym?
- Nie wiadomo. Jeszcze go nie odnaleziono.
- Czyżby morderca go uprowadził?
- To najbardziej prawdopodobna hipoteza.

Colomba pokręciła głową. Nie lubiła, kiedy mieszano dzieci w takie rzeczy. Ponownie zajęła się oględzinami miejsca zbrodni.

- To nie jest przestępstwo na tle seksualnym. I ciało nie zostało zmasakrowane.
- Obcięcie głowy to nie zmasakrowanie?
- Nie ma żadnych innych śladów przemocy. Nawet siniaka.
- Może zadowolił się tym, co zrobił – stwierdził Tirelli.

Zanim Colomba zdążyła odpowiedzieć, podniósł się jeden z techników pracujących w krzakach.

- Ej! Tutaj! – zawołał.

Wszyscy ruszyli w jego stronę, a razem z nimi i Colomba, kierująca się ciągle dawnymi przyzwyczajeniami. Technik wyciągnął spod krzaka sierpak, trzymając go za ostrze palcami w gumowej rękawiczce. Santini pochylił się, aby przyjrzeć się przedmiotowi z bliska.

- Ostrze jest wyszczerbione, być może na skutek kontaktu z kością.
- Byłbyś niezły jako szlifierz – zauważyła Colomba.

Santini zacisnął zęby.

- Jeszcze tu jesteś?
- Nie, masz halucynacje.
- Tylko niczego nie dotykaj, nie chcemy, żebyś znowu narobiła kłopotów.

Colomba poczuła, jak krew uderza jej do twarzy i robi się jej gorąco. Zacisnęła pięści i zrobiła krok naprzód.

- Powtórz, co powiedziałaś, sukinsynu.

Technik, który znalazł sierpak, podniósł rękę.

- Ej, nie jesteście już w szkole.
- To ona ma coś z głową – zaatakował Santini. – Nie widzisz?

Tirelli położył dłoń na ramieniu Colomby.

- Zostaw go, nie warto... – szepnął.

Westchnęła głęboko, uwalniając powietrze z płuc.

- Spierdalaj, Santini. Rób, co do ciebie należy, i udawaj, że mnie tu nie ma.

Policjant próbował zrewanżować się jakąś ciętą ripostą, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Wskazując na sierpak, zwrócił się do Tirellego:

- Doktorze, czy to może być narzędzie zbrodni?
- Jak najbardziej.



Technik przejechał po ostrzu wacikiem, który natychmiast zabarwił się na granatowo – krew. Włożył narzędzie do woreczka i opisał. Później w laboratorium porównają próbkę z DNA ofiary, ale według Colomby nie było możliwości pomyłki. Tirelli poszedł za technikiem, a jakiś policjant w mundurze zawołał Santiniego, który oddalił się i po chwili zniknął na drodze dojazdowej. Colomba została sama przy krzaku. Już chciała rzucić wszystko w diabły i wrócić do samochodu, ale z pobliskiego lasu dobiegł ją szelest liści, a po chwili światło noktowizora odbiło się od bladej, spoconej twarzy Albertiego, który wycierał sobie usta chusteczką.

Colomba zrozumiała, że oddalił się, bo musiał zwymiotować, i zrobiło jej się przykro, że zostawiła go samego.

– Wszystko w porządku?

Skinął głową.

– Tak, *dottorossa* – zaczął tonem, z którego wyczytać można było coś zupełnie przeciwnego. – Musiałem...

– Domyślam się. Nic się nie przejmuj, to się zdarza. To twój pierwszy trup?

Alberti pokręcił głową.

– Nie. Ale pierwszy w takim stanie... Jak długo trwało, zanim pani się przyzwyczaiła?

Colomba nie zdążyła odpowiedzieć, bo zawołał ją Rovere:

– Chodź tu, bo przegapisz ostatnią część przedstawienia.

Poklepała Albertiego po plecach.

– Poczekaj tu. – Podeszła do swojego byłego szefa, który stał w pobliżu skały niewidocznej z miejsca, gdzie leżało ciało. – Jakie znowu przedstawienie?

Tymczasem grupa śledczych wróciła do zwłok i wyglądało na to, że na coś czeka. Zwłaszcza De Angelis, który uśmiechał się nerwowo, patrząc w dal.

– Zaraz będzie tu jej mąż – powiedział Rovere.

Po kilku sekundach usłyszeli zza linii drzew gasnący silnik samochodu ciężarowego. Pojawił się Santini wraz z dwoma umundurowanymi policjantami i rozglądającym się wkoło, jakby oszołomionym mężczyzną, ubranym jedynie w krótkie spodenki i brudną koszulkę.

Stefano Maugeri. Jego ubranie wskazywało, że od czasu zaginięcia żony nie opuścił okolicy, w której trwały poszukiwania.

– Zgłupieli czy co? Po co go tutaj przywieźli? – zapytała Colomba. – Przecież mogliby zidentyfikować ciało już w kostnicy, kiedy będzie w całości.

– Wcale nie interesuje ich rozpoznanie – wyjaśnił Rovere.

Maugeri w towarzystwie Santiniego i dwóch policjantów dotarł do menhiru. Colomba zauważyła, że mężczyzna się waha, przystając na chwilę.

– Co tam jest? – Usłyszała jego pytanie.

*O Jezu, nic mu nie powiedzieli, pomyślała.*

Santini poprosił Maugeriego, żeby szedł dalej, ale ten zaparł się jak zwierzę, które czuje topór.

– Nie ruszę się, dopóki mi nie powiecie, co tam jest. Nie pójdę dalej. Nie pójdę.

– Tam jest pańska żona, panie Maugeri – powiedział Santini, przyglądając mu się badawczo.

Maugeri pokręcił głową, kiedy te słowa do niego dotarły.

– Nie... – Rozejrzał się dookoła jeszcze bardziej zdezorientowany, a potem pokonał biegiem ostatnie metry. Zatrzymali go stojący przy zwłokach policjanci. Colomba odwróciła wzrok w momencie, gdy mężczyzna zaczął płakać.

– Wracamy – zdecydował Rovere, kiedy dochodziła jedenasta. Policjanci odprowadzili Maugeriego, podtrzymując go za ramiona, a ciało kobiety włożono do worka na zwłoki. Colomba, Rovere i Alberti dotarli do samochodu tą samą ścieżką, którą przyszli na miejsce zbrodni.

Kiedy jeep ruszył, Colomba przerwała milczenie.

– To było świństwo – mruknęła.

– Przecież dobrze wiesz, dlaczego to zrobili – powiedział Rovere.

– Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić. – Zaczynała ją boleć głowa i po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła się bardzo zmęczona. – Liczyli, że przyzna się do winy.

Rovere dotknął pleców Albertiego.

– Zatrzymaj się.

Dojeżdżali właśnie do zajazdu, który widzieli w drodze na miejsce zbrodni. Pod dachem altany kręcił się teraz tylko właściciel, wnosząc do środka krzesła i stoliki.

– Dasz się namówić na kawę, Colombo? – zapytał Rovere. – A może masz ochotę coś zjeść?

– Może być kawa – skłamała. Tak naprawdę chciała jedynie wrócić do domu i o wszystkim zapomnieć. Wrócić do książki, którą zostawiła na stole w salonie – było to stare wydanie powieści *Mastro don Gesualdo* Vergi – i skończyć butelkę wina Primitivo, które czekało w lodówce. Najzwyklejsze rzeczy, które nie śmierdzą krwią i błotem.

Właściciel zajazdu zaprosił ich do środka, mimo że już zamykał. Była to stara gospoda, przesiąknięta zapachem wybielacza i skwaśniałego wina, z drewnianymi stołami i ławami. Colomba, wchodząc, poczuła, że w środku jest chłodniej niż na zewnątrz. Pomyślała, że chociaż to dopiero pierwsze dni września, lato stawało się już wspomnieniem. Jakby na dobre opuściło okolice Rzymu.

Usiedli przy stole niedaleko okna. Rovere zamówił kawę po turecku i zaczął obracać filiżankę w dłoniach, nie odrywając wzroku od Colomby, chociaż tak naprawdę wcale jej nie widział.

– Dlaczego podejrzewają męża? – zapytała.

– Po pierwsze, nikt nie widział go z żoną i synem w Pratoni. Wszyscy świadkowie, którzy się zgłosili, twierdzą, że był sam.

– Łatwiej zapamiętać ojca, który rozpaczliwie poszukuje żony i syna, niż rodzinę na pikniku.

– Oczywiście. Ale na razie zeznania świadków są jednakowe. – Uderzył się kilka razy łyżeczką w usta. – A po drugie, w bagażniku jego samochodu znaleziono ślady krwi.

– Tirelli twierdzi, że kobieta została zamordowana w miejscu, gdzie znaleziono ciało – sprzeciwiła się Colomba. – A zwykle nie wydaje sądów bez pokrycia.

– To krew chłopca. Niewielkie, nie do końca usunięte ślady. Ojciec nie potrafi tego wyjaśnić.

– Co jeszcze?

– Maugeri bił żonę. W lokalnym komisariacie przyjęli trzy zgłoszenia dotyczące krzyków dobiegających z ich mieszkania. Miesiąc temu kobieta trafiła do szpitala ze złamanym nosem. Powiedziała, że poślizgnęła się w kuchni.

Colomba poczuła nasilający się ból głowy. Im dłużej rozmawiali o sprawie, tym większe miała wrażenie, że wpadła już jak śliwka w kompot.

– Wszystko zdaje się jasne. Po co mnie tu ściągnąłeś?

– Zastanów się przez chwilę. Na ciele ofiary nie było żadnych śladów wskazujących na to, że próbowała się bronić.

Colomba zaczęła analizować fakty.

– Wiedziała, że mąż używa siły. A tymczasem nawet się nie odwróciła i nie próbowała uciekać... – Zamilkła na moment, po czym pokręciła głową. – Zgadzam się z panem, że to dziwne, ale przecież nie wystarczy, żeby wyeliminować go z kręgu podejrzanych.

– Z iloma psychopatycznymi czy socjopatycznymi mordercami miałaś do czynienia w swej karierze? – Rovere nie ustępował.

– Kilku ich było. – Próbowała zminimalizować swoje doświadczenia.

– Ilu z tych, którzy zamordowali kogoś z rodziny, w końcu się przyznało?

– Niektórzy nigdy tego nie zrobili.

– Ale przecież coś w ich zachowaniu dawało ci do myślenia, że są winni, nawet jeśli temu stanowczo zaprzeczali?

Colomba przytaknęła z niechęcią.

– Wcale nie jest tak łatwo kłamać, jak się powszechnie wydaje. Przeczucia jednak nie za dobrze sprawdzają się w raportach.

– I są bezużyteczne w sądzie... Ale reakcje morderców nie są całkiem naturalne, mylą się, żartują, kiedy powinni płakać. Albo płaczą, kiedy powinni się złościć. Nawet ci, którzy usunęli ze świadomości akt zbrodni, jakoś sygnalizują, że za tą pustką coś się kryje. – Przerwał na chwilę. – Zauważyłaś coś takiego w zachowaniu Maugieriego, kiedy pokazano mu ciało żony?

Colomba pomasaowała sobie skronie. *Co się ze mną dzieje?*

– Nie, ale nie miałam okazji z nim porozmawiać. Widziałam tylko, jak się miotał w błocie.

– Ja byłem obecny podczas pierwszego przesłuchania, kiedy jeszcze nic nie wiedzieliśmy.

On nie kłamał.

– W porządku. A więc to nie on jest mordercą. Wcześniej czy później Santini i De Angelis się o tym przekonają i znajdą winnego.

Rovere przyglądał się jej badawczo.

– A chłopiec?

– Myśli pan, że żyje?

– Sądzę, że jest szansa. Jeśli ojciec jest niewinny, to dziecko zostało uprowadzone przez mordercę. Trzeba wyjaśnić te ślady krwi w bagażniku.

– Może mały spadł w przepaść podczas ucieczki.

– Wtedy już byśmy go znaleźli. Jak daleko mogłoby się oddalić dziecko bez butów w takiej okolicy?

– Santini na pewno każe go szukać – stwierdziła Colomba. – W końcu nie jest skończonym idiotą.

– Santini i De Angelis mają już swoją teorię. A jakie jest prawdopodobieństwo, że pojawią się nowe poszlaki i zostaną wzięte pod uwagę? Mam na myśli najbliższe godziny, nie za tydzień czy za miesiąc.

– Rzeczywiście, niewielkie – przyznała.

– Co się stanie w tym czasie z chłopcem?

– Co to pana obchodzi?

Rovere się skrzywił.

– Przecież nie jestem robotem.

– I nie brak panu doświadczenia. – Colomba nachyliła się do niego. – Jest pan szefem wydziału, bo świetny z pana glina, ale również dlatego, że umie się pan poruszać w tym środowisku. Wie pan doskonale, że wtykanie nosa w śledztwo innej jednostki to nie najlepsze posunięcie.

– Nigdy nie powiedziałem, że to ja mam zamiar się wtrącać.

Colomba uderzyła pięścią w stół.

– O kurwa! Chce mnie pan rzucić wilkom na pożarcie?

– Tak – odpowiedział bez śladu emocji.

W przeszłości nieraz dochodziło między nimi do spięć, które czasami przeradzały się nawet w prawdziwe kłótnie, pełne wrzasków i trzaskających drzwi. Ale nigdy nie czuła się zdradzona, tak jak teraz.

– Traci pan czas.

– Sama powiedziałaś, że chcesz podać się do dymisji, a więc nie masz nic do stracenia. A poza tym mogłabyś zrobić coś dla tego dziecka.

Colomba nie mogła usiedzieć na miejscu. Poderwała się i odwróciła plecami do szefa. Przez okno widziała opartego o samochód Albertiego, który ziewał tak szeroko, że istniało niebezpieczeństwo zwichnięcia szczęki.

– Jesteś mi to winna – dodał Rovere.

– Dlaczego tak panu zależy, żeby mnie wplątać w tę sprawę.

Komendant westchnął.

– Wiesz, kto jest dyrektorem SIC-u?

– Scotti. Przynajmniej był.

– W przyszłym roku idzie na emeryturę. A wiesz, kto jest pierwszy w kolejce na jego miejsce?

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Santini. Ale wcześniej był przed nim ktoś jeszcze.

Colomba odwróciła się i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Pan?

– Tak, ja. Odsunęli mnie po tej twojej historii. Gdyby to był ktoś kompetentny, nie pisałbym słówka, ale Santini nie jest odpowiednim człowiekiem na to stanowisko.

– Dla pana mam pogrzyść Santiniego – stwierdziła z pogardą. Nagle wydało się jej, że Rovere zmienia się na jej oczach, ukazując oblicze, którego nie tylko nigdy wcześniej nie widziała, ale nawet nie podejrzewała jego istnienia. – Chodzi więc o pańską karierę.

– Jeśli ci się uda, uratujesz dziecko. Nie zapominaj o tym.

– Pod warunkiem że jeszcze żyje i że nie umrze w międzyczasie.

– W tym przypadku wina spadnie na tych, którzy popełnili błąd w śledztwie.

– De Angelis się obrazi, kiedy zacznę się wtrącać.

– W normalnych warunkach mógłby cię zawiesić albo odsunąć od śledztwa. Ale w twoim przypadku bez naruszenia prawa nic nie może zrobić. W ostateczności zawsze możesz powiedzieć, że to twoja prywatna inicjatywa, bo Santini cię wkurza, i na tym się skończy.

Colomba ponownie usiadła, opierając się wygodnie. Cała ta sytuacja wzbudzała w niej obrzydzenie. Ale w jednej sprawie Rovere miał rację – była mu to winna. Ponieważ tylko w jego oczach nigdy nie zauważyła nawet cienia podejrzliwości ani śladu nieufności po katastrofie, która jej się przytrafiła. W jego oczach było tylko współczucie.

– Mogę działać jako zwykła obywatelka?

– Cały czas masz legitymację i możesz ją wyciągnąć, kiedy będzie trzeba. Ale lepiej nie wzbudzaj zbytniego zainteresowania swoją osobą. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zwróć się do mnie.

– A jeśli coś znajdę?

– Przekażemy to dyskretnie De Angelisowi.

– Jak tylko wyczuje, że postawił na niewłaściwego konia...

– To zmieni konia – zakończył Rovere.

Colomba dotknęła bolących skroni.

– To niemożliwe. Sama nie dam rady. – Komendant zawahał się, ale Colomba zrozumiała, że tylko udaje, bo od dawna ma już przygotowaną odpowiedź. *Wszystko sobie zaplanował,*

*żeby wciągnąć mnie w tę swoją podłą grę, pomyślała.*

– Jest ktoś, kto mógłby ci pomóc. Gdybyś była policjantką dbającą o karierę, to nie powinnaś się do niego zbliżać, a on też pewnie by na to nie pozwolił. Ale w twojej sytuacji...

– Kogo ma pan na myśli?

Rovere zapalił papierosa.

– Słyszałaś kiedyś o dziecku z silosu?

# III WCZEŚNIEJ



Dwoje młodych małżonków siedzących przy środkowym stoliku rozmawia podniesionymi głosami. Nie są przyzwyczajeni do luksusowych lokali, wybrali to miejsce, aby uczcić pierwszą rocznicę ślubu. Ona rozgląda się dokoła, szukając wzrokiem jakiejś sławnej osoby, on stara się nie myśleć zbyt intensywnie o sumie, która pojawi się na rachunku. Wiedział, że ceny są tu niebotyczne, ale to, co zobaczył w karcie, nieprzyjemnie go zaskoczyło. Restauracja mieści się na ostatnim piętrze butiku, do którego nie ośmielają się zaglądać (choć właściwie ona tak – przychodzi tu pooglądać nowe kolekcje). On nie chce jednak prosić żony o rozsądny wybór dań, nie po tym, gdy przez cały tydzień czekała na ten wieczór, dopasowując do siebie części garderoby kupionej na wyprzedaży w Zarze.

On ma dwadzieścia siedem lat, ona dwadzieścia dziewięć.

Kilka metrów dalej jakiś Niemiec je samotnie sushi. Czyta angielską wersję „Kolekcjonera kości”. Denerwuje się, że w ciągu ostatnich lat jego angielski zdecydowanie się pogorszył. Ciężko mu idzie, chociaż czytał już tę powieść po niemiecku. Kieruje firmą produkującą podzespoły i nie ma zbyt wiele okazji na szlifowanie języka. Myśli, że powinien załatwić sobie prywatne lekcje, ale już sam pomysł wprawia go w zakłopotanie. Czuje się za stary na to, żeby wrócić do szkoły, i podejrzewa, że jego pamięć nie jest już tak dobra jak dawniej. Uwielbia przychodzić tu raz w tygodniu na sushi, najlepiej samotnie.

Niedawno skończył sześćdziesiąt lat.

Przy okrągłym stole w pobliżu okna dyskretnie zasłoniętego białymi firankami z czystej bawełny siedzi didżej z przyjaciółką, jego agent i właściciel dyskoteki na peryferiach miasta. Słuchają kelnera, który przed zaprezentowaniem menu pyta o ewentualne alergie. Didżej chce odpowiedzieć: „Jestem uczulony na surową rybę”, nie wiedząc, że kelner słyszy ten żart co najmniej raz dziennie i już się nawet nie uśmiecha. Didżej śpiewał w młodym zespole, który trzy lata wcześniej dotarł ze swoim przebojem do pierwszej dziesiątki listy przebojów. Teraz prowadzi w ciągu roku około dwustu wieczorów w najsłynniejszych nocnych lokalach. Płyty już się nie sprzedają, a to jest zawód z przyszłością.

Dziewczyna trzyma go za upierścienioną dłoń, przypominającą rękę Madonny z Lourdes (wygląd didżeja charakteryzuje przesada, począwszy od tatuażu tribal na karku i rozjaśnionych bez umiaru włosów), i ma nadzieję, że tym razem zostanie z nią na weekend albo zabierze ją ze sobą. Nie jest jego narzeczoną, on po prostu dzwoni, kiedy ma interes w mieście, ale ona wie, że nadają na tej samej fali. Podskórnie to czuje. Dzisiaj po południu kochali się w jego pokoju w hotelu, a kiedy było po wszystkim, on otworzył się przed nią jak dziecko. Śmiał się i żartował. Czy zachowywałby się w ten sposób, gdyby chodziło jedynie o szybki numer? Zwierzył jej się nawet, że wkrótce zmieni swojego agenta na kogoś

zdołniejszego i mniej uczuciowego. Przecież to bardzo poufna informacja, nieprawdaż?

Agent nie jest skończonym naiwniakiem i przeczuwa, co go czeka. Marzy o papierosie, rozpaczliwie próbując sobie przypomnieć tytuł filmu, w którym Woody Allen wykonuje jego zawód, a artyści ciągle go wykorzystują. Od blisko miesiąca didżej nie informuje go już szczegółowo o swoich planach na przyszłość, a to, kurwa, jasny sygnał. Ma zamiar się go pozbyć właśnie teraz, kiedy zaczął odnosić pierwsze sukcesy. Oczywiście dzięki jego pracy, dzięki milionom wykonanych telefonów – czasami musiał błagać lub grozić, żeby zapewnić mu większą reklamę. Kto załatwił mu udział w gali MTV European Awards? No, kto? Kto zadbał o stałą audycję w radiu? Agent postanowił, że po całym tym przedstawieniu musi pogadać z didżejem, chociaż na samą myśl o tym, co od niego usłyszy, stracił apetyt.

Właściciel dyskoteki nie bierze zbyt aktywnego udziału w rozmowie, a właściwie monologu artysty na temat nowych tendencji w muzyce, których on sam jest zresztą autorem, i ma nadzieję, że ta kolacja szybko się skończy. Jeśli o niego chodzi, to uważa, że najlepszym albumem w historii jest „The Dark Side of the Moon”, a wszyscy didżeje na ziemi razem wzięci nie mają nawet odrobiny tej klasy, co stara gwardia rocka. Ale przecież nie możesz powiedzieć tego komuś, kogo właśnie wynajęłeś, żeby zapełnił ci lokal, i komu płacisz dwa tysiące euro na czarno. Tymczasem uśmiecha się do dziewczyny, myśląc, że niezła z niej laska – ciało modelki i niewinna buźka. Oczami wyobraźni widzi obleśne sceny z nią w roli głównej. Kiedy didżej zniknie, zadzwoni do niej i zaproponuje pracę w dyskotece. „To może być dla ciebie wspaniała okazja na drodze do telewizji i filmu. I nie mów mi, że o tym nie marzysz. Zaufaj mi”.

Didżej ma dwadzieścia dziewięć lat, agent trzydzieści dziewięć, właściciel dyskoteki pięćdziesiąt, dziewczyna siedemnaście, kelner dwadzieścia dwa.

Przy stoliku obok wejścia starsza para czeka na deser: lody o smaku zielonej herbaty dla niego i zestaw ciasteczek sojowych dla niej, mimo że głównego dania prawie nie tknęła. Jako pierwsi przyszli do restauracji, sala była jeszcze wtedy pusta i cicha. Mąż kilka razy pytał ją o samopoczucie, ale ona uśmiechała się tylko, mówiąc: „Wszystko w porządku, po prostu nie mam dzisiaj apetytu”. Są ze sobą już prawie pół wieku. On robił karierę w administracji państwowej, teraz jest na emeryturze, ona wychowała dwóch synów, którzy odzywają się przy okazji świąt nakazanych. Ona cierpliwie znosiła jego okazjonalne zdrady, z dzisiejszej perspektywy nieważne i prawie zapomniane, on – momenty jej załamania nerwowego, kiedy nie była w stanie wstać z łóżka i nie pozwalała podnieść żaluzji, bo nie mogła znieść światła słonecznego. Czas zniwelował różnice i wygładził kandy, przenikając dwa istnienia, i na koniec uzależnił je od siebie. To dlatego teraz ona nie wie, jak mu powiedzieć, że wyniki badań wcale nie są dobre, że wskazują jednoznacznie na raka piersi. Najbardziej boi się tego, że zostawi go samego. Zastanawia się, jak da sobie bez niej radę.

On ma siedemdziesiąt dwa lata. Ona sześćdziesiąt pięć.

Dwa stoliki dalej, przy jednym z okrągłych, siedzą cztery Albanki i mężczyzna o greckim

profilu. Dziewczyny są modelkami, a mężczyzna pracownikiem agencji. W ramach obowiązków zawodowych przed ważnymi pokazami towarzyszy im w czasie kolacji. Dbą o nie, pomaga im i przede wszystkim kontroluje, żeby nie narobiły głupstw. W tym celu dostarczył im gram kokainy i teraz dziewczyny grzebią niechętnie w talerzach. On nie lubi narkotyków. Sam ich nie zażywa i najchętniej wystrzelałby wszystkich dilerów. Ale dobrze wie, że nie ma sensu zabraniać dziewczynom działki. Jeśli on się nie postara o kokę, zaopatrzą się u tych, którzy parkują swoje porsche cayenne w pobliżu hoteli i sprzedają gotowe porcje. Gdyby zamknął modelki w pokoju, uciekłyby przez okno, żeby dostać trochę koki. Ciągłe szlajają się nie wiadomo gdzie, a potem przychodzą na próby z podkrążonymi oczami i zapuchniętymi twarzami. Kokaina sprawia, że nie czują głodu ani obawy, że nie są wystarczająco piękne i pociągające. Zanim się z nimi pożegna, da im jeszcze gram, w nadziei że to wystarczy.

Rozmowa przy stole ogranicza się do pojedynczych słów: dziewczyny ledwo dukają po angielsku, ale cały czas się śmieją. Wymieniają uwagi po albańsku, zastanawiając się, czy on jest gejem, czy też ma ochotę na jedną z nich. Oba domysły okazują się fałszywe. Nie jest gejem, po prostu nie podobają mu się modelki. Uważa, że są głupie, nudne i z trudem je od siebie odróżnia. Wzbudzają w nim litość.

On ma trzydzieści pięć lat, dwie dziewczyny mają po dziewiętnaście, jedna osiemnaście, jedna dwadzieścia.

Dyrektor sali prowadzi do stolika czterech Japończyków, reprezentujących jedną z największych na rynku zachodnim firm, która sprzedaje meble w stylu orientalnym. Przez cały tydzień spotykali się z lokalnymi hurtownikami, co uznali za dość przykre doświadczenie. Wydaje się, że nikt nie chce niczego, co odbiega od stereotypu. Najlepiej schodzą białe tatami, futony, lampy, których abażury wykonane są z papieru ryżowego.

Wielu ludzi dziwi się, że ich firma nie produkuje katan, które można by powiesić na ścianie, albo że w Japonii nie ma już samurajów. Jeden z nich, najmłodszy, myśli, że w dniu, w którym zmieni pracę, wyśle wszystkim swoim klientom zdjęcia swojego mieszkania. Jest ono w całości umeblowane w stylu zachodnim, z wyjątkiem podarowanego przez teściów stolika. Nie ma nawet PlayStation.

Nazajutrz mają samolot do Tokio i w ogóle nie planowali pobytu w japońskiej restauracji. Ale dyrektor centrum handlowego zaprosił ich na kolację i nie wypadało odmówić. Woleliby spędzić wieczór w jakimś rozrywkowym lokalu, gdzie mogliby rozluźnić krawaty, śmiać się i pić wino, ale skoro tak wyszło, muszą się dostosować.

Są w wieku pięćdziesięciu, czterdziestu pięciu, czterdziestu i trzydziestu sześciu lat. Dyrektor sali ma pięćdziesiąt pięć.

Kobieta siedząca przy ścianie nie spuszcza oczu z drzwi wejściowych. Kiedy ktoś przechodzi obok, odwraca głowę, żeby jej nie znikł z widoku. Od czasu kiedy tu usiadła, do nikogo się nie odezwała, nie tknęła wody, nie zajrzała do menu. Wpatruje się w drzwi. Jedną

dłoń trzyma na kolanach, drugą, otwartą – na obrusie. Jedyne kelnerowi, który chciał przyjąć zamówienie, odpowiedziała, prześlizgując po nim wzrokiem, że na kogoś czeka. Nie zauważył w jej oczach swojego odbicia. Spojrzenie kobiety przeszło przez niego, jakby był powietrzem, jakby nie istniał. Pomyślał, że nie chciałby być na miejscu osoby, która się spóźnia. Kobieta nie wyglądała na skłonną do wybaczenia.

Ona ma trzydzieści jeden lat, kelner dwadzieścia dziewięć.

Kiedy kobieta o zimnym spojrzeniu zrywa się z krzesła, kiedy didżej przygotowuje się do wygłoszenia przygotowanego żartu, kiedy Niemiec odwraca setną kartkę powieści, kiedy młoda małżonka wybiera z menu degustację dwudziestu potraw, kiedy grupa Japończyków odmawia spróbowania sake, kiedy jedna z modelek wstaje, żeby pójść do toalety i wciągnąć ostatnią działkę...

Czas staje w miejscu.

IV  
STARZY PRZYJACIELE

# 1

Mężczyzna w skórzanej kurtce powrócił. Jak zwykle stał na rogu via Tiburtina Antica, przestępując nerwowo z nogi na nogę. Dante Torre śledził go przez okno wychodzące na taras na szóstym piętrze, próbując bezskutecznie przykuć jego uwagę. Wiedział już, że mężczyzna w kurtce poczeka jeszcze godzinę, do dwunastej trzydzieści, kiedy nasili się ruch samochodowy w pobliżu szkoły podstawowej, a potem zacznie się wycofywać. Gdy brama szkolna się otworzy, on będzie już co najmniej dwadzieścia metrów za innymi oczekującymi, aby przez chwilę przyglądać się grupie uczniów zbiegających po schodach, rzucających się w objęcia rodziców i pozwalających prowadzić się za rękę do domu. W końcu mężczyzna w kurtce zniknie w zaułkach starego miasta i pojawi się dopiero po dwóch, trzech dniach o tej samej godzinie. Stojąc na ulicy przed szkołą, wypali przynajmniej cztery papierosy, ale jeśli w chwili otwarcia bramy będzie miał jeszcze w ustach niedopałek, to natychmiast go zgasi.

Jedyną rzeczą, która zmieniła się od tego dnia sprzed dwóch tygodni, kiedy Dante zauważył go po raz pierwszy, było ubranie. Mężczyzna zmienił koszulkę na kurtkę ze sztucznej skóry w stylu kurtek motocyklistów, z nadrukiem na plecach przedstawiającym niedźwiedzia głowę. Dante sprawdził w Google'u i dowiedział się, że chodzi o tani wyrób jakiejś chińskiej firmy.

Dante obserwował go przez dłuższą chwilę.

– Jak długo jeszcze będziesz czekał? – zapytał powoli. Przetoczył się przez łóżko, żeby znaleźć się twarzą na wprost okna dachowego: mała wodnista plama na szybie nad jego głową przypominała czaszkę – pęcherzyki powietrza zamiast oczu i rysa zastępująca nos w środku. Przesunął się na materacu, żeby dopasować odbicie do swojej twarzy. Pasowało idealnie, ale złudzenie prysło, kiedy spadająca z rynny kropla trafiła prosto w płamę. Dante zadrżał i podciągnął kołdrę pod samą brodę. Wkrótce będzie musiał uruchomić rozmontowany mały grzejnik, stojący teraz w kącie pokoju. Był to jedyny sposób, aby utrzymać znośną temperaturę na tarasie, który przekształcił w szklaną klatkę pełniącą funkcję gabinetu. Reszta mieszkania została zmodyfikowana bez najmniejszej dbałości o estetykę. Zniknęły niektóre ścianki działowe, a okna powiększono do tego stopnia, że obejmowały praktycznie całe ściany. Panujący wewnątrz bałagan odgradzały od świata jedynie lekkie bawełniane firanki w kremowym kolorze.

Obok stołu w jadalni stał rower, a wokół walały się książki, gazety, skoroszyty i segregatory, które – ułożone w chwiejące się stosy – zajmowały również całą podłogę.

Niektóre z nich rozpadły się, ukazując błyszczący kalejdoskop fotografii i wydruków. Jedynym miejscem, gdzie panował porządek i wszystko lśniło czystością, była kuchnia, znajdująca się w rogu głównego pomieszczenia. Stalowe sprzęty, szafki i blat kuchenny przywoływały na myśl salę operacyjną, w której królowały starannie ułożone urządzenia elektryczne. Na mikrofalówce rozłożony był laptop, podłączony do ładowarki.

Dante miał na tarasie komputer z trzydziestocalowym ekranem i jeszcze jeden laptop w pokoju gościnnym, gdzie zamiast łóżka leżał na podłodze materac, na którym nikt jeszcze nigdy nie spał. Pomieszczenie to służyło mu za magazyn na jego „kapsuły czasu”, które wypełniły pokój do tego stopnia, że nie można było otworzyć okna. Dante już tam nie wchodził. Przyciągał pojemniki, używając jednego z tych drągów, które stosują w sklepach do ściągania ubrań. Potem umieszczał je ponownie na swoim miejscu, leżąc na podłodze w łazience.

Ponownie zadrżał z zimna.

Często myślał o przeprowadzce do ciepłych krajów, gdzie mógłby spać pod gołym niebem. Oczywiście podróżowałyby statkiem. Nie mógł wyobrazić sobie, że dałby się zamknąć we wnętrzu metalowej tuby samolotu, niewiele większej od uskrzydłonej trumny. Ale wiedział też, że wyrwany ze znajomego świata, usechłby jak pozbawiona światła roślina.

Każdego roku wraz ze zbliżaniem się zimy żałował jednak swojej decyzji. Zimą zamykano restauracje na wolnym powietrzu, miejsca, gdzie odbywały się koncerty i wyświetlano filmy, znikaly kabriolety. Zimą wszystko to, co uwielbiał, zamykano w hermetycznych puszkach, a wejściu do środka towarzyszyło cierpienie. Cały świat stawał się duszny i ciasny.

Dante wyjął papierosa i zapalił, pocierając zapalniczkę złą ręką, po czym wrócił do obserwacji ulicy. Gdy uchylił nieco okno, poczuł podmuch wiatru pachnącego deszczem i usłyszał hałas ruchu ulicznego oraz radia sąsiada. Dante po raz ostatni rzucił okiem w stronę mężczyzny w kurtce, który stał ciągle w tym samym miejscu na rogu ulicy, a potem zatrzymał wzrok na dachu kościoła San Lorenzo. Mieszkał w jednej z najpiękniejszych dzielnic Rzymu i wcale nie przeszkadzał mu zgiełk dochodzący z lokali. Rzadko zasypiał przed świtem, a odgłosy nocnego życia wprawiały go w dobry humor.

Mężczyzna w kurtce cofnął się o krok. Dante wygrzebał się w końcu z pościeli i poszedł wziąć prysznic. Poruszał się zrećnie i z wdziękiem, w zupełnej ciszy. Szczupły – prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu – przypominał etruski posąg. Ociekając wodą, owinął się szlafrokiem i wziął poranną dawkę tabletek i kropli – dozował je na podstawie swego wewnętrznego termometru – po czym włączył ekspres do kawy i komórkę. Usłyszał sygnał esemesa. Wiadomość od adwokata Roberta Minutilla brzmiała: „Proszę obejrzyj wideo”.

Dante westchnął. W zeszłym tygodniu Minutillo podesłał mu jakąś sprawę z prośbą o opinię. Dante nie miał ochoty się tym zajmować i nawet nie zajrzał do dokumentów, udając przed samym sobą, że o nich zapomniał. Teraz jednak nie miał wyjścia. Wzdychając

ciężko, włączył komputer. Przejrzał wiadomości otrzymane od adwokata, starając się nie umrzeć z nudów, a w końcu odtworzył wideo z załącznika.

Zobaczył pokój w pastelowych kolorach i stojący na środku stół. W tle majaczyły wielkie kolorowe sześciany z plastiku i pluszowy miś. Przy stole siedziała sześciolatka dziewczynka w różowej sukience w kratkę, a po drugiej stronie mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta, która uśmiechała się do niej z okularów. Dziewczynka rysowała coś pomarańczową kredką.

Druga kobieta stała za dziewczynką i nie było widać jej twarzy, jedynie dłonie, które trzymała na ramionach dziecka. Kobieta w okularach pracowała jako psycholog w sądzie dla nieletnich, a ta bez twarzy była matką dziewczynki. Dante szybko przewinął wideo, pomijając pierwsze pytania psycholog i pierwsze odpowiedzi dziecka, a potem uważnie obejrzał całą resztę. Zatrzymał nagranie na czwartej minucie i szóstej sekundzie, po czym wrócił na początek i wybrał opcję pełnego ekranu.

Psycholog z uśmiechem pochyliła się w stronę dziewczynki, która nie przestawała rysować.

– Mnie możesz powiedzieć. Możesz mi zaufać.

Dziewczynka na chwilę przerwała rysowanie.

– To był tatuś – powiedziała.

Dante zatrzymał wideo spacją, wrócił do czwartej minuty i szóstej sekundy, a potem włączył ponownie, tym razem w zwolnionym tempie i bez dźwięku. Skupił się na dłoniach matki. Dostrzegł, jak się przesuwają, ściskając delikatnie ramiona dziecka. Zamknął nagranie i przez kilka sekund przyglądał się swemu odbiciu w ekranie. Czuł zimny pot spływający mu po plecach. *Zrobione*, pomyślał. Mogło być gorzej. Wysłał esemesa do Minutilla i napełnił ekspres mieszanką panamskiej arabiki. Telefon zadzwonił, gdy pił drugą filiżankę.

– Witaj, adwokacie – powiedział Dante, nie patrząc nawet na wyświetlacz. Posmak kawy na języku był symfonią smaków: gorzkiego i słodkiego z odrobiną czekoladowego.

– Medytowałeś nad tym przez cały tydzień, a teraz odpowiadasz mi jednym suchym nie?

– Powiedz swojej klientce, że musi znaleźć kogoś innego, jeśli chce pograć z byłego męża. – Dante przełknął ostatni łyk drugiej kawy. – Dziecko nie było wykorzystywane.

– Jesteś pewien?

– Tak. – Dante wyjrzał na ulicę. Mężczyzna w kurtce prawie zniknął z pola widzenia, za dwadzieścia minut już go nie będzie.

– Dziewczynka opowiada, że ojciec ją molestował.

– Musimy drążyć ten temat? – zniecierpliwiał się Dante.

– Tak, dopóki mnie nie przekonasz.

Dante się zachnął.

– Czy znaleziono na jej ciele ślady przemocy fizycznej?



– Nie, ale jej opowiadania są bardzo szczegółowe. Wszyscy, którzy je słyszeli, są przekonani, że mówi prawdę.

Dante opłukał filizankę i postawił ją w ekspresie, żeby przygotować sobie trzecią kawę. Kofeina pomagała mu panować nad efektami benzodiazepiny.

– Nie potrafi jeszcze kłamać. To nie są moje słowa. Tak twierdzą De Young, von Klitzing, Haugaard, Elterman, Ackerman, Kane i Piaget – wymieniał bezbarwnym głosem Dante.

– Psycholodzy i psychiatry. Wiem. Na studiach prawniczych czegoś nas uczą...

– A więc powinieneś wiedzieć, że dzieci w wieku córki klientki twojego znajomego odróżniają prawdę od fałszu w następujący sposób: prawdą jest to, co akceptują rodzice, kłamstwem zaś to, co sprawia, że są niezadowoleni. Są przekonane, że pamiętają coś, czego nigdy nie doświadczyły, jeśli się je w odpowiedni sposób przygotowuje. W latach osiemdziesiątych Stephen J. Ceci...

– O, nie słyszałem o nim.

– Jest psychologiem, wykłada na Cornell University i zajmuje się badaniem przydatności zeznań niepełnoletnich. Jeden z jego eksperymentów polegał na tym, że poprosił grupę dzieci o przypomnienie sobie zdarzenia, kiedy bawiły się pułapką na myszy i skaleczyły w palec, który utkwiał w mechanizmie. Żadnemu z dzieci nic takiego naprawdę się nie przytrafiło, ale podczas kolejnych tygodni trwania eksperymentu pytane o to, prawie wszystkie zaczęły sobie takie wydarzenie przypominać i, co więcej, wymyślać nowe szczegóły: a to, że palec bardzo krwawił, a to, że mysz uciekła... Mam mówić dalej?

– Nie. Uważasz, że matka ją do tego nakłoniła?

– Tak wynika z filmu.

– Przecież widać na nim tylko ręce kobiety.

– Dokładniej ręce ściskające ramiona dziewczynki, zanim udzieliła odpowiedzi oskarżającej ojca. Zaraz potem dłonie wydają się odprężyć i matka głaszcze córkę. Najpierw napięcie, potem nagroda. Dziewczynka rozumie, że matka jest zadowolona, i dlatego kontynuuje tę wersję. A biegła sądowa ma plasterki salami na oczach albo raczej kawałki tofu, biorąc pod uwagę, że jest wegetarianką podobnie jak matka.

– Skąd wiesz, że matka dziecka jest wegetarianką? – zapytał szczerze zdziwiony Minutillo.

– Na filmie widać jej torebkę, to model produkowany przez wegańską firmę, która używa syntetycznej mikrofibry zamiast skóry. *Cruelty free*. Większość ludzi nawet nie wie, że coś takiego istnieje. Żeby to wiedzieć, trzeba być zwolennikiem tego ruchu, tak jak ja.

– Czy ty czasem nie próbujesz zgadywać?

– Dziewczynka jest na diecie bezmięsnej. Ojciec podał ten argument w swoim wniosku o przyznanie mu opieki, określając dietę wegetariańską mianem okrucieństwa wobec córki, chociaż to oczywiście bzdura. Znalazłem to w dokumentach, które mi przysłałeś.

– Przeczytałeś je?

- Przejrzałem. Teraz mi wierzysz? Mogę wysłać ci fakturę?
- Za dziesięć minut pracy?
- To będą najdroższe minuty w twoim życiu.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Dante pożegnał się z adwokatem i bezszelestnie zbliżył do judasza.

Na korytarzu stała mniej więcej trzydziestoletnia kobieta o poważnym wyrazie twarzy. Była w obcisłych dzinsach i jasnej kurtce opinającej jej mocne ramiona. Wyglądało na to, że miałyby dość sił, żeby zginać stalowe pręty. Dante zadrżał. Nie wiedział, kim ona jest, ale co do jednego miał pewność: oznaczała kłopoty.

Chcąc uniknąć niespodziewanych wizyt, Dante podał Minutilla jako właściciela mieszkania, a o tym, że jest to jego adres, poinformował jedynie kilka wybranych osób. Podjął taką decyzję po tym, jak ojciec jednego z zaginionych chłopców, krzyżąc i płacząc, wystawał pod jego poprzednim mieszkaniem.

Kobieta utkwiała spojrzenie zielonych oczu w judaszu i Dante zrozumiał, że musiała dostrzec jego poruszający się cień za drzwiami.

– Panie Torre – odezwała się – nazywam się Caselli i jestem z policji. Muszę z panem porozmawiać.

Jej głos był lekko zachrypnięty i Dante mógłby uznać go za seksowny, gdyby nie należał do policjantki. Założył łańcuch i uchylił ostrożnie drzwi.

Colomba przyjrzała mu się uważnie, a potem wyciągnęła legitymację i pomachała mu nią przed nosem.

– Dzień dobry.

– Mogę zobaczyć dokument? – zapytał Dante.

– Proszę bardzo. – Wzruszyła ramionami.

Mężczyzna wziął legitymację dobrą dłoń i przez chwilę udawał, że wnikliwie jej się przygląda. Nie umiał co prawda rozpoznawać fałszywych dokumentów, ale przecież nie to go interesowało. Chciał sprawdzić reakcję Colomby, a ona wcale się nie zdenerwowała jego prośbą. Prawdopodobnie była osobą, za którą się podawała. Dante oddał jej legitymację.

– Czy zrobiłem coś złego? – zapytał.

– Nie. Proszę tylko, aby poświęcił mi pan trochę czasu.

– Po co?

– Wolałabym to panu wyjaśnić w środku – odpowiedziała, nie tracąc cierpliwości.

– Ale nie może mnie pani zmusić do rozmowy, prawda? Mogę po prostu odmówić, a pani nic nie będzie w stanie zrobić. Chyba że wyważy pani drzwi?

– W żadnym razie. – Colomba się uśmiechnęła i Dante zdębiał, widząc, jak jej twarz nagle się zmieniła, tracąc poprzednią surowość. Nawet jeśli uśmiech był sztuczny, to i tak był piękny. – Na pana miejscu byłabym ciekawa, o co chodzi.

– Myślę, że na moim miejscu nawet by pani nie odpowiedziała na pukanie.

Colomba zeszywniała, dając mu tym samym sygnał, że dotknął jakiegoś czułego punktu. Powiedział to specjalnie, ale niespodziewanie poczuł się nieswojo. Chcąc pozbyć się tego niepożądanego uczucia, włożył złą rękę do kieszeni i pozwolił jej wejść.

Colomba z trudem starała się nie zwracać uwagi na panujący w mieszkaniu bałagan.

Dante, klucząc między stosami książek, skierował się do kuchni.

– Napije się pani kawy?

– Tak, proszę.

Wskazał jej stół w salonie.

– Proszę wziąć sobie jakieś krzesło. Jaką kawę pani woli: okrągłą, miękką, aromatyczną?

– Zwykle piję rozpuszczalną, więc każda będzie dobra.

– Udam, że tego nie słyszałem. – Chcąc załagodzić sytuację, Dante dodał do mieszanki odrobinę jasno palonej kawy kopi luwak. Jej ziarna wydobywane są z odchodów indonezyjskich cywet, które chętnie żywią się nasionami, wydalając w części przetrawione ziarna. Znanicy uznają ją za najlepszą kawę na świecie, zważywszy na owocowy posmak i brak goryczy, a z całą pewnością jest to najdroższy i najtrudniejszy do zdobycia gatunek. Dante zamawiał ją przez Internet, jak prawie wszystkie produkty. – Nie wiem, czy pani słodzi, ale w przypadku tej kawy nie ma potrzeby – wyjaśnił, zamykając wieczko maszynki i wprawiając w ruch młynek.

– Panie Torre... – zaczęła Colomba, a jej głos zdradzał wewnętrzne napięcie.

Dante odwrócił się i zobaczył, że ona stoi cały czas na środku pokoju, obserwując go jak jastrząb królika.

– Coś nie tak?

Colomba skinęła głową. Jej oczy przypominały teraz bile, przybrały intensywniejszy zielony kolor.

– Mógłby pan wyjąć lewą rękę z kieszeni? Bardzo proszę.

– Słucham?

– Zauważyłam, że od kiedy weszłam, trzyma ją pan w kieszeni. Nawet wtedy, gdy była panu potrzebna, na przykład żeby otworzyć puszkę z kawą.

Miała rację. Dante zawsze wkładał złą rękę do kieszeni, gdy spotykał się z ludźmi. Nie był w stanie zapanować nad tym przyzwyczajeniem.

Kierując się mową ciała, można było stwierdzić, że Colomba w tym momencie czuła się zagrożona. Instynktownie wysunęła do przodu jedną stopę i zgięła nieco ręce w łokciach. Prawą dłoń zacisnęła na uchwycie torebki, jakby była gotowa uderzyć go nią w twarz.

– Bardzo proszę – powtórzyła.

– Jak sobie pani życzy – zgodził się, podnosząc złą rękę, żeby mogła wyraźnie zobaczyć zabliznioną skórę. Jedyne kciuk i palec wskazujący poruszały się normalnie, pozostałe palce, o wiele mniejsze i pozbawione paznokci, były nieruchome.

Podobnie okaleczoną rękę Colomba widziała u jednego z oskarżonych, który uległ wypadkowi w czasie pracy przy maglu w pralni przemysłowej.

– Przepraszam – powiedziała, spuszczaając wzrok. – Jestem dzisiaj dość nerwowa.

– Nie ma za co. – Dante, przyzwyczajony do odczytywania najmniejszych sygnałów

wysyłanych przez swoich rozmówców, wiedział, że jej napięcie wcale nie jest chwilowe. Była ofiarą jakiejś traumy. Przemoc, wypadek na służbie? *Ciekawe*, pomyślał i wrócił do swoich filizanek. W czarnym, za dużym szlafroku, z wilgotnymi jasnymi włosami zaczesanymi do tyłu przypominał Colombie Davida Bowiego ze starego filmu science fiction.

Po pokoju rozszedł się zapach świeżo zaparzonej kawy. Dante usiadł naprzeciw policjantki, stawiając na stole dwie filizanki o nowoczesnym kształcie. *Mógłbym ją rozbić dla większego efektu*, pomyślał, ale podniósł naczynie do ust, nie czyniąc żadnej szkody. Colomba czuła się swobodnie, ale jednocześnie miała wrażenie, jakby została wystawiona na widok publiczny. Jeszcze przed dwoma dniami unikała nawet najbliższych przyjaciół, a teraz wymienia uprzejmości w mieszkaniu nieznanego.

– Dobra – skłamała. Kawa była za słaba jak na jej gust.

– Dziękuję – odparł, siląc się na uśmiech. – Nie wstydzę się mojej ręki. – I żeby to potwierdzić, pomachał jej dłonią przed oczami. Blizny na grzbiecie tworzyły gęstą siatkę. – Chowam ją z przyzwyczajenia, aby uniknąć pytań. Chociaż większość osób jest zbyt uprzejma lub za dobrze wychowana, żeby je zadawać. Albo już wiedzą, co mi się przytrafiło, i nie potrzebują pytać. – Znowu się uśmiechnął. – Pani należy do trzeciej kategorii. Oczy mu rozblęskły. – Co pani o mnie wie?

– Czy to przesłuchanie? A może lubi pan o tym rozmawiać?

Dante się uśmiechnął. Miał bardzo białe zęby.

– Założmy, że chodzi o oszczędzenie czasu.

Colomba uznała, że musi naprawić poprzednią gafę.

– Urodził się pan w Cremonie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku. W listopadzie siedemdziesiątego ósmego, w wieku sześciu lat, podczas zabawy na placu budowy za domem, w którym pan mieszkał, został pan porwany przez jedną lub kilka osób. Nikt niczego nie zauważył, a pan nie był w stanie zrekonstruować zdarzenia.

– Drzwi z piwnicy wychodziły na plac, na którym się bawiliśmy. Musieli mnie zaatakować gdzieś tam i prawdopodobnie podali mi narkotyki – wyjaśnił Dante.

Colomba przytaknęła.

– Przez jedenaście lat trzymano pana w odosobnieniu, większość czasu spędził pan w cementowym silosie w gospodarstwie znajdującym się w prowincji Cremona.

– Nie większość czasu, ale cały czas. Miejscowość nazywała się Acquanegra Cremonese. Piękna, stara nazwa.

– Ma pan rację. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym uciekł pan swemu prześladowcy. Nazywał się Antonio Bodini, był rolnikiem. Popełnił samobójstwo.

– Bodini był właścicielem gospodarstwa i rzeczywiście się zabił, ale to nie on mnie porwał. A przynajmniej nie on mnie więził.

Colomba otworzyła szerzej oczy ze zdziwienia.

- Sądziłam, że w tych kwestiach się nie mylę.
- To nie pani się pomyliła, tylko prowadzący śledztwo. Widziałem twarz porywacza, a Bodini nie był do niego podobny.
- Dlaczego panu nie uwierzyli?
- Ponieważ wszystkie dowody świadczyły przeciw Bodiniemu, ponieważ popełnił samobójstwo, ponieważ mój stan psychiczny... powiedzmy, że przeżywałem trudności.
- Ciągle jest pan o tym przekonany?
- Tak.
- Szukali również współników – zauważyła ostrożnie Colomba.
- Wiem. I nikogo nie znaleźli. Ale proszę kontynuować, zaczynam się wciągać w pani streszczenie.
- Nie mam zbyt wiele do dodania. Zmienił pan nazwisko, przyjmując panięskie matki. Trochę pan podróżował i nieraz pakował się pan w kłopoty. Pojedyncze sprawy dotyczące bójek, agresji, zakłócania porządku publicznego, naruszenia nietykalności i posiadania nielegalnej broni.
- To był paralizator, w wielu krajach można go kupić bez pozwolenia.
- Ale nie u nas. W ciągu ostatnich ośmiu lat uspokoił się pan. Z tego okresu nie ma żadnych oskarżeń pod pana adresem. – Colomba spojrzała mu w oczy. – Wystarczy?
- Dante oparł się wygodnie. Był pod wrażeniem, bo Colomba nie korzystała z żadnych notatek. To oznaczało dobrą pamięć i rzetelne przygotowanie.
- Dużo pani o mnie wie, ale sprawa ręki była dla pani nowością.
- Może coś mi umknęło.
- Nie mogła pani przeoczyć tak ważnej informacji. Kto jak kto, ale nie pani. Po prostu w dokumentach, które pani dostała, nic na ten temat nie było. – Znowu się uśmiechnął, ale wyglądało to tak, jakby maskował drwinę. – Ten znak szczególnie zbytnio ułatwiał identyfikację mojej osoby, zwłaszcza w tak małym mieście jak Cremona. Sąd do spraw nieletnich zakazał rozpowszechniania tej informacji. – Dante wpatrywał się w kobietę. – To pozwala mi przypuszczać, że nie miała pani wglądu do dokumentów prokuratury. I jest jeszcze jedna dziwna rzecz. Chce pani wiedzieć, co mam na myśli?
- Colomba przytaknęła wbrew własnej woli.
- Nie jest pani oficjalnie na służbie.
- Skąd pan wie?
- Nie ma pani broni. Mógłbym nie zauważyć pistoletu, gdyby nosiła go pani za plecami, ale uzbrojona i przyzwyczajona do używania broni osoba trzyma z reguły dominującą rękę przy kaburze, zwłaszcza jeśli uważa, że znalazła się w niebezpieczeństwie. Tymczasem pani ścisnęła kurczowo uchwyt torebki. A inspektor policji nie rusza się z domu bez broni, chyba że jest na urlopie lub został zawieszony. Czy się mylę?
- Colomba pokręciła przecząco głową.

– Poza służbą, wybiórcze informacje... Czy chodzi o jakąś prywatną sprawę?

– Tak. – Colomba próbowała zachować spokój.

– Nieprzekonująco pani kłamie, a to znak, że trochę się pani tego wstydzi. Na razie zostawmy jednak tę kwestię. Czego pani ode mnie chce?

– W Praton del Vivaro zaginął chłopczyk.

– Zamordowana kobieta i mąż w areszcie. Słyszałem w wiadomościach. – Dante próbował ukryć wzburzenie. – Ten, kto panią przysłał, uważa, że mężczyzna jest niewinny, chociaż prowadzący śledztwo, prawdopodobnie ktoś z prokuratury, sądzi inaczej. Biorąc pod uwagę, że ojciec nie wie, gdzie jest dziecko, a szanse na to, że mamy do czynienia z porwaniem dla okupu, są prawie zerowe, chcecie, żebym pomógł wam w poszukiwaniach.

Colomba poczuła, że kręci się jej w głowie.

– Jest pan specjalistą w tej dziedzinie.

– To pani opinia.

– Zajmował się pan co najmniej dwoma przypadkami porwania dla okupu, pięcioma sprawami związanymi z aktami przemocy w rodzinie i sporą liczbą zaginięć. Rozwiązał pan wszystkie sprawy. Czasami pomaga pan również, kiedy mamy do czynienia z przemocą wobec nieletnich.

Dante po raz kolejny skrzywił usta w pozbawionym radości uśmiechu.

– Ma pani na to dowody?

– Oczywiście, że nie. Kryje się pan za kancelarią prawniczą, która współpracuje z prywatnymi agencjami detektywistycznymi i zasłania się tajemnicą zawodową. Ale plotki szybko się rozchodzą i dotarły do osoby, która mnie do pana przysyła. Mówi się, że jest pan świetny.

Dante pokręcił głową.

– Wykorzystuję jedynie swoje doświadczenie.

– Doświadczenie porwanego dziecka?

– Widzi pani, *dottoressa*, przez jedenaście lat niezwykle ważnych dla rozwoju osobowości każdego człowieka żyłem w odosobnieniu, nie mając żadnych kontaktów z ludźmi, poza sporadycznymi z moim prześladowcą. Żadnych książek, telewizji, radia. Kiedy wreszcie udało mi się uciec, zupełnie nie rozumiałem świata, tego, co się wokół mnie dzieje. Zwykle relacje społeczne były mi obce, tak jak pani obce jest życie w kopcu mrówek.

– Przykro mi – powiedziała szczerze Colomba.

– Dziękuję, ale proszę sobie darować współczucie. Poznając świat zewnętrzny, zauważyłem, że pewne mechanizmy nim rządzące rozumiem lepiej niż ci, którzy tu dorastali. Żeby coś dostrzec, trzeba zachować należyty dystans, a ja go miałem, chociaż nie z własnego wyboru. I jeszcze dzisiaj, kiedy sytuacja tego wymaga, jestem w stanie wykorzystać tę rezerwę. Potrafię dostrzec, czy w przyzwyczajeniach zaginionego coś się zmieniło, wyczuwam, co lubi i czego się obawia, obserwując ułożenie jego rzeczy

osobistych. Rozumiem, czy coś lub ktoś naruszył schematy, na których opierało się jego życie.

– Potrafi pan również odczytywać mowę ciała, jak wcześniej w moim przypadku.

Dante skinął głową.

– Mój prześladowca zawsze nosił rękawiczki i maskę na twarzy. Starłem się zrozumieć z jego postawy, czy moje zachowanie znajduje jego uznanie, czy chce mnie ukarać. Próbowałem odgadnąć, czy mówi prawdę, kiedy zapewniał mnie, że dostanę jedzenie i wodę do picia. Tak, te doświadczenia pomogły mi w odnalezieniu osób, o których pani wspomniała. Zawsze był ktoś, kto wiedział więcej, niż mówił, a ja potrafiłem to dostrzec i wykorzystać.

– Dlaczego postanowił pan pozostać w cieniu?

– Niech pani spojrzy na moje mieszkanie.

– Nie może pan się tu zamykać.

Dante przytaknął.

– Który sędzia zgodzi się mnie powołać jako biegłego? Nie wspominając już o tym, że ostatnia rzecz, jakiej pragnę, to znaleźć się znowu w świetle reflektorów.

– Proszę pana jedynie o prywatną konsultację – wyjaśniła Colomba. – Nie musimy podawać pana nazwiska.

– Nie, *dottorossa*, mam dwie zasady: nigdy nie biorę bezpośredniego udziału w śledztwie i nie współpracuję z policją. A pani prosi mnie, żebym złamał je obie. – Dante wstał i podał jej dobrą rękę. – Miło się z panią rozmawiało. Proszę mnie jeszcze kiedyś odwiedzić, poczęstuję panią kawą.

Colomba nie ruszyła się z miejsca, a na twarzy jej gospodarza pojawił się lekki grymas – coś na kształt rysy, przez którą można było przez moment zobaczyć jego prawdziwe oblicze. Wizerunek ofiary, która z trudem wróciła do normalnego życia, sklejjąc poszczególne kawałki po niewyobrażalnych w swym okrucieństwie przeżyciach. *Powinnam wyjść, pomyślała. To byłoby najwłaściwsze rozwiązanie.* Tylko że nie mogła tego zrobić.

– Panie Torre – zaczęła. – Proszę wysłuchać, co mam do powiedzenia.

Dante niechętnie z powrotem usiadł.

– Przede wszystkim chciałabym jeszcze raz powtórzyć, że naprawdę bardzo mi przykro. Po tym, co pana spotkało, ma pan pełne prawo do świętego spokoju przez resztę życia.

– Tylko proszę się nade mną nie litować. Nie znoszę tego.

– Staram się mówić szczerze. Dla mnie ta sytuacja też nie jest łatwa. Nie jestem przyzwyczajona, żeby angażować cywili do śledztwa, i nie lubię podstępного działania.

– Kto by pomyślał!

– Tak? No to powiem panu, że wypięłam tę kawę zrobioną z gówna wiewiórek tylko z uprzejmości. Zauważyłam nazwę na paczce i chociaż jestem zwykłą gliną, to wiem, co to jest kopi luwak. I wiem też, ile kosztuje, nie musi się pan fatygować, żeby mi to wypomnieć.



– Nie jestem aż takim prostakiem – mruknął Dante.

– A ja nie jestem delikatna. Pracuję w policji od trzynastu lat i widziałam niejedno, babrząc się w gównie, o jakim nie ma pan pojęcia. Nie powiedziałam wszystkiego, co o panu wiem. Nie wspomniałam o pańskich rodzicach. Pana ojciec kilka razy trafił do więzienia, zanim się pan odnalazł. A matka popełniła samobójstwo, kiedy miał pan... dziesięć lat?

– Dziewięć – sprostował sucho.

– Moi koledzy nie byli wtedy w stanie pana znaleźć, a nawet nie brali pod uwagę, że pan przeżył. Na pana miejscu też byłabym wściekła na policjantów, sędziów i na cały świat. Zostawiliśmy pana na łasce losu i pastwiliśmy się nad pana rodzicami. Sam musiał się pan wydostać z pułapki. – Colomba wbiła w niego wzrok. – Czy naprawdę chce pan, żeby to samo przytrafiło się kolejnej rodzinie?

– Jak pani śmie przychodzić do mnie i uprawiać szantaż moralny?

– Za to też przepraszam. Mimo wszystko czekam na odpowiedź.

Teraz mężczyzna spojrzał jej w oczy.

– Każdego dnia umiera około trzydziestu tysięcy dzieci, z czego połowa z głodu. Nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności za całe zło tego świata.

Colomba nie spuściła wzroku.

– Syn państwa Maugerich jest bliżej niż Afryka.

– To go znajdźcie.

– Pan może pomóc temu dziecku, wie pan o tym, prawda?

Dante pokręcił głową.

– Jeszcze wczoraj nie wiedziała pani nawet o moim istnieniu. Kto panią przysłał?

Colomba zrozumiała, że jeśli chce dopiąć swego, musi być z nim szczerą.

– *Dottor Rovere*, komendant wydziału dochodzeniowo-śledczego.

– A jak się nazywa durny sędzia śledczy?

– *De Angelis*.

Mężczyzna ponownie pokręcił głową z rezygnacją.

– No to naprawdę macie kłopoty.

– Pomoże nam pan?

Dante przeszywał ją wzrokiem.

– Uważa pani, że naprawdę mogę coś zrobić w tej sprawie, czy chce mnie pani tylko wrobić w grę o władzę, która toczy się między pani szefem a prokuraturą?

Colomba jeszcze raz postawiła na szczerą.

– Mam nadzieję, że może pan wyciągnąć królika z kapelusza, chociaż z drugiej strony wątpię, że to możliwe.

– Przestała pani wierzyć w cuda, co?

– I w świętego mikołaja też – odpowiedziała, myśląc o katastrofie.

Dante powoli pokiwał głową, jakby czytał jej w myślach. I rzeczywiście w pewnym sensie

tak było. Wyczuł, że ta kobieta o zdecydowanym spojrzeniu, którą miał przed sobą, ukrywa głębokie cierpienie. Szkoda mu było tej policjantki nie dlatego, że Rovere, wybierając ją do tak niecodziennego i nieuczciwego zadania, posyłał ją na pewną rzeź, ale dlatego, że ona się na to zgodziła. Nikt nie ryzykuje swojej kariery tylko z tego powodu, że istnieje nikła możliwość sukcesu, w który zresztą nie do końca wierzy. Chyba że ma pewność, iż żadnej kariery w przyszłości nie zrobi. Colomba była jak kamikadze, który rzuca się na oślep w swoją ostatnią misję, i Dante nie zdołał się temu oprzeć. Uwielbiał teatralne i bohaterские gesty, nawet te kompletnie bezsensowne. Chyba przede wszystkim takie.

– Umówmy się tak, *dottoressa* – zdecydował. – Zgadzam się obejrzyć dokumenty, które z pewnością ma pani w torebce, i powiem pani, co myślę o tej sprawie.

– Dziękuję.

– Niech mi pani jeszcze nie dziękuje, najpierw musi mi pani wyświadczyć przysługę.

– Jaką? – Colomba nieufnie spojrzała na niego.

Dante zaprowadził ją na balkon i wskazał stojącego na ulicy mężczyznę.

### 3

Alberti stał koło radiowozu zaparkowanego jakieś sto metrów od domu Dantego, po wewnętrznej stronie murów starego miasta, i ziewał. Colomba chciała wysiąść właśnie w tym miejscu, aby nie wzbudzać niepotrzebnie zainteresowania, a Alberti w głębi duszy przyznał jej rację. W przeciwieństwie do kolegów, którzy to olewali, młody policjant zdawał sobie sprawę z nerwowości, jaką radiowóz i mundur wywołują u cywili. Aby się o tym przekonać, wystarczyło wejść do pierwszego lepszego baru, żeby się odlać.

– Ludzie nas nie lubią – powiedział kiedyś jego starszy kolega. – Boją się, że zaczniemy ich sprawdzać, zwłaszcza ci uczciwi. Wzbudzamy strach.

Alberti odparł, że to smutne, a wtedy kolega zbeształ go, że nic nie rozumie, jak wszystkie pingwiny zresztą.

– Jeśli nie będą się ciebie bali, to jesteś martwy, idioto – powiedział.

– Jeden policjant przypada na dziesięć tysięcy baranów. – Barany to byli według starszego kolegi niegodni szacunku cywile.

Alberti zastanawiał się wtedy, czy po kilku latach służby zacznie myśleć tak jak on, ograniczy kontakty towarzyskie do grona osób w mundurach i ożeni się z jedną z koleżanek po fachu. Miał nadzieję, że tak się nie stanie. Zaplanował sobie przyszłość zupełnie inaczej i aby zrealizować te marzenia, nie sypiał po nocach – pochylony nad keyboardem MIDI podłączonym do komputera tworzył muzykę w programie Music Maker. Gotowe kawałki, które wrzucał na Facebooka pod pseudonimem Rookie Blue, miały już prawie dziesięć tysięcy polubień. Na razie jeszcze na tym nie zarabiał, ale była to tylko kwestia czasu.

Właśnie ziewał po raz kolejny, gdy komórka zaczęła dzwonić na nutę skomponowanego przez niego utworu, który zatytułował *Time*. Colomba. Nie będąc oficjalnie na służbie, nie mogła używać radia.

– Słucham, *dottoressa* – powiedział.

– Zostaw radiowóz i przyjdź na róg via Tiburtina Antica.

– Problemy?

– Na razie nie. Ale bądź ostrożny i staraj się nie rzucać w oczy. Będziemy w kontakcie. Alberti posłuchał rozkazu.

– Jestem na miejscu, *dottoressa*.

Na ulicy zaczęły się pojawiać matki, które kierowały się w stronę szkoły podstawowej.

– Widzisz przed sobą donice z kwiatami?

– Tak, *dottoressa*. Stoją przed barem na rogu, w pobliżu dwóch wystawionych na

zewnątrz stolików.

– Widzisz mężczyznę w czerwonej kurtce, który pali papierosa?

– Widzę.

Mężczyzna miał koło pięćdziesiątki, był masywny i patrzył w przeciwną stronę. Nie mógł dostrzec Albertiego.

– Co mam robić?

– Miej go na oku, już schodzę. Nie chciałabym, żeby się ulotnił, kiedy będę na schodach.

– Przepraszam, *dottoressa*. Co zrobił ten typek?

– Nie zadawaj niepotrzebnych pytań – powiedziała Colomba i się rozłączyła.

Alberti znajdował się w odległości kilku metrów od mężczyzny w kurtce i z tej perspektywy pytanie nie wydawało mu się bezsensowne. Lepiej wiedzieć, czego można się spodziewać. W tym momencie podejrzany odwrócił się i zobaczył policjanta, który mu się przyglądał. Nawet nie próbował ukryć zdenerwowania i szybkim krokiem ruszył przed siebie. Za parę sekund mógł zniknąć w którejś przecznicy.

Alberti podążył za nim.

– Przepraszam – zawołał.

Mężczyzna w kurtce udał, że nie słyszy. Alberti przyspieszył kroku i położył mu dłoń na ramieniu.

– Mówię do pana!

Podejrzany odwrócił się i uderzył go pięścią w twarz. Chłopakowi zrobiło się ciemno przed oczami i poczuł, jak uginają się pod nim nogi. Upadł na pośladki, trzymając się za krwawiący nos, usta też miał pełne krwi. Kiedy otworzył oczy, zobaczył przed sobą głany Colomby.

– Żyjesz?

– Tak.

Kobieta ruszyła za podejrzanym.

– Zawiadomię centralę... – wyjęczał Alberti i przytrzymując się doniczki, próbował wstać.

– Nie! – wrzasnęła Colomba. – Najlepiej nic już nie rób – dodała i zniknęła za rogiem.

Mężczyzna biegł bardzo szybko, jakby miał na nogach wrotki. Colomba widziała, że dotarł już na koniec ulicy i właśnie mija stragan z owocami, potrącając starszą kobietę ciągnącą wózek na zakupy. Przyspieszyła jeszcze, torując sobie drogę wśród przechodniów i odpychając tych, którzy nie chcieli sami się odsunąć. Kiedy ostatni raz goniła kogoś po ulicy? Wiele lat temu, jeszcze jako komisarz w wydziale antynarkotykowym, a koledzy policjanci nie starali się nawet ukrywać niezadowolenia, że muszą słuchać jej rozkazów: była przecież pingwinem, a na dodatek kobietą. Potem awansowała i zajmowała się przede wszystkim przeszukiwaniem budynków i obserwacją stacjonarną, która czasami zdawała się trwać bez końca. Brała udział w czterech akcjach z użyciem broni palnej, po jednej z nich

została jej blizna na nodze. Nigdy jednak nie zdarzyła się prawdziwa pogoń. A teraz biegła co sił w nogach, nie wiedząc tak naprawdę, dlaczego to robi.

Ominęła o włos chłopaka na rowerze, który posłał za nią wściekły komentarz, a grupa młodych Arabów rozpięchła się na jej widok, wyczuwając mundur, którego nie nosiła. Tymczasem dystans między nią a podejrzanym znowu powiększył się o kilka metrów.

Biegli ulicą w kształcie litery T i Colomba zdała sobie sprawę, że jeśli chce złapać tego mężczyznę, musi skręcić w jedną z przecznic i zaułkami dotrzeć do wylotu, licząc na to, że podejrzany wybierze ten sam kierunek co ona. Ominęła granitowy słupek i skręciła w prawo, w stronę torów kolejowych biegnących wiaduktem aż do dworca Termini i stacji metra. Gdyby to ona próbowała uciekać, wybrałaby właśnie tę drogę, przeciwna ginęła bowiem w zaułkach dzielnicy.

Usłyszała za sobą klakson samochodu, ale nie zwracała na to uwagi i biegła dalej środkiem jezdnii. Po kilku metrach zdała sobie sprawę, że intuicja jej nie zawiodła, ponieważ mężczyzna w kurtce zmierzał szybkim krokiem prosto na nią, łudząc się najwyraźniej, że zgubił pościg. Rozpoznał ją dopiero wtedy, gdy popchnęła go mocno na mur budynku.

– Policja – powiedziała Colomba, naciskając przedramieniem poniżej jego karku. – Podnieś ręce i oprzyj o ścianę.

Mężczyzna próbował wymierzyć jej cios łokciem, ale zrobiła unik, ratując twarz, po czym chwyciła go za ramię i przegub, żeby wykręcić mu rękę, która okazała się masą twardych mięśni, przypominającą konar dębu. Podejrzany zaryzykował kolejne uderzenie, tym razem celując w jej brzuch. Colomba odskoczyła i zaraz potem chwyciła go za kark, wymierzając jednocześnie prawym kolaniem precyzyjne ciosy w jego splot słoneczny i jądra.

Odepchnął ją i pochylił się do przodu.

– Ty kurwo... – mruknął, wymiotując na ulicę.

I wtedy popełniła błąd. Była pewna, że go pokonała, tymczasem mężczyzna miał jeszcze dość siły, żeby niespodziewanym ruchem złapać ją za szyję. Poczowała ścisk w gardle i zabrakło jej powietrza. W polu widzenia pojawiły się natychmiast brzęczące cienie zapowiadające atak paniki. *Nie, tylko nie teraz.* Jeśli straci nad sobą kontrolę, zginie. Skupiła się na bólu, który promieniował z szyi – uchwyciła się go jak nici Ariadny i pozwoliła wyprowadzić się z ciemności. Minęły pewnie ze dwie sekundy. Mężczyzna ścisnął jej gardło, miotając obelgi. Colomba uderzyła go powyżej jabłka Adama czterema wyprostowanymi palcami – taki chwyt w karate nazywa się *nukite*.

Mężczyzna zamachał rękami i upadł na kolana. Teraz z kolei to on się dusił. Colomba przygwoździła go do ziemi i usiadła mu okrakiem na plecach.

– Rozłóż ramiona! Szerzej! – krzyknęła zachrypniętym głosem.

– Nic nie zrobiłem! – odpowiedział, ciężko dysząc.

– Szerzej, kurwa!

Mężczyzna wreszcie posłuchał. Kiedy zaczęła go przeszukiwać, niespodziewanie

wybuchnął płaczem.

– Ja go kocham. Naprawdę go kocham – wyszeptał.

– Cicho bądź! – Colomba nie rozumiała, o co mu chodzi. Tymczasem wokół zebrała się grupka ludzi, którzy wyszli z pobliskiego sklepu, musiała więc wyciągnąć legitymację. – Jestem z policji, jasne? Aresztuję podejrzanego.

– Co takiego zrobił? – zapytał chłopak w arafatce.

– Zaatakował mnie. Wystarczy ci? – Chłopak nadal jej się przyglądał i Colomba odsłoniła kołnierzyk bluzki, pokazując miejsce, gdzie dłonie mężczyzny zostawiły ślady w postaci zadrapań i zaczerwienienia. – Widzisz?

Chłopak przytaknął.

– Pozwól mu wstać, dobra? Bo jeszcze się udusi. Nie byłby pierwszy.

– Posłuchaj, nie mam kajdanek i muszę poczekać na wsparcie. – Włożyła rękę do kieszeni, szukając komórki, ale bez skutku. *O kurwa*, pomyślała. – Czy ktoś może mi pożyczyć telefon?

Trzy godziny później Colomba wróciła do mieszkania Dantego. Była wyczerpana nagłym skokiem adrenaliny i zdenerwowana z powodu kłamstw, które musiała wcisnąć kolegom z komisariatu dzielnicowego.

Kiedy Dante jej otworzył, zobaczyła, że włożył czarne dżinsy i elastyczną koszulkę w tym samym kolorze. Sprawiał wrażenie jeszcze szczuplejszego – wyglądał jak istota nie z tej ziemi. Gdyby chciała, mogłaby policzyć jego wszystkie żebra.

Alberti leżał na kanapie z okładem z lodu na czole.

– Nie wygląda pani na zadowoloną – odezwał się Dante, mieszając ziarna kawy, które wyjmował z trzech różnych torebek i odliczał jak aptekarz.

– To nie był terrorysta z Al-Kaidy.

– Domyślam się.

– A domyśla się pan również, że może chodzić o ojca w separacji z żoną, który chce zobaczyć syna?

– Ale nie powinien przychodzić pod szkołę, prawda?

– Ma zakaz zbliżania się do dziecka i matki.

– Z powodu znęcania się nad jednym z nich, jak sądzę. Niech się pani cieszy, że zrobiła pani porządek.

Dante włączył ekspres i patrzył, jak ciemny płyn spływa do filiżanki.

– Żeby była dobra, musi być bardzo mocna – wyjaśnił. Powąchał kawę i wypił łyk. – Bez brutalnego ojca dziecko będzie miało większe szanse na normalne życie.

– Chyba że matka okaże się jeszcze gorsza albo trafi na kogoś, kto jej rozwali głowę na ulicy.

– Nie zamierzam bawić się w Boga, chcę tylko, żeby na moim podwórku panował porządek.

– A ja jestem od mordobicia na ulicy?

Dante uśmiechnął się krzywo.

– Dała sobie pani radę lepiej niż ten młodzieniec.

– Bo mnie zaskoczył – bronił się Alberti głosem kaczora Donalda.

– Jasne. Dante zapalił papierosa złą ręką, posługując się zręcznie dwoma zdrowymi palcami, które chwyciły zapalniczkę jak szczypce. – Teraz chyba już nie mogę odmówić pani pomocy.

Colomba wyjęła z torebki cieką teczkę i rzuciła w niego.

– Niech pan nawet nie próbuje.

Dante usiadł przy stole i otworzył segregator.

– No pewnie – prychnął na widok okazałego pliku dokumentów, które zaczął przeglądać.

– Ciągłe jeszcze używacie papieru? Nie wiecie, że istnieje coś takiego jak pendrive'y i Internet?

– Proszę przestać narzekać – powiedziała, sadowiąc się naprzeciwko.

– Ma pani zamiar przez cały czas mnie obserwować?

Colomba przyłożyła palec wskazujący do ust.

– Ciii. Niech pan czyta.

Z uśmiechem zabrał się do pracy. Przez jakieś dwadzieścia minut słychać było jedynie ciężki oddech Albertiego i szelest przewracanych kartek. Dante odwracał po kilka naraz, rzucając okiem na niektóre z nich.

Upewniwszy się, że mężczyzna rzeczywiście zapoznaje się z dokumentacją, Colomba zaczęła rozglądać się po salonie. Niektóre szczegóły zwróciły jej uwagę. Na przykład DVD ułożone na telewizorze. Były to filmy z lat siedemdziesiątych: różne gatunki i tandetna jakość. Znała się na tym, bo pracowała kiedyś w sklepie z takim asortymentem, żeby zarobić na studia, i wiedziała, że nie były warte nawet materiału, na którym zostały nagrane. A on musiał je zdobywać, bo jedno otwarte pudełko opatrzone było etykietką amerykańskiego hurtownika sprzedającego na zamówienie. Kolejna paczka dostarczona przez kuriera leżała częściowo otwarta i porzucona w kącie, wystawały z niej maskotki, które wiele lat wcześniej można było znaleźć w czekoladowych jajkach wielkanocnych. Colomba pomyślała, że mężczyzna albo kolekcjonuje śmieci, albo te rzeczy są mu potrzebne do jakiegoś dziwnego eksperymentu.

Głos Dantego wyrwał ją z zamyślenia.

– Uważacie, że chodzi o zabójstwo w afekcie?

– Morderstwo z premedytacją. To dlatego zabrał ją w odosobnione miejsce.

– Logiczne posunięcie. Ale potem obciął jej głowę, a to szalone działanie. Nie poćwiartował ciała, znowu przeważa rozsądek. Podobnie jak w przypadku pozbycia się brudnego ubrania i udawania zaniepokojenia. Tymczasem pozostawienie narzędzia zbrodni kilka metrów od ciała to idiotyzm. Działania naszego przyjaciela są pełne rozbieżności. Pani też to zauważyła, prawda?

– Ludzie nie zawsze postępują sensownie.

– Ale nie aż tak sprzecznie. Co wiecie o dziecku? Macie może coś ze szkoły? Jakies zeszyty, rysunki?

– Nie.

– Rozmawiała pani przynajmniej z jego pediatrą?

– Wiem, że kontaktowano się z lekarzem na temat zdrowia chłopca.

– I co?



– Nie podejrzewamy, żeby miał jakieś poważniejsze problemy.

Dante wyduł usta z pogardą.

– Naprawdę? Proszę popatrzeć.

Wziął plik zdjęć chłopca, które przygotowali śledczy z UCV, i rozłożył je na stole. Przedstawiały dziecko między pierwszym a szóstym rokiem życia w różnych sytuacjach. Ostatnią fotografię wykonano prawdopodobnie przed szkołą.

– Niczego pani nie dostrzega?

Colomba już chciała odpowiedzieć, że nie, kiedy uderzył ją poważny wyraz twarzy chłopca na ostatnim zdjęciu. Poważny i dojrzały. Przejrzała je od najnowszego do najstarszego. Wydawało się, że dziecko z czasem przestało się uśmiechać. Na pierwszym zdjęciu szczęśliwy chłopczyk biegnie z wyciągniętymi rękami w stronę matki, na ostatnim zmiana w jego wyglądzie była ewidentna.

– Zrobił się taki smutny.

– To coś więcej niż smutek. Proszę spojrzeć na jego postawę na przedostatnim zdjęciu. Ojciec próbuje go objąć, ale mały zdaje się nie zwracać na to uwagi.

– Może to mieć związek z sytuacją rodzinną. Może na innych zdjęciach zachowuje się inaczej?

– Nie. Schemat się powtarza. Przypuszczam, że słyszała pani o autyzmie?

– Wiem, że dotyczy znacznie młodszych dzieci.

– Nie w każdym przypadku. Czasami, jeśli mamy do czynienia z tak zwanym syndromem Hellera, pierwsze oznaki choroby mogą pojawić się nawet w wieku czterech, pięciu lat.

– Uważa pan, że syn Maugeriego cierpi na tę chorobę?

– Być może. Musiałbym porozmawiać z jego ojcem.

– Nie sądzę, aby to było możliwe.

Dante oparł się wygodnie na krześle.

– To wasza sprawa. Ja zrobiłem, co mogłem. Komu mam wysłać fakturę?

– Bardzo proszę, niech pan przynajmniej spojrzy na opis rekonstrukcji wydarzeń sporządzony przez moich kolegów. Jest tam kompletny zapis przesłuchań.

– Już to przeczytałem. Ojciec może kłamać albo nie. – Dante wzruszył ramionami.

Colomba spojrzała mu głęboko w oczy i mężczyzna musiał przyznać, że kiedy jej zielone źrenice twardniały, nie można było wytrzymać tego spojrzenia.

– Niech pan spróbuje jeszcze raz – poprosiła.

– A co będzie, jeśli nic nie znajdę?

– Pozostanie nadzieja, że moi koledzy będą mieli więcej szczęścia.

– A pani? Poddaje się pani? Może właśnie tego pani chce. Rzucić to wszystko w diabły.

– W tej chwili to nie ja składam broń.

Dante odwzajemnił bezkompromisowe spojrzenie i jakby powietrze wokół niego nagle się ochłodziło. Colombę przeszedł dreszcz.

– Na podstawie zdjęć nic więcej nie mogę wywnioskować – oświadczył poirytowanym głosem. – Musiałbym wziąć udział w wizji lokalnej, żeby zrozumieć więcej.

– Nie ma problemu.

– Dla mnie jest. – Dante rozejrzał się dookoła. – Od dwóch miesięcy nie opuszczam tego mieszkania. Mam nadzieję, że jest pani cierpliwa, bo zajmie mi trochę czasu, zanim się na to zdobędę.

– Nigdzie mi się nie spieszy.

– I nie wygląda pani na zmartwioną – zauważył Dante z uśmiechem.

– Czym?

– Jeśli ojciec jest niewinny, to ktoś zadał sobie sporo trudu, przygotowując całą tę scenę, żeby go wrobić w morderstwo w afekcie i spokojnie zająć się chłopcem. Ale mu się nie udało. A wie pani dlaczego?

– Nie.

– Bo ma zbyt pewną rękę. Potrzebował kilku precyzyjnych uderzeń, żeby odciąć głowę, ale skupił się tylko na szyi. Na twarzy kobiety nie było ani jednego zadrapania, co oznacza, że mordercy nie zadrzała ręka. – Dante uśmiechnął się, a Colomba poczuła przebiegający po plecach nieprzyjemny dreszcz. – Ten, kto to zrobił, ma wprawę w zabijaniu.

Dante wysłał przodem Colombę z Albertim, a potem przygotował się duchowo do wyjścia. Cierpiał na klaustrofobię o zmiennym natężeniu. W sprzyjających okolicznościach był w stanie zmusić się do najtrudniejszych rzeczy, na przykład wejść na chwilę do sklepu, pod warunkiem że nie było tłoku, a pomieszczenie miało wiele dużych okien wystawowych. Kiedy był zmęczony i rozchwiany emocjonalnie, nie potrafił nawet ruszyć się z domu.

Jego pierwszy psychiatra poradził mu, żeby opisywał swój stan i objawy numerami od jednego do dziesięciu. Przy jedynce mógł robić prawie wszystko, przy dziesiątce potrzebował środków uspokajających, w przeciwnym razie tracił nad sobą kontrolę.

Chociaż starał się tego nie okazywać Colombie i jej bezużytecznemu asystentowi, w tym momencie był na poziomie numer siedem, a więc na progu niebezpieczeństwa. Przyczyniły się do tego niezwykle wydarzenia mijającego dnia, a także to, że chciał zrobić dobre wrażenie na tej smutnej policjantce. Wykorzystał całą swoją siłę woli, aby zejść z szóstego piętra po schodach. Sześć pięter bez okien, ciemne zakamarki i niskie sufity, a do tego jeszcze sąsiedzi, którzy mogli się niespodziewanie pojawić na jego drodze, zajmując już i tak ograniczoną przestrzeń i zabierając mu tlen.

Wiedział, że na schodach, podobnie jak w zamkniętym budynku lub w szafie, nie naraża się na realne niebezpieczeństwo, ale zdrowy rozsądek nie był w stanie wygrać z przerażoną bestią, która się w nim szamotała. Czasami na sam dźwięk działającej windy oblewał się zimnym potem. Oczami wyobraźni widział, jak zamknięty wewnątrz wali pięściami w ściany.

Włożył kurtkę przeciwdeszczową i buciska nadające się na spacer po grząskim, błotnistym podłożu, a w uszach umieścił słuchawki iPhone'a, wybierając muzykę z szumem morskich fal. Dopasował do nich rytm swojego oddechu i zatrzasnąwszy drzwi, ruszył w kierunku schodów.

Pokonanie dwóch pierwszych pięter poszło gładko. Schodził szybko, trzymając się poręczy, a uszy i głowę wypełniał mu odgłos morza. Na trzecim popełnił błąd i spojrzał w górę. Sufit na końcu schodów był tuż-tuż, jakby miał go przygnieść. Przez dobrą minutę stał nieruchomo na stopniu, potem przechylił się przez balustradę i uniósł głowę w stronę ostatniego piętra, gdzie znajdowało się małe okienko, a w nim skrawek nieba. Ze wzrokiem utkwionym w ten jasny punkt pozwalał się prowadzić poręczy. Na piątym potrafił kogoś i poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Rzucił okiem i rozpoznał jedną z sąsiadek poruszającą ustami, ale nie był w stanie usłyszeć, co mówi. Poczł gwałtowną chęć powrotu

do mieszkania i zaszyca się w bezpiecznym kącie. Dopiero wspomnienie Colomby dodało mu odwagi. Uśmiechnął się do kobiety z zaciśniętymi ustami i ruszył w dół. Został mu do pokonania ostatni bieg schodów, kiedy dzwonek komórki przerwał uspokajającą muzykę. Odebrał, trzymając się kurczowo barierki.

– Jak sobie pan radzi? – zapytała Colomba.

– Wszystko w porządku, już idę. Ile czasu minęło? – Próbował nadać swemu głosowi spokojny ton.

– Czterdzieści minut.

Miał wrażenie, że upłynęło najwyżej pięć. A może pięć lat.

– Zaraz będę – powiedział i się rozłączył.

Jeszcze tylko jedno piętro. Tylko jedno. Zaczepnął powietrza, jakby zamierzał zanurkować, i błyskawicznie pokonał ostatni bieg schodów. Nie wiedząc kiedy, znalazł się za bramą.

Wreszcie był na otwartej przestrzeni. Podskoczył z radości na chodniku i odetchnął pełną piersią.

Colomba ze skrzyżowanymi ramionami stała oparta o bagażnik radiowozu i mu się przyglądała.

– Ciężko było?

– Dosyć. Ale teraz czuję się wspaniale, jak w upojeniu... – Dante znowu podskoczył. Wyglądało, jakby był transie.

– Nie myślał pan, żeby poddać się stosownej terapii?

– A pani?

Colomba puściła uwagę mimo uszu, tylko jej oczy zrobiły się jeszcze ciemniejsze. Otworzyła drzwi radiowozu.

– Proszę – zaprosiła go do środka lodowatym tonem.

– Chcę usiąść z przodu. I mam w dupie wasz regulamin, który tego zabrania. Nie zapnę pasów, a okno ma być otwarte nawet w czasie deszczu. Pasuje?

– Prowadzi pan? – zapytała Colomba. – Może z tyłu będzie panu wygodniej?

– Jeżdżę tylko latem. Mam kabriolet.

Droga zajęła im dużo czasu. Dante bardzo źle znosił szybką jazdę i Alberti musiał zatrzymać się z dziesięć razy, żeby pasażer mógł wysiąść i rozprostować kości. Za każdym razem Dante wykonywał kilka skłonów i podskoków, po czym wracał do samochodu, zapewniając, że to już ostatni raz, ale po kilku minutach ponownie robił się błądy i nerwowy.

W końcu dojechali do stadniny. Po usunięciu bazy operacyjnej zniknęły również sznury samochodów tarasujących drogę, a na wybiegu znajdowało się teraz kilka koni. Wokoło panował osobliwy spokój. Alberti zdołał wypożyczyć jeepa, którego miała do dyspozycji policja, i tak dotarli na miejsce zbrodni.

Dante, podekscytowany wycieczką, zapragnął samodzielnie pokonać via Sacra. Alberti został więc przy samochodzie, a Colomba szła z dziesięć kroków za Dantem, który tryskał energią i wydawał się urzeczony wszystkim, co napotykał na swej drodze. Podnosił liście i kamienie, często zbaczał ze ścieżki, aby popatrzeć w dół. Podczas drogi Colomba zadzwoniła do Roverego, aby przekazać mu najświeższe informacje.

– Uprzedzałem cię, że to niełatwe zadanie – usłyszała od niego.

– Nie powiedział mi pan, że on jest kompletnie niezrównoważony. Szkoda, że nie widział pan jego mieszkania.

– Czy jego obserwacje też są pozbawione sensu?

Colomba nie odpowiedziała. Nie wyrobiła sobie jeszcze zdania na ten temat.

– Są jakieś nowe wiadomości o chłopcu?

– Nie. Przesłuchaliśmy krewnych i przyjaciół, ale na niewiele się to zdało. Natomiast pierwsze wyniki badań laboratoryjnych potwierdzają tezę De Angelisa. Krew w bagażniku należy do chłopca, a narzędzie zbrodni pochodzi z domu Maugerich. Ojciec kupił sierpak miesiąc temu z zamiarem przycięcia drzewka w ogrodzie, ale twierdzi, że jeszcze go nie używał.

– Brakuje tylko przyznania się do winy.

– Tak, ale nakaz aresztowania został już potwierdzony.

– Oczywiście. *Dottore*, tracimy tylko czas. Wszystko wskazuje na Maugeriego. Musi pan wymyślić jakiś inny sposób, żeby pozbyć się... – Colomba zdążyła ugryźć się w język, zanim powiedziała „Santinięgo”. Nigdy nie wiadomo, kto może podsłuchiwać, mniej lub bardziej legalnie. – Sam pan wie kogo.

– A co na to Torre?

– Już węższy spisek.

– No widzisz.

Dante dotarł do punktu widokowego. Popatrzył w dół i się zachwiał. Gdyby nie przytrzymał się barierek, z pewnością runąłby w przepaść. Colomba rozłączyła się natychmiast i podbiegła do niego.

– Cierpi pan na lęk wysokości?

Dante przykucnął przy balustradzie i się uśmiechnął.

– To aż tak widoczne?

– To tylko moje przypuszczenie.

– Zaraz mi przejdzie. – Zanim wstał, przez kilka sekund oddychał głęboko. – Nie sądziłem, że tu jest tak wysoko, nie byłem na to przygotowany. Co powiedział pański przełożony?

– Że mąż kupił narzędzie zbrodni.

– Były na nim jego odciski palców?

– Nie.

Dante chwycił się barierki i wstał.

– To znaczy, że morderca mógł je zabrać z domu Maugeriego.

– Nie wydaje się to panu zbyt bezczelne?

Dante wzruszył ramionami.

– Mówiłem pani. – Ostrożnie spojrział w przepaść. – On nie zna strachu. Gdzie znaleźliście buty?

Colomba wskazała mu krzak, na którym teraz wisiała kartka z numerem. Mężczyzna patrzył w dół, nie odrywając rąk od poręczy.

– Widok zapiera dech w piersiach. – Odwrócił się nagle i ruszył wzdłuż ścieżki. – Chodźmy, póki jest jeszcze jasno.

Colomba ledwo za nim nadązała, tymczasem Dante lekko przeskakiwał z kamienia na kamień.

– Dlaczego bezlitosny i perfidny morderca wziął sobie na cel rodzinę Maugerich? – krzyknęła za nim.

– Tego jeszcze nie wiem.

Zatrzymał się przy taśmie oznaczającej miejsce znalezienia butów. Dwa radiowozy kontrolowały drogę dojazdową i jeden z policjantów skierował się w ich stronę, wyrzucając niedopałek papierosa. Colomba wyjęła legitymację, a zniecierpliwiony Dante próbował dostać się na polanę.

Policjant zasalutował i wtedy przypomniała sobie, że jakiś czas temu już go spotkała.

– A ten to kto? Voldemort? – zapytał, wskazując na Dantego, który ostrożnie krążył po kamiennym kręgu, aby nie zniszczyć oznaczeń pozostawionych przez techników. Poły jego czarnego przeciwdeszczowego płaszcza powiewały na wietrze.

– Konsultant – wyjaśniła oględnie.

– To dobrze. Już się bałem, że to któryś z kolegów.

Colomba podeszła do Dantego, który właśnie próbował wspiąć się na drzewo.

– Powrót do czasów dzieciństwa? – palnęła i natychmiast ugryzła się w język. – Przepraszam.

– Nie ma sprawy. Trafiały mi się też szczęśliwe momenty w dzieciństwie. Kiedy Ojciec uznawał, że sobie na to zasłużyłem, dawał mi na przykład ciepłe posiłki.

– Ojciec?

– Chciał, żebym go tak nazywał. A zważywszy, że nigdy nie udało wam się ustalić jego tożsamości... – Podciągnął się na rękach i usadowił na gałęzi dwa metry nad ziemią. Wyglądał jak wielki czarny kruk czyhający na ofiarę.

– Widzi pan coś interesującego z góry?

– Stonehenge na szesnastej. Trudno byłoby znaleźć odpowiedniejsze miejsce na rytualną zbrodnię.

– Albo na urządzenie przedstawienia – zauważyła Colomba.

– Wyjęła mi to pani z ust. Kiedy pani zdaniem morderca powiesił buty na krzaku? Przed zabiciem matki czy po?

– Przed chyba byłoby trudniej – zastanawiała się Colomba. – Przecież matka by się zorientowała, że coś jest nie tak.

– Mordujesz kogoś, a potem zajmujesz się dekorowaniem otoczenia? Rozumiem wyrachowanie, ale żeby aż takie?

– Jeśli to dzieło pańskiego kilerka o pewnej ręce, może być częścią spektaklu. Albo chłopczyk zgubił buty po drodze i ktoś powiesił je, żeby było łatwiej je znaleźć.

– Co ustaliliście na podstawie śladów?

– Mocno padało, teren jest grząski i zbyt wielu ludzi się tu kręciło. Nawet jeśli morderca i dziecko zostawili ślady, kiedy stąd odchodzili, to teraz nie można ich już zidentyfikować.

– To znaczy, że nie wiemy, w którą stronę poszedł.

– Jeśli to był Maugeri, to wrócił na miejsce, gdzie biwakowali, i rozpoczął pozorowane poszukiwania żony i syna.

– Przecież już go wykluczyliśmy, nie?

– Pan go wykluczył, nie ja. Na razie mam tylko wątpliwości.

Dante się zamyślił.

– Nie sędzę, żeby morderca oddalił się w kierunku, z którego właśnie przyszliśmy. Ta droga jest dość uczęszczana, a on na pewno nie chciał ryzykować, że ktoś go zauważy i rozpozna.

– Czyli wziął buty i wrócił po swoich śladach?

Dante pokręcił głową.

– Być może. A to miałyby dodatkowe znaczenie, na razie jeszcze nie wiem jakie. Rozejrzał się wokoło i wskazał na ścieżkę prowadzącą w zarośla. Zręcznie zeskoczył z gałęzi.

– Idziemy – powiedział i ruszył przodem, nie czekając na odpowiedź.

Colomba pospieszyła za nim, nie mogąc się nadziwić temu nagłemu przyplýwowi energii. W mieszkaniu sprawiał wrażenie, jakby nie był w stanie zrobić dwóch kroków bez pomocy.

Idąc ścieżką, napotkali dwóch grzybiarzy z wiklinowymi koszykami w rękach. Dante skinął głową na powitanie.

– Znaleźliście coś?

– Nie za dużo – odpowiedział jeden z nich.

– Zwyczajnie ludzie wybierają się na grzyby po deszczu, a wczoraj padało – zauważył Dante, kiedy mężczyźni odeszli. – Może ktoś natknął się na mordercę.

– Żaden świadek się do nas nie zgłosił.

– Bo na pewno starał się nie rzucać w oczy, a nie wierzę, żeby pani koledzy ruszyli z zapalem na poszukiwanie świadków.

– Po aresztowaniu Maugeriego raczej nie – przyznała Colomba. – Ale teraz ludzie już

wiedzą o zaginionym dziecku, jego zdjęcie jest wszędzie. Gdyby jakiś grzybiarz zauważył chłopca spacerującego w czyimś towarzystwie, powinniśmy dostać informację.

– Nie sądzę, żeby spacerowali. Dante wskazał na mężczyznę, który szedł w niewielkiej odległości od nich, trzymając na ręku śpiące dziecko obejmujące go mocno za szyję. – Widzi pani jego twarz?

– Nie.

– Sześciolatnie dziecko jest już za duże, żeby je nosić na rękach, ale raczej nikt nie zwróciłby na to uwagi.

– Pod warunkiem że tajemniczy porywacz naprawdę istnieje.

– Może dziecko odleciało na skrzydlatym kucyku. – Dante przyspieszył kroku, mijając zrećcznie drzewa, i zmusił ją niemal do truchtu. Colomba zrównała się z nim, ale jednocześnie poczuła lekki ból naderwanego kiedyś ścięgna, które przeciążyła już kilka godzin wcześniej, ścigając typka w skórzanej kurtce.

Wyszli na placyk, na środku którego stała niewielka niebieska kapliczka ku czci Matki Boskiej, otoczona wielkimi kamieniami.

– Jeśli pana przypuszczenie jest prawdziwe, to porywacz musiał zaparkować gdzieś w pobliżu. I jeśli zdążył odjechać przed zapadnięciem zmroku, mógł nikogo nie spotkać. Turyci normalnie wracają do domów po zachodzie słońca.

Nagle zdała sobie sprawę, że Dante jej nie słucha. Wpatrywał się w jakiś metalowy przedmiot zawieszony w połowie słupka znaku drogowego. Colomba podeszła bliżej, aby lepiej się przyjrzeć. To był podłużny matowy gwizdek wiszący na wystrzępionym sznurku z konopi. Wyciągnęła po niego rękę, ale Dante chwycił ją za przegub. Poczuła silny, lodowaty uścisk, który sprawiał ból.

– Niech pani nie dotyka – usłyszała.

Wyrwała mu się gwałtownie.

– A pan niech mnie nie dotyka. – Zauważyła, że mężczyzna zrobił się popielaty na twarzy. – Co się dzieje? – zapytała przestraszona.

Dopiero po kilku próbach Dante zdołał wyksztusić z siebie odpowiedź ledwo słyszalnym głosem.

– Kiedy zostałem porwany... kiedy Ojciec zabrał mnie ze sobą, miałem mały przedmiot znaleziony na placu zabaw. To był harcerski gwizdek. – Odwrócił wzrok w stronę Colomby, ale nadal jej nie widział. Miał przed oczami dawną wszechogarniającą grozę. – Ten gwizdek – dodał, wskazując na zabawkę.



## 6

Dante siedział na skraju drogi, obejmując nogi ramionami. Nic więcej nie powiedział, nie wykonał żadnego ruchu.

Colomba nie chciała go zostawiać w takim stanie, musiała jednak zadzwonić do Roverego, a wolała, żeby nie przysłuchiwał się rozmowie.

– Jak się pan czuje, panie Torre?

Dante nie zareagował, siedział dalej bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w dal.

– Panie Torre, muszę pana na chwilę zostawić, a nie mogę tego zrobić, dopóki mi pan nie powie, że wszystko w porządku. – Nic, żadnej reakcji. – Dante...

Słyszając swoje imię, otrząsnął się nieco.

– Jeszcze nie umieram – powiedział bezbarwnym tonem. – Niech pani robi swoje.

Colomba odeszła od Dantego i zadzwoniła do szefa.

– Dante jest w fatalnym stanie. To nie znaczy, że wcześniej czuł się świetnie, ale teraz...

– Co się stało?

– Zobaczył gwizdek zawieszony na słupie i upiera się, że zostawił go porywacz dziecka. Uważa, że jest to ten sam człowiek, który trzymał go w odosobnieniu. Torre jest przekonany, że jego prawdziwy dręczyciel przebywa ciągle na wolności.

– Po co miałby zostawiać ten gwizdek na widoku?

Colomba się zdziwiła, bo ton głosu komendanta wskazywał, że się nad czymś zastanawia.

– Nie mam pojęcia i uważam, że Torre też nie. Chyba będzie lepiej, jeśli odwiozę go do domu.

– Chcesz zlekceważyć to, co ci powiedział?

– Mógłby pan mówić jaśniej? Co według pana powinnam zrobić?

– Przekazać tę informację osobie prowadzącej śledztwo.

Colomba była pewna, że źle zrozumiała.

– *Dottor Rovere*... Torre majaczy! Ta sytuacja bardzo przypomina wydarzenia, których doświadczył na własnej skórze i przez to pomieszało mu się w głowie.

– Gwizdek może być dowodem w sprawie porwania i morderstwa – upierał się Rovere.

– Teraz pan też zaczyna majaczyć. – Colomba przestraszyła się, że chęć zniszczenia Santiniego zmaćla Roveremu jasność myśli. – Jeśli powiem coś takiego De Angelisowi, po prostu mnie wyśmiej.

– Wtedy odpowiedzialność spadnie na niego, nie na nas.

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego, *dottore* – oświadczyła chłodno.

– Musisz wytrzymać do wieczora. Poczekaj, aż ktoś przyjedzie na miejsce. Sam zawiadomię sędziego – powiedział Rovere i rozłączył się bez pożegnania.

*Spierdalaj*, pomyślała Colomba, czując w ustach gorzki smak.

Po godzinie jako pierwszy pojawił się Santini. W tym czasie Dante wypowiedział ze cztery słowa i odmówił powrotu do domu. Za samochodem wicedyrektora SIC jechało kombi z symbolem UCV na drzwiach. W środku siedzieli dwaj technicy, których Colomba widziała na miejscu zbrodni poprzedniego dnia.

– Jeszcze raz od nowa – skomentował sytuację starszy z nich, wysiadając z auta. – Zaczynam nienawidzić tego miejsca.

Santini podszedł prosto do Colomby i Dantego.

– Kto stoi za tą głównianą komedią?

Colomba starała się ukryć zakłopotanie pod maską obojętności.

– Sam spróbuj się domyślić, geniuszu.

– Zapłacisz mi za to.

– Tam masz słup, możesz go sobie wsadzić w dupę – powiedziała, wskazując na znak drogowy za swoimi plecami.

Santini skinął na techników.

– No już, bierzcie się do roboty!

Dwaj mężczyźni, którzy tym razem nie mieli na sobie białych kombinezonów na specjalne okazje, zrobili zdjęcia, a potem włożyli gwizdek do woreczka na dowody rzeczowe. W tym czasie Santini nie odstępował Colomby na krok.

– Boisz się, że zawieszę gdzieś następny? – zapytała.

– Wiesz, że jak wrócisz do pracy, to możesz liczyć co najwyżej na stawianie pieczętek w paszportach?

– Powinnaś uczyć się od siebie lizania dupy odpowiednim osobom. Jak twoje relacje z De Angelisem? Przynosisz mu kawę do łóżka?

Santini spojrzał na nią z nienawiścią.

– Uważaj na to, co mówisz.

– Tak też robię. Pomyśl tylko, co bym ci powiedziała, gdybym się nie hamowała.

Usiadła obok Dantego i przyglądała się, jak technicy pokrywają słup specjalnym pyłem i ściągają niezliczoną ilość odcisków.

– On wrócił – odezwał się cicho Dante. – Po tylu latach...

– Poczekajmy na wyniki badań laboratoryjnych – odpowiedziała dyplomatycznie.

– Przez cały czas miałem przeczucie, że gdzieś się przyczał.

Pojawił się na nich cień Santiniego.

– Moi ludzie skończyli, Caselli. Powiedz swojemu przyjacielowi, że musi się z nami pofatygować do prokuratury.

– Nie – uciął Dante, nie patrząc na niego. – I może pan rozmawiać bezpośrednio ze mną, nie jestem ani głuchy, ani upośledzony.

– Dobrze wiem, kim pan jest. Niektórzy moi współpracownicy mieli przyjemność korzystać z pańskich usług konsultacyjnych. I żaden z nich nie był zachwycony.

– Może dlatego, że nie potrafiały wykonywać dobrze swoich obowiązków.

Santini pochylił się nad nim.

– Zechce pan powtórzyć?

Colomba wstała i stanęła pomiędzy mężczyznami.

– Przestań udawać twardziela – powiedziała do policjanta.

– Odsuń się.

– Nie widzisz, w jakim jest stanie?

– A co mnie to, kurwa, obchodzi?

– Tak uważasz? – Colomba zrobiła krok do przodu, zmuszając Santiniego do wycofania się. – Ten człowiek jest ofiarą porwania, które spowodowało u niego poważny uraz psychiczny, cierpi na klaustrofobię i jest pod stałą kontrolą lekarską. Jeśli zmusisz go do czegoś wbrew jego woli, zostaniesz oskarżony o naruszenie nietykalności osobistej i nadużycie władzy.

– To ty go wplątałaś w całą tę sprawę, Caselli! – warknął rozdrażniony Santini.

Colomba poczuła lekkie ukłucie, coś na kształt wyrzutów sumienia.

– To prawda. Ale od tej chwili cała odpowiedzialność spada na ciebie.

Santiniego dużo kosztowało, żeby się opanować.

– Sędzia śledczy chce go przesłuchać. Mam mu powiedzieć, żeby odwiedził go w jego mieszkaniu?

– Czemu nie?

– Bo to nie jest przyjęta procedura.

Jeden z techników położył dłoń na ramieniu wicedyrektora SIC.

– Dwa kilometry stąd jest parking z restauracją, która ma przeszkloną werandę. Panie Torre, czy zgodzi się pan na spotkanie w tym miejscu?

Colomba nachyliła się do Dantego.

– Jeśli nie czuje się pan na siłach, natychmiast odwiozę pana do domu.

– Muszę to zrobić.

– Nie, wcale pan nie musi.

– Proszę pozwolić mi zdecydować, *dottor*.

– No to jak? Może być ten parking czy nie? – zapytał zniecierpliwiony już Santini.

– Może być – uciął Dante.

Gdy Santini umawiał się przez telefon z De Angelisem, starszy technik podszedł do nich i się uśmiechnął.

– W gruncie rzeczy to nie jest zły człowiek – powiedział. – Tylko świnia.

– Znacie się? – zapytała Colomba.

Dante pokręcił głową, tracąc zainteresowanie rozmową.

– Nigdy nie spotkaliśmy się osobiście, ale wiem, kim on jest – wyjaśnił technik, zwracając się do policjantki. – Pamiętasz sprawę przedszkola w Putignano?

– No jasne. – To było niedługo po katastrofie, ale informacje w jakiś sposób zdołały się przedostać przez otaczającą ją mgłę. Chociaż czuła się wtedy naprawdę fatalnie, uważała za mało prawdopodobne, że ktoś może uwierzyć w tę historię. Wszyscy wychowawcy z przedszkola zostali oskarżeni o znęcanie się nad dziećmi przy zastosowaniu naprawdę wyrafinowanych metod. Nie było żadnych dowodów, jedynie słowa rodziców. Tymczasem wielu uwierzyło. – Czy on miał z tym coś wspólnego?

– Jeśli wierzyć legendzie, to tak.

– Jakiej legendzie?

– Nikt z nas nigdy go nie widział, ale krążyły plotki, że jest konsultantem adwokatów pozwanych. Opowiadano o nim niestworzone rzeczy... Teraz myślę, że wszystko to była prawda. – Uśmiechnął się. – Narobił zamieszania, zwłaszcza jeśli chodzi o kwestię odszkodowań.

– Na niewiele się to zdało – włączył się Dante grobowym głosem.

– Uznano, że brak podstaw do wszczęcia postępowania – sprostowała Colomba.

– Wszyscy musieli się przeprowadzić – ciągnął Dante. – Rodzice nadal są przekonani, że mieli rację. A dzieci nie potrafią odróżnić prawdy od chorych wymysłów dorosłych. Będą się nieprawidłowo rozwijać, prędzej czy później pojawią się problemy psychiczne.

Technik pokiwał głową.

– To prawda.

Santini skończył rozmowę.

– *Dottor De Angelis* będzie na parkingu za godzinę. Ale to tylko strata czasu – dodał po chwili.

Tymczasem na placyku zatrzymał się kolejny radiowóz. Kiedy policjanci wysiedli, Santini wskazał na słup.

– Pilnujcie, żeby nikt się nie zbliżał i go nie dotykał, rozumiano? A jakby ktoś pytał dlaczego, powiedzcie, że to zarządzenie drogówki.

– Drogówki? – zdziwił się jeden z nich.

– O co chodzi? Głuchy jesteś? – warknął Santini.

– Według rozkazu! – Policjant aż podskoczył.

– Przywieziesz swojego przyjaciela do restauracji? – zwrócił się Santini do Colomby, wsiadając do samochodu. – Nie chciałbym, żeby oskarżył nas o złe traktowanie w czasie przejazdu.

– Jedź ostrożnie – odpowiedziała.

Kiedy Colomba, Dante i Alberti – coraz bardziej marudny z powodu spuchniętego nosa – dojechali na miejsce, wjazd na parking był już obstawiony przez policję. Klienci mogli co prawda wjeżdżać i wyjeżdżać, ale obszerna weranda stanowiąca część restauracji została zamknięta. Podczas jazdy poczucie winy Colomby urosło do gigantycznych rozmiarów. Obawiała się, że Dante tylko się ośmieszy w czasie konfrontacji z takimi hienami jak De Angelis i jego zausznicy. A wszystko dlatego, że ona nie była w stanie odmówić swemu – już wkrótce – ekszefowi. Słyszając, że Dante dzwoni do swojego adwokata, nieco się odprężyła: to mogło być wyjście, którego szukała.

Dante wpatrywał się w drogę prowadzącą na parking jak skazaniec w szubienicę. Organizm ostrzegał go, że zbliża się nieubłaganie do poziomu numer dziesięć, a dwie tabletki xanaksu, które zażył w samochodzie, spowodowały zawroty głowy i nudności. W głowie pulsowały obrazy z przeszłości. Ojciec, pomieszczenie, w którym go zamknęto, światło przenikające przez pęknięcia w cemencie. Szron, który osiadał na okienku w górze. Smród jego własnych odchodów. Słyszał jedno ze zdań powtarzanych przez Ojca: *W żadnym innym miejscu nie będziesz tak bezpieczny jak tutaj.*

Wtedy Dante mu wierzył. Jeszcze teraz czasami w to wierzył.

– Na dzisiaj to już prawie koniec – zapewniła go Colomba. – Wiem, że to nie ma znaczenia, ale naprawdę mi przykro, że wciągnęłam pana w tę sprawę.

– To nie pani mnie wciągnęła, tylko on.

– Ojciec?

– Tak.

*No nieźle*, pomyślała Colomba.

Wysoki, szczupły mężczyzna w tweedowym palcie zbliżał się do nich, przemierzając parking zamaszystym krokiem. Przypominał nieco Jeremy'ego Ironsa sprzed kilku lat. Miał krótkie włosy i był opalony. Colomba natychmiast zrozumiała, że ma przed sobą Minutilla.

Adwokat położył dłonie na ramionach swego klienta.

– Jak się czujesz?

Dante pominął pytanie milczeniem.

– To Ojciec, Robercie.

– Jesteś pewien? – Zaniepokojony Minutillo pokręcił głową.

– Tak.

– A więc musisz to zrobić. Wyciągnął rękę do Colomby.

– Roberto Minutillo. Jeśli mój klient będzie miał problemy w związku z tą sprawą, pani będzie za to odpowiedzialna.

– Możemy chwilę porozmawiać na osobności?

Adwokat spojrział na Dantego, który skinął głową.

– Idź, idź.

Kiedy oddalili się trochę od niego, Colomba powiedziała do Minutilla:

– Niech go pan stąd zabierze.

– Przecież nie mogę go zmusić.

– Słyszał pan, co on mówi? Twierdzi, że jego porywacz powrócił.

– Nauczyłem się traktować poważnie jego przecucia, nawet jeśli wydają się niedorzeczne.

– To nie jest zwykła bzdura, to szaleństwo.

Minutillo uniósł brew.

– Naprawdę?

– Torre został porwany trzydzieści pięć lat temu. To niemożliwe, żeby udało mu się ustalić tożsamość kidnapera na podstawie starej zabawki, której nawet dokładnie nie pamięta!

Adwokat patrzył na nią przez chwilę, a zmarszczki wokół jego oczu powoli się wygładzały.

– Dziękuję pani za zainteresowanie. Naprawdę doceniam. Ale teraz powinniśmy już wejść do środka.

Nie czekając na odpowiedź, wrócił do swojego klienta i po przyjacielsku wziął go pod ramię. Colomba prychnęła niezadowolona. *W porządku.* Tak czy inaczej, to już długo nie potrwa.

Przy wejściu do lokalu stali policjanci i Colomba musiała pokazać legitymację, żeby dostać się do środka razem z pozostałymi. Dante miał przez cały czas wzrok skierowany w stronę okien, aż do chwili, gdy dołączyli do nich De Angelis i Santini, którzy już siedzieli przy stoliku przy oknie. Był z nimi trzeci mężczyzna z laptopem, ale Colomba go nie znała.

Kiedy dokonywała prezentacji, Santini nawet na nią nie spojrział, a De Angelis przyglądał jej się podejrzliwie, obaj natomiast uścisnęli dłoń adwokatowi. Po drugiej stronie sali przy kontuarze stali dwaj funkcjonariusze SIC, których widziała już na miejscu zbrodni. Rozmawiali, od czasu do czasu wybuchając śmiechem. Przestali, kiedy dostrzegli, że Colomba na nich patrzy.

De Angelis zwrócił się najpierw do Minutilla:

– Obecność adwokata nie jest konieczna.

– Uzналиśmy, że tak będzie lepiej. Ale jeśli ma pan coś przeciwko temu, nie będziemy zabierać panu czasu. Możemy zorganizować oficjalne spotkanie w bardziej dogodnym momencie.

De Angelis pokręcił głową.

– Ależ skąd, mecenasie. Proszę usiąść. Lepiej wszyscy usiąźmy. Przedstawił mężczyznę z komputerem jako odpowiedzialnego za sporządzenie protokołu. Policjant spisał dane osobowe wszystkich obecnych, po czym uruchomił nagrywanie. De Angelis podał datę, godzinę, nazwiska uczestników spotkania i wreszcie pokazał Dantemu kolorowy wydruk przedstawiający gwizdek, opatrzony pieczęcią UCV. Colomba pomyślała, że się pospieszyli.

– Pan Torre otrzymał do obejrzenia zdjęcie gwizdka znalezionego na parkingu w odległości około pięciuset metrów od miejsca, gdzie została zamordowana pani Balestri. – Nagrał swą wypowiedź zgodnie z procedurą. – Potwierdza pan, że chodzi o ten sam przedmiot, który znalazł pan dzisiaj i który został przekazany do mojego biura jako dowód rzeczowy?

– Wydaje mi się, że to ten sam.

– Przekazał pan informację obecnej tu funkcjonariuszce Caselli, że gwizdek ma związek z zamordowaniem pani Balestri i porwaniem jej dziecka. Zechce pan potwierdzić?

– To nie do końca jego słowa – wtrąciła się Colomba.

De Angelis uniósł dłoń.

– *Dottoressa*, proszę wyświadczyć mi przysługę i odpowiadać jedynie na skierowane bezpośrednio do pani pytania.

*Gównu ci wyświadczę, nie przysługę*, pomyślała Colomba, ale głośno powiedziała tylko:

– Przepraszam.

Dante uśmiechem próbował wyrazić jej swoją wdzięczność.

– *Dottoressa* Caselli ma rację, nie użyłem przytoczonych przez pana słów. Niestety, moja wypowiedź była z pewnością bardzo chaotyczna. Chciałem powiedzieć, że znaleziony gwizdek jest taki sam, jak ten, który miałem przy sobie w chwili porwania. Później mój dręczyciel mi go odebrał. Myślę, że nie mamy do czynienia z przypadkiem, skoro właśnie ten przedmiot został znaleziony niedaleko miejsca, gdzie zniknęło dziecko w wieku, w którym ja byłem w momencie uprowadzenia.

– Może pan mówić jaśniej?

– Sądzę, że to mój porywacz zostawił tam tę zabawkę. Uważam, że to mój gwizdek, który przez te wszystkie lata znajdował się w jego posiadaniu.

De Angelis i Santini wymienili porozumiewawcze spojrzenie.

– Pański porywacz nie żyje, panie Torre. – De Angelis wyraźnie wymawiał poszczególne słowa, jakby miał do czynienia z idiotą. – Nazywał się Bodini i zastrzelił się w swoim gospodarstwie, zanim policja przybyła na miejsce.

– To nie on mnie uprowadził. Bodini był tylko zwykłym głupcem, który doskonale nadawał się do roli kozła ofiarnego.

De Angelis kilkakrotnie dotknął długopisem końca własnego nosa.

– Tak. Pamiętam, że taka była zawsze pańska wersja... Czy gwizdek był na sporządzonej

przez pańskich rodziców liście przedmiotów, które miał pan przy sobie?

– Nie.

– A czy wspomniał pan o nim policji po ucieczce z miejsca odosobnienia?

– Nie. Ale jeśli sugeruje pan, że sobie to wymyśliłem, jest pan w błędzie.

Sędzia śledczy skarcił go wzrokiem.

– Panie Torre, moja praca nie polega na sugerowaniu. Ja zadaję pytania, a pan jest świadkiem zobowiązanym do udzielania odpowiedzi, nawet jeśli spotykamy się w tak... nieformalnym miejscu.

– Czy raport z laboratorium jest już gotowy? – zapytał Minutillo.

– W tak krótkim czasie zdążyli przygotować jedynie raport wstępny i przekazali mi już informacje przez telefon – wyjaśnił Santini. – Nie znaleziono odcisków palców ani śladów substancji organicznych. Ponieważ nie znamy stanu wyjściowego, na podstawie postępującej korozji trudno powiedzieć, jak długo gwizdek znajdował się w miejscu znalezienia. Wydaje się, że niezbyt długo, bo jest dobrze zachowany.

– Czy rok produkcji potwierdza wersję mojego klienta?

– Ogólnie tak. Ten model był produkowany we Włoszech w latach tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt – siedemdziesiąt siedem, gwizdek może pochodzić z każdej serii.

De Angelis uśmiechnął się do Dantego, ale w tym grymasie próżno byłoby szukać zwykłej ludzkiej sympatii.

– Panie Torre, przyjmijmy, że znaleziony gwizdek jest identyczny z tym, który miał pan w dzieciństwie. – Podniósł rękę na znak, że nie życzy sobie żadnego sprzeciwu. – Proszę wziąć pod uwagę rachunek prawdopodobieństwa. Jakie są szanse, że to ta sama zabawka podrzucona na miejsce zbrodni przez tajemniczą dłoń, a nie po prostu zgubiona przez nieuwważnego turystę albo jakieś dziecko, któremu rodzice dali ją w prezencie? Może ktoś powiesił gwizdek w widocznym miejscu, aby łatwiej go było znaleźć, tak jak się to robi z rękawiczkami czy kluczami?

– Nie potrzebuję obliczać prawdopodobieństwa, bo mam pewność – stwierdził Dante.

– A my nie. Niestety, nie mamy żadnego dowodu na potwierdzenie pańskich słów.

– Myli się pan – sprzeciwił się Dante.

Uśmiech De Angelisa stał się lodowaty.

– Proszę mnie oświecić. Gdzie popełniłem błąd?

– Nie ma na nim odcisków palców. Według pana, dziecko, które miało go zgubić, nigdy go nie dotykało?

– Może ten, kto go znalazł, otarł go z błota.

– I usunął przy tym wszystkie ślady? Nawet te organiczne, jak na przykład ślinę? Chyba że uważa pan, że nikt nigdy w niego nie dmuchał. Ale właśnie do tego służą gwizdki, wie pan?

Colomba poczuła nieklamany podziw. Wcale nie dawał zapędzić się w kozi róg, czego się



w głębi ducha obawiała.

– Deszcz zatarł ślady, panie Torre – upierał się sędzia.

Santini pochylił się do przodu, opierając łokieć na stole.

– A może ten, kto zawiesił gwizdek na słupie, nie chciał, żebyśmy poznali jego tożsamość. Bo wiedział, że najpierw sprawdzimy jego DNA.

– Oskarża pan mojego klienta? – włączył się Minutillo. W przeciwieństwie do zimnego uśmiechu De Angelisa jego spojrzenie płonęło żywym ogniem.

– Przecież tylko rozmawiamy – próbował załagodzić sytuację sędzia śledczy.

– Przepraszam, mecenasie. – Santini popatrzył na Colombę. – Możesz potwierdzić, że ani na moment nie spuściłaś go z oczu, kiedy byliście na miejscu zbrodni?

– Przed tobą z niczego nie muszę się tłumaczyć, Santini.

– Ma pan rację, *dottor* De Angelis – powiedział adwokat. – Ale jeśli nie zmienicie tonu tej rozmowy, będziemy zmuszeni się pożegnać.

– Już dobrze, dobrze. Spokój! Ale muszę prosić, aby *dottor*essa Caselli zechciała odpowiedzieć na ostatnie pytanie.

– Kto w końcu składa zeznania? Mój klient czy *dottor*essa? – nie dawał za wygraną Minutillo.

– Pański klient. Ale nie chciałbym tracić czasu, jeśli pan pozwoli.

– Nie.

– Proszę o wybaczenie, mecenasie, skończmy to jak najprędzej. Cały czas byłam z panem Torre – ucięła Colomba.

– Teraz jest pan zadowolony? – zapytał Dante. – Czy zamierza pan również jej zarzucić kłamstwo?

– Proszę zrozumieć, że ten zbieg okoliczność budzi podejrzenia.

– Nie chodzi o żaden zbieg okoliczności. On specjalnie podrzucił ten gwizdek.

– Ma pan na myśli swego porywacza?

– Tak.

– A po co miałyby to robić? Chciał przekazać nam wiadomość? Rzucić wyzwanie? Podpisać się pod tą zbrodnią?

Dante się zawahał i Colomba zrozumiała, że nie zamierza powiedzieć wszystkiego.

– Nie mam pojęcia, co planuje. Nie wiedziałem tego trzydzieści lat temu i teraz też nie wiem.

– Ale przecież ten pański gwizdek mógł ujść naszej uwadze. Mógł wisieć na tym słupie, ażby zardzewiał. Mógł trafić do śmieci.

– Nie jestem najodpowiedniejszą osobą, żeby oceniać jego zamiary. Byłem pod jego wpływem, kiedy trzymał mnie w zamknięciu. Nauczył mnie, że powinienem traktować go jak boga, a bardzo trudno jest zrozumieć boskie zamiary.

De Angelis i Santini znowu wymienili spojrzenia.

– W porządku, panie Torre... dziękuję bardzo. Nie mam więcej pytań – powiedział De Angelis.

Aż do tej chwili Dante mówił cichym, spokojnym głosem, prawie się nie ruszając. Teraz nagle poderwał się i pochylił do przodu, zmuszając sędziego do oparcia się na krzesło.

– Wiecie, co się teraz stanie z tym chłopcem? Lata odosobnienia, może nawet całe życie. Przemoc fizyczna i psychiczna. I strach przed śmiercią, jeśli nie będzie posłuszny i wystraszająco bystry.

De Angelis wbił w niego wzrok.

– Mówi pan o własnych doświadczeniach, prawda?

– Tak. Mnie też to spotkało.

– A więc rozumie pan, że czyni to z pana świadka, który ulega łatwo wpływom zaistniałych okoliczności.

– Chce pan powiedzieć, że jestem mało wiarygodny?

– Przykro mi.

Dante pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Musiałem chociaż spróbować. Czy teraz mogę już iść?

– Tak, skończyliśmy na dzisiaj – stwierdził De Angelis. – Zawiadomimy pana, kiedy protokół z tego spotkania będzie gotowy do podpisu.

– Proszę do nas zadzwonić, stawimy się w prokuraturze – zgodził się Minutillo, wstając od stołu.

Również Colomba podniosła się, chcąc opuścić restaurację, ale sędzia ją zatrzymał.

– Czy może pani chwileczkę poczekać?

– Jak pan sobie życzy.

Kiedy Minutillo i Dante wyszli z lokalu, De Angelis pogładził się po brodzie, a potem spojrzął znacząco na Santiniego i policjanta, który sporządzał protokół.

– Chciałbym zamienić dwa słowa sam na sam z panią Caselli.

Komisarz zamknął laptop i wstał, a Santini podał sędziemu rękę.

– Podjadę teraz do biura, a potem wracam do domu, jeśli nie masz dla mnie nic nowego.

– Nie, możesz jechać. Jutro do ciebie zadzwonię.

Santini ruszył w stronę wyjścia, a komisarz stanął przy otwartym oknie i zapalił papierosa.

– Domyśla się pani, o co chcę zapytać, prawda? – zaczął De Angelis, kiedy zostali sami.

– Nie. Proszę o wskazówkę.

– No dobrze, jeśli się pani upiera... Co robiła pani na miejscu zbrodni, zważywszy, że nie bierze pani udziału w śledztwie?

– Chciałam pokazać to miejsce panu Torre – odpowiedziała spokojnie.

– Po co?

– Bo jest ekspertem w sprawach dotyczących zaginionych osób.

– Jest psychicznie niestabilny, a niektóre kancelarie adwokackie płacą mu za mącenie

i możliwość zawyżania wystawianych rachunków.

– To pana opinia, nie moja.

– Czy to Maugeri go wynajął?

– Nie.

De Angelis złączył palce obu dłoni.

– Przecież nie musiał pani tego mówić. A sprawa z gwizdkiem może być pierwszym elementem w linii obrony.

– To ja go znalazłam. Torre obecnie dla nikogo nie pracuje.

– Dlaczego pani to robi? Nie jest pani nawet na służbie.

– To moja prywatna inicjatywa. Przez przypadek dowiedziałam się o śledztwie i postanowiłam pomóc...

De Angelis oparł się wygodniej, nie spuszczał z niej wzroku. Colomba wytrzymała jego spojrzenie.

– Co prawda nie składa pani zeznań pod przysięgą, ale z uwagi na moją funkcję domagam się prawdy. Tymczasem pani kłamie. To Rovere zlecił pani to zadanie. Nie może się pogodzić, że odsunąłem go od sprawy, a tym samym potwierdza, że dobrze zrobiłem.

Zważywszy, że to Rovere zmusił Colombę do zaangażowania się w to śledztwo, miała ona pełne prawo, żeby opowiedzieć o jego roli w tej sprawie, ale nie była osobą, która łatwo zmienia front.

– W żadnym razie. On nie ma pojęcia o mojej inicjatywie.

– Nie wierzę pani. Jesteście ze sobą blisko, nie?

– Co pan ma na myśli?

De Angelis rozłożył ramiona.

– Ależ nic złego! Chciałem powiedzieć, że przez wiele lat był pani przełożonym. Wspierał panią podczas rekonwalescencji. I nie odwrócił się do pani plecami, chociaż wiele osób tak by zrobiło po tym, co się pani przydarzyło.

Colomba zacisnęła pięści, wbijając sobie paznokcie w skórę.

– Czy musimy o tym rozmawiać?

– Chcę wyjaśnić, dlaczego pani nie wierzę. Nigdy nie podjęłaby pani żadnych działań za plecami Roverego, ale chętnie zaszkodziłaby pani mnie i Santiniemu. I wreszcie, nigdy nie zawiedzie pani jego zaufania, informując mnie o jego zamiarach.

– Skoro wszystko pan wie, po co to przesłuchanie?

– Chciałem dać pani szansę. Szkoda, że nie zamierza pani z niej skorzystać.

– Mogę odejść?

De Angelis zajął się przeglądaniem leżących na stole dokumentów.

– Żegnam, *dottor*essa.

Dante pod pretekstem wypalenia papierosa czekał na Colombę, odprawivszy wcześniej

adwokata, który zatrzymał się na parkingu, żeby wykonać ważny telefon. Chciał się z nią pożegnać, bo czuł się źle z myślą, że już nigdy nie spotka policjantki o zielonych oczach. Z jednej strony chodziło o piękną i nietypową kobietę – a on od dawna nie miał okazji spędzać czasu w takim towarzystwie – z drugiej obawiał się, że teraz znowu zostanie całkiem sam ze swoimi koszmarami. Właśnie w tej chwili z toalety wyszedł Santini, wycierając dłonie o spodnie. Zobaczył Dantego i jego twarz natychmiast przybrała napastliwy wyraz. Pokonał biegiem dzielący ich dystans i złapał go za ramię.

– Czego pan chce? – krzyknął Dante, upuszczając paczkę papierosów. Santini zakrył mu usta dłonią i wepchnął do małej ubikacji bez okien. Śmierdziało w niej gównem.

Funkcjonariusz zamknął za sobą drzwi. W ubikacji było ciemno; Dante widział jedynie czarny zarys postaci napastnika na szarym tle oraz jego błyszczące oczy. Panujący mrok zaczął przytłaczać Dantego, ograniczając jego poczucie świadomości. Santini cofnął dłoń, ale Dante nie mógł wydobyć z siebie głosu, żeby wezwać kogoś na pomoc. Miał wrażenie, że ściany otaczają go coraz ciasniej, i poczuł, jak uginają się pod nim kolana. Gdyby Santini nie złapał go za kołnierz, z pewnością by upadł.

– Boisz się zamkniętych pomieszczeń, co? I pewnie boisz się też ciemności. Śpisz przy zapalanej lampce nocnej? W kształcie kaczuszki?

Dante nie odpowiedział, skupiając się na tym, aby nie stracić przytomności. Przeszłość wróciła jak błyskawica i dudniła wokół. Głos policjanta był stłumiony, jakby docierał zza cementowej ściany.

Ściany silosu.

*Zostaw mnie*, chciał powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle.

– To mnie powinienes się obawiać. Jeśli jeszcze raz przyjdiesz zawracać nam dupę tą historią z gwizdkiem albo mieszać się w śledztwo, to zamknę cię w jakiejś dziurze, najlepiej pod ziemią. I dostaniesz rurkę, żebyś mógł oddychać. Zrozumiano?

Dante nic nie rozumiał. Słyszał tylko wszechobecny głos Ojca, który docierał z góry i dyktował mu zasady. Upominał go, że znowu pomylił się przy powtarzaniu jego nauk, i mówił, że zasłużył na karę. Musi wziąć kij i uderzać nim w złą rękę w rytm odliczania.

Dante ujął wyimaginowany kij i próbował go unieść, ale Santini unieruchomił mu ramię.

– Przestań się miotać. Powiedz mi tylko, że zrozumiałeś. No już, mów!

W ciemnościach silosu Dante znalazł okienko prowadzące do współczesności i znalazł się z powrotem w śmierdzącej toalecie naprzeciw policjanta. Powracająca część jego świadomości pozwoliła mu poruszyć ustami i powiedzieć, że rozumie, chociaż nie wiedział, o co chodzi. Poczuł się niezwykle lekko i beztrosko.

Santini odwrócił się i wyszedł, zostawiając otwarte na oścież drzwi. Snop światła przeszył Dantego jak wyładowanie elektryczne. Osunął się na kolana na mokre kafle, a potem poczołgał na kolanach po brudnej podłodze w kierunku wyjścia.

Kiedy Colomba zobaczyła, jak Santini wsiada do samochodu i odjeżdża z piskiem opon,

pomyślała, że coś musiało się stać. Po chwili dostrzegła, że Dante próbuje wydostać się z toalety.

Podeszła do niego i uklękła, żeby unieść jego głowę. W tej samej chwili Minutillo przerwał rozmowę i biegnąc w ich stronę, przeklinał własną nieostrożność.

– Jak się pan czuje? Co się stało? – Przestraszyła się na widok Dantego.

– Nic. Niech mnie pani zostawi w spokoju – wyjęczał.

– Słyszała pani, co powiedział? – odezwał się Minutillo i odsunął ją bez ceregieli, po czym sam pochylił się nad Dantem. – Dasz radę wstać?

– Pomóż mi.

Adwokat musiał go podnieść. Spodnie i kurtka Dantego były mokre i pobrudzone. Minutillo zdjął więc swoje wierzchnie okrycie i zarzucił mu na ramiona.

– Jedziemy do domu.

– Panie Torre. – Colomba chciała się dowiedzieć, co się stało. – Proszę chwilę poczekać.

Dante w odpowiedzi wznosił oczy ku niebu.

– Widziałam, jak Santini w pośpiechu opuszcza parking. Czy on coś panu zrobił?

Mężczyzna niechętnie pokręcił głową.

– To nie ma znaczenia.

– Dla mnie ma.

– Agresja słowna i brak świadków. – Dante wskazał na drzwi restauracji, w których właśnie w tym momencie pojawił się De Angelis. Sędzia udał, że ich nie widzi. – Przecież widziała pani, jak zareagowali dzisiaj na moje zeznania. Naprawdę sądzi pani, że ktoś mi uwierzy?

– Ja panu wierzę.

– Ale nie, jeśli chodzi o zasadnicze kwestie.

Dante, wsparty na ramieniu swojego adwokata, powlókł się w stronę samochodu. Colomba ze złością kopnęła jakiś kamyk, ale nie pomogło jej to uwolnić się od złych myśli. Wręcz przeciwnie – zaczęły się nasilać. Nie bacząc na nic, postanowiła poradzić sobie z nimi inaczej i wskoczyła do samochodu. Na jej widok Alberti natychmiast wziął się w garść.

– Dokąd jedziemy, *dottoressa*?

– Do prokuratury. Włącz, kurwa, syrenę.

Alberti prowadził szybko, a za każdym razem gdy próbował zwolnić na jakimś skrzyżowaniu, Colomba wyrażała głośno swoje niezadowolenie.

Kiedy dotarli na via San Vitale, samochód Santiniego mijał właśnie otwarty szlaban i wjeżdżał na teren prokuratury.

Colomba wyskoczyła z radiowozu, machnęła strażnikowi przed nosem legitymacją i kiedy Santini otworzył drzwi, zobaczył ją przed sobą.

– Caselli? Czego chcesz?

Kopnęła go prosto w twarz. Wycelowała glanem w podbródek i funkcjonariusz upadł do tyłu na siedzenie, a przed oczami rozbłysł mu cały kalejdoskop gwiazd.

– Jak jeszcze raz się do niego zbliżysz, to zrobię ci krzywdę.

– Zwariowałaś? – wybełkotał, próbując się podnieść. Przypominał znokautowanego boksera, któremu ręce odmówiły posłuszeństwa.

– Zrozumiałeś?

Przybiegli dwaj policjanci w mundurach, ale wszystko odbyło się tak szybko, że nikt nie był w stanie powiedzieć, co się właściwie stało. Colomba zmierzała już w stronę bramy wjazdowej. Santini zaczął wrzeszczeć, ale ona nie poczekała, żeby posłuchać, co ma do powiedzenia.

## 8

Minutillo odwiózł Dantego do domu i wszedł z nim na górę, bo wiedział, że jego obecność pomoże mu pokonać schody. Przez całą drogę poruszali niezobowiązujące tematy, trzymając się jak najdalej od lasu i silosów. Dante nie chciał opowiedzieć, co się zdarzyło w toalecie, a adwokat wiedział, że lepiej nie nalegać.

Wraz ze zbliżaniem się do mieszkania, humor Dantego stopniowo się poprawiał, a kiedy przekroczyli próg, wydawało się, że mężczyzna odzyskał już zwykłą werwę. Minutillo nie mógł ukryć zdziwienia na widok chaosu panującego w pomieszczeniach.

W tym bałaganie kryła się jednak jakaś praktyczna idea, o czym świadczyły ścieżki wytyczone między całą masą przedmiotów, które zalegały na podłodze. Chociaż było też raczej czysto, to mieszkanie sprawiało wrażenie, że jego właściciel żył zbyt długo w odosobnieniu. Adwokat pomyślał, że musi zdecydowanie częściej sprawdzać osobiście samopoczucie przyjaciela, niezależnie od tego, jak błyskotliwy i odprężony będzie się wydawał przez telefon.

– Nie sądzisz, że nadszedł czas, żeby zrobić tu porządek?

– Nie przekroczyłem jeszcze stanu zagrożenia. Widzisz? Nie zatarasowałem przejścia do kuchenki. – Zamknął się w łazience, zrzucił z siebie brudne ubranie i wszedł pod prysznic. Kontynuowali rozmowę przez zamknięte drzwi.

– Zrób sobie kawy, jeśli chcesz – zaproponował Dante.

– Po piątej nie piję kawy. Gdzie się podziała kobieta, która ci sprzątała?

– Odeszła. Miała zbyt ograniczone horyzonty.

– Gdybyś mi powiedział, znalazłbym ci inną.

– Nie chcę, żebyś się kompromitował w agencjach. – Dante tarł mocno skórę, bo cały czas czuł zapach moczu, ale to raczej głowa płała mu figle. Zakręcił wodę. – To już nie pierwszy raz.

– Zawsze ostrzegam, że jesteś nieco ekscentryczny...

– Znajdź mi taką, która nie zna włoskiego, wtedy nie będę musiał chować dokumentów.

– A ta dziewczyna, z którą się spotykałeś? Jak ma na imię? – drażył adwokat, chociaż przeczuwał już odpowiedź.

– Też sobie poszła. I trudno ci będzie znaleźć mi inną w jakiejś agencji.

– Przykro mi. Dlaczego odeszła?

– Miała zbyt ograniczone horyzonty.

– Znowu to samo.

– Naprawdę? – Dante, ubrany w szary szlafrok, otworzył drzwi i wrzucił brudne ubrania do przepełnionego kosza na bieliznę. – Chyba powinienem je spalić.

Rozparł się wygodnie na kanapie, opierając stopy na podłokietniku, ale kiedy przypomniał sobie, że w takiej pozycji widział kilka godzin wcześniej Albertiego, zdecydował się usiąść normalnie. Młody policjant wyglądał na prawdziwą fujarę i Dante nie chciał nawet leżeć tak jak on.

– Martwię się o ciebie. Nie wychodzisz z domu, z nikim się nie spotykasz. A teraz jeszcze to... – powiedział Minutillo, ciągle stojąc.

– Co takiego?

– Nie udawaj głupka.

– Robercie... Od dawna jestem przekonany, że Ojciec żyje, a teraz mam dowód. Niewiele się zmieniło.

– Według mnie sporo się zmieniło.

– Udało mi się przeżyć i mam zamiar dalej to robić. Czasami pomyślę, co prawda, o tym chłopcu, który musi teraz cierpieć to samo co ja kiedyś, ale mam nadzieję, że będzie miał więcej szczęścia.

– A może wybrałbyś się na wycieczkę? Przecież dobrze znosisz podróż pociągiem. Albo znajdę ci kierowcę.

Dante zaśmiał się nerwowo.

– Może od razu dwóch uzbrojonych goryli pod drzwiami mieszkania.

– Mogę to zorganizować – odparł poważnie Minutillo.

– Nie jestem już dzieckiem, więc nie jestem atrakcyjną ofiarą dla niego.

– Nie wiemy, jaka jest jego idealna ofiara.

– Wszyscy są przekonani, że porwał tylko mnie, a teraz nie żyje.

– Ale ty nie. I ja też nie.

Dante odprawił przyjaciela ruchem ręki.

– Idź już. Mam zamiar mieszać środki psychotropowe z alkoholem, a nie mogę tego robić w twojej obecności.

– A co z policjantem, który cię zaatakował?

– Nie poniesie żadnych konsekwencji, jak zwykle, kiedy jakiś glina nieco przesadzi i nadużyje władzy.

– Zwłaszcza jeśli nie wniesiemy skargi.

– Odpłacę mu pięknym za nadobne, chociaż jeszcze nie wiem, jak to zrobię. Dobrze wiesz, że mam dobrą pamięć.

Minutillo podniósł kurtkę, którą Dante zostawił na podłodze, i złożył na pół.

– Masz tu sporo paczek. Zamówiłeś coś nowego do swojej kolekcji.

– To nie kolekcja tylko hołd dla dawnych czasów.

– Uważaj, żebyś się w tym nie pogrzebał.



Dante odczekał, aż ucichnie okropny hałas windy, którą zjeżdżał Minutillo, i dopiero wtedy pozwolił sobie na spontaniczną reakcję. Poderwał się z kanapy i zgasił światło. Szyba werandy połyskiwała, a dochodzące z zewnątrz smugi światła rysowały na podłodze wymyślne esy-floresy. W blasku ulicznych latarni majaczył budynek stojący po przeciwnej stronie ulicy. Dante poczekał, aż jego oczy przyzwyczają się do półmroku, po czym zaciągnął firany, pozostawiając jedynie niewielką szparę, w którą wsunął głowę. Teraz poza odbiciem własnej twarzy widział również kawałek dzielnicy, w której mieszkał.

Ojciec przebywał gdzieś tam na zewnątrz.

Chociaż klatka przypominała teraz wielkością cały świat, to Dante ciągle był jego więźniem.

Gdy Dante gasił światło, mając nadzieję, że dręczący go potwór nie będzie mógł go dostrzec w ciemnościach, Colomba wysiadła z radiowozu przed domem swojej matki. Zadzwoiła do niej w drodze do domu, a matka pełnym urazy głosem wypominała jej, że przez ostatnie dwa dni nie raczyła się nawet odezwać. Postanowiła więc przyspieszyć cotygodniową kolację.

Alberti patrzył na nią wzrokiem zbitego psa, otwierając drzwi samochodu.

– Jutro pójde do lekarza. Naprawdę fatalnie się czuję.

– Zgłoś to przełożonemu.

– Pani jest moim przełożonym.

– Teraz, kiedy wysiadłam z radiowozu, to już nie. – Przypomniała sobie kopniaka, którego wymierzyła wysiadającemu z auta koledze. – Pozdrów ode mnie komendanta Roverego.

– A więc do zobaczenia, *dottoressa*.

Colomba się uśmiechnęła i Alberti nagle zdał sobie sprawę, że jej twarz jest naprawdę piękna.

– Uważaj na siebie – dodała. – Bo inaczej skończysz tak jak ja.

Matka Colomby mieszkała w osiemnastowiecznej kamienicy za placem dell’Orologio, w samym centrum starego miasta. Odziedziczyła mieszkanie po zmarłym wiele lat wcześniej mężu, który z kolei dostał je w spadku po śmierci swojego ojca. Było ono częścią rodzinnych dóbr, które podupadły i zostały utracone razem z prawie wszystkimi pieniędzmi.

Jej matka miała sześćdziesiąt lat, takie same jak ona zielone oczy i lubowała się w mocnym makijażu w niebieskim odcieniu. Kiedy pojawiła się w drzwiach, miała na sobie dzinsy i białą koszulkę, założyła też kolczyki, które córka podarowała jej na Boże Narodzenie. Pocałowała Colombę na powitanie, a potem wskazała na biżuterię.

– Zobacz, noszę je.

– Widzę, to miło z twojej strony.

– Dlaczego jesteś taka brudna? Latałaś po polach?

Colomba rozwiązała sznurówki w ubłoconych glanach i zdjęła je razem z wilgotnymi skarpetami. Nie zwracając uwagi na matkę, która podawała jej papcie, ruszyła bosą po marmurowej posadzce. Od dziecka sprawiało jej to wielką przyjemność.

– Tak.

– Wróciłaś do pracy? – Twarz matki się rozjaśniła.

– Nie, mam. Ciągle jeszcze jestem na zwolnieniu.

Kobieta skrzywiła się, demonstrując w ten sposób rozczarowanie, i specjalnie utkwiała wzrok w upamiętniającej zaprzysiężenie córki fotografii, która wisiała w przedpokoju.

– Zobacz, jaka byłaś wtedy zadowolona.

– Młoda i głupia.

– Co ty opowiadasz? – obruszyła się matka i zaprosiła ją do kuchni. Na stole stało nakrycie dla jednej osoby. – Ja już jadłam.

Colomba usiadła przy stole.

– Co to za zwyczaj? Zapraszasz mnie na kolację, a potem nie chcesz ze mną zjeść?

– Cały dzień coś podjadam, nie jestem głodna. Postawiła przed còrką szklankę i nalała jej wina z tej samej butelki, którą otworzyła dla niej przed tygodniem. – Kupiłam ci coś w tym nowym barze, który otworzyli na naszej ulicy. Mają świetną kuchnię. Drogo jak diabli, ale smacznie.

– Dziękuję.

Wyłożyła jej na talerz cielęcinę w sosie z tuńczyka wprost z aluminiowej tacki. W zbyt rzadkim sosie pływał samotny kapar. Colomba jadła w milczeniu, a matka patrzyła na nią, stojąc przy stole.

– Wydaje mi się, że masz się już całkiem dobrze. Wróciłaś do formy, nie? Już nie kulejesz.

– Czasami kolano jeszcze mi dokucza.

– Ale widać, że wyzdrowiałaś.

Colomba odłożyła widelec zbyt gwałtownie – prawie uderzył w stół.

– O co ci chodzi?

– Jak nadziejesz się na kòregoś z kolegów, to co on sobie pomyśli?

– Źe mam farta. Źycie to nie film, mamó. Kiedy moi koledzy znajdą okazję, żeby wyrwać kilka dni wolnego, to z niej korzystają.

– Wszyscy?

– Nie, nie wszyscy. Ale mówimy o pracy, nie o powołaniu. Colomba wróciła do cielęciny. *A ja, jeśli kiedykolwiek je miałam, to bezpowrotnie utraciłam*, pomyślała. – Przez większość czasu wykonujemy po prostu rutynowe obowiązki.

– Twoja praca nie jest nudna.

– Jeśli ceną za ciekawe zajęcie jest pobyt w szpitalu, to niech żyje nuda.

– Ale możesz wrócić do służby, kiedy będziesz chciała? – Matka zadała to pytanie takim tonem, jaki słyzy się w filmach kryminalnych. – Wystarczy, jak powiesz, że już jesteś zdrowa?

– To trochę bardziej skomplikowane.

– Ale możliwe?

Colomba westchnęła.

– Tak, możliwe. Tylko że nie zamierzam tego robić.

– To kiedy chcesz wrócić do pracy?

– Nigdy. Mam zamiar się zwolnić.

Colomba chciała jej to powiedzieć w delikatniejszy sposób, ale wyszło, jak wyszło. Matka odwróciła się w stronę kuchenki, na której leżała tłusta reklamówka z baru.

– Aha.

Colomba dobrze wiedziała, że lepiej puścić to mimo uszu, ale nie wytrzymała:

– Co chcesz przez to powiedzieć, mamó?

Kobieta odwróciła się w stronę córki. Na jej twarzy malowało się ogromne rozczarowanie. Jak wtedy, gdy w wieku czternastu lat Colomba oświadczyła, że kończy z zawodami pływackimi, gdy w wieku szesnastu lat nie chciała już grać na pianinie, a mając dwadzieścia dwa, przystąpiła do konkursu na komisarza, zamiast pisać doktorat.

– To twoja decyzja. Nie mogę ci zabronić, jeśli chcesz zniszczyć wszystko, co osiągnęłaś. Chociaż ja i twój ojciec musieliśmy sporo poświęcić, żebyś mogła się uczyć.

– Przecież skończyłam studia. I jeśli dobrze pamiętam, to nie chciałaś, żebym się zgłosiła na konkurs. Powiedziałaś mi wtedy: Co ci przyszło do głowy? Masz zamiar wypisywać mandaty?

– Ale potem zrozumiałam, że lubisz swoją pracę. Widziałam, że jesteś zadowolona!

– Zobaczyłaś moje zdjęcie w gazecie i spuchłaś z dumy.

– A co w tym złego?

– To, że prawie straciłam życie, mamó. Naprawdę cię to nie zmartwiło?

W oczach matki pojawiły się łzy.

– Jak możesz zarzucać mi coś takiego?

Colomba straciła cierpliwość. Włożyła naczynia do zmywarki, a potem glany na gołe nogi i wyszła, trzaskając drzwiami. Ruszyła pieszo w stronę domu, czując w żołądku zalegające jedzenie. Miała wielką ochotę, żeby jakiś obleśny typ ją zaczepił, bo wtedy mogłaby wyładować na nim złość. Specjalnie wybierała najciemniejsze zaułki, zwalniając z nadzieją na widok osobników płci męskiej, ale czarna chmura, która ją spowijała, skutecznie odstraszała potencjalnych kandydatów. Dotarła do domu całkiem przybita. Przyszła jej nawet ochota, aby zapukać do mieszkania sąsiada, który pewnego razu oddał jej stringi, które susząc się na sznurku, spadły na jego balkon (następnego dnia kupiła elektryczną suszarkę). Spojrzał na nią wtedy takim wzrokiem, jakby miał wbudowany rentgen, i powiedział: „Na pewno świetnie leżą”. Wyrwała mu majtki z ręki i wysłała do diabła, a teraz marzyła o tym, żeby natknąć się na niego i zobaczyć jego obleśny uśmiezek.

Tymczasem na ostatnim stopniu schodów siedział Rovere.

## 10

W głowie Colomby pojawiły się następujące rozwiązania: ominąć szefa, nie zwracając uwagi na jego obecność, złapać go za nogę i ściągnąć na dół po schodach, wykrzyknąć mu wszystko prosto w twarz. W końcu wybrała czwartą możliwość i usiadła obok.

– Santini ma siny podbródek i jest wściekły jak głodny pies – odezwał się Rovere.

– Niech złoży doniesienie.

– Wyśmialiby go, że dał się pobić kobiecie. Dlatego opłaca mu się siedzieć cicho. – Komendant zapalił papierosa. – Czy to on zostawił ci te ślady na szyi?

Colomba dotknęła ręką karku; całkiem zapomniała już o tych zadrapaniach.

– Nie. Taki jeden, co wystaje pod domem Torrego.

– Mam wrażenie, że wzięłaś sobie do serca jego sytuację.

Colomba pominęła uwagę milczeniem.

– Zabierz ze sobą niedopałek. Nie chcę, żeby portierka się do mnie przyczepiła – zmieniła temat.

– Moglibyśmy porozmawiać w środku?

– Nie.

– Jak chcesz. – Otworzył aktówkę, która leżała na schodach, i wyjął z niej kaburę i pistolet marki Beretta, przypominający miniaturową wersję służbowej broni. Px4 compact. Dziesięć nabojów w magazynku i jeden w lufie. Łatwy do ukrycia.

– Żartuje pan sobie ze mnie?

Rovere położył między sobą a Colombą pistolet, dwa pudełka amunicji kaliber 9 mm i magazynek. Na tym umieścił nowiutkie pozwolenie na broń. Na zdjęciu widniała twarz Colomby sprzed pięciu lat. To była ta sama fotografia, której użyła do wyrobienia nowej legitymacji.

– Pozwolenie na broń do obrony osobistej – wyjaśnił komendant. – Broń została zarejestrowana na twoje nazwisko. Sama rozumiesz, że nie mogę ci oddać służbowego pistoletu, dopóki jesteś na zwolnieniu.

– Czyli do jutra. Zaraz przyniosę panu dymisję.

– Nie możesz się teraz wycofać.

Colomba uderzyła pięścią w poręcz, aż dźwięk odbił się echem po całej klatce schodowej.

– Jeśli w ogóle mieliśmy szansę, żeby zmienić kierunek śledztwa, to ją zaprzepaściliśmy. Torre zachowywał się jak szaleniec.

– A jeśli ma rację?

Colomba wstała.

– Tak bardzo zależy panu na pogrążeniu Santiniego, że jest pan gotowy na wszystko! Ale ja nie! Proszę tu poczekać, przyniosę panu ten pieprzony papier.

Rovere chwycił ją za ramię.

– Jeśli chodzi o gwizdek, to Torre powiedział prawdę.

– Skąd pan wie?

Komendant ponownie zajrzał do torby i wyjął z niej plik kartek w plastikowej koszulce.

– Dzisiaj zarzucono Torremu, że nigdy wcześniej nie wspominał o gwizdku, i on to potwierdził. Tak naprawdę nigdy nie rozmawiał o tym z policją, ale powiedział to pewnej dziennikarce. Czytaj! To pierwszy i jedyny wywiad, jakiego udzielił.

Podał jej plastikową koszulkę zawierającą fotokopię artykułu z tygodnika „Oggi”. Na stopce widniała data: sierpień 1991 roku. Dwa lata po ucieczce Dantego. W artykule były trzy zdjęcia. Siedział na ławce w parku, wyglądał bardzo młodo, chociaż miał kilka kilogramów więcej niż obecnie. Rzadka bródka, nienaturalna poza mająca świadczyć o refleksyjnym charakterze, dobra ręka wspierająca podbródek, a ta okaleczona schowana w kieszeni. Sprawiał wrażenie chłopaka udającego mężczyznę. Miał na sobie szerokie sztruksowe spodnie, które dawno wyszły z mody.

Wywiad niewiele miejsca poświęcał porwaniu i życiu w odosobnieniu, skupiając się na chwili obecnej: stosunki z ojcem, powrót do domu po wielu latach... Dziennikarka wyjaśniła, że Dante wyznaczył jej spotkanie w parku na placu Roma w Cremonie, ponieważ chciał spędzać jak najwięcej czasu na otwartej przestrzeni. „Zbyt długo trzymano mnie w zamknięciu” – powiedział. Nie wiadomo, czy już wtedy cierpiał na klaustrofobię, czy tylko udawał, a pierwsze symptomy choroby pojawiły się dopiero później. Cały artykuł był sztuczny i przesłodzony. Dante opowiadał, że chce się zapisać na uniwersytet po zdaniu eksternistycznie kilku egzaminów, że marzy o jeździe na rowerze po nabrzeżach Padu, aby poczuć się naprawdę wolnym. „Chciałbym skończyć studia i wstąpić do policji, aby zapobiegać takim sytuacjom, jaka mi się przydarzyła” – takimi słowami kończył się wywiad. Tytuł artykułu brzmiał: *Chłopiec więziony przez jedenaście lat w silosie chce zostać policjantem*. Zamieszczono również zdjęcie silosu, którego Colomba nigdy wcześniej nie widziała. Był to cementowy klocek, wysoki na sześć metrów, o średnicy czterech, czarny od dymu po pożarze, który wzniecił Bodini w swoim gospodarstwie, zanim popełnił samobójstwo. Przez chwilę Colomba próbowała sobie wyobrazić, że siedzi zamknięta w środku.

Rovere podkreślił żółtym mazakiem jedną z wypowiedzi Dantego, jedyną, w której Colomba odnalazła ślad znajomego poczucia humoru. „Policja odnalazła większość moich przyborów szkolnych. Niestety, zaginął metalowy gwizdek, który uważałem za swój szczęśliwy talizman, chociaż okazało się to nieprawdą”.

Rovere wskazał palcem na to zdanie.

– To niemożliwe, żeby Torre powiedział coś takiego z zamiarem wykorzystania tych słów dwadzieścia lat później.

– To oznacza, że nie kłamał w sprawie swojej przeszłości, a nie, że ma rację, jeśli chodzi o obecną sytuację. Przecież jego porywacz nie żyje.

– Być może prowadzący wtedy śledztwo popełnili błąd. Może Torre mówił prawdę przez te wszystkie lata, tylko nikt mu nie wierzył?

– Nie sądzi pan, że był ku temu powód? – zapytała Colomba, udając pewność, której w rzeczywistości jej brakowało.

– Jesteś pewna, że to nie on zawiesił gwizdek na słupie?

– Tak.

Rovere gestykułował, nie wypuszczając z palców zgaszonego niedopałka.

– Spójrz na zdjęcie w tym artykule.

Colomba zdjęła spinacz i wzięła do ręki fotografię przedstawiającą placyk przy obwodnicy.

– Funkcjonariusze z UCV-u mają swoje wady – ciągnął komendant – ale sprawdzili wszystkie możliwe drogi prowadzące na miejsce zbrodni. A ponieważ robienie zdjęć sprawia im frajdę, to dziś rano sfotografowali również słup, na którym znaleźliście gwizdek.

– I tu jest pies pogrzebany. Nie mógł tego zrobić uciekający morderca – zauważyła Colomba.

– Masz rację, gwizdek pojawił się później. Co oznacza, że to nie deszcz zmył ślady organiczne, bo dzisiaj nie padało.

Colomba spojrzała na niego podejrzliwie.

– Sporo pan wie o tym, co powiedział dzisiaj De Angelis, a wątpię, że on sam albo Santini jest pana informatorem. Zrobił to policjant spisujący zeznania?

– Stary przyjaciel – przyznał nieco zakłopotany Rovere. – A więc morderca wrócił na miejsce zbrodni po odejściu tych z UCV-u i powiesił zabawkę na słupie.

– Rzykował, że ktoś go zobaczy?

– Może miał ważny powód.

– Chciał zostawić znak rozpoznawczy?

– Właśnie. I to na chwilę przed tym, zanim pojawiła się tam jedyna osoba, która była w stanie go rozpoznać.

– To czyste szaleństwo – mruknęła Colomba, czując ogarniający ją chłód. – Po prostu nieprawdopodobne.

– Jasne. To może być zwykły zbieg okoliczności. Albo Torre całkiem postradał zmysły, albo...

– Albo porywacz przebywał ciągle w tej okolicy – szepnęła – i go rozpoznał.

– Sama zdecyduj, w co chcesz wierzyć.

Colomba chwyciła pistolet i zbiegła po schodach.

Dante wybrał idealny punkt obserwacyjny. Usiadł na podłodze, opierając się plecami o drzwi wejściowe. Z tego miejsca miał doskonały widok na okolicę przez prześwit między firankami, który zostawił w środkowym oknie salonu. Kiedy umiejętnie poruszał głową, jego pole widzenia sięgało prawie stu osiemdziesięciu stopni i obejmowało okoliczne budynki, gdy tymczasem sam pozostawał niewidoczny pod osłoną ciemności i stojącego nieopodal stołu. Ciągle miał na sobie szlafrok, a pośladki zeszywniały mu od siedzenia na zimnej podłodze, ale był zbyt wyczerpany, żeby się przebrać. Na samą myśl, że musiałby wstać i zrobić cokolwiek innego poza obserwowaniem budynków, jego wewnętrzny termometr zaczynał natychmiast niekorzystnie reagować.

Dwa razy stracił poczucie miejsca, w którym się znajdował. Za pierwszym razem zdawało mu się, że ciągle jeszcze jest w silosie, za drugim miał wrażenie, że przebywa w szpitalu, gdzie poznał Lodovicę.

To była pierwsza dziewczyna, z którą się spotykał. Od ucieczki z silosu upłynęło dwa lata i sześć miesięcy. Leczyła się z uzależnienia od amfetaminy, a Dante trafił do kliniki za radą prawnika ojca, po tym jak stracił nad sobą panowanie w miejscu pełnym ludzi. Bardzo się nudził, a Szwajcaria wydawała mu się wtedy okropna. Jeszcze nie wiedział, że spędzi tam cztery kolejne lata swego życia, nie będąc w stanie podjąć decyzji o powrocie do domu czy zmianie miejsca leczenia.

Ludovica była dwa lata młodsza od niego, biorąc pod uwagę metrykę, ale jeśli chodzi o dogłębną i wszechstronną znajomość świata, to wyprzedzała go o lata świetlne. Po powrocie z przymusowego odosobnienia Dante spędzał wiele czasu na zbieraniu informacji o otaczającym go świecie, lecz to, co dla niego było czystą abstrakcją, ona miała po prostu we krwi. Jako córka dyplomaty zmieniała miasta i państwa co najmniej z dziesięć razy, zanim udało jej się skończyć gimnazjum, i za każdym razem musiała na nowo szukać przyjaciół i przyzwyczajać się do nowych warunków. W wieku czternastu lat za namową starszych kolegów zaczęła sporadycznie przyjmować kokainę i upijać się prawie co wieczór, bo odkryła, że *bad girls* są częściej zapraszane na imprezy. Straciła cnotę z rówieśnikiem, synem ambasadora, kiedy miała piętnaście lat. Ten sam chłopak pokazał jej, jak się robi „bazę”, rozpuszczając kokainę w zmywaczu do paznokci i wkładając mieszankę do zamrażalnika. Rok później po raz pierwszy trafiła do szpitala po przedawkowaniu metadonu i od tego czasu zaczęły się jej pielgrzymki po różnych klinikach. Wtedy była w czwartej.

Pewnego dnia udało jej się zdobyć klucze do sali spotkań i tam kochali się po raz



pierwszy. Kiedy było po wszystkim, Ludovica, głaszcząc go po złej dłoni, zapytała, czy Ojciec wykorzystywał go seksualnie. Dante tak się zgorszył tym pytaniem, że na chwilę stracił mowę. Między nim i Ojcem nigdy do czegoś takiego nie doszło. Ale nie był w stanie wyjaśnić, na czym polegała ich szczególna relacja, nie umiał wyrazić uczuć, którymi darzył tego człowieka, pomimo wyrządzonej mu krzywdy, i po prostu się rozplakał. A dziewczyna próbowała go pocieszyć, trzymając jego głowę na swoich kolanach aż do światu.

Przez trzy miesiące byli nierozłączni. Nawet kiedy Ludovica wyszła ze szpitala, odwiedzała go codziennie, a czasami zostawała też na noc i na dźwięk kroków pielęgniarza chowała głowę pod kołdrę, śmiejąc się jak szalona. Potem jej ojciec został skierowany na nową placówkę – wysłano go do jednego z krajów afrykańskich – i Ludovica wyjechała z nim. W dniu wyjazdu Dante miał tak silny atak, że nie był w stanie opuścić pokoju, aby się z nią pożegnać. Psychiatra zdiagnozował u niego zaburzenia wskazujące na syndrom porzucenia.

Teraz Dante zastanawiał się, czy Ludovica dalej bierze narkotyki, ryzykując życie, czy może wyszła za mąż za jakiegoś syna dyplomaty. Oczywiście życzył jej szczęśliwego małżeństwa, chociaż na wieść o nim, pewnie nie potrafiłby ukryć lekkiego rozczarowania.

Ktoś zadzwonił do drzwi i Dante zgubił wątek myśli, a potem na próżno usiłował do niego powrócić. Dzwonek odezwał się ponownie i teraz towarzyszył mu głos Colomby:

– Panie Torre, to ja, Caselli! Proszę otworzyć.

Mężczyzna się nie poruszył. Kolejny dzwonek.

– Panie Torre. Jeśli wszystko w porządku i słyszy mnie pan, proszę się odezwać.

Dante podniósł rękę i przekręcił gałkę zamka. Jego ruchy sprawiały wrażenie, jakby pochodziły z filmu wyświetlanego w zwolnionym tempie. Przeciąg poruszył drzwiami.

Colomba popchnęła je delikatnie.

– Panie Torre? – Za progiem było ciemno i nic nie mogła dostrzec.

Nie odrywając wzroku od wejścia, policjantka instynktownie wyjęła pistolet z kabury i skierowała go przed siebie. Przemknęło jej przez głowę, że broń jest jakaś obca i zbyt lekka. Palcem wskazującym prawej ręki odbezpieczyła pistolet, po czym oparła go o lufę, aby uniknąć przypadkowych strzałów. Popchnęła drzwi stopą, ale zablokowały się w połowie drogi, uderzając w jakąś przeszkodę.

Colomba znajdowała się już na granicy wytrzymałości, napięcie okazało się zbyt duże. Nagle w ciemności zaczęły poruszać się cienie, a w uszach rozbrzmiały krzyki i szepty, które tylko ona mogła usłyszeć. Trzęsa się jak osika, brakowało jej powietrza, a w głowie pulsowało jedno słowo: *uciekaj!* Na drżących nogach weszła do mieszkania i wymierzyła pistolet w stronę czegoś, co blokowało wejście. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że ma przed sobą skulonego i owiniętego szlafrokiem Dantego.

Colomba koniecznie chciała zaczerpnąć świeżego powietrza. Poczwała, jak powoli uginają się pod nią nogi. Uderzyła pięścią w ścianę i ból jak zwykle wyzwolił ją z objęć panicznego

strachu. Zaczęła normalnie oddychać i kaszleć, przyglądając się swemu ogromnemu cieniowi z bronią, który zajmował sporą część pokoju.

– Wszystko w porządku, panie Torre? – zapytała zdławionym głosem.

– Tak – opowiedział, nie ruszając się z miejsca.

– Jest pan sam?

– Tak, ale niech się pani odsunie od światła. – Dante wskazał na okno. – Jest tam...

Colomba schowała broń do kabury i po omacku znalazła włącznik światła, które zalało pokój, płosząc widma. Mężczyzna mrugał nerwowo, wracając powoli do rzeczywistości.

Policjantka pomogła mu wstać. Nie pamiętał, kiedy miał tak jasno oświetlone mieszkanie. Pstryknęła mu palcami przed nosem.

– Jest pan tutaj?

– Tak, tak. – Dante opadł ciężko na kanapę. Jego organizm powoli wracał do normy, a wewnętrzny termometr stabilizował się na zadowalającym poziomie. – Straciłem poczucie rzeczywistości.

– Często się to panu zdarza?

– Ostatnio już nie.

Colomba przyniosła mu szklanekę wody, potem wzięła z kuchni krzesło i usiadła przed nim, opierając podbródek na złączonych dłoniach.

– Sądzi pan, że Ojciec pana pilnuje?

– Zostawił ten gwizdek dla mnie. To znaczy, że wie o moim zaangażowaniu w sprawę.

– Dlaczego pan o tym nie wspomniał, skoro ma pan pewność?

– Komu? Tym dwom milusińskim, którzy mnie przesłuchiwali?

– Mnie.

Dante usiłował przywołać na twarz chociażby cień swojego zwykłego grymasu.

– Nie pomyślałem o tym.

– Powiedział pan o tym przynajmniej adwokatowi?

– Nie... Już i tak bardzo się o mnie martwi. – Dante wypił wodę i odstawił szklanekę na stos katalogów z biur podróży. – A skąd się wzięły pani wątpliwości?

– Przejrzałam raport UCV-u. Wynika z niego, że gwizdek pojawił się na słupie dopiero na kilka godzin przed naszym przybyciem.

– Nie uważa pani, że to zbieg okoliczności?

– Nie wierzę w powrót pańskiego porywacza. Co więcej, na tym etapie śledztwa nie mam prawa kwestionować winy Maugeriego.

– To po co pani tu przyszła?

– Bo boję się, że mogłam się pomylić, chociaż wiem, że to całkiem absurdalna obawa. Ale gdyby jednak tak było, to jest pan w niebezpieczeństwie.

Dante w końcu zdołał się uśmiechnąć w charakterystyczny dla siebie sposób.

– Dziękuję, że przyszła mi pani z pomocą. Zdaję sobie sprawę, ile to panią kosztowało.

– Tyle co benzyna do samochodu.

– Nie to miałem na myśli.

Colomba spojrzała na niego podejrzliwie.

– A co?

– Cierpi pani na zaburzenia, które zważywszy na wykonywaną pracę, mają pewnie coś wspólnego ze stresem pourazowym. Ataki paniki, złudzenia sensoryczne... Kiedy pani weszła, przestraszyłem się, że mnie pani zastrzeli. To by tłumaczyło, dlaczego nie jest pani na służbie.

– To pan nie był wtedy sobą. Ja czuję się świetnie.

– O, podrapała się pani po nosie, to znaczy, że pani kłamie.

– Niech pan przestanie!

– Dlaczego? Rozmowy o nosach są bardzo ciekawe. Wie pani, że długość kciuka odpowiada wielkości nosa?

Colomba musiała się powstrzymać, żeby nie sprawdzić.

– Powie mi pan wreszcie coś, co będzie w stanie zmienić moje bezsensowne obawy w uzasadnione wątpliwości? Potrzebuję informacji, którą mogłabym przekazać sędziemu śledczemu.

– Wie pani, co chciał mi powiedzieć Ojciec za pomocą tego gwizdka?

– On nie żyje od wielu lat, Torre.

– Chciał mi powiedzieć: Trzymaj się z daleka od mojego terytorium. I mam zamiar go posłuchać.

– Jeśli jakimś cudem to jest Ojciec... Skąd może pan wiedzieć, co nim kieruje? Mam panu przypomnieć, co sam pan niedawno powiedział o jego nieprzeniknionym umyśle?

– Co mi pani proponuje?

Colomba się zawahała. Właśnie zamierzała zaangażować się w coś wbrew własnej woli. Tylko że już tkwiła w tym po same uszy i miała tego świadomość.

– Ułatwię panu dostęp do wszystkich informacji na temat pańskiego porwania, a także sprawy Maugeriego.

– A czego pani ode mnie oczekuje?

– Żeby pan udowodnił tezę, że chłopczyk nie został zamordowany przez swojego ojca i że ta sprawa łączy się z pańskim porwaniem. Ja postaram się, żeby materiały dotarły do odpowiednich osób, może uda nam się uratować dziecko, a pan będzie bezpieczny.

– A jak mi się nie uda?

– Będziemy mieli pewność, że to Maugeri zabił syna i że pański wymagany prześladowca nie istnieje. Ja wrócę do mojego życia, a pan do swojego.

Dante rozsiadł się wygodniej na kanapie.

– Co się pani przytrafiło?

– Słucham?

– Dlaczego tak bardzo martwi się pani o mnie i o tego chłopca? Przecież prawie nas pani nie zna, a mimo to, wbrew wszelkiej logice, chce nam pani pomóc.

– Może nudzi mi się siedzenie w domu i drapanie się po tyłku.

Dante zmrużył oczy, na chwilę jego spojrzenie stało się zimne i bezlitosne. Wręcz drapieżne.

– A może chce pani odkupić swoje winy. Te, które powodują, że w nocy budzi się pani bez tchu?

Na twarzy Colomby nie drgnął ani jeden mięsień.

– Świetnie śpiam – odpowiedziała.

– Prosi mnie pani o pomoc, nie przestając kłamać na temat swego stanu psychicznego. Uważa pani, że to w porządku?

Tym razem Colomba spuściła wzrok i Dante zrozumiał, że się zawstydzila. Jemu też się to wcześniej zdarzało.

– Jeśli naprawdę chce mi pani pomóc, to muszę pani ufać – ciągnął. – Chcę poznać prawdę. Pani prawdę. W przeciwnym razie sprawdziłbym w Internecie.

Colomba zerwała się z krzesła i Dante pomyślał z przykrością, że wyjdzie i już nigdy więcej jej nie zobaczy. Tymczasem ona zapragnęła tylko odrobiny wygody, zdejmując głany i masując skostniałe stopy. Dantego zaciekało, gdzie mogła zostawić skarpety, skoro przez całe popołudnie się nie przebierała.

– W Internecie nie znajdzie pan tych informacji, bo nigdy nie padło moje nazwisko. Policyjne sekrety. – Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. – Zrobimy tak, panie Torre: kiedy poczuje się swobodnie w pana towarzystwie, a nie jest powiedziane, że to kiedykolwiek nastąpi, pewnego dnia, gdy będę w doskonałym humorze lub w głębokim dołku, wszystko panu opowiem. A na razie musi się pan zadowolić informacją, że potrafię nad sobą panować.

– Bez środków psychotropowych?

– Nie lubię faszerować się świństwami. Jednak niezależnie od mojego samopoczucia zapewniam pana, że nie użyję broni, jeśli naprawdę nie będzie to konieczne, i nie narażę pana na niebezpieczeństwo.

– Ile razy strzelała pani do ludzi, CC?

– CC to idiotyczny pseudonim. I nie mam zamiaru odpowiadać na to pytanie. Musi mnie pan zaakceptować taką, jaka jestem.

Dante dostrzegł w jej oczach orzechowy odcień, który sprawił, że się zgodził. Najbardziej trzeźwo myślący człowiek na świecie – jak sam lubił siebie określać – podejmuje decyzje pod wpływem kobiecego spojrzenia. Tylko tego brakowało! Dante podniósł się z kanapy.

– Zaparzę pani kawy, na dworze jest dość zimno.

Colomba też wstała.

– Wcale nie zamierzam wychodzić. Ale kawa się przyda, bo mam tu coś do zrobienia.

Muszę przeszukać mieszkanie.

Dante zamrugął nerwowo.

– Chyba jestem jeszcze zamroczony. Czy mi się zdawało, czy powiedziała pani przeszukać?

Colomba już zaczęła się rozglądać dookoła.

– Jeśli ktoś rzeczywiście pana obserwuje, to nie używa w tym celu lornetki. Przynajmniej nie tylko. Sprawdzę, czy w mieszkaniu nie ma ukrytych mikrofonów i minikamer.

Dante z niepokojem wpatrywał się w oświetlone okna budynku po przeciwnej stronie ulicy.

– Naprawdę chce pani grzebać w moich rzeczach?

Colomba uniosła brwi.

– Może pan pochować to, czego nie powinnam zobaczyć.

– Co? Nie... źle mnie pani zrozumiała. Nie mam w domu niczego nielegalnego poza tym lekarstwem kupionym przez Internet. Tylko nie chciałbym, żeby mi pani narobiła bałaganu w archiwum. – Dante zawiązał mocnej szlafrok, ruszył w stronę pokoju gościnnego i otworzył na oścież drzwi. – Proszę spojrzeć.

Colomba zatrzymała się na progu.

Pokój o wymiarach trzy na cztery metry aż po sufit zawałony był pudełkami. Przez środek w kierunku wychodzącego na podwórze okna prowadził wąski korytarz, oświetlony żarówką, która zwisała z sufitu, rzucając słabe światło.

– Archiwum straconego czasu – powiedział Dante.

– Słucham?

– Co pani pamięta z osiemdziesiątego czwartego roku?

– Tak z biegu to nic.

– Alphaville odnieśli sukces na listach przebojów piosenką *Forever Young*. – Zanucił refren i okazało się, że ma dość dobry słuch.

– Tak, rzeczywiście.

– Na ekrany wszedł film Johna Miliusa *Czerwony świt*. Świetna produkcja. W porównaniu z pierwowzorem remake jest okropny.

Colomba niewiele pamiętała z tego filmu.

– I co dalej?

– Ja nie wiem, co nas kształtuje, CC...

– Niech pan przestanie nazywać mnie CC.

– Ale po części na pewno wspomnienia, nawet te, które się zatarły z biegiem czasu. – Dante otworzył pudło stojące przy drzwiach i wyjął niebieską maskotkę. – Takie jak to.

Colomba natychmiast rozpoznała postać.

– Papa Smerf.

– Był w czekoladowych jajkach firmy Kinder. Dokładnie w tych z osiemdziesiątego dziewiątego roku. Rodzice je pani kupowali?

– Tak, w szkole wymienialiśmy się maskotkami.

– Kiedy Ojciec trzymał mnie w odosobnieniu, nigdy nie dostawałem słodyczy. Tylko to, co uważał za zdrowe jedzenie. Nigdy nie słuchałem muzyki i nie oglądałem filmów. Istnienie Papy Smerfa odkryłem na eBayu, gdzie zapłaciłem za niego czterdzieści euro. Według kolekcjonerów zrobiłem kokosowy interes. – Uśmiechnął się gorzko.

– Próbuje pan odzyskać czas stracony w silosie – zauważyła wstrząśnięta Colomba. *Biedny człowiek*, dodała w myślach. Nawet w więzieniach o zaostrzonym rygorze osadzeni nie byli do tego stopnia izolowani od świata. Pomyślała, że jego częściowy powrót do zdrowia to prawdziwy cud.

Dante pokiwał głową.

– Zacząłem gromadzić te przedmioty, kiedy zdałem sobie sprawę, że czasami nie rozumiem, o czym mówią moi rówieśnicy. Rozmawiali o filmach, niemal omdlewali, słysząc jakąś piosenkę, która dla nich znaczyła bardzo dużo, a dla mnie absolutnie nic.

– Zbiera pan wszystko?

– Nie. Tylko to, co należy do kultury popularnej Zachodu. Historii można nauczyć się z książek, ale jeśli chodzi o programy telewizyjne i zabawki, to trzeba je obejrzeć i ich dotknąć, aby cokolwiek zrozumieć. I jest jeszcze muzyka, bez słuchania się nie obejdzie. Ale odkąd istnieje Spotify, nie kupuję już kompaktów.

– Nikt już nie pamięta o większości z tych rzeczy, które pan kolekcjonuje.

– To się tylko tak wydaje. Od jak dawna nie myślała pani o smerfach i o maskotkach wymienianych w szkole?

– Od bardzo dawna.

– A jednak od razu je sobie pani przypomniała. Nasze doświadczenia mają ogromny wpływ na to, jak się zachowujemy, jak mówimy, z czego się śmiejemy i jakie decyzje podejmujemy. Nie byłbym w stanie wykonywać mojej pracy bez tych kapsułek czasu. W zeszłym roku tylko dlatego odnalazłem pewną cierpiącą na psychozę maniakalno-depresyjną dziewczynę, która uciekła z domu, że zrozumiałem, co miała na myśli jej siostrzyczka, mówiąc: pojechała ze Scooby-Doo.

– A co miała na myśli?

– Samochód volkswagen T2. Członkowie Tajemniczej Spółki mają takie auto pomalowane w kwiaty, bo są hippisami. Nazywa się Mystery Machine. Wie pani, że istnieje teoria, według której Scooby to jedynie złudzenie używających LSD przyjaciół.

– Na wszystko jest odpowiednia teoria – powiedziała niezbyt zainteresowana Colomba, po czym wskazała na drzwi prowadzące do archiwum. – Mogę?

– Proszę bardzo.

Policjantka weszła do pokoju i otworzyła przypadkowo wybrane pudło, a Dante ostrożnie zatrzymał się na progu. W środku były kasety wideo. Pierwsza zawierała nagranie jakiegoś programu telewizyjnego.

– *Non stop?* – przeczytała.

– Program rozrywkowy nadawany w latach siedemdziesiąt siedem – siedemdziesiąt dziewięć. Telewizja od czasu do czasu powtarza filmy, ale tego typu programy trzeba zamówić bezpośrednio u producenta lub odkupić od innych kolekcjonerów.

– Straszne bzdury.

– W tym odcinku facet przebrany za marynarza wkłada sobie do ust filizanki.

Strzępy obrazu przemknęły jej przez myśl.

– Jack La Cayenne. Nie było mnie jeszcze wtedy na świecie, więc jak to możliwe, że o nim pamiętam?

– Bo stanowi część świadomości kolektywnej albo, co bardziej prawdopodobne, widziała pani jakiś fragment, który powtarzano w czasie wakacji. W każdym razie mam rację.

Colomba zamknęła pudło, ale jej mina świadczyła, że nie do końca podziela opinię Dantego.

– Czy tutaj znajduje się cała pańska kolekcja?

– Nie, to są materiały, z którymi nie zdążyłem się jeszcze zapoznać. Kompletny zbiór trzymam w wynajętym garażu i raz w miesiącu płacę takiemu jednemu, żeby odkurzył papiery. Po śmierci przekażę wszystko fundacji mojego imienia.

*A oni to zaraz spalą,* pomyślała Colomba.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko, to zacznę od tego pomieszczenia, bo tu jest najwięcej roboty. Postaram się nie narobić bałaganu.

Dante się zgodził.

– Skoro już musi pani grzebać w moich rzeczach, to może przejdziemy na ty? Będę się czuł swobodniej.

– Jasne, nie ma problemu – zgodziła się Colomba.

Mężczyzna wyciągnął dobrą rękę.

– Dante.

Policjantka uścisnęła jego dłoń.

– Colomba.

– CC.

– Spadaj.

Zaśmiał się.

– Zrobię ci dobrej kawy.



Przez całą noc Colomba przeglądała pudła i szuflady, przesuwała meble, ostukiwała płytki, sprawdzała kontakty i żyrandole, starając się nie robić hałasu i nie pobudzić sąsiadów, chociaż nie było takiej potrzeby, bo Dante już dawno zlecił izolację ścian i podłogi. Kilka razy poczuła zmęczenie, ale była przyzwyczajona do bezsennych nocy, a przeglądanie kolekcji Dantego było ciekawsze niż zasadzki w policyjnej ciężarówce polegające na podsłuchiwaniu podejrzanych osobników.

W archiwum znalazła wiele przedmiotów, które przeniosły ją w szczęśliwsze czasy – trafiła nawet na perfumy na bazie paczuli, których używała w szkole średniej. Kiedy je powąchała, nie mogła uwierzyć, że tak bardzo zmienił się jej gust.

Dante towarzyszył jej przez jakiś czas, opisując jedne rzeczy i zachwycając się innymi – przypominał niewyczerpaną studnię wiedzy i anegdot na temat każdego pojedynczego obiektu – później jednak głos mu zmatowiał i po pewnym czasie Colomba znalazła go z głową na poduszce w łóżku stojącym na werandzie. Poczowała ulgę. W ostatnich dniach Dante rozmawiał prawdopodobnie z większą liczbą osób niż w ciągu minionych sześciu miesięcy i teraz potrzebował odpoczynku.

O siódmej mężczyzna otworzył oczy i zobaczył Colombę wychodzącą z łazienki. Mokre włosy związała gumką na karku, a w dłoniach trzymała duży kubek. Koszulka przylegała do jej mokrej skóry. Po skończonej pracy po prostu weszła pod prysznic.

– Nie chciałam cię obudzić – usprawiedliwiła się.

Dante ześlizgnął się z łóżka, owijając nagie ciało prześcieradłem. Przez moment nie mógł sobie przypomnieć, kim ona jest, i pomyślał nawet, że ma do czynienia z byłą dziewczyną.

– Co pijesz?

– Kawę z mlekiem.

Poczuł zimny dreszcz.

– Jaką kawę zaparzyłaś?

– Nie wiem, pierwszą lepszą.

– Nie mam w domu pierwszej lepszej kawy – mruknął Dante.

– Weź prysznic, musimy pogadać – powiedziała.

– Tak jest! – Powlókł się do łazienki. Po mniej więcej półgodzinie wyszedł w czarnym ubraniu, koszuli i krawacie w tym samym kolorze.

Colomba czekała na niego przy kuchennym stole, skubiąc kromkę starego chleba.

– Zawsze ubierasz się jak grabarz? – zapytała ponuro.

– Najwyżej jak Johnny Cash.

– Kto?

– Nieważne. Znalazłaś coś?

– Nic, a rozkręciłam nawet telewizor. Chyba rzeczywiście macz paranoję.

– Może podsłuchuje mnie za pomocą lasera wyczuwającego wibrację szyb.

– Naczytałeś się bzdur. Ale nie możesz dłużej zostać w tym mieszkaniu.

Filizanka, którą trzymał w dłoni, zatrzymała się w połowie drogi do ust.

– Żartujesz?

– Prawdopodobnie tu w okolicy nikt cię nie obserwuje ani nie planuje cię skrzywdzić, ale jeśli to naprawdę porywacz powiesił gwizdek na słupie, to ma cię na celowniku. W tym budynku nie ma portiera, a ty śpisz prawie na ulicy. Z okien po drugiej stronie jesteś doskonale widoczny...

– Nie mogłabyś po prostu postawić tu radiowozu? – zapytał Dante, czując, jak jego termometr wewnętrzny zaczyna reagować.

– Nie mam takich kompetencji.

– Przecież jestem świadkiem.

– Dante... śledczy są przekonani, że to brutalny mąż jest winien. Szczerze mówiąc, ja też uważam, że to najbardziej prawdopodobna hipoteza.

– Ale mniej pożądana.

– Naprawdę wolałbyś, żebyśmy mieli do czynienia z seryjnym porywaczem?

– Gdyby Maugeri był winny, to już dawno zamordowałby syna. Natomiast Ojciec pozwoli mu żyć, dopóki będzie mógł go trzymać w odosobnieniu.

Colomba nie mogła zdecydować, która wersja jest bardziej przerażająca.

– Dziś rano zadzwoniłam do Roverego. Przyśle nam wszystko, co będzie potrzebne, także materiały dotyczące toczącego się śledztwa.

– Dlaczego chce ryzykować karierę? Co on z tego będzie miał poza tym, że ośmieszy sędziego?

Colomba zawahała się przez chwilę, po czym pokręciła głową.

– Może to mu wystarczy? No to gdzie się przeprowadzimy?

– Razem?

– Ty nie masz broni, a ja owszem. Dopóki nie będę miała pewności, że chodzi tylko o paranoję, nie odstąpię cię na krok. I też nie jestem zachwycona tą perspektywą, uwierz mi.

– Chyba jest jedno miejsce, gdzie moglibyśmy się zatrzymać – powiedział z uśmiechem. – Muszę tylko wykonać kilka telefonów.

– Co to za miejsce?

– Niespodzianka.

– Nigdy nie przepadałam za niespodziankami.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

W momencie gdy Dante sięgał po telefon, a Colomba kładła się na kanapie, żeby się zdrzemnąć, pewien mężczyzna zatrzymał się na ulicy pod balkonem. Miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy zapięty pod samą szyję i niósł plastikową torbę, w której mieściła się tygodniowa racja produktów spożywczych odpowiednich dla sześciolatniego dziecka.

Chłopczyk nie chciał jeść i głośno wołał rodziców. Mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym wiedział, że już wkrótce mały stanie się bardziej uległy. Taka jest kolej rzeczy. Oczywiście jeśli ktoś nie pokrzyżuje mu planów. Mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym spojrzał na mieszkanie na szóstym piętrze. To, co właśnie działo się za oknem Dantego, wcale mu się nie podobało.

Musi koniecznie coś na to poradzić.

V  
WCZEŚNIEJ

W podrabianym plecaku Invicta umieszczonym w szafie z drzewa tekowego i ryżowego papieru znajduje się szybkowar, a w nim dwa kilogramy mieszanki heksogenu zwanego RDX i poliizobutyleny. To bardzo silny materiał wybuchowy, nazywany potocznie C-4. Ma barwę matowej bieli, a konsystencją przypomina plastelinę i w podobny sposób można go modelować: ugniatać, nawilżać, a nawet podpalać, oczywiście przy zastosowaniu odpowiednich środków ostrożności. Jednak nie należy równocześnie podpalać i sprężać mieszanki lub podgrzewać jej do temperatury wyższej niż dwieście pięćdziesiąt stopni. W takim przypadku eksploduje ze znaczną siłą. C-4 to materiał wybuchowy o dużej mocy, bardzo ceniony przez wojskowych. W czasie wojny w Wietnamie żołnierze podpalali go, żeby się ogrzać. Połykali go też, jeśli chcieli trafić do szpitala. Można go stosunkowo łatwo wyprodukować, nawet w domowych warunkach, chociaż pociągga to za sobą ryzyko. Z tego powodu jest niezwykle pożądanym również przez terrorystów.

O 21.30 włącza się cyfrowy stoper zamontowany w szwedzkim bojlerze i za pomocą czterech baterii wysyła impuls elektryczny do małej stalowej tuby. To detonator zawierający dwadzieścia gramów czarnego prochu. Wprawiony w ruch detonator wytwarza temperaturę konieczną do uruchomienia zapłonu. C-4 eksploduje, przekształcając się natychmiast w gaz, który rozprzestrzenia się z prędkością przewyższającą szybkość dźwięku: dokładnie 8550 metrów na sekundę. Szybkowar rozpada się na tysiące drobnych kawałków, wprawiając w ruch masy powietrza, które rozgrzewa się do tego stopnia, że parzy.

Kawałki szafy, pył z cementu i palące powietrze uderzają w starsze małżeństwo siedzące przy wejściu. Pierwszy ginie mężczyzna, zostaje dosłownie wyrzucony w powietrze. Na chwilę przyjmuje pozycję ukrzyżowanego człowieka opierającego się biodrami o stół, potem kończyny w nieładzie odrywają się od ciała, przez które przenikają kawałki szafy i pył.

Fala uderzeniowa przesuwają się dalej i zalewa kobietę, która siedzi z pochyloną głową, pogrążona w ponurych myślach. Siła fali odrzuca ją w tył, a ciało przyjmuje pozycję płodową. Jakby toczyła się po podłodze, jednak za każdym obrotem jej ciało traci spójność, można by rzec, że się kruszy. Zabójcza chmura powiększa się o fragmenty ciała kobiety, jej męża, ich stolika, kieliszków, butelki wina Chardonnay, które w międzyczasie wyparowało. Uderza w parę młodych małżonków siedzących przy sąsiednim stoliku.

Najpierw ginie kobieta. Łyżeczka deserowa starszego mężczyzny wbija się w jej lewe oko, a ciało przelatuje nad stołem, uderzając w męża, który ciągle jeszcze siedzi na krześle z zapalającą się kartą dań w ręku i w tej pozycji zaczyna przesuwając się do tyłu. Papier jeszcze się dobrze nie zajął, gdy fala uderzeniowa i kawałki sałatki owocowej zalewają menedżera mikroelementów i jego powieść. Kości łokciowa i ramieniowa starszej kobiety jak

lance przesywają jego czaszkę i pierś. Pada na plecy, muskając resztką karku stopy młodego małżonka, który przesuwany jest po sali.

Tymczasem zabójczy wir wciąga już grupę Japończyków i dyrektora sali. Energia kinetyczna jest zmienna, mamy do czynienia z różnicą ciśnień i zmianą kierunku wynikającymi z oporu, który powodują ciała stałe i powietrze. Dlatego pięciu mężczyzn nie wylatuje po prostu w górę – ich ciała rozciągają się w różne strony, jakby zostali skazani na rozerwanie i byli przywiązani do uciekających koni. Trzej Japończycy tracą górne kończyny. Plecy czwartego rozdzierają się od łopatek aż po kość ogonową, odsłaniając kręgosłup w całej okazałości. Bryła cementu wielkości kostki mydła uderza w kark dyrektora sali ukrytego częściowo za czwórką Japończyków, ale niestety, przewyższającego ich wzrostem. Odłamek przebija kości i tkankę, wydostając się na zewnątrz przez usta. Dyrektor pada na twarz, a niszczycielska fala zawierająca szczątki ciał i fragmenty wyposażenia restauracji dociera do okien i wybija szyby. Część energii towarzyszącej wybuchowi wydostaje się na zewnątrz, ale to niewiele zmienia. Pozostałe elementy, odpryski i palący pył dalej galopują po sali.

Przeszywają kelnera, który czeka na żart didżeja. Dziurawią mu plecy i miażdżą serce, płuca, wątrobę i jelita, przelatują na wylot i spadają na twarz agenta, ciągle jeszcze głowiącego się nad tytułem filmu, po czym porywają didżeja i jego zakochaną przyjaciółkę i rzucają ich ciała na kolumnę nośną. Lewa ręka muzyka i prawa dłoń dziewczyny, ciągle jeszcze złączone, odrywają się od korpusów i lecą w stronę czterech albańskich modelek i towarzyszącego im mężczyzny, poprzedzając betonowy deszcz odłamków. Płonący fragment garderoby o długości około pięćdziesięciu centymetrów wbija się w kręgosłup jednej z dziewczyn, tuż nad tatuażem przedstawiającym dwa całujące się motylki, i wychodzi pępkiem. Potem siła uderzenia powala całą grupę jak kręgle i pięcioro ludzi pada na podłogę, tonąc w ogólnym chaosie. Mostek agenta łamie się i wbija ostrzem w mięsień sercowy.

W chwili gdy głowa didżeja odchyła się do tyłu, łamiąc kręgi szyjne, młody małżonek znajduje się nad progiem zniszczonego okna balkonowego. Kiedy leci w dół, jedna z modelek – ta, która właśnie wstawiała, żeby pójść do toalety i wciągnąć kolejną porcję koki – wpada na kolejną kolumnę nośną, łamiąc sobie miednicę. Błat stołu, przy którym siedziały dziewczyny, unosi się i szybuje w powietrzu niczym trzydziestokilowe frisbee.

Zabójcze fale prą dalej, rozlewając się po całym pomieszczeniu i obejmując również schody. Powietrze pod wpływem wysokiego ciśnienia gwizdże jak pociąg w tunelu, nagrzewając się jeszcze bardziej. Odrywa kawałek poręczy, zdziera tynk ze ścian i wpada na niższe piętro. Barista koziółkuje w powietrzu, a mury drżą jak podczas trzęsienia ziemi czwartego stopnia. Spadają półki i butelki, oszklone lady ze słodyczami kruszą się w drobny mak i w końcu ekspres do kawy przygniata ciało dziewczyny, łamiąc jej sześć żeber i kręgosłup. Wir powietrza mknie w stronę sklepu Armaniego. W jednej z toalet odrywa się

podwieszany sufit wraz z przewodami instalacji elektrycznej i całe piętro zostaje pozbawione prądu. Manekiny i meble zwalają się na podłogę. Kawałki szkła z rozbitych okien wystawowych baru i sklepu spadają na stojące w pobliżu samochodu. Na jednym z aut – jest to smart zaparkowany w niedozwolonym miejscu z włączonymi światłami pozycyjnymi, bo jego właścicielka chciała wypić drinka w pobliskim lokalu – kończy się wreszcie długa podróż młodego małżonka. Jego korpus spada na dach samochodu, powodując poważne wgniecenie. W momencie zderzenia jego twarz jest już prawie całkowicie pozbawiona nosa, warg i powiek.

Również zamieniony we frisbee blat stołu kończy swój lot. Jest dość ciężki i po kilku metrach traci początkowy impet. Wystarczyłoby, żeby płyta uderzyła lekko w jedną z kolumn lub żeby pojawił się nowy wir ciepłego powietrza i – zmieniając kierunek jej ruchu – uczyniłby ją nieszkodliwą. Ale w tym dniu nie ma miejsca na cuda, więc wirujący blat bez przeszkód kontynuuje lot. Kobieta o przenikliwych oczach nie zauważa przedmiotu, chociaż potem będzie przekonana, że wyczuła niebezpieczeństwo i dostrzegła kątem oka cień ognistej kuli. Stół przygniata ją swoim ciężarem do ziemi, pozbawiając światła i powietrza.

Minęły trzy sekundy od wybuchu. Huk odbija się echem od murów okolicznych budynków, docierając aż na plac, gdzie przestraszone gołębie wzbijają się w niebo.

Potem ludzie zaczynają krzyczeć.

VI  
WIZYTY DOMOWE



# 1

Hotel Impero zbudowano w nowoczesnym stylu z motywami orientalnymi, wykorzystując jednocześnie zasady architektury ekologicznej. Na korytarzach umieszczono małe wodospady, a na dachu piętnastego piętra posiano trawę. Budynek z początku XIX wieku, mieszczący wcześniej biura, stoi przy jednej z wąskich przecznic via del Corso, w samym centrum rzymskiej dzielnicy handlowej, dwa kroki od Ara Pacis. Bar w formie przezroczystej werandy umieszczono na jednym z krańców wewnętrznego ogrodu w stylu japońskim, na który wskazują ścieżki wyłożone białymi kamyczkami zen.

Colomba szła po marmurowej posadzce holu, czując się w tych wnętrzach ze swoim plecakiem i w wytartych dżinsach zdecydowanie nie na miejscu. Kiedy była na służbie, używała legitymacji jak wytrychu, natomiast w cywilu relacje społeczne wprawiały ją w lekkie zakłopotanie. Powinna była bardziej uważać, kiedy matka wyjaśniała jej, jakie zachowanie przystoi panience z dobrego domu.

– Mam rezerwację na nazwisko Torre – zwróciła się do jednego z konsjerżów, podczas gdy obok przechodził harem kobiet w czadorach w obstawie dwóch brodatych strażników.

Portier wpisał nazwisko do komputera i po chwili na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Oczywiście, proszę pani. Dyrektor zaraz zaprowadzi panią do apartamentu.

„Apartament?” – przemknęło jej przez myśl, ale starała się nie okazywać zdziwienia. Wyjęła dowód z portfela, ale mężczyzna odmówił ruchem ręki.

– Nie potrzeba. Może zechce pani usiąść...

– Poczekam w ogrodzie.

– Oczywiście, proszę pani. Podać pani drinka?

– Nie, dziękuję.

Oszołomiona podeszła do Dantego, który siedział przy jednym ze stolików poustawianych wśród karłowatych palm i oleandrów. Mężczyzna palił, obserwując blondynę po operacjach plastycznych przy sąsiednim stoliku. Miał mętny wzrok, bo nafaszerował się xanaxem, żeby pokonać stres związany z przeprowadzką.

– Przyznaj się, masz kupę kasy – powiedziała Colomba.

– Chwyć mnie za nogi i potrząśnij, a przekonasz się, że nie wyleci nawet cent.

– Bzdury. Bez czarnej karty kredytowej nie pozwolą ci tutaj nawet w śmieciach pogrzebać.

– Pamiętasz, jak ci opowiadałem o dziewczynie, która odjechała ciężarówką Scooby-Doo?

– Na razie jeszcze nie cierpię na starczą demencję.

– To córka właściciela, a ja zgodziłem się na zapłatę w naturze. Teraz wystarczy jeden telefon i mam do dyspozycji apartament, nawet jeśli hotel jest przepełniony. Oczywiście gratis.

– A po co ci to, skoro prawie nie wychodzisz z domu?

– Robi wrażenie na dziewczynach.

– Na takich jak ta blond piękność? Tu chyba nawet czarna karta nie wystarczy.

– Pozwól mi pomarzyć.

Wreszcie pojawił się dyrektor, gnąc się w ukłonach, a dwaj bagażowi załadowali na wózek wszystkie walizki Dantego i plecak Colomby, po czym skierowali się do dźwigu bagażowego. Tymczasem oni wsiedli do kryształowej windy na środku holu i wjechali na ostatnie piętro. Dante zgodził się z niej skorzystać, bo była cała przeszklona i poruszała się bardzo powoli, ale i tak nie zdołał ukryć lekkiego zdenerwowania.

– To jedyna winda, z której korzystałem w ciągu ostatnich dziesięciu lat – oświadczył z radością.

Colomba podczas drogi na górę przyjrzała się uważnie ochronie hotelu. W holu zauważyła co najmniej czterech strażników w ciemnych uniformach i ze słuchawkami w uszach, wszyscy byli dobrze zbudowani i mieli szerokie ramiona charakterystyczne dla byłych wojskowych. Ponieważ w budynku kręciło się sporo ludzi, musieli być wyszkoleni w wyłapywaniu najmniejszych nieprawidłowości. Nic dziwnego, że gdy tylko weszła, od razu zwrócili na nią uwagę. Było za ciepło na kurtkę, ale na szczęście włożyła pistolet do torebki, w przeciwnym razie natychmiast by go zauważyli.

Winda zatrzymała się na wprost drzwi prowadzących do apartamentu, a dyrektor otworzył je i zatrzymał się na progu.

– Pan Torre doskonale zna nasz hotel, więc nie będę państwa oprowadzał. Pozostaję do dyspozycji, gdyby mieli państwo jakieś życzenia – dodał.

Colomba próbowała dać mu dowód, ale dyrektor udał, że tego nie widzi, i z miłym uśmiechem cofnął się do windy.

Policjantka schowała dokument, nie mogąc ukryć zażenowania.

– Czemu nie chcą dowodu? – zwróciła się do Dantego.

– Mnie już znają, a moi goście mają prawo do prywatności. To dodatkowa zaleta.

– To wbrew prawu.

– O matko, ale z ciebie maruda.

– Następnym razem powiedz mu, że nie jestem jedną z twoich pańienek.

Apartament składał się z dwóch sypialni z urządzonymi z przepychem łazienkami oraz wielkiego salonu z kominkiem, obok którego dwaj pracownicy hotelu ustawiali barowy ekspres do kawy i elektryczny młynek.

– Niech zgadnę – odezwała się Colomba. – To też gratis?

– Jasne.

– Przysyłają też kogoś, kto myje ci plecy pod prysznicem?

Na twarzy Dantego pojawił się znajomy grymas.

– Tylko na specjalne życzenie.

Colomba dostała mniejszy pokój, o powierzchni odpowiadającej połowie jej mieszkania, a Dante ulokował się w większym, wyjaśniając, że to z powodu liczby okien i tarasu wyposażonego w jacuzzi i saunę.

– Tam będę spał.

– A nie w tym okrągłym łóżku, które masz w pokoju? – zdziwiła się Colomba, która widziała podobne tylko na filmach.

– To nie jest łóżko do spania... – mrugnął porozumiewawczo. – Chyba rozumiesz, co mam na myśli?

Colomba prychnęła zniecierpliwiona.

– Nie.

Sprawdziła widok z tarasu: na dole był wewnętrzny ogród i ani śladu budynków w pobliżu. Oczywiście ich kryjówka nie była bezpieczna w stu procentach, ale biorąc pod uwagę klaustrofobię Dantego, jedyną alternatywą pozostawały obszary wiejskie.

– Zasłaniaj na noc okna, OK? I nie zapalaj światła w pokoju, bo widać twoją sylwetkę.

– Obawiasz się snajpera? – Dante nie był pewien, czy w tej sytuacji może pozwolić sobie na żart.

– Niczego się nie obawiam, po prostu zrób, co mówię.

– Tak, mamo.

Colomba poszła do swojego pokoju, żeby się rozpakować. Jej łóżko było prostokątne, ale trzyosobowe, przykryte białą puchową kołdrą. Na jednej ścianie wisiał telewizor, a przy drugiej stały polerowana metalowa szafa i biblioteczka. Po raz dziesiąty tego dnia zadała sobie pytanie, czy przeniesienie psychicznie niestabilnego odludka do hotelu spowodowane przeczuciem niesprecyzowanego niebezpieczeństwa ma jakiegokolwiek uzasadnienie, czy po prostu zaraziła się jego paranoją. Chciała, żeby się to jak najszybciej wyjaśniło – najlepiej, zanim wpadnie w prawdziwe tarapaty. Ułożyła ubrania w szufladach, postawiła buty w łazience i wróciła do salonu.

Dante natychmiast zauważył kaburę przy jej pasku, ale nic nie powiedział. Wyjmował z walizek paczki ziarnistej kawy i ustawiał je w porządku alfabetycznym na szafce za ekspresem: Blue Mountain, Mérida, Vintage Colombian... W pomieszczeniu unosił się zapach prażonych ziaren.

– Nad nami jest odlotowy basen z podgrzewaną wodą, pokryty przezroczystym dachem. Może byśmy się wykapali i wypili drinka? – zaproponował.

– Mam lepszy pomysł. Bierzmy się do pracy.

Dante westchnął.

– Ty naprawdę nie umiesz korzystać z życia, co?

Wystarczył telefon do Albertiego i po niespełna półgodzinie chłopak wniósł do hotelowego holu dwa pudła z dokumentami, których zażądała Colomba. Policjant był w cywilu.

– Przyjechałeś swoim samochodem?

– Nie mam auta, pożyczyłem od przyjaciela.

– W porządku.

Jego nos nie był już tak mocno spuchnięty, chociaż wyglądało na to, że nigdy nie wróci do pierwotnego kształtu. Colomba pomyślała, że tak też nieźle się prezentuje – nadaje mu bardziej męski wygląd. Alberti pomógł jej zanieść pudła na samą górę i z ciekawością przyglądał się drzwiom do apartamentu.

– Naprawdę tu się pani zatrzymała, *dottoressa*?

– Tylko na kilka dni. I nie ja płacę – dodała, zamykając mu złośliwie drzwi przed nosem.

– O, przyszedł święty mikołaj! – zawołał Dante, wskazując na pudła. – Dlaczego nie wprowadzacie danych do komputera?

– Sprawa Maugerich jest już prawie w całości zapisana na dysku – wyjaśniła Colomba, otwierając pierwsze pudełko. – Niestety, twoja została na papierze. Nie ma pieniędzy na elektroniczną archiwizację starych spraw.

– Ja wcale nie jestem starą sprawą – obruszył się Dante.

Colomba rzuciła mu kilka teczek.

– Podziękuj Roveremu, że nam to przysłał.

– Od czego zaczynamy? – Dante kartkował już raport jednego ze śledczych, który brał udział w poszukiwaniach.

– Od ciebie. Mało wiem o tej sprawie.

– No to zrobię kawy.

Colomba i Dante wypili jej sporo, przeglądając dokumenty i dyskutując o sprawie nieprzerwanie przez całą dobę. Zamówili jedzenie do pokoju i zrobili sobie przerwę na drzemkę, ale większość czasu zajęło im zapełnianie równiutką warstwą papierów i zdjęć całego pokoju Dantego, gdzie pokojówki miały absolutny zakaz wstępu. Colomba poruszała się slalomem między stosami dokumentów i pustymi filiżankami, ale większość czasu spędziła, siedząc na szeszlunku Le Corbusiera i wypytyując Dantego o przeszłość. A on opowiadał o wszystkim niezwykle dokładnie – po raz pierwszy od czasu swojej ucieczki.

Został uwięziony w silosie znajdującym się na podwórzu gospodarstwa należącego do Antonia Bodiniego, byłego kaprała, wtedy już na emeryturze, który odziedziczył farmę po zmarłych rodzicach. Silosy były dwa, a ojciec Bodiniego kiedyś przechowywał w nich zboże, jednak przed śmiercią sprzedał większość ziemi funkcjonującemu w okolicy przedsiębiorstwu rolnemu i od tego czasu pomieszczenia, przynajmniej oficjalnie, stały nieużywane. W ciągu jedenastu lat, które Dante spędził w silosie, Bodini żył sobie spokojnie

obok, uprawiał ogródek, karmił kury i odbierał emeryturę na poczcie. W miasteczku ludzie pamiętali, że był małomówny i zamknięty w sobie – typ odludka, który nigdy nie założył rodziny. Zamieniał kilka słów o pogodzie z właścicielem sklepu i pił samotnie w gospodzie. W letnie wieczory siadywał przy stole przed domem w starych kalesonach i podkoszulce. Kiedy okoliczni mieszkańcy dowiedzieli się, kim był naprawdę i czego się dopuścił, przez jakiś czas nie mogli otrząsnąć się z szoku i zaczęli nazywać go szaleńcem. Dwa razy nieznani sprawcy sprofanowali jego grób, aż wreszcie zwłoki zostały ekshumowane i poddane kremacji, a prochy trafiły na cmentarz komunalny. Śledczy i biegli zajmujący się sprawą uznali, że to, co zrobił, spowodowane było obsesyjnym pragnieniem posiadania rodziny, które z czasem zamieniło się w obłąd.

– Problem w tym, że to nie on był Ojcem – zakończył Dante.

Colomba nadal przeglądała dokumenty.

– Gospodarstwo należało do niego, nigdy nie widziano tam innych osób, no i odciski palców też należały do Bodiniego...

– Jaki mam akcent?

– Akcent? – Colomba zastanowiła się przez chwilę. – Jakby z północy, pomijając wyrażenia w dialekcie. Ale niezbyt silny.

– Mówiłem tak również wtedy, gdy uciekłem z silosu.

– No to co?

– Bodini skończył pięć klas i posługiwał się praktycznie cały czas dialektem używanym w Cremonie. To nie on mnie uczył.

Trzymając Dantego w odosobnieniu, porywacz nauczył go czytać, pisać i liczyć, korzystając ze starych podręczników szkolnych. Policja znalazła niektóre z nich i odkryła, że pochodziły z początku lat sześćdziesiątych i prawdopodobnie zostały zakupione na pchlim targu. Również metody stosowane przez Ojca były dość dziwne.

– Czasami kazał mi się uczyć na pamięć długich fragmentów z książek, których nigdy nie miałem w ręce. Podrzucał mi pojedyncze kartki i miałem całą noc na naukę. Jeśli następnego dnia się pomyliłem, nie dawał mi jedzenia, wody albo... – Uniósł złą rękę, to była część ciała przeznaczona do bicia. Ojciec zmuszał go, aby wymierzał sobie karę drewnianym kijem lub nożem. Dante nauczył się wtedy na pamięć fragmentów dzieł najwybitniejszych poetów i pisarzy włoskich, dochodząc do dziewiętnastowiecznych, i ciągle jeszcze doskonale je pamiętał. Niektórych z tych utworów nigdy nie przeczytał w całości. Ojciec miał także bzika na punkcie Cremony. Chłopiec musiał bezbłędnie recytować nazwy ulic poznanych z mapy, a jedno z ulubionych ćwiczeń pamięci polegało na tym, że Ojciec pokazywał mu fragmenty zdjęć różnych zabytków i budynków, żądając ich identyfikacji. Według opinii biegłych, którzy badali Dantego po ucieczce, jedynym celem takiej nauki była całkowita kontrola i podporządkowanie sobie dziecka.

– Może Bodini był samoukiem, który krył się przed ludźmi ze swoją wiedzą?

– Tak też twierdzili twoi koledzy, ale ja w to nie wierzę.

– Na książkach znaleziono tylko jego odciski palców. I jego DNA – dodała Colomba, czytając odpowiedni dokument. – Widzę, że wykonali badania pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Czy to ty o nie prosiłeś?

– Tak, bo kiedy od niego uciekłem, to jeszcze ich nie robiono. Musiałem zapłacić za nie z własnej kieszeni i do niczego się nie przydały.

– Bo ty ciągle jesteś przekonany, że Ojciec i Bodini to dwie różne osoby.

– Bodini wynajmował mu tylko plac zabaw. Jestem tego pewien, bo widziałem jego twarz.

Colomba usiadła wygodniej na szezlongu. Był wieczór drugiego dnia pracy nad dokumentacją i do tej pory nie znalazła nic, co potwierdzałoby tezę Dantego, ale jednocześnie nie zauważyła również wyraźnych nieścisłości w jego opowiadaniu. Mężczyzna był niezwykle opanowany i miał świetną pamięć, jeśli chodzi o szczegóły dotyczące więzienia w silosie. I nie tylko. Doskonale pamiętał również inne rzeczy.

– Opowiedz mi o tym.

– Masz wszystko napisane.

– Dobrze wiesz, że nie wszystko.

Dante wzruszył ramionami, udając obojętność.

– Jak chcesz. Znalazłem pęknięcie w murze silosu. Szpara była niewielka, ukryta pod piętrowym łóżkiem, na którym spałem. Wyglądałem na zewnątrz tylko wtedy, gdy miałem pewność, że Ojciec tego nie zauważy, ale i wówczas... – Pokręcił głową. – Cały czas miałem poczucie, że on mnie obserwuje.

– Co widziałeś przez tę szparę? – zapytała Colomba.

– Kawałek podwórka i drugi silos. Był taki sam jak mój i myślałem, że jest pusty.

– Z twoich zeznań wynika, że jednak nie był pusty.

– Niestety, nikt nie zwrócił na to uwagi. Silos miał dwa wejścia, po przeciwnych stronach. Wyglądały normalnie, ale Ojciec lub Bodini zadbali o to, żeby drzwi były dźwiękoszczelne. Moje uszczelnili na pewno, nikt na zewnątrz nie mógł mnie usłyszeć, nawet kiedy waliłem z całych sił. Szybko to zrozumiałem i po tygodniu dałem sobie spokój.

– Nie docierały do ciebie żadne odgłosy z zewnątrz?

– Nieliczne: przejeżdżające po drodze szybkiego ruchu ciężarówki, syreny karetek pogotowia, burze... Czasami śpiew ptaków. Natomiast w środku wszystkie dźwięki ulegały wzmocnieniu, jakby unosiły się do sufitu, a potem spadały mi z hukiem na głowę – Dante się otrząsnął. – Wiesz, co wydaje mi się najbardziej nieprawdopodobne?

Colomba pokręciła tylko głową, bo w tym momencie bała się zaufać swojemu głosowi.

– To, że przeżyłem. Sam nie mogę w to uwierzyć. Człowiek do wszystkiego może się przyzwyczaić.

Dante wyszedł na balkon zapalić papierosa. Na podłodze leżały niedopałki. Wrócił po

dziesięciu minutach, sprawiając wrażenie spokojnego.

– Sądzę, że Ojciec wchodził do drugiego silosu przez drzwi znajdujące się po przeciwnej stronie, przynajmniej od czasu, gdy zacząłem go podglądać przez szczelinę. Może chodził tam nocą, bo nigdy nie zauważyłem, żeby stamtąd wracał. Dopiero ostatniego dnia to zrobił. Trzymał za rękę chłopca w moim wieku.

Colomba o tym wiedziała. To była najbardziej kontrowersyjna część zeznań Dantego po odzyskaniu wolności. Kiedy przeczytała ją po raz pierwszy, zdarzenie wydało jej się całkiem nieprawdopodobne, ale teraz, słysząc opowiadanie z ust tego mężczyzny, miała wprost przeciwne wrażenie.

– Wtedy zobaczyłeś jego twarz?

– Między trzydziestką a czterdziestką, krótkie włosy i niebieskie, bardzo jasne oczy. Zapadnięte policzki. Próbowaliśmy stworzyć portret pamięciowy, ale okazał się zbyt ogólny. Kiedy go zobaczyłem, było ciemno, a ja byłem zdenerwowany.

Colomba spojrzała na rysunek: twarz mężczyzny została zaledwie naszkicowana. Jedynym wyraźnym elementem były złe oczy.

– Cytując ciebie: twarz boga...

– Aż do tego dnia zawsze nosił na głowie wełnianą kominiarkę z przyszytym beretem wojskowym i ciemne okulary. – Dante twierdził, że w czasie jego uwięzienia w silosie Ojciec zmieniał je pięciokrotnie, ale model pozostawał ciągle ten sam. – Tamtego chłopaka prawie wcale nie widziałem... Miałem wrażenie, że obserwuję planetę oświetloną blaskiem gwiazdy... Wydał mi się wysoki i szczupły, wyższy od Ojca, który był średniego wzrostu, i chyba był mniej więcej w moim wieku. Długie włosy opadały mu na plecy podobnie jak mnie. Jestem pewien tylko tego, że chłopak śmiał się lub płakał. A może wszystko naraz, bo wydawał z siebie dziwne, przenikliwe dźwięki.

Colomba zerknęła na drugi portret pamięciowy, który okazał się równie nieprecyzyjny jak poprzedni. To mógł być praktycznie każdy chłopiec w tym samym wieku co wtedy Dante.

– Nie pomyślałeś, że to byli turyści? Ojciec i syn na pikniku?

Dante pokręcił głową.

– O nie.

– Co się potem wydarzyło?

– Minęli mój silos i Ojciec poprowadził go dalej przez pole. Chociaż przyłożyłem oko do ściany, to miałem ograniczone pole widzenia. To była tylko szczelina w cemencie, do cholery... Już mieli zniknąć mi z oczu, gdy zobaczyłem drugą rękę Ojca, tę, którą trzymał za plecami. Miał w niej nóż. Teraz, kiedy poznałem już trochę normalne życie, wydaje mi się, że był to kuchenny nóż do warzyw.

– Od początku utrzymywałeś, że chłopak został zamordowany. Widziałeś coś? Słyszałeś krzyki?

– Nie. Wiem, że policja nie znalazła ciała ani nie natrafiła na ślady krwi, ale nie mam

wątpliwości, że Ojciec go zabił.

– To musiał być dla ciebie szok.

– Mało powiedziane. Po raz pierwszy od jedenastu lat zobaczyłem twarz Ojca i drugiego człowieka. Po kilku minutach znowu dostrzegłem Ojca, który był już sam i zmierzał w kierunku mojego silosu.

– Miał przy sobie nóż?

– Tak. Usłyszałem, jak otwiera drzwi. Nie spodziewał się żadnej reakcji z mojej strony. W ciągu ostatnich lat byłem mu całkowicie powolny. Tymczasem uderzyłem go wiadrem na odchody i uciekłem. Nie do końca wiedziałem, co robię.

– Co cię skłoniło do działania? Strach?

Dante uśmiechnął się ze smutkiem, inaczej niż zwykle.

– Nie – powiedział powoli. – Uciekłem, ponieważ poczułem się zdradzony. Myślałem, że jestem jedyny.



## 2

Dante ponownie wyszedł na taras na papierosa i Colomba miała ochotę przyłączyć się do niego, chociaż nie paliła od pierwszego roku studiów. Odniosła wrażenie, że łąduje się w butach w życie tego mężczyzny, dotykając tę najdelikatniejszą i najbardziej wrażliwą część jego duszy, którą przez ostatnie lata nauczył się skrywać przed światem. Pracując w policji, miała okazję przesłuchiwać setki ofiar, podejrzanych i winnych, ale rzadko angażowała się tak jak w tym przypadku. Być może dlatego, że jego historia była naprawdę wyjątkowa, a może po prostu zaczynała czuć do niego sympatię.

Mężczyzna wrócił do pokoju i dokończył swoją opowieść.

– Nawet się nie obejrzałem, żeby sprawdzić, co z nim, i mało brakowało, a skręciłbym sobie kark, schodząc po drabince. Wiedziałem, jak się to robi, ale tylko w teorii. To była jedna z wielu umiejętności, której w silosie nie mogłem przeciwyczyć.

– Jak jazda na rowerze. – Colomba spróbowała ożywić nieco atmosferę.

– Jak jazda na rowerze – uśmiechnął się Dante. – Albo bieganie.

Jakoś mu się jednak udało, i to na bosaka, bo dotarł do drogi szybkiego ruchu, gdzie został potrącony przez samochód. Na szczęście kierowca, nie czekając na karetkę, zabrał go do szpitala, a tam Dante poinformował personel o swojej tożsamości.

Kiedy policja przyjechała na miejsce, Bodini zdążył już strzelić sobie w usta z wojskowego pistoletu, na który nie miał pozwolenia, a wcześniej polał całe gospodarstwo benzyną i podpalił. Murowane silosy ocalały, ale technikom nawet tam nie udało się znaleźć żadnych dowodów, a reszta zabudowań spłonęła do cna. Nigdy nie natrafiono na ślad mężczyzny opisanego przez Dantego ani tym bardziej na jakikolwiek dowód świadczący o przetrzymywaniu tam drugiego chłopca: nie znaleziono ani krwi, ani ciała, ani ubrań czy innych rzeczy osobistych. Przyjęto więc hipotezę, że Dante wymyślił to sobie jako odbicie własnej sytuacji, a jego protesty nie zdołały przekonać śledczych.

– Jeśli rzeczywiście więził innego chłopca, skąd możesz mieć pewność, że trzymał go w drugim silosie, a nie na przykład w budynkach gospodarczych? – zapytała Colomba.

– Z dwóch powodów. Przede wszystkim dlatego, że podpalił również drugi zbiornik. Jeśli nie używał go jako więzienia, to po co to zrobił?

– Może miał inne powody, na przykład trzymał tam coś, co go obciążało... Nie mam pojęcia. Albo po prostu stracił głowę i nie wiedział, co robi.

– Możliwe, ale nie wierzę w winę Bodiniego. To był Ojciec. Zabił współnika, zatarł wszystkie ślady i zniknął.

– A co się stało z ciałem drugiego chłopca? Dlaczego go nie znaleziono?

– Bo chyba obawiał się, że może go do niego zaprowadzić. Co prawda nie jestem w stanie przypomnieć sobie twarzy chłopca, ale doskonale pamiętam, jak się poruszał: małymi kroczkami, jakby zdziwiony i przestraszony tym, co go otacza. Wydawało się, że jest nieprzyzwyczajony do przebywania na otwartej przestrzeni. Po odzyskaniu wolności na początku ja też się tak poruszałem.

– Pomijając samą ucieczkę.

– Pamiętam z niej tylko światła samochodu, który mnie potracił.

Colomba zastanowiła się przez chwilę.

– Według ciebie ten chłopak był więziony tak samo długo jak ty?

– Nigdy nie udało mi się go zidentyfikować, chociaż pokazywali mi dziesiątki zdjęć. Wtedy nie było jeszcze Internetu i stron, na których umieszcza się fotografie zaginionych, brakowało również ogólnokrajowej bazy danych. Prawdopodobnie wiele zgłoszeń ginęło w papierach. Jeszcze przez jakiś czas interesowałem się jego losem, ale potem dałem sobie spokój.

– Nie powinieneś się o to obwiniać, to było nasze zadanie – przyznała Colomba i spojrzała na zegarek. Dziesiąta. Poczła głód.

– Teraz wiesz już wszystko, co trzeba.

– Mylisz się. Znam tylko twoją wersję. A są jeszcze sprawozdania ze śledztwa oraz protokoły z przesłuchań sporządzone przez policjantów i prokuraturę. Już je przejrzałam, ale muszę się z nimi dokładnie zapoznać.

– Ja już to zrobiłem. Chcesz znać rezultat?

Dante wstał i podszedł do pokrytej samoprzylepnymi karteczkami plastikowej tablicy, którą kazał powiesić na jednej ze ścian. Oderwał jedną i napisał mazakiem na gładkiej powierzchni: ZERO.

– Wszystko, co znaleźli, prowadziło w stronę jednego podejrzanego. Bodini został uznany za porywacza, nie było żadnego współnika ani drugiego chłopca.

– Jak to możliwe, że w ciągu tylu lat żadne służby porządkowe nie przeprowadziły kontroli w gospodarstwie? Straż pożarna, sanepid...

– Byli tam kilka razy i zastali tylko Bodiniego. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby przeszukać silosy, nawet wtedy, gdy pojawiła się hipoteza o moim porwaniu. Jedyne świadek, który wyłamał się z tego zgodnego chóru, mieszkał w odległości kilometra od gospodarstwa Bodiniego. Zeznał, że często widywał światła samochodu parkującego na terenie farmy, ale myślał, że chodzi o szukające odosobnienia pary.

– Mogło tak być.

– Jeśli w to wierzysz, to niepotrzebnie tracimy czas.

– Dante, przecież ci mówiłam, że szukam chociaż jednego dowodu na istnienie powiązania twojej sprawy ze zniknięciem syna Maugeriego.

– Gwizdek.

– Muszę mieć coś jeszcze. Już o tym rozmawialiśmy. – Colomba sięgnęła po plik dokumentów, który zabrała ze sobą do łóżka poprzedniego wieczora. Była tam lista wszystkich podejrzanych i przesłuchiowanych po ucieczce Dantego z policyjnymi adnotacjami. – Prokuratura przesłuchiwała trzydzieści osób w poszukiwaniu domniemanego współnika.

– Twoi koledzy powyciągali z kapelusza kilku *sexual offenders* i trochę pospolitych przestępców, ale na żadnego z nich nic nie znaleźli.

– A co ty o tym myślisz?

– To nie był żaden z nich. Ojciec więził mnie przez jedenaście lat bez przerwy i widywałem go co najmniej raz na trzy dni. A przesłuchiwanie kryminaliści okresowo przebywali w tym czasie w więzieniach lub w szpitalach, więc nie mogli pozwolić sobie na stałe wizyty w silosie.

– Jesteś pewien, że Ojciec i Bodini się nie zmieniali?

– Zawsze byłem o tym przekonany, a teraz nawet jeszcze bardziej. Podejrzani, których mi przedstawiono do identyfikacji, mieli inną budowę ciała. Ojciec mógł ukrywać ton głosu, bo zwykle mówił po cichu, ale nie sylwetkę. Już mnie trochę poznałaś... czy naprawdę uważasz, że wymyśliłem sobie tego mężczyznę z chłopcem?

– Będę z tobą szczerą. Nie wiem.

Dante położył się wygodnie.

– Jeśli będziesz musiała wybierać pomiędzy uprzejmością a szczerością, to stawiaj zawsze na tę drugą, kiedy chodzi o mnie. Przede wszystkim żadnej litości.

– Świetnie, zwłaszcza że wielu twierdzi, że nie jestem do niej zdolna. Podaj mi wszystkie elementy łączące obie sprawy, które przychodzą ci do głowy.

– Wiek syna Maugeriego.

– Okej.

– Mój ojciec został oskarżony tak samo jak Maugeri.

– Ale nie o zamordowanie twojej matki, bo ona popełniła samobójstwo.

– Morderca posłużył się białą bronią jako narzędziem zbrodni, tak jak w przypadku chłopca z drugiego silosu.

– Większość przestępstw, których ofiarami są członkowie rodziny, popełnia się z użyciem białej broni lub po prostu gołymi rękami. We Włoszech nie wszyscy trzymają w domu broń palną.

– Po dziecku nie został żaden ślad. Ani jeden – upierał się Dante.

– Poza śladami krwi w bagażniku samochodu ojca.

– To Ojciec je zostawił.

– Według ciebie Ojciec jest aż tak potężny? Nikomu nie udaje się go zauważyć, przygotowuje dowody winy, jak mu się podoba, nie daje się złapać...

- Właśnie tak.
- Wobec tego, jakie mamy szanse z kimś, kto nie popełnia błędów?
- Jeden błąd popełnił. Pozwolił mi uciec. – Dante ziewnął i się przeciągnął. – Jestem głodny i mam już dość tych dyskusji. Może byśmy w końcu poszli coś zjeść w przyzwoitych warunkach, co ty na to?
- Mam założyć suknię wieczorową?
- Masz jakąś?
- Naprawdę oczekujesz odpowiedzi?

Zjedli kolację w hotelowym barze, ponieważ restauracja wydawała się Dantemu „zbyt zamknięta”. Przygotowano dla nich stolik za parawanem. Colomba czuła się nieswojo przy obsłudze w białych rękawiczkach. Co prawda w swoim życiu jadała nie tylko w podrzędnych gospodach, ale nigdy jeszcze nie miała przyjemności korzystać z usług kelnera stojącego cały czas sztywno za oparciem jej krzesła. Dwa razy rozlała wino, upierając się, że może obsłużyć się sama.

– Korzystaj z życia, CC – powiedział Dante, który na kolację założył czarny garnitur od Armaniego i szary krawat.

– Nie czuję się tu zbyt swobodnie.

– Udawaj, że jesteś na wakacjach.

Uśmiechnęła się.

– Wtedy nie byłabym tu z tobą.

– Dziękuję. Ale może chociaż jedzenie jest lepsze niż w policyjnej stołówce?

– Taką miałam pracę. Większość czasu spędzałam na ulicach i jadłam byle gdzie. Jeśli w ogóle jadłam. – Na talerzu Dantego były tylko warzywa. – Jesteś wegetarianinem?

Teraz on się uśmiechnął.

– Zbyt długo przebywałem w zamknięciu, pewnie dlatego ciarki mnie przechodzą na myśl o hodowli zwierząt na ubój.

– Człowiek od zawsze żywił się mięsem, dla mnie to nie problem – oświadczyła Colomba, nadziewając na widelec kolejny kawałek polędwiczki wołowej.

– Od wieków ciemiężył również bliźnich. Na szczęście rozum pozwala nam wybierać. A poza tym nie zachoruję na raka jąder.

– Ale może ci się trafić rak płuc, biorąc pod uwagę liczbę wypalanych papierosów.

– Na coś trzeba umrzeć.

– Skąd się wzięło twoje upodobanie do luksusu?

– Przez jakiś czas całkiem dobrze nam się powodziło. Mój ojciec procesował się z całym światem, gdy zdobył dowód na to, że mnie nie zamordował. Wygrał wszystkie sprawy i dostał nawet odszkodowanie od państwa za niesprawiedliwy pobyt w więzieniu i za to, co go tam spotkało.

– Zachorował?

– Współwięźniowie go zgwałcili i potraktowali nożem.

Colomba natychmiast straciła ochotę na jedzenie.

– O kurwa.

– Tak zwykle kończą podejrzani o molestowanie dzieci. Umieścili go w celi pod specjalnym nadzorem, ale zaszło jakieś nieporozumienie, kiedy prowadzili go na widzenie... Mój ojciec był przekonany, że atak został zorganizowany przez jednego ze strażników, który miał z nim na pieńku, ale nigdy nie zdołał tego udowodnić. I tak miał szczęście, że wyszedł z tego cało.

– Ile ma teraz lat?

– W tym roku skończy siedemdziesiąt. Nie widujemy się zbyt często. Po moim powrocie nie udało nam się nawiązać bliższych relacji. Byliśmy sobie obcy i tak już zostało, chociaż staramy się traktować uprzejmie. Sądzę, że on obwinia mnie o swoje zrujnowane życie. Może ma rację. – Dante odsunął talerz i zaraz pojawił się kelner, który zabrał prawie nietknięte jedzenie. – Kiedy osiągnąłem pełnoletność, dał mi trochę pieniędzy, chyba po to, żeby się mnie jak najszybciej pozbyć. Przez jakiś czas nie musiałem pracować. Podróżowałem. Gdy tylko wychodziłem z kolejnej kliniki, chciałem korzystać z życia.

– Pięciogwiazdkowe hotele, takie jak ten?

– Czasem nawet lepsze, ponadto przestronne, luksusowe kabiny na statkach, bo przeraża mnie sama myśl o lataniu samolotem. Zawsze byłem rozrzutny. A kiedy pieniądze się skończyły, musiałem wymyślić sobie jakąś pracę – zakończył z uśmiechem.

– Mogłeś wybrać jakieś spokojniejsze zajęcie.

– Nie skończyłem studiów i cierpię na klaustrofobię. Albo to, albo zostaje fucha ratownika na basenie.

Kelner zaproponował kawę, ale Dante odmówił w imieniu obojga, po czym wyszli do ogrodu, gdzie nie obowiązywał zakaz palenia. Wśród drzew migotały światła lamp, a z głośników sączyła się nastrojowa muzyka. Wszystkie stoliki były pozajmowane przez klientów, których w większości Colomba uznała za cudzoziemców. W końcu znaleźli dwa fotele ukryte wśród krzewów i usiedli. Dante zamówił dwa drinki Moscow Mule. Był to jego ulubiony koktajl – na bazie wódki i piwa imbirowego z dodatkiem limonki i plasterkiem ogórka. Podano je w oszronionych kieliszkach wypełnionych kostkami lodu, w których tkwiły słomki. Colomba pociągnęła łyk i poczuła kwaskowaty, świeży smak.

– No to co, CC, poddajesz się?

– Nie. Ale nie wracajmy już do przeszłości. Skupmy się na porwaniu małego Maugeriego. To świeży ślad w odróżnieniu od twojej sprawy z zamierchłych czasów.

– Musimy znaleźć kolejne wspólne punkty.

– Wystarczy jakaś poszlaka, Dante, coś, co potwierdzi, że Maugeri nie zamordował żony. Wtedy niezależnie od tego, czy mamy do czynienia z twoim porywaczem, czy z jego

naśladowcą, będę miała pewność, że nie chodzi tylko o nasze wymysły. Oczywiście jeśli w międzyczasie chłopczyk się odnajdzie, będziemy mogli wrócić do domu.

– Nie rób sobie nadziei, CC. Dante skończył drinka i włożył swoją słomkę do kieliszka Colomby. – Widzę, że ci nie smakuje...

– Rovere będzie nas informował na bieżąco o postępach w śledztwie, a my porównamy je z tym, co wiemy.

– Dlaczego twój szef ryzykuje karierę? Co on będzie z tego miał poza tym, że De Angelis wyjdzie na głupka?

– Nie mam pojęcia.

Dante zapalił kolejnego papierosa.

– Przeczytałem protokoły z pierwszych zeznań, ale nie znalazłem tam nic, co mogłoby się nam przydać. Śledczy pytali krewnych i przyjaciół jedynie o to, czy Maugeri się im zwierzał i czy wiedzą, gdzie może być dziecko.

– Przyjmijmy na chwilę, że nie mamy do czynienia z Ojcem ani z jego naśladowcą, że chodzi o normalne porwanie...

Dante uniósł brwi.

– Normalne?

– Podobne do tych, którymi już się zajmowałeś w przeszłości. Od czego byś zaczął?

– Szukałbym odpowiedzi na pytanie, które chodzi mi po głowie od czasu naszej wycieczki do Pratonii.

– Co to za pytanie?

– Dlaczego żona Maugeriego poszła z synem na Monte Cavo? Zrobiła to z własnej woli, nikt jej nie zmuszał. Porywacz wyznaczył jej tam spotkanie, a ona przystała na to, co więcej, poczekała, aż mąż zaśnie, i nie zabrała komórki. Dlaczego? Co nią powodowało?

– Szantaż? Groźba?

– A może kochanek, z którym chciała uciec od brutalnego męża? Albo przyjaciel, który ją pocieszał? Przecież komuś musiała się zwierzać, przynajmniej trochę.

– Widziałeś listę świadków. Kto wydaje ci się najbardziej prawdopodobnym powiernikiem?

Dante zgasił niedopałek i skinął na kelnera, żeby przyniósł mu następnego drinka.

– Siostry zawsze wszystko wiedzą.

### 3

Colomba poprosiła Roverego o pozwolenie i następnego dnia rano zadzwoniła do Giulii Balestri. Postarała się o urzędowy ton i uważała, aby nie zdradzać szczegółów i nie dać De Angelisowi powodów do podejrzeń.

- Zajmuję się sprawą pani siostry i chciałabym wyjaśnić kilka kwestii – powiedziała.
- Coś nowego?
- Niestety, nie. Kiedy możemy się spotkać?
- Jeśli ma pani czas, to najlepiej przed obiadem.
- Dobrze, dziękuję.

Colomba rozłączyła się i zrobiło jej się żal tej kobiety, w której głosie kryła się obawa przed złymi wiadomościami.

Pod drzwiami leżał plik codziennych gazet i zajęła się lekturą, słuchając jednocześnie radia. Przejrzała już połowę prasy, gdy Dante, trupio blady, wyjrzał ze swojego pokoju. Był owinięty szlafrokiem w kolorze węgla.

- Musisz się tak miotać o świcie?
- Już dziesiąta. Weź się w garść.

Dante z obrzydzeniem popatrzył na jej kawę z mlekiem.

- Wiesz, że mleko w kawie powoduje problemy z trawieniem białka?
- Marzyłam, żeby coś takiego usłyszeć... Zadzwoniłam do Balestri.
- Do kogo?
- Do siostry denatki.
- Aha.
- Czeka na nas.

Dante powlókł się w kierunku ekspresu do kawy i dopiero po chwili odpowiedział.

- Czeka na ciebie. Ja nie bardzo nadaję się na glinę. Bez obrazy.
- Sama odwalę swoją robotę, nie martw się. Ty będziesz się tylko przyglądał i dawał mi mądre rady.

Dante zrobił sobie od razu podwójne espresso.

- CC... to nie dla mnie. Nie umiem obchodzić się z ludźmi.
- Jesteś za to świetnym obserwatorem.
- Ale tylko z daleka. Nie znoszę, kiedy ludzie okazują emocje, wprawia mnie to w zakłopotanie.
- Biedactwo.

– Chyba nie zamierzasz mnie zmuszać.

Colomba uśmiechnęła się bez słowa, a on poszedł się ubrać.

Godzinę później Giulia Balestri otworzyła Colombie drzwi.

– Nazywam się Caselli, jestem zastępcą komendanta. Dzwoniłam do pani rano.

Balestri skinęła głową. Miała trzydzieści sześć lat, syntetyczne dredy i była dość puszysta. Była w dresie, a na nogach miała papucie.

– Proszę, niech pani wejdzie.

– Na dole czeka mój kolega, Torre, który również chciałby się z panią spotkać. Czy mogłaby pani zejść?

– Dlaczego nie wszedł tu z panią?

– To długa historia. Bardzo proszę.

– W porządku. – Balestri poszła po buty.

Colomba rozejrzała się szybko po dobrze urządzonej mieszkanie, po którym porzucane były chłopięce zabawki. Przy drzwiach do łazienki stały męskie klapki ozdobione tropikalnym motywem. *Szczęśliwa rodzinka*, pomyślała.

– Nie mam zbyt dużo czasu, bo za godzinę muszę iść po dziecko do szkoły – powiedziała Balestri, jakby czytała jej w myślach. Oprócz butów włożyła też cytrynowy golf.

– Ile lat ma pani syn? – zapytała Colomba, zdając sobie sprawę z tego, że nie powinno jej to obchodzić.

– Siedem i pół, jest rok straszny od Luki. Na twarzy kobiety wyraźnie malowało się zmartwienie. – Naprawdę nie ma o nim żadnych wiadomości?

– Przykro mi, ale nie.

Kobieta bezskutecznie próbowała wyczytać coś z twarzy Colomby.

– On nie żyje, prawda?

– Proszę pani... naprawdę nic nie wiemy. Trzeba być dobrej myśli.

– Przecież nie udałoby mu się przeżyć samemu. Kto dałby mu jeść...

– Może ktoś się nim zajął.

– Ma pani na myśli jednego ze znajomych tego skurwysyna, mojego szwagra?

Colomba pominęła pytanie milczeniem. Przy drzwiach do budynku stał Dante. Opierał się o ścianę i z ponurą miną palił papierosa.

Kiedy Giulia zobaczyła, że mężczyzna pali, miała ochotę, aby zrobić to samo. Rzuciła palenie, gdy zaszła w ciążę, ale teraz śniła po nocach o papierosie.

– To właśnie mój kolega Torre – przedstawiła go Colomba.

– Kondolencje – mruknął, nie patrząc kobiecie w oczy.

Giulia zauważyła grubą czarną rękawiczkę na lewej ręce Dantego i poczuła niepokój.

– Czego jeszcze chcecie? Powiedziałam już policji wszystko, co wiem.

– Dla dobra śledztwa musimy poznać szczegóły z życia prywatnego pani siostry.



– Jakie szczegóły?

– Czy miała kochanka? – rzucił niespodziewanie Dante.

Giulia poczuła gwałtowny przypływ złości.

– Jak pan śmie?

– Zamknij się, Dante! – wrzasnęła Colomba.

– Sama nalegałaś, żebym tu przyszedł.

W odpowiedzi policjantka wzniosła oczy ku niebu.

– Proszę wybaczyć mojemu koledze brak taktu, ale... musimy to wiedzieć.

Giulia skrzyżowała ramiona.

– Moja siostra nie miała żadnego innego mężczyzny poza mężem. Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego. Wiecie już, że ten drań ją bił?

– Tak – stwierdziła Colomba. – To dlatego pomyśleliśmy, że...

– Źle pomyśleliście.

– Dlaczego nie porzuciła męża?

– Bo kochała tego maniaka. Powtarzała mi ciągle, że jeśli tylko tknie małego, to natychmiast od niego odejdzie, ale on nigdy nie podniósł ręki na dziecko.

– Zauważyła pani, że z chłopcem coś jest nie tak? – włączył się Dante.

To pytanie Giulia przyjęła spokojnie.

– Skąd pan wie?

– Widziałem zdjęcia.

– Ma pan rację, był smutny i prawie się nie odzywał. Kiedy zostawiali go u mnie, zachowywał się tak, jakby przebywał na innej planecie.

– To się nasiliło mniej więcej rok temu, prawda?

– Giulia przyjrzała mu się uważnie i pomyślała, że to najdziwniejszy policjant na świecie.

– Tak.

– Czy pani siostra też to dostrzegła? – zapytała Colomba.

– Tak, ona tak. – Giulia pokręciła głową z niesmakiem. – Ale według mojego szwagra z dzieckiem było wszystko w porządku. Nie chciał nawet poruszać tego tematu.

– Czy matka była z nim u specjalisty?

– Nie. Stefano się nie zgadzał...

Powiedziała to bez przekonania i Dante natychmiast to podchwycił.

– Poszła na wizytę po kryjomu?

– Nie sądzę, ale jakiś lekarz miał go zbadać.

– Pediatra? – Oczy Dantego wyglądały w tej chwili jak ze szkła. Tak bardzo był skupiony, że Colomba odniosła wrażenie, iż powietrze wokół jego głowy iskrzy.

– Nie. To był jakiś nowy lekarz, który skontaktował się z moją siostrą, żeby umówić ich na wizytę.

– Kiedy to było?

– Dwa tygodnie temu.

– Gdzie go poznała?

– W przychodni rejonowej podczas kontroli zorganizowanej przez szkołę.

Dante rzucił Colombie porozumiewawcze spojrzenie i ponownie zabrał głos.

– Pamięta pani, czy się spotkali?

– Nie, to znaczy, nie wiem – szepnęła. – Całkiem zapomniałam o to zapytać. – W jej prawym oku załśniła łza, którą otarła rękawem. – Zawsze nam się wydaje, że mamy jeszcze dużo czasu. Jak w piosence... – Usta zaczęły jej drżeć, a po policzkach popłynęły kolejne łzy. – Przepraszam. – Giulia odwróciła się i odeszła kilka kroków.

– Ona płacze – powiedział po cichu Dante.

– No wiesz, niedawno straciła siostrę... W takiej sytuacji to się zdarza.

– Dlatego wolę, żeby mój adwokat się tym zajmował.

Kobieta wytarła głośno nos, po czym wróciła do nich. Miała zaczerwienione oczy.

– O co pytaliście?

– Pamięta pani nazwisko tego lekarza? A może pani siostra zapisała sobie gdzieś jego numer? – zapytała Colomba.

– Wiem tylko, że dzwonił do niej na komórkę. Przyszła do mnie na kawę przed otwarciem sklepu. Dlaczego uważacie, że to ważne?

– Na razie jeszcze tego nie wiemy – pospiesznie wyjaśniła Colomba.

– Podejrzewacie, że mój szwagier miał współnika? Czy że to nie on jest winny?

– Musimy sprawdzić wszystkie możliwości. Czy poza tym doktorem pani siostra poznała kogoś w ostatnim czasie? Nowi znajomi, nowi koledzy syna?

– Nic o tym nie wiem. Jak już powiedziałam policji... nikt jej nie groził i nie zauważyła, żeby ktoś podejrzany kręcił się wokół ich domu. Ja zresztą też nie. – Po raz kolejny popatrzyła Colombie w oczy. – Ten, którego powinna była się obawiać, mieszkał z nimi.

– Bardzo dziękuję pani za pomoc.

Giulia postąpiła krok naprzód, a w jej oczach zapłonął ogień.

– Nie pozwolę, żeby ten sukinsyn się wywinął. Rozumiecie?

– Teraz najważniejszy jest pani siostrzeniec – odpowiedziała Colomba, nie spuszczać wzroku.

– On nie żyje – stwierdziła Giulia, po czym odwróciła się i pobiegła do mieszkania.

Colomba odetchnęła z ulgą, opierając się o ścianę budynku obok Dantego.

– Czy to zawsze jest takie przykre?

– Bywa gorzej. Co o tym myślisz?

– Że następnym razem nie wezmę udziału w przesłuchaniu, nawet jeśli mnie zwiążesz.

– A poza tym?

– Obwinia się, że nie pomogła siostrze uwolnić się od szwagra, kiedy był jeszcze na to czas. Pojawienie się innego podejrzanego byłoby jej bardzo na rękę, bo pozbyłaby się

wyrzutów sumienia. Ale nie wierzy w jego istnienie.

Colomba się skrzywiła.

– Nie wydaje mi się, że byłaby w stanie wymyślić tego lekarza.

– Nie. To nasza pierwsza poszlaka, CC.

– Bardzo mglista.

– Udajemy, że jej nie ma?

– Nawet nie wiesz, jaką mam na to ochotę. No już, wsiadaj.

Colomba wynajęła kombi ze szklanym dachem w nadziei, że Dante będzie lepiej znosił jazdę i pozwoli jej nacisnąć mocnej pedał gazu. Pomyliła się, ale w zamian mieli do dyspozycji nowoczesny system głośnomówiący, który zapewniał możliwość rozmawiania przez telefon bez odrywania rąk od kierownicy.

Zadzwoiła do dyrektora szkoły, do której chodził Luca Maugeri, a mężczyzna wcale się nie dziwił, ponieważ w ciągu ostatnich dni wiele razy był wzywany do komisariatu, i udzielił potrzebnych jej informacji. Nie musiała nawet wymyślać żadnego pretekstu, wystarczyło, że się przedstawiła i podała swój stopień.

Dyrektor pamiętał o wizycie lekarskiej chłopca, która wchodziła w zakres programu profilaktycznego.

– Waga, wzrost, badanie klatki piersiowej... nic specjalnego – wyjaśnił.

– Czy lekarze byli w kontakcie z rodzicami? – zainteresowała się Colomba.

– Nie mam pojęcia.

– Czy badanie przewidywało również test psychologiczny? – Dante nachylił się w stronę mikrofonu zamontowanego we wstecznym lusterku.

– W żadnym razie. Dla wielu rodziców psycholog to ciągle lekarz od wariatów.

– Może mi pan podać numer do przychodni? – poprosiła Colomba.

– Zaraz poszukam.

Niestety, numer telefonu na nic im się nie przydał, bo szef zespołu lekarskiego odmówił udzielenia jakichkolwiek informacji, zasłaniając się prawem pacjenta do prywatności.

Colomba zastanawiała się, czy nie pomogłaby osobista wizyta, ale istniało ryzyko, że lekarz zażąda oficjalnego dokumentu lub zadzwoni do prokuratury i ściągnie na nich kłopoty. Postanowiła więc poprosić o przysługę Tirellego, który miał w Rzymie dość znajomości, aby uzyskać potrzebne informacje, wykonując kilka telefonów.

Spotkali się o osiemnastej w hotelowym barze.

– Dobrze ci się powodzi – zauważył Tirelli, siadając przy stoliku, na którym stał srebrny czajniczek z herbatą i Moscow Mule.

Colomba wskazała na Dantego.

– On płaci. Dante Torre.

– To znaczy, że zarabia pan więcej ode mnie. – Patolog uściśnął mu dłoń.

– Jestem tu gościem. Jeden z właścicieli to mój stary przyjaciel.

Colomba wzięła ciasteczko z tacy podzielonej na trzy części i ugryzła kawałek.

– Odnalazł jego córkę wariatkę.

– Wcale nie była wariatką – oponował Dante. – A poza tym to niewłaściwy termin.

– Rozdwojenie osobowości. – Specjalnie przeciągnęła samogłoskę, żeby z niego zażartować.

– Gratuluję. – Może z uwagi na wyjątkową sytuację Tirelli wydawał się jeszcze bardziej zmanierowany niż zwykle. Teraz siedział sztywno, jakby kij połknął. – Mogę zapytać, gdzie ją pan znalazł?

– W domu przyjaciela narkomana, zaraziła się świerzbem i sama chciała wracać do domu.

– W przeciwnym razie zostawiłby ją pan u chłopaka?

Dante wzruszył ramionami – nie znośił rozmawiać o swej pracy z nieznanymi.

– Staram się szanować wolność osobistą innych ludzi. I jest mi obojętne, czy mają rozdwojoną osobowość czy nie. Może się pan domyślić powodu. Dlaczego tak to pana interesuje?

Tirelli uśmiechnął się, pokazując zęby żółte od lukrecji.

– Ponieważ wiele o panu słyszałem. I zastanawiam się, po co wciągnął pan moją znajomą w to szaleństwo.

– Prawdę mówiąc, to ja go wciągnęłam – przyznała Colomba.

– Święte słowa – zgodził się Dante.

– Ale po co, na litość boską!? Połowa prokuratury została oddelegowana do sprawy Maugeriego, a ty jesteś na zwolnieniu. Uważasz, że popełnili błędy w śledztwie i że chłopiec żyje?

– Na razie nic nie uważam. Dlatego zbieram informacje.

– Czy Rovere o tym wie?

– Martwisz się regulaminem?

– O ciebie się martwię. O ciebie i o twoją karierę. Po tym, co ci się przytrafiło... – Nie dokończył zdania.

– To, co mnie spotkało i może jeszcze spotkać w przyszłości, jest wyłącznie moją sprawą. Przepraszam za szczerość.

– Ale teraz i ja jestem w to zamieszany. Jeśli ci pomogę, będę musiał wziąć na siebie odpowiedzialność.

– Możesz odmówić. Tylko skończ już z tym kazaniem.

Podeszła kelnerka i zapytała Tirellego, co mu podać, a on zamówił kieliszek białego wina z Fermo, które zaserwowano z ogromnym talerzem kolorowych przekąsek. Patolog w milczeniu wypił łyk trunku.

– No to jak – zniecierpliwiła się Colomba. – Pomożesz mi czy nie?

– Pomogę... ale ostatni raz, jeśli nie podasz mi wiarygodnych powodów.

– Gdybym je znała, pierwszy byś o nich wiedział. A teraz mów wreszcie!

– Rozmawiałem z moim kolegą, który pracuje w zespole opieki zdrowotnej. Lekarze biorący udział w programie szkolnym nie byli upoważnieni do kontaktowania się z rodzicami. Nie mieli dostępu do ich danych. Oczywiście w teorii, ponieważ wystarczyło poprosić o numer telefonu w czasie wizyty. Czy ktoś się kontaktował z państwem Maugeri?

– Przestań zadawać mi pytania! Dowiedziałeś się, kto badał chłopca?

Tirelli patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, po czym podał jej złożoną na czworo karteczkę.

– Dziewczyno, nie każ mi tego żałować, dobrze? – powiedział, podnosząc się z krzesła. Potem spojrzał na Dantego. – A pan niech uważa, żeby nie narobiła głupstw.

Dante w odpowiedzi głośno pociągnął przez słomkę swojego drinka.

Kiedy patolog odszedł, Dante chwycił karteczkę.

– Przesłanka nabiera kształtów.

Colomba wstała.

– Sprawdźmy to od razu.

Lekarz nazywał się Marco de Michele i pracował jako internista na pogotowiu w szpitalu Świętego Andrzeja w dzielnicy Grottarossa.

Już z daleka Dante zorientował się, że doktor nie może być Ojcem – zbyt młody, miał koło czterdziestki. Może był współnikiem?

Wyszli razem na papierosa i Dante skupił się na analizie zachowania lekarza. Pośpiech, zmęczenie, znudzenie. Nie zauważył żadnych oznak poczucia winy ani strachu, jedynie lekki niepokój, charakterystyczny dla większości ludzi zmuszonych do kontaktu z policją.

De Michele nie pamiętał dzieci, które badał w ramach programu szkolnego.

– Chyba że chodzi o tego chłopca ze zdeformowaną klatką piersiową, *pectus excavatum*.

– Chodzi o wklęsły tors – wyjaśnił Dante. – Zniekształcenie spowodowane przyjmowaną w czasie pracy pozycją i przyciskaniem butów do klatki piersiowej.

Colomba prychnęła z niecierpliwością. Chwilami miała wrażenie, że ma do czynienia z żywą Wikipedią.

– Nas interesuje Luca Maugeri – ucięła.

– Gdzieś już słyszałem to nazwisko... – De Michele otworzył szeroko oczy. – Czy to czasem nie ten chłopak zamordowany przez ojca?

Dante uznał zdziwienie doktora za wiarygodne i wymienił szybkie spojrzenie z Colombą, która przytaknęła na znak, że myśli podobnie.

– Nie, to tylko zbieg okoliczności – skłamała. – Ilu lekarzy przeprowadzało badania?

– Trzech, ale każdy z nas zajmował się w tym samym czasie innym dzieckiem, które miało numerek jak paczka na poczcie.

– Czy ktoś z personelu medycznego towarzyszył dzieciom w poczekalni? – dopytywał się Dante.

– Nie. Pielęgniarki w razie potrzeby otwierały tylko drzwi. Zakłopotany mężczyzna dotknął swojej głowy. – Co się stało temu dziecku? Ktoś je molestował?

– Matka odebrała sprośne telefony – pospieszył z odpowiedzią Dante.

De Michele się rozluźnił.

– Jestem gejem. Ale nie dzwoniłem do nikogo, nawet do ojca chłopca, jeśli chcecie o to zapytać.

W drodze powrotnej utknęli na obwodnicy w korku i Colomba zaczęła żałować, że nie mają radiwozu.

– Trafiliśmy w ślepy zaułek – podsumowała ostatnie przesłuchanie.

– On nie dzwonił, ale zrobił to ktoś, kto wiedział o wizycie.

– Czyli sto tysięcy osób.

– Chcesz się wycofać?

– Nie. Przejrzemy listę połączeń telefonicznych Lucii Balestri i spróbujemy się zorientować, o kogo chodzi. – Dostała spis od Roverego wraz z innymi dokumentami. – Na pewno nie jest to notowany przestępca, musiał też działać bardzo dyskretnie, skoro śledczy niczego nie zauważyli.

– Pod warunkiem że ktoś zadał sobie trud, żeby to sprawdzić.

– Jakies materiały musieli przecież przedstawić podczas wstępnej rozprawy, inaczej sędzia by ich opieprzył. Colomba zapomniała, że prowadzi prywatny samochód, nacisnęła na gaz i zaczęła wyprzedzać, nie zwracając uwagi na ograniczenia prędkości.

Dante obiema rękami chwycił się fotela.

– Czy to nie De Angelis jest sędzią w tej sprawie?

– On jest sędzią śledczym. Jak to możliwe, że z twoją wiedzą nie masz pojęcia o procedurach sądowych?

– Bo są nudne i mam od tego adwokata. Uważaj, za szybko jedziesz.

– Dasz mi mandat?

– Nie, ale wolałbym nie rzygać w wynajętym samochodzie. Zwłaszcza że zostawiłem im swoją kartę kredytową.

Colomba wyprzedziła ciężarówkę, prawie ocierając się o nią bocznym lusterkiem.

Dante otworzył okno i zaczął głośno oddychać.

– Czy ktoś ci już mówił, że jeździsz, jakbyś była pijana?

– Jak chcesz, to możesz wsiąść i wziąć taksówkę.

Dante przez chwilę rozważał taką możliwość, ale potem wrócił do głównego tematu.

– Złapaliśmy dobry trop, CC.

– To twoje pobożne życzenie.

– Nie. Ja się nie mylę. Nie potrafię wyjaśnić ci dlaczego, ale ta sprawa mnie przeraża.

Dante już się więcej nie odezwał, a na kolację prawie nic nie zjadł, siedział tylko ze wzrokiem utkwionym w dal. Nie zgodził się też wsiąść do windy i Colomba weszła z nim na piętnaste piętro po schodach, które pokonywał oswiale, wolnym krokiem, a zaraz po wejściu do apartamentu zniknął w swoim pokoju.

Colomba zdjęła buty i poszła za nim. Usiadła na szeszlunku.

– Pamiętasz, czy jakiś lekarz dzwonił do twoich rodziców przed porwaniem?

– Zaczynasz wreszcie wierzyć, że obie sprawy są ze sobą powiązane?

– Nie, ale mówiłam ci, że zamierzam wszystko dokładnie sprawdzić, i właśnie to robię.

– Według wersji rodziców bezpośrednio przed moim zniknięciem nikt obcy się z nimi nie kontaktował.

– Daj mi listę połączeń Lucii Balestri.

Dante rzucił jej plik papierów połączonych zszywaczem. *Zawsze bezbłędnie znajduje wszystko, co trzeba*, pomyślała z zazdrością, marząc skrycie o podobnych umiejętnościach.

Tymczasem mężczyzna wrócił do poprzedniej pozycji – fakira – i siedział bez ruchu na środku łóżka.

– Niektórzy świadkowie wspominali, że przed moim porwaniem widzieli jakiś dziwny samochód przed naszym domem, ale policja nigdy nie wpadła na jego ślad, więc może to była bzdura.

– A wasz lekarz rodzinny? – zapytała Colomba, nie podnosząc oczu znad dokumentów.

– Nie żyje. Za moich czasów wizyty w szkolnym gabinecie lekarskim to była normalka.

Walka z krzywicą i wszami.

– Gdzieś ty się wychowywał? Na statku pirackim?

– Na zapadłej wsi. Dlaczego policja nie sprawdziła tych numerów?

– Skupili się na dniu, w którym popełniono morderstwo, i zweryfikowali połączenia z powtarzających się numerów w poprzednich dniach lub te wykonywane o nietypowej porze. Nie mieli czasu, żeby sprawdzić wszystko. Masz pojęcie, ile to roboty?

– Sporo. Zwłaszcza gdy jest się przekonany, że to nie ma sensu.

Colomba zakreśliła jeden z numerów na liście.

– Mam tu numer stacjonarny z Rzymu. Pojawił się po raz pierwszy w okresie, na który zwróciła nam uwagę Balestri, w piątek.

– O której godzinie?

– O wpół do trzeciej po południu. To mniej więcej pora zamykania sklepów.

– Zobacz, czy numer się powtarza.

Colomba zajęła się przeglądaniem całego spisu. Aby zyskać na czasie, skupiła się na ostatniej cyfrze. Piątkowy numer kończył się dziewiątką i za każdym razem, gdy trafiała na tę cyfrę, sprawdzała cały ciąg. Gdyby miała dostęp do cyfrowej bazy danych, mogłaby zrobić to automatycznie, ale Rovere zdobył tylko papierową kopię dokumentacji.

– Pojawia się jeszcze raz, w następny poniedziałek. Tym razem to ona dzwoniła.

– I na tym koniec?

– Tak.

– To zbyt mało, żeby twoi bystroocy koledzy zwrócili uwagę.

– No właśnie.

Colomba włączyła laptop i sprawdziła numer w książce telefonicznej.

– Nie ma go w bazie danych.

– To on – stwierdził Dante.

– Nie podniecaj się tak, teraz dużo ludzi wycofuje numery telefoniczne z ogólnodostępnych spisów.

Dante wyszedł na taras, żeby zapalić papierosa, a Colomba zadzwoniła do Roverego, prosząc o sprawdzenie podejrzanego numeru.



Po kilku minutach otrzymała informację, która jednak okazała się mało konkretna. Gestem przywołała Dantego, który wrócił do pokoju. Przymknął drzwi balkonowe i skulił się na wiklinowym fotelu, podciągając kolana pod brodę.

– Czyj to numer?

– Skype’a. Wykupuje się abonament i program generuje miejscowy numer, z którego można wykonywać i przyjmować połączenia.

– A osoby szukające kontaktu nie mają o tym pojęcia. – Dante zapalił kolejnego papierosa. – Ojciec wie, że Lucia Balestri jest zaniepokojona objawami autyzmu u syna. Dzwoni do niej i oferuje pomoc. Spotykają się po kryjomu, a wtedy on ją przekonuje, żeby nikomu nic nie mówiła i nie używała telefonu.

– Ktoś może też po prostu oszczędzać na rachunkach.

– Na przykład lekarz, który dzwoni z gabinetu? Tak, to prawdopodobne. Przyjmijmy na chwilę, że ktoś... niekoniecznie Ojciec... porwał małego Lucę. W tej sytuacji udawanie doktora przyniosło pożądany efekt.

Colomba z niechęcią przyznała mu rację.

– Mąż był brutalny i nie chciał słyszeć o chorobie syna. Może to nawet ona zaproponowała spotkanie w odosobnionym miejscu? Tylko jak udało jej się niepostrzeżenie oddalić w czasie pikniku?

– Co wykazały testy toksykologiczne?

– Maugeri był pod wpływem alkoholu i środków uspokajających, które przyjmował regularnie z powodu stresu.

– Chyba że żona dodała mu coś jeszcze do piwa.

Colomba nie wydawała się przekonana.

– Skąd porywacz wiedziałby to wszystko o rodzinie i o problemach dziecka?

– Najpierw wybrał sobie ofiarę, a potem zaczął zbierać informacje. Szpiegował ich. Miał czas, bo od wizyty minęły dwa miesiące.

– Na razie mamy tylko ten dziwny numer. Powinniśmy zadzwonić.

Dante pokręcił głową.

– Próbowałem pięć minut temu. Nie ma takiego numeru.

– Następnym razem uprzedź mnie o swoich zamiarach. Lepiej, żebyśmy się trzymali procedury.

– Byłem pewien, że Ojciec już zrezygnował z tego numeru.

– Daj spokój z tą obsesją na jego punkcie.

– Sądysz, że to zbieg okoliczności?

Colomba wzruszyła ramionami.

– Wiesz, czego nas uczą na samym początku, kiedy jesteśmy przydzielani do prowadzenia śledztwa? Aby nie przywiązywać się zbyt mocno do jednej teorii. Bo jeśli bardzo w nią wierzysz, to widzisz nawet nieistniejące ślady.

Dante odpałił kolejnego papierosa od poprzedniego.

– To samo mi mówili, kiedy uciekłem z silosu.

– Nie to miałam na myśli. Pozostając w kręgu domysłów, czy według ciebie porywacz poznał chłopca w przychodni?

– Ponieważ jestem przekonany, że nie mamy do czynienia ze zwykłym przestępcą, ale z Ojcem, moja odpowiedź brzmi: nie.

– W tłumie rodziców i krewnych ryzyko było niewielkie. Mógł na przykład udawać kochającego dziadka.

– Nie – uciął Dante. – Przez dwadzieścia pięć lat po mojej ucieczce nikt nie wpadł na jego ślad. Nie udałoby mu się to, gdyby nie był obsesyjnie ostrożny. A możesz mi wierzyć, że on wie, co to paranoja.

Colomba pokręciła głową. Kiedy Dante z taką niezachwianą pewnością mówił o Ojcu, czuła, że ogarnia ją niepoohamowany smutek.

– Mimo wszystko przejrzałabym nagrania z kamer w przychodni.

Dante się odwrócił. Z jego ust wystawał wypalony do połowy papieros.

– Co powiedziałaś?

– Na pewno mają tam jakiś system monitorowania – wyjaśniła. – Poproszę Roverego, żeby postarał się o nagrania.

Dante rzucił tłącego się jeszcze papierosa na podłogę i wrócił do pokoju. Złapał Colombę za ramiona i potrząsnął.

– Musimy koniecznie dostać się do przychodni – powiedział.

Policjantka odsunęła się, zaskoczona tym gwałtownym gestem.

– Jutro rano spróbuję jeszcze raz porozmawiać z dyrektorem...

– Nie jutro, ale zaraz – przerwał Dante. – Jutro rano może już być za późno.

– O tej porze przychodnia jest zamknięta.

– To każ ją otworzyć, CC. To bardzo ważne.

– Powiesz mi, o co chodzi?

Kiedy jej powiedział, natychmiast sięgnęła po telefon.

Przychodnia, do której trafił syn Maugerich, znajdowała się w budynku z szarego cementu w kształcie zdeformowanego sześcianu, stojącym przy via Nomentana, nieopodal wylotu obwodnicy. Wyglądał jak klocek do zabawy, który włożono do piekarnika, bo miał pęcherze i wypukłości rozsiane na pozór przypadkowo po całej fasadzie. Dante i Colomba dotarli na miejsce koło północy i zastali przy bramie radiowóz Albertiego z włączonymi światłami. Chłopak podszedł, żeby się przywitać i przedstawić swego starszego kolegę, który był tak gruby, że nie mieścił się w mundurze, a na dodatek śmierdział potem. Colomba wiedziała, jaki to typ policjanta, jeszcze zanim uściśliła mu dłoń. Mężczyzna uśmiechnął się, patrząc na jej cycki bez cienia zażenowania.

– Gdzie jest lekarz? – zapytała Colomba.

Alberti wskazał jej głową kierunek. De Michele stał obok samochodu z niezadowoloną miną.

Podeszła do niego i podała mu rękę.

– Dziękuję, że zgodził się pan przyjechać.

– Pani kolega powiedział, że to bardzo ważne. Jak rozumiem, w przypadku tego chłopca, o którego pytaliście, nie chodzi tylko o zbieżność nazwisk? To ten zamordowany przez ojca?

– Jeszcze nie ustaliliśmy, czy żyje czy nie.

– A co ja mam z tym wspólnego?

– Nic.

W tym momencie pojawił się nocny dozorca, żeby otworzyć bramę, a Colomba wróciła do samochodu i zastukała w szybę po stronie pasażera. Rozparty na siedzeniu Dante przypominał rozpruty worek.

– Czekamy tylko na ciebie – ponagliła go.

– Odlóżmy to na inną okazję.

– Jutro połowa pracowników przychodni zacznie wydzwaniać do Roverego, żeby się na nas poskarżyć, i przez następne sto lat nikt nas tu nie wpuści.

– Przecież wcale mnie nie potrzebujesz.

– Wsiadaj, jeśli nie chcesz, żebym użyła siły.

Dante westchnął.

– No to szybko zrobimy, co trzeba. – Przed opuszczeniem hotelu przygotował sobie koktajl z tabletek i kropli, który powaliłby byka, ale adrenalina spowalniała efekty działania mieszanki. Jego termometr wewnętrzny przekroczył dziesiątkę. Jeszcze chwila, a z uszu

zacznie wychodzić mu para. Colomba ujęła go pod ramię i poprowadziła w kierunku wejścia. Dozorca otworzył drzwi i zapalił światło. Neon w korytarzu migał przez chwilę, zanim oświetlił pomieszczenie.

De Michele spojrzał na bladą twarz Dantego i zapytał:

– Dobrze się pan czuje?

– Nie. Proszę mnie poprowadzić tą samą drogą – odpowiedział zdławionym głosem.

– Jaką drogą?

– Tą, którą szli rodzice z dziećmi.

Zaskoczony lekarz stał przez chwilę w milczeniu, a potem zaprowadził ich na półpiętro. Na końcu korytarza znajdowały się okienka rejestracji i informacja. Idąc po ciemku, Colomba przypomniała sobie sceny z filmu *Żywe trupy*, w którym ludzie uciekający przed zombie kryją się w opuszczonych budynkach użyteczności publicznej. Pracując w policji, często trafiała w najdziwniejsze miejsca, nierzadko niebezpieczne, ale musiała przyznać, że ta przychodnia miała w sobie przerażający urok.

– Pacjenci przychodzą tutaj – wyjaśnił De Michele – i po zarejestrowaniu udają się na pierwsze piętro po schodach lub windą.

– Schody – mruknął Dante. – Miał wrażenie, że znajduje się w szarej, dusznej jaskini. Próbował zapanować nad oddechem. Wbiegł na górę, wyprzedzając pozostałych. – Co dalej? – zapytał, ciężko dysząc. Korytarz ciągnął się jak flaki, a przez jedyne okno wciskała się do środka ciemność nocy.

– Pani kolega ma trudności z oddychaniem. – De Michele zwrócił się do Colomby.

– To dlatego, że jest zadowolony. Gdzie idziemy?

Lekarz wskazał dwoje drzwi po przeciwnych stronach korytarza, którego ściany zdobiły rysunki przedstawiające dzieci, pszczołki i kwiatki.

– Jesteśmy w części pediatrycznej, tam dalej znajdują się gabinety. – Otworzył drzwi prowadzące do kwadratowej sali, w której pod ścianami stały rzędy krzeseł, a w głębi były kolejne drzwi. – To poczekalnia, tu rodzice i dzieci czekają na swoją kolej.

– W którym gabinecie pan przyjmował? – zapytał Dante słabym głosem.

– Eeee... w tym. – De Michele wskazał na środkowy.

Dante ruszył przed siebie. Przekroczył pierwsze wejście, przebiegł przez poczekalnię i wpadł jak bomba do gabinetu, otwierając na oścież białe drzwi. Znalazł się w ciemnym pudełku i stanął jak wryty, oblewając się zimnym potem. Po chwili dołączyli pozostali i ktoś zapalił światło. W pokoju stały metalowy stół, dwa krzesła naprzeciw siebie, kozetka i parawan. Następne drzwi prowadziły do małej toalety. Dante otworzył okno gilotynowe i zaczął głęboko wdychać wilgotne powietrze. W tej samej chwili włączył się alarm.

– O kurwa – zaklęła Colomba.

Zabrzęczała radiostacja Albertiego i odezwał się jego starszy kolega.

– Spryciarze, nie wiedzieliście, że alarm zewnętrzny jest włączony?

Colomba wyrwała Albertiemu aparat z rąk.

– Niech dozorca natychmiast go wyłączy.

– Nie może, muszą to zrobić z centrali.

– To zadzwoń do centrali. Tylko szybko.

– Tak jest!

Syrena wyła jeszcze przez następną minutę. Przez cały ten czas Dante przyciskał mocno dłonie do uszu, naśladując bohatera obrazu *Krzyk* Muncha. Kiedy wyłączono alarm, zajął się przeszukiwaniem pokoju. Ulokował się za stołem i próbował znaleźć pozycję, która pozwoliłaby mu widzieć zarówno krzesło pacjenta, jak i kozetkę. *Na górze*, przemknęło mu przez głowę. Podniósł wzrok i zobaczył kratkę wywietrznika. *Takie proste...* Pokazał go palcem policjantce.

– Zdejmijcie kratkę.

– Jesteś pewny?

Dante nie raczył odpowiedzieć. Wybiegł z pomieszczenia, trzaskając drzwiami.

– Czy on zawsze tak się zachowuje? – zapytał zdziwiony De Michele.

– Tylko kiedy jest w formie – odpowiedziała Colomba, próbując sięgnąć do kratki. W końcu przesunęła biurko. Stojąc na nim, miała otwór na wysokości twarzy, ale w środku widziała tylko ciemność. Kratka przymocowana była czterema śrubkami.

– Potrzebuję pani pomocy, *dottorressa*? – zaoferował się Alberti.

– Masz śrubokręt w kieszeni?

– Nie.

– Ja mam – powiedział De Michele. – Byłem harcerzem. *Estote parati*. – Podał jej szwajcarski scyzoryk. – Co chce tam pani znaleźć?

Colomba wybrała płaskie ostrze.

– Tak naprawdę to mam nadzieję, że nic nie znajdę.

Ale coś tam było i Colomba wiedziała już o tym, gdy odkręcała pierwszą śrubkę. Bardzo łatwo jej poszło, a to oznaczało, że ktoś niedawno majstrował przy zabezpieczeniu. Wykręciła następne dwie i obróciła kratkę na czwartej. Wtedy dostrzegła jakiś przedmiot.

W szybie wentylacyjnym tkwiła kamera, którą ktoś przymocował taśmą klejącą.

## 6

Dante palił ostatniego papierosa z paczki, kiedy Colomba wyszła z budynku, niosąc dwa plastikowe kubki z kawą.

– Automat na parterze jest włączony – powiedziała, podając mu jeden.

– Chcesz mnie otruć?

– Mnóstwo ludzi pije kawę z automatu i żyje.

– Miliony piją też wodę z Gangesu.

– Nie marudź. – Colomba przelała zawartość drugiego kubka do swojego i wypila duszkiem. – Najważniejsze, że pomaga pokonać senność.

Dołączył do nich inspektor Dino Anzelmo z wydziału do walki z cyberprzestępczością. Był to trzydziestolatek w okularach w czarnej oprawce wyglądający jak wieczny student. Przyjechał na prośbę Roverego, był w towarzystwie dwóch podwładnych i miał pozwolenie na przeszukanie budynku.

– Znaleźliśmy odciski palców. Kamera jest czysta, ale na kratce są odciski, a jeden niepełny również na ścianie. Anzelmo uniósł palmtop połączony z bazą danych systemu identyfikacji daktylogramów.

– Mamy szczęście.

– Jest notowany? – zapytała Colomba.

– Piętnaście lat temu został aresztowany za udział w bójce. I wniesiono przeciw niemu skargę w związku z hazardem. Nic na tle seksualnym. Ale jeśli chodzi o podglądanie, to prawdziwy specjalista, bo kamera ma wbudowany sensor ruchu. Kiedy nikogo nie ma w pokoju, przechodzi automatycznie na funkcję standby.

– Ile on ma lat?

– Pięćdziesiąt. – Anzelmo znalazł te informacje, a potem podał urządzenie Colombie. Zdjęcie na ekranie przedstawiało mężczyznę mającego kozią bródkę i krótkie szpakowate włosy. Nazywał się Sabino Montanari, urodzony i zameldowany w Rzymie. Rozwiedziony, bezdzietny.

– Pracuje w przychodni? – zapytał Dante.

– Jako salowy. Byłby pan świetnym policjantem.

– Zaciągnąłbym się tylko wtedy, gdyby doszło do wojny.

Anzelmo zamrugnął nerwowo i zwrócił się do Colomby:

– Sędzia podpisał zgodę na tymczasowe zatrzymanie podejrzanego. Powiedziałem, że dostaliśmy anonimowe zgłoszenie, postaram się, żeby tak zostało w dokumentach.

– Dziękuję – powiedziała Colomba, która doskonale zdawała sobie sprawę, co inspektor ryzykuje, kryjąc ich. Dante odciągnął ją za ramię na stronę.

– Nie posądzałam cię o tak rozwinięty patriotyzm – rzekła z ironią.

Dante spojrział na nią jak na UFO.

– Co?

– Powiedziałeś, że zaciągnąłbyś się w czasie wojny.

– Tylko dlatego, że podczas wojny ginie więcej cywili niż żołnierzy. Nie wiedziałeś? Muszę z nim porozmawiać.

– Z kim?

– Z Montanarim.

– Zapomnij. Policja go aresztuje i przekaże sędziemu, który zajmie się przesłuchaniem.

– Ojciec posłużył się nim, aby zrealizować swój plan i porwać Lucę Maugeriego.

– Nawet jeśli istnieje związek pomiędzy kamerą a uprowadzeniem dziecka, to przecież Montanari mógł to sam zorganizować.

– Jeśli to rzeczywiście on i ma małego, to czemu nie usunął kamery?

– Może nie zdążył.

– Była włączona?

– Tak.

– Bateria nie wytrzyma przez cztery dni. Montanari jest tylko pośrednikiem i nie ma znaczenia, czy wierzysz w istnienie Ojca czy nie. Jeśli pozwolisz, żeby wpadł w łapy wymiaru sprawiedliwości, to stracimy okazję. Żeby z nim porozmawiać, będziemy musieli poczekać, aż go wypuszczą.

Colomba wzniosła oczy ku niebu i wróciła do inspektora.

– Jakie polecenia dostałeś od Roverego?

– Pomóc ci.

– No to pomóż. Muszę wziąć udział w aresztowaniu.

Anzelmo pokręcił głową.

– Jesteś na zwolnieniu. – *I wiem dobrze, z jakiego powodu*, dodał w myślach.

Colomba nie zamierzała rezygnować.

– Przecież dla podejrzanego będę tylko zwykłą policjantką, która go przesłuchuje. Nie przyjdzie mu nawet do głowy wspomnieć o mojej obecności, jeśli nikt go o to nie zapyta. A kto niby miałby być taki dociekliwy? Nie daj się prosić!

Anzelmo wskazał na stojącego w pewnej odległości Dantego.

– A co z nim?

– Zostanie w samochodzie.

– I ty też, a przynajmniej dopóki nie założymy kajdanek Montanariemu, zrozumiano? Bo jeśli on ma pistolet i cię zastrzeli, to będę musiał ukryć gdzieś twoje ciało.

– W porządku – zgodziła się Colomba. Starła się zachować kamienną twarz, ale Dante

nawet z odległości wyczuł, że symuluje.



Montanari mieszkał przy via Salaria, ale nie otworzył drzwi. Alberti i jego starszy kolega wyważyli je przy użyciu niewielkiego wytrychu, po czym odsunęli się, przepuszczając Anzelma i Colombę, którzy weszli do mieszkania z bronią w ręku.

Inspektor zatrzymał się zaraz po przekroczeniu progu i kierując pistolet na środek pokoju, krzyknął:

– Policja. Wyjdź z podniesionymi rękami!

Za każdym razem gdy wypowiadał to zdanie, wydawało mu się, że bierze udział w jakimś okropnym filmie, ale żadne bardziej adekwatne nie przychodziło mu do głowy. Na szczęście, z uwagi na zajmowane stanowisko, nie musiał robić tego zbyt często, a z bronią miał do czynienia właściwie tylko na poligonie. Zauważył natomiast, że Colomba zachowuje się tak, jakby w domu otwierała butelki pistoletem. Anzelmo zdziwił się, że po tym, co jej się przytrafiło, jest tak pełna energii. Jak na jego gust była zdecydowanie zbyt aktywna. Gdy tylko przyjechali na miejsce, wysiadła z samochodu, zostawiając go na środku ulicy, i zaczęła dzwonić domofonem do wszystkich mieszkań po kolei.

Anzelmo pospieszył za nią.

– Zapomniałaś o naszej umowie?

Colomba nie zwróciła na niego uwagi. W domofonie odezwał się kobiecy głos i policjantka natychmiast skorzystała z okazji.

– Zapomniałam klucza, proszę mi otworzyć.

– Caselli... mówię do ciebie! – Inspektor poczuł się urażony, że Colomba nie zwraca na niego uwagi.

Drzwi wejściowe się otworzyły i policjantka wpadła do środka, zatrzymując się przy skrzynkach na listy. Dwaj policjanci, którzy towarzyszyli inspektorowi, spojrzeli na niego zaniepokojeni.

– Ona nie powinna iść z nami – zauważył jeden z nich.

– Spróbuj jej zabronić – odpowiedział Anzelmo.

– Ani myślę. – Mężczyzna cofnął się o dwa kroki.

Za Colombą i inspektorem do mieszkania Montanariego weszli również dwaj policjanci, a na końcu Alberti ze swoim kolegą.

– Nie ma go – oświadczyła Colomba, wkładając pistolet do kabury.

Anzelmo sprawdził jeszcze łazienkę i wtedy również schował broń.

– Każę przygotować list gończy – powiedział.

– Sądziś, że coś wyczuł? – zapytał jeden z policjantów. – Jest druga w nocy.

– Może widział nas w przychodni.

Colomba kręciła się już po mieszkaniu, rozglądając się dookoła.

– Nic nie wskazuje na to, żeby spakował walizki. – Spojrzała w stronę zamkniętej kołowej szafy. – Dajcie mi rękawiczki.

Anzelmo wzniosł oczy do nieba.

– Caselli, jak na kogoś, kogo miało tu nie być, za bardzo się rządziś.

– Rękawiczki – powtórzyła z niecierpliwością.

Policjant podał jej pudełko z jednorazowymi rękawiczkami. Colomba założyła je, otworzyła szafę i z uwagą zaczęła przeglądać jej zawartość. Na pierwszy rzut oka wydało jej się, że ubrań nie brakuje. Kiedy ludzie pakują się w pośpiechu, zawsze zostawiają zauważalny bałagan. Tymczasem w szafie, jak i w całym mieszkaniu, panował względny porządek.

– Zobacz tutaj. Jeden z policjantów otworzył szafkę, w której znajdowało się wysuwane biurko z laptopem podłączonym do odtwarzacza MiniDV, takiego samego jak ten, który znaleźli w wywietrzniku obok kamery.

– Jeśli uciekł, to nie wstąpił przedtem do domu. W przeciwnym razie zabrałby komputer.

– Colomba podniosła ekran laptopa, który włączył się, wyświetlając ikony Windowsa.

– Nie traćmy czasu – odezwał się Anzelmo. – Zabierzemy wszystko do laboratorium i potem powiem ci, co znaleźliśmy.

– A nie możesz już teraz rzucić okiem? Przecież i tak musimy tu poczekać na wypadek, gdyby Montanari wrócił.

– Wystarczy postawić radiowóz pod domem – zaprotestował inspektor, ale przejrzał szybko zawartość twardego dysku. – Widzę program do edytowania wideo, ale nie ma filmów. Na pewno wrzuca je do sieci albo kopiuje na pendrive'a. Ale jeśli używa do tego laptopa, to znajdziemy ślady.

– Możesz zajrzeć się tym tutaj? – zapytała Colomba.

– Nie. Najpierw musimy skopiować zawartość twardego dysku w niezmienionej formie. A poza tym nie jestem technikiem, zostawmy tę robotę specjalistom.

Colomba przyglądała mu się z ciekawością.

– Nie jesteś hakerem?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Pracujesz w wydziale do walki z cyberprzestępczością, cały czas siedzicie przy komputerach.

– Ty pracujesz w wydziale zabójstw i często stykasz się z trupami. A jesteś patologiem?

– Niezła logika. – Colomba zamknęła laptop i wyjęła wtyczkę z gniazdka.

– Jeśli masz zamiar zabrać ze sobą komputer, uprzedzam, że tym razem przywiążę cię do kaloryfera.

– Wezmę go tylko na dół.

Wsiadli do auta Colomby, ona i Dante z tyłu, a Anzelmo obserwował ich znad oparcia przedniego siedzenia.

Dante zaczął otwierać kolejne pliki przy użyciu wbudowanej do laptopa myszy.

– Co robisz? – Colomba w pewnym momencie przestała za nim nadążać.

– Szukam pamięci wykorzystania programów, żeby zorientować się, z których korzystał ostatnio najczęściej.

– Ja też mogłem to zrobić – obruszył się inspektor, usiłując coś zobaczyć ze swego miejsca.

– Wkrótce będzie się pan mógł bawić tak długo, jak pan zechce – zapewnił go Dante.

– Chcę, żeby najpierw on sprawdził komputer – powiedziała Colomba.

– Jest hakerem? – powtórzył jej wcześniejsze pytanie Anzelmo.

– Nie, ale znalazł kamerę w wywietrzniku.

– Bo my jej nie szukaliśmy – usprawiedliwił się inspektor.

Dante uśmiechnął się z przekąsem.

– No właśnie... Okej. Montanari właśnie podłączył się do Internetu, używając anonimowej sieci Tor.

– Co to jest? – zainteresowała się Colomba, która używała komputera, ale szybko się gubiła, gdy chodziło o szczegóły techniczne.

– Program zapewniający anonimowość w sieci – wyjaśnił Anzelmo.

– Brawo – pochwalił go Dante. – W ten sposób masz dostęp do stron, których normalnie nie znajdziesz.

– Darknet – stwierdziła Colomba.

– W żargonie dziennikarskim używa się właśnie tego terminu.

Inspektor pokiwał głową.

– Jeśli masz dostęp do anonimowych stron, to możesz kupić w sieci praktycznie wszystko, co w większości krajów świata jest nielegalne: broń, narkotyki...

– I materiały pedopornograficzne – zakończyła Colomba.

– No właśnie, chociaż większość użytkowników loguje się do sieci Tor, aby ściągać pirackie filmy. Nie wiemy, z jakiego serwera korzysta Montanari i gdzie przechowuje materiały. Ale widzę, że ma konto PayPal, a na nim przelew od niejakiego Marcusa Welby'ego, Amerykanina posługującego się wirtualną kartą kredytową wydaną na Kajmanach. Dziesięć tysięcy euro. Spora sumka. Bez hasła nie mogę sprawdzić pozostałych transakcji.

– Czy to prawdziwe nazwisko? – zapytała Colomba.

– Jeśli używasz prawdziwych danych, to nie potrzebujesz takiej karty kredytowej – wyjaśnił Dante. – Sądzę, że chodzi o pseudonim jednego z klientów.

– Myślisz, że sprzedaje nagrania?  
– A co innego może z nimi robić?  
– Chyba że sam lubi sobie pooglądać – dorzucił Anzelmo.  
– Czy w jego mieszkaniu znaleźliście zdjęcia dzieci? Nawet takie zupełnie niewinne? Na ścianach albo na lodówce? – dopytywał się Dante.

– Nie – zaprzeczył inspektor.  
– A zabawki, ubranka, komiksy dla dzieci?

Colomba pokręciła głową.

– Na komputerze są cztery różne aplikacje do gry w kasynie, a to oznacza, że mamy do czynienia z nałogowym graczem, który potrzebuje gotówki.

– Co jeszcze?

– Ma jedno konto na Skypie, ale nie korzystał z niego w ciągu ostatnich sześciu miesięcy i nie ma abonamentu na rozmowy krajowe.

– Skąd wam przyszło do głowy, że powinien mieć? – zapytał Anzelmo.

Dante i Colomba wymienili spojrzenia, ale nie odpowiedzieli.

– Ale za to był aktywny na czacie – powiedział Dante.

– Możesz przeczytać, co pisał?

– Nie, wszystko skasował. Ostatni dzisiejszy kontakt posługiwał się ksywką Zardoz i mam adres, z którego się połączył.

Pokazał Colombie ciąg cyfr oznaczających serwer, z którego Zardoz kontaktował się z Montanarim, a potem wpisał numery do wyszukiwarki w swoim iPhone, żeby zlokalizować urządzenie.

– To serwer Tor – odezwał się po chwili przerywanym głosem, jakby nagle coś ważnego zaprzątnęło mu głowę.

Colomba zwróciła się do Anzelma:

– Możecie sprawdzić, kim jest Zardoz?

– Nie, bo sieć Tor natychmiast kasuje dane wykorzystywane do logowania. Ale Montanari może go znać. Gdy go aresztujemy, musi nam powiedzieć.

– Możemy porozmawiać na osobności? – poprosił Dante.

Colomba spojrzała znacząco na inspektora.

– Zostawię was, ale laptop zabieram ze sobą – oświadczył urażony.

Dante podał mu urządzenie, patrząc przed siebie.

– Bardzo proszę.

Inspektor wziął komputer i wysiadł z samochodu.

– O co chodzi? – zapytała Colomba, kiedy zostali sami.

– Widziałaś film *Zardoz*?

– Nigdy nawet o nim nie słyszałam.

– To science fiction z lat siedemdziesiątych z Seanem Connerym.

– Niezłe ciacho.

– Ma ponad osiemdziesiątkę...

– Nie szkodzi. I co?

– Film opowiada o społeczeństwie przyszłości rządzone przez fałszywego boga, który każe nazywać się Zardoz. Postać inspirowana jest osobą czarnoksiężnika z krainy Oz. Pojawia się zawsze jako ogromna maska, która przypomina statek kosmiczny, i słychać tylko jej tubalny głos.

– Co to ma wspólnego z naszą sprawą?

– Dużo. Zardoz żąda od poddanych swoistego trybutu w zbożu. Na początku filmu niewolnicy napełniają maskę ziarnem. Statek kosmiczny jest niczym latający silos, CC. Zardoz to Ojciec, a Montanari może nas do niego doprowadzić.

Sabino Montanari siedział w swoim fiacie stilo na gaz, zaparkowanym obok filara obwodnicy, naprzeciw schodów prowadzących na stację Tiburtina. Jeszcze dwa lata wcześniej jeździł mercedesem, ale przegrał go w karty, podobnie jak mieszkanie kupione w czasach, kiedy szczęście się do niego uśmiechało. Teraz wynajmował kawalerkę, która znajdowała się tak daleko od przychodni, że poranny dojazd do pracy zajmował mu dwie godziny. Codziennie tracił w ten sposób dwie pieprzone godziny swego życia rano i jedną wieczorem, kiedy wracał do domu. Nie mógł się z tym pogodzić. Każdego dnia o tym myślał. Marzył, że kiedy odłoży trochę pieniędzy, rzuci regularną pracę, ale na razie nic mu się nie układało.

To dlatego zaczął zajmować się nagraniami, chociaż czuł obrzydzenie do tego typu filmów. Obrazki z kamery, którą umieścił na ginekologii, czasami sprawiały mu trochę przyjemności... ale pediatria? Jedno wielkie gówno. Niestety, materiały z kobietami rozkładającymi szeroko nogi nie miały żadnej wartości. Kiedy próbował je sprzedawać, otrzymywał co najwyżej propozycje wymiany. Za to dzieci...

Dzieci to był kokosowy interes.

Najczęściej lekarze poprzestawali na kontroli migdałków. Tylko czasami prosili o zdjęcie koszulki, a już naprawdę wyjątkowo badali intymne części ciała. Te fragmenty sprzedawał po sto euro za minutę i zawsze po darmowej prezentacji znajdował się jakiś chętny. Aż wreszcie pojawił się Zardoz. Jego numer był ciągiem cyfr wygenerowanym przez system i Montanari nie znał jego prawdziwego nazwiska. Dowiedział się tylko, że używa serwera od ponad roku i że bez problemów reguluje rachunki, o czym zapewniali inni aktywni w sieci sprzedawcy. To była bardzo ważna informacja, dająca pewność, że nie chodzi o jakiegoś glinę z wydziału do walki z cyberprzestępczością, który próbuje go namierzyć. Zardoz najpierw kupił ze dwie minuty, a potem złożył mu ofertę, która była zbyt piękna, żeby mogła być prawdziwa: całe nagranie za dziesięć tysięcy euro. Montanari miał świadomość, że takie strony internetowe odwiedzają również pedały, ale większość klientów wolała różnorodność i rzadko trafiał się ktoś, kto kupował wszystko od jednego oferenta. Tymczasem Zardoz chciał nawet te martwe kawałki nagrania, na których mamy rozmawiały z lekarzami, i tym podobne głupoty. Nic dziwnego, że Montanari nie wierzył w swój szczęśliwy los, dopóki nie zobaczył przelewu na konto PayPal.

*Żebyś zdechł przy waleniu konia*, życzył mu, przesyłając plik, ale Zardoz odezwał się ponownie. A potem jeszcze raz. W ostatecznym rozrachunku Montanari wyciągnął od niego

trzydzieści tysięcy euro i połowę tej sumy stracił w ciągu miesiąca przy zielonym stoliku na tyłach masarni. I właśnie dlatego, kiedy Zardoz poprosił go o spotkanie twarzą w twarz, Montanari zaczął w ogóle rozważać taką możliwość. Było to wbrew wszystkim zasadom umożliwiającym przeżycie, doskonale znanym użytkownikom sieci. Montanari sprzedawał nagrania, używając w jakimś zakątku świata serwera, z którym łączył się zupełnie anonimowo. Nie było w tym nic trudnego, wystarczyło poznać niektóre triki. Nauczył się ich od pewnego gościa, który oskubał go w pokera online i sprzedawał amfetaminę w sieci. To on powiedział, że nie interesuje go, kim są klienci. Przyjmował zamówienie, czekał na pieniądze i kiedy dostawał przelew, wysyłał towar kurierem, podając jako nadawcę dane nieistniejącej firmy. Opcję anonimowego połączenia można wynająć przez Internet za parę groszy, a zapewnia je pośredniczący w kontakcie serwer. Nawet jeśli policja cię namierzy, będzie mogła cię kontrolować tylko do tego momentu. Potem stajesz się niewidzialny.

Spotkania z klientami można porównać do gry w ruletkę. Jeśli obstawisz zły numer, na miejscu może czekać na ciebie gliniarz. Zardoz wyskoczył z typowym w takich przypadkach roszczeniem. Domagał się wyłączności na zakup wszystkich sprzedawanych przez Montanariego nagrań. I wraz z pieniędzmi chciał mu przekazać zapieczętowaną kamerę. Montanari zaproponował, żeby zostawił mu urządzenie w umówionym miejscu, ale klient odmówił, zasłaniając się ryzykiem, że ktoś niepowołany może znaleźć kosztowny sprzęt. Nalegał na osobiste spotkanie. Początkowo Montanari zamierzał się wycofać, potem wzięła górę chciwość. Nie przestawał myśleć o zaoferowanych przez Zardoza pieniądzach – tym razem chodziło o okrągłą sumkę czterdziestu tysięcy euro. Przecież nawet gdyby na spotkanie przyszedł policjant, to on nie będzie miał przy sobie żadnych kompromitujących materiałów, a wszystkie filmy przechowywał na anonimowym wirtualnym dysku. Mogą go aresztować, ale nie znajdą żadnych obciążających go dowodów.

Umówili się na pierwszą w nocy. Brakowało jeszcze dziesięciu minut i Montanari poczuł ogarniającą go senność. Nie przestawał ziewać, kiedy nagle dostrzegł we wstecznym lusterku zbliżającą się postać. Z tej odległości nie był w stanie dostrzec twarzy, widział tylko wysoką sylwetkę w eleganckim płaszczu zapiętym pod samą szyję. Mężczyzna zapukał w szybę dłonią w rękawiczce i wtedy Montanari nabrał pewności, że to jego klient. Uchylił okno.

– O co chodzi? – zapytał ogólnie, nie chcąc się zdradzić. Podał mu również swój raczej mało precyzyjny rysopis. Jedyne miejsce spotkania zostało ustalone bardzo konkretnie.

– Sądzę, że czeka pan na mnie – powiedział mężczyzna w płaszczu.

– Być może.

– Jestem Zardoz. Proszę wpuścić mnie do środka, musimy porozmawiać o pieniądzach.

Montanari zawahał się przez moment. Głos Zardoza był uprzejmy i wyrachowany, a on spodziewał się dyszącego z pożądania maniaka.

Odblokował drzwi i pozwolił mu wsiąść do samochodu, a wtedy zobaczył, że ma do

czynienia ze starcem. *Stary bogaty zboczeniec*, pomyślał.

Mężczyzna popatrzył mu przenikliwie w oczy. W świetle latarni kolor jego tęczywek wydawał się stalowoniebieski.

- To bardzo miło z pana strony, że zgodził się pan na spotkanie – zaczął Zardoż.
- To nie ma nic wspólnego z uprzejmością. Chodzi o kasę.
- Przypuszczam, że nie ma pan przy sobie żadnych kompromitujących materiałów?
- Uważa mnie pan za głupca?
- Nie, oczywiście, że nie.
- Gdzie jest kamera? Czy jest aż tak mała, że mieści się w kieszeni?

– Obawiam się, że to był tylko pretekst, aby skłonić pana do zgody na to spotkanie – oświadczył starzec. A potem wykonał szybki gest. Zupełnie zaskoczony Montanari poczuł przenikliwe zimno na szyi. Chłód prawie natychmiast zmienił się w lodowaty ziąb, a potem w palący ból.

Montanari otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i wtedy zdał sobie sprawę, że są wypełnione krwią i że nie może oddychać. Zardoż trzymał w ręku jakiś błyszczący przedmiot. Włożył go do kieszeni płaszcza i po chwili zaczęła z niej kapać krew. Jego krew.

Stary człowiek pochylił się i rozpiął mu rozporek, z którego wyjął członka. Montanari chciał go odepchnąć, ale jego ręce przestały reagować na impulsy z mózgu.

Starzec popatrzył na niego.

– Proszę się nie obawiać, nie zamierzam pana molestować. Przygotowuję tylko scenę dla tych, którzy pana znajdą. Proszę mnie zrozumieć.

Niestety, Montanari nic już nie rozumiał, miał natomiast wrażenie, że myśli wypływają z niego przez poderżnięte gardło razem z krwią. Ostatni wątek dotyczył jutrzejszego rozdania, w którym nie weźmie udziału. Wyobraził sobie, że trzyma w ręku szczęśliwe karty – poker królewski pików. Czarny kolor kart wypełnił jego oczy i umysł.

Zardoż wyjął z kieszeni plastikowy woreczek, a z niego brudną chusteczkę higieniczną oraz włos i położył na siedzeniu. Potem otworzył prezerwatywę i umieścił ją na członku Montanariego. Zdjął ją po chwili i włożył do woreczka. Następnie oddalił się szybkim krokiem.

Oparty o okno samochodu Montanari wyglądał z zewnątrz, jakby spał.



Kiedy skończyli wszystko, co było do zrobienia, Colomba poczuła zmęczenie i senność. Wróciła do mieszkania, w którym nadal urzędował Anzelmo.

– Znaleźliście coś nowego? – zapytała.

Anzelmo pokręcił przecząco głową.

– Po Montanarim też ani śladu. Wydaliśmy nakaz aresztowania, ale do tej pory nie było żadnego sygnału.

Colomba uważnie przyjrzała się pomieszczeniu, które policjanci podczas przeszukania wywrócili do góry nogami.

– Nie wygląda na to, żeby miał dość pieniędzy na ucieczkę za granicę.

– Chyba że wykorzystał te z konta PayPal.

– Bardziej przekonuje mnie teoria Dantego, że przegrał je w karty.

Anzelmo z zażenowaniem podrapał się w policzek.

– Przepraszam, że pytam tak bezpośrednio, ale kim on jest?

– To długa historia i teraz nie mam ochoty ci jej opowiadać.

– Bardzo miło z twojej strony. Przypomnę ci o tym, kiedy poprosisz mnie o kolejną przysługę.

Colomba złapała go za ramię.

– Przepraszam. Kiedy to wszystko się skończy, postawię ci piwo.

– Trzymam cię za słowo – powiedział z uśmiechem.

– Tylko nie rób sobie żadnych nadziei.

W tej chwili do mieszkania wpadł jeden z policjantów z ekipy Anzelma.

– Co się stało?

– Montanari został znaleziony w Tiburtinie. Zimny.

Colomba uderzyła pięścią w ścianę.

– O kurwa!

– O co chodzi, Caselli? – zdenerwował się inspektor.

Policjantka wymierzyła w niego palec wskazujący.

– Mnie i Dantego tutaj nie było. Jasne?

– Nie musisz mi tego powtarzać. Już i tak wpadłem w szambo.

Colomba zbiegła po schodach i zmusiła Dantego, żeby wsiadł do samochodu, a dopiero potem poinformowała go, co się stało.

– Co teraz? – zapytał ze ściśniętym żołądkiem.

- Jedziemy tam. – Ruszyła z piskiem opon.
- Nie możemy sobie darować oglądania trupa?
- Jak chcesz, to zostawię cię tutaj.
- Nie, nie. Już dobrze.

Colomba milczała przez całą drogę, a Dante również pogрузzył się w mrocznych myślach, które spowodowały, że jego termometr wewnętrzny wkrótce dał o sobie znać. Musiał wziąć xanax i kiedy dotarli na miejsce, poczuł, że tabletki zaczyna wreszcie działać.

Odcinek jezdni przy filarze obwodnicy został zamknięty i dwaj policjanci z drogówki kierowali ruchem. Colomba zwolniła nieco i machnęła im przed oczami legitymacją, po czym zaparkowała przed taśmą oddzielającą miejsce zbrodni. Nie czekając na Dantego, wyskoczyła z samochodu. Mężczyzna ruszył za nią na nogach jak z waty. Mimo wczesnej pory wokół filara zgromadził się już niewielki tłum ciekawskich i ludzie próbowali zobaczyć, co się dzieje za taśmą. W grupie tej było także kilku dziennikarzy, którzy trzaskali fotki w oczekiwaniu na pozwolenie przekroczenia ogrodzonej strefy. Policjanci rozmawiali przez radio i komórki, a pracownicy pogotowia ratunkowego żartowali, czekając, aż będą mogli zabrać ciało.

Dante pomyślał, że trafił właśnie do świata Colomby sprzed katastrofy, i zaczął się zastanawiać, czy jej tego brakuje. On sam miał wrażenie, że znajduje się w jakimś dziwnym śnie, kolory blakły w świetle noktowizorów, co potęgowało surrealizm sytuacji. Jasny snop światła skierowano wprost na auto denata, które błyszczało i wydzielalo lekkie obłoczki pary. Z odległości około dziesięciu metrów Dante dostrzegł ciemny kształt za szybą kierowcy i zdał sobie sprawę, że to głowa zamordowanego. To był jego pierwszy trup, wcześniej widział ciała jedynie na zdjęciach. Zwolnił kroku.

Przy samochodzie Montanariego kręcili się już dwaj technicy i inspektor Infanti z sekcji trzeciej, który przez trzy lata był zastępcą Colomby, a nawet jej przyjacielem, ale podobnie jak inni koledzy nie miał z nią kontaktu, od kiedy wyszła ze szpitala. Musiał się zadowolić sporadycznymi informacjami od Roverego, jedyne go kolegi, którego telefony Colomba czasem odbierała. Dlatego też, kiedy Infanti zobaczył ją biegnącą z naprzeciwka, pomyślał, że coś mu się przywidziało ze zmęczenia. Uwierzył własnym oczom dopiero wtedy, gdy Colomba wpadła na niego, usiłując zajrzeć do środka samochodu. Zatrzymała się o krok przed zamkniętym obszarem, na którym technicy zbierali dowody.

- Co masz? – rzuciła bez zbędnych wstępów.

Infanti otrząsnął się z zaskoczenia.

- Colomba... Wróciłaś do pracy?

Policjantka niechętnie oderwała wzrok od denata i przeniosła go na kolegę.

- Nie.

Infanti pokręcił głową z niedowierzaniem. Colomba wydała mu się nieco szczuplejsza, ale w świetnej formie. Była taka jak przed wypadkiem – nie miała już nic wspólnego

z przerażonym strzępem człowieka, który leżał na szpitalnym łóżku. Miał ochotę ją objąć, ale zauważył, że jest napięta jak struna, więc postanowił zachować bezpieczny dystans.

– Już myślałem, że dostanę przez ciebie zawału.

– Przykro mi. Ale teraz mów!

– Właśnie mamy pozwolenie, żeby go stąd zabrać. Zmarł w wyniku podcięcia tętnicy szyjnej bardzo ostrym narzędziem.

– Takim jak skalpel? – zapytała coraz bardziej zdenerwowana Colomba.

– Być może. Znaleźliśmy go z fiutem na wierzchu i śladami substancji, która przypomina środek plemnikobójczy. W aucie trafiliśmy na kobiecy włos, opakowanie po prezerwatywie i chusteczkę higieniczną ze śladami szminki. Zabrał jakąś prostytutkę na szybki numer, potem pokłócili się o pieniądze i ona poderżnęła mu gardło. A może już wcześniej zaplanowała morderstwo, kto to wie?

– Co za przypadek, że właśnie dziś w nocy... – Dante wreszcie dotarł w pobliże samochodu.

Infanti spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Czy on jest z tobą? – zwrócił się do Colomby.

– Tak. Wspomniacie, że znaleźliście opakowanie po prezerwatywie?

– Tak.

– A prezerwatywę?

– Niestety, nie. Może prostytutka zabrała ją ze sobą, no wiesz... DNA.

– Według pana kurwa zostawia brudną chusteczkę, a zabiera gumkę? – włączył się Dante.

– Trochę to dziwne, nie?

– Chciałbym się dowiedzieć, kim pan jest, do cholery!?

Dante wskazał na Colombę.

– Jestem jej przyjacielem.

W tej chwili nieopodal zaparkował prywatny samochód z włączonym kogutem i wysiadł z niego Rovere.

– Szef przyjechał – stwierdził Infanti.

Colomba poczuła, że zbliża się atak, i pomyślała z ironią, że jak zwykle dzieje się to w odpowiednim momencie. Przez całą drogę powstrzymywała go siłą woli, ale teraz na widok Roverego po prostu się poddała.

Świat wokół niej przybrał nieforemne kształty, a dwa żelazne ramiona ścisnęły ją mocno, tamując oddech. Odepchnęła kolegę i pobiegła w kierunku wąskiej ciemnej uliczki. Cienie wyłaniały się spod asfaltu, atakując bez litości, a w uszach Colomby rozlegały się przeraźliwe wrzaski. Uderzyła twarzą w mur i upadła na chodnik. Powietrze wdarło się do płuc, a ona zaczęła płakać. Kuliła się na chodniku, klęcząc i skomląc jak zbity pies. Nie potrafiła odzyskać kontroli nad własnym ciałem.

– O mój Boże – powtarzała, płacząc. – O mój Boże.

Dante miał rację. Bezlitosny porywacz działał z ukrycia. Ten człowiek istniał naprawdę! Pozostałe poszlaki mogła zignorować jako zbiegi okoliczności, jako sugestie wynikające z obsesji Dantego czy jako skutek strachu o niego – jak wtedy, gdy biegła do jego mieszkania z bronią w ręku. Ale nie śmierć Montanarięgo. Nawet najgłupszy z policjantów nie mógłby uznać jej za zwykły zbieg okoliczności. A ona nie była idiotką, nawet jeśli w tych okolicznościach byłoby jej to na rękę. Trafili na ślad prawdziwego porywacza, ukrywającego się za misternie stworzoną kurtyną, a on zareagował natychmiast, pozbywając się jedyne go świadka, który mógł ich do niego zaprowadzić. To był prawdziwy potwór, a oni drażniąc go, sprowokowali rozlew krwi i śmierć. Ciągłe jeszcze brakowało jej powietrza. Przygryzła wargę i poczuła smak krwi w ustach. Splunęła i dopiero wtedy zaczęła normalnie oddychać. *Zardoz*, pomyślała. *Zardoz*.

W świetle latarni zauważyła jakąś postać i już miała poddać się powracającemu atakowi paniki, gdy zdała sobie sprawę, że to zaniepokojony Rovere pochyla się nad nią.

– Colomba? Co ci jest?

Wyciągnął rękę i chciał pomóc jej się podnieść, ale ona go odtrąciła i usiadła o własnych siłach, opierając się plecami o ścianę budynku.

– To wszystko pana wina – wyjąkała.

– Co masz na myśli?

Odwróciła głowę w jego stronę, twarz miała brudną od kurzu i łez.

– Pozwolił pan, żebym zajęła się śledztwem! Tylko że nie oficjalnie, ale po kryjomu, żeby wystawić do wiatru Santiniego! A teraz mamy rezultat!

Rovere pochylił się bardziej.

– Jesteś pewna, że to morderstwo ma związek z porwaniem syna Maugerich?

Colomba otarła łzy.

– Tak, do diabła! Ale nie mogę tego udowodnić! Gdybyśmy znaleźli go żywego, moglibyśmy wykorzystać jego zeznania w sprawie i przedstawić je w prokuraturze. A teraz znowu nie mamy nic!

– Jest kamera...

– Mamy nagrania setki dzieciaków! Z których tylko jeden chłopiec został porwany! Jeśli pójdę z czymś takim do De Angelisa, to potraktuje mnie gorzej niż Dantego. A ja tego nie znoszę! – Ostatnie zdanie wykrzyczała szefowi prosto w twarz.

– Skoro udało ci się wpaść na jego trop, to możesz zakończyć tę sprawę – odezwał się ojcowskim tonem. – Jesteś na dobrej drodze, Colomba! Dlaczego nie chcesz przyjąć tego do wiadomości?

– A jeśli on się teraz przestraszył i zabije małego? Pomyślał pan o tym?

– Musimy podjąć ryzyko...

Colomba ponownie odtrąciła jego wyciągniętą dłoń.

– Spieprzaj.

– Colomba...

– Słyszał pan, co powiedziała? – odezwał się Dante. Stał u wylotu ulicy, a światło za jego plecami uformowało długi cień. Zaciskał pięści, aby dodać sobie odwagi i nie uciec.

Komendant wyprostował się natychmiast i ruszył w jego kierunku.

– Nie mieliśmy okazji się wcześniej spotkać, panie Torre. Nazywam się Rovere.

Dante zrobił krok w tył.

– Wiem, kim pan jest.

– Colomba źle się czuje. Czy mógłby pan nas na chwilę zostawić...

Głos policjanta był spokojny i pełen współczucia, a Dante po raz kolejny poczuł chęć, żeby się odwrócić i odejść. Ale nie mógł tego zrobić.

– Chyba będzie lepiej, jak to pan sobie pójdzie.

– Panie Torre... zaszło nieporozumienie...

– Nie sądzę. – Dante ominął go i podszedł do Colomby, która przyjęła jego pomoc i wstała. – Jak się czujesz? Przeszło ci?

– Prawie. – Nawet nie próbowała udawać.

Podał jej chusteczkę higieniczną.

– Masz rozciętą wargę.

– To nic poważnego. – Colomba otarła krew.

– Oddychaj głęboko i pamiętaj, że mam przy sobie całą aptekę.

– Nie biorę tych świństw.

Dante zwrócił się do Roverego:

– Dlaczego wybrał pan właśnie Colombę? Dlaczego przysłał ją pan do mnie?

– Bo mam do niej zaufanie.

Dante pokręcił głową.

– Parszywy kłamca – mruknął.

– Pan mnie nie zna, Torre.

– Znam za to takich jak pan.

– Idziemy – zdecydowała Colomba, kierując się wolnym krokiem w stronę samochodu.

Komendant próbował się przyłączyć, ale Dante go powstrzymał.

– Bez pana.

– Musimy porozmawiać o tym, co się wydarzyło – zaprotestował Rovere.

– Nie teraz. Zadzwonimy do pana – zakończył Dante. Kiedy podszedł do auta, zobaczył, że Colomba już siedzi za kierownicą. – Dasz radę prowadzić?

– Chcesz mnie zastąpić?

– Myślałem raczej o taksówce.

– Zapomnij.

– Dobra, ale jedź powoli. Ja też nie najlepiej się czuję.

– Nie chcę wracać od razu do hotelu. Potrzebuję powietrza – powiedziała, uruchamiając

silnik.

- Wystarczy otworzyć okno w pokoju i będziesz miała tyle powietrza, ile zapragniesz.
- Wolę Trastevere.
- Powinnaś odpocząć, uwierz mi.
- Nie.

Dante patrzył przez okno przez całą drogę – aż do momentu, kiedy Colomba wreszcie zaparkowała przy budynku ministerstwa edukacji. O tej porze nie było jeszcze turystów, nie licząc grupki pijanych Anglików, którzy głośno się śmiali.

- Poczekam na ciebie – oświadczył Dante. – Zostaw mi tylko uchylone okno.
- No coś ty, wysiadaj! Przejdziemy się kawałek. Chyba mi nie powiesz, że masz spacerofobię?
- O, jaka dowcipna – zauważył z przekąsem, po czym wysiadł z samochodu.

Szli po pustej ulicy. Bary i sklepy z pamiątkami były pozamykane, na posterunku tkwili tylko dwaj sprzedający róże Pakistańczycy, którzy przez kilka metrów szli za nimi, licząc na łatwy zarobek. Poza tym jedynie bar w irlandzkim stylu był jeszcze otwarty. Z końcem lata zniknął nawet przenośny kiosk, gdzie przyrządzano na bazie bryłek lodu owocową granitę, jakiej można spróbować jedynie w stolicy.

Colomba lubiła przebywać w tej znanej jej od urodzenia części miasta, z dala od zapachu krwi. Często tu wracała z przyjaciółmi i kolegami z pracy. Kiedy nadarzała się naprawdę wyjątkowa okazja, zatrzymywali się w restauracji odwiedzanej przez aktorów teatralnych przy via della Gensola, naprzeciw Wyspy Tyberyjskiej.

- Urodziłam się w tej dzielnicy – powiedziała Colomba. – I tutaj czuję się jak w domu.
- Ciekawe – bąknął Dante.
- A ty, gdzie się czujesz jak u siebie?
- W moim mieszkaniu. Tylko że teraz nie mogę tam wrócić.
- Gdzie jeszcze?
- W barze Marani, niedaleko mojego domu. Mają tam stoliki na zewnątrz, ale oddzielone kratą od ulicy.
- Nie było pytania. – Colomba rozejrzała się dookoła.
- Jestem głodny. Wracajmy do hotelu, tutaj wszystko jest pozamykane.
- Znam jedno miejsce – powiedziała nagle rozpogodzona Colomba, prowadząc go do zasuniętej żaluzjami piekarni. – Byłeś tu kiedyś?
- Zamawiam chleb z dostawą do domu.
- Piekarnia Renella. Jedna z najlepszych w Rzymie.
- Jestem z Cremony. A poza tym jest zamknięta.
- Co byś zjadł?
- Pączka z dżemem, ale pod warunkiem, że nie smażą ich na smalcu. Albo lepiej dwa. Lekarstwa potęgują głód.

– Poczekaj tu. Colomba zniknęła za rogiem i zapukała w przymknięte oszklone drzwi, zza których dochodził cudowny zapach pieczonego właśnie chleba. Za matową szybą widać było wypełnione ciastem formy. Otworzył jej jakiś nieznajomy piekarz i poprosił o pączki dla Dantego oraz kawałek białej focaccii dla siebie. Wszystko było jeszcze gorące, ale zaczęli jeść, nie czekając, aż ostygnie.

Dante oparzył się przy pierwszym kawałku.

– Aj!

– Nie śpiesz się tak – poradziła mu Colomba z pełnymi ustami.

– Kto nigdy nie poczuł gorącego dżemu w ustach, ten nie zna życia. Przychodziłaś tu, kiedy byłaś mała?

– Nie, dopiero kiedy miałam nocną służbę.

– Niezła klientela, gliniarze i kurwy.

– Dodaj jeszcze narkomanów.

Dante przełknął ostatni kęs i od razu zabrał się za następnego pączka.

– Teraz wreszcie mi uwierzyłaś?

– Tak, ktoś porwał małego Lucę.

– Nie ktoś.

Colomba miała wrażenie, że zaraz pęknie. Ostatni kawałek placka zawinięty w tłusty papier wyrzuciła do kosza.

– Jeśli chcesz, żebym przyznała, że za ksywką Zardoz kryje się Ojciec, to bardzo mi przykro, ale nie mogę tego zrobić. Historia ze zbożem w filmie to niezły zbieg okoliczności, ale nie wystarczy, żeby mnie przekonać, tak samo jak nie wystarczy gwizdek.

– Zachowaj swoje wątpliwości dla siebie. Współpraca z niedowiarkami pomaga utrzymywać umysł w gotowości. – Wyrzucił torebkę i umył ręce przy pompie. – Chociaż drażni jak kolec w dupie.

Colomba poszła w jego ślady. Przemyła twarz lodowatą wodą, odpędzając na chwilę senność.

– Pod warunkiem że będziemy to dalej ciągnąć – zaznaczyła.

– Mamy inne wyjście?

– Tak, jest jedno. Rovere da sobie radę sam. Przecież ma swój zespół, który może wysłać na poszukiwania Zardoza, kimkolwiek on jest. Albo niech przekazuje to zadanie ludziom z SIC-u.

– Sądzisz, że ci uwierzą?

– Komendant już jest przekonany. De Angelis natomiast uzna wszystko za zbieg okoliczności, zleci kontynuowanie śledztwa, zażąda dowodów... A w międzyczasie Zardoz może stwierdzić, że przetrzymywanie chłopca wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem, i go zabije. – Colomba wzięła Dantego pod ramię i ruszyli w stronę samochodu. Ten gest jednocześnie zaskoczył go i ucieszył. – Jeśli już tego nie zrobił.

- Czy to znaczy, że zamierzasz kontynuować śledztwo?
- Najsensowniej byłoby rzucić to wszystko w diabły, ale... – Pokręciła głową.
- Nie jesteś w stanie.
- No właśnie. Nie potrafię.
- Czy to ma związek z tym, co ci się przydarzyło?
- Być może.

Dante spojrzał na nią.

- Jesteś na tyle przygnębiona, żeby o tym pogadać?
  - Pięć minut temu może bym się zdecydowała. Ale teraz, po focaccii, czuję się zdecydowanie lepiej.
  - O nie... Straciłem doskonałą okazję.
- Przeszli kawałek w milczeniu.
- Wiem, że po tym morderstwie nie powinnam prosić cię o pomoc.
  - A ja powinienem się natychmiast wycofać. – Dante się skrzywił. – Tylko że przyjąłem za punkt honoru nie kierować się w życiu zdrowym rozsądkiem.
  - Jak myślisz, ile mamy czasu?

Dante zastanowił się przez chwilę.

- Każde działanie Ojca zwiększa nasze szanse na sukces, zwłaszcza teraz, kiedy podejrzewamy, że to on stoi za porwaniem. Jest już stary, więc będzie trzymał chłopca przy życiu jak najdłużej się da.
  - Tym lepiej dla nas.
- Dante zrobił brzydki grymas.
- Co jest? Nie zgadzasz się ze mną? – zapytała Colomba.
  - Zgadzam się. Tylko że on również zdaje sobie sprawę, że syn Maugerich może okazać się jego ostatnią ofiarą. I wierz mi, nie będzie spokojnie czekał, aż się po niego zgłosimy. Boję się tego, co może wymyślić.



Mężczyzna zwany Zardozem wrócił do budynku, którego mieszkańcy nie mieli pojęcia, czym się właściwie zajmuje. Na wewnętrznej kłamce drzwi prowadzących do mieszkania wisiały monety ułożone w wybranym przez niego porządku. Uchylił drzwi i włożył rękę przez szparę, nie pozwalając specyficznej ozdobie upaść na podłogę. Sprawdził, czy kolejność ułożenia monet się zgadza, po czym wszedł do środka. Ten prosty system okazał się niezwykle skuteczny. Z pewnością nie powstrzymałby złodzieja, ale właściciel nie obawiał się przestępców, ale nieproszonych gości i szpiegów.

Nie do końca wierzył, żeby policja mogła wpaść na jego trop. Nie po tych wszystkich miesiącach, które spędził na stworzeniu swej nowej, ponurej tożsamości. Przecież była bezbłędna. Odłożył płaszcz i umył ręce. Skalpel, którego użył do zabicia Montanariego, skończył w Tybrze, złamany na pół. Rękawiczki i prezerwatywę wrzucił do pojemnika z wybielaczem. Zrobił sobie herbatę, a potem wszedł do gabinetu.

Była to kłitka o wymiarach dwa na trzy metry, pokryta płytami dźwiękoszczelnymi. Opuszczone rolety zasłaniały okno. Na środku pokoju stało biurko z komputerem, a obok krzesło. Poza tym była tam tylko komoda. Żadnych obrazów ani dywanu. Żadnych innych sprzętów. Zardoz wyposażył komputer w mikrofon i słuchawki, a łączył się z Internetem przez sieć wi-fi należącą do sąsiada. Hasło zdobył nielegalnie. Przycisnął kciukiem włącznik, aby odblokować ekran, po czym połączył się z serwerem, na którym zapisywał dane i programy służące do pracy. Wirus, który wpuścił do sieci, dobrze wykonał swoje zadanie, kasując wszystkie kompromitujące informacje z wirtualnego twardego dysku Montanariego, a teraz zajmował się likwidacją danych na stronie służącej do zawierania transakcji. Odpowiednio wcześniej wprowadził wirusa za pomocą specjalnego programu, który pozwala na uruchomienie procesu w dowolnym momencie, co też zrobił przed wyjściem na spotkanie z Montanarim. Teraz zauważył, że komputer denata odłączono od sieci. Prawdopodobnie zrobiła to policja.

Zastanowił się przez chwilę nad tym, co mogą odkryć. Na pewno nie jego tożsamość i interesujące go materiały, bo te zniknęły na zawsze. Dla pewności skasował wszystkie ślady Zardoza w sieci. Profil przestał istnieć, a wraz z nim i jego historia, gdy tymczasem całe strony w tak zwanym darknecie pochłaniał wirus. Jednak to, że komputer Montanariego został tak szybko odłączony, było jednoznacznym sygnałem, że policja znalazła trop. A mężczyzna, który jeszcze niedawno używał pseudonimu Zardoz, był zbyt ostrożny, żeby to zlekceważyć. Czyjeś przenikliwe oczy, które skierowały się we właściwym kierunku,

przestały być zwykłym problemem, zmieniając się w zagrożenie.

Przed nadejściem świtu Zardoz drobiazgowo zaplanował kolejne morderstwo.

Po powrocie do hotelu Colomba padła na łóżko jak nieżywa, zdjawszy przedtem tylko glany. Dante zaparzył sobie zielonej kawy i czekał, obserwując z tarasu gasnące światła w oknach rzymskich mieszkań. Sporządzał notatki, paląc przy tym jednego papierosa za drugim. O szóstej rano zrobiło się jasno i zadzwonił telefon z recepcji. Kiedy zszedł na dół, zastał w holu Santiaga rozpartego wygodnie na sofie, ze stopami w złotych sneakersach opartymi na kryształowym blacie stolika.

Santiago był Latynosem, wytatuowanym od stóp do głów agresywnymi symbolami, które zdobiły również jego kurtkę. Były to znaki rozpoznawcze gangu Cuchillos, rywalizującego o kontrolę nad poszczególnymi rzymskimi dzielnicami, przy całkowitej nieświadomości rodowitych mieszkańców, oczywiście z wyłączeniem policji. Obejmował w pasie młodziutką dziewczynę z podgolonymi włosami i w dżinsach tak obcisłych, że one też sprawiały wrażenie wytatuowanych. Dante miał wątpliwości, czy jest pełnoletnia.

– Tu jestem! – wrzasnął Santiago na jego widok. Wstał, żeby go objąć i ucałować w policzki na przywitanie.

– Jak leci? – zapytał Dante, siadając naprzeciw na sąsiedniej kanapie.

– Jak zwykle na fali. Przecież mnie znasz, co nie? – Santiago był rzymianinem w drugim pokoleniu, urodził się i wychował w tym mieście, ale specjalnie mówił z kolumbijskim akcentem, aby zadać sobie szyku. Pogłaskał czule dziewczynę. – To jest Luna.

Dante pochylił się nieco, jakby zamierzał pocałować ją w rękę, a dziewczyna wybuchła śmiechem.

– W którym pokoju urzędujesz?

– F – powiedział Dante po chwili wahania.

Santiago uniósł brwi.

– Jak to F?

– Apartamenty oznaczane są literami, a nie numerami. Chyba nie przez przypadek.

Santiago nie zwrócił uwagi na wyjaśnienie, zajmując się dziewczyną.

– Słyszałaś? F. Teraz idź do baru. – Wskazał kontuar w głębi holu, za którym stał senny barman, wypatrując kolegi z porannej zmiany. – Zamów sobie coś do picia na konto mojego przyjaciela. – Santiago patrzył, jak Luna oddala się na korkowych koturnach, kołysząc biodrami, i dopiero po chwili zwrócił się do Dantego. – Przestraszyłeś się, że ci ją wyślę do pokoju?

– Przyznam, że taka myśl przemknęła mi przez głowę.

– Teraz nie pracuje. Po prostu lubi moje towarzystwo.

Dante skinął głową.

– Jasne.

– Co mogę dla ciebie zrobić, *hermano*?

– Potrzebuję informacji na temat jednego gościa, który działa w sieci jako Zadroz. Kupuje nagrania z dziećmi.

– Masz tylko tę ksywkę?

Dante przekazał mu kartkę, którą przygotował wcześniej.

– Tu są adresy stron, które odwiedzał, i nazwisko człowieka, z którym robił interesy. Masz też mejla.

– A co się stało z tym facetem?

– Nie żyje. Spisałem ci też strony, które prawdopodobnie zniszczył. Sprawdź to. Tylko ostrożnie, bo policja już prowadzi śledztwo.

Santiago włożył kartkę do kieszeni kurtki.

– Przecież wiesz, jak pracuję. Nie zauważą nawet śladu kurzu, który się za mną podniesie.

– Mimo wszystko uważaj.

– Wiesz, że to będzie kosztowało.

– Ile?

– Cztery tysiące.

– Dwa. Potem zobaczymy, zależy, co mi przyniesiesz. Jak ci zapłacić?

Santiago podał mu numer peruwiańskiej karty kredytowej prepaid, a Dante obiecał zrealizować przelew w ciągu dnia.

– Ale najpierw musisz mi coś powiedzieć, *hermano*.

– Zapomniałeś o regule żadnych pytań?

– Skoro sypiasz z policjantką, to reguła nie obowiązuje.

Dante westchnął. Powinien był się domyślić, że Santiago będzie przygotowany.

– Nie śpię z nią. Po prostu dzielimy apartament. I nie jest na służbie.

– Co nie zmienia faktu, że jest gliną, nie?

– To dla ciebie problem?

– Nie. Możesz robić, co chcesz. Jesteś moim przyjacielem, ale nie jesteś jednym z nas. Chcę tylko wiedzieć, dlaczego zwracasz się z tym do mnie zamiast do niej?

– Bo jesteś szybszy.

– To jedyny powód?

– Nie ufam jej informatorom.

Santiago się uśmiechnął.

– Masz rację. Nigdy nie ufaj glinom.

– Jej ufam. Lepiej, żebyś to wiedział.

– Powiesz jej o mnie?

– Tak. Ale nie martw się, to nic nie zmieni. *Przynajmniej jeśli chodzi o ciebie*, dodał w myślach.

Santiago wstał i przywołał gestem Lunę, która szybko odstawiła drinka z parasolką i podbiegła do nich.

– Ja się nigdy nie martwię, to oznaka słabości – powiedział.

– Szczęściarz z ciebie.

– Napiszę niedługo.

– Kiedy?

– Nie wiem, *hermano*. Daj mi ze dwa dni.

– Santiago... muszę mieć coś natychmiast. Bardzo proszę.

Mężczyzna popatrzył na pełną napięcia twarz Dantego i powiedział:

– Zobaczę, co się da zrobić.

Objęli się na pożegnanie, po czym Santiago wyszedł z hotelu, przytulając do siebie Lunę. Wyglądali jak para zakochanych.

Dante wrócił do apartamentu ledwo żywy i zasnął w ubraniu. Spał tylko trzy godziny, bo Santiago rzeczywiście zaraz wziął się do roboty i przysłał pierwsze informacje na serwer, którego Dante używał w specjalnych przypadkach. Kiedy je przeczytał, natychmiast stracił ochotę na sen.

Colomba obudziła się o drugiej po południu i wzięła długi prysznic, rozmyślając o wydarzeniach poprzedniej nocy. O śmierci Montanariego, o Zardozie i o spacerze z Dantem. W czasie nocnej przechadzki po Trastevere czuła się bardzo swobodnie; po raz pierwszy od wielu miesięcy miło spędziła czas w towarzystwie drugiej osoby. Zaczęła się zastanawiać, czy nie za bardzo się do niego przywiązuje, i sama myśl o tym wprawiła ją w zakłopotanie. Po katastrofie nie była jeszcze gotowa, żeby się z kimś związać. A poza tym po zakończeniu sprawy pewnie go już więcej nie spotka.

Owinęła się w śnieżnobiały szlafrok z logo hotelu i poszła do salonu, gdzie obok ekspresu znalazła sześć brudnych filiżanek po kawie. Pomyślała, że Dante już się obudził i nad czymś pracuje. Świadczyła też o tym hinduska muzyka dobiegająca z jego pokoju. Kiedy używał komputera, włączał zawsze Spotify i puszczał kawałki z Bollywoodu, a Colomba miała poważne trudności w odróżnieniu jednej piosenki od drugiej.

Zrobiła sobie cappuccino i z kubkiem w ręce zapukała do pokoju Dantego.

Kiedy otworzyła drzwi, uderzył ją smród papierosów. Dante siedział na środku łóżka z laptopem na skrzyżowanych nogach. Miał na sobie ubranie z poprzedniego dnia. Pokój był tak zadymiony, że ledwo go widziała. Czujnik przeciwpożarowy został zablokowany za pomocą taśmy klejącej. Na jej widok mężczyzna wyłączył muzykę.

Colomba otworzyła drzwi balkonowe, chociaż ze względów bezpieczeństwa nie odsunęła zasłony.

– Chcesz się udusić?

– Sama mi kazałaś zamykać na noc.

– Teraz jest dzień. – Colomba rzuciła okiem na niedopałki w szklance i na zmęczoną twarz Dantego i domyśliła się, że tej nocy nie spał. – Nie powinieneś się przespać?

– Znałem kiedyś takiego jednego, który wcale nie spał – powiedział Dante.

– I co się z nim stało?

– Dostał kulkę w łeb, teraz odpoczywa za wszystkie czasy. – Uśmiechnął się, ale Colomba i tak wyczuła, że jest bardzo spięty.

– Co ci jest? – zapytała, siadając na brzegu łóżka.

Dante pogrzebał w paczce, wyjął ostatniego papierosa i zapalił, mimo że Colomba obrzuciła go pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

– Postarałem się o bardzo ważne informacje.

– Co za informacje?

– Na temat Zardoza. Przekazałem mojemu znajomemu wszystko, czego się dowiedziałem, i poprosiłem, żeby trochę poszperał w sieci.

Na te słowa Colomba pomyślała, że powinna zamknąć go natychmiast w jakiejś skrzyni i zostawić, żeby tam zgnił.

– Kim jest twój kontakt?

– Nazywa się Santiago Hurtado.

– Chyba nie ten z Cuchillos, co?

Dante przytaknął.

– Zdajesz sobie sprawę, komu to mówisz?

– CC, daj spokój, to nie ma teraz znaczenia.

– Co ty pierdolisz? Jak to nie ma znaczenia? Aresztowaliśmy go dwa lata temu z czterema kolegami, bo zadźgali nożem człowieka. Hurtado się wywinął, bo miał trzech świadków, którzy zeznali, że w czasie morderstwa wciągał kokainę w dyskotece.

– Wiem.

– I przekazałeś mu poufne dane w sprawie dotyczącej zabójstwa i porwania?

– Na swój sposób dotrzymuje słowa.

– Honor przestępców – podsumowała z sarkazmem Colomba. – Gdzie go poznałeś?

– Możemy pominąć ten wątek?

– Nie, nie możemy.

Dante wzruszył ramionami. Nie miał ochoty na dyskusję i Colomba zrozumiała, że myślami jest zupełnie gdzie indziej.

– Jak chcesz. Minutillo był jego adwokatem, a ja pomogłem mu znaleźć świadków, o których wspomniałaś.

Colomba zatrzęsa się z oburzenia.

– A więc to twoja wina!

– Santiago nie jest już aktywnym członkiem gangu. Po tym, co się stało, przestał zajmować się handlem narkotykami.

Colomba skrzyżowała ramiona.

– Bardzo mnie to cieszy... O, przepraszam. Nie będę ci więcej przerywać. Mów dalej.

– Zawsze był z niego niezły kombinator i szybko się zorientował, że świetnie radzi sobie z wyciąganiem z komputerów ukrytych informacji. Teraz z tego żyje.

– Od handlarza narkotyków do hakera. Świetna kariera! Zdajesz sobie sprawę, że możemy wylądować za kratkami za takie znajomości?

– Luca Maugeri trafił w ręce potwora. Pamiętasz o tym jeszcze?

– Mamy wydział do walki z cyberprzestępczością... – powiedziała bez przekonania.

– To miał być żart?

– Dobra, co on znalazł na Zardoza? – ucięła krótko.

– Odkrył, że pali za sobą mosty. Wszystkie strony, których używał Montanari, zostały

zniszczone.

– Jak to?

– Ktoś skasował twarde dyski na serwerach. Santiago uważa, że coś znajdzie, ale potrzebuje czasu.

– To wszystko?

– Nie. Wykrył też, że mniej więcej przed dwoma miesiącami Zardoz włamał się do systemu służby zdrowia. Stało się to kilka dni po tym, jak syn Maugerich był na badaniu w przychodni.

– To naprawdę takie łatwe?

Dante wzruszył ramionami.

– Jakbyś miała odpowiedni program, to też byś się dobrała bez problemu do tych danych.

– Nie rozumiem. Co to za program?

– Malware Spybot, program do szpiegowania, który instaluje się na serwerze, żeby przekazywał dane na odległość. W ten sposób można poznać hasła dostępu do systemu i tym podobne informacje. Według Santiaga Zardoz użył tej samej wersji, którą posłużyli się chińscy hakerzy, żeby wejść do systemu firmy Apple.

– Wątpię, że Zardoz jest Chińczykiem.

– Tego typu oprogramowanie można ściągnąć z sieci, trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać. A to oznacza, że Zardoz jest specjalistą i na bieżąco śledzi nowinki. Albo płaci komuś, kto dla niego pracuje, tak jak Santiago dla mnie. On też używa podobnego oprogramowania.

Colomba pomyślała chwilę.

– To znaczy, że Zardoz nie ufał Montanariemu do tego stopnia, aby poprosić go o dane chłopca. Sam się o nie postarał.

– Tylko że kartoteka nie zawiera wszystkich danych personalnych.

– Skąd wiesz?

– Zadzwoiłem do dyrektora przychodni. Po ostatnich doświadczeniach był zdecydowanie bardziej chętny do współpracy. Kazałem przesłać sobie listy dzieci.

– Podałeś się za policjanta?

– Nie bezpośrednio.

Colomba przymknęła oczy.

– Coraz bardziej pogrążamy się w gównie.

– Na podstawie materiału dostarczonego przez dyrektora można poznać nazwiska dzieci, które wzięły udział w szkolnym programie profilaktycznym, ale nie ma tam zdjęć, opisów kondycji fizycznej ani dat czy godzin badań. Mówimy o ponad trzystu dzieciach.

– No to jak Zardoz znalazł właściwego chłopca?

– Pewnie tak samo jak ja. Wyeliminował dziewczynki oraz tych chłopców, których kartoteki podpisali ojcowie.

– No tak, Luca przyszedł na badanie z matką. To było widać na filmie – przyznała



Colomba.

– Właśnie. Wtedy zostało już tylko dwadzieścia nazwisk. Odrzuciłem dzieci badane przez lekarki.

– Na nagraniu widać, że doktorem był mężczyzna...

– Zostało czternastu chłopców. Zadzwoiłem do ich rodziców dziś rano, kiedy spałaś.

– I co?

– Cztery osoby potwierdziły, że dzwonił do nich Zardoz.

Serce podeszło jej do gardła.

– O mój Boże – szepnęła.

Dante zgasił papierosa i odstawił szklanekę na stolik.

– Dwie rozmowy były bardzo krótkie, ponieważ od razu wyszło na jaw nieporozumienie. Natomiast jedna trwała nieco dłużej, bo matka wyraźnie się zaniepokoiła.

– Zardoz szukał konkretnego chłopca. Nie chciał jakiegokolwiek.

– Tak, interesowało go dziecko autystyczne wychowywane przez samotną matkę, gotową na wszystko, aby mu pomóc.

– Czy podał nazwisko, kiedy zadzwonił?

– Przedstawił się jako doktor Zedda z narodowej służby zdrowia. – Dante pokręcił głową.

– Już sprawdziłem, nikt taki nie istnieje. Chociaż mogłem to sobie odpuścić. Zed to jeden z bohaterów filmu kryjący się za maską.

– Zed, Zedda – powtórzyła Colomba.

– No właśnie. Doktor Zedda mówił na początku, że rozmawiał z pediatrą, który badał chłopca, i opisał mu niepokojące objawy. Potem zadawał pytania na temat zachowania dziecka. Chciał wiedzieć, czy jest roztargnione, nieobecne, smutne i tak dalej. Kiedy matka wyrażała zaniepokojenie, pytał o wygląd chłopca i kończył rozmowę, przepaszając, że pomylił kartoteki. Jedna z matek tak się przeraziła, że potwierdziła wszystkie informacje rzekomego lekarza. Zedda umówił się z nią na dworcu Termini, kłamiąc, że będzie w Rzymie przejazdem, żeby wziąć udział w konferencji. Kobieta czekała na niego, ale się nie pojawił. Wtedy zrozumiała, że to jakiś przekręt.

– O kurwa! Tak niewiele brakowało – wybuchła Colomba, ale zauważyła malujące się na twarzy Dantego napięcie i zrozumiała, że na tym nie koniec. – A może się mylę? – szepnęła.

– Powiedziała, że kiedy kierowała się do wyjścia, miała wrażenie, jakby ją ktoś obserwował i... nie jest pewna, może się mylić, ale... – Dante skrzywił się i Colomba musiała przyznać, że nigdy wcześniej nie widziała go tak przejętego. – Być może widziała tego człowieka.

Przewrażliwiona matka nazywała się Chiara Pacifici. Piła czekoladę w kawiarni Castroni – jednym z wykwinnych rzymskich lokali – w towarzystwie swojego bernardyna, który męczył się okropnie i dyszał z gorąca. Wokół lodówek i kontuarów pełnych słodczy, których ceny przyprawiły o zawrót głowy, tłoczyła się na oko setka ludzi. Colomba pokazała legitymację i poprosiła, aby przeniosły się na zewnątrz, gdzie było zdecydowanie spokojniej.

– Nie sądziłam, że to taka poważna sprawa – odezwała się zdenerwowana kobieta.

– To tylko zwykła kontrola, nic wielkiego – skłamała Colomba.

– Skoro pani tu przyszła... Proszę powiedzieć mi prawdę, kto do mnie dzwonił?

Dante chciał ją uspokoić, ale tylko pogorszył sytuację.

– Zwykły maniak, proszę pani. Udaje lekarza, aby molestować kobiety.

– O Boże, a jeśli on wróci? Jeśli będzie chciał zrobić mi coś złego?

Colomba ścisnęła Dantego za ramię, nakazując mu milczenie.

– Mój kolega źle się wyraził, proszę pani. Mężczyzna, którego szukamy, nie jest niebezpieczny ani brutalny. To...

– Ekshibicjonista – zakończył Dante.

– Chodzi po ulicach i pokazuje ptaszka? – upewniła się Chiara.

– Właśnie tak. Chodzi po ulicach i pokazuje ptaszka.

– To obrzydliwe. Na szczęście udało mi się tego uniknąć – oświadczyła znacznie spokojniejszym tonem.

– Szukamy go, bo wiele kobiet się skarżyło – wyjaśniła Colomba. – Chodzi o człowieka z zaburzeniami, nie o przestępcę.

– Czy mogę jakoś pomóc?

– Wspomniała pani przez telefon, że prawdopodobnie go pani widziała.

– Nie mam pewności, że to był on. Stał niedaleko, w miejscu, które ja też bym wybrała, gdybym na kogoś czekała. Rozumiecie, co mam na myśli? Ale... może po prostu mi się przyglądał? Przecież jestem jeszcze niczego sobie, prawda?

Dante nie zrozumiał, dopóki Colomba nie kopnęła go znacząco pod stołem. Dopiero wtedy uśmiechnął się tak fałszywie, jak wegetarianin na widok kotleta.

– Oczywiście, proszę pani.

– Bardzo by nam pani pomogła, gdyby go pani opisała – poprosiła Colomba.

– Nie pamiętam go zbyt dobrze.

– Ale chyba zrobił na pani wrażenie – nalegał Dante, tracąc cierpliwość. – W przeciwnym razie nawet by pani o nim nie wspomniała. Wyjął z kieszeni notes i ujął ołówek w dobrą rękę. – Proszę spróbować go opisać, a ja postaram się narysować.

– Zrobi pan portret pamięciowy?

– Tak, to poniekąd moja specjalizacja. Muszę zdjąć rękawiczkę – dodał, podnosząc złą rękę. – Miałem wypadek. To nie będzie przyjemny widok.

– Ależ proszę się nie krępować, przecież się nie przestraszę – powiedziała kobieta, ale kiedy Dante zdjął czarną rękawiczkę, wyraz jej twarzy się zmienił. – Biedactwo. Czy to boli?

– Tylko kiedy gram na pianinie... No to jak? Spróbujemy? Zaczniemy od budowy ciała.

– Potężna.

– Potężna?

– Niezbyt wysoki, w typie kierowcy ciężarówki.

– Szeroki w ramionach? – podpowiedziała Colomba.

– I z brzuszkiem.

– Wiek? – zapytał Dante.

– Około sześćdziesiątki, może trochę więcej. Miał na sobie marynarkę i krawat. Był z teczką. Aktówką.

– Kolor oczu?

– Niebieskie. Bardzo jasne.

Dobra ręka Dantego zadrżała gwałtownie, ołówek upadł na ziemię. Mężczyzna znieruchomiał ze wzrokiem utkwionym w dal.

Colomba ścisnęła go ukradkiem za udo.

– Jesteśmy nieuprzejmi, Dante. Nie zaproponowaliśmy pani niczego do picia. Chodź, pójdziemy coś zamówić.

– Napiałabym się coli – powiedziała Chiara.

– Zaraz wracamy. – Colomba ponownie ścisnęła nogę Dantego, tym razem mocniej. Otrząsnął się i wstał, wspierając się na ramieniu policjantki, która robiła wszystko, żeby wyglądało to jedynie na przyjacielski gest.

– Tylko nie do środka – mruknął, zanim zrobili dwa kroki. – Za dużo ludzi.

Colomba popchnęła go za róg, a on oparł się o mur, trzęsąc się jak osika. Ujęła jego dobrą dłoń.

– Już dobrze, Dante...

Jej głos dobiegał jakby z oddali, rysy twarzy się zacierały i w końcu szara ściana oddzieliła ich od siebie. Ściana silosu. Pęknięcie. Ojciec z nożem w ręce stoi na polu i patrzy na niego.

– To on, CC – wyszeptał ledwo słyszalnym głosem.

Colomba ujęła delikatnie jego twarz w dłonie, zmuszając go, żeby na nią spojrzał.

– Zostań ze mną, Dante.

Zadrzał ponownie. Jego czoło pokrywał pot.

– Dasz radę, Dante. Zostań ze mną – powtórzyła.

Zamknął na chwilę oczy, potem otworzył, wracając powoli do rzeczywistości.

– Jestem tutaj – zapewnił ochrypłym głosem.

– Świetnie. Jak chcesz, to każę wszystkim opuścić bar, żebyś mógł wejść i obmyć sobie twarz.

Uśmiechnął się słabo.

– Mogłabyś to zrobić?

– To drobiazg.

Dante przykucnął, objął się w pasie i zaczął regularnie oddychać.

– Dziękuję. Teraz wracaj do stolika, ja potrzebuję jeszcze chwili, potem poszukam kelnera. Okej?

– Na pewno mogę cię zostawić?

– Spokojnie. Już mi lepiej.

Colomba wróciła do Chiary, a on oddychał głęboko, czując, że powoli wraca do siebie. Ojciec przestał być abstrakcyjnym bytem, krążącym wokół niego widmem. Stał się mężczyzną z krwi i kości, oddychał, rozmawiał przez telefon, nosił krawat. Był człowiekiem.

A to oznaczało, że nie jest nieomylny.

Podniósł się i podszedł do kelnera, żeby zamówić napoje. Potem wrócił do stolika i przez kolejne pół godziny rysował portret, kierując się wskazówkami kobiety, która spotkała Ojca na dworcu. Colomba w osłupieniu podziwiała precyzję jego ruchów, przypominającą pewną rękę dawnych portrecistów, którzy pracowali w policji, zanim pojawiły się programy graficzne. I jego całkowity brak emocji: nie dopracowywał szczegółów, nie upiększał i nic nie sugerował. Kiedy skończyli, z kartki patrzył na nią zupełnie prawdziwy mężczyzna: ponadsześćdziesięcioletni, o grubym karku, obwisłej skórze pod brodą, zapadniętych policzkach, garbatym nosie i okrutnym wyrazie twarzy. Nosił krótko obcięte siwe włosy, przeredzone nad czołem, które przecinały trzy głębokie jak blizny zmarszczki. Dante naszkicował również dłonie, które kobieta dobrze zapamiętała: mocne, z wyraźnymi śladami żył na grzbiecie i grubym kciukiem o kwadratowym paznokciu. Przypominały ręce rolnika lub robotnika, na pewno nie subtelnego intelektualisty, za jakiego Dante go uważał. To były ręce kogoś zdolnego do obcinania głów i podcinania gardeł.

Kiedy Dante skończył, Colomba pożegnała Chiare, zapewniając ją, że nie ma się czym martwić, oraz obiecując, że będzie informowana o postępach w sprawie. Poprosiła ją również, nalegając stanowczo, aby nie rozmawiała z nikim o śledztwie. Kobieta wydawała się przekonana o słuszności zalecenia, ale Colomba była pewna, że rzuci się do telefonu zaraz po powrocie do domu.

Poczekala, az Chiara sie oddali, po czym zamowila kawowa granite i czysta wodke dla Dantego, ktory obawial sie, ze drinki nie sa odpowiedniej jakosci.

– Wiesz, czemu ta idiotka jeszcze zyje? Bo Ojciec nie wie, ze go zauwazyła. W przeciwnym razie mielibyśmy juz trzy trupy, oczywiscie pod warunkiem, ze nie pojawily sie kolejne, o ktorych jeszcze nie wiemy.

Colomba nie mogła oderwać oczu od portretu.

– Chyba wcale nie jest taka głupia, na jaką wygląda. W końcu bardzo dokładnie go opisała. Oczywiście pod warunkiem, że to nie jakiś zwykły pasażer czekający na pociąg, a my wyobrażamy sobie nie wiadomo co.

Dante wyjął z kieszeni złożoną kartkę. Był na niej portret pamięciowy mężczyzny, którego widział przez szparę w ścianie silosu, sporządzony przez policję w Cremonie. Zestawił ze sobą oba rysunki i Colombie zabrakło tchu na widok ich niesamowitego podobieństwa. Te same rysy twarzy, te same małe uszy i przede wszystkim te same oczy. Pomimo braku szczegółów i upływu czasu stare i nowe linie naszkicowanych portretów doskonale się na siebie nakładały. To był ten sam mężczyzna: młodszy i starszy o dwadzieścia pięć lat. Dante od samego początku miał rację.

Godzinę później Colomba zaparkowała samochód na ulicy Martina Luthera Kinga, niedaleko wejścia do parku Pamphilj.

– Mogę cię tu zostawić na dziesięć minut? – zapytała Dantego, który właściwie leżał na rozłożonym przednim siedzeniu. Z oczami zasłoniętymi krawatem wyglądał zarazem śmiesznie i patetycznie.

– Idź.

– Tylko nie faszeruj się tymi twoimi świństwami.

Pokazał jej język, na którym spoczywała dwukolorowa pastylka.

– Za późno.

Colomba zatrzasnęła drzwi i ruszyła w stronę parku, wdychając głęboko zapach świeżo skoszonej trawy. Kiedy była mała, często tu przychodziła, żeby karmić suchym chlebem nutrie, które przypominały tłuste myszy. Wcale się ich wtedy nie bała. Niedawno przeczytała, że przeniesiono je w inne miejsce i zrobiło jej się przykro. Razem z grupą biegaczy z słuchawkami iPodów w uszach dotarła do mostku Nanni, który łączył przeciwległe brzegi jednego ze stawów. Rovere stał ze spuszczoną głową w połowie mostu, oparty o balustradę, i palił. Wydawało jej się, że się postarzał i był bardzo zmęczony. Kiedy ją zobaczył, pomachał ręką w powitalnym geście i uśmiechnął się z trudem. Colomba stanęła obok niego, uważając, aby dym z papierosa omijał jej w twarz.

– Dziękuję, że zadzwoniłaś. Po wczorajszej awanturze myślałem, że się na mnie obraziłaś.

– Jestem na pana zła, że wciągnął mnie pan w to bagno. Ale sama nie dam sobie rady. Zwłaszcza teraz. Podała mu portret, a Rovere wytrzeszczył oczy. Przez chwilę wydawało jej się, że komendant się przestraszył.

– Zna go pan?

– Nie... po prostu mnie zaskoczyłaś. Kto to jest? – zapytał, nie odrywając oczu od kartki.

– To mężczyzna, który porwał syna Maugerich, a przed laty więził Dantego Torre.

Rovere obrzucił ją gorączkowym spojrzeniem.

– Jesteś pewna?

– Tak. Posłużył się Montanarim, żeby znaleźć kolejną ofiarę, a potem go zamordował. W sieci przyjął pseudonim Zardoz. Jest mistrzem kamuflażu i od trzydziestu pięciu lat spokojnie realizuje swoje obrzydliwe plany. Zanim Dante uciekł z silosu, widział, jak prowadził na śmierć jakiegoś chłopca.

– Pamiętam – mruknął Rovere. – Ale policja nigdy nie znalazła żadnego śladu

potwierdzającego, że chłopak naprawdę istniał.

– To znaczy, że albo policjanci prowadzący dochodzenie byli tępi, albo Zardoz, Ojciec, czy jak go tam zwał, jest prawdziwym geniuszem od znikających trupów.

Rovere otrząsnął się ze zdziwienia.

– Ktoś, kto porywa dzieci, nie jest geniuszem, tylko chorym psychicznie maniakiem.

– Jeśli to prawda, to mamy do czynienia z najlepiej zorganizowanym szaleńcem, jakiego znam. On doskonale wie, czego chce, i konsekwentnie dąży do celu.

– Precyzyjny seryjny zabójca – podsumował Rovere. – Nie pierwszy i nie ostatni.

– Z dostępnych informacji wynika, że o niebo przewyższa podręcznikowe przypadki. Wykorzystuje współników, udaje lekarza, zna się na komputerach niczym profesjonalista, bawi się dowodami na miejscu zbrodni... A wszystko po to, aby znęcać się nad dziećmi i likwidować je, kiedy podrosną. To się kupy nie trzyma, ale nie mam sensowniejszego wyjaśnienia – zakończyła Colomba, kręcąc głową.

– Kto go rozpoznał?

– Jedna z matek, do której zadzwonił, szukając syna Maugerich.

– Czy on się zorientował, że go widziała?

– Na szczęście nie. Co teraz robimy?

Rovere złożył starannie kartkę i schował do kieszeni.

– Wprowadzę portret do systemu i zobaczę, czy coś znajdzie. A ty i Torre na razie odpoczywajcie.

– Słucham? – zdziwiła się Colomba.

– Do niedawna poruszaliśmy się wśród hipotez, a teraz mamy pewność, że niebezpieczny morderca pozostaje na wolności. Nie mam zamiaru narażać cię na niebezpieczeństwo.

– Kontakty z mordercami to część mojej pracy.

– Byłej pracy.

Colomba nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Czy na pewno jest pan tym samym człowiekiem, który zachęcał mnie do działania, kiedy wczoraj zdychałam na chodniku? Co się panu stało?

– Nic, martwię się o ciebie. Muszę coś posprawdzać.

– Powinniśmy skontaktować się z pozostałymi matkami, przesłuchać jeszcze raz Maugeriego, porozmawiać z ludźmi, którzy często jeżdżą do Pratonii... – nalegała.

– Sam się tym zajmę. A ty na razie siedź cicho. Jasne?

Colomba wściekła się i walnęła pięścią w barierkę.

– Trudno w to uwierzyć! Najpierw pakuje mnie pan na siłę w tę sprawę, a kiedy zaczyna nabierać rumieńców, chce się pan mnie pozbyć?!

– Colombo, tu nie chodzi tylko o twoje bezpieczeństwo. Dzisiaj szef prokuratury dopytywał się o ciebie. De Angelis go podpuścił i chciał wiedzieć, co razem kombinujemy. A ci z cyberprzestępczości też się zastanawiają, skąd masz lepsze informacje od nich.

- Pieprzyć ich wszystkich, razem z sędzią śledczym! Mamy szansę, żeby go złapać!
- Nie możemy działać pod wpływem emocji. Odpocznij kilka dni! To nie jest prośba.

Colomba patrzyła na szefa bez słowa przez dobrą chwilę, po czym odwróciła się na pięcie i ruszyła zamaszystym krokiem w stronę bramy, przeciskając się między uczestnikami maratonu, którzy właśnie nadbiegali z naprzeciwka.

Kiedy dotarła do samochodu, zastała Dantego leżącego na masce.

- Nie radzę ci podróżować w ten sposób – warknęła.
  - Chciałem sobie tylko popatrzeć na niebo. Zeskoczył zwinnie, zachowując się znowu jak dawny Dante. – Co ci powiedział twój genialny przełożony?
  - Nic użytecznego.
  - Mówiłem ci już, że go nie lubię?
  - Dałeś mi to jasno do zrozumienia. Wracamy do hotelu.
  - Jeszcze nie teraz. Dzwonił Santiago, chyba znalazł coś ciekawego w Internecie. Nie rozmawiamy o szczegółach przez telefon. Jesteś gotowa na przejażdżkę po slumsach?
- Colomba pomyślała o rozmowie z komendantem i o jego poleceniu, aby trzymać się od tej sprawy z daleka.
- Nie mogę się doczekać – oświadczyła.



Rozdrażniona Colomba jechała w stronę położonej na peryferiach miasta dzielnicy Tor Bella Monaca, gdzie mieszkał Santiago. Było to miejsce o najwyższym wskaźniku przestępczości w Rzymie, zabudowane piętnastopiętrowymi blokami, połączonymi labiryntami wewnętrznych uliczek. Były tu w większości mieszkania socjalne zajmowane przez rodziny w trudnej sytuacji życiowej oraz członków mafii na delegacji. Wszystkie obławy i aresztowania w tej dzielnicy, w których Colomba uczestniczyła, zawsze kończyły się wyrzucaniem z okien butelek i kamieni, płonących koców i okropnym wrzaskiem. Policjanci wkraczający do Torbella – jak nazywali dzielnicę jej mieszkańcy – wchodzili na teren wroga. Colomba wiedziała, że w większości żyli tu normalni ludzie, którzy nie mieli możliwości, aby się przeprowadzić: emeryci i bezrobotni, trzymani twardą ręką przez sąsiadów-gangsterów. Niestety, ta wiedza nie pomagała jej w obiektywnej ocenie miejsca, którego nienawidziła z całego serca, zdając sobie doskonale sprawę, że zza każdych drzwi mogła wysunąć się nagle lufa pistoletu i zrobić jej dziurę w głowie.

Dante prowadził ją w stronę kompleksu składającego się z czterech sześciopiętrowych bloków, zbudowanych w kształcie litery C, o murach w ciemnoszarym kolorze i z powybijanymi oknami. Skrzynki na listy były czarne od wybuchów petard lub pomazane farbą, a domofony powyrywano ze ścian. Przed budynkami rozciągał się pokryty chaszczami i gruzem trawnik, na którym umorusane dzieci obrzucały się ziemią.

Cztery bloki łączył wewnętrzny dziedziniec, więc Colomba podjechała przed pierwsze z brzegu wejście. Natychmiast pojawili się trzej chłopcy na skuterach i zatarasowali im drogę. Byli bez kasków, a najstarszy z nich, wyglądający na Araba z Maghrebu, nie miał nawet czternastu lat.

Zapukał w szybę po stronie kierowcy.

– Kogo szukacie?

– To nie twój interes, mały – rzuciła Colomba.

Dante zareagował prawie równocześnie, wysuwając głowę przez okno.

– Przyjechaliśmy do Santiaga.

– Jak się nazywasz? – zapytał chłopak.

– Dante.

Arab przywołał gestem towarzysza, który był tak mały, że siedząc na skuterze, ledwo sięgał stopami do ziemi.

– Zawołaj go.

Dzieciak dodał gazu i zniknął na wewnętrznym dziedzińcu. Dwaj pozostali odsunęli się nieco od samochodu, ciągle blokując jednak drogę, i zapalili papierosy.

– Tu to normalka – wyjaśnił Dante.

– Bez mrugnięcia okiem wsadziłabym rodziców tych chłopców do więzienia.

– Prawdopodobnie już siedzą.

Po kilku minutach Santiago wyszedł z prześwitu w towarzystwie dwóch osiemnastolatków ubranych w opadające spodnie i koszulki z agresywnymi napisami. Czapki z daszkiem nosili odwrócone do tyłu. W przeciwieństwie do nich Santiago mniej rzucał się w oczy, oprócz skórzanej kurtki i kolorowych butów nie miał na sobie nic zwracającego uwagę. Colomba ze zdziwieniem rozpoznała jednego z chłopaków. Nazywał się Jorge Pérez, aresztowała go dwa lata wcześniej za rozbój, był wtedy jeszcze nieletni.

Santiago poklepał po przyjacielsku po plecach młodego Araba i kazał mu odejść razem z pozostałymi czujkami, a tymczasem Jorge rzucał mięsem po hiszpańsku.

– To jest glina – zwrócił się do szefa, wykonując jednocześnie gest, który w ulicznym slangu oznaczał niemą groźbę pozbawienia życia.

Colomba pokazała mu środkowy palec, a drugą ręką po kryjomu wysunęła pistolet z kabury i włożyła go między nogi.

– Widziałeś, co mi pokazała? – Jorge nie ustępował, zwracając się do Santiaga, ale ten go ignorował.

– Po co ją tu przyprowadziłeś? – zapytał Dantego. – Mówiłem ci, że masz być sam.

– Bo on sam nigdzie się nie rusza – wyjaśniła Colomba.

– Nie rozmawiam z tobą. – Santiago chciał jej pokazać, kto tu rządzi.

Dante wysiadł z samochodu i Colomba poczuła, że zaczyna brakować jej tlenu. Jeśli są uzbrojeni, to mogą odebrać ten gest jako zagrożenie i go zastrzelić. Na szczęście Santiago był całkiem spokojny, a i dwaj pozostali nie ruszyli się z miejsca.

– Uprzedzałem cię, że jej ufam, a poza tym to nasza wspólna sprawa.

Santiago popatrzył na kumpla.

– Skąd ją znasz?

– Wysłała mnie do ciupy – odpowiedział Jorge, powtarzając groźny gest.

Santiago zwrócił się do Dantego:

– Nie ma mowy.

– Przecież już odwaliłeś robotę. Nie zależy ci na kasie?

– Pieniądze to zarabiam ot tak – powiedział, pstrykając Dantemu palcami przed nosem.

– Chcesz stracić takiego przyjaciela jak ja? W przeszłości na coś ci się przydałem. Nigdy nic nie wiadomo.

Niezdecydowany Santiago przyglądał się czubkom własnych butów.

– Ręczysz za nią?

– Oczywiście.

– Skoro ma wejść, to musimy ją przeszukać – powiedział Jorge.

Colomba włożyła pistolet do kabury i wysiadła.

– Spróbuj tylko, gnoju.

– Z bronią nie wejdzie – oświadczył Santiago. – W tym przypadku nie mogę pójść ci na rękę, Dante.

– Twoi są uzbrojeni.

– Moi nie są glinami.

Dante spojrział na Colombę.

– Musisz więc mi zaufać w tej sytuacji.

– Nie mogę mieć przy sobie broni, bo jestem policjantką, tak?

– Dokładnie.

Wykonując bardzo powolne ruchy, Colomba wyjęła końcami palców pistolet z kabury i włożyła go Dantemu za pas.

– On nie jest gliniarzem.

Santiago się roześmiał.

– To prawda.

Jorge chciał zaprotestować, ale szef uciszył go kopniakiem w tyłek.

– Zamknij się, zanim się wścieknę. Okej?

Dante wpatrywał się w korytarz, który prowadził do piwnicy, i poczuł się słabo.

– Nie możemy porozmawiać tutaj? Tam jest dość wąsko.

– Nie martw się, znam twoje upodobania. Pójdziemy na górę.

– Gdzie?

Santiago wskazał na dach.

– Mam tam biuro.

Ruszyli w stronę wejścia. Dante poczekał na Colombę.

– Nie czuję się z tym zbyt pewnie – powiedział, wskazując na pistolet.

– Cicho! I trzymaj się blisko mnie. Teraz jesteś moją chodzącą kaburą.

Windy w bloku były zepsute, a powyrywane kable zwisały smętnie. Weszli po starych metalowych schodach przeciwpożarowych, wznoszących się przy ścianie wewnątrz głównego budynku.

Dla Dantego nie było to łatwe wyzwanie, bo zatrzymywał się przy każdym głośniejszym skrzypnięciu, a było ich niemało. W końcu zamknął oczy i Colomba zaprowadziła go jak pies przewodnik na samą górę. Nieświadomie obserwowała cały budynek. Przekształcono go w prawdziwy fort, strzeżony przez wartowników, którymi byli bardzo młodzi chłopcy, a czasami nawet jeszcze dzieci, kontrolujące wejścia na skuterach lub z okien. Na każdym piętrze, tam gdzie kończyły się schody, również byli strażnicy. Na jednym z podestów zauważyła szprycującego się narkomana. Pozostali nie zwrócili na niego uwagi i Colomba poszła w ich ślady, chociaż miała wielką ochotę wezwać posiłki.

– Jesteśmy na miejscu? – odezwał się Dante słabym głosem.

– Tak, możesz otworzyć oczy. Nie masz pojęcia, co straciłeś.

Weszli na taras, który w zamyśle miał służyć wszystkim mieszkańcom jako miejsce odpoczynku i suszenia prania. Santiago i jego banda zmienili go w salon pod gołym niebem: przytасzczyli na górę zapadające się kanapy, plastikowe stoliki, a nawet lodówkę, którą podłączyli do prądu za pomocą kabla znikającego między schodami. Obok kanapy stały prawie metrowe nargile z wodą, wyposażone w cztery ustniki z karbowanej gumy. Cementowa powierzchnia tarasu zasłana była petami, pustymi butelkami i ptasim gównem, tylko w jednym rogu panował nienaganny porządek. Pod plastikowym daszkiem chroniącym od deszczu znajdowało się małe laboratorium informatyczne, wyposażone w dwa nowiutkie komputery stacjonarne, trzydziestocalowy monitor i cyfrową nagrywarkę. Wszystkie sprzęty podłączono bezpośrednio do anteny satelitarnej.

Santiago zauważył zainteresowanie Colomby i oparł dłoń na słupku podtrzymującym daszek.

– Łączymy się bezpośrednio przez satelitę. PING jest dość wolny, ale za to nikt nie jest w stanie nas namierzyć.

Policjantka skinęła głową, zaskoczona różnicą między zachowaniem chłopaka a jego zdolnościami technicznymi.

Tymczasem Dante powrócił do rzeczywistości.

– Co ciekawego znalazłeś?

Santiago wskazał na swoich dwóch kumpli.

– Twój przyjaciel Zardoz odwalił niezłą robotę, nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś skasował tyle stron w ciągu jednej nocy. Ale nawet on popełnił kilka błędów. Do swoich interesów używał pewnej strony, którą również wyczyścił, tylko mniej starannie.

– Ja ją znalazłem – pochwalił się Jorge, zapalając skręta. – Korzystał z niej pięć miesięcy temu.

– Macie na myśli jeszcze jedną stronę w darknecie? – zapytała Colomba, a na twarzach obecnych zobaczyła pogardę.

– Oglądasz za dużo telewizji – odezwał się drugi ze współników Santiaga. Na grzbiecie dłoni miał wytatuowane jedno słowo: *Mirrorshades*.

– Chodzi o stronę do transakcji wymiennych. Nie używa się tam PayPal ani tym podobnego gówna, tylko bitcoina – dodał Santiago.

– Elektroniczne pieniądze – powiedziała Colomba.

Mężczyźni skrzywili się z niesmakiem.

– No dobra, niech ci będzie – zgodził się Jorge.

– Co Zardoz kupił pięć miesięcy temu za bitmonety? – zainteresowała się Colomba. – Jeszcze jakieś nagrania?

– I tu jest najlepsze. On nic nie kupił, tylko sprzedał – wyjaśnił Jorge.

– Za kupę kasy. Dwadzieścia tysięcy euro – włączył się Santiago. – Może sprzedawał tam regularnie, ale tego już się nie dowiemy. Skasował wszystkie ślady.

– Co sprzedał? – zapytał Dante.

– Na spalonej stronie nic już nie znajdziesz, ale dotarliśmy do kupca. To jakiś francuski pedał. Sprawdziłem jego wirtualny twardy dysk. Jedno wielkie szambo. Dzieci i zwierzęta, kapujesz?

– Nie możesz tego tak zostawić – stwierdził Dante z zimnym szklanym wzrokiem.

– To nie mój problem i nie moja robota.

– Zapłacę wam ekstra – nie odpuszczał Dante. – Zniszczcie go.

Santiago spojrzał na milczącego kumpla.

– To się da zrobić. Wyślemy anonimowego mejla do francuskiej policji z linkiem do jego twardego dysku. Już sprzątnąłem z niego to, co kupił od Zardoza.

– Macie ten materiał? – zapytała Colomba.

– Po to was tu ściągnęliśmy – powiedział Santiago.

Dante zwilżył językiem suche usta.

– Czy nagranie jest bardzo obrzydliwe?

– Nie za bardzo. Raczej... dziwne.

– Jak nie czujesz się na siłach, to sama mogę je obejrzyć – zaproponowała Colomba.

Dante pokręcił głową.

– Nie, w porządku. Dawaj wideo.

Dwaj towarzyszący im mężczyźni rozłożyli się na kanapie, a Santiago usiadł przy komputerze. Kiedy obsługiwał sprzęt, był innym człowiekiem. W jego ruchach dało się zauważyć coś delikatnego.

– Z ogromną przyjemnością.

Postukał po klawiaturze i na ekranie pojawiło się okno z nagraniem. Na początku widać było jedynie czarną powierzchnię z pulsującymi plamami, potem obraz zabarwił się na zielono: autor użył kamery przystosowanej do kręcenia w ciemnościach. Obiektyw skierowany był z góry na chłopczyka, który mył się, używając szmatki. Moczył ją w wypełnionym wodą wiadrze, które stało na drewnianym taborecie, po czym pocierał energicznie całe ciało. Robił to bardzo skrupulatnie, nie pomijając również genitaliów i pośladków i zapewne właśnie te fragmenty nagrania zwróciły uwagę nabywcy. Kiedy chłopiec zajął się szyją, Colomba zauważyła, że ma zamknięte oczy. Miał owalną twarz ze słabo zaznaczonym podbródkiem i czarne kędzierzawe włosy.

– Usunięto szczegóły wyposażenia pokoju. Próbowaliśmy coś odzyskać, ale nie dało rady – powiedział Santiago. – Zardoż wykonał dobrą robotę.

Colomba skinęła głową, bo wreszcie zrozumiała, dlaczego na ekranie widać było tylko chłopca w szarym kręgu.

– Każdy centymetr po dwa razy. Każdy centymetr – bełkotał Dante. – Każdy centymetr po

dwa razy.

Colomba oderwała wzrok od wideo i spojrzała na Dantego, który jak w transie powtarzał ruchy chłopca, pocierając szyję i twarz dobrą ręką.

– Każdy centymetr po dwa razy – powtórzył, wpatrując się w ekran.

– Wyłącz to – rozkazała Colomba. Zaciągnęła Dantego na kanapę i siłą zmusiła go, żeby usiadł. – Macie tu coś do picia?

Dante siedział spokojnie i pustym wzrokiem wpatrywał się przed siebie.

Santiago przyniósł butelkę whisky i przyłożył szyjkę do ust Dantego.

– Napij się.

Mężczyzna pociągnął mały łyk, zakrztusił się, a potem pociągnął znowu.

– Powoli, nie powinieneś przesadzać po tych wszystkich świństwach, którymi się nafaszerowałeś – przestrzegła go Colomba. – Jak się czujesz?

Jego wewnętrzny termometr obniżył się o kilka kresek i mógł się już odezwać.

– Wziął mnie z zaskoczenia – mruknął.

– Przecież widziałeś gorsze rzeczy niż ten chłopczyk na filmie.

– Tak, ale po raz pierwszy zobaczyłem kogoś takiego jak ja. – Wytarł mokre od łez oczy.

– Zobaczyłem jego więźnia.

Santiago skopiował nagranie i zrobił kolorowe fotokopie, a w zamian Dante za pomocą komputera przelał mu na zagraniczne konto sumę według Colomby wołającą o pomstę do nieba. Ciągłe zwiększała się liczba wykroczeń, których się dopuszczała, zajmując się tą sprawą, ale czuła, że coraz mniej ją to obchodzi. Nigdy nie była fanatyczną zwolenniczką reguł, chociaż w przeciwieństwie do wielu kolegów starała się nie przekraczać cienkiej linii pomiędzy działaniami wykraczającymi poza przyjęte normy a tymi wymienionymi w kodeksie karnym. I to nie z obawy przed konsekwencjami, lecz z szacunku do tego, co według niej miał gwarantować wiszący w jej szafie mundur: ochronę tego, co było na świecie dobre, przed groźnym chaosem niszczącym podskórnie strukturę społeczną. Teraz jednak z każdym dniem coraz bardziej angażowała się w śledztwo i zauważyła, że dotychczas przestrzegane przez nią reguły powoli usuwają się w cień. Chciała za wszelką cenę dopaść Ojca, cała reszta zeszła na dalszy plan. Po obejrzeniu nagrania ogarnęła ją wściekłość, która aż kipiała, szukając możliwości wydostania się na zewnątrz.

Na dół zeszli już bez eskorty: Santiago i jego kumple zostali na tarasie i zaczęli przygotowywać sobie działki kokainy. Zanim wsiedli do samochodu, Dante uparł się, żeby się przeszli po porośniętym chaszczami trawniku. Nikt im nie przeszkadzał ani nie próbował ich zaczepiać, a mimo to Colomba czuła, że z każdego oświetlonego okna obserwuje ją co najmniej jedna para oczu.

Dante w milczeniu wypalił dwa papierosy.

– Z nagrania nie wynika, że chłopiec jest więziony – odezwała się Colomba, kiedy uznała, że będzie mógł jej odpowiedzieć.

– Sposób, w jaki się mył... mnie też tego nauczył. Dokładnie te same ruchy. Czasami jeszcze je wykonuję pod prysznicem. Z tą różnicą, że w silosie woda była dobrem ograniczonym.

– Jeśli Ojciec przetrzymuje już jedno dziecko, to po co porwał syna Maugerich?

– Jedno mu nie wystarcza. Nikt mi nie wierzył, kiedy mówiłem, że w drugim silosie też był chłopiec. Tak jak teraz. Luca nie jest jedyny.

– Nie nazywaj go po imieniu.

Dante odrzucił niedopałek, który zatoczył szeroki świetlisty łuk w powietrzu.

– Daj spokój. Ojciec potrzebuje dużo kasy na swoją działalność, a sprzedawanie wideo starym zbrojeńcom na całym świecie to najlepszy sposób na łatwy zarobek. Oni siedzą cicho, a nawet jeśli coś by powiedzieli, to policja i tak nie będzie w stanie ustalić tożsamości

Ojca i jego ofiary. Chłopiec z nagrania mógł zostać przecież porwany w każdym zakątku świata. Tylko my wiemy, że jest Włochem.

– Raczej przypuszczamy. Ojciec mógł się też wybrać za granicę.

– Już ci mówiłem, że jest zbyt stary, żeby zmieniać przyzwyczajenia. Świadczy o tym porwanie małego Luki. Ostatecznie mógł polecieć na przykład do Tajlandii i jeszcze by zaoszczędził.

Colomba się zamyśliła.

– Sprzedał nagranie pięć miesięcy temu, niedługo potem zaczął interesować się synem Maugerich.

– Fundusze na nową operację – stwierdził ze smutkiem Dante.

Colomba usiadła na bloku cementu wielkości płyty chodnikowej, przygniatając jakiegoś robaka.

– To może być każde zaginione dziecko.

– Nagranie ma pięć miesięcy. Jak myślisz, ile lat ma chłopiec?

Ponownie zaczęła się przyglądać fotografii, przyświecając sobie komórką.

– Około siedmiu. Chociaż biorąc pod uwagę warunki, w jakich żyje, może być starszy.

Colomba patrzyła na czerwony punkt poruszający się w ciemnościach; Dante kiwał głową z papierosem w ustach.

– Zgadzam się z tobą. Siedem, osiem lat, nie więcej. Przyjmując, że został porwany w wieku sześciu lat, to oznacza, że spędził w zamknięciu około dwóch lat, zanim powstało wideo.

– Czyli został porwany między dwa tysiące jedenastym a dwa tysiące trzynastym, oczywiście jeśli mamy rację. Musimy sprawdzić rejestr zaginionych dzieci.

– Nie ma sensu – zawyrokował Dante.

– Skąd wiesz?

Prychnął z niecierpliwością.

– To moja działka, nie pamiętasz? W tym okresie zaginęło około stu pięćdziesięciu nieletnich, ale wśród nich jest naprawdę niewiele dzieci i wszystkie dokładnie pamiętam. W większości przypadków okazało się, że jedno z rodziców wywiozło dziecko za granicę.

– Jesteś pewien, że to nie jest żadne z nich?

– Nie zgadza się ani wiek, ani wygląd, nawet biorąc pod uwagę zmiany, jakie musiały z czasem zajść w wyglądzie.

– Widziałeś wszystkie zdjęcia?

– Oczywiście.

– A wzięłeś pod uwagę cudzoziemców? Nie notujemy wszystkich, którzy przyjeżdżają tutaj ze Wschodu. Zmuszają dzieci do zebrania na ulicach, czasami kilkakrotnie przekraczają granice, rodzice się rozwodzą. Ojciec mógłby przebierać w nich jak w ulęgalkach.

– Zwłaszcza że w wielu przypadkach nikt nie zgłosiłby zaginięcia.



– Tak, oni nam nie ufają. Boją się, że trafią do więzienia.

– Ciekawe dlaczego? – rzucił Dante z ironią. – No dobra. Musimy przyznać, że dzieci ulicy go nie interesują. Inaczej nie zadałby sobie tyle trudu, żeby porwać Lucę. Może uważa, że mali żebracy to towar gorszego gatunku?

Z bloku za ich plecami dobiegł dźwięk rozbijanego szkła i arabskie słowa kłócących się mężczyzn. *Jutro napiszą o tym w gazetach*, pomyślała Colomba z goryczą.

– Według ciebie chodzi o chłopca, którego nikt nie szuka? Jak to możliwe?

– Pomyśl o moim przypadku.

– Uważaliśmy cię za zmarłego.

– No właśnie.

– Sądzisz, że to dotyczy też chłopca z wideo?

– Czemu nie? Wcześniej czy później i Luca zostanie uznany za zmarłego, jeśli śledczy nic konkretnego nie znajdą. Powiedzą pewnie, że ojciec go zabił i zakopał w lesie.

Jeszcze kilka dni temu Colomba natychmiast odrzuciłaby tę hipotezę jako mało prawdopodobną. Teraz wiedziała, że to możliwe. Bo dlaczego by nie? Szalenciec regularnie porywający dzieci opracował pewnie równie brawurową strategię przeżycia.

– Dziecko, które wszyscy uznali za zmarłe, chociaż nigdy nie odnaleziono ciała... Nie pamiętam żadnego takiego przypadku w ostatnim czasie.

– To niekoniecznie musiało być morderstwo. Weź pod uwagę także wypadki. Na przykład jakiś samochód, który wylądował w rzece.

– Będzie tego bardzo dużo – powiedziała ponuro Colomba.

– Do końca dziewięćdziesiątego czwartego w wypadkach drogowych ginęło około setki dzieci rocznie. Od kiedy wprowadzono obowiązek zapinania pasów i używania fotelików, współczynnik pewnie nieco się obniżył, ale nie mamy szczegółowych danych.

– Bo gdyby były, tobyś je znał, prawda?

– Przepraszam, że wykonuję dobrze swoją pracę... Trzeba dodać jeszcze dzieci, które utonęły w morzu albo spadły w przepaść podczas górskich wycieczek. Chociaż w większości przypadków odnajdujecie ciała.

– Musimy poprosić o dane z drogówki, od służby leśnej... Paranoja.

– Nie macie centralnej bazy danych?

– Tylko jeśli chodzi o morderstwa. I to istnieje od niedawna.

Dante się obruszył.

– Nie mogę się nadziwić za każdym razem, gdy udaje wam się kogoś aresztować. Możesz poprosić Roverego o te dane?

– Nie. Właśnie postanowił, że rezygnuje z naszej pomocy.

Dante zapalał kolejnego papierosa i zamarł, słysząc słowa Colomby.

– Kiedy miałaś zamiar mi o tym powiedzieć?

– A po co? Czy to coś zmienia? – warknęła, jakby została przyłapana na gorącym

uczynku.

– Od początku nie ufałem mu za bardzo. A teraz, kiedy wiem, że chce się nas pozbyć, ufam mu jeszcze mniej.

– Twierdzi, że się o mnie martwi.

– Bzdury. Jesteś dla niego ważna, ale to nie główny powód. Nie mogę zrozumieć, co nim kieruje, i to mnie bardzo niepokoi.

*Zaczynam myśleć tak samo jak ty, przemknęło przez głowę Colombie, ale nie odważyła się przyznać do tego na głos. Wzruszyła tylko ramionami, chociaż Dante w ciemnościach nie mógł tego zobaczyć.*

– Na szczęście mam kilku znajomych, których mogę poprosić o pomoc. Wracajmy do miasta. Dzisiaj wypiję tyle tych twoich drinków, że nie będę pamiętała, jak się nazywam.

Źródła informacji Colomby ograniczały się w zasadzie do inspektora Infantiego, który przez telefon nie okazywał już takiego entuzjazmu jak wtedy, gdy zobaczył ją przy samochodzie ze zwłokami Montanariego. Mógł co prawda odmówić jej pomocy, ale przyzwyczajenie do wykonywania poleceń oraz szacunek, jakim darzył Colombę, skłoniły go do podjęcia działań. Kiedy zakończyli rozmowę, od razu uruchomił sieć swoich kontaktów, prosząc o informacje i obiecując w zamian przysługi. Nieoczekiwana pomoc nadeszła z państwowego centrum bezpieczeństwa drogowego, gdzie niedawno przygotowano drobiazgowy raport na temat wypadków z udziałem nieletnich w ciągu ostatnich pięciu lat, oraz od starego przyjaciela, który właśnie objął ważne stanowisko.

Zebranie niezbędnych informacji zajęło mu cały dzień. Colomba w tym czasie, mimo wcześniejszych planów, wypila niewiele, natomiast Dante nie przestawał palić, wpatrując się w sufit, gdzie przykleił zdjęcia chłopca z nagrania. Włączył muzykę tak głośno, że po raz pierwszy dyrektorka hotelu uznała, że powinna interweniować.

Prawie się do siebie nie odzywali, bo każde z osobna analizowało wydarzenia i informacje z ostatnich dni. Jediną nowością był telefon z policyjnego działu kadr, który odebrała Colomba. Uprzejmy głos poprosił ją o możliwie szybkie pojawienie się na komendzie, a policjantka nabrała pewności, że chodzi o pierwszy krok na drodze do zwolnienia. Być może przeważyło to, że skopała Santiniego, a może Anzelmo wspomniał o jej obecności podczas przeszukania przychodni. Colomba wiedziała, że prędzej czy później jej nielegalna działalność wyjdzie na jaw. Zaczęła się zastanawiać, czy chodzi o inicjatywę samego szefa prokuratury, jak przypuszczał Rovere. Poleciała Dantemu, aby pod żadnym pozorem nie opuszczał apartamentu, po czym udała się do swojego mieszkania. Wzięła czyste ubrania i sprawdziła pocztę, chcąc w ten sposób zagłuszyć niepokój. Kiedy zobaczyła porzuconą na kanapie książkę, ogarnął ją niewypowiedziany smutek. Sama nie wiedziała, czy brakuje jej dawnego życia, czy żałuje czasu straconego na pozostawanie w odosobnieniu, kiedy jakiś potwór pastwił się nad dziećmi. Aby pozbyć się natrętnych myśli, włożyła dres i adidas i pobiegła nad rzekę. Po raz pierwszy uprawiała jogging wieczorem, pragnąc za wszelką cenę wypociec koszmarny sen i stres. Po powrocie zauważyła, że Infanti próbował się z nią skontaktować, więc oddzwoniła i umówili się po zakończeniu jego popołudniowej zmiany w biurze.

O dwudziestej wstąpiła po Dantego i nie zważając na protesty, siłą zmusiła go do wyjścia z hotelu. Pojechali do baru Momart w dzielnicy Nomentana, gdzie był przestronny taras dla

palących i Dante nie musiał siedzieć w samochodzie.

Infanti już na nich czekał, pijąc piwo. Wstał, żeby się przywitać.

– Już się spotkaliśmy – powiedział do Dantego.

– Znaleźliście prezerwatywę? – W odpowiedzi usłyszał zaczepkę.

– Zna pan pojęcie tajemnicy w śledztwie?

Dante się uśmiechnął.

– Nie znaleźliście.

Usiedli przy stoliku, Dante zamówił drinka Moscow Mule, a Colomba poprosiła o wodę mineralną. Biegając po nadbrzeżu, zauważyła, że nie jest w najlepszej formie, i postanowiła wrócić do dawnych przyzwyczajzeń. Wieczór był przyjemny. Dante po raz setny pomyślał, że rzymski klimat to jeden z nielicznych powodów, dla których pozostaje w mieście.

Colomba i Infanti pogadali chwilę o niczym, a tymczasem Dante skrupulatnie podawał kelnerce skład drinka. W końcu Colomba jakby od niechcenia zapytała o Roverego.

– Ostatnio nie widzimy się zbyt często – zaczął ostrożnie Infanti. – Wygląda na przynębionego.

– Co mu jest?

– Chodzi nieogolony, wymięty. Tak samo jak zaraz po śmierci żony, pamiętasz?

– Nie za bardzo, byłam wtedy w szpitalu, ale rozumiem, co masz na myśli.

– Wczoraj zamknął się w biurze i nie odpowiadał nawet na telefony, a dzisiaj nie pojawił się na zebraniu w prokuraturze. Dyrektor się wściekł, twierdząc, że od tygodnia nie ma z nim kontaktu. Chyba potrzebuje odpoczynku.

Colomba porównała informacje. Jeśli Infanti mówi prawdę, to Rovere w ostatnich dniach nie rozmawiał z szefem prokuratury. A to oznacza, że sam podjął decyzję o odsunięciu jej od śledztwa. Po raz kolejny musiała przyznać rację Dantemu, którego podejrzenia okazały się słuszne.

– Rovere jest wdowcem? – zapytał Dante.

Infanti przytaknął.

– Od roku. Jego żona, Elena, zmarła na raka.

– Ma dzieci?

– Nie. – Inspektor otworzył teczkę i wyjął laptop na znak, że pora zmienić temat rozmowy. Nie chciał analizować zachowania swojego przełożonego z nieznajomym, który wykazywał dziwne zainteresowanie jego sprawami. – Mam informacje, o które prosiłaś – zwrócił się do Colomby.

– Znalazłeś wszystko?

– Wypadki i morderstwa, w których ofiarami są nieletni. Jeśli chodzi o morderstwa, to na pewno mam kompletne dane. Około czterdziestu przypadków.

– Czterdzieści trzy – sprecyzował Dante.

Infanti pokiwał głową.

– Tak, zgadza się. – Otworzył komputer i włączył go. – Co do wypadków, to nie mogę zagwarantować, że czegoś nie brakuje, ale zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy.

– Czy masz informacje dotyczące stanu zwłok?

– Niestety, nie w każdym przypadku, ale...

– Zrobiłeś wszystko, co mogłeś – dokończyła Colomba. – Wiem. Dziękuję ci.

Inspektor włożył do portu zniszczonego pendrive'a, owiniętego taśmą.

– Zapisałem wszystko w Excelu. Trzysta dwanaście spraw – dodał, wskazując na ekran. – Zrobię ci kopię.

Dante zajrzał mu przez ramię.

– Nie ma zdjęć – mruknął, nie wyjmując słomki z ust.

– Ma pan na myśli zdjęcia zmarłych? – zapytał zdenerwowany Infanti. Starał się kontrolować swoją niechęć wobec Dantego, ale nie bardzo mu się udawało.

– Chodzi mi o fotografie ofiar sprzed wypadku.

– Nie, w bazie danych policji nie ma zdjęć. Co najwyżej mogę postarać się o dokumentację z miejsca zdarzenia, jeśli poproszę drogówkę.

– Będziemy musieli poprosić rodziny ofiar.

– Żartuje pan? – przeraził się Infanti.

– Jasne, mam takie wypaczone poczucie humoru.

Inspektor popatrzył na Colombę.

– Możesz mi wyjaśnić, po co wam zdjęcia zmarłych dzieci?

Zmieszana policjantka wzruszyła ramionami.

– Szukamy dowodów.

– Jakich dowodów?

– Daj spokój.

– Nie ma mowy! Wystarczy, że ktoś się poskarży na wasze telefony, i od razu wyjdzie na jaw, że ci pomogłem. Chyba mam prawo wiedzieć, w co będę zamieszany.

Colomba westchnęła.

– Nie mogę.

Infanti skrzywił się ze smutkiem. Chciał pomóc swojej przełożonej, która w ciągu trzech lat ich wspólnej pracy zawsze kierowała się rozsądkiem i stanowczo dążyła do celu. Tymczasem teraz miał przed sobą jedynie jej fałszywą kopię. Colomba była smutna, pozbawiona równowagi, przytłoczona jakimś wewnętrznym ciężarem. Zdał sobie sprawę, że popełnił błąd.

– Przykro mi, ale zmieniłem zdanie.

Dante skoczył niespodziewanie i wyrwał pendrive'a z komputera, który zareagował, wydając pełen niezadowolenia dźwięk.

– Za późno.

Wściekły inspektor chwycił go za ramię i przyciągnął do siebie.

– Jak śmiesz, gnoju!?

Dante nie odpowiedział, ściskając w garści swoją zdobycz. Agresywne zachowanie nie leżało w jego naturze, a jego jedyną reakcją na ataki osobników typu alfa lub udawanych twardzieli było zamknięcie się w sobie. Nie licząc tych dwóch lub trzech sytuacji z przeszłości, kiedy stracił panowanie nad sobą i wpadł w tarapaty.

– Puść. – Infanti nie dawał za wygraną.

Dante ograniczył się do pasywnego oporu i nie patrzył przeciwnikowi w oczy. Czuł się ogromnie niezręcznie w tej sytuacji.

– Zostaw go, Carmine – powiedziała Colomba. – Nie rób z siebie pośmiewiska.

– Powiedz mu, żeby mi natychmiast oddał pendrive’a.

– Dostyc tego, inspektorze!

Ton głosu przypomniał Infantiemu Colombę z dawnych czasów i dlatego postanowił odpuścić.

– To z powodu tego chłopca z Pratoni, prawda? Bardzo się tą sprawą przejęłaś.

– To nie twój pieprzony problem.

Dante odpiął guzik przy mankiecie i zaczął przyglądać się czerwonym śladom na skórze.

– Będę miał siniaka – mruknął z charakterystycznym dla siebie poczuciem humoru. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Infanti wskazał na Dantego.

– To on wciągnął cię w to gównno? Co ci naopowiadał?

– Nikt mi niczego nie naopowiadał.

– To czemu mieszasz się w nie swoje sprawy? Nie masz żadnych uprawnień, żeby zajmować się tym śledztwem.

– Przestań wrzeszczeć, bo wszyscy się na nas gapią.

To była prawda. Przy sąsiednich stolikach siedzieli przede wszystkim studenci i większość z nich z ciekawością przyglądała się tej scenie. Podejrzewali, że chodzi o kłótnię w rodzinie albo o trójkąt miłosny. On, ona i ten trzeci. Według opinii obecnych żaden z dwóch mężczyzn nie pasował do Colomby. Jeden chudy jak tyczka i ekstrawagancki, drugi przysadzisty, z twarzą buldoga. Ta przebywająca z nimi wysportowana kobieta mogła liczyć na coś zdecydowanie lepszego i większość mężczyzn z kawiarni chętnie by się widziała w roli jej towarzysza.

– Co chcesz odkryć, współpracując z tym durniem? – kontynuował inspektor nieco ciszej.

– Ej! – zaprotestował Dante.

– Zachowujesz się nieuprzejmie, Carmine. Ja zapłacę za napoje.

– Nie, nie. Chyba żartujesz? – powiedział ze złością i rzucił na stół dziesięć euro, po czym wstał. – Bardzo bym chciał, żebyś do nas wróciła. Nigdy nie wierzyłem w to, co mówili po kątach.

Colomba zmrużyła oczy, a Infanti po raz kolejny zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie

wytrzymać jej spojrzenia. Oczy Colomby pod wpływem zdenerwowania przybierały szmaragdową barwę.

– A co mówili?

– Daj spokój.

– Dokończ, inspektorze.

Zawahał się na moment, po czym powiedział:

– Mówili, że wtedy w Paryżu straciłaś głowę. Niestety, teraz zrozumiałem, że to możliwe.

*Paryż*, pomyślał Dante. *A więc to tam wydarzyło się nieszczęście?* Zaczął przypominać sobie wydarzenia, który miały miejsce we Francji w ostatnim czasie.

– Możesz odejść. – Colomba zakończyła rozmowę lodowatym głosem.

– Bardzo mi przykro. – Infanti włożył komputer do torby i odwrócił się na pięcie. – Chyba naprawdę powinnaś poszukać innej pracy – rzucił na odchodnym.

– Zwyczajny dupek – powiedział Dante, kiedy inspektor się oddalił, ale nie przestawał powtarzać w myślach: *Paryż... Paryż...*

Colomba pokręciła głową.

– Nie masz racji. Na jego miejscu postąpiłabym tak samo. Niedługo będę się musiała gęsto tłumaczyć z tego, co robimy. Nie mamy zbyt dużo czasu.

– Jasne – potwierdził z roztargnieniem Dante.

Skrzywiła się, rozumiejąc doskonale, wokół czego krążą jego myśli.

– No to jak? Domyśliłeś się wreszcie?

Dante zamrugał nerwowo.

– Niby czego?

– Przecież widzę, że ci mózg paruje.

Dante próbował się uśmiechnąć, ale właśnie w tej chwili pewna myśl wpadła mu do głowy.

– Jak długo jesteś na zwolnieniu?

– Prawie dziewięć miesięcy, licząc pobyt w szpitalu, rekonwalescencję i zwolnienia lekarskie. – Skinęła na kelnera i kiedy podszedł, zamówiła piwo.

Dante zamarł z przerażenia. Obrazy zniszczeń, które wszystkie kanały telewizyjne pokazywały na okrągło przed rokiem, zaczęły migać mu przed oczami.

– Nie miałem pojęcia, że byli tam też włoscy policjanci – mruknął.

– Byłam tylko ja. – Teraz jej oczy przybrały jeszcze ciemniejszą barwę, przypominając kolorem morską głębię. – W czasie dochodzenia oczyszczono mnie z zarzutów, ale ja i tak wiem swoje. Ci wszyscy zabici i ranni to moja wina.

Chociaż Dante już wiedział, jak straszne wspomnienia męczą Colombę, bardzo chciał usłyszeć jej wersję. Musiał jednak poczekać, aż wróci do hotelu, bo policjantka nie chciała opowiadać o tych wydarzeniach w miejscu publicznym.

Usiedli na balkonie, żeby Dante mógł palić. Ze względów bezpieczeństwa nie włączyli światła i zaciągnęli żaluzje. Colomba była pewna, że w ciemnościach rozjaśnionych jedynie słabym światłem latarni sączącym się przez listwy mężczyzna nie będzie mógł dostrzec na jej twarzy emocji, których nie chciała pokazać.

– Rok temu dostaliśmy sygnał, że pewien wielokrotny morderca schronił się we Francji. Nazywał się Emilio Bellomo.

– Wiem. Mówiło się o nim swego czasu.

– Nie przerywaj mi, proszę, bo już sam powrót do tamtych wydarzeń jest wystarczająco trudny.

– Przepraszam.

– Bellomo został uznany za sprawcę dwóch morderstw, kilku napadów oraz zamachów na zlecenie.

– Wszechstronnie uzdolniony.

– Zarabiał w ten sposób niezłą kasę. Ukrywał się od trzech lat, a ostatnia informacja na temat miejsca jego pobytu pochodziła sprzed siedmiu miesięcy, kiedy to uciekł, porzucając auto, bo zorientował się, że karabinierzy zablokowali drogę. Koledzy otworzyli wtedy ogień, nie udało się jednak go złapać. Prawdopodobnie został ranny, ale nie pojawił się w szpitalu, skąd wniosek, że albo sam opatrzył ranę, albo znalazł jakiegoś lekarza, który obiecał zachować tajemnicę. Ponieważ pierwsze morderstwo popełnił w Rzymie, to tutejsza prokuratura wszczęła śledztwo, zyskując prawo do jego kontynuacji. Dowiedzieliśmy się, gdzie przebywa, bo jeden z jego dawnych współników, Fabrizio Pinna, zaczął sypać. Bellomo ukrył się u niego po wymianie ognia z karabinierami, bo potrzebował czasu na leczenie, i widocznie miał do kumpla spore zaufanie, skoro mu powiedział, że wybiera się do kochanki do Paryża.

– Wyleciało mi z głowy jej nazwisko.

– Caroline Wong, Francuzka chińskiego pochodzenia. Pinna znał tylko jej nazwisko, ale udało nam się ją odnaleźć, chociaż musieliśmy postępować bardzo ostrożnie, żeby Bellomo znowu się nie wymknął. Był bardzo sprytny i nieraz to udowodnił.

– Co skłoniło Pinnę do współpracy?



– Zaraz po wyjeździe przyjaciela dowiedział się, że jest chory na raka, to było zaawansowane stadium. Uznaliśmy z Roverem, że przed śmiercią chce się pozbyć wyrzutów sumienia. Chociaż później okazało się... Ale po kolei. Komendant wysłał mnie do Francji w celu koordynacji działań. Wybrał mnie, bo znałam już jednego z tamtejszych policjantów, spotykałam go w czasie zebrań w grupie Schengen, a poza tym mówię trochę po francusku. Zarządziliśmy obserwację mieszkania Caroline Wong oraz jej miejsca pracy w luksusowej japońskiej restauracji nad sklepem, gdzie była szatniarką.

– W TEJ restauracji?

– No właśnie. Lokalna policja prowadziła całą operację, a ja byłam jedynie obserwatorem. Pozwolili mi zatrzymać broń i miałam potem przejąć Belloma oraz zająć się jego eskortą do Włoch. Ponieważ codziennie ktoś z naszej grupy siedział w restauracji, udając klienta, po dwóch dniach obserwacji przyszła kolej na mnie. Parszywe szczęście! Zamówiłam coś i zabierałam się właśnie do jedzenia, kiedy wszedł Bellomo. Spojrzał na mnie i natychmiast mnie rozpoznał. A resztę już wiesz. – Colomba pokiwała głową, wyglądała na załamana.

– Bellomo aktywował bombę.

Colomba wróciła myślami do chwili, gdy zobaczyła wokół siebie dym i płomienie.

– Tak – powiedziała cicho. – I zaczęło się piekło. Trzymał bombę w szatni. Narzeczona wyświadczyła mu tę przysługę. Nie wiem, czy należy się nad nią litować, czy ją potępiać.

– Zginęła wraz z innymi, więc chyba zasługuje na odrobinę współczucia. Nie rozumiem tylko, jak Bellomo mógł tak łatwo cię rozpoznać? Spotkaliście się wcześniej?

– Nie, nigdy. Przychodzą mi na myśl dwa wyjaśnienia. Albo wyczuwał policjantów na odległość, czego po takim osobniku można się spodziewać, albo Pinna dobrze mnie opisał. Tak czy owak, jestem pewna, że mnie rozpoznał. A potem dowiedzieliśmy się także, że przyjaciel go ostrzegł.

– Pinna was zdradził?

– Powiesił się w dniu wybuchu, prosząc o wybaczenie. W liście napisał, że po namyśle w imię przyjaźni uprzedził Belloma o działaniach policji. Domyślamy się, że zrobił to przez jego kochankę.

– Dlaczego Bellomo nie uciekł?

– Może był już zmęczony tym ciągłym ukrywaniem się? Albo chciał, żeby zapamiętano go na zawsze jako groźnego przestępcę? I przygotował nam godne przyjęcie. – Colomba przerwała na chwilę, czując, że zaczyna jej brakować powietrza. – Widziałam, jak uruchamia detonator, wyobrażasz sobie? Patrząc mi w oczy, wsunął rękę do kieszeni. Próbowałam wyjąć pistolet, ale... nie zdążyłam. A potem niebo spadło mi na głowę.

Kiedy po wybuchu Colomba odzyskała świadomość, gwizdało jej w uszach, a głowa pulsowała rytmicznie. Nie pamiętała nic z ostatniej minuty... Co robiła? Co się stało?

Wszystkie światła zgasły i oczy Colomby musiały przyzwyczać się do całkowitych ciemności, zanim w otaczającym ją dymie dostrzegła zarys postrzępionych otworów, które

jeszcze przed chwilą były oknami. Płomienie tliły się w przeciwnym kącie sali i w tej fosforyzującej, widmowej szarości dostrzegła jedną z modelek, które siedziały przy środkowym stoliku. Dziewczyna leżała o krok dalej, jej sukienka była cała w strzępach. Krew wydobywająca się z ust tworzyła obok czarną kałużę. Otaczały ją tynk, kurz, płomienie i dym. *Bomba*, pomyślała Colomba. *To była bomba*.

Zgubiła słuchawki, które w tej sytuacji i tak były zupełnie nieprzydatne, bo wybuch uszkodził jej słuch. Wyczołgała się spod blatu stołu, który uratował jej życie, i na czworakach dotarła do modelki. Delikatnie potrząsnęła jej ciałem, a wtedy głowa dziewczyny odwróciła się bezwładnie, jakby należała do lalki. W normalnych warunkach Colomba natychmiast zrozumiałaby, co się stało, ale wtedy sama była półprzytomna. Była w szoku, doświadczyła poważnego wstrząśnienia mózgu, miała złamane dwa żebra, unieruchomione kolano i zwichnięte ramię. Nie czuła bólu, tylko straszne zmęczenie, i nie mogła skupić wzroku na znajdujących się w pobliżu przedmiotach. Z roztargnieniem pomyślała, że dziewczyna jest ranna i potrzebuje natychmiastowej pomocy. Colomba nie miała butów, tylko same skarpetki, więc kiedy wstała, poraniła stopy o odłamki szkła i rozżarzone kawałki tynku, ale i wtedy nic nie poczuła. Najdelikatniej jak umiała, wzięła modelkę na ręce i weszła w wypełniający pomieszczenie dym. Chwiejąc się, parła przed siebie. Zmierzała w kierunku okien, które majaczyły w ciemnościach, ale potykała się ciągle o kawałki gruzu i resztki mebli, ryzykując upadkiem lub upuszczeniem dziewczyny. W pewnym momencie nadepnęła na coś miękkiego i ruchomego. Pochyliła się i dostrzegła rękę wystającą spod przewróconego regału z butelkami.

Colomba nie miała pojęcia, do kogo należy kończyzna. Zdawało jej się, że do mężczyzny, ale było ciemno i nie miała pewności. Być może ten człowiek zginął, bo nie zatrzymała się, aby mu pomóc, ale pomyślała, że nie powinna brać na siebie również tego ciężaru. I tak obwiniała się już o całą tę tragedię. W tej chwili dbała jedynie o dziewczynę, którą trzymała w ramionach, i nie była w stanie myśleć o niczym innym. Szła dalej prosto, a przynajmniej starała się tak robić, ale droga do wyjścia zdawała się nie mieć końca. Nie wiedziała, że krąży po omacku po sali. Po jakimś czasie zaczęła odzyskiwać słuch i spod warstwy uciążliwego szumu wyłowiła trzask ognia pożerającego zasłony i łoskot spadających z sufitu fragmentów tynku. I jeszcze słabe, pełne rozpaczny krzyki ludzi przysypanych gruzami lub rannych tak ciężko, że niezdolnych do samodzielnego poruszania się.

*Zaraz po was wrócę*, zawołała, a może tylko tak jej się zdawało, bo gardło miała suche od pyłu i dymu. *Przysięgam, że zaraz wrócę*. W tym momencie dostrzegła zarys drzwi prowadzących do wyjścia z lokalu i ruszyła w tę stronę. Z każdym krokiem powietrze stawało się lżejsze, bo przeciąg rozwiewał dym. Dotarła do przedsionka, gdzie przed wybuchem znajdowała się mała recepcja. Działająca ciągle lampka bezpieczeństwa zielonym światłem wskazała jej drogę ratunku. Były nią schody. Na górnych stopniach leżało martwe ciało kelnera, pozbawione nóg. Wyczerpana do granic wytrzymałości,

Colomba pomyślała: *O Boże, jakie mamy szczęście, ja i ta dziewczyna. A tak niewiele brakowało. Naprawdę niewiele.* Nie zdołałaby pokonać schodów z modelką na rękach, ale w tym momencie z ciemności wyłoniła się grupka osób. Byli to kelnerzy i kelnerki, ubrani na czarno sprzedawcy z luksusowego magazynu mody oraz przechodnie, którzy zamiast uciekać, próbowali na coś się przydać. Rzucili się na pomoc, krzycząc i zawodząc, wszyscy naraz chcieli odebrać jej dziewczynę i mówili jeden przez drugiego: usiądź tutaj, uspokój się, chodź tu. Colomba odpychała ich. Krzyczała albo zdawało jej się, że krzyczy: *Pomóżcie pozostałym! Tam zostali ludzie!*

Obudziła się w szpitalu Świętej Anny w Paryżu, odrętwiała z powodu środków przeciwbólowych, które jej podano, i wtedy pewien lekarz o smutnej twarzy poinformował ją, że dziewczyna, którą wyniosła z restauracji, albańska modelka zażywająca kokainę, zginęła natychmiast, kiedy blat stołu – ten sam, który ocalił życie Colombie – roztrzaskał jej czaszkę. Przyjęła tę wiadomość obojętnie. Czuła się pusta. Wielkie nic, otoczone cienką warstwą skóry. Gdyby miała jeszcze dość siły, żeby się czemukolwiek dziwić, uznałaby za niewiarygodne, że ta pustka nadal oddycha i ciągle przypomina kształtem człowieka. Pierwszy tydzień przeleżała w całkowitym milczeniu. Nie odezwała się ani do matki, ani do kolegów z pracy, który do niej przyjechali, nie powiedziała słowa do odwiedzających ją przedstawicieli różnych instytucji „łączących się w bólu” ani do tego drania, który był jeszcze wtedy jej narzeczonym. Zostawił ją bez skrupułów, kiedy w ciągu następnych miesięcy zdał sobie sprawę, że nie odpowiada mu rola partnera chorej i okaleczonej wewnętrznie kobiety.

Jakakolwiek reakcja oznaczałaby, że ciągle jeszcze jest człowiekiem, a Colomba nie chciała i nie umiała tego zaakceptować. Pragnęła być kawałkiem ściany, prześcieradłem, kwiatkiem z bukietu przysłanego przez dyrektora prokuratury „z wyrazami współczucia i życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia”. Chciała być nic nieodczuwającym przedmiotem. Straciła wiele czasu, próbując bezskutecznie osiągnąć ten cel, podczas gdy lekarze operowali jej kolano i ramię, a pielęgniarki zmuszały ją do jedzenia najpierw po dobroci, a potem siłą. Nawet Rovere nie zdołał wyrwać jej z apatii, chociaż przyjechał do szpitala, usiadł obok i on jeden rozumiał, co się z nią dzieje. Zapewnił, że to nie była jej wina, i powtarzał to także w kolejnych dniach, kiedy miała ataki paniki i koszmary, a komisja dyscyplinarna rozpoczęła przesłuchanie. Komendant był wtedy w podobnym stanie, może nawet czuł się gorzej po niedawnej stracie żony, bo do jednego nieszczęścia doszło drugie, w postaci poczucia winy, że wysłał Colombę na śmierć.

– Komisja dyscyplinarna uwolniła mnie w końcu od wszystkich zarzutów. Ale przyjąłabym także wyrok skazujący. Uważałam, i dzisiaj też tak sądzę, że popełniłam błąd – zakończyła.

W zalegających na tarasie ciemnościach, spotęgowanych dodatkowo ponurą wizją, która wyłoniła się z opowiadania Colomby, Dante bał się oddychać.

– CC... Dlaczego mówisz, że to twoja wina? Co mogłaś zrobić?

– Zatrzymać go, zanim wszedł do restauracji.

– Przecież zauważyłaś go w ostatniej chwili.

– Ja tak, ale nie koledzy na ulicy. Oni widzieli, jak wchodzi do butik, a ja kazałam im czekać. Powiedziałam, że teraz już się nam nie wymknie, że na pewno idzie do swojej dziewczyny i będę go miała na oku, nie pozwolę mu zniknąć. Wszystkie wyjścia zostały obsadzone, nie miał żadnych szans na ucieczkę, wydawało mi się, że możemy działać spokojnie. Teoretycznie nie miałam prawa do wydawania rozkazów, ale koledzy posłuchali mojej rady. Później w raporcie napisali, że zrobili to, ufając mojemu doświadczeniu i wiedzy na temat zachowania podejrzanego. Cytuję dosłownie. Mówimy o najgłośniejszej porażce francuskiej policji w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, może nawet o najbardziej spektakularnej klęsce sił prawa i porządku w skali Europy. Nikt nie chciał wziąć na siebie tak wielkiej odpowiedzialności. Prefekt podał się do dymisji, komendant francuskiej policji państwowej o mało nie stracił stanowiska, ambasady obrzuciły się nawzajem oskarżeniami. Od tego czasu stosunki między naszymi jednostkami nie są już tak dobre jak kiedyś.

– Musiałaś mieć swoje powody. Przecież wiem, że zawsze kierujesz się zdrowym rozsądkiem.

– Znałam sposób działania Belloma. Obawiałam się, że będzie uzbrojony i zacznie strzelać na oślep. Chciałam uniknąć ofiar, a tymczasem wyszła katastrofa.

– Jak tylko by się zorientował, że jest otoczony, to i tak aktywowałby bombę.

– Takie były właśnie końcowe ustalenia komisji i w konsekwencji moje nazwisko nie znalazło się na łamach prasy i nie wywalono mnie z policji na zbity pysk. Cały czas to sobie powtarzam. Problem w tym, że podjęłam błędną decyzję. Nie mogę wrócić do pracy. I to nie z powodu ataków paniki, bo one prędzej czy później miną. Po prostu nie ufam już ani sobie, ani swojemu osądowi.

Dante przesiadł się na szeslong, żeby być bliżej Colomby. Teraz dzieliło ich zaledwie kilka centymetrów i poczuł bolesne, niepoohamowane pragnienie, żeby ją przytulić. Tak bardzo brakowało mu kobiecej bliskości, że w tym momencie słabości sylwetka Colomby, rysująca się na tle żaluzji, wydała mu się kwintesencją tego, co chciałby wziąć w swoje objęcia. Zaraz potem sam się zdziwił odwagą swoich myśli i zamarł. Nie wystarczyło mu determinacji, żeby wziąć ją za rękę. Uznał, że to nie jest odpowiedni moment. Opadł na oparcie leżanki.

– CC, nie jestem dobry w pocieszaniu. Przez długi czas rozkoszowałam się możliwością użalania się nad sobą, a w obliczu nieszczęścia innych moja strategia polega na przeczekaniu. Chcę ci tylko powiedzieć, że jeśli to ty prowadziłaś śledztwo w sprawie mojego zaginięcia, to na pewno byś mnie odnalazła.

Colomba prychnęła.

– Nieźle ci poszło.

– Naprawdę? Jakoś samo tak wyszło. Chcesz się przespać?

– Nie. – Colomba wstała i przeciągnęła się, aż strzeliły jej kości. Poczowała przyjemne mrowienie w mięśniach nóg, co było następstwem popołudniowego joggingu, i po raz kolejny pomyślała, że musi wrócić do regularnych treningów. – Nie wiem, czy udałoby mi się ciebie odnaleźć, ale muszę uwolnić tego chłopca z nagrania, zanim stanie się taki jak ty. Jeden Dante Torre w zupełności wystarczy.

O świcie lista przygotowana przez inspektora skurczyła się do trzydziestu przypadków, a o dziesiątej zawierała już tylko sześć nazwisk. Cała reszta została odrzucona z uwagi na niebudzącą wątpliwości identyfikację zwłok oraz wiek i płeć nieletnich. Najpierw wyeliminowali ofiary morderstw. W większości były to noworodki lub bardzo małe dzieci. Pozostała szóstka stanowiła niezbity dowód na złośliwość losu. Dziecko porwane przez prąd rzeki w czasie powodzi i nigdy nieodnalezione. Drugie spaliło się w rodzinnym domu, trzecie porwała lawina. Dwoje kolejnych zginęło w wypadkach samochodowych spowodowanych przez szybką i nieostrożną jazdę, a ich ciała miały tak wiele poważnych obrażeń, że nawet najbliższa rodzina nie była w stanie ich zidentyfikować. Najokropniejszy i najbardziej przerażający okazał się szósty przypadek. Minibus wiozący sześć osób na pielgrzymkę do sanktuarium usytuowanego w prowincji Macerata spadł do wąwozu i uderzając o ziemię, stanął w płomieniach. Wszyscy pasażerowie zginęli na miejscu, a ich ciała nie udało się rozpoznać z powodu siły uderzenia oraz wybuchu zbiornika z benzyną. Wypadek przywoływał na myśl raczej sceny z filmów niż prawdziwe zdarzenia. Zdezelowany i pozbawiony nowoczesnego systemu bezpieczeństwa minibus należał do parafii i prawdopodobnie nie powinien był już jeździć po ulicach.

Zaznaczyli sześć nazwisk. Wypili dzbanek kawy arabica pochodzącej z Santo Domingo i Colomba przystąpiła do realizacji przykrego zadania polegającego na nawiązaniu kontaktu z rodzinami. Dante się wycofał. Dobrze się bawił, kiedy mógł przez telefon kłamać i udawać kogoś innego, ale zupełnie nie radził sobie z bólem rozmówcy, zwłaszcza gdy w grę wchodziła strata dziecka lub wnuka. W kontaktach osobistych potrafił zdobyć się na większą neutralność, skupiając się na mimice twarzy i języku ciała, natomiast kiedy musiał ograniczyć się jedynie do sfery wokalne, natychmiast rozpoznawał w głosie drugiej osoby tysiące odcieni cierpienia i sam również zaczynał je odczuwać. Poza tym w kontekście żałoby ludzie mają zwykle przygotowany odpowiedni zasób słów i gestów, które nabyli w procesie socjalizacji, a Dante był idiotą, jeśli chodziło o kontakty społeczne, i czynił więcej szkody niż pożytku.

Zadanie zapowiadało się niewdzięcznie i takie też było, może nawet bardziej, niż Colomba przewidywała. Telefony obudziły koszmarne wspomnienia, wywołując płacz, złorzeczenia, a w jednym przypadku również krzyk bólu. W takich okolicznościach zmuszona była nalegać.

– Czy moglibyśmy prosić o przesłanie fotografii? Najlepiej mejlem, ale może być również

faks. – Mówiła o badaniach statystycznych prowadzonych przez policję, o bazie danych, dzięki której można będzie uratować wielu ludzi, i po części była to prawda. Dodatkową przeszkodą był brak komputera i połączenia internetowego, bo tylko dwie osoby dysponowały własnym sprzętem. Colomba musiała więc przekonać pozostałych, aby skorzystali z punktu internetowego lub jak najszybciej wysłali faks. Na całe szczęście nikt nie odmówił i w ciągu dwóch godzin udało się zgromadzić potrzebne dokumenty.

Tymczasem Dante próbował się przespać, założywszy czarną przepaskę na oczy. Kłębiące się myśli nie pozwalały mu jednak na spokojny sen, więc na przemian to zasypiał na chwilę, to budził się zdenerwowany. Czuł się tak, jakby próbował ułożyć puzzle z niepasujących do siebie kawałków, wśród których był i Ojciec, i nieznany chłopiec z nagrania, i tajemnicze motywacje Roverego. Chociaż jeszcze nie odkrył, jaki związek ma z tym wszystkim osoba komendanta, to wiedział, że jego przygnębienie oraz powody działania odgrywają ważną rolę w sprawie, którą starał się rozwikłać. Jego myśli były chaotyczne, typowe dla kogoś spragnionego snu, który nie przychodzi, mimo że czeka się nań w wygodnej pozycji i z zamkniętymi oczami. Dante skupił się więc na kluczowych elementach, podobnie jak się to robi w niektórych szaradach, gdzie trzeba pokolorować zaznaczone abstrakcyjne figury, aby rozpoznać ukryty zarys znanego przedmiotu.

Jasny snop światła przywrócił Dantego do rzeczywistości. Colomba złośliwie zdjęła mu maskę z oczu i teraz stała nad nim i przyglądała mu się zmęczonym wzrokiem.

– Mam zdjęcia. I mam też swojego kandydata.

– Zdjęcia dzieci? – mruknął ze ściśniętym gardłem, szukając po omacku papierosów.

– Tak, są w komputerze. Jesteś gotowy czy potrzebujesz czasu? – zapytała z sarkazmem w głosie.

– Daj mi minutkę, przemyję twarz.

Rano rzucił się na łóżko w ubraniu. Dopiero teraz zdjął koszulę i spryskał się zimną wodą nad umywalką. Potem przygotował sobie zwykłą porcję kropli i tabletek, które miały ukoić nieco trawiący go niepokój, i w końcu wrócił do salonu z ręcznikiem na ramionach.

Colomba po raz pierwszy zobaczyła go bez koszuli i ponownie przyszedł jej na myśl David Bowie ze starego filmu science fiction – był tak chudy, że przypominał witkę. Pomimo różnych nałogów ciało Dantego nie miało jednak chorobliwego wyglądu, raczej sprawiało wrażenie, że należy do przedwcześnie dojrzałego nastolatka. Nie golił się od dwóch dni i tylko ślady białego zarostu na twarzy zdradzały jego wiek.

– Możemy zaczynać? – ponagliła go Colomba.

– Jeszcze chwila. Przepraszam, ale potrzebuję kofeiny.

– Żebyś tylko zdążył do wiosny...

– Nie bądź złośliwa. Chcesz kawy?

Colomba miała co prawda ochotę, ale odmówiła, żeby nie dać mu satysfakcji. Dante wprawnymi ruchami zielarza przygotował sobie mieszankę i wypił duszkiem dwie filiżanki,

nie pozwalając, żeby napój wystygł.

– Jestem gotowy. Gdzie masz zdjęcia?

– Tutaj. – Colomba odwróciła laptop w jego stronę. Czekaając na Dantego, wrzuciła na ekran sześć fotografii. Zeskanowała te, które przyszły faksem do recepcji, można je było rozpoznać po biało-czarnej barwie. Teraz mieli przed sobą sześć zdjęć, które przedstawiały uśmiechniętych chłopców w wieku pięciu, sześciu lat. Patrząc na nie po raz kolejny, Colomba zdała sobie sprawę, że jeśli dziecko, którego szukają, znajduje się w tej grupie, to miało i tak więcej szczęścia niż reszta. Co prawda zostało porwane przez szaleńca i zamknięte w odosobnieniu, ale w przeciwieństwie do pozostałych ciągle żyje.

Dante ze skrzyżowanymi ramionami przyglądał się przez dziesięć sekund wszystkim zdjęciom, po czym wskazał zdecydowanie na jedno.

– To on – powiedział.

Colomba westchnęła głośno.

– Ja też tak uważam, chociaż nie mam stuprocentowej pewności. Ty też nie możesz jej mieć. Dzieci w tym wieku szybko rosną i się zmieniają.

– Jestem pewien, że to on – nalegał Dante. – Kto to jest?

– Chłopiec podróżujący minibusem do Maceraty. Nazywa się Ruggero Palladino.

– O kurwa! – Przemknęły mu przez głowę obrazy z sennego koszmaru, w których mieszały się wizje różnych wypadków. Zachował to jednak dla siebie, bo cóż sensownego mógłby powiedzieć? – Sześć trupów, żeby dostać chłopca – stwierdził na koniec.

– Spróbuj mi wyjaśnić, skąd się bierze twoja pewność?

– Naprawdę niczego nie zauważyłaś? Skup się na czymś, co go odróżnia od pozostałych.

Colomba pomyślała o synu Maugerich i o dokładnej analizie, którą Dante przygotował na podstawie zdjęć. Z tym że teraz mieli tylko jedną fotografię, i w dodatku upozowaną. Nagle zwróciła uwagę na oczy.

– Ma w sobie coś orientalnego.

– No właśnie, małe podłużne oczy. A co powiesz o podbródku?

Colomba przewróciła oczami. Kiedy Dante przyjmował nauczycielską pozę, stawał się nieznośny. Tym razem postanowiła jednak włączyć się do gry.

– Niewyraźnie zaznaczony. Podobny do tego u chłopca z nagrania, ale nie dam sobie ręki uciąć.

– Najczęściej używa się terminu cofnięty podbródek. Ale nie chodzi o podobieństwo do matki czy ojca. To deformacja twarzy związana z nieprawidłowym rozwojem żuchwy. Cecha charakterystyczna FAS-u.

– Co to znaczy?

– *Fetal alcohol syndrome*, czyli alkoholowy zespół płodowy – stwierdził Dante takim tonem, jakby chodziło o pierwszy lepszy banał. – Jego durna matka piła w ciąży. Płód nie jest w stanie wyeliminować pozostałości po alkoholu, które docierają przez łożysko...



– Tak, wiem o tym. Jestem w wieku rozrodczym.

Dante potraktował jej oświadczenie jak brzęczenie muchy.

– I powstają wady wrodzone.

– Czy u niego to poważne?

– Istnieją różne typy FAS-u, w zależności od ilości alkoholu przyjmowanego przez matkę oraz okresu ciąży, to znaczy, czy piła w pierwszym trymestrze, czy również później. Najczęściej mamy do czynienia z poalkoholowymi zaburzeniami układu nerwowego, czyli ARND, oraz z poalkoholowym defektem urodzeniowym, ARBD, kiedy pojawiają się poważne problemy fizyczne. Chłopiec z nagrania poruszał się sprawnie, więc pewnie chodzi o ARND. Bóg raczy wiedzieć, jak sobie radzi w zamknięciu. Dlatego jestem pewny, że to właśnie Ruggero jest dzieckiem, którego szukamy. Jest nieco opóźniony w rozwoju i wolniej się uczy, podobnie jak Luca, chociaż problemy obu chłopców są odmiennej natury. Wszystko wskazuje na to, że Ojciec wybiera z dostępnej puli uszkodzone egzemplarze.

W normalnych warunkach podróż samochodem z Rzymu do Fano trwa nieco ponad dwie godziny. Jazda w towarzystwie Dantego nie miała jednak nic wspólnego z normalnością z uwagi na jego obsesję dotyczącą ograniczenia prędkości oraz częste ataki paniki związane z przebywaniem w zamkniętym pomieszczeniu. Colomba w końcu się poddała i dojechali na miejsce późnym wieczorem po czterech godzinach jazdy. W międzyczasie przyrzekła sobie, że następnym razem doda mu po kryjomu do kawy zawartość całej fiolki tego świństwa, którym się faszerował. Kiedy brak snu potęgował fobie Dantego, Colomba mruzczała dwa magiczne słowa: „uszkodzone egzemplarze”, które natychmiast zamykały usta jej niezdiscyplinowanemu pasażerowi.

– Ostatnio zmienił upodobania – wyjaśnił Dante zniesmaczony tym określeniem. Właśnie zjechali z autostrady, kierując się na drogę wojewódzką. Po zapadnięciu zmroku ruch ograniczał się prawie wyłącznie do samochodów ciężarowych.

– Przecież mówiłeś, że nie zmienił sposobu postępowania, że działa ciągle tak samo.

– Stosuje te same metody, jasne? To nie dotyczy wyboru ofiar.

– Porywa chłopców w wieku sześciu lat.

– Tak, ale wcześniej nie wybierał tych opóźnionych w rozwoju.

Colomba zerknęła na niego kątem oka.

– Jesteś pewien?

– W przedszkolu byłem najlepszy. Kiedy mnie porwał, umiałem już trochę czytać i potrafiłem napisać wszystkie litery alfabetu. Nie byłem opóźniony.

– Skoro tak twierdzisz.

Dante odrzucił głowę do tyłu.

– Zadzwoń do mojego ojca, jeśli mi nie wierzysz. Byłem też bardzo towarzyskim dzieckiem.

– To znaczy, że bardzo się zmieniłeś od tamtego czasu.

– Spieprzaj – zdenerwował się Dante i obniżył fotel, udając, że zamierza się zdrzemnąć.

Colomba poklepała go po ramieniu.

– Nie rozkładaj się tak, właśnie dojeżdżamy.

Przed nimi ukazała się brama z napisem TEREN WOJSKOWY i drut kolczasty zabezpieczający obszar, na którym znajdowały się koszary karabinierów. Już w drodze Colomba zadzwoniła na centralę, prosząc o kontakt z komendantem, którego nazwisko widniało w protokole z wypadku. Gdyby przyjechali wcześniej, zastaliby go w barze

w miasteczku, ale o tej porze wrócił już do kazarmy na nocną zmianę. Zaparkowała na pierwszym wolnym miejscu, a Dante wcisnął się głębiej w fotel.

– Nie wejdę do środka – oświadczył.

– Nie martw się. Już i tak miałam problemy, żeby usprawiedliwić moje zainteresowanie sprawą. Twoja obecność wzbudziłaby dodatkowe wątpliwości. A tak *à propos*... – Odpięła kaburę z pistoletem i włożyła pod siedzenie Dantego. – Popilnuj mi tego.

Mężczyzna podniósł się i zeszywniał.

– Przystań wreszcie zostawiać broń gdzie popadnie! To nie jest zabawka! Prędzej czy później zastrzelisz mnie przez pomyłkę.

– Nie przez pomyłkę – powiedziała, naśladując całkiem nieźle jego grymas, i wysiadła z samochodu. Tak naprawdę, to wcale nie było jej do śmiechu. Jeśli komendant zauważy jakąś niespójność w jej wersji, to ograniczy się do mglistych frazesów i nie powie nic konkretnego. Dlatego zostawiła pistolet w samochodzie. Każdy policjant natychmiast by się zorientował, że to nie jest broń służbowa.

Colomba stanęła przy furtce i zadzwoniła, a potem wylegitymowała się wartownikowi, który zasalutował i odblokował drzwi wejściowe. Posterunek był mały, odrapane ściany aż prosiły się o malowanie, a jedyne wyposażenie stanowiły cztery plastikowe krzesła przeznaczone dla oczekujących na złożenie zawiadomienia. O tej porze nie było nikogo oprócz pijącego kawę dyżurnego, który przyglądał się Colombie przez chwilę z ciekawością, aż wreszcie dostrzegł złotą plakietkę przypiętą do jej pasa. *Wymiataasz*, instynktownie przyszło jej na myśl slangowe słowo, które doskonale opisywało wrażenie, jakie robiła, pojawiając się na komendach i posterunkach, gdzie nikt jej nie znał. Ten sposób był skuteczniejszy niż zwykła prezentacja, gdyż onieśmielał strażników. Oczywiście nie zawsze, ale dość często.

Komendant Colantuono miał koło sześćdziesiątki, z dumą nosił wypielęgnowane wąsy i mówił z wyraźnym sycylijskim akcentem. Nie okazał jej ani śladu nieufności i bez problemów opowiedział wszystko, co pamiętał na temat wypadku minibusa. Colomba nigdy nie przywiązywała wagi do wrażenia, jakie robiła na mężczyznach – obojętnie czy umundurowanych czy nie – i natychmiast zapominała o takich przypadkach, kiedy odpięty guzik bluzki potrafił dokonać więcej niż służbowa legitymacja.

Komendant przyjął bez zastrzeżeń zawiłe wyjaśnienie o uzupełniającym śledztwie spowodowanym przez prywatne zawiadomienie, poczęstował ją kawą, której Dante nawet by nie powąchał, i opowiedział ze szczegółami o wypadku. Jako pierwsi pojawili się na miejscu funkcjonariusze z drogówki z Maceraty, ale to jego wydział i oni osobiście zajęli się zawiadomieniem rodzin i nadzorowali procedurę rozpoznania ciał. Minibus zarejestrowany był na nazwisko proboszcza parafii pod wezwaniem Świętego Hilariona, spadł w przepaść na ostrym zakręcie na drodze gminnej numer 362.

– W tym miejscu zbocze jest bardzo strome i wysokie na kilkadziesiąt metrów, a pojazd

się stoczył, bo kierowca stracił nad nim kontrolę. Przysięgam, *dottorressa*, że takiego gulaszu z ludzkich ciał jak żyję nie widziałem.

– Czy powodem wypadku była nadmierna prędkość?

– Z tego, co ustalili eksperci techniczni, wynika, że nie zadziałał system hamulcowy. Znałem proboszcza i mogę zaświadczyć, że nawet na rowerze jeździł ostrożnie, a co dopiero na takiej krętej drodze.

– W jakim stanie były ciała ofiar?

– *Dottorressa*, nie chciałbym pani straszyć, ale proszę sobie wyobrazić zapomnianą na grillu kiełbasę. Właśnie tak wyglądali. Gdyby mnie nie uprzedzono, że to ludzkie szczątki, to mógłbym się pomylić.

– A czy krewni rozpoznali ciała?

– Tak, nie mieli większych trudności. Chyba trochę przesadziłem z tym porównaniem. Komendant otworzył okno i sięgnął po papierosa. – Nie będę pani przeszkadzał?

– Nie, proszę się nie krępować.

– Paskudny nałóg. Nie jestem w stanie rzucić. Za każdym razem, kiedy próbuję, przybieram ze dwa kilo, a potem zaczynam od nowa. A kilogramy zostają. O czym to ja mówiłem?

– Wyjaśniał mi pan, jak zidentyfikowano ciała.

– Tak, właśnie. Każda z ofiar miała jakiś nienaruszony fragment. Proboszcza i nauczycielkę rozpoznaliśmy po twarzach. Drugiego księdza po ubraniu. Jeden z chłopców skulił się i próbował osłonić korpus. – Komendant wykonał nieokreślony ruch, wskazując na obszar między głową a brzuchem. – Kiedy o nim myślę, to serce mi się ściska z bólu.

– Dobrze pan wszystko pamięta.

– Ach, mówiłem pani, że nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. A przecież z niejednym wypadkiem miałem do czynienia.

– W busie było dwoje dzieci?

– Tak. Ten zgięty w pół był synem nauczycielki. A drugi chłopiec, syn Palladina, wyglądał jak zwęglona kłoda. Rozpoznano go na podstawie łańcuszka i portfela.

– Jego ciało było w najgorszym stanie?

– Teraz, kiedy się zastanawiam, to myślę, że tak. Już się urodził pechowy. Matka miała poważne problemy... Kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, pozwoliła się zamknąć w klinice, żeby pomogli jej przestać pić. A potem urodziła takie dziecko. Jej mąż mi o tym opowiedział. Pracuje w biurze w urzędzie miasta i do dzisiaj się nie pozbierał. Wygląda jak duch.

– Czy zbadaliście DNA ofiar?

– Nie. A niby dlaczego? Przecież nie było żadnych wątpliwości.

Colomba wstała i wyciągnęła rękę na pożegnanie.

– Dziękuję. Bardzo mi pan pomógł.

– Już pani idzie. – Komendant się uśmiechnął. – Wielka szkoda.  
– Może jeszcze pana odwiedzę, jeśli pojawią się kolejne pytania.  
– Będzie mi bardzo miło. Przepraszam, że się ośmielam, ale rzadko można spotkać taką piękną kobietę w naszych szeregach.

– Dziękuję.

Odprowadzając ją do wyjścia, Colantuono dodał:

– Okropny wypadek, a poza tym co za ironia losu! Wracali do domu po modlitwach w sanktuarium, a Bóg przygotował im taki prezent. I kto jest w stanie zrozumieć Jego wyroki?

– No właśnie – potwierdziła Colomba, która przestała zadawać sobie podobne pytania, kiedy skończyła lekcje religii.

– A mogło być jeszcze gorzej. Zapowiadała się jedna ofiara więcej.

Colomba przystanąła.

– Kogo ma pan na myśli?

Kiedy wróciła do auta, zastała Dantego na zewnątrz z czekoladą w ręku. Kupił sobie tabliczkę Toblerone w pobliskim sklepiku i teraz ją częstował.

– Nie, dziękuję – odmówiła Colomba. – Odkryłam, jak to zrobili.

– Jak upozorowali wypadek? – Dante w lot zrozumiał, co miała na myśli.

– Tak. – Wsiadli do samochodu, żeby spokojnie porozmawiać, z dala od ciekawskich uszu. – Kierowca, który wyprzedził minibusa, zanim doszło do wypadku, zeznał, że widział go zaparkowanego na poboczu, a jakiś mężczyzna rozmawiał z kierowcą przez okno. Zapamiętał tę sytuację, bo rozpoznał proboszcza za kierownicą.

– Czy widział tego człowieka?

– Nie dostrzegł twarzy i nie potrafił go opisać. Powiedział, że wziął go za autostopowicza. Było ciemno i światła reflektorów oświetliły ich tylko na moment.

– Ojciec. Zabił pozostałych pasażerów i porwał chłopca.

– Albo podał im jakieś środki oszałamiające, a potem zepchnął busa w przepaść. Jakoś mnie to nie przekonuje, Dante. To niemożliwe, żeby jedna osoba poradziła sobie z tym wszystkim.

– Świadek widział tylko jednego mężczyznę.

– Kiedy więził ciebie, miał pomocnika, Bodiniego. Może teraz też ma wspólnika. Przecież ktoś mógł czaić się na poboczu albo ukrywać w zaparkowanym niedaleko samochodzie. Gdzieś musieli w końcu trzymać ciało, które podrzucili w miejsce uprowadzonego dziecka.

– Skąd je wzięli?

– Mam nadzieję, że ukradli z jakiejś kostnicy, przekupiwszy najpierw lekarza. Ale z drugiej strony, obawiam się, że...

– To jedna z jego ofiar, na przykład uwięziony chłopiec, który się zbuntował... Taki

malutki. – Wydawało się, że Dante zaraz wybuchnie. – Trzeba koniecznie ekshumować zwłoki dziecka – gorączkował się. – Musimy się dowiedzieć, kim on był.

– Do tego potrzebny jest nakaz sądowy. A my nie mamy konkretnych dowodów, tylko przypuszczenia. Najpierw znajdziemy Ojca i dopasujemy do siebie wszystkie elementy. Potem pomyślimy o chłopcu. Jemu już się nie spieszy, a jego rodzicom też chyba nie, bo jeśli nasze hipotezy są prawdziwe, to już dawno uznali go za zmarłego.

– O Jezu – westchnął Dante. Szybkim ruchem włożył sobie do ust tabletkę i połknął bez popijania, nawet na nią nie spojrzawszy. – Przez te wszystkie lata nie zaprzestał swojej zbrodniczej działalności. Porywał i zabijał.

– Nie mamy pewności. Może dopiero niedawno powrócił do tego procederu.

– Jestem pewien, że nigdy nie przestał. I będzie kontynuował, dopóki nie wpakujesz mu kulki w łeb. O właśnie, zabierz pistolet spod mojego fotela.

Colomba zrobiła, o co prosił.

– Dante, ja nie jestem nocnym mścicielem, tylko policjantką. Mam zamiar wpakować go do więzienia.

– A ja nie. Chcę go zabić. On nie ma prawa oddychać naszym powietrzem.

Zobaczyła, że cały się trzęsie.

– Już nigdy nie zrobi ci krzywdy, obiecuję – powiedziała.

– Nie potrafię... – zaczął, a potem odetchnął głęboko i po chwili kontynuował już pewniejszym głosem. – Ciągle jeszcze nie jestem w stanie zapanować nad emocjami, kiedy czuję jego obecność. A myślałem, że prędzej czy później uda mi się go pokonać.

– Doskonale sobie radzisz. Ja na twoim miejscu też bym się bała, po tym, co ci zrobił, to normalne.

– Czy on cię nie przeraża?

– Na myśl o nim czuję wściekłość. I obrzydzenie... tak, to chyba najodpowiedniejsze słowo. Nie mogę uwierzyć, że taki potwór naprawdę istnieje. Jest jak ludojad z bajek, jak Freddy Krueger. Ale nie mam zamiaru udawać, że go nie ma. Bo on chowa się gdzieś niedaleko i musimy przekonać innych, że to człowiek z krwi i kości. – Colomba przekreśliła kluczyk w stacyjce i samochód ruszył. – Teraz trzeba odwiedzić rodzinę Palladino. Tylko nie próbuj ukrywać się w samochodzie, będę potrzebowała twojej wnikliwej obserwacji.

– Nawet jeśli nie będę się z nimi cackał?

– Uważaj, bo zamknę cię w bagażniku.

– Nie odważysz się.

– Chcesz się przekonać?

Na szczęście okazało się to niepotrzebne. Wojownicze nastawienie Dantego znikło w obliczu przygnębienia panującego w domu małżonków, których zastali przy skromnej kolacji. Wyglądali, jakby wyrwano ich ze śmiertelnej choroby, jednej z tych, które niszczą człowieka po kawałku, nigdy do samego końca. Colomba i Dante wiedzieli, że ojciec ma

czterdzieści lat, a matka trzydzieści pięć, tymczasem ich wygląd wskazywał raczej na wiek przedemerytalny. Twarz mężczyzny pokrywały głębokie zmarszczki, miał zapadnięte policzki i przerzedzone włosy. Kobieta posiwiała przedwcześnie, a długie zaniedbane włosy opadały jej kosmykami na czoło. Colomba pomyślała, że matka nigdy nie przestała obwiniać się o śmierć synka, rezygnując nawet z minimalnej dbałości o własny wygląd, w tym z wizyty u fryzjera czy delikatnego makijażu. Oczy ojca sprawiały wrażenie, jakby były wessane do wewnątrz. Colomba nigdy wcześniej nie zetknęła się z takimi osobnikami jak Ojciec czy z seryjnymi porywaczami, ale pracując w wydziale zabójstw, musiała spotykać niemal codziennie takie pary jak ta. Byli też krewni ofiar, krewni morderców i wreszcie sami zabójcy. Ci ostatni postawieni w obliczu odpowiedzialności za własne czyny najczęściej zdawali sobie sprawę, że tak naprawdę zniszczyli dwa życia: ofiary i swoje własne, które od tej pory mieli odmierzać, jedynie skreślając dni w więziennym kalendarzu. W jednorodzinnej willi Palladinich również wyczuwało się niemożliwą do zastąpienia stratę. Wszędzie można było zobaczyć zdjęcia dziecka – rodzice urządzili dla niego zajmujący całą ścianę w salonie ołtarzyk, na którym stały krzyże i figurki Matki Boskiej.

Dante, przytłoczony ich bólem, skupił się jak zwykle na klinicznej analizie gestów i zachowania rozmówców. Zająwszy strategiczną pozycję w salonie przy dużym oknie, przez które widać było sierp księżyca, już po chwili zrozumiał, że nie mieli żadnych wątpliwości w sprawie śmierci swojego dziecka i każdego dnia wyrzucali sobie, że pozwolili mu pojechać samemu na wycieczkę zorganizowaną przez proboszcza, którego zresztą obwiniali o wypadek.

– Był już za stary na jeżdżenie autem – powiedział mężczyzna. – A w dodatku ciągle używał tego gruchota. Powiniennem był własnym samochodem zawieźć syna do tego pieprzonego sanktuarium, skoro tak mu zależało.

– Carlo... – upomniała go cicho żona.

Mężczyzna spojrzał na nią z litością, bez cienia miłości.

– Ona ciągle wierzy w Boga – zwrócił się do gości. – Ja nie. Czy po czymś takim wy bylibyście jeszcze w stanie wierzyć? Po co właściwie tutaj przyszliście?

Colomba przekazała im nieco zmienioną wersję tego, co powiedziała wcześniej komendantowi karabinierów. Poinformowała mianowicie, że toczy się jeszcze śledztwo w sprawie o nieudzielenie pomocy, dając jednocześnie do zrozumienia, że zostaną powiadomieni, gdyby pojawiły się jakieś nowe, oficjalnie potwierdzone poszlaki. Dantego przedstawiła zaś jako eksperta w tego typu sprawach.

– Nawet jeśli ktoś by się zatrzymał, żeby udzielić pomocy, to i tak na nic by się to zdało – stwierdził mąż. – Mój syn zginął na miejscu.

– Widzieli państwo wyniki sekcji zwłok? – odezwał się po raz pierwszy Dante.

– Nie zezwoliliśmy na nią – wyjaśniła matka. – Jego ciało było już dość zmasakrowane. Wiem, że robili sekcję zwłok księdza Paola, bo prowadził samochód i chcieli się upewnić,

czy czasem nie zasłabł.

– I co? – zainteresowała się Colomba.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Był zdrowy.

Colomba pomyślała, że wszystko się sprzymierzyło, aby ułatwić Ojcu realizację planu, natomiast Dante, który nie wierzył w przypadki, uznał te fakty za kolejne elementy skomplikowanej układanki, której do tej pory nie zdołał rozszyfrować. W jaki sposób Ojciec zorganizował wypadek, nie budząc żadnych wątpliwości? Jak udało mu się zatrzeć wszystkie ślady?

Kiedy przełamali pierwsze lody, Colomba skupiła się na pytaniach, które nie miały nic wspólnego z samym wypadkiem. Wcześniej Dante przekonywał ją, że nie powinni nabrać podejrzeń, mogli tylko się zdenerwować, że zmusza się ich do ponownego przeżywania całej tragedii. Tymczasem wydawało się, że nawet złość już z nich wyparowała. Przekleństwa wypowiedziane przez męża nie miały w sobie ani zwykłej w takich okolicznościach siły, ani nie brzmiały przekonująco.

– Czy to Kościół zorganizował wycieczkę?

– Nie – odpowiedziała matka. – To była prywatna inicjatywa ojca Paola. On sam jeździł do sanktuarium, kiedy tylko miał czas. Zapytał, czy chcemy się przyłączyć albo posłać chociażby Ruggera, a my się zgodziliśmy. To znaczy, żeby mały pojechał...

– Ile dni wcześniej powiadomił was o podróży? – zapytał Dante.

– Co to ma do rzeczy? – zdenerwował się mąż.

– To na wypadek gdyby moi przełożeni zaczęli zadawać szczegółowe pytania. Nie chciałbym państwa ponownie nachodzić.

– Tydzień wcześniej. Zadzwonił do mnie i zaproponował wycieczkę – wyjaśniła kobieta.

Tym razem i Colomba, i Dante uznali, że tydzień to zbyt krótko, aby zorganizować porwanie, chyba że czeka się tylko na dobrą okazję. Ojciec musiał ich wcześniej obserwować. Ale jak wytypował ofiarę?

– Czy ktoś poza uczestnikami brał udział w przygotowaniach? – dopytywała się Colomba.

– Nie sądzę – odparł z powątpiewaniem mąż.

– A może ktoś się z wami kontaktował bezpośrednio przed wypadkiem? Na przykład jakiś nowy lekarz? – dopytywał Dante.

Pytanie było tak nietypowe, że oboje rodzice bardzo się zdziwili.

– Skąd ten pomysł?

– Miałem na myśli specjalne potrzeby chłopca. Na pewno był pod stałą opieką lekarską, prawda? – dodał Dante, wpatrując się uporczywie w matkę.

Kobieta spuściła głowę i zaczerwieniła się, jakby wymierzono jej policzek.

– A więc wiecie... – szepnęła.

– Tak. – Dante przyglądał się jej nadal, chociaż ona odwróciła wzrok.



– Gdy tylko się dowiedziałam, że jestem w ciąży, przestałam pić – próbowała się usprawiedliwić.

– Nie sądzę, żeby ich to interesowało – wtrącił się mąż ze złością. – Poza tym, nie tak od razu.

– Ale szybko. Bardzo szybko – powtórzyła, szukając wzrokiem wsparcia u gości.

Dante pozostał niewzruszony, ale Colomba uśmiechnęła się, bo zrobiło się jej żal kobiety.

– Proszę nam powiedzieć o lekarzach – spróbowała zmienić temat.

– Syn miał stałego pediatrę. I chodził też do centrum Srebrna Busola.

– Co to za organizacja?

– Wspierali dzieci z problemami i ich rodziny.

– Dlaczego mówi pani o nich w czasie przeszłym? – Dante nadstawił uszu.

Okazało się, że fundacja miała oddziały w całych Włoszech, ale niedługo po śmierci chłopca zaprzestała działalności z powodu poważnych problemów finansowych.

Colomba i Dante zadali jeszcze kilka pytań, które nie wniosły nic nowego, a potem skierowali się do wyjścia.

Kiedy znaleźli się w ogródku, Colomba szepnęła:

– Myślisz, że wybrał chłopca z Busoli?

– Być może nie tylko jednego. Musimy zdobyć listy pacjentów – odpowiedział Dante z roztargnieniem. W środku cierpiał z powodu ograniczonej przestrzeni i chociaż jego termometr wewnętrzny nie wskazywał jeszcze zagrożenia, to teraz rozkoszował się świeżym powietrzem. Poza tym krążyły mu po głowie ponure myśli, których nie potrafił się pozbyć. Linie łączące poszczególne zdarzenia, którymi się zajmował, przeplatały się sobą, ale jednocześnie były postrzępione i niekompletne. Śledztwo posuwało się powoli, a on zamiast odpowiedzi miał tylko nowe pytania, na które coraz trudniej było odpowiedzieć. Wyobrażał sobie Ojca, który czai się na niego w ciemnościach, i wcale się nie dziwił, że do tej pory nikomu nie udało się wpaść na jego trop. Po pierwsze, nikt oprócz niego nie wierzył w jego istnienie, a po drugie, Dante miał wiele szacunku dla inteligencji swego oprawcy i równie dużo pogardy dla działań policji. Teraz, kiedy przekonał się, że Ojciec nie zaniechał aktywności przestępczej, mordując bez litości, zaczął się zastanawiać, jak udawało mu się przez tyle lat ukrywać ślady w tak doskonały sposób. Jak to możliwe, że wszystko szło po jego myśli, chociaż niejednokrotnie działał na krawędzi ryzyka: na przykład zdesperowani rodzice mogli przecież zażądać wykonania badania DNA syna, który zginął w wypadku. Morderca może nie od razu wpadłby w pułapkę, ale pojawiłoby się przynajmniej podejrzenie, coś, co zakłóciłoby rytm oparty na zbiegach okoliczności i utrudniło mu „pracę”. Dante nie wierzył w szczęście, które rzadko mu sprzyjało, i nie sądził, aby Ojciec chciał opierać swoje działania na tak niepewnej podstawie. Dlatego przyjął, że Ojciec musiał opracować złożony i wyrafinowany plan, którego na razie nie był w stanie rozpracować. Męczyła go jeszcze jedna rzecz. Dlaczego policja zwróciła się o pomoc właśnie do niego, do

ofiary, kiedy po raz pierwszy śledczy dostrzegli rysę w strategii Ojca? Nie chciał przyjąć do wiadomości, że chodzi o zwykły przypadek. Ale również w tej kwestii nie udało mu się znaleźć odpowiedzi, dopóki nie dostrzegł niewielkiego obelisku stojącego przy bramie willi. Właśnie żegnał się z gospodynią, która odprowadziła ich do wyjścia, kiedy jego wzrok zatrzymał się na marmurowym piedestale o wysokości około metra, na którym stała para dziecięcych butów odlana z brązu. Niektóre elementy układanki znalazły wreszcie właściwe miejsce, a kliknięcie w jego głowie było tak głośne, że Dante odniósł wrażenie, iż pozostali również musieli je usłyszeć. Drżącą ręką wskazał statuę i zapytał, co oznacza, chociaż doskonale znał odpowiedź.

– Po wypadku, w którym zginął Ruggero, ktoś zostawił nam przed domem jego buty. Być może znalazł je na ulicy i przyniósł tutaj. Mój mąż kazał wykonać ten pomnik. Początkowo chcieliśmy umieścić go na nagrobku, ale... został tu.

Dante wyglądał jak obłąkany. Jego zwykle blada twarz stała się czerwona i oddychał z trudnością.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoiła się Colomba.

Wykonał ręką ruch, który mógł oznaczać wszystko i nic, po czym zawrócił w kierunku drzwi, w których stała matka.

Colomba usłyszała jego słowa:

– Przepraszam, jeszcze jedno pytanie. – Potem zobaczyła, jak wyjmuje z kieszeni telefon i pokazuje coś kobiecie i jej mężowi. Nie miała pojęcia, o co chodzi, nie słyszała odpowiedzi, ale zauważyła, że małżeństwo kiwa głowami, a Dante staje się coraz bardziej podniecony i podskakuje jak marionetka.

Kiedy znalazł się na ulicy, wydawał się odmieniony. Rozwiązanie pierwszego elementu męczącej go zagadki było niczym orgazm.

– Dante, co się dzieje? Zaczynam się denerwować, a to nie jest najlepszy moment, bo muszę prowadzić. Przecież nie lubisz, kiedy siadam za kierownicę w takim stanie.

Zwykły grymas Dantego zmienił się w szeroki uśmiech.

– Doznałaś kiedyś *satori*?

– Co to jest?

– Olśnienie.

– W związku z Ojcem?

– Poniekąd. Zrozumiałem wreszcie, dlaczego my zajmujemy się tą sprawą. Nie wiem, gdzie nas to zaprowadzi, ale trochę mi się rozjaśniło w głowie. – Spojrzał na Colombę i uśmiech znikł z jego twarzy. – Obawiam się, że nie spodoba ci się moje odkrycie.

– Nie podoba mi się nic, co ma związek z tą historią. Mów!

– Rovere – rzucił Dante. – Wiem, co on ukrywa.

*Jak wiele jesteś gotów poświęcić?* Słowa piosenki prześladowały Roverego przez cały dzień. Wbiły mu się do głowy wczesnym rankiem, kiedy usłyszał je w radiu. Był to stary model, którego używał jako budzika i trzymał na nocnej szafce koło łóżka. Najpierw coraz głośniejsze brzęczał budzik, jak stare telewizory kineskopowe, a potem włączało się radio. Normalnie Rovere wyłączał odbiornik, zanim pojawiała się muzyka, ale tym razem dał za wygraną – był zbyt wyczerpany, żeby wykonać niezbędne ruchy. Głos piosenkarza prawie go zaskoczył. Sprawiał wrażenie młodego, zresztą może naprawdę był młody. Elena na pewno by go znała, doskonale orientowała się w gustach młodzieży. Uczyła w liceum i uważała, że powinna wiedzieć, czym interesują się jej uczniowie, żeby ich lepiej rozumieć. Na jej pogrzebie pojawili się wszyscy, co do jednego, smutni, jakby stracili kogoś z rodziny, chociaż on przyłapał się na myśli, że wielu z nich udaje, żeby potem mieć co opowiadać lub dobrze wyjść na zdjęciach, które robili telefonami.

*Jak wiele jesteś gotów poświęcić?* Rovere nie znał nazwiska wykonawcy i zapomniał resztę tekstu, ale potrafił udzielić odpowiedzi na pytanie.

*Wszystko.* Tak brzmiała jego odpowiedź. Gotów był wszystko poświęcić, żeby tylko położyć wreszcie kres swojej obsesji.

Rovere wysiadł ze służbowego samochodu przed domem i niedbale skinął dłonią policjantowi siedzącemu za kierownicą, zanim skierował się do wejścia.

Chociaż jego rodzice byli gorliwymi katolikami, Rovere dorastał, poszukując sensu, co później, w połączeniu z chęcią poznania prawdy, pomogło mu w policyjnej karierze. Niełatwo stosować zasady logicznego myślenia do przeniknięcia spraw niepoznawalnych, transcendentálnych. Będąc zbyt sceptycznym, aby wierzyć, i zbyt przywiązany do tradycji, aby odrzucić ideę Boga, Rovere żył w zawieszeniu. Nie chodził do kościoła, ale nie uważał się za ateistę ani za agnostyka. Według niego Bóg prawdopodobnie istniał, ale tak daleko od świata i ludzi, że nie miało żadnego znaczenia to, czy się w Niego wierzy czy nie. Kiedy Elena zachorowała, wrócił jednak do modlitwy, którą porzucił w czasach dzieciństwa. Nie chciał zaniedbać najmniejszej szansy, na wypadek gdyby modły mogły jednak na coś się przydać. Oddał się im ze skrupulatnością charakteryzującą wszystkie jego działania i w ciągu dnia odmawiał nowenny i zdrowaśki. Nie zrezygnował z tego nawet po śmierci żony, znajdując w modlitwie ulgę w chwilach rozpacz, gdy samotność ciążyła mu niczym ołowiana kula tonącemu.

Przestał dopiero w ubiegłym tygodniu, mając pewność, że decyzja jest nieodwołalna.

Nawet jeśli Bóg kiedykolwiek spojrział na niego łaskawszym okiem, to teraz z pewnością odwrócił się plecami, oburzony popełnionymi przez niego błędami i bezmyślnością. Pozostała mu jedynie nadzieja, że może w części naprawić zaniedbania. Aby to zrobić, musiał jednak upaść jeszcze niżej. *Jaka jest cena za zdradę?* – zapytał po raz setny. *Za oszustwo, za kłamstwo?*

Odpowiedź pozostała bez zmian: wszystko. I Rovere uznał, że warto ją zapłacić, nawet jeśli okruchy prawdy, które zdołał zebrać, jedynie powiększyły ciężar jego wyrzutów sumienia. Wszedł do bramy i zapalił papierosa. Światło dobiegające z przedsionka przez matową szybę w kolorowe kwiatki rzucało jego cień na budynek stojący po przeciwnej stronie ulicy. Policjant jakby nieco się zdziwił tym widokiem – tak bardzo czuł się pozbawiony cielesnej substancji. Zmuszał się do jedzenia, aby utrzymać się na nogach, próbował kontrolować bieżące sprawy, ale powoli przegrywał tę bitwę. Był już tylko aktorem grającym samego siebie, człowiekiem, który usiłuje wypełnić pustkę istnienia.

*Jak wiele jesteś gotów poświęcić?*

Na początku tłumił pojawiające się wątpliwości, spychając je w podświadomość, bo wszystkie jego myśli opanował ból po stracie żony. Nie zwracał na nie uwagi, czy raczej udawał, że nie istnieją, chociaż snuły mu się po głowie, mrowiły niepokojąco w żołądku. Dopiero gdy cierpienie związane z żałobą minimalnie osłabło, toczący jego sumienie robak zaczął mocniej dawać się we znaki, gryząc i wijąc się niespokojnie. Kiedy stał się jego nieodłącznym towarzyszem? Prawdopodobnie niedługo po tym, jak odwiedził Colombę w paryskim szpitalu i zobaczył na jej twarzy ślad śmierci. Wtedy po raz pierwszy poczuł, że jego wątpliwości mają sens i że nie zazna spokoju, dopóki nie odkryje prawdy. Co znalazł za zasłoną dymu i odbiciem postaci w lustrze? Za kolejnymi parawanami i zamykającymi się wachlarzami? Otchłań, która go pochłonęła.

*Jak wiele jesteś gotów poświęcić?*

*Co mam jeszcze do stracenia? Została ze mnie tylko skóra i kości.* Zaciągnął się ostatni raz i otworzył drzwi. W tym samym momencie dwie ręce wyłoniły się z ciemności, chwyciły go mocno i rzuciły na ścianę. Rovere nie był przyzwyczajony do agresji. Wysokie stanowisko w administracji pozwalało mu skutecznie unikać ulicznych bójek, aresztowań z użyciem siły, konieczności uciekania się do przemocy fizycznej. Mimo to próbował zareagować, wymierzając cios łokciem w kierunku twarzy napastnika. Równocześnie w myślach wyzywał się od idiotów. Powinien był przewidzieć, że potworny umysł kryjący się za pseudonimem Ojciec wcześniej czy później dostrzeże grożące mu z jego strony niebezpieczeństwo. Przeciwnik unieruchomił mu ramię w bolesnym uścisku i jeszcze mocniej przyparł do muru.

– Przestań się miotać, kurwa – usłyszał kobiecy głos.

Rovere zorientował się, z kim ma do czynienia, i natychmiast się uspokoił.

– Colomba! – wrzasnął.

To była właśnie ona, zmęczona i wściekła po podróży z Fano, w czasie której wciskała gaz do dechy, nie zważając na krzyki i skargi Dantego. Mężczyzna wymiotował przez okno przez pierwszą część drogi, a w końcu skulił się bez sił na fotelu. Podróż była koszmarna – z każdym kilometrem Colomba czuła, jak zalewa ją niepokonana złość, nawet żądza krwi. Nigdy wcześniej nie czuła się do tego stopnia zdradzona i wykorzystana.

– Jak znowu zacznie pan wrzeszczeć, to powybijam panu zęby! Ręce na ścianę – warknęła.

– Colomba, wytłumacz mi, o co chodzi – powiedział już spokojniej.

Kopnęła go w lewą kostkę, żeby szerzej rozstawił nogi.

– Niech się pan nie rusza. – Zaczęła go przeszukiwać.

– Przecież wiesz, że nie mam przy sobie broni.

– Wydawało mi się też, że wiem dużo innych rzeczy.

Rovere dostrzegł kątem oka Dantego, który wydawał mu się jeszcze bledszy niż zwykle, chociaż może było to jedynie złudzenie spowodowane światłem. Dante zatrzymał się na progu, jakby w budynku kryło się poważne niebezpieczeństwo.

– Panie Torre, może przynajmniej będzie pan mi łaskaw wyjaśnić...

Colomba straciła panowanie nad sobą. Chwyciła komendanta za kołnierz płaszcza i potrząsnęła nim tak gwałtownie, że uderzył kilkakrotnie klatką piersiową o ścianę.

– Dostyc tego! Dość kłamstw, dość wykrętów. Teraz powie nam pan prawdę!

– Od początku wiedział pan o Ojcu – oświadczył Dante.

Rovere odetchnął z ulgą, a zarazem poczuł mieszaninę dumy ze swojej podopiecznej i strachu przed jej reakcją.

– Nie, nie wiedziałem!

– Niech pan przestanie, do kurwy nędzy! – wydarła się Colomba.

– Mówię prawdę. Miałem tylko... – przerwał na chwilę – obawy, podejrzenia. Uznałem, że to czyste szaleństwo.

– I użył nas pan, żeby rozwiać swoje wątpliwości? – Mówiąc to, Colomba musiała włożyć wiele wysiłku, żeby zachować zimną krew, ale i tak czuła, że zaraz wybuchnie.

– Jak się domyśliliście? – zapytał Rovere.

– Szukałem sensu w tym wszystkim – odezwał się Dante. – Przed wszystkim gnębiło mnie pytanie, dlaczego zostałem wplątany w to śledztwo. Jeśli nie chodzi o zwykły zbieg okoliczności, to znaczy, że musi pan wiedzieć znacznie więcej, skoro posłał pan CC właśnie do mnie. – Dante przerwał na chwilę, starając się przypomnieć sobie w myślach wszystkie powody, które sprawiły, że wyszedł na głupca. – Przez cały ten czas nie wiedziałem, czym spowodowane są pana decyzje. Zadzwoił pan do CC zaraz po znalezieniu ciała w Pratonii. A to znaczy, że nie mógł pan odkryć wszystkiego w tak krótkim czasie. Jest pan współnikiem Ojca? Niemożliwe, bo wtedy raczej siedziałby pan cicho. Znał pan ofiarę? Wykluczyłem taką możliwość. W tym porwaniu nie było śladu *modus operandi* Ojca, poza

jednym, łatwym do przeoczenia szczegółem, który tylko pan znał. I wreszcie zrozumiałem, że chodzi o buty. Ojciec zostawia buty ofiar na widoku. To jego znak. Mam rację?

– Tak.

– Wie pan, co to oznacza?

– Nie.

– Ale wiedział pan o butach, jadąc do Pratonii? Od rodziców Ruggera Palladina, prawda?

– Tak – przyznał Rovere, jakby rozmawiał z samym sobą.

Colomba poczuła, że nagle opuściły ją siły i uwolniła komendanta, robiąc krok do tyłu. Wszystko było prawdą.

Czując, że uścisk zelżał, Rovere odwrócił się i poprawił marynarkę.

– Przepraszam, Colomba. Chciałem ci wszystko powiedzieć w odpowiednim czasie.

Colomba milczała, nie była w stanie nawet na niego spojrzeć.

– W jaki sposób dotarł pan do rodziny Palladino? – zapytał Dante.

– Nie mogę wam powiedzieć. Jeszcze nie teraz. Ale chcę was zapewnić, że wykonaliście kawał dobrej roboty.

– Dziękuję za taką dobrą robotę – powiedziała zniechęcona Colomba.

– To najważniejsze śledztwo w twoim życiu, Colomba. Tylko tobie mogłem zaufać – powiedział Rovere, starając się, aby zabrzmiało to jak najbardziej przekonująco. – A on... – wskazał na Dantego – jest jedyną osobą, która może doprowadzić cię do celu.

– Ma pan szczęście, że brzydzę się przemocą. I że skonfiskowano mi kastety.

– Chcę poznać całą prawdę – nie dawała za wygraną Colomba.

– To nie jest odpowiedni moment. Zaufaj mi. Jeszcze tylko kilka dni. Spróbuję trzymać was z dala od tego, co się wydarzy. – Mówiąc to, skierował się w stronę schodów.

Zaskoczona Colomba straciła kilka sekund, zanim zorientowała się w sytuacji i ruszyła za nim.

– Gdzie pan idzie?

– Do domu. Co pół godziny przejeżdża tędy radiowóz, a nie chcę, żeby nas razem widzieli.

Jeszcze raz spróbował się wymknąć, ale Colomba chwyciła go za ramię, pokonując własną niemoc, która jeszcze przed chwilą uczyniła z niej słup soli.

– Albo zaraz wszystko mi pan powie, albo zadzwonię do De Angelisa i będzie się pan przed nim tłumaczył. – Wyjęła komórkę i pokazała mu wyświetlacz, na którym widniał już właściwy numer.

– On nic w tej sprawie nie zrobi – stwierdził Rovere. – Nie wiem, czy jest zwykłym karierowiczem, czy wrogiem, ale nie powinnaś mu ufać.

Colomba dotknęła palcem symbolu słuchawki.

– Ostatnia szansa.

Rovere zrozumiał, że Colomba nie ustąpi. Łącząca ich kiedyś więź, oparta na szacunku

i przywiązaniu, ulatniała się z każdą minutą, z każdym wypowiedzianym słowem, i komendant zdał sobie sprawę, że jakkolwiek by się starał, już nigdy nie zdoła tego naprawić.

– Musisz mi obiecać, że nikomu nic nie powiesz, jeśli wcześniej nie dam ci wyraźnej zgody.

– Niczego nie obiecuję na zapas. Potem zdecyduję.

Rovere po raz kolejny zrozumiał, że nie ma wyjścia.

– W porządku. – Dał jej znak, żeby weszła z nim na półpiętro. – Porozmawiamy u mnie.

Colomba odwróciła się do Dantego, który z ponurą miną podpierał drzwi wejściowe. – Idziesz czy nie?

Mężczyzna patrzył na korytarz, przygryzając rękawiczkę na złej dłoni. Kiedy zgasło główne światło ustawione automatycznie na kilka minut, wewnątrz wydało mu się mało zachęcające. Ale to, co Rovere miał do powiedzenia, za bardzo go interesowało, by zrezygnować z okazji.

– Daj mi chwilę na zaczerpnięcie powietrza. Tylko nie zaczynajcie beze mnie.

– Pospiesz się – odpowiedziała Colomba i dołączyła do szefa, który właśnie przekręcał klucz w zamku.

– Wolałbym, żeby pan Torre nie uczestniczył w rozmowie.

– Mało mnie obchodzi, co pan woli. No, szybciej – rozkazała Colomba.

Rovere popchnął drzwi. W pogrążonym w ciemnościach mieszkaniu błysnęła iskra elektryczna. Była prawie biała – tak jasna, że aż oślepiająca. I to była ostatnia rzecz, którą Colomba zobaczyła przed wybuchem.

Siła eksplozji odrzuciła Dantego na chodnik. Kiedy otrząsnął się z chwilowego oszołomienia, miał na sobie odłamki szkła, ale ani jednego zadrapania. Budynek pogrążony był w całkowitych ciemnościach. Do trzeciego piętra wyleciały wszystkie szyby w oknach, a z niektórych mieszkań unosiły się smugi tłustego, gęstego dymu. *Bomba*, pomyślał zamroczony Dante, próbując się podnieść. *To była bomba*. Alarmy zaparkowanych na ulicy samochodów wyły przeraźliwie. Jakiś mężczyzna z budynku naprzeciwko stał w oknie i coś krzyczał. Dante próbował się podnieść z pokrytego szkłem chodnika, podpierając się ostrożnie złą ręką, ale upadłby znowu, gdyby nie pomoc przypadkowego przechodnia.

– Wszystko w porządku? – zapytał mężczyzna.

Dante nie odpowiedział. Około dziesięciu osób zgromadziło się wokół niego, rozdzwoniły się telefony, ludzie robili zdjęcia komórkami. Dowlókł się do samych drzwi, chcąc zobaczyć coś za ścianą czarnego dymu. Bezskutecznie. *CC została w środku*, pomyślał, ciągle jeszcze nie otrząsnąwszy się z szoku.

Z dymu wyłoniła się kaszłająca starsza para w piżamach.

Dante zastąpił im drogę.

– Tam w środku na schodach była kobieta. Wysoka, czarne włosy. Widzieliście ją? – Połykał sylaby ze zdenerwowania.

Mężczyzna odkaslnął.

– Tam jest całkiem ciemno! I pełno dymu...

Potem wyszła kobieta w podomce w towarzystwie mężczyzny w marynarce i pod krawatem, sprawiającego wrażenie, jakby właśnie wrócił z biura. Rozmawiał spokojnie przez telefon. Po Colombie nie było śladu. Dante pomyślał, że ona właśnie umiera w płomieniach, otoczona żarzącymi się fragmentami budynku, a on tkwi jak idiota na chodniku. Musi jej natychmiast pomóc, jeśli nie jest za późno. Jego wewnętrzny, pesymistyczny głos utrzymywał, że nic już nie da się zrobić, bo sądząc po zniszczonych oknach, epicentrum wybuchu znajdowało się na jednym z niższych pięter, dokładnie tam gdzie ona. Drżący ze strachu i ze stresu głosik dodał jeszcze, że w unoszącym się pyłe i dymie krążą właśnie szczątki jej ciała. Nigdy więcej jej nie zobaczy.

Dante uciszył uporczywy szept i zamknął oczy. Wyobraził sobie słoneczną plażę i czyste niebo. Poczł się jak szybujący latawiec, marzył, że biegnie nocą po łące. Próbował wrócić myślami do dnia, kiedy leżał w swoim łóżku, obserwując gwiazdy przez okna w dachu, i czekał na sen. Minęła kolejna minuta i z budynku wyszło dwoje staruszków, wspierając się



nawzajem. A Colomby nie było.

Jego wewnętrzny termometr obniżył się wraz z wyrównaniem rytmu serca. *Dam radę*, przekonywał sam siebie, próbując zagłuszyć głos, który mówił coś wręcz przeciwnego, upierając się, że nie ma żadnych szans, że to czyste szaleństwo. Zdjął krawat i nie otwierając oczu, rozpiął rozporek i nasikał na kawałek materiału. Nie zwracał uwagi na niewielki tłum, który z obrzydzeniem odsunął się od niego na bezpieczną odległość. Ktoś głośno wyrażał swoje niezadowolenie. *Spieprzajcie*, pomyślał. Zakrył mokrym krawatem usta i nos, aktywował komórkę, aby mieć światło, i wszedł do środka.

Przez chwilę nie widział absolutnie nic. Potem dym był rzadszy i w świetle sączącym się z wyświetlacza zobaczył schody, które na pierwszy rzut oka wydawały się nietknięte. Wszystko wskazywało na to, że wybuch nie uszkodził struktury nośnej budynku, chociaż z góry spadały kawałki szerniałego tynku i skrawki plastiku ze stopionych kabli instalacji elektrycznej.

– Niech pan tam nie wchodzi! – krzyknął ktoś z grupy stojącej na ulicy.

Dante już zamierzał się wycofać, gdyż impuls, który popchnął go do działania, wyraźnie osłabł. Wtedy zobaczył, że coś jasnego porusza się lekko na półpiętrze kończącym bieg schodów, obok wyrwy, z której wydobywały się sine płomienie i obłoki duszącego dymu, w miejscu, gdzie wcześniej znajdowały się drzwi do mieszkania Roverego. Ruszył naprzód, wykorzystując słabe światło z telefonu, aby ominąć przeszkody. Prawie całe schody zachowały się w nienaruszonym stanie, dopiero przy samym końcu biegu brakowało jednego stopnia i Dante przeskoczył nad wyłomem, lądując niezgrabnie na kupie gruzu. Po odzyskaniu równowagi zrozumiał, że falujący przedmiot, który widział z dołu, to kinkiet poruszający się pod wpływem podmuchów powietrza. *O kurwa*, pomyślał, *nie dam rady. To dla mnie za trudne*. Kiedy odwrócił się, żeby wyjść z budynku, dostrzegł ciemny kształt oparty o ścianę korytarza. W świetle komórki rozpoznał twarz Colomby pokrytą warstwą białego pyłu odbijającego się w blasku pożaru.

Dante wypowiedział jej imię i pochylił się nad nią. Na twarzy Colomby zobaczył krew i pomyślał o najgorszym, ale zdał sobie sprawę, że pochodzi z rany na czole, która dzięki Bogu okazała się jedynie powierzchowna.

– CC! – zawołał. Powieki rannej zadrżały. – Słyszysz mnie? CC!

Otoczył ich duszący dym i Dante rozkaszał się, jakby miał wypluć płuca, mimo że zasłaniał usta i nos obsikany krawatem. Kiedy dym się uniosł, w końcu korytarza pojawiło się światło. Pochodziło z latarki, którą trzymał w ręku wysoki, gruby chłopak w krótkich spodenkach, zakrywający sobie usta mokrą chusteczką. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości.

– Co z nią? – próbował przekrzyczeć trzask płomieni.

– Pomóż mi ją stąd zabrać – odezwał się Dante przez krawat.

– Trzeba poczekać na karetkę, nie powinniśmy jej ruszać. Zawsze tak mówią – bronił się

chłopak.

– Nie możemy jej tu zostawić – nalegał Dante. – Nie wiadomo, w jakim stanie jest budynek.

– Wynośmy się stąd jak najszybciej. Tak będzie najlepiej – oświadczył chłopak.

– Bez niej się nie ruszam.

Ojciec, matka i troje dzieci – wszyscy w piżamach – przebiegli obok. Mężczyzna trzymał w dłoni plik płonących gazet i oświetlał rodzinie drogę. *Co za idiota*, pomyślał Dante, *przecież dopiero co był wybuch*. Gdy tylko się oddalili, spory kawałek tynku spadł pomiędzy Dantego a chłopaka, który odsunął się przerażony.

– Poczekaj! Nie odchódź! – Pochylił się nad Colombą, która otworzyła oczy. – Słyszysz mnie?

– Tak... – odpowiedziała cicho.

– Poruszaj nogami! No już!

– Co?

– Możesz poruszać nogami? Muszę się przekonać, czy twój kręgosłup jest w porządku.

Poruszyła powoli jedną stopą, później drugą, zaciskając pięści.

– Co z nią? – zapytał chłopak.

– Może chodzić, ale musisz mi pomóc – powiedział Dante, życząc sobie w duchu, aby to była prawda. Chciał jak najszybciej wyprowadzić Colombę na zewnątrz. I znaleźć się na świeżym powietrzu.

Otoczyła ich kolejna chmura dymu wydostająca się z mieszkania Roverego. Śmierdziała spalonym drzewem i papierem, a to znaczyło, że zajęła się biblioteczka stojąca w salonie.

Chłopak w końcu podszedł bliżej i pomógł Dantemu podnieść Colombę.

Gdy tylko znalazła się w pozycji pionowej, zaczęła wymiotować kurzem i krwią.

– Rovere – wyszeptała z trudem. Trzymała się jako tako na nogach, ale była bardzo słaba i oszołomiona.

*A niech się spali*, pomyślał Dante. Ale zaraz zrozumiał, że ona chce się za wszelką cenę dowiedzieć, co szef ukrywał przez cały ten czas – że to dla niej ważniejsze od własnego życia.

– Dasz radę ją wyprowadzić? – zwrócił się do chłopaka, nie wiedząc, skąd bierze siły na to wszystko.

– Tak. Chyba tak.

– Sprowadź ją na dół i poczekaj na karetkę. Nie zostawiaj jej, aż nie przyjedzie pomoc, bo inaczej przysięgam, że cię znajdę.

Spojrzenie Dantego okazało się na tyle przekonujące, że chłopak pokiwał głową.

– Nie przejmuj się.

– Uważaj na pierwszy stopień.

Dante z ciężkim sercem zostawił Colombę z chłopakiem i skierował się do płonącego

mieszkania. Wybuch zniszczył główną ścianę, rozbijając tynk i odsłaniając żelbetonową konstrukcję na całej jej długości. Przebił również sufit i salon mieszkania znajdującego się powyżej zwał się na dół. Właśnie w stronę tego wyłomu kierował się dym, ulatniając się przez wybite okna mieszkania na drugim piętrze. Dzięki otwartemu kanałowi pozwalającemu na przepływ powietrza Colomba się nie udusiła, a Dante mógł teraz bawić się w poszukiwacza przygód. Poziom adrenaliny podniósł mu się tak bardzo, że serce waliło jak młotem. Zajrzał za ogromną wyrwę. Ogień trzaskał głośno na końcu korytarza, a gorące powietrze tarasowało dalszą drogę. Marmurowy stół, który spadł z drugiego piętra, wbił się w podłogę i niewiele brakowało, żeby zleciał jeszcze niżej. Reszta umeblowania leżała w kawałkach lub się paliła.

Roverego nigdzie nie było. Dante rozejrzał się jeszcze raz dookoła, po czym stwierdził, że powinien dać sobie spokój, bo koszmarne wizje się nasilały, uderzając weń jak rzeźnicza pałka. Oczami wyobraźni widział się pod gruzami, z twarzą pokrytą kawałkami tynku, w kolejnym złudzeniu próbował się wydostać, ale brakowało mu powietrza, żeby swobodnie oddychać. I naprawdę zaczął to wszystko odczuwać. Pomyślał, że musi natychmiast opuścić budynek, zanim jeszcze w miarę kontaktuje, bo jego wewnętrzny termometr zbliżał się szybko do czerwonej kreski. Rozglądając się nerwowo wokół, odniósł wrażenie, że wyważone drzwi z mieszkania Roverego lekko się poruszają. Colomba przeżyła tylko dzięki temu, że były opancerzone. Teraz leżały na korytarzu prawie nienaruszone na czymś, co wyglądało jak gruz, a okazało się ludzką głową. Szczerniała od dymu głową komendanta. Został przygnieciony przez drzwi i nie mógł się poruszać od pasa w dół. Wolną ręką próbował dotknąć swojej twarzy.

Dante przyklęknął obok, ocierając mu oczy i usta.

– To ja, Torre. Niech się pan nie poddaje.

Rovere otworzył usta, ale nie zdołał wypowiedzieć ani słowa, a Dante dostrzegł, że komendant stracił wszystkie zęby. Teraz miał w ustach zakrzepłą krew zmieszana z pyłem i ułamkami kości. Pokonując obrzydzenie, Dante włożył mu do ust palec i usunął miazgę, aby umożliwić lepsze oddychanie. Popłynęła gęsta, prawie czarna krew, a Rovere otworzył oczy i spazmatycznym gestem chwycił Dantego za złą rękę.

– Już niedługo. Zdaje mi się, że słyszę syrenę. Karetka już jedzie. – Nagle zdał sobie sprawę, że ma w nosie wszystkie jego sekrety. Pragnął jedynie opuścić to miejsce.

Poczuł, że uścisk staje się silniejszy. Rovere bał się o wiele bardziej niż on. Nie chciał zostać sam w tym piekle ognia i śmierci.

Dante na chwilę zamknął oczy. *Błękitne niebo, morze, łąki, przestrzeń kosmiczna.*

– Już dobrze, nie zostawię pana. Teraz spróbuję to z pana ściągnąć. – Położył na podłodze telefon, żeby mieć światło. – Proszę mnie na chwilę puścić. Obiecuję, że nie ucieknę – uspokajał go łamiącym się głosem. Oswobodził się najdelikatniej jak umiał, po czym dwoma rękami chwycił drzwi i spróbował je unieść. Nie udało mu się przesunąć ich nawet

o milimetr i pomyślał, że powinien poszukać czegoś, co mogłoby posłużyć za dźwignię, ale najpierw postanowił sprawdzić, w jakim stanie jest Rovere.

Pochylił się i zajrzał pod drzwi, a widok był tak przerażający, że nie zdołał opanować głośnego jęku. Fragment zamka zmienił się w szpiczaste trójkątne ostrze i wbijając się pod mostek, przeszył kręgosłup i przygwoździł policjanta do podłogi. Krew utworzyła już sporą kałużę i przez szczelinę w marmurowej posadzce kapała na niższe piętro niczym czerwony deszcz.

Dante ponownie przyklęknął obok policjanta i spojrzał w jego przerażone oczy, szukając kłamstwa, które mogłoby dodać otuchy umierającemu. Potem zrozumiał, że to nie w porządku. Nikt nie zasługuje na wymysły, kiedy żegna się ze światem.

Pogłaskał go po czole.

– To już koniec – powiedział cicho, a w rozgorączkowanych oczach Roverego pojawił się błysk zrozumienia. – Przykro mi. Jeśli postąpił pan nieuczciwie w stosunku do Colomby i do mnie, to teraz nie ma to już znaczenia. Wybaczamy panu.

Rovere wyszeptał coś, czego nie dało się zrozumieć. Tymczasem Dante też przekroczył granicę rzeczywistości – miał wrażenie, że śni, a wszystko wydało mu się tak mało realne, że przyniosło nieoczekiwany spokój. Pomyślał, że może sam też już nie żyje, tylko nie jest jeszcze tego świadomy.

Usiadł na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i unióśł głowę Roverego, kładąc ją sobie delikatnie na kolanach.

– Boli?

Rovere zaprzeczył, poruszając gałkami ocznymi.

– To dobrze, będzie łatwiej. Teraz wybierasz się w najważniejszą podróż w twoim życiu. Jedyną, która naprawdę się liczy. Uwierz mi, to będzie cudowne doświadczenie. Niedługo dowiesz się wszystkiego, co warto wiedzieć. Nie będzie więcej tajemnic, niedopowiedzeń, strachu.

Oddech Roverego stał się bardziej regularny.

– Twoja podróż właśnie się zaczyna. Wyobraź sobie, że wsiadasz do ogromnego samolotu, przezroczystego jak powietrze. Widzisz go? Już stoi na pasie startowym, kołysząc się na wietrze. Nie może się doczekać, aby wznieść się w przestrzeń i odlecieć. Na pokładzie jest wielu ludzi, którzy na ciebie czekają. Czas zatrzymał się w miejscu i możesz spotkać wszystkich, których kiedyś znałeś. Są tam twoi przyjaciele, są ci, którzy cię kochali, i ci, których stratę kiedyś opłakiwałeś. Popatrz tylko, ilu ich jest... Nie przypuszczałeś, że aż tylu, co? – Rovere uśmiechnął się i zamknął oczy. – Poczekaj, nie siadaj od razu na pierwszym wolnym miejscu. Oni chcą się z tobą przywitać. Widzisz swoich rodziców? Są w doskonałej formie, mają na sobie odświeżone ubrania. – Dante przełknął ślinę. – A tam siedzi twoja żona. Zobacz, jaka jest piękna, jaka szczęśliwa, że znowu cię widzi! Tak długo na ciebie czekała! Czujesz, jak się do ciebie przytula?

Teraz Rovere oddychał już z trudem.

– Za chwilę wystartujecie. A najwspanialsze jest to, że wszystko, co uważałeś za ważne na tym świecie, tak naprawdę nie jest warte nawet minuty tej podróży...

Dante zamilkł, kiedy zauważył, że komendant przestał oddychać. Tymczasem na dole słycać było podjeżdżające na sygnale karetki pogotowia.

Zanim lekarze weszli na piętro, Dante przeszukał kieszenie zmarłego, powtarzając w myślach ostatnie słowa wypowiedziane z trudem przez Roverego: „On nie działa sam”.

On nie działa sam.

VII  
WCZEŚNIEJ

Chwyta dłoń, która nim potrząsa. Jeszcze się do końca nie obudził, jego reakcja jest zupełnie instynktowna. Próbuje ją przytrzymać, nie pamięta, gdzie się znajduje. Wreszcie wszystko sobie przypomina, rzuca przekleństwo i otwiera oczy. Przy jego pryczy stoi Cwel w samych majtkach i potrząsa zranioną ręką, lamentując zawzięcie. Mówi, że chciał mu oddać przysługę. Mówi, że chciał, żeby ominęła go kara. Fabrizio jest zadowolony, że to właśnie on. Gdyby obudził go ktoś inny, na przykład Burak czy Śmierdząca Stopa, to pewnie musiałyby zareagować. Fabrizio musiałyby się bronić i chyba nie wystarczyłyby same ręce. Fabrizio ma nóż, który trzyma pod materacem i skarpetę wypełnioną monetami. Użył jej zaraz drugiego dnia po przybyciu. A nóż na razie tylko pokazał, żeby zrozumieli, że nie warto z nim zadzierać. Tu prawie wszyscy mają noże. Śmierdząca Stopa ma też kastet. Mówi, że sam go zrobił tam, gdzie przebywał wcześniej, bo skierowali go do warsztatu. Fabrizio w to nie wierzy, bo Śmierdząca Stopa ma dwie lewe ręce. Na pewno ukradł go jakiemuś dupkowi albo kupił.

Cwel nie budzi agresji. Próbuje przyjaźnić się ze wszystkimi albo płacze i krzyczy. Tak jak wtedy, gdy ci dwaj wleźli mu w nocy do łóżka. Wrzeszczał tak, że musieli zakryć mu twarz poduszką. Fabrizio nie wie i nie chce wiedzieć, co mu zrobili. Następnego dnia uśmiechali się od ucha do ucha, a Cwel trafił do szpitala. Powinni odesłać go do domu, bo się nie nadaje. Chyba musiał się komuś narazić i teraz za to płaci.

Fabrizio spogląda na pozostałych. Wszyscy stoją już na baczność na środku sali, przyjmując wojownicze pozy. Pewnie chodzi o niezapowiedziany nocny apel.

Odpycha Cwela i staje w szeregu razem z innymi. Jest parszywie zimno i stopy natychmiast mu drętwieją. Która jest, kurwa, godzina? Zegar ścienny wskazuje trzecią. No i zrozumiałe, że się nie obudził. To nie żaden apel, pewnie jakieś pierdolone nocne ćwiczenia z tarzaniem się w błocie.

Nic z tych rzeczy, jak wyjaśnia sierżant pochodzący z Kalabrii, metrowy krasnal z malutkimi oczkami, które przypominają dwie zdechłe muchy. W swoim niegramatycznym, na pół dialektalnym włoskim mówi, że jest dostawa do zrobienia, ale potrzeba tylko sześciu z nich. A ponieważ chodzi o wredną robotę, to wyznaczy do niej tych, którzy mu najbardziej w ostatnich dniach podpadli. Wybiera typka, który jest w koszarach zaledwie od tygodnia i w tym czasie odezwał się nie więcej niż dwa razy, Śmierdzącą Stopę, tych, których nazywają Dwoma Braciszkami, bo zawsze trzymają się razem, zdechlaka Aptekarza i oczywiście Fabrizia.

Wywołując go, sierżant patrzy mu w oczy z ironicznym uśmieszkiem. Fabrizio ma ochotę rzucić mu się do gardła. Powstrzymuje się, bo właśnie za taką głupotę trafił do Peschieri.

Jakiś inny sierżant z głupawym uśmiechem na twarzy uznał, że jego glany są brudne. A wcale nie były brudne. Zapomniał tylko wypolerować szwy szczoteczką do zębów – wydawało mu się to skończonym idiotyzmem i nie chciało wejść do głowy. Inny sierżant z głupawym uśmiechem opierdolił go z góry na dół. Powiedział mu, że może zapomnieć o przepustce na wieczór i na cały weekend. I że ma szczęście, że na tym się skończy, bo już wcześniej zwrócił na niego uwagę, ponieważ nie toleruje próżniaków. Fabrizio zdjął prawy but i dzielił nim sierżanta w łeb tak mocno, że ten zwałił się na ziemię. I powiedział leżącemu, że on też ma szczęście, że na tym się skończy, bo już wcześniej zwrócił na niego uwagę.

Oczywiście trafił do aresztu. Kolejne półtora roku spędził na przeklinaniu swojego parszywego charakteru, próbując schodzić z drogi strażnikom i rozgniatając robactwo. Przekonał się, że nie kłamali, gdy mówili, że więzienie wojskowe jest o wiele gorsze od normalnego, a najgorsze koszary lepsze niż najlepsza cela.

Dlatego tym razem Fabrizio nie reaguje. Stoi na baczność i rzuca coś, co ma przypominać „tak jest!”, ale w jego ustach brzmi raczej jak żart. Sierżant udaje, że nie zwraca na niego uwagi.

Szczęśliwcy idą do łóżek, a sześciu wytypowanych ma dziesięć minut na ubranie i stawienie się na dziedzińcu, gdzie czeka na nich furgonetka. Wsiadają na przyczepę przykrytą plandeką, żeby wyruszyć nie wiadomo gdzie i zastają miłą niespodziankę w postaci kartonu pełnego butelek z wódką. Fabrizio myśli, że ktoś zapomniał wyładować towar, ale Aptekarz twierdzi, że naumyślnie zostawili alkohol w ciężarówce. Wypijają połowę, podczas gdy samochód podskakuje na wybojach wiejskiej drogi, oddalając się od Mezzanone di Zerbio, miejsca, w którym utworzono swego rodzaju fort przeznaczony dla takich jak oni. Dla pięćdziesięciu wyrzutków, których nie chcą w normalnych koszarach. Na miejscu rządzą jeden oficer i dwóch podoficerów.

Podróż trwa z pół godziny, wszyscy piją i trzęsą się, kiedy ciężarówka pokonuje nierówności drogi. Alkohol wprawia ich w dobry humor, tylko Śmierdząca Stopa jak zwykle narzeka na glany i pęcherze. Mówi, że jak skończy służbę, to nie będzie mógł chodzić, i poszuka adwokata, żeby mu załatwił odszkodowanie, jakby adwokaci nie mieli nic innego do roboty poza wysłuchiwaniami takich frajerów jak on. Wiadomo, że w wojsku nie ma zmiłuj i trzeba być sprytnym i obrotnym, żeby wyjść bez szwanku z tej całej imprezy. Zwłaszcza jak się stawiasz i lądujesz w kompanii karnej tak jak oni.

Ciężarówka się zatrzymuje i sierżant wrzeszczy, żeby wysiadali. Stają przed hangarem z cementu i blachy, długim na dwadzieścia metrów. Hangar jest ogrodzony, a dookoła nie ma nic tylko drzewa i mrok. Fabrizio myśli, że to magazyn wojskowy, chociaż na tablicy informacyjnej nie ma nazwy koszar ani oddziału. Obok baraku stoi wywrotka z cywilną rejestracją i czterech nieznanymi żołnierzami w mundurach khaki. Fabrizio próbuje ustalić, do jakiej formacji należą, ale nie mają żadnych znaków rozpoznawczych na mundurach.



Tylko jeden z nich ma na biece dystynkcje starszego kaprała i wydaje pozostałym rozkazy za pomocą zdecydowanych gestów. Nie wyróżnia się specjalnie wzrostem czy warunkami fizycznymi, ale Fabrizio wystarcza rzut oka, by rozumieć, że powinien trzymać się od niego z daleka. Starszy kaprał otoczony jest jakby aureolą, taką, jaką mają święci na obrazach. Tylko że jego jest czarna jak smoła.

Sierżant wsiada do ciężarówki i odjeżdża bez słowa. Sześciu mężczyzn wymienia zdziwione spojrzenia: O co tu, kurwa, chodzi? W kilku słowach i bez uśmiechu wyjaśnia im to jeden z żołnierzy w mundurze khaki. Trzeba opróżnić hangar. Ciężarówki będą kursowały w tę i z powrotem, a oni mają tylko ładować. I skończyć przed świtem.

Żołnierze bez dystynkcji wrzucają na wywrotkę metalowe pojemniki przypominające kanistry na benzynę. Są pełne i ciężkie, ale mężczyźni pracują bez użycia wózka widłowego. Fabrizio ma nadzieję, że nie wszystko jest takie ciężkie, w przeciwnym razie ucieknie i niech piekło pochłonie kaprała z twarzą zabójcy. Ma szczęście: w baraku znajdują się tylko pełne worki na śmieci obwiązane szeroką taśmą klejącą i stare meble biurowe. Wygląda na to, że wrzucono to wszystko do hangaru w pośpiechu, byle jak.

Żołnierz bez dystynkcji informuje, gdzie mogą znaleźć taśmę, aby zabezpieczyć rozerwane worki, i mówi, że mogą palić i pić, jeśli chcą, bo zauważył, że Braciszkwowie podają sobie po kryjomu butelkę. Chodzi o to, żeby nie przerywali pracy. Nikomu nie przychodzi do głowy, żeby się sprzeciwić, wszyscy kiwiają głowami na znak zgody. Nagle Fabrizio, któremu od początku coś świtało, przypomina sobie, skąd go zna. Żołnierz bez dystynkcji pochodzi z tej samej miejscowości co on. Nie poznał go od razu, bo ostatni raz widzieli się w czasach, gdy grywali w piłkę na placu kościelnym i wymieniali się zniszczonymi komiksami. To Emilio, chłopak ma na imię Emilio. Kiedy pozostali biorą się do roboty, Fabrizio podchodzi do żołnierza i przedstawia się. Poklepują się radośnie po plecach, ale Emilio nie odpowiada na pytania o to miejsce i o swój oddział. Mówi tylko, żeby się pospieszył, bo starszy kaprał nie żartuje. Emilio zdaje się obawiać przełożonego o złych oczach do tego stopnia, że milknie, kiedy ten wchodzi do baraku.

Fabrizio udaje zajętego i pochyla się nad pierwszym lepszym workiem, który jest miękki i lekki, jakby zawierał stare szmaty.

Potem jeden z worków pęka i Fabrizio poznaje jego zawartość.

Będzie mu się ona śniła przez resztę życia.

# VIII

## Podążaj za kompasem

Wszyscy przybyli na miejsce wybuchu. Straż pożarna i pogotowie, saperzy i oddziały specjalne. Przyjechały radiowozy i samochody opancerzone, dźwig i wóz z wysuwaną drabiną. Pojawili się prezydent miasta i komendant policji, szef prokuratury i jego zastępca, przewodniczący niższej izby parlamentu i kilku posłów. Przybyli dziennikarze i fotografowie, tłumy gapiów, wozy transmisyjne głównych stacji telewizyjnych, przedstawiciele Narodowej Agencji Prasowej, dziennikarz telewizji japońskiej i korespondent CNN. Przyjechał inspektor Infanti, inspektor Anzelmo z wydziału do walki z cyberprzestępczością, komendanci jednostki do walki z przestępczością zorganizowaną, którzy nie byli akurat na służbie, oraz wszyscy byli koledzy Colomby z pracy.

Ona nie miała okazji spotkać nikogo z obecnych, nawet Santiniego czy De Angelisa, ponieważ została odwieziona do szpitala ze wstrząsem mózgu i ogólnymi obrażeniami całego ciała. Przez wiele godzin poruszała się jak automat i tylko od czasu do czasu docierało do niej, gdzie się znajduje. Kilka razy wszystko jej się pomieszało i miała wrażenie, że to ciągle dzień masakry w Paryżu. W uszach czuła ten sam tępy szum, w ustach smak popiołu i wapna, drażnił ją swąd spalenizny.

Tymczasem ludzie z SIC zabrali Dantego do głównej siedziby prokuratury. Nie zważając na protesty, zamknęli go w pokoju, przypięli kajdankami do krzesła i zostawili pod nadzorem funkcjonariusza, który nie zwracał uwagi na jego prośby, aby przenieść go na zewnątrz. Dante z każdą chwilą czuł się coraz gorzej, bo dodatkowo osłabił go wysiłek, który włożył dwie godziny wcześniej w odnalezienie Colomby i Roverego w płonącym budynku. Krzyczał, aż zrobił się cały siny na twarzy. Tupał nogami. Kiedy policjant uderzył go na odlew w twarz, przewrócił się na podłogę i połamał krzesło. Podniósł się natychmiast i zaczął wywijać poręczą krzesła przypiętą kajdankami, które dyndały mu przy nadgarstku. Strażnik chciał go unieruchomić, ale nie był w stanie się zbliżyć, dopiero kiedy przybiegli kolejni trzej policjanci, wspólnymi siłami obalili go na podłogę. Dante zakrztusił się i stracił przytomność.

Ocknął się na balkonie i zobaczył, że tym razem przykuli go kajdankami do barierki. Santini opierdalał mundurowych za to, że trzymali go w zamkniętym pomieszczeniu. Dante czuł suchość w ustach i pociemniało mu w oczach, ale ostry ból w żołądku przywołał go do rzeczywistości. Biegnąca w dole ulica San Vitale została zamknięta dla ruchu, blokowały ją płotki i radiowozy.

– Jestem przetrzymywany wbrew własnej woli i torturowany – krzyknął głośno w nadziei,

że któryś z przechodniów go usłyszy. – Zawiadomcie mojego adwokata! Nazywa się Roberto Minutillo, znajdziecie numer w Internecie.

Santini podbiegł do niego.

– Zamknij pysk albo każę cię znowu zamknąć w pokoju. Tym razem postaram się, żeby nie było w nim okien.

– A jak zdechnę, to co? Zakopiecie gdzieś moje zwłoki?

Santini pochylił się nad Dantem.

– Został zamordowany funkcjonariusz policji. Myśli pan, że mam czas się zajmować pańskimi problemami?

– Ja byłem na miejscu wypadku, zapomniał pan?

– I dlatego teraz jest pan tutaj. – Santini przyciągnął sobie krzesło na kółkach. Kilku policjantów w mundurach i po cywilnemu tłoczyło się za oszklonymi drzwiami, nie chcąc stracić przedstawienia. – Pozwoli pan, że wyrażę się jaśniej. Mamy do czynienia z zamachem. Już podnoszą się głosy, że należy wprowadzić stan wyjątkowy, inni mówią o powrocie Czerwonych Brygad. A tacy jak ja muszą wyjaśnić, co się wydarzyło. I dlatego mają niewiele cierpliwości dla tych, którzy odmawiają współpracy.

– Jeszcze nikt nie zadał mi żadnego pytania.

– Właśnie mam zamiar to zrobić z polecenia sędziego śledczego.

– Niech zgadnę, nazywa się De Angelis?

– To nie pański interes. Spotka się pan z nim później, żeby podpisać zeznania.

– Pod warunkiem że będę spolegliwy, w przeciwnym razie wyrzuci mnie pan przez balkon.

Santini zacisnął zęby.

– Dlaczego robi pan wszystko, żeby wyprowadzić mnie z równowagi?

Dante pomyślał, że Santini musi być naprawdę wściekły. Miał jednak nadzieję, że mimo wyraźnej niechęci nie podniesie na niego ręki, ponieważ oczy całego miasta zwrócone są w tym momencie na to, co dzieje się w prokuraturze. Gdyby podejrzewał, że Dante ma coś wspólnego z zamachem, pewnie nie zawahałby się ani chwili, ale na razie niczego nie był pewny. Świadczyły o tym wyraźnie jego pochylone ramiona, dźwigające ciężar ostatnich wydarzeń, oraz to, że ciągle dotykał twarzy i prawie niedostrzegalnie oblizywał wargi, co oznacza wątpliwości i niepokój. Starał się nadrabiać miną, ale nie miał pojęcia, co się dzieje. Chociaż istniała również druga możliwość: doskonale rozumiał, o co chodzi, ale nie wiedział, jak się zachować. I to było niebezpieczne.

Wcześniej Dante uważał Santiniego za tępego sadystę, policjanta rodem z kawałów, który swoimi platfusowatymi stopami niszczy ślady i wprowadza zamieszanie do śledztwa. Ostatnie słowa Roverego dawały jasno do zrozumienia, że Ojciec nie działa sam, i Dante nie sądził, że umierającemu chodziło o jakiegoś pomocnika od brudnej roboty, takiego jak na przykład Bodini. Rovere miał na myśli prawdziwych współników. Kim oni byli? Czy mogło

chodzić o agenta SIC? Tego, przed którym komendant ostrzegwał Colombę?

Dante czuł, że prawda jest na wyciągnięcie ręki, a jednocześnie wymyka się niepostrzeżenie. Zaprzagnął jak najszybciej opuścić to miejsce i pomyślał, że jeśli Santini jest naprawdę zamieszany w sprawę, to pozostaje mu jedynie udawać Greka. Wszystko to przemknęło mu przez głowę w ciągu kilku sekund, podczas gdy Santini obserwował go podejrzliwie. *Pamiętaj, że masz do czynienia z policjantem, który umie rozpoznać, kiedy podejrzany kłamie*, przemknęło mu w myślach. A jeśli ma jakieś związki z tą sprawą, to znaczy, że nie jest wcale taki głupi, na jakiego wygląda.

– Powiem wszystko, co chce pan wiedzieć – odezwał się Dante, spuszczać wzrok w geście mającym udawać pokorę. – Proszę mi tylko najpierw powiedzieć, jak się czuje *dottoressa* Caselli.

– Nie mam wiadomości ze szpitala, ale z tego co wiem, jej stan nie jest zły – odpowiedział Santini, nie odrywając od niego oczu. – Jesteście sobie bliscy?

– Nie.

– Wszystko na to wskazuje.

– Czy tylko to pana interesuje? Nasze relacje? – obruszył się Dante, zapominając na chwilę o roli, którą powinien odgrywać.

– Również i to.

– Nic nas nie łączy. Po prostu w ubiegłym tygodniu spędziliśmy ze sobą trochę czasu.

– Mieszkacie razem w hotelu.

O kurwa, wiedzą o tym.

– Nie mieszkamy razem. Ja tam mieszkam, a Colomba czasem mnie odwiedza. Może pan zapytać portiera, jeśli mi pan nie wierzy.

– Na razie to nie ma znaczenia. Co pan robił w budynku, gdzie mieszkał *dottor* Rovere właśnie w chwili, kiedy wybuchła bomba?

– Wszedłem tam później.

Santini przysunął się bliżej.

– Jak to później? Chce mi pan powiedzieć, że wszedł pan tam po wybuchu? Nie potrafi pan wytrzymać w zamkniętym pokoju, a ruszył pan niczym strażak do płonącego budynku?

Dante podciągnął nogi, udając bardziej przerażonego, niż był w rzeczywistości. Chciał, aby policjant utwierdził się w przekonaniu, że całkowicie panuje nad sytuacją.

– Byłem w szoku – szepnął.

– Nie słyszę – warknął Santini.

– Byłem w szoku. Nie pamiętam, co robiłem.

Zadowolony Santini pokiwał głową jak właściciel psa, który turla się na jego rozkaz po podłodze.

– Co pan robił na miejscu wypadku?

– Byliśmy umówieni na spotkanie z panem Rovere – powiedział Dante, podnosząc nieco

ton i udając, że głos mu drży.

– Jaki był powód tego spotkania?

Santini miał wieloletnie doświadczenie w przesłuchaniach i Dante nie mógł otwarcie kłamać. Musiał ograniczyć się do manipulacji prawdą, rzucając strzępy informacji, które Santini już znał.

– Porwanie Luki Maugeriego.

Policjant przytaknął.

– Jak rozumiem, *dottor* Caselli ciągle interesuje się tą sprawą?

– Tak.

– Dlaczego?

Również w tej sprawie nie powinien kłamać.

– Na prośbę komendanta Roverego, który nie miał zaufania do prowadzących śledztwo.

– Podważał kompetencje funkcjonariuszy z SIC-u?

– Tak. I prokuratury też. Mówił, że sędzia śledczy jest kretynem.

Ostatnie zdanie było totalnym kłamstwem, ale uznał, że może zaryzykować. Ktoś taki jak Rovere mógłby tak powiedzieć, chociażby po to, aby zmylić Dantego co do powodów swego działania i ukryć te prawdziwe.

*On nie działa sam.*

Santini się skrzywił.

– Chyba możemy to pominąć w protokole, co? Oszczędzimy zmarłemu wstydu.

– Pan tu decyduje.

– Czy *dottor* Rovere poprosił pana o konsultacje? – Wypowiedział ostatnie słowo takim tonem, jakby chodziło o przekleństwo.

– Tak.

– Co mieliście do przekazania komendantowi wczoraj wieczorem.

– Że potrzebujemy więcej czasu.

– Czy to Rovere prosił was o zapoznanie się z listą dzieci, które zginęły tragicznie w ostatnich latach?

Infanti wszystko wyśpiewał. Colomba powinna ostrożniej dobrać sobie przyjaciół.

– Nie, to był mój pomysł. Szukałem zbieżności ze sprawą z Pratonii.

Santini zmrużył oczy. Mogło to oznaczać zarówno zainteresowanie, jak i obawę. A jeśli w grę wchodzi strach, to czy był to strach przed ośmieszeniem się, czy miał jakieś inne powody?

*On nie działa sam.*

– Znalazł je pan?

Dante postanowił postawić wszystko na jedną kartę i zaprotestował:

– Potrzebuję więcej czasu, do jasnej cholery! Musiałbym przejrzeć tysiące spraw. – Świadomie przesadził z liczbą.

Santini się uśmiechnął. Szyderstwo czy ulga? Dante nienawidził niepewności.

– Tysiące?

Postanowił nie schodzić z raz obranej drogi.

– Ojciec działa w ukryciu od ponad trzydziestu lat! Zdaje pan sobie sprawę, ile dzieci mógł w tym czasie uprowadzić? Powiedział niemalże prawdę, ale podał ją w takiej formie, że powinien zostać uznany za szaleńca.

– Ojciec to mężczyzna, który pana porwał, tak? A teraz wrócił zza grobu.

– Robi mnie pan w konia? – Dante pozwolił sobie na niewinną zaczepkę. Gdyby nie zareagował, Santini mógłby zacząć coś podejrzewać.

– W żadnym razie. – Uśmiech policjanta stał się wyraźniejszy. – A dowodem na to jest gwizdek, który znalazł pan w odległości około kilometra od miejsca zbrodni. Zgadza się?

– Pan to powiedział.

– Zgadza się?

– Tak – potwierdził Dante z pokorą.

Z grupy obserwatorów podniosły się pomruki niedowierzania, które dla Dantego oznaczały pierwsze nieśmiałe oklaski za jego kunszt aktorski.

– Caselli panu wierzy?

Uwaga!

– Zaczynała powoli przychyłać się do mojej opinii. – W odpowiedzi zawierało się przeczenie.

– Zaczynała. Rozumiem. Czy dostarczył jej pan innych dowodów? – Ostatnie słowo Santini zaakcentował. – Poza gwizdkiem.

– Dopiero ich szukam. Przecież już powiedziałem, że potrzebuję więcej czasu!

Santini obrzucił go uważnym spojrzeniem. Dante wiedział, że policyjny instynkt nakazuje mu ostrożność, ale niezależnie od tego, czy był w tę sprawę zamieszany czy nie, to właśnie coś takiego chciał usłyszeć jako prowadzący śledztwo.

– Czy był pan kiedyś w mieszkaniu komendanta Roverego?

– Nie.

– Dowiemy się, jeśli pan kłamie, Torre.

– Po co miałbym kłamać? Uważacie, że to ja podłożyłem bombę?

– A według pana kto to zrobił?

Dante wstrzymał oddech. Wreszcie doszli do sedna.

– Ojciec. Człowiek, który mnie porwał.

Tym razem podniósł się znacznie głośniejszy pomruk niedowierzania. Santini odwrócił się, aby uciszyć współpracowników, ale zrobił to tylko na pokaz. Bycie w centrum zainteresowania sprawiało mu wyraźną przyjemność.

– Znalazł pan kolejny gwizdek? – zapytał z przekąsem.

– Gwizdek był tylko jeden.

– A, tak. Zapomniałem. Przecież należał do pana. Dlaczego pański porywacz postanowił zlikwidować Roverego?

Dante poczuł się tak, jak za młodu, kiedy w wieku dwudziestu lat przegrał wszystkie pieniądze w ruletkę na tarasie kasyna w Bad Gastein. Przeszarżował, stawiając całą pulę na czerwone. W tym momencie zrobił to samo.

– Bo się mnie boi. Wiedział, że prędzej czy później Rovere by mi uwierzył.

Wtedy w Austrii Dante uciekł nocą, aby nie płacić za pokój w hotelu, gdzie zostawił wszystkie ubrania. Tym razem miał więcej szczęścia. Zauważył, że ramiona policjanta opadają, i już wiedział, że wygrał.

– Rozumiem.

Santini zadał mu jeszcze kilka rutynowych pytań: Czy widział kogoś podejrzanego? Czy coś słyszał? Potem podniósł się z krzesła. Dante nie mógł się powstrzymać i postanowił, że ostatnie słowo będzie należało do niego. Wyciągnął złą rękę i chwycił funkcjonariusza za poję marynarki. Inspektor oswobodził się z obrzydzeniem, ale Dante udał, że tego nie zauważył.

– Wierzy mi pan, prawda? – zapytał patetycznym tonem. – Odnajdzie pan Ojca?

Santini odwrócił się do niego plecami i zawołał jednego z umundurowanych policjantów. Kiedy ten wsunął głowę przez drzwi, okazało się, że to Alberti. Dante ledwo się powstrzymał, żeby nie mrugnąć do niego porozumiewawczo.

– Przyniesz mi wody i coś do jedzenia. Niech wie, że nie jesteśmy potworami.

Kiedy Santini wyszedł, Alberti zbliżył się bez zwłoki.

– Co panu przynieść? Kawę?

Dante zrobił groźną minę.

– Ani mi się waż. Może być herbata. I papierosy. Tak dawno nie paliłem, że zaraz zdechnę.

Alberti, któremu zdawało się, że Dante jest przybity i wyczerpany, zdziwił się tą nagłą zmianą, ale zaraz przyniósł mu letnią herbatę, paczkę ciastek z automatu i papierosa bez filtra.

Potem zdjęli Dantemu kajdanki, a po godzinie pojawił się Minutillo.

Adwokat zażądał prywatnej rozmowy ze swoim klientem i zamknął policjantom przed nosem drzwi na balkon.

– Jak się masz? – zapytał, gdy zostali sami.

– Chyba się domyślasz. – Dante mówił szeptem w obawie, że ktoś może podsłuchiwać. – Santini dał się przekonać, że na razie z mojej strony nic mu nie grozi.

– A niby czemu miałbyś mu zagrazać?

– Być może coś go łączy z tą sprawą.

– Z Ojcem?

– Rovere był przekonany, że Ojciec ma pomocnika. Wyraźnie powiedział, żeby nie ufać



De Angelisowi. – Dante zapalił papierosa z paczki, którą przyniósł mu przyjaciel.

– Dlaczego któryś z nich miałby pomagać mordercy?

– Nie mam pojęcia. – Dante wypuścił kółko dymu. – Gdybyś zadał mi to pytanie sześć godzin temu, powiedziałbym ci, że to szaleństwo. Ale po wybuchu...

– Może te dwie sprawy nie są ze sobą powiązane.

– Jasne, a ja porwałem się sam.

– Nie powinniśmy odrzucać żadnej hipotezy.

Dante pokręcił głową.

– Zabrałeś moje rzeczy z hotelu?

– Oczywiście. To dlatego przyszedłem tak późno. Gdy tylko się dowiedziałem, że cię zabrali na przesłuchanie, poleciałem do hotelu. Ledwo zdążyłem. Kiedy wychodziłem, zauważyłem typków przypominających agentów w cywilu.

– Pewnie ci z SIC-u. Kto cię zawiadomił?

– Mam tu przyjaciół. Ty zresztą też. Więcej niż Santini.

Dante się skrzywił.

– Załatwmy to szybko. Roberto, teraz muszę zrobić coś paskudnego. Z góry proszę cię o wybaczenie, ale potrzebna mi twoja pomoc. – A potem dodał głośniejszym głosem: – Źle się czuję. Zaraz... – Wybałuszył oczy, pochylił się do przodu i zwrócił herbatę i ciastka na buty adwokata. I jeszcze jedną rzecz, która przez cały czas ciążyła mu na żołądku. Granatowy plastikowy prostokąt. Nośnik pamięci USB.

– O Boże! – krzyknął Minutillo, zrywając się z krzesła w teatralnym geście.

– Przepraszam! Poczekaj, pomogę ci – zawołał Dante, udając, że próbuje niezgrabnie wyczyścić jego buty chusteczką higieniczną. Korzystając z okazji, zręcznie chwycił w chusteczkę pendrive'a.

– Daj, sam to zrobię – zaproponował Minutillo. Wziął chusteczkę i przesunął ją po butach. Pochyliwszy się, mógł swobodnie szepnąć Dantemu do ucha:

– Co tam jest?

– Znalazłem go w marynarce Roverego. Mam nadzieję, że jest tam coś użytecznego. W przeciwnym razie zostawiłby go w biurze przy komputerze.

– Rozumiem – mruknął niezbyt zadowolony adwokat. Głośno dodał: – Idę do łazienki umyć ręce.

Dante spojrzał mu w oczy.

– Dobrze, idź.

Minutillo oddalił się, ostentacyjnie trzymając w wyciągniętej dłoni brudną chusteczkę. Tak jak Dante przypuszczał, nikomu nie przyszło do głowy, żeby sprawdzić, czy coś jest w środku.

Podczas gdy Dante oczekiwał z niecierpliwością na zwolnienie, obawiając się, że ktoś może zauważyć nieścisłości w jego zeznaniach, a Minutillo zmierzał w kierunku swej kancelarii i dotykał od czasu do czasu kieszeni, jakby miał tam granat ręczny, a nie pendrive'a, Colomba nafaszerowana środkami uspokajającymi i przeciwbólowymi leżała na szpitalnym łóżku na drugim piętrze w poliklinice. Chemiczna mieszanka trzymała na odległość ataki paniki, tłumiała wspomnienia i sprawiała, że czas szybko mijał. O szesnastej pielęgniarka odłączyła kroplówkę, a zaraz potem znajoma postać z bukietem kwiatów w ręku przekroczyła próg sali. To był De Angelis. Wcześniej udzielił wywiadu i pozwolił się sfotografować z kwiatami. Wyjaśnił dziennikarzom, że zamierza złożyć grzecznościową wizytę odważnej policjantce. Na jego widok Colomba odwróciła twarz w stronę okna. Patrzyła na drzewa rosnące w przyszpitalnym parku. Pozbawiona dopływu substancji odurzających głowa zaczęła nieprzyjemnie pulsować.

De Angelis położył bukiet na stoliku. Przysunął krzesło do łóżka i usiadł.

– Jak się pani czuje?

– To nie pańska sprawa – odpowiedziała cicho, bo podrażnione przez gorący dym gardło ciągle jeszcze ją bolało. – Poza tym nie sądzę, żeby stan mojego zdrowia naprawdę pana interesował.

– Wiem, że była pani przywiązana do komendanta Roverego – zaczął spokojnie sędzia. – Wyobrażam sobie, jak ten zamach musiał panią wstrząsnąć. Mnie również jest bardzo przykro. Miałem okazję przekonać się o jego zaletach. Był świetnym policjantem. – Colomba cały czas leżała bez ruchu, więc De Angelis ciągnął nie niepokoiony. – Nie chciałem pani męczyć w takiej chwili, ale musimy sobie natychmiast wyjaśnić kilka spraw.

Colomba nie odpowiedziała.

– Nasze ostatnie spotkanie nie było zbyt przyjemne, *dottoressa*. Ale to nie znaczy, że tak już musi być zawsze. Przecież możemy sobie nawzajem pomóc.

– Czego pan ode mnie chce?

– Chcę złapać mordercę Roverego.

Colomba odwróciła się tak gwałtownie, że aż zobaczyła gwiazdy.

– Myśli pan, że mnie na tym nie zależy?!

– Właśnie dlatego do pani przyszedłem. Oboje wiemy, że do tej pory działała pani w sposób – uśmiechnął się – że tak powiem nielegalny, interesując się porwaniem Luki Maugeriego. Szuka pani dowodów na poparcie teorii, która zasadniczo odbiega od tej

przyjętej przez prokuraturę.

– Nawet jeśli to prawda, to co w tym złego?

– To było stwierdzenie faktów, a nie pytanie czy wątpliwość. – W głosie sędziego pojawiła się twarda nuta. – Wcześniej moglibyśmy uznać, że chodzi o grzech powszedni i skończyłoby się na zwykłym upomnieniu, ale teraz wszystko się zmieniło, *dottoressa*. Muszę wiedzieć, czy według pani śmierć Roverego ma jakiś związek z prowadzonym przez panią śledztwem.

Słowa De Angelisa reprezentowały głos rozsądku i Colomba czuła, że sędzia stara się w ten sposób wpłynąć na jej osłabioną siłę woli. Ale Rovere mu nie ufał i przekazał jej tę nieufność w testamencie.

– Nie wiem. Skąd miałabym to wiedzieć?

– Proszę nie bawić się ze mną w kotka i myszkę, *dottoressa*. Jeśli znalazła pani jakiś dowód potwierdzający alternatywną hipotezę na temat porwania Luki Maugeri, to może okazać się wystarczającym powodem, który popchnął porywacza, a zarazem niezrównoważonego mordercę do próby powstrzymania śledztwa. Zwłaszcza jeśli *dottor Rovere* wspierał panią w tych działaniach albo sam je zainicjował.

– Ma pan na myśli Ojca?

– Mam na myśli wszystko, co pozwoli mi ustalić winnych zamachu. Mamy sześć ofiar śmiertelnych poza komendantem, wie pani? A dwie osoby zostały poważnie ranne.

– Nie sądzę, że byłby pan skłonny mi uwierzyć.

– Proszę spróbować. Co się tyczy pani nieuregulowanej sytuacji zawodowej, to potwierdzę, że została pani upoważniona przeze mnie do podjęcia działań w tej sprawie.

*Stara się wyeliminować Santiniego z gry*, pomyślała Colomba. *Maugeri od tygodnia siedzi w areszcie, ale ciągle jeszcze nie przyznał się do winy. De Angelis nie znalazł przekonujących dowodów jego winy i teraz zaczyna się obawiać, że postawił na złego konia.* Gdyby miała do niego zaufanie, powiedziała mu wszystko jak na spowiedzi, ale po raz kolejny przypomniała sobie o zastrzeżeniach Roverego.

– Niczego nie znalazłam.

– Rozumiem. Do czego w takim razie potrzebne były dane, których dostarczył pani inspektor Infanti?

Colomba pomyślała, że powinna starannie dobierać sobie przyjaciół. A potem nieświadomie potwierdziła wersję Dantego.

– Pan Torre chciał sprawdzić podobne sprawy, aby znaleźć łączące je elementy. Niestety, nic nie znalazł.

– Skoro tak, to po co umówiliście się z komendantem?

– To miało być spotkanie towarzyskie.

De Angelis zdjął okulary w ciężkiej, czarnej oprawie, wyczyścił szkła, używając do tego krawata, po czym z powrotem umieścił je na nosie.

– To znaczy, że nie nabrała pani żadnych podejrzeń? Nie chodzi mi tylko o porywacza zwanego Ojcem. Może *dottor* Rovere jednak o czymś wspominał?

– Zapewniam pana, że nie podejrzewałam zamachu na swoje życie. – Colomba odwróciła się do okna, aby ukryć napływające do oczu łzy.

De Angelis dotknął jej podbródka, zmuszając, aby na niego spojrzała.

– Przyszedłem tu, aby zaoferować pani moją przyjaźń. Proszę ją przyjąć.

Colomba utkwiała wzrok w oczach mężczyzny. Zielone tęczęwki w połączeniu z zaczerwienioną rogówką nadawały jej zmęczonemu spojrzeniu dziwny, obcy rys. Oczy sędziego przypominały dwa zamglone lusterka za przyciemnionymi szklami, nie sposób było w nich zauważyć najmniejszego śladu jego myśli.

– Niech się pan nie waży mnie dotykać – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – W przeciwnym razie nie odpowiadam za siebie.

Sędzia cofnął dłoń.

– A co...

– Nie mam nic więcej do powiedzenia.

De Angelis wstał.

– Dokonała pani wyboru.

Wychodząc, naumyślnie potrącił stolik i kwiaty rozsypały się po podłodze.

Wyglądało na to, że wizyta De Angelisa odblokowała ruch wokół Colomby, która w ciągu następnych dwóch godzin nawet przez chwilę nie pozostawała sama. Najpierw przyszła matka i zaczęła domagać się pocieszenia i wsparcia, potem pojawili się przyjaciele, ci, do których nie poszła na kolację w dniu zabójstwa Lucii Balestri. Od tamtego wieczoru nie mieli ze sobą kontaktu. Kiedy zaoferowali pomoc, poprosiła, aby przynieśli jej z mieszkania świeże ubrania, bo matka oświadczyła, że jest zbyt roztrzęsiona, aby się tym zająć.

Powiedzieli, że wrócą następnego dnia rano, i kazali jej obiecać, że już nigdy więcej nie stracą się z oczu. Potem byli koledzy z wydziału zabójstw, którzy nie potrafili ukryć zaskoczenia tym, że jest taka blada i wyczerpana. Wychodząc, komentowali, że wygląda zupełnie tak samo jak wtedy – mieli na myśli katastrofę – i dziwili się, że udało jej się przeżyć dwa zamachy bombowe. Jeden z nich ośmielił się zauważyć:

– A jeśli to wcale nie jest zbieg okoliczności... – Na te słowa wszyscy zamilkli. Oczywiście nie mogli wiedzieć, że w tym momencie De Angelis mówi to samo Santiniemu, zmęczonemu po całym dniu przesłuchań i rewizji.

Na końcu zjawił się też niepewny i zakłopotany Alberti, który niezręcznie czuł się w roli odwiedzającego. Bez munduru, w bluzie Abercrombie i džinsach jeszcze bardziej przypominał wyrosniętego ucznia. Colomba ucieszyła się na jego widok, chociaż miała już dość niekończących się wizyt.

Alberti podał jej pudełko. Gdy je otworzyła, znalazła w środku odtwarzacz MP3. Nie był to co prawda najnowszy model, ale działał dobrze.

– Oszalałeś? Nie mogę tego przyjąć. Przecież wiem, ile zarabiasz.

Chłopak się zaczerwienił.

– Pochodzi z odzysku, chiński bubel za dwa euro. Prawdziwy prezent to nagrania.

Colomba przyglądała się urządzeniu ze zdziwieniem. Szok i lekarstwa sprawiły, że zdecydowanie wolniej kojarzyła.

– Jakie nagrania?

– Muzyka, którą sam skomponowałem. Elektroniczna. Nie wiem, czy zna pani Nicolasa Jaara... inspiruję się jego twórczością.

Colomba nie miała pojęcia, o czym on mówi.

– Ja jestem na etapie Red Hot Chili Peppers, ale dziękuję. Nie wiedziałam, że komponujesz.

– Na razie to tylko hobby. Jeśli się pani nie spodoba, to można skasować i nagrać co

innego. – Zawahał się na moment. – Widziałem dzisiaj pana Torrego.

Colomba spoważniała i chwyciła Albertiego za ramię.

– Jak on się czuje?

– Powiedział, że to wina jego porywacza. I że ten typ uprowadził tysiące dzieci. Szczerze mówiąc, nie wyglądał na całkiem normalnego.

– Kto go przesłuchiwał?

– Santini, ale nie uwierzył w ani jedno słowo. Zresztą trudno się dziwić.

– Czy Dante podał jakieś konkretne dowody na potwierdzenie swoich słów?

– Nie, żadnych. To dlatego Santini go wyśmiał. A mnie było go żal.

Colomba przymknęła na chwilę oczy. Dante nie puścił pary z ust, mimo że na niego naciskali. Wolał wyjść na głupka. To znaczy, że on też im nie ufa.

– Gdzie on teraz jest?

– Siedzi jeszcze w prokuraturze, ale jego adwokat robi co może. Wkrótce powinni go puścić do domu. Przecież nie mają powodu, żeby go aresztować, nie? – Alberti popatrzył na nią błagalnym wzrokiem.

– Dante nie ma nic do ukrycia.

– Tak właśnie myślałem, *dottoressa*. Lubię go, chociaż ma paskudny charakter. Miał pecha w życiu.

– Czy już coś wiadomo na temat wybuchu?

– Technicy kryminalni jeszcze pracują.

– Są świadkowie? Widziano kogoś obcego w budynku? Znaleźli jakieś dowody?

– *Dottoressa*... nawet jeśli coś mają, to na pewno mnie o tym nie poinformują. Jestem tylko pingwinem od jeżdżenia radiowozem po mieście.

Colomba musiała przyznać mu rację.

– Jak się czegoś dowiesz, daj mi znać, dobrze?

– Jasne. Teraz już pójdę, powinna pani odpoczywać.

– Dziękuję.

Colomba była zbyt przejęta, żeby zasnąć. Kiedy próbowała, przed oczami natychmiast pojawiał się obraz pulsującego światełka w mieszkaniu Roverego i słyszała trzask płomieni przypominający pożar w restauracji w Paryżu. Wracała pamięcią do wydarzeń sprzed dziewięciu miesięcy, a szepczące cienie wirowały jej w głowie. Zapadała w sen i budziła się co najmniej kilka razy, a w końcu stwierdziła, że to nie ma sensu, i poprosiła lekarza, żeby nie dawali jej już środków uspokajających. Kroplówka, którą podłączyli przed kolacją, zawierała więc tylko antybiotyki i środki przeciwbólowe łagodzące ból głowy i pomagające w uporządkowaniu myśli. Chociaż bardzo się starała, nie była w stanie pokonać smutku związanego ze śmiercią komendanta. Ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć, że zginął. Przypomniła sobie pierwsze lata ich wspólnej służby w Palermo; Rovere jako jeden z niewielu funkcjonariuszy wychodził wtedy razem z agentami na ulice, gdy coś się działo.

Kiedy awansowała na komisarza, poprosiła o skierowanie do wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną, ale on chciał ją mieć przy sobie w grupie antynarkotykowej. Uważał, że kobieta łatwiej poradzi sobie jako wtyczka, i miał rację. Przed dwa lata Colomba udawała narkomankę, kupowała i rozprowadzała towar, i nikt nigdy się nie domyślił, że ma do czynienia z policjantką. Potem, kiedy jej twarz stała się rozpoznawalna w kręgach handlarzy, przeniesiono ją do wydziału kryminalnego. Była pierwszą kobietą wśród Jastrzębi<sup>4</sup>, a Rovere obserwował jej postępy i wspierał, kiedy koledzy antifeminiści próbowali umniejszać jej zasługi.

Ojciec Colomby zmarł na zawał, kiedy była dzieckiem, i zawsze pociągali ją dojrzały, silni mężczyźni, którzy w pewnym sensie go zastępowali. Niektórzy ją rozczarowali. Tak było w przypadku narzeczonych, którzy nie potrafili dostosować się do niespodziewanych zmian w jej życiu związanych z wykonywaną pracą i karierą. Ale nie Rovere. On zawsze był przy niej. Wspierał ją dyskretnie, bo ich relacja zawodowa nie dopuszczała żadnej manifestacji uczuć czy spotkań towarzyskich, poza nielicznymi okazjami – wspólnymi kolacjami w czasach, gdy Elena była jeszcze zdrowa. Dlaczego teraz ją zdradził? A może to ona zrobiła pierwszy krok, aby wszystko popsuć?

Podwyższona temperatura spowodowała, że Colomba zaczęła jaśniej myśleć, i przyszło jej do głowy, że być może sama zawiniła, podejmując decyzję o dymisji i ukrywając przed szefem jej powód, którym był stan zdrowia. Nigdy mu nie wspomniała o atakach paniki i o dręczących ją fobiach. Czy to jednak dostateczny powód, aby usprawiedliwić postępowanie Roverego – to, że użył jej niczym pionka w partii szachów przeciw Ojcu?

Odpowiedziała sobie przecząco. Jego motywacja była znacznie silniejsza niż przywiązanie, jakim ją darzył, silniejsza niż lojalność, którą zawsze okazywał w takim samym stopniu zarówno swoim podwładnym, jak i swoim przełożonym. I na pewno nie chodziło o walkę o stanowisko, o zajęcie miejsca Santiniego w SIC. Teraz Colomba wyraźnie zrozumiała, że użył tego wybiegu, żeby przestała zastanawiać się, co nim kieruje. Pozwolił, aby uznała go za zazdrosnego i małostkowego karierowicza, byleby tylko zgodziła się mu pomóc. Gdyby przeżył, Colomba natychmiast by się wycofała, ale teraz czuła, że musi przejść po nim schedę, nawet jeśli wiązało się to z poważnym niebezpieczeństwem.

Zacząła się właśnie zastanawiać, co dalej, gdy spostrzegła zarys postaci w lekarskim fartuchu. Profil mężczyzny odbijał się w oknie, przez które wpadały promienie zachodzącego słońca. Doktor Tirelli przyglądał się jej z czułością.

– Mario, czemu jesteś w fartuchu?

Tirelli uśmiechnął się i włożył kawałek lukrecji do kieszeni.

– Zapomniałaś, że jestem lekarzem? – Podeszedł do łóżka, żeby ją zbadać. – Zaraz zobaczymy, czy wszystko w porządku. Źrenice w normie... Popatrz w sufit... A teraz w prawo...

Colomba poruszyła się niespokojnie.

– Chyba nie zamierzasz mnie badać?

– Jakiś problem?

– No bo twoi pacjenci zwykle już nie żyją.

– Ej, mała! Mam również inne specjalizacje. Chociaż przyznaję, że najlepiej mi się pracuje z nieboszczykami. – Nagle posmutniał. – Zlecili mi wykonanie autopsji Roverego, ale... przekazałem zadanie moim asystentom.

W oczach Colomby znowu pojawiły się łzy, które desperacko starała się powstrzymać.

– Jak zginął?

– Krwotok spowodowany uszkodzeniem górnej tętnicy kręzkowej. Metalowy fragment drzwi przeciął ją dosłownie na pół.

Colomba wytarła nos w papierową chusteczkę.

– Bardzo cierpiał?

– Niespecjalnie. I nie mówię tego, żeby cię pocieszyć. Rdzeń kręgowy też miał uszkodzony do tego stopnia, że od mostka w dół był sparaliżowany. I nie musiał umierać sam.

– Kto był przy nim?

– Twój przyjaciel. Pan Torre został z nim aż do końca. Kiedy lekarze z pogotowia dotarli na miejsce, zastali go klęczącego z głową komendanta na kolanach.

Colomba osłupiała ze zdziwienia.

– Dante wszedł do środka?

– Tak. Nic nie pamiętasz?

– Nic. Przecież on cierpi na klaustrofobię, nie wyobrażam sobie, żeby wszedł do płonącego budynku... Jak mu się to udało?

Tirelli pogłaskał ją po twarzy.

– Musiał mieć ważny powód. Znalazł cię i kazał wyprowadzić na zewnątrz.

– O Boże... – Ciągle jeszcze nie mogła w to wszystko uwierzyć. – Mario, musisz mi pomóc.

Tirelli usiadł na tym samym krześle, z którego kilka godzin wcześniej De Angelis wygłosił swoją przemowę.

– W czym?

– Dante ma rację. To Ojciec stoi za porwaniem syna Maugerich. Sądzę też, że to on podłożył bombę w mieszkaniu Roverego.

– Powinnaś odpocząć...

– Nie, nie. Wcale nie zwariowałam. – Colomba usiadła na łóżku, starając się przybrać spokojny wyraz twarzy. Nie chciała wyglądać jak wariatka w stanie podniecenia. – Sprawdziliśmy różne tropy i znaleźliśmy punkty wspólne. Rovere wiedział, że Ojciec nie zaprzestał swojej działalności. To dlatego posłał mnie do Dantego.

Tirelli spojrzał jej w oczy.



– Jesteś pewna?

– Przed śmiercią Rovere potwierdził nasze podejrzenia. Wiedział coś istotnego i dlatego zginął. Tylko że nie zdążył nam powiedzieć, o co chodzi.

Tirelli sięgnął po lukrecję i włożył ją do ust.

– Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłaś. Rozmawiałaś o tym z De Angelisem?

– Nie. Rovere mu nie ufał. A ja się z nim zgadzam. Gdybym miała konkretne dowody, to rzuciłabym je w twarz komu trzeba. Ale ich nie mam. To, czym dysponuję, to tylko przypuszczenia. Wiem, że są prawdziwe, ale... muszę tego dowieść. – Colomba otworzyła butelkę i wypila łyk wody, aby złagodzić ból gardła. – Masz pojęcie, co by się stało, gdybym poleciała z tym do szefa prokuratury? On i tak już uważa, że masakra w Paryżu to moja wina. Ale jeśli będę miała dowody...

– Jak mogę ci pomóc?

– Słyszałaś kiedyś o Srebrnej Busoli?

– Nie.

– To organizacja pomagająca dzieciom z problemami. – Opowiedziała mu o rodzinie Palladino i o tym, czego się od nich z Dantem dowiedzieli.

– Sądziś, że Ojciec wybrał dziecko przez to stowarzyszenie?

– Całkiem możliwe. I może nawet nie jedno.

– Chłopczyk porwany w Pratonii nie chodził do tego centrum...

– Srebrna Busola zawiesiła działalność i Ojciec musiał poszukać innego sposobu dotarcia do ofiary.

– Pod warunkiem że rzeczywiście istnieje związek między porwaniami a organizacją.

– Właśnie dlatego ci o tym opowiadam. Znasz wiele osób z tego środowiska: lekarzy, wolontariuszy... Dowiedz się, kto kierował stowarzyszeniem. Wystarczy, że dasz mi namiar na kogoś, kogo będę mogła przycisnąć.

Tirelli podniósł się z wysiłkiem, słysząc było, jak strzelają mu kości.

– Pamiętasz taki stary serial *Quincy*? – Colomba pokręciła przecząco głową. – Bohaterem jest patolog sądowy ścigający przestępców. Zawsze wydawał mi się śmieszny. Ja szukam dowodów w ciałach ofiar, nie na ulicach.

– Tylko ciebie mogę o to prosić.

Doktor pokiwał głową.

– Wiem, dlatego nie odmawiam. Zadzwoń do kilku znajomych.

– Dziękuję. – Tirelli szedł już do drzwi, kiedy Colomba go zawołała. – Mario... rozmawiaj tylko z osobami, którym ufasz, i nie zagłębiaj się w szczegóły. Uważaj na siebie.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Jasne, że będę uważał. Bardzo dbam o moją starą karoserię – powiedział, uderzając się w klatkę piersiową.

Colomba odprowadziła go wzrokiem. Myśląc o wcześniejszych wyczynach Ojca, nie

mogła przestać się martwić.

Mężczyzna, którego Colomba i Dante nazywali Ojcem, żył bardzo skromnie. Ubrania kupował w supermarketach, które zmieniał na okrągło, aby sprzedawcy nie mogli go zapamiętać. Wybierał standardowe kroje, ale bardzo dbał o czystość i schludny wygląd, żeby nie rzucać się w oczy. Unikał jaskrawych kolorów i nietypowych wzorów. Bardzo lubił szary i brązowy, czarny uważał za zbyt zdecydowany. Jeździł przechodzonym rodzinnym samochodem, mieszkał w dwupokojowym mieszkaniu, a każdego ranka wyjmował z komórki sprzęt do ćwiczeń. Nie miał konta w banku, które byłoby zarejestrowane na jego nazwisko, nigdy nie chodził do restauracji, kina czy teatru. Raz na piętnaście dni korzystał z usług prostytutki, którą zaczepiał na ulicy, wybierając jedną spośród nieznaną włoskiego cudzoziemek. Płacił za usługę i nigdy więcej się z nią nie spotykał. Spędzał czas na oglądaniu telewizji i czytaniu książek o tematyce wojskowej. Nie palił i nie pił alkoholu. Nie szukał towarzystwa i zadowalał się pracą, która wypełniała mu życie. Nie miał przyjaciół, a z nielicznych osób, z którymi się kontaktował, tylko wybrańcy znali jego nazwisko i wiedzieli, czym się zajmuje.

Właśnie spotkał się z jednym ze starych znajomych na stacji benzynowej na ósmym kilometrze obwodnicy. Zaparkował na obrzeżach parkingu, z dala od ludzi i kamer. Natychmiast ocenił, że kolega bardzo się postarzał. Wątek tłuszczu na brzuchu i zwisające mięśnie klatki piersiowej świadczyły o braku aktywności fizycznej, a popękane żyłki na nosie o nałogach i używaniu życia. Śmiał się i gadał bez przerwy jak głupi, wspominając wydarzenia z przeszłości, o których on od dawna starał się zapomnieć. Patrząc na znajomego, mężczyzna zwany Ojcem lub Zardozem zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej byłoby zrezygnować z planowanej akcji. Udać, że to tylko zwykłe spotkanie po latach, pożegnać się, a potem pojechać za nim do domu i tam go zamordować. Taki niezdolny do samokontroli i zachowania umiaru typ, który nie potrafi na dodatek trzymać gęby na kłódkę, stanowiłby znaczne zagrożenie. Ale większe niebezpieczeństwo groziło w tym momencie jego pracy, uznał więc, że musi zaryzykować. Oczywiście później, kiedy nie będzie mu już potrzebny, zlikwiduje go, to nie podlega dyskusji. Teraz jednak koniecznie potrzebuje współnika, żeby doprowadzić swój plan do końca. Potrzebuje tymczasowego partnera.

Znajomy, którego nie widział przez ostatnie dwadzieścia lat, z radością zareagował na propozycję pracy, a jego zadowolenie przerodziło się w entuzjazm, kiedy usłyszał, o jaką sumę chodzi. Ten idiota nie przypuszczał nawet, że nigdy nie będzie mu dane skorzystać z tych pieniędzy. Stracili sporo czasu na bezsensowne pogawędki, głupawe żarty i wzajemne

poklepywanie się po plecach, kiedy w końcu padło jedyne logiczne pytanie. Kiedy i gdzie.

– Dziś w nocy. W szpitalu – powiedział, podając mu strzykawkę.

Minutillo zdołał uzyskać decyzję o zwolnieniu Dantego dopiero o siódmej wieczorem i wyprowadzając go z prokuratury, musiał pomóc mu zejść po schodach. Dante nie spał od ponad dwudziestu czterech godzin, zjadł tylko herbatniki kupione w automacie, a przede wszystkim pozbawiono go kawy i lekarstw. Po pierwszym przesłuchaniu zostało mu jeszcze trochę energii, ale stracił ją podczas rozmowy z sędzią z zespołu De Angelisa, który przyjmował jego zeznania. Potem porzucony na balkonie, na szczęście już bez kajdanek, niewiele kojarzył, aż do momentu, kiedy zobaczył w drzwiach twarz przyjaciela.

Podobnie jak w dniu spotkania z De Angelisem w zajeździe, Minutillo odwiózł Dantego do domu, poczekał, aż weźmie prysznic i nafaszeruje się końską dawką różnych środków uspokajających, popijając je szklankami kawy. Kryjąc się przed przyjacielem, Dante dorzucił do mieszanki dwie tabletki Ritalinu, specyfiku podawanego w Stanach Zjednoczonych nadpobudliwym dzieciom, który u dorosłych wywołuje wprost przeciwny efekt. Kofeina i leki sprawiły, że Dante wkrótce doszedł do siebie na tyle, by adwokat był w stanie przekonać go do zjedzenia sojowego hamburgera i kilku krakersów. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak: w mieszkaniu panował okropny bałagan. Książki leżały porozrzucane po podłodze, puszki z jedzeniem, które zawsze układał kolorami, teraz były poprzestawiane, paczki pootwierane. Po komputerze pozostał tylko monitor, niedomknięte szuflady bezwstydnie pokazywały swą zawartość. Zastanowiwszy się przez chwilę, zrozumiał, że ktoś sprawdzał również jego ubrania, bo gdy chciał się przebrać, musiał grzebać w bezładnym stosie na dnie szafy. Gdyby nie był tak wykończony, zauważyłby to od razu po wejściu do mieszkania.

- Co tu się stało? – zapytał ze strachem w głosie.
- Policja przeszukała mieszkanie – wyjaśnił adwokat.

Dante odłożył sztucce.

- O kurwa.
- Nie martw się, wszystko odzyskamy.
- Co to znaczy: wszystko? Co zabrali?

Minutillo zawahał się, było widać, że jest wyraźnie zakłopotany.

– Dante...

Ale on już nie słuchał i pobiegł do pokoju gościnnego. Kapsuły czasu, które wypełniały pomieszczenie aż po sufit, zniknęły. Na podłodze leżały tylko okładka kasyety wideo z drugiej serii programu „Supercar” i stare karty telefoniczne z różnych lat. Policjanci

prawdopodobnie pootwierali pudełka i wszystko pomieszali.

– Przykro mi – odezwał się Minutillo za jego plecami.

Dante podniósł karty i zgniótł w dłoni, kalecząc się o twardey plastik.

– Ja pierdolę! – wrzasnął. – Zniszczyli dwa lata mojej ciężkiej pracy! Poszukiwania, porządkowanie elementów, wszystko przepadło!

– Będą ci musieli oddać całą kolekcję.

– Jasne, zniszczoną i pomieszaną, kurwa! – Dante rzucił karty o ścianę, a potem podniósł stelaż łóżka, który przez ostatnie lata znajdował się pod eksponatami, i zaczął uderzać nim o podłogę wzniecając tumany kurzu i przeklinając w trzech językach jednocześnie.

Minutillo odczekał, aż jego klient wyładuje złość, co nie trwało zbyt długo, gdyż dały o sobie znać osłabienie fizyczne i ogólne zmęczenie. Dante opadł na stelaż, zdruzgotany i nieszczęśliwy. Miał łzy w oczach i naprawdę chciało mu się płakać.

– Nie spuszczałem ich z oczu w trakcie przeszukania – próbował go pocieszyć Minutillo.  
– Starąłem się ograniczyć szkody.

– Teraz rozumiem, dlaczego kawa była obrzydliwa. Pomieszali mi gatunki. Będę musiał posegregować ziarna albo wszystko wyrzucić.

Adwokat spróbował rozładować napięcie.

– Możesz ją nazwać mieszanką De Angelisa.

– To on wydał nakaz, prawda? – Dante uniósł dłoń. – Nie musisz odpowiadać. I tak czuję się już jak krety, bo zadałem to pytanie. Wszystko jasne. Czy jestem na liście podejrzanych?

– Jeszcze nie. Ale już sam fakt, że znajdowałeś się na miejscu zdarzenia właśnie w chwili eksplozji, stanowi dla prokuratury wystarczający powód, aby przetrzepać cię jak stary dywan.

– Przeszukali też mieszkanie CC?

– Tak. Zawiesili ją aż do wyjaśnienia sprawy. Bez sensu, bo przecież jest ciągle na zwolnieniu lekarskim. Dowiedziałem się, że odebrali jej broń i legitymację, kiedy była nieprzytomna.

– De Angelis chce nas ukarać za to, że interesujemy się sprawą Luki Maugeriego – oświadczył Dante z ponurą miną.

– To zaledwie początek. Wiem, jak oni działają. Jeśli znajdzie na was jakiś haczyk, nie zawaha się go wykorzystać. A poza tym...

Dante uniósł ramiona w pełnym zniechęcenia geście.

– Co jeszcze? No, mów. Już gorzej być nie może.

– Prędzej czy później prokuratura wyda oświadczenie. Twoje nazwisko pojawi się w kontekście „osoby dysponującej ważnymi dla śledztwa informacjami” lub podejrzanego. Trafisz do gazet.

– Będą znowu pisać o tej starej historii?

– Tak.

Dante objął głowę rękami.

– Ja pierdolę.

– Znajdę ci jakieś bezpieczne mieszkanie.

– Dobrze wiesz, ile wysiłku kosztowało mnie przystosowanie się do poprzedniego. – Dante nie mógł uwierzyć w to, co się działo.

– Pewnie, że wiem. – Adwokat się uśmiechnął. – Pozwałeś architekta.

– To był zwykły oszust. Teraz będę musiał sprzedać mieszkanie. Kto je kupi w takim stanie? Jakiś ekshibicjonista? A może gwiazda filmów porno, żeby można ją było oglądać nagą z ulicy?

– Kiedy wszystko się uspokoi... – zaczął Minutillo.

Dante przerwał mu natychmiast.

– Nie uspokoi się. Nawet gdyby Ojciec zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki razem z De Angelisem i jego wesołą kompanią, to zacznie się procesja osób poszukujących zaginionych krewnych. Błagam, niech nam pan pomoże – mówił, naśladowując zrozpaczony głos. – Już przez to przechodziłem.

Minutillo nie zaprzeczał, bo wiedział, że Dante ma rację. Niestety, tak właśnie było w przeszłości.

– Na razie spróbuj przeczekać. Najważniejsze, żebyś nie narażał się De Angelisowi, bo on ma możliwości, żeby zareagować w jeszcze bardziej nieprzyjemny sposób.

Dante zaczął przyglądać się z zainteresowaniem czubkom swoich butów.

– Co jest na pendrivie Roverego?

– Nie udało mi się go otworzyć. Potrzeba hasła i nie chciałem zaprzepaścić możliwości.

– Masz go przy sobie? Daj mi, proszę.

Minutillo przesunął dłonią po obciętych na jeża włosach.

– Słyszałeś, co ci przed chwilą powiedziałem? Żebyś nie ryzykował.

– De Angelis pewnie zostawi mnie w spokoju, jeśli schowam głowę w piasek, ale Ojciec nie.

– Do tej pory nie zwrócił się wyraźnie przeciwko tobie.

– Masz rację. Zamordował tylko... ile mamy trupów? A wszystko dlatego, że wpadliśmy na jego trop. Naprawdę uważasz, że teraz się wycofa? – Dante pokręcił głową. – Jestem coraz bliżej, Roberto. Już za późno na zmianę decyzji.

Adwokat westchnął.

– Jak myślisz, co jest na pendrivie?

– Znasz kogoś, kto zadaje sobie trud, aby zabezpieczać hasłem nośniki pamięci?

– Nie.

– Czyli musi tam być coś naprawdę ważnego.

Minutillo przyglądał się przez chwilę przyjacielowi.

– Martwię się o ciebie, Dante. Jak nigdy wcześniej.

Dante uśmiechnął się i udał, że ziewa.

– Niepotrzebnie, jestem zbyt zmęczony, żeby wpaść w tarapaty. Mam zamiar porządnie się wyspać.

Minutillo zostawił go wreszcie samego i kiedy Dante usłyszał, jak jego samochód rusza spod domu, włożył pendrive'a do papierowej torebki, którą umieścił w kieszeni. Założył zbyt dużą kurtkę z kapturem w kolorze przypominającym lufę pistoletu i wyszedł z mieszkania. Pokonanie schodów poszło mu nad wyraz łatwo, być może uodporniły go ostatnie wydarzenia, a może po prostu mieszanka leków zrobiła swoje. Już po dziesięciu minutach był na dole. Znalazłszy się na ulicy, rozejrzał się uważnie dookoła. Nigdy w życiu nikt go nie śledził, ale miał pewność, że zorientowałyby się, gdyby tak było. Pokręcił się trochę po uliczkach dzielnicy San Lorenzo, które zaczęły zapełniać się powoli młodzieżą, i w końcu uznał, że nikt niepożądany nie depcze mu po piętach.

Później wstąpił do baru Marani, mieszczącego się u wylotu via Volsci. Właściciele dobrze go znali i darzyli sympatią, bo był jedynym klientem, który siadał w ogrodzonym ogródku nawet w deszczowe zimowe dni. Zostawił u nich torebkę, informując, że ktoś przyjdzie ją odebrać przed zamknięciem baru, a potem postanowił skorzystać z telefonu publicznego przy via Boccanegra. Spacer zajął mu około dwudziestu minut i sprawił, że nieprzyjemne myśli uleciały wreszcie z głowy. Zadzwoił do Santiaga, powiedział, skąd ma odebrać pendrive'a, wyjaśnił, co trzeba zrobić, i poprosił o pośpiech. Zapewnił go, że pieniądze dostanie po wykonaniu zadania.

Kiedy odłożył słuchawkę, poczuł, że nie ma najmniejszej ochoty na powrót do domu i na sen. Ritalin sprawił, że opuściła go senność, a teraz dodatkowo palił mu wewnątrz niczym benzyna. W głowie znowu zaczęły się mu kłębić czarne myśli. Tworzył nowe hipotezy i prawdopodobne scenariusze zdarzeń, a w centrum każdego z nich na pierwszy plan wysuwał się Rovere. Zrozumiał już, co łączyło komendanta ze śledztwem w sprawie porwania Luki Maugeriego, a teraz dręczyły go kolejne pytania. Kiedy komendant zaczął się zajmować zbieraniem informacji i – przede wszystkim – dlaczego to robił?

Od Colomby dowiedział się co nieco na temat Roverego i jego wcześniejszych działań operacyjnych, które nie miały żadnego związku z Ojcem. Postrzegał go jako rozważnego, ostrożnego policjanta – takiego, który dwa razy się zastanowi, zanim podejmie decyzję. Nie sprawiał absolutnie wrażenia porywczego detektywa wtrącającego się dla przyjemności w sprawy prowadzone przez kolegów.

Dante miał nadzieję, że przynajmniej część odpowiedzi znajduje się na nośniku pamięci USB, którym już niedługo zajmie się Santiago, ale brakowało mu cierpliwości, żeby czekać beczynnym, i postanowił natychmiast spotkać się z jedyną osobą, która wiedziała więcej niż on. Odczekał, aż jakiś Arab skończy rozmawiać z narzeczoną w swoim kraju, i wykonał kolejny telefon. Tym razem zadzwonił do kobiety, która przez wiele lat bezskutecznie



szukała siostry, dopóki on nie wkroczył do akcji i nie odnalazł jej u teścia pod podłogą. Miała wobec niego dług wdzięczności, a tak się szczęśliwie składało, że pracowała w szpitalu, gdzie leżała Colomba. Kobieta podała mu numer pokoju i powiedziała też, że w tej chwili nie ma dyżuru. Dante poprosił, aby naszkicowała mu plan szpitala i oddziału, po czym doszedł do przekonania, że sam też sobie poradzi. Działał jak w amoku i nawet przez myśl mu nie przeszło, aby poczekać do rana. Zatrzymał taksówkę i udało mu się dotrzeć na miejsce dzięki pootwieranym oknom. Wysiadł przed szpitalem, a kiedy samochód odjechał, przeskoczył ogrodzenie i ruszył przez park w stronę głównego budynku. Aby nie tracić czasu, zaczął liczyć okna na drugim piętrze. W głowie miał dokładnie zapisaną mapę szpitala, wystarczyło zamknąć oczy, a trójwymiarowy obraz natychmiast powracał. Przystanął pod cyprysem, pokój, którego szukał, znajdował się nad nim, na drugim piętrze. Użył drzewa jako drabiny – zawsze dobrze sobie z tym radził. Wspinał się zręcznie jak małpa, mimo że tylko jedną rękę miał całkowicie sprawną, ale ułatwiała mu to szczupła budowa ciała. Jedna z ostatnich gałęzi, dostatecznie gruba, aby utrzymać jego ciężar, dochodziła niemalże pod samo okno. Usiadł na niej okrakiem i wtedy zdał sobie sprawę, że parapet znajduje się jednak zbyt daleko, żeby na niego wskoczyć. Ze swego stanowiska obserwacyjnego widział słabo oświetlone nocną lampką łóżko i twarz Colomby na tle poduszki.

Już chciał zejść na dół po kamyki, którymi mógłby rzucać o szybę, kiedy zorientował się, że ktoś jest w pokoju. Ze swojego miejsca Dante widział jedynie sylwetkę nieznanego, który krył się w półcieniu, ale natychmiast nabrał podejrzeń, że coś jest nie tak. Chociaż mężczyzna miał na sobie fartuch, to zdradzały go gesty: nie poruszał się pewnie i zdecydowanie jak lekarze czy pielęgniarki, których oszczędne, szorstkie ruchy wynikały z przyzwyczajenia do opieki nad chorymi i doświadczenia. Kimkolwiek był ten człowiek, jego zachowanie ujawniało ogromne napięcie, jakby wiedział, że nie ma prawa znajdować się w tym miejscu.

Mężczyzna zbliżył się do łóżka i Dante zobaczył jego dłonie zaciśnięte na fartuchu na wysokości piersi w uniwersalnym geście wskazującym na lęk i gotowość do samoobrony. Poruszał się powoli, jak ktoś, kto przygotowuje się do wykonania trudnego i niebezpiecznego zadania. Dante wiedział, że nie powinien czekać, że musi wszcząć alarm, obudzić Colombę i cały szpital, jeśli to będzie konieczne. Zanim jednak udało mu się zareagować, z ciemności i gęstwiny drzew dobiegł do jego uszu szept i uderzył go niczym bat. Dante natychmiast zaczął się trząść jak osika. Ten szept obudził w nim dawne, uśpione koszmary, sprawiając, że krew zastygła mu w żyłach. Dante wpadł w panikę.

Chwycił się kurczowo gałęzi, jakby jakaś niewidzialna siła próbowała ściągnąć go na dół. *Nie patrz tam*, powtarzał sobie. *Nie patrz na dół*. Złowrogi szept opanował jednak całkowicie jego wolę. Powoli skierował wzrok w kierunku, z którego dobiegał głos. Było to zacienione miejsce pomiędzy dwoma latarniami. Przy murze stał mężczyzna z rękami

opuszczonymi wzdłuż ciała, jego oczy błyszczały białym światłem, jakby były puste. Dante widział te oczy tylko raz w życiu, ale nigdy ich nie zapomniał.

Mężczyzna kazał mu zejść z drzewa. Mówił Dantemu, że jest głupią Bestią, którą będzie musiał ukarać.

## 6

W sali, gdzie leżała Colomba, mężczyzna w fartuchu zrobił kolejny krok w kierunku łóżka, przeklinając samego siebie, że zgodził się przyjąć to zlecenie. Nie żeby miał wyrzuty sumienia, po prostu uznał, że czasy krwi i ryzyka należą już bezpowrotnie do przeszłości. Tylko że nikt nie ośmielił się nigdy odmówić Niemcowi, zwłaszcza kiedy ten przyglądał się delikwentowi, jakby przygotowywał się do poderżnięcia mu gardła. Popęlnił straszny błąd, że nie odłożył słuchawki od razu, gdy usłyszał charakterystyczny głos pochodzący z odległej przeszłości.

Kto mógłby przypuszczać, że Niemcowi ciągle jeszcze nie znudziły się te stare zabawy? Tak naprawdę to mężczyzna był przekonany, że on już dawno nie żyje. A tymczasem ponownie wpadł w sidła tego niebezpiecznego skurwysyna, posiwiałego, o pomarszczonej szyi, ale ciągle najgorszego w swoim rodzaju maniaka.

*Niemiec...* Mężczyzna w fartuchu powtarzał w myślach jego przezwisko, chcąc zyskać na czasie. Nigdy nie poznał jego prawdziwego imienia. *Żadnych nazwisk. Żadnych spotkań. Żadnych niepotrzebnych pogaduszek.* Takie były reguły narzucone przez Niemca za starych dobrych czasów, chociaż nie wszystkich one obowiązywały. On wiedział wszystko o swoich znajomych.

Rękawem otarł pot z czoła i po raz ostatni pomyślał, żeby rzucić to w diabły i odejść. Ale nawet jeśli udałoby mu się uciec i ukryć gdzieś na jakiś czas, to obawiał się, że prędzej czy później dopadnie go bieda. Skończą się regularne, comiesięczne przelewy, czyli zabezpieczenie na przyszłość. A perspektywa szukania pracy po tych wszystkich próżniaczych latach wcale mu się nie uśmiechała. Absolutnie. Lepiej wykonać rozkaz Niemca, jedno szybkie uderzenie i będzie po wszystkim, a potem spokojnie wróci do dostatniego życia.

Zrobił jeszcze jeden krok w stronę łóżka Colomby. Jego oczy przyzwyczyły się już do ciemności i teraz widział ją znacznie lepiej: oddychała regularnie z sykiem wskazującym na zatkany nos. *Ciekawe, co takiego zrobiła, że Niemiec się wkurwił,* pomyślał. Nie odważył się go o to zapytać. Nie zapytał również, dlaczego kobieta musi umrzeć.

Zanim wyjął strzykawkę, musiał przez chwilę macać wewnątrz kieszeni, gumowe rękawiczki bowiem znacznie zmniejszyły wrażliwość palców. Strzykawka miała zaledwie pięć centymetrów i kończyła się grubą, krótką igłą weterynaryjną, bardzo wytrzymałą i mniej podatną na złamania. Niemiec polecił mu wprowadzić zawartość bezpośrednio do kroplówki, aby uniknąć pozostawienia śladów na ciele. Zadanie było na tyle łatwe, że

z powodzeniem mógł się tym zająć osobiście. Chyba że kobieta знаła twarz Niemca i na jego widok mogłaby podnieść alarm. A do wykonania tego zadania niezbędne były spokój i anonimowość.

Mężczyzna w fartuchu wszedł do szpitala, udając krewnego, który przyszedł w odwiedziny, i zamknął się w toalecie baru na parterze w oczekiwaniu na nadejście nocy. Wiedział, że sprzątają zawsze rano, otrzymał też informacje, że na oddziale Colomby będzie tylko dwóch pielęgniarzy, bo lekarz dyżurny przyjmuje na pogotowiu. Odczekał, aż minie północ, potem przebrał się w fartuch i wszedł po schodach, trzymając się wskazówek i kryjąc przed personelem. Nie sprawiło mu to żadnych trudności, a droga powrotna powinna być jeszcze łatwiejsza. A gdyby ktoś go jednak zauważył... no cóż, zgodnie z otrzymanymi instrukcjami w żadnym razie nie powinien dać się złapać.

Mężczyzna w fartuchu wbił wzrok w twarz Colomby, aby upewnić się, że śpi, po czym wyciągnął rękę w kierunku kroplówki zawieszanej na stojaku po przeciwnej stronie łóżka.

Właśnie w tym momencie usłyszał za plecami brzęk tłuczonego szkła. Przerażony, odwrócił się natychmiast i zobaczył, że ktoś wybił szybę w oknie, rzucając w nią butem, który teraz kręcił się powoli na podłodze.

– Co się stało? – szepnęła Colomba słabym głosem.

*O kurwa, obudziła się,* pomyślał mężczyzna.

– Muszę zmienić kroplówkę – odezwał się z uśmiechem, siłąc się na profesjonalne zachowanie. – Niech pani odpoczywa.

Colomba zmarszczyła nos. Ten człowiek śmierdział alkoholem i nie przypominał żadnego z pielęgniarzy, którzy wcześniej życzyli jej dobrej nocy. Nagle dostrzegła rozbitą szybę i zaniepokojona uniosła się na łokciu.

– Proszę chwilę zaczekać...

– Niech się pani nie rusza, bardzo proszę. – Położył rękę na ramieniu Colomby, próbując zmusić ją do powrotu do pozycji leżącej, gdy tymczasem drugą dłoń szukał kroplówki.

Colomba już całkowicie się rozbudziła i zorientowała, że coś jest nie tak. Odepchnęła go.

– Proszę mnie nie dotykać!

W odpowiedzi mężczyzna w fartuchu wolną ręką złapał ją za gardło. Ten niespodziewany brutalny gest sprawił, że poczuła natychmiastowy brak powietrza. Cienie w pokoju zaczęły wirować, uszy wypełnił syk i krzyki. Mężczyzna, nie zwalniając uścisku, przydusił ją kolanem do łóżka, a lewą ręką próbował złapać dren kroplówki. Colomba była bliska omdlenia, ale zdołała jeszcze wycelować otwartą dłoń w twarz napastnika. Szczęście jej sprzyjało, bo trafiła w oko i poczuła, że paznokieć palca wskazującego zagłębia się w powiekę napastnika. Mężczyzna jęknął i instynktownie osłonił twarz rękami, puszczając na chwilę jej szyję. Wykorzystując to, Colomba spróbowała wezwać pomoc, ale nie zdołała wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Kiedy mężczyzna kopnął ją w twarz, przewróciła się na bok i upadła na podłogę,

pociągając za sobą stojak z kroplówką. Uderzyła głową o posadzkę i ostry ból sprawił, że dręczące ją cienie zniknęły. Odetchnęła głęboko i ponownie spróbowała krzyknąć, ale ściśnięte gardło nie zareagowało. Napastnik z krwawiącym lewym okiem wymierzył jej tak silnego kopniaka w żebra, że potoczyła się pod ścianę, po czym doskoczył do niej, próbując wbić jej strzykawkę w szyję. Teraz nie dbał już o pozory, chciał jak najszybciej zakończyć zadanie.

Ostatkiem sił Colomba uniosła nogę i uderzyła go stopą w krocze. Mężczyzna zwałił się na wolne łóżko, jęcząc i dysząc, a ona doczołgała się na czworakach do drzwi, bo nie miała dość siły, żeby się podnieść. Wyciągnęła rękę i złapała za klamkę, ale napotkała opór. Dopiero po chwili dostrzegła, że przeciwnik zablokował wejście drewnianym klinem. Mężczyzna chwycił ją od tyłu i rzucił o ścianę; przez moment zobaczyła wszystkie gwiazdy. Ból głowy był nie do zniesienia.

Oślepiiony cieknącą z oka krwią ponownie spróbował wbić jej igłę w ciało. Colomba powstrzymała cios obiema rękami, kiedy strzykawka znalazła się zaledwie kilka centymetrów od jej piersi. Pochylony nad nią bandyta pocił się strasznie i sapał niczym miech kowalski. Twarz miał czerwoną z wysiłku, a z otwartych ust wydobywał się cuchnący oddech.

– Ty dziwko – mruknął. – Już ja cię urządzę, wredna kurwo.

Colomba niespodziewanym ruchem pociągnęła w dół jego rękę. Strzykawka zatoczyła łuk i wbiła mu się w nogę powyżej kolana. Jednym uderzeniem dłoni Colomba wcisnęła tłok do samego końca. Mężczyzna otworzył usta, żeby krzyknąć, ale było już za późno. Z jego gardła wydobywało się jedynie ciche rżenie. Żyły na czole i twarzy nabrzmiały, zrobił się fioletowosiny, aż wreszcie padł na bok z pianą na ustach i szklistym spojrzeniem zdrowego oka. Trucizna umieszczona w strzykawce zadziałała natychmiast. Colomba usłyszała jeszcze, jak mężczyźnie bulgocze w gardle, i zobaczyła, że wije się niczym robak na grillu, by po chwili całkiem znieruchomieć. Dotknęła palcami jego szyi, chcąc wyczuć puls, którego jednak już nie było. Nie żył.

W tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi.

Z korytarza dobiegał głos pielęgniarki, która wołała Colombę po imieniu, próbując jednocześnie otworzyć drzwi. Policjantka nie odpowiedziała, przyglądała się tylko zwłokom z zapartym tchem.

*Zabiłam go*, pomyślała. Pałące uczucie przerażenia towarzyszące odebraniu życia kolejnemu nieszczęśnikowi wyczerpało jej siły i przez chwilę Colomba poczuła, jakby miała się rozpaść na kawałki. Niezależnie od tego, kim był ten człowiek, ona odebrała mu wszystko: przyszłość i przeszłość, marzenia i obawy. Jednym ruchem zmieniła żyjący organizm w przedmiot. Przed oczyma stanęły jej ofiary paryskiej katastrofy, potem złodziej, którego zastrzeliła w czasie pierwszego roku służby w Palermo, i musiała asystować przy jego agonii na chodniku, wreszcie jej pierwszy nieboszczyk – narkoman, którego znalazła w mieszkaniu tydzień po śmierci. Leżał na brudnym materacu, a całą jego twarz pokrywały muchy. Teraz poczuła na sobie ciężar tych wszystkich śmierci, przytłoczyło ją to niczym cementowe wieko i zaczęło brakować jej powietrza. Zaciskając pięści, wbiła sobie paznokcie w dłonie. *Tylko nie teraz*, pomyślała. *Nie z powodu tego skurwysyna, który chciał cię zamordować.*

Pukanie do drzwi nie ustawało. Do głosu pielęgniarki dołączył jeszcze jakiś męski.

- Wydaje mi się, że policjantka spadła z łóżka – powiedziała pielęgniarka.
- Zamek jest w porządku, coś blokuje drzwi – wyjaśnił mężczyzna.

Colomba wstała, usiłując nie robić zbędnego hałasu. Jak powinna teraz postąpić? Logika podpowiadała jej, że należy otworzyć drzwi i wezwać policję, ale zaraz pomyślała, że nikt jej nie uwierzy, jeśli powie, że zabity mężczyzna jest płatnym mordercą wysłanym przez Ojca. Straci tylko niepotrzebnie czas na dyskusje, a tymczasem Ojciec zatrze za sobą wszystkie ślady.

– Pójdę po jakiś pręt, żeby podważyć drzwi. – Usłyszała męski głos na zewnątrz. Colomba przetarła dłonią twarz. Jeśli teraz postąpi po swojemu, to będzie musiała się liczyć z ogromnym ryzykiem. Przede wszystkim padnie na nią podejrzenie o morderstwo, bo przecież zaatakowana ofiara nie ucieka z miejsca wypadku, zostawiając trupa na podłodze. Jeśli to uczyni, ściągnie na siebie podejrzenia. Potrząsnęła głową ze złością. Nie ma czasu na zastanawianie się nad konsekwencjami. Była to winna Roveremu i dzieciom porwanym przez Ojca.

Rozejrzała się w poszukiwaniu drogi ucieczki. Jej wzrok padł na wybite okno i przypomniała sobie o bucie, który obudził ją w odpowiednim momencie. Natychmiast go

rozpoznała, bo znała tylko jedną osobę, która nosiła model Clipper doktora Martensa, z podeszwą grubą na dwa palce.

Wychyliła się przez dziurę w szybie. Szukała Dantego na dole pod oknem i osłupiała, kiedy dostrzegła go przyklejonego do gałęzi drzewa naprzeciw siebie. W świetle latarni jego twarz wyglądała jak oblicze zjawy z koszmarne go snu.

– Dante! – zawołała, wysilając się do granic możliwości.

Nie poruszył się ani nawet na nią nie spojrzął. Obejmował mocno gałąź rękami i nogami i wyglądał, jakby zapomniał, gdzie się znajduje.

Tymczasem zza drzwi ponownie usłyszała męski głos.

– Spróbuję tym – powiedział mężczyzna i włożył w szparę jakiś metalowy przedmiot. – Czy pacjentka się odezwała?

– Nie. To nic poważnego. Mam tylko nadzieję, że nie rozbiła sobie głowy.

– Postaram się jak najszybciej otworzyć.

– A niech to... – mruknęła Colomba. Złapała mężczyznę za kołnierz i zaciągnęła do łazienki. Był od niej niższy i dość szczupły, ale walka tak ją wyczerpała, że omal nie zemdląca z wysiłku. Zamknęła drzwi i podbiegła do łóżka, żeby podnieść stojak z kroplówką, potem przykleiła sobie jeszcze plaster welfron do ramienia. Zasłoniła firanką wybite okno i kopnęła but Dantego pod łóżko. Na podłodze pozostały kawałki szkła, ale nie miała już czasu, żeby się tym zająć. Przesunęła tylko stolik na środek pokoju i oparła krzesło o drzwi, a na koniec usunęła klin blokujący wejście.

Kiedy wreszcie drzwi ze zgrzytem ustąpiły, pielęgniarka i konserwator zastali Colombę siedzącą na progu i blokującą wejście do sali.

– Zamknęła pani drzwi? – zdziwił się mężczyzna. Trzymał śrubokręt w ręce.

– Nie – szepnęła Colomba. – Same się zablokowały. Chciałam wam powiedzieć, ale nie mogłam wydusić słowa.

– Dobrze się pani czuje? – zapytała pielęgniarka.

– Tak.

Konserwator pozbierał swoje narzędzia i oddalił się wyraźnie zaniepokojony. Tymczasem pielęgniarka przyglądała się uważnie Colombie, zastanawiając się, jak powinna postąpić. Gdyby chodziło o zwykłą pacjentkę, to kazałaby jej po prostu wrócić do łóżka, ale policjantka do takich nie należała. Wszyscy w szpitalu wiedzieli, kim była, a poza tym krążyły na jej temat dziwne plotki. Mówiono, że jest nie zrównoważona. Nawet koledzy z pracy jej nie ufali. Wystarczyło spojrzeć na ich miny, kiedy przychodzili w odwiedziny. Pielęgniarka pomyślała, że powinni byli postawić pod jej drzwiami policjanta, tak jak na filmach.

– Musi się pani położyć – zaczęła, nadając swojemu głosowi stanowczy ton. – Zaraz pani pomogę.

– Wolę jeszcze chwilę posiedzieć – szepnęła Colomba, patrząc kobiecie w oczy.

Pielęgniarka wyczytała w tym spojrzeniu ukrytą groźbę, chociaż Colomba chciała nim wyrazić nieme błaganie. *Proszę cię, idź sobie.*

– Naprawdę dobrze się pani czuje?

– Tak, oczywiście na ile to możliwe w moim stanie. A teraz proszę mnie zostawić w spokoju.

Pielęgniarka cofnęła się o krok. Żaden z pacjentów nigdy jej wcześniej nie zaatakował, ale niektórym kolegom to się przydarzyło, a jeden z nich zaraził się nawet żółtaczką, gdy ugryzł go alkoholik w krańcowym delirium. *O nie, dziękuję bardzo,* pomyślała.

– Poproszę lekarza, żeby przyszedł panią zbadać – powiedziała na głos.

– Nie trzeba – broniła się jeszcze Colomba.

– To się okaże – mruknęła pielęgniarka i odwracając się, poczuła gęsią skórę.

Colomba odczekała chwilę, po czym zerwała się z łóżka tak szybko, że niemal straciła równowagę. Wydawało jej się, że zamiast głowy ma wielką dynię. Zamknęła drzwi, podparła je klinem i wróciła do łazienki. Ciało napastnika leżało na podłodze, a pod nim widoczna była spora plama moczu. *Tego tylko brakowało,* pomyślała, pochylając się nad trupem, żeby go przeszukać. W kieszeniach znalazła portfel, pęk kluczy, pilota do opła i identyfikator. Nie miał przy sobie komórki. Spojrzała na identyfikator, wiedząc, że personel w szpitalach używał tego typu plakietek, na których było nazwisko i zdjęcie danej osoby. Ta, którą miała w ręce, była pusta.

Fałszywka, która miała umożliwić przestępcy wejście na oddział, żeby ją zamordować. W portfelu były jakieś drobne, karta kredytowa i wyglądające na autentyczne prawo jazdy, wystawione na nazwisko Luciana Ferrariego, urodzonego w 1958 roku, zamieszkałego w Rzymie przy via Pompeo Magno 1. Colomba włożyła dokument z powrotem do portfela, który umieściła w kieszeni denata, a całą resztę ukryła w rękawie piżamy. Podeszła do małej metalowej szafy stojącej w pokoju, ale nie znalazła tam swoich rzeczy. Przypomniała sobie, że ubranie zabrali jej przyjaciele, i pluła sobie w brodę, że na to pozwoliła.

Sięgnęła po komórkę, a potem założyła głany. Kiedy się pochyliła, żeby zawiązać sznurówki, krew uderzyła jej do głowy i otoczyła ją ciemność. Ponownie wbiła paznokcie w dłonie i udało jej się nie zemdleć. Spojrzała w okno i zobaczyła, że Dante ciągle siedzi bez ruchu na gałęzi. Kopniakiem usunęła klin blokujący drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Korytarz na szczęście był pusty. Przypomniała sobie o bucie i cofnęła się, żeby go zabrać, a potem szybko skierowała się w stronę drzwi prowadzących na schody. Dotarła tam przez nikogo niezauważona. Była zmęczona, a ból głowy nasilał się z każdym krokiem, przyprawiając ją o mdłości. Kiedy znalazła się na parterze, stanęła u wylotu korytarza prowadzącego do rejestracji. Przejście blokowały automatyczne szklane drzwi, które na noc ryglowano, ale po drugiej stronie znajdowało się wyjście bezpieczeństwa. Właśnie miała zamiar z niego skorzystać, gdy zrozumiała, że w ten sposób włączy alarm w całym budynku.

Zeszła po schodach na niższy poziom i stanęła przed metalowymi drzwiami z napisem



TYLKO DLA PERSONELU. Były zamknięte, ale z boku Colomba zauważyła czytnik i przyłożyła do niego identyfikator. Drzwi się otworzyły. Weszła na korytarz oświetlony słabym pomarańczowym światłem. Kolorowe plastikowe strzałki wskazywały różne miejsca: przebieralnie, magazyn, pralnię. Colomba ruszyła naprzód w poszukiwaniu drzwi wyjściowych. Znalazła wejście do podziemnego garażu, a z niego wydostała się wprost do parku. Porozrzucane niedopałki papierosów świadczyły o tym, że personel często korzysta z tego przejścia.

Drżała z zimna, bo miała na sobie tylko flanelową piżamę, ale ruszyła wzdłuż ściany, szukając okna pokoju, w którym leżała. Miała wrażenie, że trwa to całą wieczność, ale w końcu zauważyła kawałek firanki w wybitym oknie. Spojrzała w górę, w stronę gałęzi, na której siedział Dante. Na próżno usiłowała zwrócić jego uwagę, wreszcie, nie widząc innego sposobu, rzuciła w niego butem. Celowała w ramię.

Trafiła w skroń, a uderzony Dante o mało ze strachu nie spadł na ziemię. But ważył dobre pół kilograma, musiał więc poczuć siłę uderzenia. Pomogło mu to otrząsnąć się z odrętwienia.

– CC? – szepnął, jakby właśnie obudził się ze snu.

– Złaż na dół. Pospiesz się – syknęła.

Po kilku sekundach Dante wreszcie zsunął się z drzewa, ale wzrok miał ciągle nieobecny.

– Żyjesz – powiedział.

Colomba podniosła but i podała mu.

– Tak. I to dzięki tobie. Porozmawiamy o tym później, teraz daj mi swoją kurtkę.

Dante zdjął okrycie ruchami lunatyka i został w czarnym dopasowanym golfie, a Colomba włożyła kurtkę, która okazała się trochę za ciasna, zwłaszcza rękawy, ale za to sięgała jej prawie do kolan. Gdyby nie spodnie od piżamy w świnki, wyglądałaby całkiem normalnie.

– Widziałem go, CC – stwierdził Dante sennym głosem.

– Kogo? Tego faceta w moim pokoju?

– Nie. Ojca.

– Widzisz go zawsze w najmniej odpowiednim momencie. Chodź, musimy się stąd ulotnić.

Dante złapał ją za ramię.

– Naprawdę nie rozumiesz, CC? On tutaj był. Odezwał się do mnie.

– Jak wyglądał?

Dante zamrugał oczami.

– Nie pamiętam dokładnie.

– Dobra, później mi wszystko opowiesz. Rusz się wreszcie, nie możemy tu zostać.

Wyszli ze szpitala przez pomieszczenia pogotowia. Przy tylnym wejściu użyli identyfikatora, przemaszerowali przed lekarzami i personelem medycznym, ale zajęci swoimi sprawami pracownicy nie zwrócili na nich uwagi. Potem wmieszali się w grupę

oczekujących pacjentów i wyszli na zewnątrz. Nie mieli czasu do stracenia, bo kiedy Colomba ponagłała Dantego w parku, zauważyła, że w jej pokoju na drugim piętrze zapaliło się światło. Wystarczy dziesięć minut i wszędzie będzie pełno policjantów. Gdy zmierzali do wyjścia, Dante opowiedział jej o spotkaniu z Ojcem.

– Dlatego rzuciłeś butem w okno?

– Nie mogłem się ruszyć. Nie mogłem krzyczeć. Byłem jak sparalizowany.

– Jesteś pewien, że on tam był? – zapytała, ciągnąc go w pierwszą przecznicę, aby uniknąć kamer zainstalowanych w pobliżu szpitala.

– Tak.

– Gdyby chodziło jedynie o przywidzenie, byłbyś tego świadomy, prawda? – Colomba ciągle miała wątpliwości.

– Zawsze wiem, kiedy zbliża się atak. – Dante wracał powoli do siebie i poruszał się zdecydowanie swobodniej. Ostatnie wydarzenia stanowiły mieszankę chaotycznych i oderwanych od siebie obrazów.

– Według ciebie opuścił teren szpitala przed nami?

– Może ciągle jeszcze tam jest. – Dante przystanął. – Musimy go poszukać, CC.

– Nie możemy tam wrócić. Zatrzymają nas przy wejściu.

– Dlaczego? Co się stało z tym gościem w twoim pokoju? – W głosie Dantego pojawił się cień podejrzliwości.

– Uważaj. – Colomba pociągnęła go w ciemny zaułek, widząc reflektory zbliżającego się radiowozu. Samochód przejechał obok, ale nikt nie zwrócił na nich uwagi.

– Zabiłaś go? – nie dawał za wygraną Dante.

Colomba westchnęła, ale nie potwierdziła.

– Ja pierdolę. Miałem nadzieję, że obejdzie się bez krwawych rozwiązań, ale w końcu to była obrona konieczna. Będę twoim świadkiem.

– Wyobrażam sobie, ile warte będą twoje zeznania... Musimy znaleźć samochód. Przecież nie damy rady przejść pieszo przez całe miasto.

– Weźmiemy jego auto. Masz kluczyki, nie? Pokaż mi je.

– Skąd wiesz, że zabrałam mu kluczyki?

– Skoro uciekamy z miejsca wypadku w takim pośpiechu, to znaczy, że chcesz go sprawdzić. W przeciwnym razie poczekałabyś, aż cię przesłuchają.

– Czasami mnie wkurzasz, wiesz? – powiedziała, rzucając mu kluczyki.

– Sądząc po alarmie, to będzie opel agila – zawyrokował Dante, rozglądając się dookoła. – Prawdopodobnie nie zaparkował przed samym wejściem, ale gdzieś w pobliżu. Na pewno liczył się z tym, że będzie musiał salwować się ucieczką. – Wpatrując się w ekran komórki, zaczął studiować mapę okolicy. Skupił się na głównej ulicy prowadzącej do budynku pogotowia oraz na łączących się z nią przecznicach. Wykluczył te bardziej odległe, jedną ze światłami i wszystkie jednokierunkowe. W ten sposób pozostały tylko dwie. Pokazał mapę

Colombie. – Rozdzielmy się i kto pierwszy znajdzie samochód, zagwiżdże.

– Po moim trupie! Nie zostawię cię. Idziemy razem.

Znalezienie ciemnoczerwonego opla agili zajęło im pięć minut. Wsiadali do niego przy akompaniamencie syreny zbliżającego się radiowozu. Colomba usiadła za kierownicą, a Dante położył się na tylnym siedzeniu.

– Nie boisz się jeździć kradzionym autem? Chyba nie sądzisz, że należało do niego?

– Jeśli użył go do wykonania zadania, to znaczy, że jest wystarczająco bezpieczne. – Colomba uruchomiła silnik i ruszyli. Ulica Pompeo Magno znajdowała się w dzielnicy Prati i potrzebowali co najmniej dwudziestu minut, żeby tam dotrzeć. Colomba chciała się jednak upewnić, że adres jest prawidłowy, zadzwoniła więc do Albertiego. Chłopak zdziwił się bardzo, gdyż nie była to pora na towarzyskie pogawędki. Na szczęście włączył wibrację w telefonie, bo zajęty komponowaniem muzyki, miał na uszach słuchawki.

– *Dottoressa...* Przesłuchała pani moje kawałki? – zapytał bez wstępow.

Colomba nie miała serca, żeby mu powiedzieć, że odtwarzacz MP3 za dwa euro został w pokoju szpitalnym razem z trupem bandyty.

– Jeszcze nie. Przepraszam, potrzebuję twojej pomocy. Możesz mi sprawdzić dane pewnego człowieka?

– Nie jestem teraz na służbie, *dottoressa*.

– Zadzwoń do kogoś z kolegów i poproś o informacje.

– Dobrze. O kogo chodzi?

– Luciano Ferrari, jeśli się nie mylę, urodził się w pięćdziesiątym ósmym w Rzymie. Sprawdź aktualny adres i czy jest notowany, a potem daj mi znać. Jeśli będą chcieli wiedzieć, dlaczego się nim interesujesz, powiedz, że cię stuknął.

– *Dottoressa*, chyba jednak nie powinienem...

Ale ona już się rozłączyła, bo dzwonił Infanti. Dante zamknął oczy, żeby nie patrzeć, jak prowadzi samochód jedną ręką, ale gdyby wiedział, w jakim Colomba jest naprawdę stanie, to pewnie wyskoczyłby przez okno podczas jazdy. Do bólu głowy i mdłości dołączyły teraz jasne błyski, które utrudniały widoczność. Były jak wirujące konfetti i z trudem mogła skupić się na drodze.

Głos Infantiego dudnił jej w uszach.

– Gdzie jesteś? – wrzeszczał.

– Już cię zawiadomili? – zapytała Colomba.

– Jasne, że mnie zawiadomili. W szpitalu jest połowa naszego wydziału, a ty zniknęłaś!

– Nie mogłam tam zostać.

– Co to znaczy, że nie mogłaś zostać?! Co ty, kurwa, opowiadasz?! Kim jest ten facet w kiblu?

– Nie wiem – skłamała. – Chciał mnie zabić.

– Ale to on nie żyje!

- To był wypadek.
- Mamy trupa, nie wciskaj mi kitu o wypadku! Wracaj natychmiast!
- W szpitalu nie jest bezpiecznie. Przyjadę prosto do prokuratury.
- Tylko od razu, bo inaczej będą kłopoty.
- Przyjadę najszybciej, jak będę mogła.
- Colomba!

Rozmowa została przerwana.

– Powinnaś wyjąć baterię z telefonu – mruknął Dante. – Wtedy nie będą mogli cię namierzyć.

– Na razie nie będą mnie szukać. Mamy kilka godzin.

– A co potem?

Colomba przejechała na czerwonym.

– Oddam się w ręce policji.

– I co im powiesz?

– Powiem, że wpadłam w panikę i uciekłam.

– Przecież ci nie uwierzą.

– Nie mają żadnych dowodów, nie mogą mnie zatrzymać.

– A co będzie, jeśli jednak to zrobią? Nie powinnaś ufać De Angelisowi.

– Wtedy będziesz musiał pracować dalej sam, aż znajdziesz jakiś żelazny dowód w sprawie Ojca i małego Maugeriego. Do tego czasu będę trzymała gębę na kłódkę, nawet gdyby chcieli dać mi dożywocie.

– Sam sobie nie poradzę, CC – rozkleił się Dante. – Nie możesz zrzucić na mnie całej odpowiedzialności.

– Wszedłeś do płonącego budynku, żeby mnie wyciągnąć. Radzisz sobie lepiej, niż myślisz. Dziękuję ci za to i za but. Jestem ci winna podwójną przysługę.

Dante usiadł i nachylił się do ucha Colomby.

– CC, Ojciec wie, że wpadliśmy na jego trop. W przeciwnym razie nie zdecydowałby się na zamordowanie policjantki. Takie jawne działania nie są w jego stylu.

Przed oczami przemknęła jej wykrzywiona ze złości twarz Ferrariego. Poczowała, że brakuje jej powietrza.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że mamy mało czasu, bo on niedługo zniknie, zacierając za sobą wszystkie ślady. Mam na myśli Lucę i innych chłopców. Nie będzie dla nich ryzykował wpadki.

– Mamy inne wyjście?

– Nie poddawaj się. Pomóż mi doprowadzić tę sprawę do końca.

– To nie może się udać, prędzej czy później mnie znajdą.

Colomba zaparkowała obok zamkniętej budki z kwiatami, naprzeciw pomalowanej na róż wenecki kamienicy.

Dante zauważył numer 1. Byli na miejscu.

– Dlaczego nie? Są miejsca, gdzie mógłbym cię ukryć, i znam osoby, które przygotowują ci dokumenty...

Colomba odetchnęła głęboko.

– Dante, zrozum, naprawdę nie mogę. Od kiedy pracujemy razem, narobiłam sporo głupstw, ale ciągle jestem policjantką. Jest granica, której nie mogę i nie chcę przekroczyć. – Otworzyła drzwi. – Idziemy.

Dante popatrzył na fasadę budynku i pokręcił głową.

– Przepraszam, nie dam rady.

– Właśnie teraz?

– Mam lepsze i gorsze chwile, CC, dobrze o tym wiesz. Stąd ci pomogę.

– Ciekawe jak?

Wskazał na smartfona.

– Rozmowa wideo na Skypie.

Colomba zrozumiała, że nie ma sensu się upierać, i zrezygnowana wysiadła z samochodu.

– Nie siedź w środku. Policja nie może cię znaleźć w aucie, gdyby przez przypadek przyszło im do głowy je skontrolować... Tylko najpierw usuń odciski palców.

– Dobrze.

Colomba ruszyła w stronę wejścia do budynku, ale po kilku krokach zatrzymała się zdecydowanie. Musiała zadać dręczące ją od dawna pytanie, już dłużej nie mogła zwlekać.

– Czy bardzo cierpiał?

Dante domyślił się, że pyta o Roverego.

– Okropnie. Przynajmniej od pasa w górę, bo dół...

Colomba powstrzymała go ruchem dłoni, żałując, że zdecydowała się zapytać. To była gorzka pigułka, a Dante nie umiał jej osłodzić.

– Dziękuję, wystarczy. Włącz ten cholerny telefon – powiedziała, otwierając drzwi kluczami denata.

Kamienica, w której mieszkał Ferrari, była dobrze utrzymana: miała przeszkloną portiernię w starym stylu, skrzynki pocztowe z ciemnego drewna i cętkowaną marmurową podłogę. Wewnątrz unosił się delikatny zapach cytrynowego dezodorantu. Budynek bardziej kojarzył się z siedzibą biura notarialnego niż z mieszkaniem przestępcy. Bo Colomba nie miała wątpliwości, że niezależnie od tego, co znajduje się w policyjnej kartotece, Ferrari jest mordercą. Nie mogło chodzić o nowicjusza, bo był zbyt zdeterminowany i precyzyjny w ruchach, przynajmniej do chwili zareagowania przez nią na atak. A poza tym, jeśli to rzeczywiście Ojciec go przysłał, to na pewno nie wziął do takiej roboty pierwszego lepszego oprycha z ulicy. Co ich łączyło? Dlaczego Ferrari współpracował z psychopatycznym, seryjnym porywaczem? Przypominała sobie słowa Roverego, że Ojciec nie działa sam. Teraz już miała na to dowód.

Włączyła telefon, który natychmiast zaczął wibrować, informując o nieodebranych rozmowach i esemesach. Szukała jej cała rzymska policja i w tym momencie zdała sobie sprawę z powagi sytuacji. Nigdy wcześniej, nawet w chwilach najgorszej depresji, nie przyszło jej do głowy, że coś takiego może się jej przytrafić. Nie wyobrażała sobie, że może znaleźć się na celowniku swoich kolegów z pracy. Tymczasem właśnie miała zamiar włamać się do mieszkania człowieka, którego niechcący zamordowała – czy naprawdę zrobiła to przypadkowo? czyż z pełną świadomością nie wcisnęła tłoka strzykawki? – odwracając się plecami do swojego dawnego życia w sposób bardziej radykalny i ostateczny, niż gdyby złożyła dymisję.

Colomba poczuła silny, irracjonalny impuls, żeby skontaktować się z kolegami, którzy jej szukali, i podać im miejsce swojego pobytu. W końcu w ciągu ostatnich jedenastu lat to oni byli jej prawdziwą rodziną. Stłumiła tę myśl, przypominając sobie wylatującego w powietrze Roverego, który ostrzegł ją przed niebezpieczeństwem. W tej chwili nikt nie mógł jej pomóc. Skasowała wszystkie komunikaty o przychodzących rozmowach, żeby jej nie kusily, i wyciszyła dzwonek, a zaraz potem na ekranie pojawiła się zielona ikonka Skype'a. Włożyła słuchawkę do ucha i odebrała.

Na wyświetlaczu pojawiła się twarz Dantego otoczona niebieskawą poświatą.

– Jesteś w mieszkaniu?

– Jeszcze nie – szepnęła – szukam właściwych drzwi. – Poszczególne mieszkania oznaczone były jedynie numerami i Colomba, przyświecając sobie telefonem, sprawdzała zamki w poszukiwaniu tego, który pasowałby do klucza. Wchodząc po schodach na kolejne

piętra, przeklinała maniaków prywatności i z każdym stopniem traciła siły. Nogi się pod nią ugiwały i kilkakrotnie musiała oprzeć się o ścianę.

– Zapytaj portiera – odpowiedział jej Dante.

– Niezły żart, tak trzymaj.

Na trzecim piętrze zatrzymała się przed drzwiami oznaczonymi numerem dziewięć, bo wydało jej się, że klucz będzie pasował.

– To tutaj – powiedziała, kierując kamerę we właściwą stronę.

Dante przyjrzał się zamkowi.

– Co zrobisz, jak zastaniesz kogoś w środku?

– Z dokumentów wynika, że był kawalerem.

– Może w łóżku czeka na niego narzeczona.

– Nie sądzę, żeby taki typ miał narzeczoną. W razie czego powiem jej, że Ferrari dał mi klucze, bo mam mu przynieść świeże ubranie. – Włożyła klucz do zamka. – Bardziej obawiam się alarmu.

– Tym się nie przejmuj. Ludzie, którzy mają coś do ukrycia, nie zakładają alarmów, żeby niepotrzebnie nie ściągać policji.

– To prawda – zgodziła się Colomba, przekręcając klucz. Szybko weszła do środka, zatraskując za sobą drzwi.

W ciemnym mieszkaniu czuć było cygara i jakiś słodkawy, znajomy zapach, którego nie mogła zidentyfikować. Coś organicznego, zwierzęcego... Nagle odpowiedź sama wpadła jej do głowy.

*Pies!*

W tej samej chwili usłyszała dobiegający z ciemności stuk pazurów, a potem niskie, gardłowe warczenie. Odsunęła się instynktownie, a zaraz potem ciemna masa uderzyła w drzwi, drapiąc zawzięcie. Colomba po omacku poszukała dłonią wyłącznika i zapaliła światło. Naprzeciw niej stał smukły doberman, obserwując ją i warcząc ostrzegawczo.

– Co się dzieje, CC? – zawołał Dante.

Colomba nie odpowiedziała, zajęta odmierzaniem odległości. W wyższej szkole policyjnej w Ostii przeszła krótkie szkolenie z instruktorem z sekcji kynologicznej. Mężczyzna pokazał wideo, na którym owczarek niemiecki atakował manekina, i udzielił im kilku podstawowych wskazówek: nie patrzeć zwierzęciu w oczy, nie uciekać, nie okazywać strachu. Na końcu objaśnił też, jak unieruchomić zwierzę w razie konieczności. Z tą tylko różnicą, że w czasie ćwiczeń nie powiedziano jej, jak się zachować na widok psa w wąskim przedpokoju, bez użycia broni i nie czyniąc hałasu.

Doberman opuścił uszy, zaszczekał dwa razy i rzucił się Colombie prosto do gardła. Uniosła instynktownie lewe ramię w obronnym geście i zwierzę wbiło zęby w rękę, rozrywając materiał kurtki i zagłębiając je w ciało. Colomba nie próbowała się oswobodzić, wprost przeciwnie przesunęła się do przodu, blokując mu szczęki, aby nie mógł zacisnąć ich

jeszcze bardziej. Upadła na kolana i przez chwilę jej twarz znalazła się na wysokości psich oczu, które wpatrywały się w nią z nienawiścią. Miała wrażenie, że te oczy mówią jej: *Wiem, co zrobiłaś*, zmieniając zwierzę w ucieleśnienie zemsty.

Przeżona Colomba naparła mocniej i zęby dobermana wbiły się jeszcze głębiej w jej ramię. Mocne szczęki miażdżyły ciało, a krew kapała na podłogę, mieszając się ze śliną zwierzęcia. Wolną ręką złapała psa za głowę i przyciągnęła do siebie, aby uniemożliwić mu wypuszczenie zdobyczy i wbicie zębów w inną część jej ciała. Próbował się odsunąć, przebierając łapami i ślizgając się na marmurowej posadzce. Na szczęście nie znalazł punktu oparcia. Colomba nacisnęła jeszcze mocniej. Miała wrażenie, że trzyma w rękach gumowy przewód wysokiego napięcia lub stalowy nóż sprężynowy, aż wreszcie poczuła, że zwierzę traci siły, dusząc się wypełniającym mu pysk mięsem, którego nie może przełknąć.

Ból głowy zdawał się nie do zniesienia, ale Colomba podjęła ostatni wysiłek i przewróciła psa na bok, a potem zaczęła okładać go łokciem po żebrach, celując tam, gdzie powinno znajdować się serce. Próbował się wyrwać, ale ona nie zwalniała uścisku, wymierzając jednocześnie precyzyjne razy. Wreszcie po piątym rozpaczliwym uderzeniu usłyszała trzask łamanych kości, nie wiedziała tylko, czy to jej łokieć, czy psie żebro. Oczy dobermana stały się większe, a strach i cierpienie zastąpiły wcześniejszą nienawiść. Tymczasem ona była aż do chwili, gdy poczuła, że łokieć nie napotyka już żadnego oporu.

– Zdychaj szybciej! – jęknęła. – Proszę cię, umrzyj wreszcie!

Zwierzę zwróciło pokarm i wypróżniło się, ale Colomba puściła je dopiero wtedy, kiedy łapy przestały się poruszać. Usiadła na podłodze, trzymając się za zranione ramię. Oczy psa zaszyły mgłą, a pod jego ciałem, w miejscu, gdzie złamane żebra przedziurawiły wnętrzności, pojawiła się spora kałuża krwi.

Colomba dwa razy poślizgnęła się na bryi krwi i gówna, zanim wreszcie udało jej się podnieść i stanąć. Krwawiące ramię pulsowało w tym samym rytmie co głowa, a w klatce piersiowej czuła piekący ból po kopniakach wymierzonych przez Ferrariego. Weszła do łazienki i zatamowała krew ręcznikiem. Mimo że miała na sobie kurtkę Dantego, zęby dobermana przebiły jej ramię aż do kości i teraz rozpląkała się z bólu, polewając ranę wodą utlenioną. Starła się powstrzymać łzy i jak najdokładniej przemyć miejsce po ugryzieniu, a potem owinęła ramię czystym ręcznikiem, żeby zatrzymać krwotok. Ze smutkiem zauważyła, że zostawia ślady krwi i odciski palców w całym mieszkaniu. *Ale burdel! Zrobiłam tu niezły bajzel!*

Gdyby trafiła na przesłuchanie, miałyby poważne problemy z wyjaśnieniem całego zdarzenia, ale teraz nie chciała o tym myśleć. Była to sprawa zbyt dalekiej przyszłości, zważywszy, że przeżycie każdej kolejnej godziny okupione było tytaniczną pracą. Zataczając się, wróciła do przedpokoju i podniosła komórkę leżącą koło kałuży krwi, która mogła należeć równie dobrze do niej, jak i do psa. Przyglądała się zwłokom ze strachem, jakby mogły ożyć i ponownie zanurzyć ostre zęby w jej ciele. Teraz już nie zdołałaby się



obronić, pozwoliłaby raczej pożreć się żywcem.

Na wyświetlaczu lista nieodebranych połączeń i esemesów zasłaniała zaniepokojoną twarz Dantego, który bez ustanku poruszał ustami. Było ich około dziesięciu, ale skasowała wszystko bez sprawdzania, a potem włożyła słuchawkę do ucha.

– No nareszcie! Już miałem po ciebie iść – powiedział z ulgą.

– W mieszkaniu był alarm – wyjaśniła Colomba słabym głosem. – Czworonożny.

– Widziałem. Biedne zwierzę.

– Jasne, milusi piesek! Co za pierdoły opowiadasz! Zamiast bawić się w obrońcę naszych braci mniejszych, lepiej mi pomóż, bo nie jestem w stanie logicznie myśleć.

– Włącz wszystkie światła i pokaż mi całe mieszkanie.

Colomba zaczęła chodzić po pomieszczeniach, trzymając telefon w wyciągniętej ręce jak egzorcysta krzyż. Mieszkanie Ferrariego miało około dwustu metrów kwadratowych, marmur albo parkiet na podłogach i klasyczne, mahoniowe meble ze szklanymi elementami. Z trzech sypialni tylko jedna wyglądała na używaną, w przestronnym salonie stały panoramiczny telewizor w srebrnej ramce oraz skórzane kanapy, a w kolejnym pokoju była siłownia, zamieniona na komórkę na niepotrzebne graty.

Colomba przeszukała szafy i szuflady, czując powiększający się z każdą minutą ból głowy i ramienia. Kilkakrotnie pociemniało jej w oczach i musiała przemywać twarz zimną wodą. Z lustra patrzyło na nią wtedy oblicze jak z koszmarnego snu.

Nie znalazła niczego kompromitującego, niczego, co można by powiązać z porwanymi dziećmi i skłonnością do przemocy, poza porozwieszanymi po całym mieszkaniu zdjęciami o charakterze wojskowym oraz kolekcją starych ołowianych strzelb i szabli z czasów Garibaldiego i pierwszej wojny światowej, które zdobiły ściany salonu.

– Co o tym myślisz? – zapytała Colomba.

– Sądzę, że kupił lub wynajął już urządzone mieszkanie. Antyki kłócą się z resztą umeblowania i gustem w wyborze odzieży. Czerwona lodówka, telewizor w stylu *Star Trek*... Dużo kasy, mało dobrego smaku. Pokaż mi jeszcze biblioteczkę.

Colomba podeszła do jedynej półki umieszczonej obok wejścia do kuchni, na której stały książki historyczne. Wiele z nich było o faszyzmie.

– A teraz jeszcze łóżko, jeśli możesz.

Colomba przyzwyczała się już do zachowania Dantego i bez słowa wypełniła polecenie. Mażeńskie łóżko było bardzo starannie posłane.

– Zauważyłaś? Posłane łóżko. Ilu znasz facetów, którzy o to dbają? – zapytał Dante.

– Niewielu, zresztą z kobietami jest podobnie. Może ma kogoś do sprzątnia?

– Raczej nie. W zlewie jest brudny kubek. Sam pościelił łóżko. Czy wiesz, jacy mężczyźni instynktownie każdego ranka ścielą łóżka?

– Tacy maniacy jak ty?

– I jeszcze ci, którzy przez lata żyli w organizacjach wymierzających karę, jeśli się tego

nie robi.

– Na przykład w więzieniu?

– Nie, w internacie lub w wojsku. Na korytarzu wisi zdjęcie przedstawiające Ferrariego skaczącego ze spadochronem.

– Samolot jest cywilny.

– Ale samo się nasuwa, że chodzi o byłego wojskowego.

– Jeśli to prawda, to powinna zostać jakaś informacja w dokumentach, a Alberti nic nie wspominał.

– Może zapomniał?

Colomba znalazła jeszcze komórkę denata, którą natychmiast włożyła do kieszeni, kilka rachunków i zamkniętą kopertę z funduszu powierniczego Blackmountain Found Italia, wyglądającą na urzędową. W środku znajdował się wyciąg z konta, który pokazała Dantemu.

– Rozumiesz coś z tego?

– Co nieco. Twój przyjaciel posiadał fundusz inwestycyjny z ubezpieczeniem w Blackmountain, ze zleceniem comiesięcznej wypłaty.

– Co to znaczy?

– Co miesiąc dostawał na rękę mniej więcej sześć tysięcy euro. A to oznacza niezłą sumkę zainwestowaną na giełdzie. Mój ojciec miał coś takiego, ale ja szybko roztrwoiłem cały kapitał.

– Czyli Ferrari żył z procentów?

– Na to wygląda. Znalazłaś jeszcze jakieś zdjęcia?

– W kuchni jest kilka. On i pies.

– A coś starszego? Coś, co pomogłoby poznać jego przeszłość?

Colomba usiadła na łóżku, gniotąc nieskazitelnie ułożoną kołdrę. Miękkość pośłania kusiała ją jak syreni śpiew i przez moment spała z otwartymi oczami.

Głos Dantego przywołał ją do rzeczywistości.

– Colomba, jesteś tam?

– Tak, przepraszam... co mówiłeś?

– Jeśli naprawdę tęsknił za swoją wojskową przeszłością, musiał trzymać jakieś pamiątki z tego okresu.

– Nie wiemy, czy był w wojsku. Może to jakiś nawiedzony pasjonat w typie tych maniaków ze szkoły przeżycia.

– Oni bardzo dbają o formę fizyczną, a jego siłownia wygląda na nieużywaną i zaniedbaną.

– A może po prostu gdzieś indziej ukrył swoje najdroższe wspomnienia?

– Mogłabyś jeszcze raz zajrzeć do szuflad?

– Dante, niedługo zaczną mnie szukać. Znalazłam jego komórkę, może się nam przyda. Nie chcę, żeby koledzy mnie tutaj zastali.

– Jeszcze tylko chwilę, bardzo cię proszę.

Colomba podniosła się z wysiłkiem, chociaż jej wewnętrzny głos nakazywał zostawić wszystko i rzucić się na wygodne łóżko. I nie miało żadnego znaczenia, że to posłanie nieboszczyka. Pokręciła się po mieszkaniu, zaglądając do szuflad i pod szafy, sprawdziła też wszystkie obrazy.

– Nic nie ma. Teraz już naprawdę muszę iść. Ledwo trzymam się na nogach i czas nagli.

– W porządku. – W głosie Dantego słychać było rozczarowanie.

Colomba wróciła do sypialni po rachunki, pozbierała je i już zbliżała się do wyjścia, kiedy Dante zawołał ją ponownie.

– Ale ze mnie idiota... musisz to sprawdzić!

– O co ci chodzi? – Colomba zaczęła znowu tracić głos.

– To zdjęcie na ścianie, to w srebrnej ramce...

– Mów jaśniej...

– Mam na myśli tę starą fotografię wyciętą z wojskowego czasopisma, która jakością różni się zdecydowanie od pozostałych. Dlaczego powiesił ją na wprost łóżka, w miejscu, gdzie miał ją ciągle na widoku?

– Może miała dla niego znaczenie sentymentalne...

– Sprawdź na wszelki wypadek.

– Przecież już sprawdzałam.

– To ostatnia rzecz, o którą cię proszę.

Colomba weszła z powrotem do sypialni i spojrzała na zdjęcie wiszące na ścianie. Już wcześniej obejrzała dokładnie zabezpieczoną z tyłu ramkę. Obserwując przedmiot pod światło, dostrzegła, że zawiera jedynie fotografię czołgu z czasów drugiej wojny światowej. Była śmiertelnie zmęczona, ale musiała zgodzić się z Dantem, że ten wycinek prasowy niedbale umieszczony za szkłem nie pasował do całej reszty. Głos nakłaniający ją do odpoczynku znowu odezwał się ze wzmożoną siłą, ale zignorowała go, odpowiadając jedynie: *już niedługo*, po czym zdjęła ramkę i ponownie zaczęła ją badać.

– Nic tu nie ma – powiedziała, ale w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że się myli. Środek zdjęcia był matowy, bo jakiś przedmiot uniemożliwiał przepływ światła. Odkryła, że z tyłu gazety przyklejono niewielki kartonik, a między nim i papierem znajduje się cienki kwadrat o boku około dziesięciu centymetrów. *Coraz gorzej z tobą, moja droga*, odezwał się głos, który wcześniej zachęcał do spania. *Jasne, że powinnaś odpocząć*.

Colomba owinęła ramkę w róg narzuty z łóżka i uderzyła kilka razy o nocną szafkę. Szkło pękło, a wtedy wyjęła zdjęcie i usunęła kartonik. Na dywanik leżący przy łóżku wypadła stara fotografia zrobiona polaroidem.

Podniosła odbitkę i przyjrzała się jej dokładnie. Na zdjęciu było pięciu mężczyzn w wojskowych mundurach khaki, trzech z nich siedziało na odkrytej przyczepie ciężarówki, dwaj stali obok. Jednym z tych siedzących był na pewno Ferrari, młodszy o trzydzieści lat,

a mężczyzna obok niego bardzo przypominał Ojca z narysowanego przez Dantego portretu pamięciowego. Wszyscy mieli na szyi zawieszane na sznurówkach glany, jakby chodziło o jakiś zabawny rytuał, i palce ułożone w znak zwycięstwa.

– Miałeś rację, Dante – szepnęła. – Nie masz pojęcia, co...

Przerwała, bo zabrakło jej tchu. Poznała jednego z mężczyzn, który stał na przyczepie. Poznała jego uśmiech, był o wiele młodszy niż wtedy, kiedy go zobaczyła, ale poznała jego spojrzenie. Zakręciło jej się w głowie.

– Co znalazłaś? – Dante opierał się o budkę z kwiatami i patrzył na ekran iPhone'a, próbując odróżnić od siebie ciemne plamy. Colomba nie odpowiedziała i po chwili zrozumiał, że kamera pokazuje to, co znajduje się pod jej nogami. Widział smugi na podłodze, pojawiające się na przemian światło i mrok, podczas gdy ona schodziła po schodach, modląc się i przeklinając na czym świat stoi. Zobaczył, jak wychodzi z kamienicy z błędnym wzrokiem, jak chwieje się na nogach, i czym prędzej podszedł bliżej, krzywiąc się na widok jej zmasakrowanego ramienia, z którego kapłała krew. Colomba uciekała w bok oczami i ciężko oddychała.

– CC, co ci jest? Co tam zobaczyłaś? – zapytał przestraszony.

Colomba bez słowa podała mu zdjęcie, po czym usiadła na krawężniku, jakby nie pamiętała, gdzie się znajduje. Dante spojrzał na fotografię i zobaczył twarz mężczyzny, którego nazywał Ojcem. Przez chwilę nie mógł oderwać wzroku od oczu, które zdawały się go przenikać na wylot, dziurawiąc warstwę celulozy. Pomijając mundur, to był ten sam człowiek, który pamiętnej nocy tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku zmierzał w jego stronę z nożem w ręku. Dante wrócił myślami w przeszłość i znowu był chłopcem żyjącym w nieludzkich warunkach. Dopiero kiedy Colomba delikatnie wzięła go za rękę, wrócił do rzeczywistości.

– To nie o niego chodzi – szepnęła i przymknęła oczy.

Dopiero teraz Dante spojrzał na pozostałe twarze. Poznał Ferrariego, który był wtedy ledwie młodzieńcem, ale pozostali wydali mu się obcy. Chociaż...?

Zorientował się, że mężczyzna stojący obok Ferrariego miał w rysach twarzy coś znajomego i chyba właśnie jego Colomba miała na myśli. Wyobraził go sobie starszego, grubszego i z zakolami, a kiedy dodał jeszcze szpakowatą brodę, przeszedł go zimny dreszcz, bo brakujące elementy układanki znalazły wreszcie właściwe miejsce. Uśmiechający się obojętnie do obiektywu mężczyzna nazywał się Emilio Bellomo i był zamachowcem, który wysadził w powietrze restaurację w Paryżu.

Mała dziewczynka w samych majtkach z ogromnym spiralnym lizakiem w ustach przyglądała jej się uważnie. Mogła mieć trzy, najwyżej cztery lata.

– *Estás despierta?*<sup>5</sup> – zapytała.

– Co mówisz? – Colomba była jeszcze otumaniona.

Dziecko nie odpowiedziało i wybiegło z pokoju, krzycząc:

– *Mamá! La policía está despierta!*<sup>6</sup>

*La policía?* – pomyślała Colomba, która nie do końca jeszcze kojarzyła, o co chodzi. Znajdowała się w obcym łóżku w nieznanym pokoju, w którym śmierdziało smażonym jedzeniem. Zza ściany dochodziły wrzaski po hiszpańsku i po włosku oraz dźwięki włączonej na cały regulator gry strzelanki.

Colomba czuła się wypoczęta, ale słaba. Ból głowy ustąpił, natomiast rana na lewym ramieniu ciągle jej dokuczała, chociaż już nie tak bardzo jak poprzednio. Miejsce po ugryzieniu osłonięte zostało czystą gazą, przyklejoną do skóry taśmą klejącą, i trochę swędziało, a na prawym łokciu miała ogromnego fioletowego siniaka, który sięgał aż do przedramienia. Kiedy się poruszyła, poczuła skurcz w okolicy żeber, tam gdzie Ferrari ją skopał, ale chyba obyło się bez złamań. Jak przez mgłę pamiętała, że upadła na chodnik, potem rzucała się w niespokojnym, gorączkowym śnie, budząc się we dnie i w nocy na krótkie chwile, a wtedy ktoś podawał jej napoje i plastikowy nocnik. To była jakaś kobieta o ciemnej karnacji, ale nie mogła sobie przypomnieć jej twarzy, rozmytej przez sen.

Chciała się podnieść, lecz gdy tylko spuściła nogi, zakręciło się jej w głowie, siedziała więc spokojnie, rozglądając się dookoła. W małym ciemnym pokoju stały nierozpakowane pudła z ubraniami, a z okna zasłoniętego zepsutą żaluzją sączyło się światło zachodzącego słońca. Na przeciwległej ścianie wisiały wielki krzyż i plastikowe popiersie Matki Boskiej, ozdobione sztucznymi kwiatami. Colomba była jeszcze trochę oszołomiona, ale miała pewność, że nigdy wcześniej nie widziała tego miejsca.

W drzwiach, przez które wybiegła dziewczynka, stała teraz kobieta, na oko czterdziestoletnia. Miała gęste kręcone włosy i ogromne kolczyki, które pobrzękiwały z każdym jej krokiem. Ona też była Latynoską; nosiła krótką, odsłaniającą pępek koszulkę i obcisłe do granic możliwości dżinsy. Usiadła na brzegu łóżka i wzięła Colombę za rękę.

– *Dónde vas?*<sup>7</sup> – upomniała ją. – Nie powinnaś jeszcze wstawać!

Colomba zdała sobie teraz sprawę, że dała kobiecie przynajmniej piętnaście lat więcej, niż ta miała w rzeczywistości. Oszukał ją mocny makijaż i zniszczona twarz. Wysunęła dłoń.

– Gdzie ja jestem? – zapytała.

– U mnie. Mam na imię Ayelén.

– Czy to ty się mną opiekowałaś? – Colomba dotknęła nocnej koszuli w serduszka. – I ubrałaś mnie w to?

– Ja i moja matka. I moje siostry. Długo spałaś.

– Jak długo?

– Trzy dni.

Colomba przymknęła oczy.

– O kurwa – mruknęła. Policja zapewne uznała ją już za zaginioną. – Gdzie są moje ubrania?

Nieprzyjemny ton głosu Colomby sprawił, że speszona Ayelén przestała się uśmiechać i wstała.

– *No sé*<sup>8</sup> – odpowiedziała.

– A wiesz przynajmniej, gdzie jest Dante? To pewnie on mnie tu przyniósł.

– *El gringo loco?*<sup>9</sup>

– No właśnie.

– Jest razem z moim bratem *en el techo*.

– Przepraszam, nie rozumiem.

– Na dachu.

Colomba skojarzyła język hiszpański z dachem i wszystko stało się jasne.

– Czy twój brat nie nazywa się czasem Santiago? – zapytała groźnie.

– Tak, proszę pani.

Colomba wściekła się tak bardzo, że wstała i nie zważając na protesty, szybkim krokiem wyszła z pokoju. Przeszła przez korytarz, gdzie wisiał ogromny plakat z Che Guevarą, i znalazła się w małym salonie. Jorge Pérez grał na konsoli PlayStation 4, którą podłączył do telewizora, a Colombie przyszło do głowy, że gdzieś już ten sprzęt widziała. Towarzyszyło mu dwóch chłopców w koszulkach i krótkich spodenkach, którzy z podziwem wpatrywali się w ekran, głośno kibicując.

Jorge uśmiechnął się arogancko na jej widok:

– O, dziwka przyszła.

Dzieci roześmiały się i powtórzyły za nim:

– *Putá, putá*.

– Ja ci zaraz dam dziwkę! – ryknęła Colomba, chwytając go za gardło zdrową ręką. – Przestań wreszcie gadać po hiszpańsku, przecież urodziłeś się w Rebibbii<sup>10</sup>.

– Czego chcesz?

– Santiaga. I moje buty.

Pięć minut później Colomba pojawiła się na dachu w glanach, z kocem zarzuconym na ramiona. Dante, który siedział na zapadającej się kanapie i rozmawiał z Santiagiem,

wyraźnie ucieszył się na jej widok.

– Cześć, CC! Miło cię widzieć – zawołał. Miał na sobie kurtkę ze szpanerskim rozdarciem na lewym ramieniu i jasnymi plamami w miejscach, z których usunięto ślady krwi.

Colomba go odepchnęła.

– Nie pierdol, tylko mi powiedz, co ja tu robię?!

Dante się zmieszał.

– Pozwól, że ci wytłumaczę.

– A co tu jest, kurwa, do tłumaczenia? Miałeś zadzwonić po pogotowie albo do Carmina do prokuratury! Czemu ukryłeś mnie w tym chlewie?

– Nie chciałem, żeby cię aresztowali.

– To była obrona konieczna!

– Dante!!! – wrzasnął z tyłu Santiago. – Powiedz jej... *si no rompe las bolas todo el día*<sup>11</sup>.

– Jak cię zdrowo kopnę, to zaraz tobie jaja popękają – krzyknęła Colomba, zadowolona, że nareszcie wrócił jej głos. Santiago pokazał jej w odpowiedzi środkowy palec.

– CC... mam złe wiadomości... – rzekł Dante.

– No jasne, wyobrażam sobie! Oddaliłam się z miejsca przestępstwa i nie można mnie znaleźć! Daj mi telefon albo niech mnie ktoś podwiezie do prokuratury!

– Nie chodzi o Ferrariego – przerwał jej – a przynajmniej nie tylko o niego.

Colomba poczuła dreszcze i szczelniej owinęła się kocem.

– A więc o co?

Dante westchnął.

– Lepiej usiądź, CC.

– Co takiego masz mi do powiedzenia?

– Usiądź, proszę. Bo inaczej nic ci nie powiem.

Colomba miała ochotę potrząsnąć również i nim, ale kiedy zdała sobie sprawę, że jest szczerze zmartwiony, zmieniła zdanie. Chyba rzeczywiście coś poszło nie tak. Usiadła na fotelu ze sztucznej skóry przy stanowisku informatycznym.

– Słucham.

– Szukają cię w związku z zabójstwem Roverego.

Poczuła, że serce podchodzi jej do gardła.

– Co? – wyjąkała ledwo słyszalnym głosem.

– Podczas przeszukiwania twojego mieszkania znaleźli ślady C cztery.

Kolejne ukłucie w okolicy serca, tym razem nieco mocniejsze. Musiała dwa razy przełknąć ślinę, zanim odzyskała zdolność mówienia.

– Kto ci to powiedział?

– Roberto.

– Minutillo? Twój adwokat?

– Tak. Kiedy zemdląłeś, wpadłem w panikę i zadzwoniłem do niego. Przekazał mi

nowinki z prokuratury. Na szczęście ma tam jeszcze przyjaciół.

Colomba nie była w stanie jasno myśleć.

– Jak oni mogli w coś takiego uwierzyć... – Po raz pierwszy w życiu język zaczął jej się plątać, nigdy wcześniej się nie jąkała.

– De Angelis nie może się doczekać, żeby wsadzić cię za kratki i wyrzucić klucze, a mnie umieścić w sąsiedniej celi. Poza tym to on albo Santini mogli spreparować dowody.

Colomba wcisnęła się głębiej w fotel.

– A to... – pokazała palcem na taras – to ma być rozwiązanie?

– Nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Ale kazałem przynajmniej zatrzeć wszystkie twoje ślady. Samochód Ferrariego skończył pod prasą i teraz jest taki malutki. – Rozłożył ręce w znaczącym geście. – A chłopcy Santiaga wyczyścili mieszkanie, używając wybielacza.

– Dlatego telewizor Ferrariego zmienił właściciela?

Dante uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Wiedziałem, że zauważysz, ale dobrze zrobiliśmy, bo dwie godziny później z niewiadomych przyczyn w mieszkaniu wybuchł pożar. Komuś bardziej zależało na zatarciu śladów niż nam.

– Ojcu?

– No właśnie. Uprzedzałem cię. On wie, że czas nagli. Boję się myśleć, co jeszcze może zrobić.

Colomba nadal miała zamęt w głowie. Znajdowała się w obcym środowisku, z dala od znanego jej świata. Nic z tego nie rozumiała.

– Dlaczego Santiago ci pomaga? – zapytała ze zdziwieniem.

– Bo liczy na moją wdzięczność. A także dla pieniędzy. – Dante się skrzywił. – Wydałem wszystkie zaskórniaki. Jeśli wyjdziemy z tego żywi, będę musiał szybko znaleźć sposób, żeby coś zarobić.

– Czy ciebie też oskarżyli?

Dante złą ręką wyjął z kieszeni stronę z gazety. Nie nosił rękawiczki, co oznaczało, że czuł się tu zdecydowanie swobodniej niż Colomba. Była to pierwsza strona z dziennika „la Repubblica”. Na dole po prawej zamieszczono stare zdjęcie Colomby i nieco bardziej aktualną fotografię Dantego. Tytuł artykułu głosił: „TAJEMNICZA PARA CIĄGLE SIĘ UKRYWA – od masakry w Paryżu do podejrzanego zabójstwa w rzymskim szpitalu. Co łączy były policjantkę z chłopcem z silosu?”.

– Wszystko powywlekali: Paryż, masakrę... twoją w niej rolę. No i fakty z mojego życia z dodatkiem wielu plotek. O mnie piszą, że jestem szalony, o tobie, że prawdopodobnie też brakuje ci piątej klepki. Twierdzą, że żywiłaś urazę do Roverego, bo cię odsunął po wydarzeniach w Paryżu.

– Wcale mnie nie odsunął. To ja...



– Ja wiem, ale oni nie. Jeśli się zgłosisz na policję i zaczniesz opowiadać, co odkryłaś, uznają to za potwierdzenie tezy o szaleństwie. Roberto mówi, że mnie szukają, bo uważają, że jestem dobrze poinformowany, ale jeśli wpadnę w ich łapy, to raczej już mnie nie wypuszczą, więc na razie trzymam się z daleka i dotrzymuję ci towarzystwa. – Dante przysunął krzesło i usiadł obok Colomby.

– Ktoś wie, jak to przyjęła moja matka? – szepnęła.

– Wygłosiła w wiadomościach apel, prosząc, żebyś zgłosiła się na policję. Robiła wrażenie osoby nieco... jakby to powiedzieć... melodramatycznej.

Colomba przymknęła oczy. Było znacznie gorzej, niż mogła sobie wyobrazić. Poczwała, jak zapada się w fotel, i zastygła w bezruchu w obawie, że runie w dół piętro za pięciem aż do wnętrza ziemi, pomiędzy najgorszych grzeszników. Jeden ze skazanych na ogień wiekuisty, ten, który śmiał się najgłośniej, miał twarz Belloma.

Otworzyła szeroko oczy.

– Zdjęcie! Gdzie ono jest?

Dante wyjął fotografię z kieszeni kurtki i podał ją Colombie, a ona pomachała nią w powietrzu.

– Bellomo i Ferrari się znali! Muszą to wyjaśnić!

– A co niby mieliby wyjaśniać? Przecież policja dokładnie sprawdziła fakty z życia Belloma i nie znalazła nic, co mogłoby go łączyć z Ojcem, podobnie będzie z Ferrarim. Według twoich kolegów Ojciec nie istnieje. Pewnie uznają, że mężczyzna na zdjęciu to nie Bellomo, ale ktoś podobny. Gdybyś ty sama nie odkryła pewnych powiązań, też byś nie uwierzyła.

Colomba wykrzywiła usta w pełnym rozgoryczenia grymasie.

– Łatwiej przyjąć, że jesteśmy nowym wcieleniem Bonnie i Clyde'a?

– Bonnie i Clyde nie podkładali bomb, a ich sława jest znacznie przesadzona, jeśli wziąć pod uwagę to, co naprawdę robili. – Dante zapalił papierosa złą ręką, jakby chodziło o nonszalancki gest. – Teraz przynajmniej wiemy, dlaczego Rovere nas w to wciągnął. Zaczął zbierać informacje na temat Ojca zaraz po ataku w Paryżu i śmierci żony. Nie zająłby się tą sprawą, gdyby nie dostrzegł związku.

– Jego poczucie obowiązku skłoniłoby go do wszczęcia śledztwa, gdyby miał nawet nikłe dowody.

– To dlaczego działał sam i do tego w tajemnicy? – Dante pokręcił głową. – Nie można usprawiedliwić jego zachowania poczuciem obowiązku, za to poczuciem winy jak najbardziej.

– Niezła hipoteza, szkoda, że nie masz pewności – powiedziała Colomba.

– Mylisz się. – Na twarzy Dantego pojawił się charakterystyczny grymas i w tym momencie Colomba uświadomiła sobie, jak bardzo jej go brakowało. – Nasz nieoceniony Santiago odblokował pendrive'a Roverego.

Szanowny Pan Minister Spraw Wewnętrznych  
Szanowny Pan Prokurator Generalny  
Szanowny Pan Prefekt Policji

*Na początku pragnę przeprosić za odbiegającą od przyjętych procedur formę mojego listu, który powstał w ciągu ostatnich dni po głębokiej refleksji i w wyniku osobistego zaangażowania, ponieważ wszedłem w posiadanie informacji wymagających zastosowania wyjątkowych środków w celu ochrony porządku publicznego i zapewnienia bezpieczeństwa obywatelom miasta, a jedynie najwyższe władze państwowe mogą zdecydować o wprowadzeniu w życie odpowiednich działań.*

*Pisząc te słowa, zdaję sobie doskonale sprawę, że moje postępowanie w ciągu ostatnich miesięcy nie było zgodne z regulaminem, ale zostało podyktowane nadzwyczajnymi okolicznościami, w których się znalazłem. Spróbuję wyrażać się zwięźle i jasno, chociaż z żalem muszę zaznaczyć, że przekazywane informacje zawierają wiele luk i niedopowiedzeń.*

*Ze sprawą, którą polecam Waszej uwadze, zetknąłem się w końcu ubiegłego roku w czasie śledztwa związanego z pojmaniem ukrywającego się przestępcy EMILIA BELLOMA, znanego nam przede wszystkim w związku z morderstwem swej konkubiny ROSSELLI CALABRO oraz zamieszanego w wiele działań o charakterze kryminalnym, o czym świadczą dokumenty w załącznikach. Podczas prowadzonych działań operacyjnych moi współpracownicy nawiązali kontakt z przyjacielem i pomocnikiem Belloma, niejakim FABRIZIEM PINNĄ, skazanym za malwersacje oraz kradzież z włamaniem i rozbój. Bandyta ten w owym czasie cierpiał na raka płuc, był w terminalnej fazie choroby. Pinna w trakcie przesłuchania przez sędziego śledczego oraz funkcjonariuszy mojej jednostki zaprzeczył, jakoby dysponował informacjami użytecznymi w sprawie, lecz później skontaktował się ze mną prywatnie poprzez oddział szpitala, gdzie poddawany był chemioterapii i gdzie moja żona również korzystała z tego typu zabiegów. Być może chodziło o podobne doświadczenie, dość, że Pinna, przepraszając za śmiałość, wyjaśnił mi, że chce zrzucić z serca ciężar, zanim okrutna choroba położy kres jego ziemskiej drodze. Robił to pod warunkiem, że ja osobiście przyjmę jego zeznania i zatrzymam je dla siebie. Nie miałem powodu, aby wątpić w jego zapewnienia, że wybrał mnie, ponieważ uważał, że jestem „uczciwym policjantem” i rozumiem jego położenie związane z krytycznym stanem zdrowia.*

*Ponieważ przyrzeczenie o zachowaniu tajemnicy, którego i tak nie zamierzałem dotrzymać, nic mnie nie kosztowało, po uzyskaniu zgody sędziego śledczego zacząłem*

spotykać się regularnie z Pinną, który stopniowo otwierał się przede mną, opowiadając o swoich relacjach z Bellomem, trwających według niego od grudnia 1989 roku.

W tym czasie Pinna został przydzielony do tak zwanej kompanii karnej, do której trafił po tym, jak poważnie pobił przełożonego w czasie pełnienia obowiązkowej służby wojskowej. Kosztowało go to dwa lata więzienia, po czym został przeniesiony do koszar mieszczących się w pobliżu elektrowni jądrowej w Caorso.

Pewnej grudniowej nocy – dokładnej daty nie pamiętał – Pinna i jego pięciu towarzyszy broni z karneho batalionu zostali niespodziewanie obudzeni i załadowani na zakrytą ciężarówkę, a potem wywiezieni na wieś koło granicy z prowincją Cremona. Tam Pinna i pozostali, wśród których znajdował się mężczyzna nazywany Śmierdzącą Stopą, otrzymali rozkaz całkowitego opróżnienia magazynu wojskowego, mieszczącego się zgodnie ze słowami opowiadającego „w szczerym polu”. Barak wypełniony był meblami typu wojskowego, pudłami z odzieżą, sprzętem medycznym oraz książkami i prowiantem. Mieli wszystko spalić na otwartej przestrzeni, a przedmioty niepalne zniszczyć i zakopać. Nie otrzymali żadnych dodatkowych wyjaśnień, ale Pinna zauważył, że całą operację obserwowali i nadzorowali żołnierze z obcej jednostki, noszący mundury maskujące bez żadnych oznaczeń, wyraźnie obeznani z trwającą procedurą. Do oddziału pozbawionego znaków rozpoznawczych należał Emilio Bellomo, znajomy Pinny z czasów dzieciństwa, które obaj spędzili w prowincji Latina. Mężczyźni zamienili zaledwie kilka słów, z których Pinna wywnioskował, że Bellomo jest przyzwyczajony do tego typu zadań. Rozmowa była krótka, ponieważ Bellomo zdradził Pinnie, że obawia się swego przełożonego, zwanego Niemcem, którego określił jako człowieka niebezpiecznego i brutalnego. Niemiec brał udział w tych akcjach i zdaniem Pinny nie życzył sobie rozgłosu. Pinna opisał Niemca jak mężczyznę średniego wzrostu, dobrze zbudowanego, o byczym karku, blond włosach i charakterystycznych jasnoniebieskich oczach.

Zgodnie z wersją Pinny on i Bellomo nie mieli już ze sobą kontaktu w czasie trwania służby i spotkali się dopiero po roku w rodzinnej miejscowości, gdzie ten ostatni prowadził niemal luksusowe życie. Pinnę traktował zawsze bardzo przyzwoicie, a nawet darzył przyjaźnią, ale bardzo niechętnie wracał w rozmowach do czasów służby wojskowej. Pinna przekazał mi, że odniósł wrażenie, jakby Bellomo czuł się nieswojo w związku z czymś, co się wtedy wydarzyło.

Jedyną informacją, jaką udało mu się wyciągnąć od przyjaciela, a dotyczącą powodów tego niepokoju, była wzmianka o „jakimś chłopcu” i z początku Pinna podejrzewał, że Bellomo miał w przeszłości skłonności homoseksualne, chociaż wiedział o jego związku uczuciowym z Calabro, późniejszą ofiarą, co wskazywało, że jest w tych kwestiach zupełnie normalny. Po zamordowaniu konkubiny Bellomo musiał się ukrywać i pozostając bez środków do życia, skontaktował się z Pinną i stworzyli razem organizację o charakterze przestępczym zajmującą się kradzieżami i rozbojem. Zakończyła ona działalność po

aresztowaniu i osadzeniu w więzieniu Pinny, co miało miejsce w 1999 roku. Pinna oświadczył, że w tym okresie nie utrzymywał ze współnikiem żadnych kontaktów. Wiedział tylko, że ten ciągle się ukrywa, a według informacji od wspólnych znajomych być może przebywał za granicą.

Pinna był już chory, kiedy w 2010 roku wyszedł z więzienia i znalazł pracę jako robotnik w firmie budowlanej, rezygnując ostatecznie z wszelkich kontaktów ze światem przestępczym. Dlatego bardzo się zdziwił, gdy pewnej nocy na początku 2013 roku odwiedził go Bellomo, ranny w strzelaninie w pobliżu Latiny. Zdarzenie miało miejsce podczas rutynowej kontroli drogowej i przestępca, czując się osaczony przez policję, szukał u przyjaciela bezpiecznego schronienia. Przy tej okazji wykawił Pinnie zamiar przekroczenia pieszo francuskiej granicy w celu ukrycia się u kochanki, Caroline Wong, Francuzki chińskiego pochodzenia, zatrudnionej w modnej paryskiej restauracji jako szatniarka. Ponadto według słów Pinny Bellomo przyznał mu się, że popełnił poważny błąd, przyjmując w potrzebie „pracę” zleconą przez byłego przełożonego, wspomnianego już wcześniej Niemca. W ciągu kolejnych dni koniecznych do wyleczenia rany pozostający pod opieką przyjaciela Bellomo powoli dodawał związane z zadaniem szczegóły. Owa „praca” została wykonana w okolicy miasta Fano w regionie Marche, a Bellomo zgodził się ją przyjąć w zamian za sporą sumę pieniędzy, dzięki którym chciał rozpocząć nowe życie. Dodał również, że to, co zrobił, bardzo ciążyło mu na sumieniu, ponieważ po raz kolejny jakiś chłopiec „był w to wplątany” – właśnie takich słów użył Bellomo. Spędził w mieszkaniu Pinny cały tydzień, a kiedy poczuł się lepiej, wyjechał do Francji, informując, jak w razie konieczności można się z nim skontaktować. Ponieważ Pinna nie zdradził Belloma, nawet przebywając w więzieniu, ten uważał go za pewnego i godnego zaufania człowieka.

Sądzę, że w tym momencie powinienem uściślić: zeznania Pinny przytoczone przeze mnie w zwięzłej i chronologicznej formie w rzeczywistości zostały mi przekazane w trakcie kilku spotkań, odbywających się zarówno w moim mieszkaniu, jak i u niego oraz w szpitalu, a charakter tych wypowiedzi był często chaotyczny i przerywany wybuchami złości, płaczu oraz całkowitej afazji. W czasie jednego z takich ataków Pinna wykawił mi, że powody jego współpracy ze mną oraz wyboru mojej osoby związane są z brakiem zaufania do prokuratury i policji. Z upływem lat nabrał coraz większej pewności, że misja, w której uczestniczył w grudniu 1989 roku jako wsparcie jednostki Belloma, miała tak naprawdę związek z poważną katastrofą jądrową w Caorso, ukrytą przez władze przed opinią publiczną.

Pinna utrzymywał, że napromieniowane osoby poddawano leczeniu w tajemnicy właśnie w opróżnianym przez niego baraku, a wspomniany przez Belloma w czasie pierwszego spotkania chłopczyk nie był ofiarą chorobliwych skłonności tego ostatniego, jak początkowo sądził, lecz zmarł na skutek działania promieni radioaktywnych. Na potwierdzenie swoich słów przekazał mi cynowy gwizdek, który Bellomo zostawił u niego, zanim uciekł do Paryża. Pinna uważał, że należał do chłopca, a Bellomo strzegł go zazdrośnie jak swego rodzaju

bolesnego wspomnienia. Pinna był również święcie przekonany, że jego choroba jest skutkiem napromieniowania, którego stał się ofiarą tamtej nocy w 1989 roku, pracując bez żadnego zabezpieczenia.

Jak można stwierdzić na podstawie mojego streszczenia, historia opowiedziana przez Pinnę sprawia wrażenie bredzeń szaleńca. Mimo to, czekając na wskazówki potrzebne do ujęcia Belloma, czułem się w obowiązku sprawdzić niektóre fakty. Odkryłem, jak zresztą przypuszczałem, że w elektrowni jądrowej w Caorso nie doszło do żadnego znaczącego wypadku, jedynie w 1985 odnotowano ulatnianie się lekko radioaktywnego pyłu, jednak żaden z pracowników nie poniósł uszczerbków na zdrowiu. Gdyby w kolejnych latach doszło do jakiegoś wypadku, to z pewnością nie uszłoby to uwadze opinii publicznej, ponieważ elektrownia znajdowała się pod ciągłą obserwacją samowolnych przeciwników energii atomowej, którzy w tamtym czasie byli bardzo aktywni. Świadczy o tym fakt, że wspomniany incydent został szeroko opisany na łamach gazet, a nawet stał się przedmiotem zapytań poselskich w parlamencie.

Również w kwestii służby wojskowej Belloma relacja Pinny nie zgadzała się z dostępnymi informacjami. Zwróciłem się w tej sprawie do ministerstwa obrony, skąd otrzymałem krótką notatkę, zgodnie z którą Bellomo został uznany za niezdolnego do służby wojskowej. Z tego powodu, jak również w obawie, że Pinna zostanie uznany na mało wiarygodnego świadka, przekazałem sędziemu śledczemu zawartość ostatniej części zeznań, która dotyczyła nowego miejsca pobytu Belloma w Paryżu. Informacja ta wydała mi się na tyle prawdopodobna, że po konsultacji z francuskimi kolegami zdecydowałem się wydać rozkaz rozpoczęcia akcji, która miała doprowadzić do jego aresztowania. Biorąc pod uwagę złożony charakter operacji, powierzyłem dowództwo mojej najlepszej policjantce, komisarz Caselli, aby chronić mój oddział przed konsekwencjami, gdyby jednak doniesienia Pinny na temat Belloma okazały się w całości wyssane z palca.

Jednakże dwa poważne w skutkach wydarzenia ugruntowały moją pewność co do wiarygodności zeznań Pinny. Pierwszym był tragiczny rezultat operacji ujęcia Belloma, masakra, o której nie muszę nikomu przypominać. A drugim śmierć Pinny, który odebrał sobie życie, wieszając się w swoim mieszkaniu dokładnie tego samego dnia, w którym nasza akcja zakończyła się porażką.

W tych okropnych dniach, kiedy cierpiałem z powodu straty żony i pogrążony w żałobie starałem się wykonywać obowiązki służbowe, w mojej głowie pojawiła się wątpliwość i mimo że starałem się nie brać jej początkowo pod uwagę, ona wciąż z uporem wracała, dręcząc mnie coraz bardziej. Zacząłem się zastanawiać, czy pomijając urojoną tezę o katastrofie jądrowej, reszta informacji o oddziale Belloma pozbawionym znaków rozpoznawczych może być jednak prawdziwa. Opowiadanie Pinny dotyczące spotkania z Bellomem było żywe i pełne szczegółów, które w przeciwieństwie do innych fragmentów zeznań wydawały się ze wszech miar racjonalne i logiczne. A jeśli przyjąć, że to prawda, to

oznacza, że ministerstwo zataiło pewne fakty, kierując się racją stanu, jak w przypadkach, co należy ze smutkiem stwierdzić, kiedy ukrywa niektóre działania jednostek odpowiedzialnych za walkę z terroryzmem. Męczyło mnie pytanie, czy to ja ponoszę odpowiedzialność za katastrofę, jako że jak mówi powiedzenie, otworzyłem puszkę Pandory z tajemnicą wojskową strzeżoną przez lata. Może chodziło o operacje wywiadu związane z ostatnimi akcjami wywrotowymi z lat siedemdziesiątych, które miały miejsce w pobliżu elektrowni jądrowej?

Nocna praca przy opróżnianiu magazynu, w której brali udział Pinna i Bellomo, mogła dotyczyć likwidacji tajnej komórki operacyjnej zajmującej się obserwacją i podsłuchem, chociaż nie istniały przesłanki mogące usprawiedliwić powtarzające się wzmianki o chłopcu, który stał się ofiarą tychże działań. Jedynym wytłumaczeniem mogła być chęć ukrycia wypadku, do jakiego doszło podczas akcji oddziału, a czego dowódcy postanowili nie ujawniać nawet bezpośrednim przełożonym.

Gdyby tak rzeczywiście było, co oczywiście mało prawdopodobne, mogłoby to oznaczać, że bomba podłożona w paryskiej restauracji oraz śmierć Pinny nie były oderwanymi epizodami, które można usprawiedliwić szaleństwem zdesperowanych osób, lecz akcjami odwracającymi uwagę, a zaplanowanymi przez członków oddziału pozbawionego znaków identyfikacyjnych, aby uniemożliwić odkrycie prawdy na temat wydarzeń sprzed lat. Zdaję sobie sprawę, że moje słowa mogą sprawiać wrażenie, że ja również uległem wpływom obsesji Pinny, ale czułem ciężką na sobie odpowiedzialność za śmierć niewinnych ludzi i chcąc uspokoić sumienie, postanowiłem odkryć, czy jego zeznania były zgodne z prawdą.

W kolejnych tygodniach oddałem się więc gorączkowemu poszukiwaniu jakichkolwiek dowodów potwierdzających słowa Pinny, poczynając od najświeższych informacji, to znaczy od zlecenia, które Bellomo miał wykonać na początku 2013 roku. Ofiarą jego działań stał się, według słów Pinny, kolejny mały chłopiec.

Moją uwagę zwrócił tragiczny wypadek, do którego doszło podczas wycieczki do sanktuarium Beato Rizzerio, położonego w miejscowości Coda di Muccia w prowincji Macerata. W styczniu 2013 roku, w święto Trzech Króli, mały bus wracający z pielgrzymki spadł z urwiska, gdyż kierowca stracił panowanie nad pojazdem. W postępowaniu wyjaśniającym ustalono, że przyczyną wypadku była awaria związana prawdopodobnie z wiekiem auta i jego złym stanem technicznym. Samochodem podróżowali dorośli, dwaj księża i nauczycielka ze szkoły podstawowej, oraz dwaj chłopcy w wieku sześciu i ośmiu lat, należący do parafii Świętego Hilariusza w Fano. Wszyscy zginęli na miejscu. Uderzenie połączone z zapaleniem się silnika doprowadziło do tak poważnych zniszczeń, że nawet identyfikacja ciał okazała się niezwykle trudnym zadaniem. Najbardziej zaskoczyła mnie wyjątkowa zbieżność miejsca i daty wypadku z „pracą” wykonaną przez Belloma, które to zadanie wywołało u przestępcy wyrzuty sumienia, o czym pisałem już wcześniej. Być może samochód został specjalnie uszkodzony, aby doprowadzić do kolejnej bezsensownej katastrofy? Ale po co? Postanowiłem przyjrzeć się sprawie przez pryzmat tego, aby nie

wyszły na jaw koszmary z przeszłości. Czyżby chodziło o zamknięcie na zawsze ust jednemu z pasażerów? Zdaję sobie sprawę, że pomysł wydaje się szalony, niemniej nie mogłem przestać o tym myśleć.

Wykorzystując wolny czas oraz zaległy urlop, którego miałem w nadmiarze, pojechałem zatem na miejsce wypadku, aby zasięgnąć informacji bezpośrednio u lokalnej policji. Zapoznałem się z ekspertyzami rzeczoznawców i w raportach nie natrafiłem na żaden ślad, który pozwoliłby wziąć pod uwagę sabotaż, zważywszy, że Bellomo, jako doświadczony mechanik, nie miałby trudności z celowym uszkodzeniem pojazdu. Dowiedziałem się również, że miejscowi śledczy uznali to za mało prawdopodobny zbieg okoliczności, zwłaszcza że w wypadku zginęli wszyscy pasażerowie. Co ciekawe, kierowca stracił kontrolę nad pojazdem na najniebezpieczniejszym odcinku drogi, tam, gdzie urwisko było najbardziej strome, a bystry nurt płynącej w dół rzeki porwał i porzrzucał szczątki ciał ofiar po okolicy. Odkrycia, których dokonałem, wcale mnie nie zadowolily, co więcej, spotęgowały jeszcze dręczące mnie myśli, że „zbieg okoliczności” był po prostu zaplanowaną w najdrobniejszych szczegółach akcją. Udałem się więc do rodzin zmarłych w poszukiwaniu jakiegoś związku między nimi a tajemniczym oddziałem bez oznaczeń. Pominę milczeniem ogromną litość, którą wzbudziły we mnie osoby pozbawione na zawsze swoich najbliższych. Nieutulone poczucie straty połączone z przekonaniem o własnej winie, którego tam doświadczyłem, sprawiły, że poczułem jeszcze silniejsze pragnienie dotarcia do ukrytej prawdy.

Jedyna dziwna informacja, która wyszła na jaw podczas mojego osobistego śledztwa, pochodziła od rodziców jednego z chłopców. Oświadczyli oni, że znaleźli na progu domu buty dziecka, lecz nigdy nie wyjaśniono, w jaki sposób się tam znalazły. Kilka miesięcy później szczegół ten stał się podstawą do uznania, że moje podejrzenia są uzasadnione, ale kiedy opuszczałem Fano, w głowie miałem tylko mętlik złożony z wątpliwości i zbiegów okoliczności... Dręczył mnie także niepokój, którego nie potrafiłem pokonać. Podczas gdy śledczy uznali szaleństwo Belloma za jedyny powód masakry w Paryżu, ja ciągle szukałem dowodów, które mogłyby obalić lub potwierdzić moje przypuszczenia. Zająłem się badaniem przeszłości Belloma i Pinny w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, co zdarzyło się tamtej grudniowej nocy 1989 roku. I kontynuując dochodzenie, zetknąłem się ze słynnym porwaniem sprzed ładnych paru lat, znanym jako sprawa „chłopca z silosu”. Właśnie wtedy

W tym miejscu tekst zapisany przez Roverego urywał się, strasząc pustą, białą plamą. Ale słowa, które Colomba przeczytała, wystarczyły, aby odnaleźć za nimi dawnego komendanta. Szefa, który zawsze jej pomagał i zawsze ją wspierał; człowieka kierującego się zasadami i niezdolnego do zdrady. Starał się utrzymać swoje śledztwo w tajemnicy, aby chronić instytucje państwowe, i właśnie dlatego ktoś postanowił, że musi umrzeć.

Kiedy Colomba oderwała wzrok od kartek, zauważyła na twarzy Dantego charakterystyczny grymas, chociaż on sam sprawiał wrażenie znacznie poważniejszego niż zwykle. Słońce już zaszło i taras oświetlały teraz jedynie lampy z Ikei na energię słoneczną oraz żar z papierosów Dantego i Santiaga. Haker siedział przy komputerze z Jorgem i wytatuowanym gościem i rozmawiali po cichu, a on stukał jednocześnie w klawiaturę.

– Kto umiera w służbie dla ojczyzny, ten podwójnie żyje – odezwał się Dante, jakby czytając jej w myślach.

– Milcz – zdenerwowała się Colomba.

– Nie spiesz się z przetrawieniem tych informacji. Mnie zajęło to trzy dni i jeszcze nie jestem pewien, czy skończyłem. Szkoda, że twój szef od razu nam wszystkiego nie powiedział – dodał z sarkazmem. – Zaoszczędzilibyśmy trochę czasu.

– Nie chciał... – zaczęła, ale natychmiast zamilkła.

– Tak, wiem – ciągnął za nią rozdrażniony Dante. – Sądził, że wpadł na trop jednego z tysięcy włoskich sekretów, i bał się skandalu. Niestety, to ja byłem tym chłopcem, o którym wspominał Bellomo. Ja albo ten prowadzony na rzeź.

– Nie możesz mieć pewności.

– Oczywiście, że mogę. Przypomnij sobie datę. Grudzień osiemdziesiątego dziewiątego. Właśnie wtedy uciekłem. A oddział Ojca zlikwidował wszystkie ślady. Tymczasem Rovere obawiał się skandalu! Obrzucenia instytucji błotem! – Dante wstał i oparł się plecami o barierkę otaczającą taras. Czarny cień na tle białych świateł miasta odbijających się na niebie. – Mylił się. Minęło dwadzieścia pięć lat. Kogo obchodzi dwoje dzieci, które straciły życie w trakcie jakiejś operacji wojskowej. I tak by zatuszowali całą sprawę.

– Mnie obchodzi. I wielu innych ludzi, którzy odpowiedzialnie i z zaangażowaniem wykonują swoją pracę – oświadczyła sucho. Przeczytane słowa poirytowały ją. – A może uważasz, że wszyscy jesteśmy wielką skorumpowaną szajką?

– Nie, myślę tylko, że macie nad sobą organizacje dysponujące o wiele większymi wpływami.

– Kogo masz na myśli?

– Nie jestem pewien. Wszystko wskazuje na to, że ktoś z kręgów wojskowych był w to zamieszany. Zdjęcie, zeznania Pinny... no i jeszcze Bodini, którego uznaliście za Ojca i który popełnił samobójstwo. On też był związany z armią.

– Naprawdę sądzisz, że mamy przeciwko sobie wojsko? – zapytała Colomba



z niedowierzaniem.

– Teraz raczej nie. Ojciec, chcąc się ciebie pozbyć, zwrócił się o pomoc do starego znajomego. Gdyby miał do dyspozycji wojsko lub służby specjalne, z pewnością wybrałby kogoś młodszego i skuteczniejszego. W tym środowisku zawsze pełno jest mięsa armatniego gotowego do poświęceń. Poza tym zawsze mogliby zabrać cię ze szpitala, pokazując jakiś dokument z niezliczoną ilością pieczętek i podpisów, i teraz siedziałabyś już w Guantánamo. – Przerwał na chwilę. – Ale mówimy o latach osiemdziesiątych... jak myślisz?

– Nie mam pojęcia.

– Ja też nie. Zastanawiam się tylko, dlaczego zostałem porwany, niezależnie od tego, czy zrobiła to prywatna osoba z własnej inicjatywy, czy na polecenie jakiejś instytucji? I dlaczego został porwany ten drugi chłopiec, a potem jeszcze syn Palladinich i Luca? Wiesz, co mnie najbardziej niepokoi? – Dante odwrócił się i pochylony obserwował podwórko. – Przez cały ten czas żyłem w przekonaniu, że padłem ofiarą maniaka, nawet jeśli genialnego, ale jednak szaleńca. A teraz dowiaduję się, że stał za tym cały batalion, który widocznie miał swoje powody. Wyobrażasz sobie? Jaki mógł być powód mojego porwania? Jaki był cel trzymania mnie jak kawałka mięsa na haku w chłodni u rzeźnika?

Colomba wstała i podeszła do niego. Dziwiąc się samej sobie, objęła go ramieniem i ten gest nieoczekiwanie dodał jej otuchy. Od jak dawna już do nikogo się nie przytulała?

– Pinna utrzymywał, że chodzi o spisek atomowy – próbowała obrócić wszystko w żart. – Może miałeś odgrywać rolę królika doświadczalnego?

– Nie zostałem napromieniowany, nie testowano też na mnie żadnej broni biologicznej w postaci śmiertelnych bakterii – odpowiedział z wymuszonym uśmiechem. – Poza blizną na ręce oraz niedożywieniem lekarze nie stwierdzili u mnie zmian. No i w takim przypadku Ojciec nie traciłby pewnie czasu na uczenie mnie czytania i pisanie.

– Myślisz, że chodziło o zemstę?

– Za co? Mój ojciec ma, co prawda, trudny charakter, ale po moim zniknięciu jego życie wywróciło się do góry nogami. Poza tym on nie miał żadnych powiązań ze światem przestępczym ani z armią. Zwolniono go nawet z obowiązkowej służby wojskowej z uwagi na szmery w sercu.

– Niezależnie od tego, jakie były motywy Ojca, kiedy go dopadniemy, już ja się postaram, żeby je wypluł choćby z własną krwią. Obiecuję. – Mówiąc to, Colomba pragnęła wyglądać na bardziej zdecydowaną, niż była w rzeczywistości.

Dante wzruszył tylko lekko ramionami. Starał się nie poruszać. Nie chciał, żeby Colomba się od niego odsunęła.

– Jakie mamy na to szanse?

– Właśnie o to chciałam zapytać.

– Nie wiem, ale jest jeszcze kilka możliwości. Powiem ci teraz, do jakich wniosków doszedłem, kiedy spałaś.

Ku wielkiemu niezadowoleniu Dantego Colomba odsunęła się i wróciła na swoje miejsce.

– Słucham.

Dante oparł się ponownie o barierkę, przyjmując niedbałą pozę.

– Kiedy teza o katastrofie jądrowej została odrzucona, pomyślałem, że piątka współników ze zdjęcia działała w okolicach Caorso nie bez powodu. Wtedy to był najbardziej kontrolowany obszar we Włoszech z uwagi na groźbę zamachów. Nikt obcy się tam nie kręcił, sprawdzano wszystkich wchodzących, zainstalowano kamery. Ale umundurowani żołnierze mogli się poruszać bez problemów.

– A Ojciec był dowódcą oddziału wojskowego, oczywiście, jeśli on i Niemiec to jedna i ta sama osoba – zauważyła Colomba.

– Mogę ci zagwarantować, że nie miał niemieckiego akcentu, ale jestem pewien, że to on. I to on w jakiś sposób spowodował, że twój szef zaczął mieć wątpliwości, a potem przekonał go, że opierają się na faktach. Pamiętasz, kiedy Rovere poprosił cię, żebyś przestała zajmować się tą sprawą?

– Wtedy, gdy pokazałam mu portret pamięciowy sporządzony na podstawie zeznań matki, z którą się spotkaliśmy – powiedziała Colomba, przypominając sobie dziwne zachowanie Roverego i jego natychmiastową zmianę nastroju.

– Wszystko wskazuje na to, że portret zgadzał się z opisem, którego przed laty dostarczył mu Pinna. Rovere zyskał pewność, że wszystko jest ze sobą ściśle powiązane. Przedstawiłaś mu niezbędny dowód i postanowił cię odsunąć od śledztwa, zrozumiał już bowiem, że Belloma i Ojca coś łączy. I że katastrofa w Paryżu może mieć inne wyjaśnienie. A teraz, kiedy Ojciec podłożył bombę i wyeliminował Roverego, wiemy, że to właśnie on, a nie Bellomo, stoi za paryskim zamachem. Wystawił przyjaciela, żeby zamknąć mu usta, a to oznacza, że mu nie ufał.

– Jesteś tego pewien?

– Całkowicie. Przez te wszystkie miesiące niepotrzebnie się zadręczałaś, CC. Nawet gdybyś od razu zastrzeliła Belloma, nic by to nie zmieniło. Bo Ojciec gdzieś tam był i to on uruchomił detonator.

– Jak to? Przecież znaleziono go przy Bellomie... – szepnęła, czując, że brakuje jej tchu.

– Już wiemy, że nie działa sam. Może tam też miał współników.

– O Boże! – Colomba ukryła twarz w dłoniach. Dante nie miał odwagi, żeby się do niej zbliżyć, i nazywając się w myślach tchórzem, rozpiął kurtkę i narzucił jej na ramiona. Uśmiechnęła się z wdzięcznością. – W końcu będziesz musiał mi ją podarować.

– Pod warunkiem że już więcej nie będziesz rozdawała jej kawałków przypadkowo spotkanym psom.

Colomba otuliła się wiatrówką.

– Ojciec musiał mieć do Ferrariego jeszcze mniejsze zaufanie niż do Belloma, skoro zwrócił się do niego później.

– Biorąc pod uwagę rezultat waszej walki wręcz, trzeba mu przyznać rację – zażartował Dante. – Sprawdziłem komórkę, którą zabrałaś z jego mieszkania. Większość numerów nie ma znaczenia, niektóre należałoby sprawdzić, a jeden na pewno prowadzi do Ojca. To numer Skype’a, podobnie jak ten, którego użył do kontaktów z matką Luki, chociaż nie ten sam.

– Chyba już wystarczy dowodów na to, że pracowali razem – zauważyła Colomba.

– Tak, myślę, że tak. – Sięgnął do kieszeni spodni po zdjęcie i wskazał na dwóch nieznanym mężczyznom. – Wracając do umundurowanej grupy, przypuszczam, że ci dwaj są jeszcze mniej godni zaufania albo całkiem wykluczeni z gry. Na przykład nie żyją lub wyjechali za granicę z ładną sumką w kieszeni.

– Ferrari też co miesiąc dostawał przelew – przypomniała Colomba.

– A Bellomo przehulał swoją kasę. Pinna wspominał, że jego kumpel, zanim zamordował narzeczoną, żył komfortowo. Dopiero potem wszystko stracił. To znaczy, że w umowie musiała być klauzula na temat dobrego zachowania.

– Kto ją dołączył?

– Może sam Ojciec? – Dante się skrzywił. – Trudno mi uwierzyć, że to nie on jest szefem. Chociaż w pewnym momencie jemu też zaczęło brakować funduszy.

– Masz na myśli wideo?

– Tak. Gdyby ktoś go finansował, nie musiałby sprzedawać filmu z synem Palladinich. Czyli że teraz działa na własną rękę. Ale ktoś go kryje, ma wspólników, więc przypuszczam, że osoba, która mu pomagała lub wydawała polecenia w przeszłości, ciągle jeszcze ma władzę i możliwości, by go chronić. Zwłaszcza wtedy, gdy na miejscu zbrodni pojawiają się buty. Sądzę, że chodzi o sygnał: „To nasza sprawa, zostawcie nas w spokoju”. I przyjaciele wkraczają do akcji. Zapominają zlecić autopsję jak w przypadku syna Palladinich, szybko wydają nakaz aresztowania podejrzanego, jak zrobili z ojcem Luki...

– Podobnie było z gwizdkiem. Myśleliśmy, że to znak dla ciebie – powiedziała Colomba.

– Teraz już wiemy, że podrzucił go Rovere, żeby zwrócić moją uwagę. Zresztą z tobą postąpił tak samo. Dziwnym trafem miał przy sobie właściwy wycinek z gazety, który pomógł mu cię przekonać. Sprytny był z niego skurwysyn, za przeproszeniem. Praca z nim musiała być bardzo ciekawa.

– Bez wątplenia. Tak jak gra w superlidze – odpowiedziała Colomba, walcząc z kłębiącymi się jej w głowie wspomnieniami. – Poprosiłeś twojego przyjaciela Santiaga, żeby poszukał informacji w bazach Blackmountain? Może znajdzie nazwisko jakiegoś innego beneficjenta?

– Niestety, to niemożliwe. Mamy do czynienia z międzynarodową korporacją finansową z siedzibą w Portlandzie. Jej serwery są bardzo dobrze zabezpieczone. Ta organizacja ma miliony akcjonariuszy na całym świecie, a w radzie nadzorczej niezliczoną ilość banków i firm. Jeśli podasz mi nazwę pierwszego z brzegu dużego przedsiębiorstwa, to mogę się założyć, że będzie miało udziały w tej korporacji. Mam na myśli sektor zbrojeniowy,

producentów tytoniu, przemysł farmaceutyczny i lotniczy, a także wiele stowarzyszeń prowadzących działalność dobroczynną, takich jak na przykład Save the People. – Dante sięgnął po papierosa, ale paczka okazała się pusta. Skrzywił się zawiedziony i podszedł do Santiaga, żeby po chwili wrócić z zapalonym papierosem w ustach i zapasowym za uchem. – Poza tym nie wiemy, czy pozostali z grupy otrzymują pieniądze z tego samego źródła. A nawet gdyby tak było, nie ma w tym nic nadzwyczajnego, to jest tak samo, jak korzystanie z banku. Jest tylko jeden interesujący szczegół, który może mieć dla nas znaczenie.

– Jaki?

– Save the People to jedna z międzynarodowych organizacji, które finansowały Srebrną Busolę, centrum pomocy, do którego chodził syn Palladinich. Pieniądze przestały wpływać dwa lata temu.

– Może to tylko przypadek? – zauważyła Colomba. – Nie mamy pewności, czy Srebrna Busola ma jakiś związek ze sprawą.

– Ale jeśli okaże się, że jednak ma, to znaczy, że Ojciec był opłacany z zagranicy.

– Żeby porywać dzieci?

– Mamy do czynienia z przedsięwzięciem na bardzo szeroką skalę, CC – powiedział Dante jednym tchem. – Jego zasięg sprawia, że mamy kłopoty z ogarnięciem całości. Musimy wrócić do samego początku, do lat osiemdziesiątych i do wątku, który poruszył Pinna.

Colomba skrzywiła się z niechęcią.

– Gdybym była na służbie, zapytałabym w ministerstwie obrony.

– Na szczęście Rovere już to zrobił. Na temat Belloma nie dostał żadnych informacji, ale już o miejscu pobytu Pinny jak najbardziej. Chodzi o koszary wojskowe Annoni. W rzeczywistości była to stara, przystosowana do tymczasowego użytku prochownia. Działała w tym samym czasie co elektrownia jądrowa w Caorso, czyli między osiemdziesiątym pierwszym a dziewięćdziesiątym. Wysyłano tam przede wszystkim notowanych i agresywnych żołnierzy. W ciągu dziewięciu lat przewinęło się przez koszary prawie tysiąc poborowych, z czego około osiemdziesięciu w tym samym okresie co Pinna.

– Mamy nazwiska wszystkich?

– Z tej liczby żyje blisko siedemdziesięciu, są rozsiani po całym półwyspie. Zanim weźmiemy ich na dywanik, chciałbym coś sprawdzić.

– Co takiego?

– Pinna mówił, że w nocnej akcji w magazynie brał udział jego kolega, Śmierząca Stopa, zgadza się? Skoro zapamiętał właśnie jego, to według mnie musieli się przyjaźnić.

– Tak, to możliwe.

– W dokumentach dotyczących Pinny, które Rovere skopiował na pendrive'a, znalazłem doniesienie o bójce, którą wywołał, będąc na służbie. Było to w knajpie znajdującej się niedaleko od mojego rodzinnego domu, a towarzyszył mu dwudziestoletni wówczas

Augusto Pedini<sup>12</sup>.

– Teraz to już puściłeś wodze fantazji – oceniła Colomba.

– Możliwe, ale skoro i tak musimy od kogoś zacząć, to on wydaje mi się idealnym kandydatem. Pojedziemy złożyć mu wizytę. Mieszka w Cremonie – dodał Dante z ponurym błyskiem w oku. – Doskonała okazja, żeby wrócić w rodzinne strony.

Colomba pokręciła głową.

– Jesteśmy poszukiwani, Dante. Nie możemy jeździć sobie po kraju jak gdyby nigdy nic.

– Santiago skontaktuje nas z kimś, kto może załatwić samochód.

– I może jeszcze fałszywe dokumenty, co? – powiedziała Colomba, tracąc cierpliwość.

– To zajęłoby więcej czasu. Ale mój ojciec znajdzie dla nas jakąś bezpieczną kryjówkę.

– Jeśli cię szukają, to na pewno go obserwują.

– Jasne, ale ja znam jego przyzwyczajenia i wiem, gdzie go znaleźć. To jedyna osoba, której ufam, oczywiście poza tobą i Robertem.

– Sama nie wiem...

– A jaki mamy wybór? Możemy siedzieć tu i czekać, aż nas znajdą, albo zgłosić się na policję z nadzieją, że nam uwierzą.

Colomba zastanawiała się, co powinna zrobić. Czarne scenariusze wypełniały jej myśli, a smutek ogarniał duszę. Na początku tej całej historii złamała tylko niektóre obowiązujące ją zasady, ale z czasem wypadki zmusiły ją do ukrywania się i w końcu, wybierając drogę kłamstw i matactw, znalazła się na dnie.

Colomba westchnęła.

– Muszę ufarbować włosy i zmienić ubranie...

– Siostry Santiaga mają wszystko, czego ci potrzeba. Jeśli chcesz, zrobią ci nawet sztuczne paznokcie. Ja też coś wymyślę.

– Kiedy chcesz wyruszyć?

– Jutro rano. W nocy wszystko przygotujemy i o świcie możemy ruszać.

– Lepiej w godzinach szczytu. Nie będziemy się rzucać w oczy.

– Masz rację. – Dante zgasił ostatniego papierosa. – Przynieś mi nową paczkę z dołu, jak będziesz wracała. W mieszkaniu jest pełno papierosów.

– Nie idziesz ze mną?

Dante pokręcił głową.

– Tam jest za dużo ludzi. Mam tu śpiwór i kanapę, a nawet łazienkę, więc niczego mi nie brakuje.

– Jasne, pełnia życia.

– Bardzo mi brakuje mojego balkonu – dodał ze smutkiem. – Naprawdę bardzo.

Colomba zeszła na dół i wpadła w wir życia, którym wypełnione było mieszkanie Santiaga. Wśród domowników dostrzegła teraz trzy nowe dziewczyny, między trzynastym

a szesnastym rokiem życia, oraz matkę, tlenioną grubaszkę, która przyglądała się jej podejrzliwie.

Ayelén przyniosła Colombie butelkę wody utlenionej i pozwoliła wybrać kolor: rudy o mahoniowym odcieniu albo błękitny. Starając się ukryć obrzydzenie, Colomba wybrała mahoń, ale nie chciała pomocy przy farbowaniu. Kiedy była nastolatką, kilka razy zmieniała kolor włosów i miała nadzieję, że sama sobie poradzi. Ayelén zostawiła ją w spokoju, obiecując, że zajmie się ubraniem i przygotuje coś do zjedzenia. Słyszając o posiłku, Colomba zdała sobie sprawę, że jest głodna jak wilk. Zamknęła się w łazience, na ile pozwalały na to rozpadające się drzwi, i zdjęła nocną koszulę. Całe ciało miała pokryte siniakami, a podkrążone oczy sprawiały, że wyglądała jak narkomanka. Poczula litość nad sobą. Wyjęła z wanny ogromny kosz z brudną bielizną i odkręciła kran, żeby umyć włosy. Tymczasem w mieszkaniu rosło zamieszanie: co chwilę wybuchały kłótnie, słychać było krzyki i różne dzwonki telefonów. Wpadła jej w ucho jedna z melodyjek, gdyż była taka sama jak ta, którą starannie wybrała w swojej komórce, uznając, że jest najrzadziej używana. Instynktownie spojrzała w stronę drzwi, zza których dobiegał sygnał, i przez szparę między framugą zobaczyła jedną z nastolatek z telefonem w ręce. Napotkawszy wzrok Colomby, dziewczyna wyraźnie się speszyła i uciekła, a policjantka zauważyła, że komórka nastolatki była identyczna z jej komórką.

*Nie, to niemożliwe*, pomyślała, bo nagle ogarnęło ją złe przecucie. Uznała po prostu, że Dante pozbył się jej telefonu razem z autem Ferrariego, i nie zadała sobie trudu, żeby go o to zapytać.

Ponownie włożyła nocną koszulę i zaczęła szukać dziewczyny. Znalazła ją siedzącą na łóżku w sypialni małżeńskiej. Nastolatka rozmawiała po cichu przez telefon i teraz Colomba była już prawie pewna, że to jej aparat. Kiedy dziewczyna zauważyła, że jest obserwowana, schowała komórkę za plecami.

– O co chodzi? – zapytała.

– Skąd masz telefon?

– Jest mój.

– Pokaż mi. – Colomba wyciągnęła rękę.

Dziewczyna skuliła się ze strachu.

– Skończyły mi się pieniądze... zadzwoniłam tylko dwa razy, przysięgam.

– Dawaj go, ale już! – wrzasnęła Colomba.

Dziewczyna rzuciła komórkę na łóżko i uciekła. Colomba natychmiast usunęła baterię, chociaż dobrze wiedziała, że jest już za późno.

Wybiegła z pokoju i wpadła na Santiaga, który właśnie zszedł z tarasu.

– Ja i Dante musimy się stąd wynosić! I to natychmiast! – rzuciła mu w twarz.

Santiago skrzywił się ze złością.

– Za późno.

W tym momencie przez panujący zgiełk przebiły się dźwięki zbliżającej się syreny.

Dante został na tarasie i położył się na kanapie, okrywając się pozostawioną przez Colombę kurtką. Brakowało mu kofeiny, bo nie chciał brać do ust paskudnej kawy, którą parzyła matka Santiaga, i cierpiał na straszny ból głowy. Zapalił papierosa w nadziei, że nikotyna zdoła uśmierzyć jego niepokój.

*Cremona.*

*Cre-mo-na.*

Powtarzał w kółko nazwę rodzinnego miasta, które było niczym grudka tęsknoty i żalu, a myśl o powrocie wyzwalała najgorsze wspomnienia. Było to dość dziwne, chodziło bowiem o miejsce uważane powszechnie za jedno z najspokojniejszych we Włoszech – leżące w samym środku Niziny Padańskiej, z siedemdziesięcioma tysiącami mieszkańców, przywiązanych do tradycji i historii, do nugatowych słodczy i skrzypiec Stradivariego. *Oczywiście nie licząc dzwonnicy*, dodał w myślach, naśladowując głos lektora z kroniki filmowej czasów wojny, *murowanej wieży najwyższej we Włoszech*. Nigdy nie zdecydował się na nią wejść i nie sądził, żeby tym razem było inaczej.

*Cremona.*

Dante przez lata wierzył, że Ojciec żyje właśnie w tym miejscu, kryjąc się w zakurzonych uliczkach starego miasta, a teraz nagle dowiedział się, że chodziło jedynie o jeden z etapów w jego karierze porywacza i mordercy. I chociaż Cremona nie była dla niego bardziej niebezpieczna niż jakiegokolwiek inne miasto na świecie, Dante trząśł się na myśl o powrocie. Kilka razy odetchnął głęboko, po czym sięgnął po pastylkę z kończącej się powoli rezerwy i połknął ją, popijając wódką z małej butelki, którą trzymał pod kanapą. Liczył na to, że efekt tego połączenia obniży słupek jego wewnętrznego termometru, zbliżający się niebezpiecznie do granicy alarmowej. Usłyszał niepokojący dźwięk i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że dobiega z dołu, z podwórka.

*Syreny policyjne.*

Otworzył szeroko oczy ze zdziwienia, a wtedy na schodach przeciwpożarowych zobaczył postać Colomby, za którą szli Santiago i Jorge. Ona miała na sobie tylko nocną koszulę i glany, ale w ręku trzymała coś, co przypominało worek z ubraniami.

– Znaleźli nas – powiedziała. Nie dodała, o kogo chodzi, nie było takiej potrzeby.

Dante skoczył na równe nogi.

– Jakim cudem?

– Siostra Santiaga bawiła się moim telefonem. Widać, że inteligencja jest dziedziczna



w tej rodzinie.

– Uważaj na słowa, *puta* – wrzasnął Santiago.

Colomba zgrzytnęła zębami.

– Bo co?

Dante wziął ich oboje pod ramię i rozdzielił jak kłócące się dzieci.

– Jak się stąd wydostaniemy?

– Nie ma szans – odpowiedział Santiago, wpatrując się w Colombę. – Moi chłopcy mówią, że policja otoczyła budynek.

– Pewnie zablokowali już wszystkie ulice dojazdowe w okolicy – dodała Colomba. – Ja bym tak zrobiła. Albo nie. Zarządziłabym obserwację bloku i poczekałabym, aż podejrzany sam wyjdzie. W najgorszym razie zaczekałabym do świtu. Bardzo im się spieszy, żeby mnie aresztować – stwierdziła z goryczą.

Santiago poklepał Dantego po plecach.

– Przykro mi, stary. Mam nadzieję, że dotrzymasz umowy i powiesz im, że ja nie mam z tym nic wspólnego.

– Jasne – potwierdził mechanicznie Dante.

Jorge zajmował się już likwidacją stanowiska informatycznego i Santiago poszedł mu pomóc.

– Ile mamy czasu, zanim się tu zjawią? – zapytał Dante.

– W mieszkaniu Santiaga? Jakies pół godziny, pod warunkiem że nikt im nie pomoże. Namierzyli moją komórkę, ale nie wiedzą, że ukrywamy się u Santiaga, w przeciwnym razie przygotowaliby precyzyjną akcję, zamiast stawiać na ilość. Będą sprawdzać mieszkania po kolei.

– No to mamy więcej niż pół godziny, bo łatwo im nie pójdzie.

Słowa Dantego okazały się prorocze, bo właśnie w tej chwili sześć pięter niżej grupa policjantów z oddziałów szturmowych w umundurowaniu używanym podczas tłumienia zamieszek stała naprzeciw zbitej masy wrzeszczących i wściekłych mieszkańców, którzy wypełniali szczelnie klatkę schodową. Między dwoma szeregami kręcił się inspektor Infanti i podniesionym głosem próbował skupić na sobie uwagę.

– Proszę nie przeszkadzać nam w wykonywaniu obowiązków. Szukamy pewnej osoby, która nie mieszka w tej dzielnicy! Nasza akcja nie ma z wami nic wspólnego – krzyczał. Przemknęło mu przez głowę, że jeszcze kilka miesięcy wcześniej poszukiwana była jego bezpośrednią przełożoną. Nie mógł uwierzyć, że jest odpowiedzialna za to wszystko, o co się ją oskarża. Osobiście uważał, że straciła głowę i zaczęła się dziwnie zachowywać, ale żeby podłożyła bombę w mieszkaniu Roverego? Nie, to niemożliwe. Jeśli chodzi o dowody, to ktoś w laboratorium musiał zdrowo namieszać. Nie zdarzało się to po raz pierwszy. Tylko że nikt go nie pytał o zdanie, a większość kolegów nie miała wątpliwości co do winy Colomby.

Gruba kobieta uderzając łyżką o garnek, aby uciszyć zebranych, wysunęła się do przodu. Na głowie miała wełnistą perukę i nosiła sukienkę w pionowe paski, która upodabniała ją do beczi.

– Kogo szukacie? – zapytała z wyraźnym południowym akcentem.

– Nasza akcja was nie dotyczy. Pozwólcie nam wykonywać obowiązki służbowe.

– Szukacie kogoś na naszym terenie i to jest nasz problem. Myślicie, że pozwolimy wam robić, co się wam podoba?

– Sprawdzimy tylko, czy poszukiwana osoba przebywa w budynku. Nikt z was nie będzie miał problemów.

Jakaś staruszka wychyliła się przez poręcz schodów.

– Kłamiesz! – krzyknęła. – Zawsze tak mówicie! Jak zabieraliście mojego syna, to też mówiliście, że to tylko zwykła kontrola.

– Proszę pani... przysięgam, że to prawda – powiedział Infanti, coraz bardziej zaniepokojony obrotem sytuacji. Teraz naprawdę żałował, że nie wziął sobie chorobowego, zwłaszcza że dobrze znał sędziego śledczego De Angelisa, który wydał nakaz aresztowania. Tego osła patentowanego.

W tej samej chwili osioł patentowany stał obok radiowozu zaparkowanego na wprost bramy wjazdowej po drugiej stronie ulicy i przyglądał się z obawą chłopcom stojącym w świetle reflektorów. Dzieci obserwowały go, nie zważając na uzbrojoną eskortę. Mogą mieć co najwyżej dwanaście lat, a już gotowe są chwycić za broń, pomyślał ze smutkiem. Stojący w pobliżu Santini rozmawiał po cichu przez krótkofalówkę.

– Co się tam, kurwa, dzieje? – naskoczył na niego De Angelis.

Ze swego miejsca widział, że policjanci, którzy powinni już dawno rozpocząć przeszukiwanie mieszkań, zatrzymali się przy wejściu na klatkę schodową, a z budynku dobiegały na przemian wrzaski i przekleństwa.

Santini odsunął aparat od ucha.

– Mamy problem z lokatorami – wyjaśnił. – To dość niespokojna dzielnica.

– My też nie powinniśmy udawać spokojnych. Daj im rozkaz do działania.

– Caselli nam nie ucieknie. Poczekajmy, aż sytuacja się uspokoi.

– Nie ma na co czekać. Zaczynajcie.

– Jest pan pewien?

– Przestań zadawać niepotrzebne pytania i rusz się wreszcie – zdenerwował się sędzia śledczy.

– Tak jest!

Santini utorował sobie drogę pomiędzy funkcjonariuszami i stanął obok Infantiego, który ciągle próbował negocjować.

– Dlaczego nie wchodzić do środka? – zapytał.

– Sam pan widzi, *dottore* – odpowiedział spocony podwładny. – Boją się, że mamy zamiar aresztować kogoś z nich.

– I to niejednego! Jeszcze nie zrozumieli, co się święci? No to ja im to zaraz wytłumaczę.

– Santini kazał sobie podać mały megafon i postąpił kilka kroków do przodu. Włączył urządzenie, które zatrzeszczało nieprzyjemnie. – Słuchajcie – krzyknął do megafonu, a jego głos, podobny do dźwięków wydawanych przez robota, odbijał się echem w całym budynku.

– Jeśli natychmiast się nie rozejdziecie, to każę was wszystkich zatrzymać za stawianie oporu policji i utrudnianie działań służbom porządkowym. Zrozumiano? Macie natychmiast wrócić do swoich mieszkań. – Santini opuścił megafon i przez chwilę wokoło panowała grobowa cisza. A potem z któregoś półpiętra poleciała na dół lampka nocna i rozbiła się u jego stóp. – Kto to zrobił? – krzyknął, czerwieniejąc ze złości. Zapomniał nawet o megafonie. – Kto to, kurwa, rzucił?

– Twoja matka – odpowiedział jakiś głos z drugiego piętra. Kilka osób wybuchnęło śmiechem.

Santini na próżno rozglądał się za winowajcą. W końcu wrócił do Infantiego.

– Przygotować się do ataku! – rozkazał.

– Opiszą nas w gazetach, *dottore* – ostrzegł go Infanti.

– Tym lepiej. Następnym razem dwa razy pomyślą, zanim zaczną się stawiać.

Infanti założył na głowę hełm. Ostatni raz zrobił to podczas szczytu G8 w Genewie i nikomu nie wyszło to na dobre. Dał sygnał.

Odgłosy kłótni i zamieszania dotarły na taras na dachu. Colomba stała obok kanapy, na której usadowił się Dante.

– Musisz się ukryć, oni nie wiedzą, że jesteśmy tu razem. Jeśli będziesz miał szczęście, to zwiną się stąd od razu, gdy tylko mnie aresztują. Nie będą niepotrzebnie tracić czasu.

– I co dalej?

– Możesz kontynuować to, co zaczęliśmy.

Dante pokręcił głową.

– To się nie uda, CC.

– Już o tym rozmawialiśmy.

– Nie zgadzałem się na ten pomysł już wcześniej, a co dopiero teraz. – Dante skierował się w stronę Santiaga i Jorgego, do których dołączył ich wytatuowany kumpel. Rozmontowali już prawie cały sprzęt i teraz pakowali go do dwóch dużych plecaków. Podszedł do Santiaga i zaczął mu coś szeptać na ucho.

– Musisz pomóc jej się stąd wydostać.

Santiago ze złością rzucił na podłogę śrubokręt krzyżakowy, którego użył do odkręcenia anteny satelitarnej.

– Jeszcze masz odwagę, żeby prosić mnie o coś takiego!?! *No es suficiente el caos que ha*

*causado?*<sup>13</sup> Wskazał na rozmontowany sprzęt. – *Mira!*<sup>14</sup> Musiałem zlikwidować miejsce pracy. A nieźle tutaj zarabiam! Pomogłem wam! I co? Ściągnęliście mi do domu policję!

– Dobrze wiedziałeś, że to się może tak skończyć. Zrozum, że będzie lepiej dla wszystkich, jeśli jej tu nie znajdą. Dla ciebie też.

Santiago ponownie zajął się komputerem.

– To niemożliwe.

– No to po co ładujecie sprzęt do plecaków? Gdzie chcecie go ukryć?

– Nie twoja sprawa.

Dante zmusił przyjaciela, żeby spojrzał mu w oczy.

– Nie możesz pozwolić, żeby ją aresztowali.

– Dante, jeśli pokażę jej, jak się stąd wydostać, to opowie o tym swoim kumplom glinom! Będę musiał poszukać sobie innego mieszkania. *Entiendes?*<sup>15</sup>

– Przysięgam, że nikomu nic nie powie – oświadczył Dante, mając świadomość, że kłamie. W pewnych kwestiach Colomba nigdy nie zgodzi się na kompromis.

Santiago miał zamiar odpowiedzieć, ale usłyszeli jej krzyk:

– Helikopter! Kryć się!

Dante spojrzał w górę. Z nieba spływał jasny strumień światła, który oświetlając ulicę, zbliżał się do budynku w akompaniamencie nasilającego się huku silnika. Rozmowa pochłonęła go do tego stopnia, że wcześniej niczego nie zauważył.

Colomba wpadła między dyskutujących mężczyzn.

– Wyląduje na dachu? – zapytał przestraszony Santiago.

– Nie, będzie krążył nad okolicą, żeby nikomu nie udało się zbiec, korzystając z ciemności. Jak tylko nas zobaczą, natychmiast zawiadomią tych na dole.

Wytatuowany mężczyzna wskazał na niskie zadaszanie znajdujące się po drugiej stronie tarasu.

– Tam się schowamy!

Daszek o długości około trzech metrów chronił dziesięć prostokątnych doniczek wypełnionych ziemią, w których nie rosła żadna roślina. Była to domowa uprawa marihuany Jorgego, którą zapoczątkował kilka miesięcy wcześniej. Na razie rezultaty były marne, być może dlatego, że blaszane zadaszanie nie przepuszczało światła i należałoby je zmienić na przezroczyste. Santiago ze swoim wytatuowanym kolegą chwycili plecaki i przebiegli przez taras, a za nimi ruszyli pozostali. Przykucnęli przy doniczkach w ostatniej chwili, zanim snop światła zalał taras, a w uszy wdarł się im ogłuszający warkot śmigła.

Dante nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, i w wyrazie twarzy Colomby znajdował potwierdzenie swoich myśli.

– Santiago! – zawołał, próbując przekrzyczeć warkot helikoptera. – Zdecyduj się wreszcie! Powiedz nam, jak się stąd wydostać!

– Jest jakieś dodatkowe wyjście? – zapytała Colomba. – Gdzie?

Ponieważ Santiago milczał, Dante zbliżył się do niego, nie zważając na to, że policjanci z helikoptera mogą go zauważyć.

– Santiago, wiesz, czym my się z CC zajmujemy?

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Gdyby cię naprawdę nie obchodziło, tobyś nam nie pomagał. Nie zapłaciłem ci wystarczająco dużo, żeby pokryć ryzyko. Dobrze wiesz, kogo ścigamy, i wiesz, co on robi z porwanymi dziećmi. A ja już cię trochę znam. Możemy się nie zgadzać w wielu sprawach, ale co do jednej nie mamy wątpliwości: dzieci są nietykalne.

– *Los niños son bendecidos por Dios*<sup>16</sup> – powiedział Santiago bez zastanowienia.

– Jeśli CC trafi do aresztu, nikt nie uwolni porwanych chłopców. Będą musieli cierpieć tak samo jak ja. Przecież znasz moją historię. To są dzieci w wieku twojej najmłodszej siostry, a muszą dorastać jak zwierzęta w klatce.

– Jesteś pewien, że ona je znajdzie? – Santiago ciągle jeszcze nie był przekonany.

– Tak, zrobi wszystko, żeby je uwolnić. A ja jej w tym pomogę.

– Tego *chico*<sup>17</sup> z wideo też?

– Jasne. A jak nam się uda, to będzie też i twoja zasługa.

– Nie słuchaj go – wtrącił się Jorge. – Są gotowi na wszystko, byleby wyjść cało z tego bajzlu.

Santiago spojrzał na niego krzywo.

– Znam tego człowieka. – Wskazał na Dantego. – On nie kłamie.

– A glina? – odezwał się wytatuowany mężczyzna.

– Ona już nie jest gliną. Teraz się przed nimi ukrywa. *Y no me gusta enviar a la gente a la cárcel*<sup>18</sup>.

– Jak możemy się stąd wydostać? – ponaglał przyjaciela Dante.

– Przez piwnice. Wszystkie budynki są ze sobą połączone.

– Tylko że policja otoczyła całą dzielnicę.

– Ale nie park – stwierdził Santiago, wskazując w stronę Trzech Stawów. Były to opuszczone tereny zielonej miejskiej leżące w pobliżu osiedla. – Można się tam dostać z ostatniego bloku.

– Czy w parku będziemy bezpieczni? – Dante zwrócił się tym razem do Colomby.

– Jeśli się pospieszymy, to mamy szansę. Ale będziemy potrzebowali auta.

– Santiago, możesz to załatwić?

– *No crees que estás exagerando?*<sup>19</sup> – wtrącił się Jorge. – Mamy podarować twojej przyjaciółce jeszcze samochód?

– Ja cię o nic nie prosiłam – obruszyła się Colomba.

– A ja owszem – powiedział Dante. – Nie po to przedostaniemy się do parku, żeby dać się złapać. Poza tym zaraz by się domyślili, skąd się tam wzięliśmy.

Santiago prychnął ostentacyjnie, ale potem wydał polecenie wytatuowanemu wspólnikowi:

– Zadzwoń do Enrica i powiedz mu, żeby zostawił na zakręcie czysty samochód z kluczykami w stacyjce.

– Zadbałeś o kompletny pakiet dla tej dziwki – odezwał się wściekły Jorge. – Naprawdę cię nie rozumiem!

– Właśnie dlatego to ja jestem tu szefem – przypomniał mu Santiago. – *Tiene usted algun problema conmigo?*<sup>20</sup> – dodał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Nie – zakończył szybko dyskusję Jorge.

– Nie damy rady zejść do piwnicy – zmartwił się Dante. – Na schodach jest pełno policjantów.

– Przejdziemy przez sąsiedni budynek. Znam drogę. – Santiago skinął na swoich pomocników. – Ja wyprowadzę stąd Dantego i policjantkę. Wy dwaj weźmiecie *las mochilas*<sup>21</sup> i pójdziecie za nami.

Podczas gdy wytatuowany koleś dzwonił do Enrica, Colomba obserwowała helikopter, który kreślił wielką ósemkę nad osiedlem i pobliskimi ulicami. Muszą ruszyć, kiedy będzie daleko, wtedy może uda im się niezauważenie zejść z dachu, ale istnieje ryzyko, że znajdą się w polu widzenia, wchodząc do drugiego bloku. Jedyne sposoby, jakie im pozostaje, to pokonać ten odcinek biegiem.

– Daj znak – powiedział Santiago do Colomby, zdając sobie sprawę, że stara się obliczyć czas, jaki mają do dyspozycji.

Helikopter odleciał, a taras pogrążył się w ciemnościach.

– Jeszcze dwie sekundy. – Colomba odliczała w myślach. – Teraz!

Cała piątka ruszyła biegiem za Santiagiem. Pierwszy etap był stosunkowo łatwy. Metalowe schody przeciwpożarowe prowadziły z dachu do przejścia łączącego dwa sąsiednie bloki. Schody były zabezpieczone spiralną barierką, a więc pokonali je dość szybko, przytrzymując się poręczy. Colomba przez cały czas szła za Dantem, nie chcąc spuszczać go z oczu nawet na chwilę. Zauważyła, że świetnie daje sobie radę. Ona również mogła polegać tylko na jednej ręce, bo w drugiej trzymała worek z ubraniami. Najtrudniejsze zadanie mieli Jorge i ich wytatuowany kumpel, którzy musieli zdjąć plecaki, żeby nie zaklinować się w obręczach, i schodzili, trzymając je na głowach.

Przez galeryjkę dotarli na taras, gdzie przywarli do ściany, czekając, aż helikopter odleci, po czym pobiegli na drugą stronę, w kierunku zardzewiałych żelaznych drzwi o wysokości mniej więcej metra, pokrytych wulgarnymi napisami. Z dołu dobiegały odgłosy krótkofalówek i rozmów funkcjonariuszy. Ustały natomiast krzyki mieszkańców, co oznaczało, że policja zdołała zmusić ich do opuszczenia klatki schodowej.

Na drzwiach wisiała masywna kłódka, którą Santiago otworzył, umożliwiając im przejście.

– Jesteśmy na miejscu.

Colomba włożyła głowę do środka. Wewnątrz panowały nieprzeniknione ciemności. Pożyczyła od Dantego zapalniczkę i oświetliła szyb. Po jego bokach widać było szyny windy, a pięć, sześć metrów niżej dostrzegła dach kabiny. Można tam było dotrzeć, wykorzystując wąską drabinkę pozbawioną zabezpieczenia.

– Czy ta winda działa? – zapytała szeptem. – Nie mam zamiaru zamienić się w naleśnik.

– Nigdy nie działała – uspokoił ją wytatuowany chłopak. – Musimy zejść aż na dach kabiny i wtedy będziemy w piwnicy.

– Ja pójdę pierwszy – zdecydował Santiago.

Odwrócił się plecami do wejścia i po chwili jego głowa zniknęła w tunelu.

– Twoja kolej, Dante – powiedziała Colomba.

Ale on stał jak zahipnotyzowany przed drzwiami. Wpatrywał się w ciemny otwór szeroko otwartym oczami, dysząc ciężko: miał przed sobą wygłodniałą paszczę, ciemny wir, który tylko czekał, żeby go wchłonąć. Tajemnicza siła przyciągała go do szybu i musiał wykorzystać całą siłę woli, żeby kontrolować swoje ciało i nie pozwolić mu rzucić się w dół. Nie był w stanie oderwać wzroku od tunelu. Nie chodziło tu o zwykły strach. Czuł się jak skazaniec obserwujący ostrze gilotyny, które ma pozbawić go głowy. Miał pewność nieuchronnej śmierci czającej się w pobliżu.

– Nie dam rady – wyjąkał. – W piwnicy mógłbym jeszcze jakoś wytrzymać, ale to... to zdecydowanie ponad moje siły.

– Dante, to nasza jedyna szansa.

Pokręcił głową i z widocznym wysiłkiem spojrzał na Colombę.

– CC... naprawdę nie dam rady. Przykro mi. Ty idź.

– Potrzebuję cię.

Dante pocił się obficie.

– Mówiłaś, że jeśli nas rozdzielią...

– Jeśli nas rozdzielią, ty możesz dalej zbierać informacje. Ja nie. Bez ciebie nigdy nie znajdę Ojca.

– Ja jestem dla policji jedynie świadkiem. Zobaczysz, wypuszczą mnie... i potem do ciebie dołączę. – Połykał sylaby ze zdenerwowania. – Musimy ustalić jakiś kod, żeby się porozumiewać... to nic trudnego. Nie odkryją, że pozostaliśmy w kontakcie.

– Dante, przecież wiesz, że to niemożliwe.

– Proszę cię...

Colomba spojrzała na Jorgego.

– Dajcie mi plecaki.

– Po co?

– Zniosę je na dół. No już.

Może sprawił to ton jej głosu, a może sytuacja, dość, że obaj mężczyźni posłuchali.

Colomba wrzuciła do otworu worek z ubraniami, ostrzegając Santiaga, żeby go złapał, po czym przewiesiła plecaki przez ramiona. Każdy z nich ważył około piętnastu kilogramów i poczuła, jak ciągną ją do tyłu. Pomyślała, że musi schodzić bardzo ostrożnie.

– A co z nami? – zapytał wytatuowany chłopak.

– Mieście go na oku. – Wskazała na Dantego. – Zniosę na dół sprzęt, a potem wrócę i razem pomożemy mu zejść.

– CC... nie możesz mi tego zrobić – jęknął Dante.

– Przykro mi – odpowiedziała, nie patrząc mu w oczy. – Ruszcie się, bo inaczej was zobaczą. Helikopter jest coraz bliżej!

Dante zrobił ruch, jakby chciał uciec, ale wytatuowany chłopak już stał za jego plecami i tarasował drogę, a potem jedną ręką zasłonił mu usta, zduszając krzyk. Jorge rzucił Colombie piorunujące spojrzenie, a potem pomógł kumpłowi obezwładnić Dantego, który miotał się jak szalony. Ścisnęło się jej serce, gdy na to patrzyła, ale powtarzała sobie, że to jedyne wyjście, i zaczęła schodzić najszybciej jak umiała, ryzykując upadek. W połowie drogi straciła równowagę i żeby nie spaść, musiała chwycić się jednej z wysmarowanych towotem szyn.

W dole pobłyskiwało żółtawe światełko. Santiago trzymał w ręce latarkę na baterie.

– Gdzie reszta? – zapytał, gdy tylko stanęła obok.

– Trzymają Dantego, zaraz po niego idę.

– To nie miejsce dla niego, co?

– Nie musisz mi o tym przypominać.

Pozbywszy się plecaków, Colomba już bez trudu weszła na górę. Kiedy znalazła się pod drzwiami, zastukała cicho. W otworze pojawiła się najpierw głowa Dantego, a potem górna część jego korpusu. Otworzył usta, jakby chciał wzywać pomocy, i Colomba musiała szybko zareagować.

– Proszę cię, nie krzycz, pomogę ci – szepnęła mu do ucha.

Dante westchnął i pokręcił głową.

Colomba na wszelki wypadek nie cofnęła dłoni zakrywającej jego usta.

– Ty mnie tutaj ukryłeś, a ja cię stąd wyprowadzę – powiedziała. *A przynajmniej spróbuję*, dodała już w myślach. Rozkazała dwóm Cuchillos, żeby go zepchnęli, i w tej samej chwili poczuła na sobie cały ciężar mężczyzny, który uchwycił się jej kurczowo. Jedną ręką przytrzymała się drabinki, drugą objęła Dantego. Nie krzyczał, ale ciężko oddychał, nie patrząc na nią. Pomyślała, że może im się udać, jeśli wszyscy czworo nie spadną na dach kabiny. Wtedy właśnie wejście do szybu oświetlił snop reflektorów helikoptera.

Wpadli.



Wiadomość o dziwnym zamieszkaniu na dachu przekazano natychmiast do centrali operacyjnej, a stamtąd przez krótkofalówkę do Siena Uno, czyli do Santiniego, bo litera S oznaczała dla wtajemniczonych szefa SIC. Ludzie z oddziału do walki z przestępczością zorganizowaną nazywali go też *succhiacazzi*<sup>22</sup>, bo niezbyt cenili aroganckiego kolegę. Funkcjonariusze zdolali w międzyczasie opanować bunt lokatorów, których większość zgromadzono pod obstawą na dziedzińcu, a niektórych zakuto nawet w kajdanki. Nie obeszło się bez drobnych obrażeń głowy i kilku złamań. Przeszukiwano właśnie mieszkania na trzecim piętrze, kiedy Santini po odebraniu wiadomości skierował siły do sąsiedniego budynku, zostawiając jedynie kilku ludzi do ochrony zatrzymanych, zrozumiał bowiem, że Colomba próbuje im się wymknąć.

Tymczasem uciekinierzy dotarli już na poziom ulicy. Pokonanie szybu z windą i labiryntu piwnicznych korytarzy odbyło się w ogromnym pośpiechu. Przez całą drogę Colomba obejmowała Dantego, żeby go podtrzymać, dodając mu jednocześnie odwagi, i nie przestawała szeptać mu do ucha słów zachęty, jakby był małym dzieckiem. Dante nie reagował, tylko poruszał się jak automat. Wycofał się w zakamarki swojej świadomości, w ukryte tam jasne i bezpieczne miejsce. Oczami wyobraźni widział kwiaty i motyle, sztuczne ognie i gwiazdy. Kontakt z rzeczywistością zapewniała mu jedynie okolica ruchowa mózgu, pozwalająca na poruszanie kończynami.

Santiago przeprowadził grupkę przez wielką piwnicę wypełnioną różnymi rupieciami, potem przez korytarz łączący dwa budynki i przez kolejną piwnicę. Biegli ostrożnie, bardzo się starając, by nie robić hałasu. Od czasu do czasu z ulicy znajdującej się nad ich głowami docierały sygnały krótkofalówek, a w pewnym momencie niemalże wpadli na grupę policjantów, którzy biegli w przeciwnym kierunku. Z biegiem lat piwnice przekształciły się w niekontrolowany teren, na którym obowiązywało prawo silniejszego. W niektórych zalegały śmieci i gruz, inne powiększono nielegalnie, burząc ścianki działowe i tworząc z połączonych pomieszczeń gospody, pokoje gościnne, sejfy kryjące towary niewiadomego pochodzenia czy spiżarnie.

Na skrzyżowaniu dwóch korytarzy Colomba zauważyła kącik do grillowania i peruwiańską rodzinę, która przygotowywała sobie kurczaka z rożna pod kratką wywietrznika prowadzącego na parking, zupełnie nie zważając na wilgoć czy zamieszanie. W niektórych miejscach drogę zagraadzały drzwi opancerzone i prowizoryczne kraty, ale Santiago miał odpowiednie klucze i znał wszystkie tajne przejścia.

Wreszcie dotarli do drzwi zamkniętych na taką samą kłódkę jak ta broniąca dostępu do szybu windy, którym zeszli do piwnic. Santiago otworzył zamek; w pomieszczeniu leżało kilka poobijanych muszli klozetowych.

– Na pewno wyjdziemy stąd do parku? – zapytała zaskoczona Colomba.

– *Exactamente*<sup>23</sup> – potwierdził Santiago. – Ale musimy jeszcze pokonać najtrudniejszy odcinek. – Skierował snop światła na regał wypełniony puszkami z farbą. – Przesuńcie go – rozkazał.

Jorge i jego wytatuowany kolega posłuchali natychmiast, odsłaniając otwór w ścianie o średnicy około jednego metra, po czym stanęli na czatach.

Colomba spojrzała na Dantego: żadnej reakcji. Sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał, o co chodzi. Całkiem nieźle, pomyślała, zdając sobie sprawę, że sama go nie utrzyma.

– Czy to wy wykopaliście ten tunel?

– Dwa miesiące ciężkiej pracy – oświadczył z dumą Santiago. Wyjaśnił, że kilka metrów dalej jest kanał odprowadzający deszczówkę, który biegnie z parku i wpada do kolektora ściekowego pod budynkiem. Członkowie Cuchillos wykopali odgałęzienie, którego używali jako wyjścia awaryjnego w przypadku policyjnych nalotów. Kiedy padało, tunel wypełniał się wodą i czasami przejście okazywało się niemożliwe, ale teraz pogoda dopisywała i nie powinni mieć problemów.

– To tędy uciekłeś dwa lata temu, kiedy otoczyliśmy budynek? – zapytała Colomba.

Uśmiechnął się.

– Byłem niewinny, tak samo jak ty.

Wytatuowany chłopak wpadł biegiem do piwnicy.

– Gliny już tu idą. Słyszeliśmy kroki i krótkofalówki.

– Czas na was. – Santiago podał latarkę Colombie i poklepał po plecach Dantego, który ciągle był nieobecny duchem i ze spokojem przyjmował wszystko, co się wokół działo. Nie zareagował nawet wtedy, gdy Colomba popchnęła go do wąskiego tunelu, w którym śmierdziało ściekami.

Przechodząc przez otwór, Colomba odwróciła głowę i spojrzała na Santiaga.

– Dziękuję – powiedziała niechętnie.

– O, jaka jesteś dobrze wychowana. – Pożegnał ją ze śmiechem i zatarasował przejście.

Trzech chłopaków z Cuchillos wybiegło z piwnicy i zamknęło drzwi na klucz. Następnie rozdzielili się, żeby ukryć plecaki ze sprzętem. Santiago był już w połowie drogi do wyjścia, gdy trafił na Santiniego prowadzącego grupę policjantów. Zrozumiał, że wpadł jak śliwka w kompot. Funkcjonariusze przyparli go do muru i bez zbędnych ceregieli zakuli w kajdanki, podobnie jak zrobili ze wszystkimi, których znaleźli w piwnicach.

– Gdzie ona jest? – wrzasnął Santini, podsuwając mu pod nos zdjęcie Colomby.

– W życiu jej nie widziałem – odpowiedział Santiago z szyderym uśmiechem na ustach.

Santini polecił wywrócić do góry nogami wszystkie piwnice, a nawet zburzyć ściany, jeśli

to będzie konieczne. Tymczasem policjanci wyprowadzili Santiaga, który wsiadając do przepełnionej suki, myślał z sympatią o szalonym gringo ratującym dzieci i policjantce o oczach przeszywających na wskroś.

– *Mucha suerte y adelante, compinches*<sup>24</sup> – szepnął. Po raz pierwszy w życiu życzył powodzenia komuś, kto nie należał do jego rodziny lub grupy.

Colomba i Dante czołgali się w kierunku wyjścia z tunelu. Albo raczej Colomba się czołgała, popychając Dantego, który z zamkniętymi oczami poruszał się jak sprężyna i często kończył z twarzą w błocie. Po pokonaniu jakichś dziesięciu metrów ziemię wokół nich zastąpił cement i Colomba zrozumiała, że dotarli do kolektora. Teraz mogli poruszać się na czworakach, a powietrze z każdym metrem stawało się świeższe i chłodniejsze. Za jednym z zakrętów natrafili na cementowy stopień blokujący przejście, a wolną przestrzeń między nim i sklepieniem zamykała metalowa płyta sprawiająca wrażenie stabilnej.

Colomba przestraszyła się, że Santiago naumyślnie wprowadził ją w błąd. Poczowała się jak mysz w pułapce. Zbliżający się atak paniki tamował jej oddech, a w świetle latarki zaczęły migotać znajome cienie.

– O kurwa, tylko nie teraz – jęknęła i z całych sił popchnęła blachę, zapierając się o ścianę. Płyta spadła z hukiem na drugą stronę, a w tunelu pojawiło się słabe, blade światło spływające z góry. Colomba przepchnęła Dantego przez otwór, potem wrzuciła worek z ubraniami i na końcu sama przeszła na drugą stronę. Wpadła do kanału – szerokiej cementowej rury w kształcie litery V. Dno było suche, a wierzchołek skierowany ku niebu i ukryty pomiędzy korzeniami i gałęziami.

Zgasila latarkę, żeby nie zwracać na siebie uwagi, i kiedy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, za drzewami dostrzegła zarys budynków, które właśnie opuścili. Helikopter krążył nad dachami jak olbrzymia wściekła mucha.

Pochyliła się nad Dantem, który leżał z głową w kupie liści, łapiąc powietrze ustami. Był cały pokryty kurzem i ziemią, a smar z windy zostawił na jego twarzy i ramionach długie czarne smugi. Potrząsnęła nim i zobaczyła w jego oczach słaby blask życia.

– Jesteśmy na zewnątrz – powiedziała. – Udało się.

Dante nie poruszał się przez kolejną chwilę, ale w końcu świeże powietrze i naturalne światło przywróciły go do rzeczywistości.

– Gdzie na zewnątrz? – zapytał słabym głosem.

– Potem ci wyjaśnię. Dasz radę wstać?

Kiedy zobaczyła, że się nie rusza, chwyciła go za ramiona i postawiła, a potem popchnęła wzdłuż kanału biegnącego wśród drzew. Miejscami musieli omijać sterty gałęzi i kamieni czy kałuże wypełniające dziury w cemencie. O tej porze park był opustoszały i Colomba dostrzegła powierzchnię sztucznego stawu, otoczonego taśmą sygnalizującą prace konserwacyjne.

W końcu doszli do ogrodzenia oddzielającego park od ulicy. Colomba nie dostrzegła w pobliżu radiowozów i odetchnęła z ulgą, dziwiąc się, że tak szybko nauczyła się traktować swoich dawnych kolegów z pracy jak nieprzyjaciół.

– Poczekaj tu – powiedziała do Dantego. Schowała się za pobliskim drzewem i zdjęła nocną koszulę, czy raczej postrzępioną szmatę, w którą się zamieniła, a potem założyła ubranie otrzymane od siostry Santiaga: parę dżinsów, koszulkę z fałszywym logo Giorgia Armaniego i golf. Poczła się nieco lepiej, chociaż gotowa była oddać litr krwi za ciepły prysznic – błoto oblepiało ją od stóp do czubka głowy.

Kiedy wróciła do Dantego, zastała go w tej samej pozycji. Obserwował helikopter, który zataczał coraz szersze kręgi nad ich głowami.

*Musieli odkryć, że opuściliśmy budynek*, pomyślała. Teraz wyślą wszystkie dostępne patrole na ulice i zwiększą kontrolę.

– Dasz radę przeskoczyć przez ogrodzenie? – zwróciła się do Dantego.

Pokiwał głową, ale akrobacje okazały się niepotrzebne, bo siatka w kilku miejscach była poprzerrywana i bez trudu przeszli na drugą stronę.

Kilka metrów dalej, na zakręcie obok bramy wejściowej do parku, stał zaparkowany szary opel corsa z kluczykami w stacyjce. Brakowało jedynie wstążki i karteczki z życzeniami, ale Colomba i tak wiedziała, że to prezent od Santiaga. *Ostatni, jak na razie*, powiedziała do siebie. Biorąc pod uwagę jego notowania, słusznie przypuszczała, że skończy w więzieniu, chyba że jakimś cudem uda mu się dowieść swojej niewinności.

Pomogła Dantemu położyć się na tylnym siedzeniu i usiadła za kierownicą. Poczła w tym momencie ciężar całej tej sytuacji niczym ołowianej lawiny łamiącej kości. Pomyślała, że nie powinna się dłużej łudzić, bo nigdy nie zdoła udowodnić, że nie ma nic wspólnego z bombą w mieszkaniu Roverego. A tymczasem Ojciec nadal – dopóki pozwoli mu na to wiek i siły – będzie znęcał się nad porwanymi dziećmi. Chciało jej się płakać i mocno zacisnęła dłonie na kierownicy, żeby odzyskać nad sobą kontrolę. Nie mogła pozwolić sobie na słabość, bo jeśli upadnie, nikt nie pomoże jej się podnieść.

Dante, jakby słysząc jej myśli, mruknął z tylnego siedzenia:

– Kiedy ruszamy?

Szybkim ruchem otarła łzy, udając, że wszystko jest w porządku.

– Teraz – powiedziała zachrypniętym głosem i przekreśliła kluczyk w stacyjce.

Kiedy Santini z Infantim znaleźli wreszcie wejście do tunelu ukryte za szafką z farbami, Dante i Colomba byli już daleko.

Podróż okazała się długa i uciążliwa. Nie mogli korzystać z autostrady ani z dróg szybkiego ruchu, jeśli chcieli uniknąć kamer i patroli, więc Colomba wybrała drogę wojewódzką prowadzącą do via Aurelia, która łączyła Rzym z północnymi Włochami. Często zjeżdżali także na drogi gminne, aby ominąć blokady i kontrole. O drugiej w nocy, kiedy ruch praktycznie ustał i nie mogli liczyć na włącznie się w sznur samochodów, zaparkowali na ubitej ziemi za drzewami i czekali na świt, zapadając od czasu do czasu w krótki, niespokojny sen, bo napięcie i niepokój nie pozwalały im na prawdziwy odpoczynek. Ich rozmowy dotyczyły wyłącznie Ojca i porwanych przez niego dzieci, zastanawiali się, co z nimi robi i jakie motywy nim kierują.

Dante przyszedł już nieco do siebie, ale był ponury i pogrążał się w swoich myślach. Niezbyt dobrze znosił nową rolę – ściganego przez policję podejrzanego, zamkniętego w aucie śmierdzącym potem i ściekami. Potrzebował kąpieli i gorącej kawy, wygodnego łóżka i bezpiecznego miejsca na odpoczynek. Ciągle jeszcze nie miał normalnego kontaktu z rzeczywistością, która momentami znikła mu jak przelatujący przez palce piasek, a wtedy wracał do jednej z najbardziej bolesnych chwil z przeszłości. W czasie tych koszmarów czy halucynacji fotel samochodowy zmieniał się w kinowe krzesło, a przez ekran przewijały się obrazy z jego życia, które odbierał jako mieszaninę tragicznych i patetycznych momentów. Po ocaleniu Colomby z pożaru wywołanego wybuchem bomby czuł się niemalże jak bohater, ale ostatnie wydarzenia spowodowały powrót do normalnego stanu, do świadomości, że jest pozbawiony podstawowych umiejętności życiowych i najlepiej czuje się we własnym towarzystwie.

O świcie zmęczeni i wyziębieni ruszyli w dalszą drogę, wybierając trasę, która wydawała im się dość ruchliwa, a jednocześnie niezbyt dokładnie kontrolowana. Mimo to zdawali sobie sprawę, że grają w rosyjską ruletkę: wystarczy jakiś strażnik miejski służbista lub nawet wścibski przechodzień, aby ucieczka się zakończyła.

Zatrzymali się na zaniedbanej stacji benzynowej, licząc, że nie będzie tam kamer, zatankowali do pełna, a Colomba zafarbowała sobie włosy w toalecie, którą opuściła z plastikowym workiem na głowie. Spłukała farbę na podobnej stacji sto kilometrów dalej, gdy skóra swędziała ją już tak bardzo, że miała ochotę urwać sobie głowę. Ale kolor przynajmniej dobrze chwycił i teraz jej włosy błyszczały mahoniowym odcieniem. W okularach słonecznych w biało-czarne paski, które kupiła w kiosku, kolorowo ubrana prawie wcale nie przypominała poważnej policjantki ze zdjęcia, którym dysponował SIC.

Natomiast Dante ogolił się na zero elektryczną maszynką i na jakimś straganie w mijanym miasteczku kupił zbyt duże ubrania. Kiedy je założył, jeszcze bardziej przypominał wycieńzonego i zabiedzonego uchodźcę, ale dopóki trzymał złą rękę w kieszeni – swoją specjalną rękawiczkę zgubił w czasie ucieczki przez piwnice – nikt nie powinien się domyślić, że ma przed sobą chłopca z silosu, znanego z pierwszych stron gazet. Jedzenie kupili w barze na peryferiach, który wybrali z premedytacją, ponieważ prowadzili go Chińczycy, a zdaniem Colomby ta nacja niechętnie interesuje się sprawami innych. Skrupulatnie przeliczyli gotówkę, zastanawiając się, na jak długo im jeszcze wystarczy i jak zdobyć pieniądze potrzebne na dalszą podróż.

Zanim opuścili Rzym, wypłacili z bankomatu wszystkie pieniądze Dantego, używając karty, ale teraz nie mogli z niej korzystać, żeby nie zostawiać śladów. Jeśli w Cremonie nie znajdą pomocy, na którą liczą, nie będą mieli za co kupić nawet jedzenia. Ta sprawa dotyczyła przede wszystkim Colomby, bo Dante prawie całkiem stracił apetyt. W czasie podróży zjadł zaledwie dwa jabłka i surowego selera. Colomba bardzo się martwiła, widząc na jego twarzy wyraźne oznaki wycieńczenia.

Około jedenastej rano przekroczyli wreszcie granicę regionu Emilia. Zbliżając się do celu, Dante denerwował się coraz bardziej, stracił pewność siebie i wyrzucał potoki nic nieznaczących słów. Zaczął nawet obgryzać paznokcie, czego wcześniej nie robił. Chcąc go jakoś rozerwać, Colomba zapytała o miłe wspomnienia związane z rodzinnym miastem, ale okazało się, że takowe nie istnieją. Niewiele pamiętał z czasów przed porwaniem, a kiedy próbował zrekonstruować swoje dzieciństwo, okazało się, że wspomnienia uleciały z dymem, i to w dosłownym sensie.

– Kiedy moja matka popełniła samobójstwo – zaczął Dante, prawie leżąc na fotelu i delektując się wpadającym przez otwarte okno wiatrem, który chłodził mu twarz – ojciec upił się i podpalił mieszkanie, chociaż nigdy się nie dowiedziałem, czy zrobił to naumyślnie, czy przez przypadek. Mieszkanie co prawda ocalało, ale ojciec po raz pierwszy trafił do więzienia, a z rodzinnych pamiątek prawie nic nie zostało. A już na pewno nie zostało nic, co należało do mnie lub miało o mnie przypominać. Jedyne ocalałe zdjęcia znajdują się w dokumentacji z prokuratury i ty też je widziałaś.

Po ucieczce z silosu spędził w Cremonie kolejne dwa lata, ale również z tego okresu nie zachował zbyt wiele wspomnień. Skończył wtedy szkołę średnią, a stan jego zdrowia pogarszał się z dnia na dzień, aż w końcu ojciec wysłał go do kliniki psychiatrycznej.

– Trafiłem do Szwajcarii, nic oryginalnego. – Dante podniósł siedzenie i zapalił papierosa.  
– I wcale nie chodziło o jakiś karczer, ojciec wydał na moje leczenie sporą część odszkodowania. Ale znajdowaliśmy się pod ścisłą kontrolą, faszerowali nas lekarstwami i stresowali obowiązkowymi sesjami psychoterapii kilka razy dziennie. Teraz to się pewnie nazywa rehabilitacja.

– Jak długo tam byłeś?

– Cztery lata.

– O ja pierdołę!

– Kiedy minął pierwszy rok, pozwolili mi podróżować. Najpierw z opiekunem, a później samodzielnie, pod warunkiem że wyjazd organizowało biuro podróży. Jeśli odstawiałem cyrk albo miałem problemy ze zdrowiem, zaraz cofali pozwolenie. Cały czas byłem pod ich opieką, a więc wychodziłem i potem wracałem z powrotem do kliniki. Dopiero po czterech latach udało mi się uzyskać wyrok sądu, który cofnął wcześniejszą decyzję o ubezwłasnowolnieniu, i pożegnałem się z nimi serdecznie.

– To o tych luksusowych podróżach mi kiedyś wspominałeś?

– Tak. Chociaż było ich mniej, niżbym chciał. Nie mogłem wsiąść do samolotu, a do niektórych miejsc trudno dotrzeć lądem lub morzem. Potem wróciłem do Włoch, ale do Cremony nigdy.

– Naprawdę?

– Na samą myśl o powrocie wpadałem w panikę. Podobnie jak teraz, chociaż po tym, co przeszedłem w ostatnich dniach, nie sądzę, żeby mogło być coś gorszego.

– Kiedy ostatni raz widziałeś swojego ojca?

– W ubiegłym roku zjedliśmy razem obiad na neutralnym gruncie, we Florencji. Cały czas narzekał i w końcu dostał kolki. Niezapomniany dzień.

– Może powinniśmy pomyśleć o planie rezerwowym?

– Jakby to było możliwe! W Cremonie trudno się ukryć, jeśli nikt ci nie pomoże. A nie znam nikogo innego, kto by się na to zgodził.

O czwartej po południu, po przejechaniu przez żelazny most nad Padem łączący Emilię z Lombardią, dotarli na miejsce. W dole płynęła wezbrana rzeka, a po niej dwaj wioślarze w kajakach. Na pierwszym rondzie, ozdobionym abstrakcyjną rzeźbą – reprodukcją metalowych skrzypiec – Dante skierował Colombę na ulicę prowadzącą w stronę rzeki i dalej wzdłuż nabrzeża. Po prawej mieli teraz Pad, a po lewej bramy prowadzące na kąpieliska. Dzień był jasny, ale dość zimny i wilgotny, a ulicami spacerowali i jeździli na rowerach prawie wyłącznie emeryci.

Zatrzymali się w pobliżu czerwonego jednopiętrowego domu, otoczonego ogrodem, w którym rosły palmy. Na obszernym dziedzińcu stał pomalowany na niebiesko *chiringuito*<sup>25</sup>. Napis głosił: PRZYJACIELE RZEKI. Na zewnątrz nie było nikogo, ale za przeszklonymi ścianami dało się dostrzec ślady czyjejś obecności.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Dante. – To jest klub, w którym mój ojciec gra popołudniami w warcaby.

Colomba zgasła silnik, a Dante włożył na głowę dzokejkę z Myszką Miki i ukrył złą rękę w kieszeni.

– Jesteś pewien, że chcesz tam wejść?

Dante zatrzymał się z dłonią na drzwiach.

– Od dwóch godzin przygotowuję się do akcji. Na szczęście okna są dość duże, widzisz? – Ale ton jego głosu wcale nie był przekonujący.

– Jakby coś poszło nie tak, od razu uciekaj i spróbujemy następnym razem.

Dante pokiwał głową ze smutkiem.

– Dobra – powiedział, po czym wysiadł i powoli ruszył w kierunku budynku, oddychając głęboko i wmawiając sobie, że to tylko sztuczna fasada ustawiona na otwartej przestrzeni, jak dekoracje z hollywoodzkich filmów. *Daj spokój, pomyślał, przeszedłeś przez piwnice. Pokonałeś szyb windy. Teraz to zwykła bułka z masłem.* Na niewiele się to jednak zdało, czuł się ociężały i słaby. Kiedy dotarł do schodów, zatrzymał się i zapalił papierosa.

Colomba obserwowała jego ruchy ze ściśniętym sercem. Widząc, jak powoli pokonuje drogę dzielącą go od budynku, zaczęła martwić się o jego bezpieczeństwo. Wydawało jej się, że Ojciec w każdej chwili może wyskoczyć zza rogu i porwać go po raz kolejny. Nic się jednak nie wydarzyło. Dante wypalił papierosa i szybkim krokiem wszedł do środka.

Colomba odczekała cierpliwie dwie minuty, i z większym niepokojem kolejne dwie. Z samochodu nie widziała, co się dzieje w środku. Gdyby Dante wpadł w tarapaty albo gdyby ktoś wezwał policję, zauważyłaby to dopiero wraz z pojawieniem się migającego koguta na radiowozie. Chciała wysiąść i sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale obawiała się, że ktoś ją rozpozna. Te dwie myśli walczyły jeszcze w jej głowie, gdy wychodziła z samochodu i z pochyloną głową kierowała się w stronę oszklonej ściany klubu.

Ośloniła oczy rękami i zajrzała do środka. Pomieszczenie było zadbane, urządzone w stylu marynarskim, pełne sztucznych ryb i porozwieszanych na ścianach sieci oraz zdjęć VIP-ów drugiej kategorii. Około dziesięciu osób po sześćdziesiątce siedziało przy stolikach i grało w karty lub w szachy. Nachyliwszy głowę pod odpowiednim kątem, Colomba dostrzegła wreszcie Dantego, który siedział przy jednym ze stolików i rozmawiał z żylastym starszym w wełnianym berecie i okularach niedobrze zakrywających aparat słuchowy. Colomba pomyślała, że to jego ojciec, i zaczęła się zastanawiać, dlaczego zostali w środku, zamiast wyjść do niej i dokonać niezbędnej prezentacji.

Jeden z graczy, siedzący za plecami Dantego, podniósł wzrok i pomachał do niej, dojrawszy ją za szybą. Colomba odsunęła się natychmiast i oparła o pal podtrzymujący dach altany. Po drugiej stronie nabrzeża toczył wody Pad. Wydawał się zdradliwy, pełen wirów i niebezpiecznych prądów, jakby miał ochotę wciągnąć wszystko w swoje głębiny i już nie wypuścić. *Jak ta afera, w którą się wplątaliśmy,* pomyślała z goryczą. W tym momencie zatrzymał się przed nią pikap i zasłonił widok na rzekę. Wysiadł z niego ogromny mężczyzna, którego Colomba oceniła na jakieś dwieście kilogramów. Poruszał się wolno, korzystając z pomocy dwóch lasek. Colomba pochyliła głowę, aby uniknąć kontaktu wzrokowego, ale zanim to zrobiła, dostrzegła w jego świńskich oczkach coś na kształt zainteresowania. Zamiast wejść po schodach do klubu, starzec postępował mozolnie w jej stronę.



Stanął naprzeciw, opierając się całym ciężarem na kijach, które wyglądały, jakby miały się za chwilę złamać. Z bliska wydawał się jeszcze większy, a jego nos szpeciło fioletowe znamię.

– Czy ja już gdzieś pani nie widziałem? – zapytał nosowym barytonem.

– Nie. Nie sędzę. Nie jestem stąd – odpowiedziała Colomba, siląc się na uśmiech.

– Nie twierdę, że jest pani stąd, tylko że już gdzieś panią widziałem.

Tym razem spojrzała mu prosto w oczy i rzuciła twardo:

– Proszę zostawić mnie w spokoju.

Mężczyzna nie przejął się wcale i z szyderczym uśmiechem uniósł wielki jak parówka palec wskazujący, kierując go prosto w twarz Colomby.

– Pani jest tą policjantką! – zawołał. – Tą od bomby. W telewizji pokazywali pani zdjęcie.

– Myli się pan.

– Ja się nigdy nie mylę. Co pani tu robi?

Colomba najchętniej dzieliłaby go pięścią i uciekła, ale Dante ciągle jeszcze siedział w środku i nie mogła zostawić go samego. Szybko podjęła jedyną możliwą w tej chwili decyzję: odepchnęła grubasa i wpadła do lokalu.

Kiedy Dante ją zauważył, zerwał się na równe nogi.

– Co się stało?

– Jeden gościu mnie rozpoznał. Musimy się stąd zwijać, i to szybko! – Pochyliła się do staruszka, który przyglądał się jej zdziwiony. – Przykro mi. Dante skontaktuje się z panem najszybciej, jak to będzie możliwe. Bardzo proszę, nich pan nikomu nie mówi, że tu byliśmy.

Mężczyzna oniemiał.

– Nic nie rozumiem – wydukał w końcu.

Colomba pociągnęła Dantego ku drzwiom.

– Czemu od razu nie wyszliście?

– A po co? Przecież to nie jest mój ojciec.

– Co?! To gdzie on jest?

Byli już przy drzwiach, ale okazało się, że grubas potrafi się szybko poruszać, kiedy chce, bo zastali go na progu. Monumentalne cielsko tarasowało wejście. Wskazał laską na Colombę.

– Ona jest niewychowana! – ryknął. – Zignorowała mnie, kiedy z nią rozmawiałem!

Colomba przygotowywała się właśnie, żeby powalić go na ziemię, ale na szczęście Dante wyczuł jej zamiary i powstrzymał ją złą ręką.

– To mój ojciec – powiedział, wskazując na mężczyznę blokującego drzwi. – Widzę, że już się poznaliście.

Ojciec Dantego nazywał się Annibale Valle, miał siedemdziesiąt lat, odmę płuc i problemy z sercem. Wsiadł do swojego pikapa, a Dante i Colomba jechali za nim samochodem Santiaga, rozglądając się, czy nikt ich nie śledzi. Wszystko wskazywało na to, że jednak nie, bo przy tak niewielkim ruchu łatwo można by dostrzec ogon.

Colomba próbowała otrząsnąć się z szoku. Nie oczekiwała, że Valle będzie podobny do syna jak dwie krople wody, ale nie spodziewała się również, że stanie przed nią wielkolud, trzy razy większy od potomka. Łączył ich jedynie kolor oczu oraz przekonanie o własnej nieomyślności.

Valle przeprowadził ich przez miasto do jednorodzinnej willi położonej w dzielnicy Boschetto, przy spokojnej ulicy z dwudziestoma innymi domkami, różniącymi się od siebie tylko kolorem drzwi i garażu. Za płotem w małym ogródku rosły wspaniałe cyklameny, których pilnowały liczne skrzaty ogrodowe. Colomba zaparkowała w garażu i przykryła samochód plandeką. Valle zatrzymał się za nimi.

Poprosił o kilka minut cierpliwości, bo chciał porozmawiać z właścicielką domu, i po chwili przyjęła ich około sześćdziesięcioletnia kobieta o ufarbowanych włosach, cała obwieszona bransoletkami i łańcuszkami. Zaprosiła ich do urządzonego na wzór szwajcarskiej górskiej chaty salonu, który wyglądał jak z reklamy. Nad gazowym kominkiem wisiał obraz olejny przedstawiający nieco młodszą gospodynię w towarzystwie mężczyzny w stroju myśliwskim. Wanda objęła Dantego, który roztropnie zatrzymał się w pobliżu okna i próbował ukryć zakłopotanie i niechęć do nowego miejsca. Choć z zewnątrz uznał domek za przytulny, co pozwoliło mu wejść do środka, to teraz jego termometr wskazywał o kilka kresek więcej.

– A więc ty jesteś synem Annibala. – Kobieta mówiła gwarą i Colomba z trudem ją rozumiała. – Chodź no tutaj.

– Dzień dobry pani – odpowiedział spięty i zakłopotany Dante.

– Mów mi Wanda. Od dawna chciałam cię poznać. – Poglaskała go po policzku, a on przechylił głowę jak kot. Colomba pomyślała, że w jego życiu nie było zbyt wiele miejsca na pieszczoty.

– Proszę pani... – zaczęła Colomba.

Kobieta odwróciła się do niej. Na powiekach miała cień w tym samym kolorze co długie kolczyki.

– Wanda.

– Dobrze, Wando. Czy pan Valle wyjaśnił naszą sytuację?

– Tak. Mam nikomu nie mówić, że tu jesteście.

– Zostaniemy tylko tak długo, jak to będzie naprawdę konieczne. Ale muszę panią uprzedzić, że jeśli nas znajdą, będzie pani miała kłopoty.

– Nie zrobiliście chyba nic złego? – zaniepokoiła się Wanda.

– Nie, nie zrobiliśmy nic złego. Co nie zmienia, niestety, sytuacji. Pomagając mi, staje się pani współniczką osoby ukrywającej się i oskarżonej o morderstwo.

Na twarzy kobiety pojawił się wymuszony uśmiech.

– Chce mnie pani przestraszyć?

– Nie. Chcę tylko, żeby była pani świadoma ryzyka.

Wanda zwróciła się do ojca Dantego, który siedział w fotelu z kieliszkiem whisky w ręce.

– Annibale za was poręczył.

– Tylko za mojego syna – mruknął mężczyzna. – Nie znam tej policjantki. Ale wygląda na to, że teraz trudno ich będzie rozdzielić.

Wanda westchnęła.

– No to muszę przyjąć ich oboje.

– Dziękuję, Wando – powiedziała Colomba z prawdziwą wdzięcznością, a przecież jeszcze nie tak dawno uznałaby ją po prostu za współniczkę pomagającą ukrywającym się przestępcom.

– Pokażę wam, gdzie jest łazienka, żebyście mogli się odświeżyć.

Colomba pierwsza weszła pod prysznic. Włożyła czepek chroniący jej świeżo ufarbowane włosy i rozkoszowała się gorącą wodą tak długo, aż pomarszczyła się jej skóra palców. Wanda dała jej świeżą bieliznę i koszulkę, która nawet pasowała, i po wyjściu z łazienki Colomba poczuła się niemalże komfortowo.

Dante z naburmuszoną miną siedział z ojcem w salonie. Wystarczył rzut oka, żeby zrozumieć, że mężczyźni się pokłócili i pewnie dlatego Wanda schroniła się w kuchni.

– Zostawiłaś mi trochę ciepłej wody? – zagał Dante.

– Jasne, idź, idź.

Przemknął przez salon, jakby w każdym kącie mieszkania czaiło się niebezpieczeństwo, podczas gdy Colomba i Valle przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Czy to pani nakładła mu do głowy tych bzdur? – zaatakował Valle ze swojego fotela.

– Jakich bzdur?

– Że musi złapać swojego porywacza. Że ma wymierzyć sprawiedliwość.

Colomba przysunęła krzesło do fotela, na którym rozparł się Valle, i usiadła okrakiem.

– Nie musi wymierzać nikomu sprawiedliwości, tylko pomóc mi ująć maniaka znęcającego się nad dziećmi. Co do tego, kto kogo przekonał, to sama mam już mętlik w głowie. Działamy razem.

– Gdyby Dante przekazał panią policji, miałby święty spokój – stwierdził Valle.

– Próbował go pan do tego przekonać?

– Jak pani sądzi?

– Uważam, że gdyby pana posłuchał, pewnie nie miałby więcej problemów z policją. Ale tylko z policją.

– Kogo ma pani na myśli?

Colomba zmrużyła oczy, które błyszcząły kobaltowym odcieniem zieleni.

– Dobrze pan wie.

Valle pociągnął łyk alkoholu.

– Sypiacie ze sobą?

Poczuła, że się czerwieni, i to rozdrażniło ją bardziej niż samo pytanie.

– Nawet jeśli, to nie pański interes.

– Czy to potwierdzenie?

– To prośba, żeby zajął się pan swoimi sprawami.

– Chodzi o mojego syna, a więc to są moje sprawy.

– Sam umie o siebie zadbać.

– Czyżby? – parsknął Valle. – Chyba jest pani jedyną osobą na świecie, która tak uważa. Angażując go w tę sprawę, robi mu pani krzywdę, bo jego stan się pogarsza. I jeszcze ryzykuje, że trafi razem z panią do więzienia.

Colomba przeszła go wzrokiem, ale wyraz jego tłustej twarzy pozostawał nieprzenikniony. Przypominał grubego, parchatego kota albo szmacianego Budę.

– Naprawdę nic pana nie obchodzi, że ten, który znęcał się nad pańskim synem, ciągle przebywa na wolności?

– Nawet jeśli to prawda...

– Bez wątpienia – ucięła Colomba.

– I tak nie sądzę, żeby ściganie go było najlepszym wyjściem dla mojego syna. Może powinien po prostu o wszystkim zapomnieć i wyjechać gdzieś na koniec świata. Razem z panią.

– Z tonu pana głosu wynika, że chodzi raczej o propozycję niż o przypuszczenie.

Valle wypił do końca whisky i nalał sobie kolejny kieliszek z butelki stojącej na stoliku ze szklanym blatem.

– Proszę pani, ja jestem bogaty. Dobrze zainwestowałem pieniądze z odszkodowania, które przyznało mi państwo. Nie wszystko podarowałem Dantemu i wykorzystałem okazję, a szczęście mi sprzyjało. Oddam wam cały majątek, zatrzymam sobie tylko niewielką sumę, która zapewni mi godziwe życie przez ostatnie lata. Kupcie sobie bilety, kupcie sobie nawet jakąś pierdoloną wyspę. Jest pani policjantką i na pewno potrafi pani zorganizować wyjazd za granicę.

– Czy właśnie tego pan chce dla swojego syna? Żeby uciekał przez całe życie?

Valle opróżnił drugi kieliszek i nalał sobie kolejny.

– Już raz opłakiwałem jego śmierć. Nie chcę, żeby znowu mnie to spotkało.  
– Teraz inni rodzice rozpaczają po stracie dzieci, które uważają za zmarłe.  
– To nie moje dzieci. Nic mnie to nie obchodzi.  
– Domyślam się, że złożył pan tę propozycję również Dantemu. Co on na to?  
– Kazał mi się powiesić. I wie pani, co mu odpowiedziałem? Że chętnie to zrobię, jeśli w ten sposób zdołam zapewnić mu szczęśliwe życie.  
– Moja odpowiedź jest taka sama jak Dantego, chociaż wątpię, że znajdzie się sznur dość mocny, żeby pana utrzymał.

Valle niespodziewanie wybuchnął śmiechem, który zmienił się w atak kaszlu.

– Niech się pani zastanowi – powiedział, gdy tylko nieco się opanował i otarł twarz chusteczką. – Kiedy panią aresztują, będzie za późno na zmianę zdania.

W tej chwili Wanda wyszła z kuchni.

– Annibale, mówiłeś, że twój syn nie je mięsa. A pani?

Colomba podniosła się z krzesła.

– Przykro mi, ale nie mamy czasu na posiłek. Musimy się z kimś spotkać i im prędzej to zrobimy, tym lepiej. Ma pani tu Internet albo mapę miasta? Muszę się jakoś orientować.

– Zaraz przyniosę mapę – odpowiedziała Wanda.

W tym momencie z łazienki wyszedł Dante, był boso i miał na sobie czystą koszulkę z logo stowarzyszenia łowieckiego, która wisiała na nim jak płachta namiotu.

– Ubierz się, musimy już iść – ponagliła go Colomba.

– Tak myślałem. – Popatrzył na ojca siedzącego z opuszczoną głową. – Potrzebuję twojego samochodu – powiedział do niego.

– A jeśli odmówię, to co? Wyrwiesz mi kluczyki siłą?

– Tato...

Valle rzucił mu klucze i zwrócił się do Wandy:

– Daj mu swoją komórkę.

– Nie mogę... – zawahał się Dante.

– Możesz, możesz. Wanda nie używa tego numeru i ja też pod niego nie dzwoniłem. Jeśli policja go kontroluje, to znaczy, że mają tam teraz samych geniuszy. A nie bardzo w to wierzę.

Colomba przytaknęła i Dante schował telefon do kieszeni.

– Synu, to się źle skończy.

– Zobaczymy tylko dla kogo – dodała Colomba.

De Angelis przesłuchał Santiaga jeszcze tej samej nocy, kiedy go aresztował, a także następnego wieczora. Zatrzymany nie odpowiedział na żadne pytanie i sędzia śledczy z trudem zachowywał spokój. Po powrocie do swojego gabinetu w budynku prokuratury wyładowywał złość przez dobre pięć minut, aż usłyszał pukanie do drzwi i na progu pojawił się Santini w towarzystwie nieznanego mężczyzny.

– Oto nasz geniusz – przywitał go ironicznie. – Coś nowego?

– Nie, *dottore* – odpowiedział Santini.

– Gdyby operacja została przeprowadzona profesjonalnie, to teraz nie musielibyśmy się bawić w chowanego.

Potem nagle przypomniał sobie o mężczyźnie, który wszedł do gabinetu z Santinim i czekał cierpliwie na swoją kolej. Miał koło sześćdziesiątki, sumiaste rude wąsy przyprószone siwizną i takie same włosy. Sędzia wyciągnął rękę.

– De Angelis.

– Maurizio Curcio – przedstawił się gość.

– Przepraszam, myślałem, że panowie już się znają – wtrącił się Santini. – *Dottor* Curcio jest nowym szefem wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną. Pracował na tym stanowisku w Reggio Calabria.

– Gratuluję awansu – powiedział De Angelis. – Chociaż okoliczności są przerażające.

Curcio usiadł. Był opanowanym człowiekiem, starannie ważącym słowa.

– Właśnie dlatego pozwalam sobie pana niepokoić. Chciałbym uzyskać informacje na temat postępów w śledztwie.

De Angelis spojrzał na podwładnego, który odchrząknął, przygotowując się do odpowiedzi.

– Torre dwie godziny po ucieczce Caselli z budynku wypłacił pieniądze z bankomatu przy ulicy del Redentore w Tor Bella Monaca. Sądzymy, że oboje ukrywali się w mieszkaniu notowanego już wcześniej Santiaga Hurtado. Wszystko wskazuje na to, że pieniądze potrzebne im były na zorganizowanie ucieczki.

– Hurtado jest członkiem jednego z gangów z Ameryki Łacińskiej, jeśli się nie mylę? – upewnił się Curcio.

– Tak – potwierdził Santini. – Należał do Cuchillos, ale teraz działa na własną rękę.

– Dlaczego ktoś taki miałby pomagać inspektor Caselli? Trudno uwierzyć, żeby mieli wspólne interesy.

– Nie mamy pojęcia – uciął De Angelis. – Caselli musi nam to wyjaśnić, jak tylko ją znajdziemy.

– Z pisemnych raportów, które przeczytałem, nie wynika również, co łączy ją z panem Torre.

Santini i De Angelis wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Na podstawie naszych informacji możemy stwierdzić tylko, że Caselli wciągnęła go w swoje prywatne śledztwo w sprawie Luki Maugeriego.

– Ojciec tego chłopca ciągle jest przetrzymywany?

– Tak – przyznał De Angelis. – Według nas jest winny.

– Caselli jest innego zdania.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo wiemy, co sobie wymyśliła Caselli.

Curcio pogładził wąsy i ten gest nie wiadomo czemu rozdrażnił De Angelisa.

– Jeśli nie ma pan więcej pytań... – powiedział sędzia śledczy. – Miałem bardzo ciężki dzień, a teraz zbliża się pora kolacji.

– Zastanawiam się, skąd macie pewność, że *dottor* Caselli jest winna?

– Zapomniał pan o śladach wskazujących na materiały wybuchowe, które znaleźliśmy w jej mieszkaniu?

– Nie zapomniałem i nie potrafię tego wyjaśnić, ale nadal nie rozumiem. Do czasu zamachu w Paryżu była doskonałą policjantką. A teraz nagle stała się terrorystką?

De Angelis oparł się wygodniej i popatrzył komendantowi prosto w oczy.

– Zapoznał się pan z raportem psychiatrycznym sporządzonym w czasie jej pobytu w szpitalu?

Curcio przytaknął.

– Tak, syndrom pourazowy, dość powszechny po tym, co jej się przydarzyło.

– Czy wie pan również, że po wyjściu ze szpitala nie korzystała już z psychoterapii?

– Zdarza się.

– Osoba w jej stanie, która nie znajduje się pod stałą kontrolą specjalisty... Kto wie, co jej chodzi po głowie. – De Angelis postukał się znacząco palcem w skroń.

– Spotkałem się z nią dwa razy po jej wyjściu ze szpitala – włączył się Santini. – Za pierwszym razem zaatakowała mnie werbalnie zupełnie bez powodu, a za drugim użyła przemocy, chociaż wcale jej nie prowokowałem. Sporządziłem raport w tej sprawie.

– Moim zdaniem – ciągnął De Angelis – powinna zostać zwolniona, a nie tylko urlopowana. Przykro mi, ale Rovere sam po części ponosi odpowiedzialności za to, co go spotkało. To on ją chronił.

– Oczywiście – oświadczył Curcio, ale De Angelis i tak zrozumiał, że komendant się z nim nie zgadza. – A jaka jest w tej sprawie rola mężczyzny, który próbował zabić inspektor Caselli? Nazywał się Ferrari, prawda?

De Angelis uniósł brew.

– To ona w rozmowie telefonicznej z jednym ze współpracowników przedstawiła taką wersję. Nie wiemy, co tak naprawdę wydarzyło się w szpitalu.

– Trudno przypuścić, że to ona zwabiła Ferrariego do szpitala, żeby go zabić za pomocą trucizny.

– Technicy laboratoryjni po dokonaniu analizy stwierdzili, że nie chodzi o truciznę, ale o mieszaną bromku pankuroniowego i chlorku potasu. Substancje te wywołują paraliż i natychmiastowy zawał serca – wyjaśnił Santini. – A w szpitalu bardzo łatwo można się w nie zaopatrzyć.

– A w jaki sposób chciała pozbyć się ciała? – zapytał Curcio przesadnie uprzejmym tonem. – Czy może zaplanowała ucieczkę już wcześniej? Jak panowie sądzą?

De Angelis próbował ukryć zdenerwowanie, bawiąc się spinkami do mankietów. – Na razie nie znamy jeszcze powodów jej działania, ale może chciała w ten sposób zmusić Ferrariego do milczenia.

– Przypuszczamy, że Ferrari pomógł jej w podłożeniu bomby – dodał Santini. – Sprawdziliśmy i nie był wcześniej notowany, ale nie wiadomo, skąd brał pieniądze na życie. Nie miał stałej pracy, a rodzice byli biedni jak mysz kościelna. W związku z tym chcemy ustalić jego możliwe powiązania ze światem przestępczym.

– Wiecie o związkach Ferrariego z Bellomem?

De Angelis i Santini jednocześnie spojrzeli na komendanta.

– Istnieje raport karabinierów z października dziewięćdziesiątego ósmego roku – ciągnął Curcio – mówiący, że Bellomo uciekał autem zarejestrowanym na Ferrariego. Ten ostatni w czasie przesłuchania zeznał, że samochód został mu skradziony i w konsekwencji nie można mu było postawić żadnych zarzutów.

– Wiesz coś o tym? – De Angelis zwrócił się do Santiniego, obrzucając go piorunującym spojrzeniem.

– Pierwszy raz słyszę.

– Właśnie otrzymałem odpowiednie dokumenty – powiedział Curcio z przepaszającym uśmiechem. – Nie miałem czasu przekazać ich do centrali. Oczywiście to może być zwykły zbieg okoliczności, ale niewykluczone, że Bellomo i Ferrari działali razem.

– W jakim celu? – zapytał sędzia śledczy.

– Nie mam pojęcia – przyznał szybko komendant. – Po prostu w tej sprawie jest zbyt wiele wątków, które do siebie nie pasują. Coś mi się tu nie zgadza.

De Angelis spojrzał na niego niechętnie.

– Przykro mi, ale muszę panu przypomnieć, że pana opinia nie ma tutaj znaczenia. Mam nadzieję, że wyraziłem się dostatecznie jasno.

– Oczywiście, panie sędzio – odpowiedział Curcio, wstając. – Uścisnął dłoń De Angelisowi. – Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić swój cenny czas.

Potem pożegnał się również z Santinim i wyszedł z gabinetu.



– Będzie nam zawracał dupę, czuję to – powiedział De Angelis do Santiniego. – Nie da nam spokoju.

– Chce nam udowodnić, że jest prymusem. Ma pan dla mnie jakieś polecenia?

De Angelis przytaknął.

– Przyjrzyjmy się również krewnym i przyjaciołom Torrego. Jeśli Colomba jest z nim, to pewnie pomaga jej się ukrywać. Wariaci dobrze się między sobą dogadują.

Santini przytaknął.

– A co z Hurtadem? Udało się panu coś z niego wyciągnąć?

De Angelis pokręcił głową.

– Milczał przez cały czas. Wszystko to zasługa tego cholernego adwokata, który dobrze go poinstruował. Oczywiście całkiem przypadkowo jest to również adwokat Torrego.

– No tak, Manutillo... A reszta szajki Hurtada?

– Niestety, GIP<sup>26</sup> nie potwierdził nakazów aresztowania z powodu braku dowodów przestępstwa.

– Ciągle jeszcze czepiają się dowodów? Nie rozumiem, z kim mamy do czynienia?

– No właśnie – zakończył dyskusję De Angelis. – Musiałem ich wypuścić.

Jorge, jeden z wypuszczonych farciarzy, przemierzał właśnie jak na skrzydłach ulicę Rzymu. Nie postawiłby nawet centa na to, że tak łatwo uda mu się wywinąć po zamieszaniu, do jakiego doszło w Torbella, chociaż nie stawiał oporu, kiedy policjanci dopadli go w piwnicy. Tymczasem spędził w pudle zaledwie jedną noc; nie zdążył się nawet dobrze pożegnać z Santiagiem, który zdawał pogodzić się już z tym, że przyjdzie mu posiedzieć nieco dłużej. Anita, do której Jorge zadzwonił, wykorzystując ostatnie pieniądze z doładowania, wybuchnęła płaczem. Właśnie przygotowywała mu paczkę z czystą bielizną.

– Mówiłem ci przecież, że zawsze udaje mi się spaść na cztery łapy – powiedział jej, dumny ze swojego szczęścia.

– Wracasz do domu? Nie mogę się doczekać – zapewniła go narzeczona.

A on jej obiecał, że zaraz będzie. Kochał ją, no i gdzie by znalazł drugą taką, co nie truje nawet wtedy, gdy nie wraca na noc do domu albo przyprawdza przyjaciół z gangu, którzy zostawiają po sobie niezły bajzel. Nie była też przesadnie zazdrosna, wystarczyło, że nie przystawiał się do innych kobiet w jej obecności.

Jorge i jego dziewczyna mieszkali w dzielnicy San Basilio, w jednym z trzystu mieszkań w budynku komunalnym, przypominającym kształtem wielkie paskudne U w kolorze zgniłego różu. Blok był obrzydliwy, na klatkach schodowych panował nieprzyjemny zaduch i od rana wszędzie słychać było płacz dzieci, bo ściany zrobiono ze styropianu. Ale za to czynsz wynosił zero. Wcześniej mieszkała tu babka Jorgego, a on wprowadził się dopiero po jej śmierci. Od czasu do czasu administracja osiedla przysyłała listy z nakazem eksmisji, ale dobrze wiedział, że i tak nic nie zrobią. W budynku większość lokatorów nie miała prawa do

zajmowania lokali, podobnie było w sąsiednim bloku. Co może zrobić urząd miasta w takiej sytuacji? Wyrzucić wszystkich na ulicę?

Otworzył drzwi do mieszkania własnym kluczem i czekał, aż Anita rzuci mu się z radością na szyję, ale nic takiego się nie stało.

– Weendy, wróciłem! – zawołał, naśladowując głęboki głos Jacka Nicholsona z filmu *Shining*. Zawsze to robił, gdy miał ochotę na żarty. Bez skutku. – Anita? – Może wyszła kupić coś do jedzenia? Albo się kąpie? Kiedy otwierał drzwi do łazienki, dostrzegł na podłodze w korytarzu czerwoną okrągłą plamę. Przejechał po niej palcem i poczuł lepłą substancję.

Krew. Kropla świeżej, jeszcze nie całkiem zakrzepłej krwi. Kilka kroków dalej Jorge zauważył następną, a potem kolejną i jeszcze jedną. Anita skaleczyła się w palec albo coś w tym rodzaju, ale nie pobiegła do łazienki po plaster, bo ślady krwi prowadziły do sypialni. Jedna z kropel znajdowała się dokładnie na środku korytarza, jakby Anita skaleczyła się przy drzwiach.

Z lekką obawą zawołał ją raz jeszcze, po czym wszedł do sypialni.

Anita leżała na podłodze jak worek szmat, a pod nią widniała kałuża krwi tak duża, że Jorge natychmiast zrozumiał, iż w ciele dziewczyny nie zostało już ani kropli. Na łóżku siedział stary człowiek o oczach tak intensywnie niebieskich, że sprawiały wrażenie przezroczyстых, i wycierał ostrze noża kawałkiem papieru.

– My dwaj musimy pogadać – odezwał się mężczyzna, którego Dante nazywał Ojcem. Jorge chciał krzyknąć, ale nie zdążył.

Augusto Pedini, kolega, z którym Pinna odbywał służbę wojskową, mieszkał niedaleko katedry. Colomba zaparkowała samochód przy strefie zarezerwowanej dla pieszych w pobliżu baptysterium, naprzeciwko kamiennych lwów stojących na straży przy wejściu. Dante przyjrzał się posągom, próbując odnaleźć ich ślady we wspomnieniach z dzieciństwa, ale bez skutku. Miejsca, które mijał, z niczym mu się nie kojarzyły, wywołując jedynie przebłyski odnoszące się już do okresu po ucieczce z silosu. Czy jako dziecko wspinał się na kamienne posągi lwów? Czy chociaż raz był na mszy w katedrze? Nie miał pojęcia. Cremona była dla niego pojęciem abstrakcyjnym, chociaż podobało mu się to, na co teraz patrzył, zwłaszcza centrum miasta, które zachowało historyczny układ urbanistyczny.

Colomba wyrwała go z zamyślenia.

– Kto dzwoni? Ja czy ty?

– Kobieta ma większe szanse, żeby zainteresować mężczyznę – zauważył Dante. – Zwłaszcza kiedy ma ładny głos.

– Ja mam ładny głos?

– Kiedy nie wydajesz rozkazów, to tak.

– Ty za to lepiej kłamiesz. Ty zadzwoń.

– Jakieś wskazówki?

– Nie przestrasz go i nie pozwól mu się wycofać. Znajdź jakiś pretekst, żeby zgodził się na spotkanie.

– Okej.

Dante wziął komórkę Wandy i wybrał numer Pediniego, włączając opcję głośnego mówienia.

– Śmierdząca Stopa? – rzucił, gdy tylko mężczyzna odebrał.

Colomba aż podskoczyła, nie przyszło jej bowiem do głowy, że Dante wyskoczy z czymś takim.

Pedini zawahał się na chwilę.

– Tak. Kto mówi? – zapytał ostrożnie.

– Nazywam się Dante Pinna. Jestem synem Fabrizia Pinny.

Zdenerwowana Colomba spróbowała wyrwać mu telefon, ale Dante odwrócił się do niej plecami.

– Aha. Przykro mi z powodu pańskiego ojca. Kondolencje. W czym mogę...

– Chciałbym się z panem spotkać – przerwał mu Dante. – To bardzo pilne. Czy mogę być

u pana za dziesięć minut? Jestem z przyjaciółką.

– Przepraszam, ale teraz jem kolację z rodziną. Nie mogę...

– Lepiej będzie, jeśli znajdzie pan trochę czasu.

– A to czemu?

– Bo inaczej zadzwonię na policję i będzie się pan musiał tłumaczyć, dlaczego nie powiedział, że mój ojciec przed śmiercią kontaktował się właśnie z panem.

Colomba przymknęła oczy, podczas gdy Dante czekał, aż Pedini przestanie ciężko dyszeć do słuchawki.

– Chce się pan tylko spotkać, tak?

Dante ułożył palce w znak zwycięstwa.

– I porozmawiać. Proszę, aby poświęcił mi pan godzinę. Możemy do pana przyjść?

– Nie, lepiej ja wyjdę z domu. Gdzie się spotkamy?

– Przy wejściu do baptysterium, dwadzieścia metrów od pańskiego domu. Jesteśmy w pikapie.

– Dobrze. Do zobaczenia.

Dante rozłączył się z triumfalnym uśmiechem na ustach i w nagrodę zapalił papierosa.

Colomba otworzyła okno. Po kąpeli dym z papierosów znowu zaczął jej przeszkadzać.

– Skąd wiedziałeś, że Pinna się z nim kontaktował?

– Jeśli nie utrzymujesz z kimś żadnych relacji od dwudziestu pięciu lat i nagle słyszysz jego nazwisko, to nie reagujesz z taką gotowością. Tymczasem on myślał o Pinnie, a z tonu głosu wynika, że jest zaniepokojony. To zaś oznacza, że kontaktowali się, zanim Ojciec powiesił Pinne, i teraz Śmierdząca Stopa obawia się, że prędzej czy później ktoś zażąda od niego wyjaśnień.

– Przecież mógł po prostu przeczytać o nim w gazecie.

– Za szybko zareagował na pseudonim. Zaryzykowałem, bo gdyby go nie rozpoznał, moglibyśmy odpuścić sobie to spotkanie. Oto i on – powiedział, wskazując mniej więcej czterdziestopięcioletniego mężczyznę w tweedowej kurtce, który właśnie przechodził przez ulicę. W Cremonie było znacznie zimniej niż w Rzymie, zwłaszcza wieczorami, kiedy powietrze stawało się wilgotne i ciężkie.

– Wiesz, jak wygląda? – zdziwiła się Colomba.

– Nie, ale popatrz na jego buty. Są perforowane, a więc odpowiednie dla kogoś, kto cierpi na nadmierną potliwość stóp. Skoro przezywali go Śmierdzącą Stopą, to pewnie mieli powody.

Mężczyzna podszedł prosto do ich samochodu i Colomba zrozumiała, że Dante znowu trafił w sedno. Wysiadła i wyciągnęła rękę.

– Pan Pedini? Miło mi pana poznać. Zechce pan wsiąść? – powiedziała, otwierając tylne drzwi.

– Możemy iść do baru na rogu – zaproponował Pedini, wskazując na lodziarnię. – Jest

prawie pusty.

– W samochodzie będzie nam wygodniej. Proszę.

Mężczyzna wzruszył ramionami i wsiadł do samochodu, a Colomba usadowiła się obok niego. Dante został na przednim siedzeniu, odwrócił się tylko, żeby brać udział w rozmowie.

– A pan jest synem Pinny, tak?

– Co za intuicja. Może pan spokojnie rozmawiać z moją przyjaciółką.

– Przysięgam, że nie rozumiem, o co chodzi.

Dante się skrzywił.

– To się nazywa rozmowa.

– Dlaczego Pinna się z panem skontaktował? – zapytała Colomba.

Pedini odwrócił się do niej.

– Jeśli mam być szczery, to dlatego, że miał problemy z głową.

– Proszę mówić jaśniej.

– Fabrizio miał obsesję na punkcie tej historii z napromieniowaniem. Powtarzał, że zachorował na raka z winy tego, co go spotkało w wojsku. Poprosił mnie, żebym sprawdził pozostałych z Annoni i dowiedział się, jaki jest stan ich zdrowia, ale ja już dawno straciłem ich wszystkich z oczu. Podobnie zresztą jak Fabrizia. Kiedy do mnie zadzwonił, bardzo się zdziwiłem. – Przerwał na chwilę. – A jeszcze bardziej, kiedy przeczytałem w gazetach, że siedział w więzieniu i przyjaźnił się z tym zamachowcem, który podłożył bombę w Paryżu.

– Z Bellomem?

Pedini przytaknął.

– No właśnie. Fabrizio był dość porywczy w tamtych czasach, tak samo jak ja. Wszyscy łatwo się wtedy wkurzaliśmy, inaczej nie wysłaliby nas do Annoni. Ale ja się później ustatkowałem, założyłem rodzinę. A on nie.

– To prawda – powiedziała Colomba, rzucając Dantemu porozumiewawcze spojrzenie, a on pokiwał głową prawie niedostrzegalnie: Pedini był szczery.

– Co jeszcze panu powiedział? – drążyła Colomba.

– Męczył mnie pytaniami o misję, którą zlecono nam pewnej nocy. Był przekonany, że to właśnie wtedy został napromieniowany.

– A pan o tym pamięta – stwierdził Dante i wcale nie chciał, żeby zabrzmiało to jak pytanie.

Pedini ponownie przytaknął.

– Tak. Chodziło o jedno z tym dziwnych zadań, które wykonuje się w czasie służby wojskowej i które na zawsze zostają w pamięci. Ale ta historia z napromieniowaniem to jedna wielka bzdura. Ja pracuję w urzędzie w sekcji zieleni miejskiej. W Caorso nigdy nie było żadnej awarii i nie doszło do skażenia. Odpady promieniotwórcze będą niebezpieczne przez milion lat, ale są już dawno we Francji. Jest jeszcze wzbogacony uran, tak naprawdę...

– Niech nam pan opowie o tej misji – przerwała mu Colomba.

– Przepraszam, czy pani jest z policji? Bo czuję się jak na przesłuchaniu.

– Czy ja też wyglądam na policjanta? – zapytał Dante.

– Nie, raczej nie.

– Całe szczęście.

Pedini się uśmiechnął.

– No tak. Nie pamiętam dokładnej daty, ale to było w grudniu, przed świętami. Sierżant rzuca nas z łóżek i wybiera sześciu do specjalnego zadania. Ładują nas na ciężarówkę i wywożą kilka kilometrów dalej. Szczere pole, piździ jak diabli. Wysadzają nas przed magazynem wojskowym i każą go opróżnić.

– Co było w środku?

– Meble, materiały medyczne, książki i przede wszystkim worki z ubraniami.

Dante zeszywniał.

– Ubrania?

– Tak. Wszystko używane. To były cywilne rzeczy, nie wojskowe. Dotykałem ich z obrzydzeniem, bo były brudne i śmierdziały. Na szczęście większość była w zamkniętych workach. Kazano nam wszystko spalić. Pamiętam, że zawartość zrobiła na Pinnie piorunujące wrażenie.

– Dlaczego? – zapytał Dante, przeszywając go wzrokiem.

Pedini się zawahał.

– Minęło trzydzieści lat.

– Proszę sobie przypomnieć – nalegał Dante, nie spuszczać wzroku z rozmówcy. Wyglądał jak wąż hipnotyzujący mysz.

– Powiedział, że ubrania były zbyt małe, żeby mogły należeć do osób dorosłych. To była odzież dziecięca albo najwyżej nastolatków.

Colomba i Dante zamarli.

Zakłopotany Pedini opowiadał dalej.

– Prawdopodobnie po prostu się pomylił. Większość worków była zamknięta, kiedy je paliliśmy. No i co wspólnego mogły mieć dzieci z wojskiem? – Dante i Colomba nadal milczeli i Pedini przestraszył się, że powiedział coś niewłaściwego. – Fabrizio wyznał mi przez telefon, że według niego ubrania należały do dziecięcych ofiar napromieniowania. A miejsce, w którym byliśmy, to był jakiś tajny szpital, żeby ukryć prawdę o skażeniu. Bredził, jak już mówiłem...

Colomba otrząsnęła się wreszcie i wyjęła z kieszeni zdjęcie z polaroidu.

– Pinna wspominał o grupie żołnierzy, którzy należeli do innej jednostki. Mieli na sobie mundury khaki bez oznaczeń. Czy to oni?

Pedini przyjrzał się mężczyznom na fotografii.

– Nie mam dobrej pamięci do twarzy... Pamiętam, że wtedy się ich bałem, ale teraz widzę na tym zdjęciu tylko zwykłych chłopców. Oprócz niego – dodał wskazując na Niemca. –

Nawet teraz się go boję. To był chyba ich dowódca, ale nie jestem pewien. Przykro mi – zakończył, oddając zdjęcie Colombie.

– Co jeszcze pan pamięta?

– To, co powiedziałem Fabriziowi. Widziałem, jak ci z obcego oddziału ładują na ciężarówkę pojemniki z naftą. Fabrizio zapytał mnie, czy mam pewność, że w środku była właśnie nafta, i odpowiedziałem, że nie. – Popatrzył najpierw na Colombę, a później na Dantego. – To też miało związek z jego nuklearną obsesją.

– Czyli podejrzewał, że w pojemnikach były materiały radioaktywne? – uściśliła Colomba.

– Właśnie tak, na co mu odpowiedziałem, że wtedy wszyscy bylibyśmy napromieniowani, a to nieprawda.

– Skąd ta pewność? – zapytał Dante.

– Bo wiem, gdzie wyładowali pojemniki.

– Jak to możliwe, panie Pedini? – nie ustępowała Colomba.

Pedini oparł się o drzwi. Bolała go szyja, bo siedział w niewygodnej pozycji, żeby patrzeć na kobietę. Chociaż musiał przyznać, że pomijając dziwny kolor jej włosów, warto było pocierpieć.

– Mówiłem już, że pracuję w urzędzie miasta. Spisywałem żwirownie znajdujące się na naszym terenie. W prowincji Cremona wydobywa się żwir i piasek. Większość żwirowni zamknięto już wiele lat temu. Niektóre zamieniono w składowiska azbestu, inne stoją po prostu opuszczone.

– Dziękujemy za wyjaśnienie – przerwała mu niecierpliwie Colomba. – Wróćmy do sprawy pojemników.

– Słyszałem, jak żołnierz z tego drugiego oddziału rozmawia z kierowcą ciężarówki. Wspomniał o żwirowni Comello, leżącej między Piacenzą a Cremoną, nad rzeką Addą. Już wtedy była nieczynna.

– To jedna z tych, które pan spisywał? – zapytał Dante.

– Tak. Przypomniałem sobie o tym po telefonie od Fabrizia. Wie pan, jak to czasami jest, nie myślimy o czymś przez całe życie, a potem nagle stajemy z tym twarzą w twarz... Sprawdziłem w dokumentacji. W osiemdziesiątym dziewiątym podjęto decyzję, aby zmienić żwirownię w składowisko odpadów przemysłowych. Stare prawo na to zezwalało.

– Ale w końcu tak się nie stało – powiedział Dante.

– Nie. Obszar przeznaczono do ponownego zasiedlenia lokalną fauną. – W tym momencie telefon Pediniego zaczął wibrować. Mężczyzna spojrzął na wyświetlacz, ale nie odebrał połączenia. – To moja żona, zaczyna się już niepokoić. Powinienem wracać do domu.

– Proszę podać nam adres żwirowni.

Pedini spełnił prośbę i w pośpiechu wyszedł z samochodu.

Colomba usiadła za kierownicą, a potem uruchomiła nawigację i ruszyła.

– Niełatwo będzie odnaleźć pojemniki na wysypisku po dwudziestu pięciu latach – zwróciła się do Dantego, który miał minę wskazującą, że jego mózg pracuje na najwyższych obrotach.

– Nie słyszałaś, co powiedział Śmierząca Stopa? To nie jest wysypisko śmieci.

– Przecież nie zostawili zbiorników na widoku. W przeciwnym razie ktoś już dawno by je znalazł. Na przykład ci, którzy je tam zostawili.

– Na pewno jest jakiś sposób, żeby je odnaleźć. Policja ma chyba georadary?

– Jasne, wykorzystujemy je do szukania zakopanych zwłok. Tylko że my nie jesteśmy policją. – *Już nie*, dodała w myślach.

– No to kupimy georadar albo wykrywacz metalu, jakiego używają poszukiwacze skarbów. Mój ojciec ma pieniądze, możemy zapłacić ludziom, żeby nam pomogli.

– A my w tym czasie trafimy do więzienia.

– To już będzie bez znaczenia.

– Uważasz, że w tych pojemnikach są wszystkie odpowiedzi?

– Nie wszystkie, ale jedna na pewno.

– Która?

Dante nie odpowiedział i wskazał na drogowskaz stojący tuż za niewielkim skupiskiem domów. Napis głosił: DAWNA ŻWIROWNIA W COMELLO – OAZA ZIELENI. Strzałka prowadziła na polną drogę, prawie niewidoczną w ciemnościach. Colomba jechała powoli, starając się omijać dziury. Kiedy nie można już było dalej jechać, ruszyli pieszo, oświetlając ścieżkę latarką elektryczną, którą znaleźli w pikapie. Z łatwością odnaleźli żwirownię – nie sposób było jej nie zauważyć. I wtedy zrozumieli, co miał na myśli Pedini, wspominając o ponownym zasiedleniu obszaru lokalną fauną.

Żwirownie sięgają poziomu wód gruntowych i kiedy zaprzestaje się wydobywania – zwłaszcza jeśli wykop jest dość głęboki i bez zabezpieczenia – wody zaczynają się podnosić.

Sekrety, które Ojciec i jego ludzie zamknęli w metalowych zbiornikach, leżały teraz pogrzebane pod milionami litrów wody. Żwirowisko zmieniło się w jezioro.



W biurze na piątym piętrze przy ulicy San Vitale śmierdziało zjełczalym dymem z papierosów i skórą starej czerwonej kanapy stojącej przy ścianie. Przysłuchując się odgłosom, które dobiegały z ulicy przez okno, Curcio pomyślał, że każde miasto przemawia swoim niepowtarzalnym głosem. Czasami po przebudzeniu, jeszcze z zamkniętymi oczami, na wpół przytomny, z trudem przypominał sobie, gdzie się znajduje i próbował zidentyfikować miejsce na podstawie dobiegających z zewnątrz dźwięków. Zmieniało się również oświetlenie, a wschody i zachody słońca nigdy nie były takie same.

O dziesiątej wieczorem Curcio zmagał się ze zmęczeniem, nie spał bowiem od co najmniej dwudziestu godzin. Mało pocieszająca była również perspektywa powrotu do obskurnego pokoju w motelu, którym będzie się musiał zadowolić do czasu, aż zostanie przygotowane mieszkanie przydzielone mu przez ministerstwo. Później przyjedzie żona z całym dobytkiem i przez kolejne miesiące będą rozpakowywali pudła i sprawdzali, co przepadło w czasie przeprowadzki. Niektóre kartony były jeszcze ciągle zamknięte od ostatnich przenosin, z Palermo do Reggio Calabria. Na pewno będzie musiał kupić nowy egzemplarz powieści Coelho, którą przeczytawszy do połowy, zostawił na nocnej szafce. Książka pomagała mu zasnąć, chociaż Bóg jeden wie, że nie powinien mieć z tym problemów, zważywszy na niezliczone zarwane nocne do odespania.

Zmiał puste opakowanie po cukierkach, zajrzał pod biurko w poszukiwaniu kosza na śmieci i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że go tam nie znajdzie. Pomieszczenie będące salą konferencyjną wydziału kryminalnego zostało w pośpiechu przystosowane do funkcji biura i miało mu służyć do czasu, zanim opróżniony zostanie gabinet Roverego. Planowano to zrobić dopiero po uroczystym pogrzebie państwowym w najbliższą niedzielę. Curcio nie miał nic przeciwko temu, wcale mu się nie spieszyło, aby zająć fotel po zamordowanym koledze, chociaż nie zdarzało się to po raz pierwszy.

Usłyszał pukanie do drzwi. Na progu stanął młody policjant o jasnej twarzy upstrzonej piegami. Na nosie miał wielkiego siniaka, który powoli tracił intensywną fioletową barwę.

- Posterunkowy Alberti Massimo, *dottore* – przedstawił się, stojąc na baczność.
- Usiądź. – Curcio wskazał mu miejsce. – Muszę zadać ci kilka pytań.

Alberti zawahał się na moment, ale potem wykonał polecenie i przysiadł na skraju krzesła, zachowując sztywną postawę.

- *Dottore*... czy zrobiłem coś nie tak? – zapytał z niepokojem w głosie.
- Właśnie mam zamiar się dowiedzieć – odpowiedział Curcio. – *Dottoressa Caselli*

dzwoniła do ciebie tej nocy, kiedy uciekła ze szpitala. Sprawdziliśmy billingi.

Alberti zaczerwienił się po czubki włosów.

– *Dottore*... nie miałem pojęcia, co zrobiła.

– Gdyby ktoś cię podejrzewał, to już byśmy cię zatrzymali – stwierdził surowo Curcio. – Czego od ciebie chciała?

Alberti włożył sobie palec za kołnierzyk, jakby nagle zaczął go dusić.

– Żeby sprawdzić w systemie jedno nazwisko... – Po chwili ciągnął ciszej: – Chodziło o Luciana Ferrariego. Nie powiedziała mi, dlaczego się nim interesuje. Nie wiedziałem, że... – przerwał.

– Nie żyje. Domyślam się. Chciałeś wyświadczyć przysługę przełożonej, nawet jeśli nie była wtedy na służbie.

– Tak, *dottore*.

– Zdajesz sobie sprawę, że możesz wylądować za coś takiego przed komisją dyscyplinarną? Przede wszystkim dlatego, że nie poinformowałeś o tej rozmowie przełożonych. Dopiero co zacząłeś pracę w policji i już chcesz zniszczyć sobie karierę?

Alberti spuścił wzrok.

– Wiem, *dottore* – szepnął.

– I co jeszcze powiedziała lub zrobiła *dottoressa*?

– Już więcej się z nią nie kontaktowałem. Potem powiedziano mi, że Ferrari próbował ją zabić.

Curcio pokręcił głową.

– Nie szukałaby informacji, gdyby nie była zaangażowana w śledztwo. Tylko dlaczego zwróciła się do ciebie? Przecież ma wielu kolegów w policji.

– Nie wyjaśniła mi powodów, *dottore*.

– A jakie jest twoje zdanie?

Alberti ponownie się zaczerwienił.

– Sądzę, że... nie utrzymywała kontaktów z innymi kolegami. I uważała, że... jestem nieszkodliwy.

Curcio pomyślał, że chłopak wbrew pozorom jest dość rozgarnięty. Przybrał nieco łagodniejszy wyraz twarzy, a nawet uśmiechnął się półgębkiem.

– Kiedy się poznaliście? – Zrezygnował też z surowego tonu.

– Dostałem rozkaz, aby zawieźć ją do Praton del Vivaro w dniu porwania chłopca, Luki Maugeriego.

– Kto wydał polecenie?

Alberti podał nazwisko swojego bezpośredniego przełożonego oraz wyjaśnił, że zgłosił się na ochotnika, aby pomóc w poszukiwaniach Luki i jego matki, kiedy uważano ich jeszcze za zaginionych. Przypuszczał, że rozkaz pochodził bezpośrednio od Roverego, bo miał zawieźć Colombę prosto do niego.

Curcio wygładził wąsy.

– Potem odwiozłeś ją do domu?

– Nie od razu. – Alberti uspokoił się nieco, zrozumiał, że Curcio nie jest nim specjalnie zainteresowany. – Zdjął czapkę i położył na kolanach. – Najpierw zawiozłem oboje do restauracji, gdzie odbyli rozmowę.

– O czym?

– Nie brałem w niej udziału, *dottore*. Ale zauważyłem, że *dottoressa* wyszła z lokalu zdenerwowana. Następnego dnia otrzymałem bezpośredni rozkaz od komendanta Roverego, żeby zawieźć ją do mieszkania pana Dantego Torre. Potem pojechaliśmy wszyscy razem do Pratonii, a na koniec na spotkanie z sędzią śledczym De Angelisem.

– Do prokuratury?

– Nie, do zajazdu na parkingu. Pan Torre cierpi na klaustrofobię. Jakby pan zobaczył jego mieszkanie...

– Jak był powód tego spotkania? – Curcio nie ukrywał już zainteresowania.

– Nikt mnie o tym nie poinformował. Ale sądzę, że rozmowa dotyczyła porwania. Potem przywiozłem *dottoressę* tutaj... – przerwał zakłopotany.

– Lepiej będzie, jak opowiesz mi wszystko ze szczegółami.

– *Dottoressa* pokłóciła się z Santinim. Chyba doszło nawet do rękoczynów.

– Po tym spotkaniu w zajeździe?

– Tak, bo pan Torre miał kryzys. Myślę, że *dottoressa* obwiniała o to właśnie Santiniego.

Curcio oparł się wygodniej.

– Potem odwiozłeś ją do domu?

– Tak. Wtedy widziałem ją po raz ostatni. Aha, byłem jeszcze u niej w szpitalu. – Alberti znowu się zawahał. – *Dottore*...

– Słucham.

– Ona nie zabiła komendanta Roverego – powiedział ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

– Nie wiem, dlaczego uciekła. Nie wiem, dlaczego Ferrari próbował ją zamordować, ale... uważam, że jest niewinna.

Curcio westchnął.

– Możesz odejść.

Alberti skoczył na równe nogi, nałożył czapkę i zsalutował. Otwierając drzwi, niemalże wpadł na Infantiego. Inspektor miał na sobie koszulę i krawat, a w ręce plik papierów.

– Mogę panu zająć chwilę?

Curcio z trudem przypomniał sobie jego nazwisko.

– Niech pan wejdzie, Infanti.

– Pozwoli pan... – Infanti położył na biurku kopię protokołu. – Karabinierzy z Modeny dostali sygnał od sprzedawcy, który utrzymuje, że rozpoznał *dottoressę* Caselli i Dantego Torre, gdy kupowali jedzenie w pobliżu jego kiosku. *Dottoressa* miała rude włosy, ale

pozostała część opisu się zgadza.

Curcio zauważył grzecznościowy zwrot, którym policjant tytułował byłą koleżankę, i pomyślał: *Następnym, który nie wierzy w jej winę.*

- Przekazał pan już tę informację ludziom z SIC-u?
- Jeszcze nie. Najpierw przyszedłem do pana.
- Dobrze, proszę zostawić mi raport. Sam się tym zajmę.
- Tak jest, *dottore*.

Curcio przyglądał się jednej z kartek przez dobrą minutę, wspierając podbródek na złożonych dłoniach. Potem pomyślał, że pokój w motelu będzie musiał jeszcze trochę poczekać.

Zgodnie z zasadami wynikającymi z hierarchii zawodowej funkcjonariusz niższej rangi powinien pofatygować się do przełożonego, ale w tym przypadku Curcio postanowił to zbagatelizować.

Pokonał korytarz i zszedł po schodach. W budynku z uwagi na późną porę spotkał tylko kilku policjantów, którzy nie zwrócili na niego uwagi. Większość z nich jeszcze go nie znała.

Na niższym piętrze, kierując się strzałkami z napisem SIC, dotarł do trzecich z rzędu, jedynych oświetlonych jeszcze drzwi z matowego szkła, i zapukał. Wszedł, nie czekając na zaproszenie. Santini podniósł głowę znad komputera i kiedy rozpoznał gościa, na jego twarzy pojawiło się zdziwienie.

– *Dottor Curcio!* – Wstał, żeby uścisnąć mu rękę. – Pierwszy dzień w pracy nie ma końca?

– Kto wie, co będzie jutro.

– Jakież problemy, *dottore*?

– Przyniosłem panu raport sporządzony przez karabinierów z Modeny – powiedział, podając mu kartkę. – Informacja o ruchach Caselli i Torrego.

Santini wziął protokół.

– Dziękuję. Nie musiał się pan fatygować. – Zdziwienie funkcjonariusza zmieniło się teraz w nieufność. Zdawał sobie sprawę, że to nie jest prawdziwy powód wizyty komendanta.

– Chciałem przy okazji rozprostować kości – powiedział Curcio.

Santini rzucił okiem na raport.

– To potwierdza nasze przypuszczenia, że Torre jej pomaga. Modena leży na drodze do Cremony, a tam Torre ma rodzinę.

Curcio usiadł, udając, że nie interesuje go to, co mówi Santini, i zaczął bawić się długopisem.

– Co jeszcze mogę dla pana zrobić? – zapytał funkcjonariusz.

Curcio uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Jak się panu pracowało w Neapolu? – rzucił niedbałym tonem.

Zaskoczony Santini wrócił za biurko i usiadł.

– Proszę?

– Jak było w Neapolu za pana czasów?

– Wojny gangów w Scampii. Masakra.

– Dwa lata temu współpracowałem z jednym z sędziów stamtąd. – Podał nazwisko i okazało się, że Santini go znał. – Bardzo dobrze się o panu wyrażał. Mówił, że odwalił pan dobrą robotę.

– Dziękuję... – Santini się skrzywił. – *Dottore*... co chce mi pan powiedzieć?

Curcio się uśmiechnął.

– My dwaj mamy ze sobą coś wspólnego. Obaj nosimy wąsy, chociaż moje są ładniejsze, a poza tym jesteśmy dobrymi policjantami.

– Robię, co w mojej mocy.

– Naprawdę?

Santini rozłożył ręce rozdrażniony.

– Nie rozumiem, co ma pan na myśli.

– Sądzę, że doskonale pan wie.

– Przecież to nie ja prowadzę śledztwo w sprawie Caselli. Wykonuję jedynie polecenia sędziego.

– Dostarcza pan dowodów, jakich wymaga przełożony – oświadczył Curcio, przyjmując surowy ton. – A to nie prowadzi do odkrycia prawdy. I myli się pan co do *dottore* Caselli.

– A pan w ciągu jednego dnia wszystko zrozumiał, *dottore*?

– Ona pracowała dla komendanta Roverego. To nie szaleństwo popchnęło ją do tego, żeby włączyć się w śledztwo z Pratonii. Skoro Rovere powierzył jej to zadanie, a ona je przyjęła, to znaczy, że darzyli się zaufaniem.

– Być może. Ale możliwa jest również hipoteza, że ta misja sprowokowała u niej działania niezgodne z logiką.

– Albo ktoś źle przyjął ich zainteresowanie sprawą. I dlatego Rovere nie żyje.

– Niech pan to powie De Angelisowi – zaproponował Santini, akcentując poszczególne słowa.

– Rozmawiam z panem jak z kolegą, bo wiem, że mi pan wierzy. Niezależnie od szacunku, którym darzy pan sędziego, i osobistej niechęci do *dottore* Caselli.

Santini robił wszystko, żeby nie stracić nad sobą panowania.

– Dziękuję za radę, *dottore* – powiedział, zaciskając zęby. – Wezmę to pod uwagę. Czy mogę w czymś jeszcze pomóc?

Curcio podniósł się z krzesła.

– Nie, nie. Dziękuję za rozmowę. Proszę się zastanowić. Nie chciałbym zobaczyć pana na dnie z powodu tej historii. Tak niewielu dobrych policjantów nam zostało. W dodatku tych

z wąsami.

Nowy komendant wyszedł z pokoju, a Santini wpatrywał się jeszcze przez dłuższą chwilę w drzwi. Potem wziął długopis, którym wcześniej bawił się przełożony, złamał go i wrzucił do kosza.

– Spierdalaj! – zaklął pod nosem i po raz pierwszy od rozpoczęcia śledztwa ogarnęło go złe przecucie. Miał wrażenie, że wspina mu się po plecach jak lodowata stonoga. Odgonił nieprzyjemne myśli i zaczął przygotowywać się do podróży do Cremony.

Colomba obudziła się o świcie. Nie była przyzwyczajona, aby dzielić pokój z drugą osobą, i choć Dante skulił się na krótkiej kanapie przy oknie, to przez całą noc wyczuwała jego obecność, zapadając w przerywany, niespokojny sen. Śnił jej się Ojciec, wybuch w paryskiej restauracji, koledzy z policji, którzy ją aresztują, a potem znowu Ojciec i silos. Wstała o ósmej, zmęczona przewracaniem się w łóżku z boku na bok. Dante ciągle jeszcze spał, pochrapując lekko z otwartymi ustami i twarzą zwróconą w stronę okna. Rolety zostawili podniesione, żeby zapewnić dopływ światła. Dante owinał się szczelnie w zbyt szeroki i przykrótki dres należący kiedyś do męża Wandy.

Colomba ubrała się w łazience i kiedy weszła do kuchni, na stole znalazła bilecik od Wandy z informacją, że wróci w porze obiadu. Kobieta udała się razem z Annibalem na poszukiwania tego, o co Dante poprosił ich poprzedniej nocy po powrocie z wycieczki do kamieniołomu. Colomba nie miała pojęcia, jak udało mu się ich znowu przekonać, żeby zechcieli im pomóc, ale dopiął swego.

Colomba w samotności zjadła śniadanie, na które składały się suchary z miodem, popiła je dzbankiem kawy, a potem zaczęła chodzić po mieszkaniu, nerwowo jak lew w klatce. Zauważyła, że Wanda ma kompletną kolekcję książek z serii Reader's Digest oraz niezliczoną ilość drobiazgów i drewnianych figurek, przedstawiających w większości dzikie zwierzęta. Colomba nie wiedziała, czy chodzi o spadek po mężu myśliwym, czy o prezenty od Vallego, którego ślady można było dostrzec w całym domu. Męskie okulary, para papuci, szlafrok tak duży, że mógł go pomieścić, oraz kilka egzemplarzy gazety „Il Sole 24 Ore”, ułożonych w pokryty kurzem stos i zupełnie niepasujących do kolekcji książek.

Dante zwłókł się z kanapy w swoim śmiesznym dresie. Twarz miał śmiertelnie bladą. Wyglądał, jakby go właśnie ekshumowano, a nie obudzono z porzeczającego snu.

– Już dłużej nie wytrzymam – oświadczył na powitanie. – Mają tu kawę?

– Tak, ale nie taką, jaką lubisz – odpowiedziała Colomba z wymuszonym uśmiechem.

– Nie szkodzi. Postanowiłem się poświęcić. W więzieniu będzie jeszcze gorzej, a ja jestem na takim głodzie, że tylko prawdziwy narkoman...

– Zrobię ci kawy, a ty idź do łazienki – zaproponowała Colomba, zrywając się na równe nogi.

Dante spojrział na nią zaniepokojony.

– Wszystko w porządku?

– Tak, ale muszę się czymś zająć.

– Jesteś zdenerwowana?

– No jasne! A ty nie?

– Wcale. Wanda ma spore zapasy xanaxu. To znaczy miała.

Kiedy Dante siedział przy późnym śniadaniu, usłyszeli podjeżdżającą ciężarówkę. Ukryta za firanką Colomba śledziła samochód, gestem nakazując Dantemu milczenie. Była to odkryta półciężarówka z elektryczną wciągarką umieszczoną na platformie nieco większej niż te, którymi dysponują samochody przystosowane do holowania. Lina była nieco cieńsza i kończyła się dwoma hakami połączonymi z mocnymi łańcuchami.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się Dante, który zastygł z herbatnikiem w ręce.

– Wygląda na to, że przyszły zakupy z dostawą do domu – powiedziała Colomba. – Ale nie widzę, kto jest w samochodzie.

Drzwi po stronie pasażera otworzyły się i Colomba zobaczyła Wandę. Zawahała się na chwilę, oceniwszy wysokość kabiny, a wtedy kierowca podbiegł, żeby jej pomóc. Był to około pięćdziesięcioletni Arab w szarym garniturze i czerwonym krawacie.

– Chodź tu i zobacz – zwróciła się do Dantego Colomba. – Przyjechała Wanda z jakimś gościem.

Dante porzucił ciastko i zbliżył się do okna – siedł z przesadną ostrożnością, jak mim naśladowujący złodzieja. Na widok mężczyzny uśmiechnął się z ulgą.

– To jest Andrea, pomocnik mojego ojca. Taki jego beniaminek i prawdopodobnie jedyny przyjaciel, jakiego ma.

– Ufasz mu?

– Tak, ale nie wiem, do jakiego stopnia został wtajemniczony w nasze sprawy. Lepiej, jak zostaniesz w domu.

– Okej – zgodziła się Colomba i poszła do pokoju Wandy, skąd po przymknięciu drzwi mogła z łatwością obserwować, co się dzieje w salonie. W sypialni pachniało wodą kolońską i Colomba nie mogła nie zauważyć części męskiej garderoby oraz stojącej przy łóżku butli tlenowej z maską, która ratowała Vallemu życie w czasie snu.

Tymczasem Wanda i Andrea weszli do mieszkania. Dante objął mężczyznę, szczerze zadowolony ze spotkania.

– Przybrałeś na wadze – zażartował Andrea. – Niedługo będziesz taki sam jak twój ojciec.

– Chciałbyś, co? Miałbyś wtedy dwa morsy, nad którymi mógłbyś się znęcać.

Andrea zaśmiał się krótko, po czym natychmiast przybrał poważny wyraz twarzy.

– Ta ciężarówka to najlepszy sprzęt, jaki udało mi się znaleźć na budowie. Łańcuch ma dwadzieścia pięć metrów i zapewniono mnie, że może udźwignąć ze dwie tony. Jeszcze nie miałem okazji sprawdzić.

– Powinien się nadać.

Wanda powiedziała coś, czego Colomba nie dosłyszała. Może zaproponowała Andrei coś do jedzenia lub do picia.



Mężczyzna uprzejmie odmówił.

– Muszę wracać do biura. Ale najpierw rozładuję resztę sprzętu. – Potem zawahał się nieco i zwrócił się do Dantego: – Twój ojciec prosił, żebym ci przekazał, że oferta jest ciągle ważna – powiedział niepewnie.

– Skąd mu przyszło do głowy, że mógłbym zmienić zdanie w ciągu zaledwie kilku godzin.

– Wie, jaki niestały z ciebie facet.

– Ostatnio chyba już mniej... – zauważył Dante z melancholią. – Pomógłbym ci w rozładunku, ale lepiej, żebym nie paradował za dużo po ulicy.

– Rozumiem. – Andrea uniósł ręce na znak, że się poddaje. – No to idę.

Otworzył drzwi wejściowe i Colomba musiała przesunąć się, żeby nie zauważył jej w niedomkniętych drzwiach. Potrąciła kolanem ułożone przy ścianie gazety, które rozsypały się po podłodze. Kiedy pochyliła się, żeby zrobić porządek, dostrzegła wśród papierów album z fotografiami – jeden z tych, których używano przed laty, z bibułą oddzielającą poszczególne strony. Upomniała się w myślach za wścibstwo, ale ciekawość zwyciężyła i otworzyła go. Na pierwszym zdjęciu, zgodnie z oczekiwaniem, widniała młoda para przed ołtarzem, w ślubnych strojach z lat siedemdziesiątych. Kobieta absolutnie nie przypominała Wandy, za to pan młody... Colomba zrozumiała, że mężczyzna w eleganckiej, dopasowanej marynarce, patrzący z powagą na księdza, to pan Valle – młodszy o jakieś czterdzieści lat i szczuplejszy przynajmniej o sto kilo. Brunetka w białej ślubnej sukni musiała być więc matką Dantego.

W czasie gdy Andrea krzątał się przy ciężarówce, przekomarzając się z Dantem, Colomba siedziała na brzegu łóżka i przeglądała album. Kolejne białe-czarne fotografie przedstawiały nadmorskie miasteczko, mogło to być Rimini lub Riccione, oraz kobiety w jednoczęściowych kostiumach i Vallego grającego w paletki. Przerzuciła kolejne trzy zdjęcia i na czwartym zobaczyła matkę Dantego w zaawansowanej ciąży, która stała na balkonie i paliła papierosa. A potem pojawił się Dante, leżał nagi na dywanie, mógł mieć około sześciu miesięcy. Colomba miała wielką ochotę pokazać mu tę fotografię, chociaż nieco bała się jego reakcji. Kto wie, czy widok krewnych i przyjaciół, których postacie zatarły się pamięci Dantego w czasie pobytu w silosie, na przykład tych zachwycających się jego raczkowaniem, nie będzie dla niego szokiem. Myślał, że wszystkie pamiątki spłonęły w pożarze, a tymczasem coś jednak ocalało – zdjęcia, których ojciec zapomniał mu pokazać. *A może nie chodzi wcale o przeoczenie*, pomyślała Colomba. *Annibale nie chce, żeby Dante je zobaczył*. To by wyjaśniało, dlaczego album znajdował się między gazetami w jedynym pokoju, do którego Colomba, będąc gościem, nie powinna wchodzić. Przyszło jej do głowy, że Valle ukrył go tu w pośpiechu, kiedy wszedł do domu, aby zawiadomić Wandę o ich wizycie.

Wróciła do pierwszych zdjęć i zaczęła przyglądać się im uważniej, aż wreszcie dostrzegła

coś, co z początku ją zaskoczyło, a później zmroziło krew w żyłach. Odwracała pośpiesznie kartki i była coraz bardziej przerażona, dopiero stukot obcasów Wandy wyrwał ją z transu. Odłożyła album na swoje miejsce. *To nie jest odpowiedni moment*, pomyślała. *Nie teraz*.

Kiedy Wanda otworzyła drzwi, zastała Colombę stojącą przy oknie. Po porzucanych gazetach nie zostało śladu.

– Może pani wyjść.

– Dziękuję.

– Andrea czeka, żeby zawieźć mnie do Annibala. Uważa, że nie powinnam tutaj zostać.

– Zgadza się całkowicie – potwierdziła Colomba.

Wanda zawahała się, ale potem powiedziała:

– Dzisiaj znowu pojawiła się u niego policja i pytali o Dantego. Tym razem byli bardziej natarczywi niż poprzednio. Sądzi pani, że coś podejrzewają?

Colomba wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale jestem pewna, że prędzej czy później nas znajdą, jeśli tu zostaniemy. Obiecuję, że dzisiaj się wyniesiemy.

– Zaczynam się bać – mruknęła Wanda. – Na początku wydawało mi się, że to tylko zabawa, ale teraz...

– Rozumiem. Oczywiście zaprzeczmy z Dantem, że nam pomagaliście. A kiedy już nas złapią, nie będą sobie wami zawracać głowy.

– Mówi pan tak, jakby wasze aresztowanie było tylko kwestią czasu.

– Niestety, jestem tego pewna. – Colomba uściśniła kobiecie rękę. – Dziękuję za wszystko.

Colomba poczekała, aż Wanda wyjdzie, i dopiero wtedy wróciła do salonu, gdzie zastała Dantego siedzącego na kanapie. Przyglądał się trzem pudłom z logo producenta artykułów sportowych, które stały na dywanie na środku pokoju.

– Przyszedł Babbo Natale<sup>27</sup> – powiedział.

– Jeszcze tego brakowało. Mam na dzisiaj po dziurki w nosie wszystkich ojców i tatusiów.

– Colomba siliła się na swobodny ton. *Nie teraz*, pomyślała po raz drugi.

Poprosiła Dantego o pomoc i razem otworzyli kartony, wysypując zawartość na podłogę. Znaleźli tam kompletny kombinezon do nurkowania z materiału o grubości dziesięciu milimetrów, z zimowym kapturem, lampę czołową, piętnastolitrową butlę oraz przenośny magnetometr do wykrywania metali.

– Jesteś pewna, że dasz sobie radę?

– Ostatni raz nurkowałam trzy lata temu, ale sądzę, że jeszcze pamiętam, jak to się robi. Chyba że ty chcesz mnie zastąpić?

– Umarłbym jeszcze przed zanurzeniem.

– No to będziesz obsługiwał wciągarkę, nie ma innego wyjścia. – Colomba przyjrzała się z zainteresowaniem głębościomierzowi na rękę, był o wiele nowocześniejszy niż te,

których kiedyś używała. Miał funkcję pomiaru czasu, na jaki wystarczy powietrza, po uwzględnieniu głębokości i szybkości wynurzenia. Postanowiła, że przeczyta dokładnie całą instrukcję obsługi sprzętu, bo tej nocy miała powierzyć mu swoje życie.

Planowała, że z nadejściem ciemności zanurzy się w wodach jeziora powstałego w kamieniołomie.

O dwudziestej klub nad rzeką zaczynał wypełniać się wieczorną klientelą, bardziej zróżnicowaną i zdecydowanie młodszą od popołudniowej. Liczne pary przychodziły tutaj regularnie, nawet w środku tygodnia, gdy tymczasem emeryci wracali do domu na kolację i niektórzy wpadali ponownie po posiłku na kieliszek likieru, przynajmniej ci, którzy byli jeszcze dość sprawni, żeby jeździć na rowerze.

Szachownice odkładano na bok i nakrywano stoły obrusami w białą-czerwoną kratę, które właściciel wybrał specjalnie, by przypominały atmosferę dawnej gospody. W powietrzu zaczynał unosić się zapach smażonej cebuli, na której duszono później żabie udka, specjalność zakładu. Kucharz, który zapisywał menu na tablicy, jako pierwszy zobaczył niebieskie światło koguta na alfie romeo zaparkowanej przed wejściem i dwóch mężczyzn po cywilnemu wysiadających z samochodu. Jeden z nich miał szpakowate wąsy, zapadnięte policzki i muskularną sylwetkę, drugi był niski i łysy. Weszli do lokalu i skierowali się prosto do kontuaru. Kucharz pomyślał, że będą kłopoty, a niektórzy ze starszych graczy skrzywili się z niesmakiem, wyczuwając policję. Klub Przyjaciele Rzeki powstał na początku XX wieku, ale potem często przechodził zmiany, na przykład do końca lat sześćdziesiątych znany był jako miejsce spotkań tak zwanej Liggery, lombardzkiej mafii, która nie używała broni i z czasem zniknęła z ulic północnych miast. Nikt nie wiedział, ilu dawnych członków tej organizacji nadal prowadzi mętne interesy, ale ci, którzy przeżyli, nie zmienili przyzwyczajęń i ciągle odwiedzali to miejsce.

Policjant o szpakowatych wąsach pokazał właścicielowi legitymację, na której widniało: zastępca komendanta Marco Santini.

– Dobry wieczór – powiedział. – Szukamy dwóch osób.

Łysy wyjął z kieszeni dwa zdjęcia, jedno przedstawiało atrakcyjną kobietę, drugie mężczyznę, który wyglądał na niedożywionego i spoglądał przed siebie nawiedzonym wzrokiem gitarzysty rockowego.

Właściciel pokręcił głową.

– Przykro mi, ale nie widziałem ich tutaj. Jesteście pewni, że pojawili się w okolicy? Santini wskazał palcem mężczyznę na zdjęciu.

– To syn Annibala Vallego. Wie pan, o kim mówię, prawda?

Zaniepokojony gospodarz się wzdrygnął.

– Świetnie znam Annibala, ale nigdy nie widziałem go tutaj z synem. To chyba nie on...

– To jego syn – uciął krótko Santini.

– W gazecie wyglądał jakoś inaczej. Może powinniście zapytać Annibala?

Santini popatrzył na mężczyznę tak, jakby ten powiedział coś nieprzyzwoitego. W tej samej chwili do kontuaru podszedł staruszek mierzący nie więcej niż półtora metra. Gestem pokazał pusty kieliszek, dając do zrozumienia, że należy go napełnić. Nosił ogromne okulary i dwie słuchawki słusznych rozmiarów, które ginęły we włosach sterczących mu z uszu.

– Poczekaj chwilę, zaraz przyjdę – uspokoił go właściciel, po czym zwrócił się ponownie do policjantów. – Mogę jeszcze w czymś pomóc?

Santini pokręcił głową i chciał zabrać zdjęcia, ale natrafił na rękę staruszka, który wymamrotał coś gwarą.

Santini spojrzał na łysego.

– Zrozumiałeś, o co mu chodzi?

Policjant potwierdził ruchem głowy. Pochodził z Brescii, gdzie mówiono podobnym dialektem.

– Powiedział, że go widział.

– Torrego? Kiedy? – zapytał Santini.

Staruszek wybełkotał odpowiedź, z której wynikało, że było to poprzedniego dnia. Torre siedział przy stoliku i rozmawiał z nim, aż przyszła kobieta z czerwonymi włosami i wyprowadziła go z lokalu. Odjechali z tym grubasem, który spędza tu dużo czasu, z tym, co ma kasę.

Santini spojrzał na wyraźnie zakłopotanego właściciela.

– Przysięgam, że ich nie zauważyłem. Annibale nawet nie wszedł do środka.

– To on jest grubasem, tak? – dopytywał Santini.

– Do szczupłych nie należy – odparł gospodarz, który zbyt późno zrozumiał, że powiedział więcej niż trzeba.

Santini uciszył protesty ruchem dłoni i poprosił kolegę o spisanie danych staruszka. Byli we właściwym miejscu, chociaż mieli dwudziestoczworogodzinne opóźnienie. Już niedługo cały ten pościg się skończy i nie będzie musiał zajmować się uciekającymi wariatami i dziećmi. O Boże, dzieci... Zaczynały mu się śnić po nocach.

Dwaj policjanci opuścili bar, a staruszek z pełnym kieliszkiem wrócił do stolika, przy którym grał w warcaby. Zobaczył, że jego przeciwnik, mężczyzna w podobnym wieku z wytatuowanymi niebieskim barwnikiem rękami, skrzyżował ramiona i przygląda mu się z pogardą. I mimo nalegań nie godzi się na dokończenie gry.

Colomba stała na schodkach ciężarówki i przymocowywała butlę tlenową do kamizelki, korzystając z raczej symbolicznej pomocy Dantego. Zapięła pas z balastem i włożyła zań mały młotek z płaską końcówką, jeden z tych, których używają kłusownicy zbierający małże, oraz niewielką wodoodporną latarkę. Kombinezon ciasno opinał jej ciało, ale neoprenowe płetwy były o pół numeru za małe, na szczęście udało się jej wcisnąć w nie stopy. Założyła na głowę lampę czołową i sprawdziła, czy działa, oświetlając blisko pięćdziesięciometrowy pas ziemi wokół siebie.

– Teraz jesteś gotowa do walki z kosmitami – zażartował Dante.

– Mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby. – Zassała powietrze przez ustnik, żeby upewnić się, czy jest drożny, i poluzowała nieco zawór.

– Pamiętaj o otwarciu butli.

– Rada godna eksperta, dziękuję! Pomóż mi zejść.

Dante zeskoczył z przyczepy i objął ją w pasie. Kierując się impulsem, zdobył się na prawdziwy uścisk.

– Uważaj na siebie tam na dole – szepnął, opierając podbródek na jej ramieniu.

Colomba pozwoliła się przez chwilę obejmować, po czym wyswobodziła się delikatnie.

– Nurkowanie nie jest wcale takie niebezpieczne, jak ci się wydaje.

– A co będzie, jeśli wpadniesz w panikę?

Colomba westchnęła. Wolała o tym nie myśleć.

– Trzeba mieć nadzieję, że nic takiego się nie zdarzy.

Kiedy korzysta się z butli tlenowej, jedną z najważniejszych rzeczy jest kontrola oddechu.

– Mam jeszcze ze dwie tabletki xanaxu...

– Tylko pogorszyłyby sytuację, muszę być całkiem przytomna.

W świetle latarki Dantego podeszli do brzegu jeziora, które w środku nocy wydawało się czarne jak smoła. Wokoło panowały nieprzeniknione ciemności. Po drodze zauważyli jedynie kilka samochodów ukrytych między drzewami, w których pary uprawiały seks, poza tym nikt im nie przeszkadzał. Colomba wpatrywała się w głębinę. Skafander ochroni ją nieco przed zimnem, ale na dnie temperatura wody wynosi około dwunastu stopni, może nawet mniej. Pomyślała, że wolałaby mieć na sobie wodoszczelny kombinezon. Dałaby sobie w nim radę, zważywszy na posiadaną licencję, ale musiałyby osobiście udać się na zakupy. Na domiar złego o wiele trudniej jest go dostać.

– Zgodnie ze starą mapą – powiedział Dante, oświetlając teren – to właśnie tutaj kończyła

się droga prowadząca do kamieniołomu. Przypuszczam, że oddział Ojca przyjeżdżał wywrotką właśnie z tej strony.

– A więc pojemniki powinny znajdować się na dole – dodała Colomba. – Zależy jednak, w jaki sposób zrzucali je na dno i czy w ciągu tylu lat prądy nie przeniosły ich w inne miejsce. – Powierzchnia jeziora była dość duża, liczyła czterysta pięćdziesiąt metrów długości i dwieście metrów w najszerszym miejscu. Ponadto miało ono też liczne zatoczki i podwodne grotty. Colomba nie zdołałaby sama w ciągu zaledwie jednej nocy zbadać całego dna. Miała tylko nadzieję, że ich kalkulacje okażą się słuszne, i liczyła na łut szczęścia, którego do tej pory jej brakowało.

– Żeby tylko działał tak skutecznie, jak piszą w broszurce – powiedział Dante, podając jej wykrywacz metalu, który przypominał torpedę. Miał trzydzieści centymetrów długości, uchwyt w górnej części oraz koronę złożoną z diod LED na dole. Kiedy Colomba go włączyła, lampki zamigotały, zmieniając kolor z czerwonego na zielony, a aparat zaczął lekko brzęczeć i wibrować. Wypróbowała go już w domu Wandy i z łatwością zlokalizowała rury ukryte w ścianach, ale nie miała pojęcia, jak się sprawdzi pod wodą. Dante ustawił czułość na średnim poziomie, aby wykrywacz nie reagował na każdą napotkaną monetę.

Colomba kilka razy przełożyła urządzenie z jednej ręki do drugiej, potem napompuwała kamizelkę, aby utrzymała ją na powierzchni przez kilka metrów, i zaczęła oddalać się od brzegu. Ściany kamieniołomu były bardzo strome, nierówne i prawdopodobnie ostre.

Z kieszeni Dantego dobiegł cichy dzwonek komórki Wandy.

– Nie wyłączyłeś telefonu? – zaniepokoiła się Colomba.

– Na wszelki wypadek – usprawiedliwił się Dante, po czym odebrał połączenie. Colomba od razu wyczuła, że coś się stało, bo w słabym świetle wyświetlacza jego twarz wydawała się jeszcze bledsza.

– Rozumiem. W porządku. Dziękuję. Powodzenia.

Rozłączył się natychmiast, wyjął baterię i dopiero wtedy schował telefon do kieszeni.

– Co jest? – zapytała Colomba.

– Wanda dzwoniła z bezprzewodowego telefonu stacjonarnego, schowała się w łazience. Policja jest w mieszkaniu mojego ojca. Wiedzą, że się z nim spotkaliśmy.

– Nie powinna była do ciebie dzwonić – zmartwiła się Colomba. – Teraz na pewno zlokalizują połączenie.

– Ile czasu im to zajmie?

– Na głębokości dwudziestu metrów, a to jest najniższy poziom kamieniołomu, tlenu w butli wystarczy na jakąś godzinę – wyjaśniła Colomba. – Powinniśmy skończyć, zanim przyjadą. Może uda nam się nawet zniknąć. Pod warunkiem że policja w Cremonie nie jest skuteczniejsza niż na całym świecie.

– Bierzmy się do roboty.

Colomba zanurzyła się w wodzie, która powoli zaczynała przenikać przez kombinezon

i ogrzewać się nieznacznie w zetknięciu z ciałem. Przepłynęła kilka metrów żabką, po czym przyjęła pozycję pionową i wypuściła powietrze ze skafandra, otwierając zawór. Natychmiast zaczęła znikać pod wodą.

Schodziła powoli, zatrzymując się co trzy metry, żeby wykonać kompensację. Wypuszczała powietrze ustami, zatkawszy sobie wcześniej nos. W świetle latarki woda w jeziorze połyskiwała zielonofioletowym odcieniem i była zdecydowanie bardziej przezroczysta niż widziana z brzegu, gdzie pokrywała ją rześa i gnijące gałązki. Dostrzegła kilka mieniących się srebrem szczupaków, które odpłynęły szybko, kiedy się zbliżyła, oraz wielkiego, niemal metrowego karpia. Umieszczony na przegubie dłoni komputer wskazywał, że znajduje się na głębokości dziesięciu metrów, i Colomba na chwilę zapomniała o celu wyprawy, przyjmując zrelaksowaną pozycję i zachwycając się cudownym widokiem. Potem spuściła powietrze i zatrzymała się dopiero około metra od dna. Ustawiła się tak, żeby płetwy nie dotykały gruntu, ale poruszony muł i śluz zamąciły wodę, która miała teraz zdecydowanie niższą temperaturę. Obróciła się wokół własnej osi i oświetliła najpierw przeciwległe zbocze pokryte nagimi ślimakami i małymi małżami, a potem niknący w ciemnościach środek jeziora.

Poczuła się tak mała i zagubiona, że przyszło jej do głowy, iż nigdy nie zdoła znaleźć tego, czego szuka, nawet jeśli rzeczywiście zostało ukryte na dnie jeziora. Mimo wszystko włączyła wykrywacz metalu i skierowała w dół końcówkę, poruszając się za pomocą płetw.

Detektor zamigotał czerwonym światłem prawie od razu, a Colomba poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć dna i wyczuła łańcuch należący prawdopodobnie do kotwicy, cały pokryty algami i mulami. *Za pierwszym razem niekoniecznie musi się udać*, pomyślała. Płynęła dalej, poruszając się spiralnymi ruchami, a urządzenie aktywowało się co chwila, prowadząc ją na ślad metalowych odpadów, niemających wiele wspólnego z tym, czego szukała. Znalazła fragment skutera, kanister na benzynę, puszki po jedzeniu lub po przynęcie, łańcuchy i metalowe kable, ostrze kilofa, a nawet telewizor. Zaczęła się zastanawiać, komu się chciało przytaszczyć odbiornik aż tutaj, ale uznała, że debile mają zawsze dużo czasu.

Po dwudziestu minutach bezowocnych poszukiwań spojrzała na komputer na nadgarstku. Powietrza miała jeszcze na pół godziny. Biorąc pod uwagę, że pięć minut zajmie jej wynurzenie, powinna natychmiast coś wymyślić, żeby nie narażać się na zator, chociaż na tej głębokości ryzyko było niewielkie.

Postanowiła przypomnieć sobie mapę kamieniołomu, którą widziała na ekranie komórki Wandy. Na szczęście dało się korzystać na niej z Internetu, chociaż połączenie było nieprawdopodobnie wolne. Dante miał rację, jeśli chodzi o drogę dojazdową, ale Ojciec i jego pomocnicy mogli przecież ustawić wywrotkę w innym miejscu. Było to niemal pewne, zważywszy na smutny rezultat poszukiwań Colomby. Dlaczego nie wyrzucili pojemników od razu? Dlaczego mieliby tracić czas i ryzykować, że ciężarówka gdzieś



ugrzęźnie? Znalazła odpowiedź, kiedy skierowała światło latarki na zbocze znajdujące się przed nią, naprzeciw osuwiska, po którym zeszła do wody. Wszystko wskazywało na to, że ma przed sobą uskoku skalny. Podpłynawszy bliżej, odkryła, że na długości około dziesięciu metrów zbocze nie opada stromo, lecz obniża się stopniowo w kierunku środkowej części jeziora.

Colomba poprosiła w duchu, aby kumple Ojca zachowali się jak typowi żołnierze – obojętnie czy z insygniami czy bez – i w celu uniknięcia niepotrzebnego wysiłku, zamiast przenosić pojemniki, toczyli je po zboczu aż na dno, gdzie już wtedy musiały być błoto i płytka woda.

Stała na krawędzi uskoku, po czym popłynęła wolno przed siebie, zataczając niewielkie kręgi. Wykrywacz metalu błysnął tylko raz, około pięciu metrów od zbocza. Colomba dotknęła dna, wyczuwając pod warstwą mułu twardą, jednolitą powierzchnię. Wyciągnęła zza pasa młotek i użyła go do zdrapania gliniastej skorupy. Woda zrobiła się mętna i światło latarki z trudem przez nią przenikało, ale Colomba nie ustawała w wysiłkach aż do czasu, gdy narzędzie trafiło na coś elastycznego.

Umieściła młotek za pasem i teraz pracowała rękami. Wyczuła zaokrąglony kształt i pod warstwą szlamu zobaczyła górną powierzchnię dwustulitrowego pojemnika. Dostrzegła, że jest wykonany z materiału przypominającego grubego plastiku i ma zewnętrzne stalowe wzmocnienia. Nie mogło więc chodzić o zwykły pojemnik na benzynę i kiedy obok pierwszego zauważyła następny, a potem jeszcze jeden, zrozumiała, że znalazła to, czego szukała. Aby zaznaczyć miejsce składowania, umieściła małą latarkę na dnie światłem ku górze, po czym szybko przepłynęła na drugi brzeg jeziora, napompowała lekko kamizelkę i zaczęła się wynurzać. Trzęsąc się z niecierpliwości pozwoliła sobie na zaledwie dwie przerwy na dekompresję. Kiedy wypływała na powierzchnię, poczuła ostry ból w górnej szczęce i domyśliła się, że chodzi o niewielkie pęknięcia, wypełnione teraz pęcherzykami powietrza, które rozszerzając się, uciskają korzenie. Niewątpliwie była to pozostałość po jednym z dwóch wybuchów, z których udało jej się uciec z życiem.

Wynurzyła się kilka metrów dalej od miejsca, gdzie weszła do wody, i zobaczyła, że Dante biegnie w jej stronę, ryzykując niezaplanowaną kąpielą.

– CC! Nareszcie!

Wyjęła ustnik i zaczęła ciężko oddychać. Miała trudności z mówieniem z powodu bólu zębów, na szczęście dolegliwość szybko ustępowała.

– Musisz podjechać ciężarówką na drugi brzeg.

Dante pojął w lot.

– Znalazłaś je? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tak, są jakieś takie dziwne, ale wydaje się, że dość łatwo będzie je wyciągnąć. Dasz radę podjechać?

– Jasne, nawet gdybym miał przepchnąć samochód gołymi rękami.

– Czekam na drugim brzegu.

Colomba popłynęła na przeciwległy brzeg jeziora i zatrzymała się tam, gdzie powinien zaczynać się uskoki. Spojrzała na urządzenie umieszczone na nadgarstku: biorąc pod uwagę głębokość dwudziestu metrów, zapas powietrza oceniła na jakiś kwadrans. Będzie musiała się pospieszyć z łańcuchami.

W ciemnościach pojawiły się światła ciężarówki i Colomba zaczęła machać rękami, chcąc wskazać Dantemu miejsce, gdzie powinien ustawić samochód. Przy brzegu leżały powalone drzewa, które gnijąc, miały wpływać na ekosystem, i dlatego niełatwo było wykonać manewr, ale w końcu Dante zdołał podjechać tak, że koła ciężarówki znajdowały się prawie na linii brzegowej. Zaciągnął hamulec ręczny, wyskoczył z szoferki, opuścił tylne zabezpieczenie i wszedł na platformę.

Uzbrojona w latarkę Colomba widziała, jak Dante zмага się przez chwilę ze sprzętem, a potem usłyszała warkot silnika elektrycznego wciągarki i kabel zaczął się rozwijać. Dante poczekał, aż odkręci się kilka metrów, po czym zeskoczył na ziemię, ujął dwa haki i brodząc w błocie, podał je Colombie.

– Co teraz? – zapytał.

– Rozwiń kabel do samego końca. Pewnie będzie zbyt długi, ale nic nie szkodzi. Pociągnę go pod wodą, uważając, żeby się nie poplątał.

– Dasz mi znać, kiedy już zaczeprysz haki?

– Pociągnę mocno kilka razy i mam nadzieję, że poczujesz. Pamiętaj, że będę potrzebowała kilku minut na całą operację. Jeśli zauważysz, że ciągnę kabel, zanim się całkowicie rozwinie, to znaczy, że mi się gdzieś zaczepił i próbuję go uwolnić. W razie konieczności po prostu się wynurzę, ale mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby, bo mam już mało powietrza w butli.

– Dobra, wszystko jasne.

Colomba założyła ustnik, odwróciła się i skierowała na środek jeziora, ciągnąc z trudem kabel. Takie obciążenie sprawi, że o wiele szybciej zejdziesz na dno i będzie musiała częściej wyrównywać ciśnienie, jeśli chce ochronić uszy.

Dante ponownie stanął na platformie i uruchomił wciągarkę. Widząc, jak światło latarki Colomby znika pod wodą, pomyślał, że oddałby wszystko, żeby być teraz przy niej i kontrolować, czy najdelikatniejszy etap operacji przebiega bez zakłóceń. To przecież on rozpoczął całą akcję dwadzieścia pięć lat temu, kiedy uciekł z silosu i opowiedział swoją historię, mając nadzieję, że ktoś mu uwierzy.

Kiedy kabel się rozwinął, silnik wciągarki wyłączył się automatycznie. Minęły cztery minuty. Dante czekał niecierpliwie na znak, licząc w myślach upływające sekundy. Po kolejnych dwóch minutach wydało mu się, że słyszy lekką wibrację i przyłożył ucho do kabla, aby się upewnić, że to nie złudzenie. Drżenie następowało w rytmicznych odstępach. Dante rozpoznał ustalony sygnał, który mówił mu, że Colomba zamocowała haki przy

pojemniku. Natychmiast wrócił do panelu sterowania, ale zanim zdążył uruchomić wciągarkę, usłyszał niepokojący szelest obok ciężarówki i odgłos kroków w błocie. Odwrócił się i serce zamarło mu w piersi. Na brzegu w świetle księżyca stał Ojciec i przyglądał mu się swoimi przerażającymi oczami.

Colomba stuknęła kilka razy młotkiem w kabel zaczepiony do pojemnika, a potem szarpnęła z całej siły, ale kontener tylko drgnął. Kabel się nie poruszył i Colomba złościła się w duchu, że nie poprosiła pomocnika Vallego o kupienie krótkofalówek działających pod wodą. Nigdy wcześniej nie brała udziału w tego typu operacji i dopiero po zanurzeniu ta myśl przyszła jej do głowy. Spojrzała na głębokościomierz: powietrza zostało jej jeszcze tylko na sześć minut. Powinna się wynurzyć.

Włożyła młotek za pas i napompowała kamizelkę. Kiedy pokonała połowę drogi, po raz kolejny zaczęła odczuwać ból zębów, podobnie jak podczas dekompresji. Po wypłynięciu na powierzchnię wyjęła ustnik, żeby krzyknąć: „Ruszaj się, bałwanie”, ale głos uwiązał jej w gardle. Dante klęczał w szlamie, zasłaniał sobie twarz rękami i rozpaczliwie jęczał. Za jego plecami stał dobrze zbudowany mężczyzna i mierzył mu w kark z pistoletu o bardzo długiej lufie. Colomba zrozumiała, że broń wyposażona jest w tłumik. Kiedy napastnik skierował wzrok w jej stronę, w świetle latarki zobaczyła błyszczące lodowatym blaskiem oczy i zdała sobie sprawę, z kim ma do czynienia.

– Wyłącz lampkę – rozkazał ten, którego Dante nazywał Ojcem, a Pinna Niemcem. Jego głos przypominał spokojny szept, a mimo to bez problemu pokonał dzielące ich metry. – Natychmiast zgaś światło, bo inaczej strzelę mu w łeb.

– Już wyłączam – wyjąkała Colomba. – Nie rób mu krzywdy. Prawą dłonią wymacała wyłącznik i nacisnęła. Brzeg jeziora pogrążył się w ciemnościach, a ona zrozumiała, że jej postać odbija się na tle wody i że Niemiec prawdopodobnie przymierza się do strzału. Natychmiast poczuła, że nie ma czym oddychać, i dostrzegła poruszające się w ciemnościach jeszcze ciemniejsze postacie. Przestała odróżniać realne kształty od wytworów swojej wyobraźni. Cofnęła się instynktownie, tracąc przy okazji równowagę, i upadła na plecy, porwana ciężarem butli tlenowej. Poczula w głowie oślepiające uderzenie, odzyskując jednocześnie zdolność oddychania. Przełknęła wodę wymieszaną z powietrzem i zaczęła się okropnie krztusić.

– Wstawaj – warknął Niemiec. – Wstawaj albo strzelam.

– Przecież... próbuję – wybełkotała Colomba. – Przewróciłam się.

– Nic mnie to nie obchodzi. Masz dwie sekundy, żeby się podnieść. Ruszaj się!

Colomba dwa razy się poślizgnęła na mulistym dnie, zanim zdołała stanąć na czworakach, nie przestając kaszleć.

– Muszę... muszę zdjąć butlę, inaczej nie dam rady wstać – poprosiła.

– Pospiesz się.

Posłuchała i zdjęła szybko kamizelkę razem z całym sprzętem. Teraz czuła się zdecydowanie lżejsza i udało jej się stanąć. Ponieważ oczy przyzwyczyły się już nieco do ciemności, spostrzegła, że Niemiec ciągle celuje pistoletem w głowę Dantego, który nie ruszył się z miejsca i zakrywszy twarz rękami, zawodził przejmującym głosem.

– Nie rób mu krzywdy – powtórzyła Colomba. – Już dość przez ciebie wycierpiał.

– Przecież żyje, no nie?

– To na pewno nie twoja zasługa.

Niemiec zaśmiał się cicho i zrobiło to na Colombie jeszcze gorsze wrażenie niż jego wcześniejszy szept.

– Naprawdę uważasz, że to przypadek? Nie wygłupiaj się! Podejdź bliżej.

– Po co?

– Ruszaj się! Już dość czasu straciliśmy na próżne gadanie.

Colomba wiedziała, że gdy tylko wyjdzie z wody, mężczyzna ją zastrzeli. Niemiec nie chciał ryzykować, aby jej ciało wpadło do jeziora i zniknęło gdzieś na dnie. Musi się go pozbyć na dobre, podobnie jak Dantego i ciężarówki.

Zrobiła krok do przodu, potem następny. Teraz woda sięgała jej już tylko do kolan.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytała.

– Żebyś podeszła bliżej. – W ciemnościach Colomba dostrzegła, że Niemiec porusza ręką uzbrojoną w pistolet, mierząc prosto w nią. – Chodź tu. Jeszcze dwa kroki – wycedził przez zęby.

Lufa pistoletu znajdowała się na wprost jej twarzy. Colomba miała ochotę rzucić się do wody i uciec, ale wiedziała, że nie ma szans. Pomyślała, że może przynajmniej liczyć na szybką i bezbolesną śmierć. Wystarczy jeden strzał. Pewnie nawet nic nie poczuje. A przede wszystkim nie będzie musiała uczestniczyć w egzekucji Dantego. Nigdy nie była bohaterką i Bóg jeden wie, jak często w życiu się bała. Jednak w tej chwili, słysząc rozpaczliwe jęki Dantego, gotowa była wszystko poświęcić, byle tylko móc go pocieszyć i ocalić mu życie. Chociaż na chwilę, na czas potrzebny Niemcowi, żeby ją zabić.

Podniosła stopę, żeby wykonać ostatni krok przed wyjściem na brzeg. Ukazała się płetwa, mącąc mulistą wodę, w której pływały trzciny. W nocnej ciszy Colomba słyszała każdy pojedynczy dźwięk, jakby odbijał się od kryształu: szelest listowia, plusk wody i żalony płacz Dantego, który niespodziewanie ustał. Zobaczyła, jak podnosi głowę i odwraca ją w stronę mężczyzny, którego nazywał Ojcem.

– Nie jesteś nim, sukinsynu! Nie jesteś nim – krzyknął i rzucił się na Niemca, blokując jego uzbrojoną rękę.

Niemiec nacisnął spust. Colomba usłyszała szcęk tłumika i plusk odbijającego się w wodzie pocisku w miejscu, gdzie znajdowała się przed ułamkiem sekundy. Ruszyła biegiem, na jaki pozwalały jej płetwy, i rzuciła się na napastnika, który w tym czasie zdążył obezwładnić Dantego precyzyjnym uderzeniem pięści i próbował wycelować w jej stronę.

Colomba nie popełniła błędu i nie skupiła się na dłoni trzymającej broń. Rzuciła się na Niemca całym ciężarem ciała i czołem uderzyła go w twarz. Miała wrażenie, że trafiła na pień drzewa. Mężczyzna nawet się nie zachwiał, wymierzył jej cios kolanem prosto w brzuch, a kolbą pistoletu trafił w skroń. Gdyby Colomba nie miała kaptura, siła uderzenia powaliłaby ją na ziemię, na szczęście broń ześlizgnęła się po gumie. Opadła na trawę, czując, jak ziemia koło jej głowy zadrżała dwa razy, kiedy Niemiec naciskał na spust. Tymczasem Dante otrzeźwiał i zatopił zęby w łydce przeciwnika, gryząc aż do krwi. Tym razem Niemiec syknął z bólu i zwrócił lufę pistoletu w stronę Dantego, ale nie zdążył wystrzelić po raz kolejny. Czołgając się w jego kierunku, Colomba wyciągnęła zza pasa młotek na małże. Wspierając się na kolanach, z całej siły zanurzyła narzędzie w lewej stopie napastnika, przeszywając ją na wylot. Rozcięła skórę buta i roztrzaskała kość, a potem wymierzyła cios prosto w dłoń, w której mężczyzna trzymał broń. Pistolet upadł na ziemię, Colomba nie traciła jednak czasu na poszukiwania. Uderzała na oślep w ciało, w twarz, w kolana, podczas gdy Dante atakował od tyłu, próbując powalić go na ziemię. Wspólnymi siłami w końcu im się to udało. Dante trzymał go za nogi, a Colomba przycisnęła jego twarz do podłoża, sprawiając, że zaczął dławić się ziemią. Trzęsąc się ze złości i z emocji, uniosła młotek z zamiarem wbicia go w kark przeciwnika i dopiero w ostatniej chwili opamiętała się i uderzyła w policzek. Skóra pękła, posypały się wybite zęby i trysnęła krew. Niemiec zawył z ustami pełnymi błota i zaczął się miotać jak ranny niedźwiedź, ale Colomba przyciskała jego głowę do podłoża, aż całkiem znieruchomiał.

Dopiero wtedy odwróciła go i otarła mu twarz, aby ułatwić oddychanie. Włączyła lampę czołową i oświetliła jego głowę. Kiedy spojrzała z bliska na pokonanego przeciwnika, osłupiała. Miała przed sobą starego, siwego człowieka z nosem pokrytym brodawkami.

Dante odsunął się na bok i ponownie zakrył twarz rękami. Colomba pochyliła się nad przyjacielem, nie spuszczać wzroku z Niemca.

– Jak się czujesz?

– Jakbym umierał.

Colomba objęła go ramieniem.

- Nie opowiadaj głupstw. Dobrze się spisałeś.
- Już dłużej nie wytrzymam, CC. To ponad moje siły.  
Colomba objęła go mocniej.
- Dante, potrzebuję cię. Bardzo cię proszę, nie zostawiaj mnie teraz samej.

Dante przez chwilę oddychał ciężko.

- Co mam robić?
- Pomóż mi go związać, zanim odzyska przytomność. W przeciwnym razie znowu będę musiała użyć siły i obawiam się, że może tego nie przeżyć.

Kiedy Dante podniósł wzrok, zauważyła, że jego oczy są pełne łez.

- Może tak byłoby lepiej.
- Nie. Nie możemy tego zrobić.

Dante otarł łzy, a Colomba pomogła mu wstać.

- Dasz radę? – zapytała.
- Nigdy w życiu nie czułem się tak paskudnie.
- Szczęściar z ciebie. Zobacz, czy w ciężarówce jest coś, czym możemy go związać.

Kiedy odszedł, powłócząc nogami, Colomba zaczęła sprawdzać, czy czegoś sobie nie złamała. Wyglądało na to, że jednak nie, chociaż była cała obolała. Nie zwracała na to uwagi, ciesząc się, że wreszcie udało jej się ująć i obezwładnić mężczyznę, który był powodem koszmarów Dantego. Nie spuszczać Niemca z oczu, pochyliła się, żeby poszukać pistoletu. Leżał w pobliżu z lufą w błocie, był to glock 19 o plastikowej kolbie. Zdjęła tłumik, aby łatwiej wziąć na cel więźnia, który właśnie zaczynał poruszać powiekami.

- Kim jesteś? – zapytała.

Mężczyzna nie odpowiedział. Leżał na wznak ze wzrokiem utkwionym w niebo. Dyszał ciężko, a z twarzy płynęła mu krew.

Dante wrócił z dwiema rolkami grubej taśmy klejącej.

- To może się nadać – stwierdził nieco pewniejszym głosem.
- Owiń mu najpierw nogi, a potem ręce – zarządziła Colomba.
- Dobra.
- Tylko nie pakuj się pomiędzy mnie i mój cel, jasne?
- W porządku.

Dante podszedł do Niemca i zaczął okręcać taśmą jego kostki. Z tej odległości zauważył, że stopa, którą Colomba mu uszkodziła, jest przebita na wylot, a fragmenty kości błyszczą w krwawej mazi. Odwrócił wzrok, kiedy poczuł, że zbiera mu się na wymioty, i zaczął się zastanawiać, dlaczego mężczyzna nie skarży się na ból.

- Dlaczego wcześniej powiedziałeś, że on nie jest Ojcem?
- Bo nie jest. Nie porusza się jak Ojciec, chodzi jakoś inaczej. Kiedy zobaczyłem go pod szpitalem, nie spostrzegłem tego. Ale teraz tak.

Colomba poczuła, że kręci się jej w głowie od tego wszystkiego.

– Chcesz mi powiedzieć, że ścigaliśmy niewłaściwą osobę? To jego widziałeś przez szparę w murze silosu czy nie?

– Tak, to był on.

– Nic już nie rozumiem.

Dante unieruchomił kostki Niemca, potem zajął się rękami, które skrzyżował mu na piersi. Mężczyzna nie reagował i ciągle wpatrywał się w niebo. Dante zaczął owijać taśmą dłonie mężczyzny, ale widać było, że jest niespokojny i obawia się, czy przeciwnik nagle go nie zaatakuje.

Widząc jego niezdecydowanie, Colomba przyłożyła pistolet do skroni więźnia.

– Nie rób głupstw, jasne? – ostrzegła go.

Ale on i tym razem nie zareagował.

– Powiedziałem, że to nie jest Ojciec. To mężczyzna, którego widziałem tamtej nocy, ale nie ten, który przychodził do mnie w kapturze naciągniętym na głowę i ciemnych okularach, żeby mnie karać. Wydaje mi się trochę niższy i zdecydowanie bardziej krępy. Kiedy szpiegowałem go przez szparę w murze, uznałem go za Ojca, bo był jedynym człowiekiem, którego twarz widziałem w czasie jedenastoletniego pobytu w silosie. Po prostu się pomyliłem. – Skończył okręcać taśmę wokół nadgarstków mężczyzny i odsunął się, żeby ocenić swoje dzieło. – On nie zajmował się trzymanymi w zamknięciu dziećmi, takimi jak ja. Teraz rozumiem, że miał inne zadania do wykonania.

Colomba przyglądała się pozbawionej wyrazu twarzy Niemca.

– A więc to on jest mordercą. Wcześniej udawałeś tylko, że płaczesz, żeby go zmylić?

– Tak, od pewnego momentu robiłem to na pokaz. Pomyślałem sobie, że dopóki będzie uważał mnie za niezdolnego do jakiegokolwiek reakcji, zostawi mnie w spokoju. – Dante zbliżył się do Colomby. – Co z nim zrobimy?

– Na razie nic. Musimy wyciągnąć pojemniki z jeziora.

Dante przytaknął.

– Spróbujemy z brzegu?

– Nie mamy wyboru. W butli nie ma już powietrza, a poza tym w takim stanie nie mogę się zanurzyć. Trzeba mieć nadzieję, że kabel się gdzieś nie zaczepi.

– W porządku. Idę włączyć wciągarkę.

Dante ruszył w stronę ciężarówki, ale w tym momencie światło latarek elektrycznych rozproszyło panujące wokoło ciemności. Ktoś krzyknął i zawyła przeraźliwie syrena zbliżającego się radiowozu.

Obezwładnienie Niemca zajęło im sporo czasu i policja zdążyła dotrzeć na miejsce.



Colomba i Dante, pokryci błotem zmieszany z krwią, trzęśli się z zimna zarówno podczas przeszukania, jak i potem, kiedy założono im kajdanki i pozostawiono samym sobie. W tym czasie policjanci z komendy w Cremonie i w Mediolanie uwijali się na ścieżce wśród drzew, ustawiając w krąg radiowozy, aby reflektory mogły oświetlić brzeg jeziora.

Kiedy zabezpieczono teren, Santini rozkazał, żeby udzielono pierwszej pomocy związanemu mężczyźnie, który leżał na trawie, i wezwano pogotowie.

Colomba z żalem myślała, jak niewiele brakowało do wyciągnięcia z wody pierwszego zbiornika. Dziesięć minut, może nawet mniej. Byli o krok od celu i cały plan legł w gruzach. Siedziała ze spuszczoną głową, chociaż bardziej niż wstyd z powodu aresztowania ciążyło jej poczucie porażki. Dante zamknął się w sobie i nie był w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tym, że wrzucą go do jakiejś ciemnej celi i nigdy już nie zobaczy nieba.

Santini podszedł do nich z rękami w kieszeniach, w czasie trwania akcji nie wyciągnął nawet służbowej broni. Wyglądał na tak samo zmęczonego jak oni.

– Kim jest ten zmasakrowany facet, Caselli?

Colomba podniosła wzrok i udając spokój, powiedziała:

– Mówią na niego Niemiec. Pracuje dla Ojca.

– A ty dalej o tym samym... przestań wreszcie. Nikt nie uwierzy, że masz tak samo nie po kolei w głowie jak twój przyjaciel.

– No to powiedz, co on tu robi według ciebie?

– Nie wiem. I wcale mnie to nie obchodzi. Wykonałem swoją robotę.

Colomba zaszczękała zębami z zimna.

– Bardzo wygodne podejście do sprawy.

– Powinnaś wziąć ze mnie przykład. I to już dawno temu. Jeden z policjantów podał Santiniemu glocka zabezpieczonego w foliowym woreczku.

– Twój? – zapytał Colombę.

– Nie, jego. – Wskazała na Niemca. – Strzelał do nas z tej broni. Policz naboje i sam się przekonaj.

Santini odwrócił się w stronę związanego mężczyzny, którego rany przykrywały teraz bandaże. Policjanci udzielili mu, jak umieli, pierwszej pomocy. Mimo że jego stopa została szczelnie pokryta opatrunkami, ciągle ciekła z niej krew.

– Słyszałeś, o co cię oskarżają? Czy to prawda, że chciałeś ich zabić?

– Nie znam ich – szepnął Niemiec. – Napadli na mnie.

Santini kazał podać sobie dokumenty.

– Piero Frabetti – przeczytał. – Co pan tutaj robił, panie Frabetti?

– Spacerowałem.

– W środku nocy?

– Źle się czuję... Może mnie pan uwolnić? Bardzo proszę. – Ręce i nogi miał ciągle związane taśmą klejącą.

– Później zobaczymy – powiedział Santini. – Gdzie jest karetka, do jasnej cholery? – wrzasnął.

– Będzie tu za jakieś dziesięć minut – poinformował go inspektor z SIC-u, ten, który mówił dialektem z północy. – Na drodze wojewódzkiej doszło do poważnego wypadku i wszystkie karetki są zajęte.

– Parszywe miasto – mruknął Santini. – Niech zabiorą stąd Caselli i jej przyjaciela. Prosto do Rzymu, jasne?

– Dobrze, a co z nim? – zapytał, wskazując na Niemca.

– Przekaż go kolegom z Cremony. Niech się nim zajmą.

Inspektor wydał odpowiednie polecenia. Colomba trzęsła się z zimna i ze złości.

– Santini... Na dnie jeziora są dowody na to, że mówimy prawdę! – krzyknęła. – Wystarczy uruchomić wciągarkę! Pojemnik jest już zaczepiony!

– A w środku siedzi Ojciec? – roześmiał się policjant.

– To tylko pięć minut roboty...

– O pięć za dużo. Cześć, Caselli.

Odwrócił się plecami do zatrzymanych i zapalił papierosa. Bolał go żołądek i marzył, żeby się porządnie wyspać. Ale najpierw chciał wziąć prysznic i wypić kieliszek czegoś mocniejszego. Niejeden.

– Naprawdę tak to wszystko zostawia? – zapytał Dante z niedowierzaniem, kiedy policjanci prowadzili ich do radiowozów zaparkowanych pod drzewami.

– Zabezpieczą teren i będą czekać na przyjazd sędziego z Cremony – wyjaśniła Colomba.

– To on podejmie decyzję i miejmy nadzieję, że każe wyciągnąć pojemnik.

– I co z nim zrobią?

– Zostanie przewieziony do laboratorium i tam sprawdzą zawartość.

– Zniknie po drodze – stwierdził Dante. – Albo z laboratorium. Poza tym czas leci. Musimy wyciągnąć go natychmiast, CC. Zanim Ojciec się dowie, że trzeba zniszczyć dowody. To znaczy zwłoki dzieci...

– Dante... zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy...

Ale on rozglądał się niespokojnie dookoła, aż wreszcie skupił uwagę na Santinim. Jak to możliwe, że od razu o tym nie pomyślał?

– Mamy jeszcze jedną szansę – powiedział, wskazując głową w jego stronę.

– Dość tych pogaduszek – przywołał ich do porządku jeden z eskortujących policjantów.

– Zamknij się, żółtodziobie. – Głos Colomby brzmiał tak autorytatywnie, że policjant zamilkł speszony. – Santini jest w zмовie z De Angelisem – dodała, zwracając się do Dantego.

– Ale nie z Ojcem – zauważył pośpiesznie Dante.

– Czemu tak sądzisz?

– Popatrz na niego: zgarbione plecy, ręce w kieszeniach. Gdyby był zadowolony z przebiegu akcji, uderzałby się teraz w piersi jak goryl. Tymczasem jest w dołku, bo zdaje sobie sprawę, że coś jest nie tak. – Potem zawołał na cały głos: – Doskonale pan wie, że coś jest nie w porządku, prawda, Santini? I zastanawia się pan, czy ktoś nie wodzi pana za nos!

Santini nie odwrócił się, ale Colomba zauważyła, że zeszywniał. Policjanci, którzy prowadzili Dantego, szarpnęli go mocno, żeby się nie zatrzymywał, a kiedy zaczął stawiać opór, zawołali na pomoc kolegę i powlekli nieszczęśnika do radiowozu.

– Może nie lubi pan dzieci – krzyczał nadal Dante. – Ale kiedy pewnego dnia odkryje pan, że Luca Maugeri i Ruggero Paladino umarli zamknięci w klatkach, to nigdy nie będzie pan już mógł w nocy zasnąć! Bo to pan będzie temu winien. Dlaczego nie ma pan odwagi postąpić zgodnie ze swoim sumieniem?

Santini się odwrócił. Twarz wykrzywił mu brzydki grymas.

– Kim jest Ruggero Palladino?

Policjanci zatrzymali się, żeby przełożony mógł porozmawiać z zatrzymanym.

– Chłopcem porwanym przez Ojca, tak samo jak ja przed laty. A ten związany mężczyzna to jego pomocnik. Przypuszczam, że kilkoro dzieci czeka na uwolnienie, chociaż nie mam co do tego pewności.

– Pański porywacz nie żyje od dwudziestu pięciu lat. Bredzi pan – powiedział Santini, ale Colomba zauważyła, że w głosie kolegi nie było już aroganckiej pewności. Dante miał rację: Santini zaczął się wahać.

– To dlaczego Niemiec próbował nas zabić?

– Nie widziałem, co się tu wydarzyło.

Dante się uśmiechnął.

– Ale zdaje pan sobie sprawę, że to niebezpieczny typ, bo inaczej kazałby go pan rozwiązać. A skoro mówimy prawdę w tej sprawie, to być może mamy również rację, jeśli chodzi o dzieci. Tak właśnie pan myśli.

– Wcale nie, ja myślę tylko o tym, żeby jak najszybciej zamknąć tę sprawę – odparł Santini nie swoim głosem.

– Właśnie ma pan okazję, żeby zrobić to najlepiej, jak można. Niech pan każe wyciągnąć i otworzyć pojemnik.

Podczas tej wymiany zdań między dwoma mężczyznami Colomba milczała, ale w tym momencie nie wytrzymała i wtrąciła się do rozmowy.

– Dobrze wiem, co znaczy nosić w sobie poczucie winy, Santini. Nie życzę ci, żeby

i ciebie to spotkało, zwłaszcza że chodzi o dzieci.

Santini miał już odpowiedź na końcu języka, ale powstrzymał się nagle, bo przemknęło mu przez głowę pytanie, jak postrzegają go koledzy i współpracownicy. Widzą tylko mężczyznę w średnim wieku, ubranego w zbyt lekki jak na tę pogodę płaszcz, policjanta, którego młodszy funkcjonariusze się obawiają, bo łatwo wpada w gniew, a starsi starają się unikać, bo nie mają do niego zaufania. I przyszło mu na myśl, że mają rację, bo wśród różnych typów gliniarzy najgorszy jest ten, który ma wszystko gdzieś. Nie interesowało go, czy aresztuje właściwą osobę, nie obchodziły go ofiary, nawet te śmiertelne, obojętne mu było, czy wsadzi za kratki przestępcę, czy niewinnego człowieka. Najważniejsze to zamknąć sprawę i mieć święty spokój. *Pozwól unosić się z prądem rzeki*, mawiała jego matka. Kiedy był chłopcem, marzył o karierze jak z filmu, chciał być policjantem, którego koledzy oklaskują za bohaterские akcje, podczas gdy on kroczy naprzód otoczony jasnym światłem. Z biegiem czasu ta heroiczna postać zmieniała się w szarego biurokrate, który doskonale wie, po której stronie stołu powinien usiąść, komu przyznać rację, a komu się sprzeciwić. W tej chwili Santini zrozumiał jednak, że nawet na karierze przestało mu już zależeć. Czuł się stary i zmęczony, pozbawiony nadziei i perspektyw na przyszłość.

– Zdajesz sobie sprawę, o co mnie prosisz, prawda?

– Tak. O to, żebyś postąpił słusznie. Kiedy ostatni raz to zrobiłeś? – rzuciła Colomba.

Santini przytknął na chwilę oczy, po czym zwrócił się do przeszukujących ciężarówkę funkcjonariuszy.

– Czy któryś z was umie obsługiwać tę cholerną wciągarkę?

Inspektor z północy pociągnął go za rękaw.

– Możemy chwilę porozmawiać, *dottore*?

Santini wyswobodził się zręcznie.

– Nie, nie możemy. No więc jak? Ktoś mi wreszcie odpowie czy mam robić wszystko sam?

Jeden z policjantów kręcących się przy ciężarówce podniósł rękę.

– Ja umiem. Nauczyłem się tego u ojca na budowie.

– Jasne, najbardziej interesują mnie teraz twoje sprawy rodzinne... Uruchom urządzenie i wyciągnij zaczepiony pojemnik.

– Tak jest!

– A co z nimi, *dottore*? – zapytał policjant eskortujący Colombę.

– Mogą poczekać.

Funkcjonariusz, który zgłosił się na ochotnika, wspinał się na przyczepę i uruchomił wciągarkę. Kabel uniósł się i naprężył, a silnik zwiększył obroty do tego stopnia, że Colomba zaniepokoiła się, czy nie wysiądzie. Potem lina zaczęła się powoli zwijać, ciągnąc w górę zaczepiony ładunek. Policjant obsługujący urządzenie rzeczywiście znał się na rzeczy i zwalniał za każdym razem, kiedy słyszał, że silnik jest przeciążony. Pozostali

ustawili się w półkole i przyglądali, rozmawiając półgłosem, wyraźnie zaintrygowani całą akcją. Kiedy zwinęło się już jakieś dziesięć metrów, wciągarka nagle stanęła.

– Pewnie kabel się zaplątał – krzyknął mężczyzna obsługujący urządzenie.

Santini z rezygnacją pokręcił głową.

– Zakładajcie rękawice! – rozkazał.

– Co? – zdziwił się inspektor z północy.

– Załóżcie rękawice i wyciągnijcie ten cholerny pojemnik. Ruszajcie się. Wy nie – dodał, zwracając się do policjantów pilnujących zatrzymanych.

– Nie uciekniemy, Santini – odezwała się Colomba.

– Nie mam zamiaru ryzykować. Niezależnie od tego, co znajdziemy, i tak dostarczę cię do Rzymu, nawet gdybym miał cię tam zaprowadzić pieszo.

Policjanci ustawili się wzdłuż kabla, chwycili go i zaczęli ciągnąć, aż wreszcie pojemnik zaczął wynurzać się na powierzchnię. Puścili linę i odezwały się nieśmiałe oklaski zadowolenia.

*W końcu zasłużyłem sobie nawet na aplauz, pomyślał rozbawiony Santini.*

Jeden z policjantów stojących przy brzegu jeziora zagwizdał na palcach, kiedy zauważył, że powierzchnia wody zaczyna się marszczyć.

– Już coś widać! – krzyknął podniecony.

Mężczyzna przy konsoli zwolnił obroty silnika i pojemnik oblepiony wodorostami i błotem powoli przesunął się z linii brzegowej na trawę i zatrzymał kilka metrów od brzegu. Urządzenie zostało wyłączone, a dwaj policjanci odczepili haki, brudząc sobie przy tym mundury.

– Macie coś, żeby go otworzyć? – zapytał Santini.

– W ciężarówce jest specjalny klucz – odpowiedziała Colomba.

Santini wydał polecenie, żeby go przynieść, i policjant, który obsługiwał wciągarkę, rzucił narzędzie na trawę i przyciągnął do zbiornika. Były to duże szczypcy połączone z przenośną pompą na sprężone powietrze. Sprzęt, którego najczęściej używają strażacy do przecinania blachy samochodów, aby uwolnić uwięzionych pasażerów.

Wreszcie u wylotu polnej drogi pojawiła się karetka pogotowia, a w chwilę później dwaj sanitariusze w odblaskowych kamizelkach wyjęli z samochodu składane nosze. Inspektor z północy podszedł do nich i zaprowadził do Niemca, który został natychmiast przebadany i opatrzony. Tymczasem Dante nie mógł oderwać od niego wzroku. Teraz, kiedy już wiedział, z kim ma do czynienia, albo raczej kim nie jest zatrzymany mężczyzna, ogarnęło go coś na kształt chorobliwej fascynacji. Koszmary przybrały cielesną formę, która oddziaływała na niego silniej niż plastikowa beczka wydobyta z jeziora. Sanitariusze przecięli skalpelem taśmę, którą był związany, a inspektor przykuł Niemca kajdankami do noszy, dla pewności zarówno za przegub, jak i za kostkę. Pomimo ran i zaawansowanego wieku było w nim coś tak niepokojącego, że nawet pielęgniarze nie protestowali przeciwko

zastosowanej procedurze, jak to mieli w zwyczaju. Zakładając mężczyźnie kajdanki na nogę, inspektor uniósł nogawkę spodni i odsłonił niechcący niewielki tatuaż na łydce, który przedstawiał niebieskiego ptaszka, przypominającego nieco logo Twittera, z tym że kolor z biegiem lat stracił intensywność.

Kiedy Dante zobaczył tatuaż, miał wrażenie, jakby ukłuł go jakiś insekt i zostawił swędzący ślad, który zmienił się w bolesny pęcherz. Oczywiście wszystko to działo się w jego głowie.

– To niemożliwe – mruknął, chociaż wszystko do siebie pasowało. *O mój Boże... istnieje tylko jedno wytłumaczenie*, pomyślał.

Tymczasem policjant z kluczem do otwierania pojemników w ręce zbliżył się do beczki. Włączył pompę i wypróbował szczypce, które otworzyły się i zamknęły, trzeszcząc jak ręka robota ze starego filmu.

Santini podszedł bliżej i patrzył na zbiornik w świetle latarki. Pomyślał, że ma jeszcze czas, że może się wycofać. Wystarczy jedno kopnięcie i pojemnik trafi z powrotem na dno jeziora.

– Mogę zaczynać? – upewnił się nieśmiało policjant.

Santini przytaknął.

– Tak. Uważaj na zawartość.

– Dante, nadeszła wielka chwila – obwieściła Colomba.

Ale on nie słuchał. Klęczał na ziemi i trząsł się cały.

– Dante? Colomba chciała do niego podejść, ale zatrzymał ją policjant z eskorty. – Puść mnie! Nie widzisz, że coś z nim nie tak?!

Dante jednak wcale nie czuł się źle. Kiedy uniósł głowę, Colomba zauważyła, że śmieje się histerycznym, niemożliwym do opanowania rechotem.

– O Boże, Colomba. Niebieski ptak, rok osiemdziesiąty dziewiąty, rozumiesz? Wszystko się zgadza.

– Co się zgadza? Puść mnie wreszcie! – wrzasnęła na funkcjonariusza.

– Czarna legenda. Zostałem porwany przez legendarnego potwora. Gorzej. Nie byłem nawet więźniem. Byłem karczochem.

– Co ty bredzisz? Zwariowałeś?

– Nie... – zaprzeczył i ponownie wybuchnął śmiechem.

Colomba chciała zadać mu kolejne pytanie, ale zagłuszyło ją urządzenie rozcinające pojemnik. Na pokrywie pojawiła się szeroka szczelina i powietrze wypełnił smród zepsutych jaj. Policjant ze wstrętem cofnął się o krok, ale nie wypuścił narzędzia z rąk. Przycisnął raz jeszcze, a wtedy na trawę wylała się cuchnąca maź. Była gęsta, jasnobrązowa i w kontakcie z powierzchnią ziemi zaczęła fermentować, bulgocząc złowieszczo.

– Co to za gówno? – zapytał z obrzydzeniem Santini, zasłaniając sobie nos chusteczką. I natychmiast zamilkł zmieszany, bo w środku nieprzyjemnie pachnącej kałuży dostrzegł

charakterystyczny element: białą kość ludzkiej szczęki.

W ciągu następnego dnia policyjni nurkowie wyłowili z jeziora w sumie dziewiętnaście beczek, które poddano analizie w laboratoriach w Cremonie przy współpracy z technikami z sekcji Labanof<sup>28</sup> w Mediolanie. We wszystkich pojemnikach znajdowała się mieszanina kwasu siarkowego i ludzkich szczątków, ale aby poznać dokładną liczbę zamordowanych osób, należało poczekać na wyniki badań DNA. Na nieliczne resztki organiczne, które zachowały się mimo niszczącego działania substancji chemicznej, składały się przede wszystkim zęby, ale również kawałki większych kości, kamienie nerkowe, implanty protetyczne oraz ślady tłuszczu. Wiek ofiar wahał się od siedemnastu do sześćdziesięciu lat, zostały zamordowane co najmniej dwadzieścia pięć lat wcześniej, a ich ciała pocięto na kawałki.

Santini musiał zrezygnować z zamiaru odwiezienia swoich więźniów do Rzymu, ponieważ po makabrycznym odkryciu przejęła ich szefowa prokuratury w Cremonie Angela Spinelli – energiczna sześćdziesięciolatka o krewkim temperamencie – powiadomiona telefonicznie przez Curcia, który poznał ją w czasach, gdy nie miał jeszcze siwych włosów. De Angelis pieklił się, próbując poruszyć niebo i ziemię, ale bez rezultatów. Colomba i Dante pozostali do dyspozycji śledczych z Lombardii. Chociaż w praktyce dotyczyło to jedynie Colomby, bo Dante zaraz po przekroczeniu progu prokuratury dostał ataku, który Colomba uznała za po części symulowany, niemniej dla pozostałych jego walenie głową w ścianę i rozbijanie szyb w oknach było bardzo przekonujące. Nafaszerowano go środkami uspokajającymi i umieszczono na oddziale neurologii miejscowego szpitala, gdzie po przeprowadzeniu dodatkowych badań stwierdzono, że nie można go poddać przesłuchaniu, i zalecono hospitalizację.

Cały ciężar przesłuchania spadł więc na Colombę, która zrobiła wszystko, aby przekonać prokurator Spinelli i jej zastępców do historii o pochodzeniu zwłok. Z początku nie bardzo chciano jej wierzyć. Opowiadanie o dawnych wojskowych porywaczach powiązanych z zamachem w Paryżu i o śmierci Roverego wzbudziło spore wątpliwości, zwłaszcza że wcześniej uznano ją za niebezpieczną psychopatkę podkładającą bomby. Podczas przerw między jednym a drugim przesłuchaniem, siedząc w pokoju zatrzymań, Colomba zastanawiała się, co miał na myśli Dante, kiedy określił się mianem „karczocho” oraz wspominał o „niebieskim ptaku”, jeśli w ogóle miało to jakiś sens. Rozważała także, czy te informacje mogłyby wpłynąć na wiarygodność jej wersji. Prawdopodobnie nie, biorąc pod uwagę sposób myślenia Dantego. Mimo wszystko jej sytuacja się unormowała, podczas gdy



przyszłość Niemca rysowała się w coraz ciemniejszych barwach.

Śledczy natychmiast odkryli, że posługuje się fałszywymi dokumentami, ma na rękach ślady prochu, a na jednym z naboji do glocka widnieje częściowy odcisk jego palca, co stanowiło dowód, że to on załadował broń, a nie przez przypadek wziął ją do ręki, w co i tak trudno było uwierzyć. Mężczyzna odmówił podania swoich prawdziwych danych oraz udzielenia jakichkolwiek wyjaśnień i milczał przez cały czas spędzony w szpitalu, a później w więziennej izolatce. W policyjnej bazie nie było jego odcisków palców, w archiwum nie mieli żadnego zdjęcia, nikt z rodziny nie pojawił się, żeby dowiedzieć się o stan jego zdrowia. Krótko mówiąc, niezidentyfikowany osobnik, chociaż nieco podobny do człowieka z portretu pamięciowego sporządzonego przez Dantego po ucieczce z silosu i na szczęście ciągle znajdujące się w sądowym archiwum.

O tym, czego Niemiec dopuścił się, zanim przeszkodził Colombie i Dantemu w wyciągnięciu pojemnika na brzeg, policja przekonała się, kiedy na jego ubraniu znaleziono DNA dwojga młodych ludzi z Rzymu, którzy zostali znalezieni w swoim mieszkaniu z poderżniętymi gardłami. Chodziło oczywiście o Jorgego i jego narzeczoną. Niemiec został natychmiast wpisany na listę podejrzanych jako domniemany morderca, sędzia zmienił tymczasowe zatrzymanie na areszt, a do starych akt dołączono nowe. Colombę również przeniesiono do powiatowego więzienia, nie zważając na protesty adwokata Minutilla, który przyleciał z Rzymu i od razu zażądał jej uwolnienia. Osadzono ją w części o podwyższonym stopniu bezpieczeństwa, razem z pedofilami i skorumpowanymi policjantami, a ona, gdy tylko padła na pryczę, natychmiast zasnęła, nie zważając na nieprzyjazne towarzystwo. Kiedy Colomba spała, specjalna jednostka rzymskiej policji zlokalizowała anonimowe mieszkanie Niemca, w którym znalazła sześć fałszywych paszportów wystawionych na różne nazwiska, zarówno włoskie, jak i obce. Jedno z nazwisk doprowadziło policjantów do garażu w dzielnicy Tiburtina, gdzie znaleźli stopy pudeł z lekarami pozbawionymi etykietek i w opakowaniach wskazujących na to, że nie zostały zakupione legalnie. Nie udało się odkryć, w jaki sposób Niemiec wszedł w ich posiadanie i do czego je wykorzystywał. Nie odpowiadał na pytania śledczych, wpatrując się uporczywie w sufit.

Cztery dni po otwarciu pojemników, kiedy dziennikarze zaczęli zastanawiać się, czy sprawczyni całego zamieszania jest niebezpieczną morderczynią, czy pechową bohaterką, strażnicy więzienni obudzili ją o świcie i doprowadzili w pośpiechu na salę przesłuchań, gdzie już czekała prokurator Spinelli.

Pomimo wczesnej pory i znużenia Colomba ze zwykłym szacunkiem odniosła się do przedstawicielki organu sprawiedliwości.

– Pozostaję do dyspozycji, *dottorressa* – powiedziała.

Prokurator otarła czoło wierzchem dłoni. Ona też wyglądała na zmęczoną i zaniepokojoną.

– Jestem tu, by prosić panią o pomoc w śledztwie, ale muszę zaznaczyć, że nawet jeśli się pani zgodzi, nie mogę w zamian niczego zaoferować. Mam związane ręce.

Colomba nie zrozumiała aluzji, ale pokiwała głową na zgodę.

– Proszę mi powiedzieć, jak mogę pomóc.

– Przed sześcioma godzinami policjanci z jednostki specjalnej w Rzymie otrzymali sygnał od pewnego mężczyzny, który potwierdził, że prowadził negocjacje w sprawie kupna-sprzedaży terenu i nieruchomości z upoważnienia podejrzanego, którego aresztowaliśmy i którego nazywamy Niemcem. Zanim mnie pani o to zapyta, wyjaśniam, że również w tym przypadku użył fałszywych danych.

– Co to za teren? – zapytała Colomba.

– Gospodarstwo rolne położone niedaleko obwodnicy na zachód od Rzymu. Policjanci znaleźli tam dziesięć kontenerów przemysłowych, które zostały zmodyfikowane i wyposażone w dodatkowe, niewielkie drzwi... – Zawahała się na moment. – Teraz są zaminowane.

Colomba poczuła dreszcz przerażenia.

– Zaminowane?

– Tak, przy użyciu C cztery i detonatorów domowej roboty. Wszystko zostało przygotowane niezwykle profesjonalnie. Jeśli wyważymy drzwi lub otworzymy je w niewłaściwy sposób, wszystkie kontenery wylecą w powietrze.

Colomba skoczyła na równe nogi i złapała kobietę za rękę.

– Dzieci są w środku, prawda?

Prokurator nie cofnęła dłoni i gestem nakazała spokój strażnikowi asystującemu przy rozmowie.

– Nie... nie jesteśmy pewni na sto procent.

Colomba opadła ciężko na krzesło.

– Porwani chłopcy...

– Być może. Prosimy, żeby zgodziła się pani udać na miejsce i udzielić wszystkich informacji, które mogłyby pomóc saperom w pracy. Będą potrzebowali jeszcze co najmniej sześciu godzin, żeby rozbroić ładunki. W tym czasie przewieziemy panią na miejsce pod eskortą. Oczywiście, jeśli się pani zgodzi.

Colomba poczuła, że wstępuje w nią nadzieja. Spróbowała odsunąć od siebie kłębiące się myśli, żeby nie zapeszyć, ale nie była w stanie. Myślała o chłopcach, którzy ciągle jeszcze żyli.

– Oczywiście, że pojedę, proszę pani... Zrobię wszystko, co trzeba. Tylko że... to Dante jest teraz najbardziej potrzebny, nie ja.

Spinelli uśmiechnęła się nieznacznie.

– Właśnie on zażądał pani obecności. To był jego pierwszy warunek, zanim zgodził się nam pomóc. Jeden z kilku.

Pozostałe wymagania dotyczyły dostarczenia mu maszynki do kawy, przenośnej kuchenki elektrycznej oraz świeżo palonej kawy arabika marki Vittoria, którą uznawano za najlepszą w Cremonie.

Kiedy zaprowadzili Colombę do sali szpitalnej, Dante wydawał się wniebowzięty, leżąc na łóżku i pijąc dziesiątą filiżankę kawy. Ona miała kajdanki na rękach, on osobistego pielęgniarza, który go pilnował. Nawet się nie objęli, po prostu uśmiechnęli się do siebie na powitanie, a Colomba od razu zauważyła jego zniecierpliwienie.

– Słyszałaś, CC? Znaleźli dzieci.

– To jeszcze nic pewnego.

Dante prychnął z niechęcią.

– Jestem pewien. Zaufaj mi.

– Dobra, ale musisz mi wyjaśnić, o co chodzi z tym niebieskim ptakiem.

Na jego twarzy pojawił się charakterystyczny grymas.

– Już niedługo. Najpierw muszę uporządkować informacje i przeczytać nudny dokument po angielsku. Dostałem go dzisiaj od Roberta.

– Po angielsku?

– Masz rację, ten język stał się zbyt powszechny. Już dawno bym się z tym uporał, gdybym miał dostęp do Internetu.

– Zapomnij – powiedział pielęgniarz.

– Sama widzisz! Jak nas przewiozą do Rzymu? W wozie opancerzonym?

– Polecimy helikopterem.

Uśmiech znikł z twarzy Dantego.

– Nie ma mowy.

– Mamy do dyspozycji helikopter ratowniczy. Będziesz spał przez całą drogę. Środki usypiające podadzą ci w szpitalu i obudzisz się już na ziemi, a ja cały czas będę przy tobie.

Dante poruszył się niespokojnie.

– Już zaczyna mi brakować powietrza.

– Podczas lotu nie będziesz mógł narzekać na brak powietrza – ucięła sucho Colomba. – Pomyśl, dla kogo się poświęcasz.

Dante przez chwilę miotał się i pocił obficie.

– Okej. Ale musicie mnie uspić natychmiast, bo inaczej zmienię zdanie.

– Nie ma problemu – odezwał się pielęgniarz. – Przynajmniej będziesz siedział cicho. Zaraz zawołam lekarza.

Podano mu odpowiednie środki i przeniesiono na noszach do helikoptera. Oprócz Dantego na pokładzie znajdowali się Colomba, Spinelli i trzech policjanci z jednostki specjalnej w Cremonie. Lot dłużył się Colombie w nieskończoność, ale po niecałych dwóch godzinach dostrzegła w dole wstążkę rzymskiej obwodnicy, a po chwili zrujnowany budynek otoczony brązowymi prostokątnymi kontenerami, ukrytymi wśród drzew. Wylądowali punktualnie

o dziesiątej rano, Dante dostał zastrzyk pobudzający, zerwał się na równe nogi i pobiegł w szlafroku i papuciach w stronę otaczających budynek policjantów. Funkcjonariusze z eskorty zatrzymali go, zakuli w kajdanki i zaprowadzili razem z Colombą do kierującego operacją Curcia, na którego twarzy widniały wyraźne ślady zmęczenia.

– Panie Torre, nareszcie mamy okazję się poznać. Dzień dobry, pani prokurator... – Podali sobie ręce, po czym Curcio spojrział Colombie prosto w oczy. – *Dottoressa Caselli*, miło panią widzieć, chociaż pewnie wolałaby pani być teraz zupełnie gdzie indziej.

– Za nic na świecie! Dowiedziałam się, że bardzo przejął się pan moją sytuacją, *dottore*. Chciałabym panu podziękować.

Komendant pokręcił głową.

– Najpierw zobaczymy, jak się to wszystko skończy. Ciągłe jest pani zatrzymana. Pani prokurator, czy te kajdanki są naprawdę konieczne?

– Obawiam się, że tak.

Curcio wzruszył ramionami i zwrócił się do Dantego:

– Co może nam pan powiedzieć?

Dante popatrzył na kontenery. Były to stare, zniszczone baraki pokryte rdzą i graffiti, ustawione w kształcie nieregularnego wachlarza, w odległości około sześciu metrów jeden od drugiego. Przyszło mu do głowy, że są nawet mniejsze od jego silosu. W środku musi być bardzo ciasno. Poczul, że zaczyna brakować mu powietrza, na szczęście środki uspokajające jeszcze działały i zdołał się opanować.

– Czy już je otworzyliście? – zapytał.

– Jeszcze nie, czekamy, aż saperzy wszystko dokładnie sprawdzą.

– Młodsze dzieci nie powinny sprawiać kłopotów – stwierdził Dante. – Natomiast starszym chłopcom będziecie musieli natychmiast podać coś na uspokojenie.

– Dlaczego?

– Bo wyrosli w zamknięciu i nauczyli się już, że muszą przestrzegać reguł. A jedna z nich mówi, że pod żadnym pozorem nie można opuścić kontenera, nie wolno nawet o tym pomyśleć. A, i dajcie im czekolady. To jest nagroda.

– Nagroda? – zdziwił się Curcio.

– Tak, za dobre sprawowanie – wyjaśnił Dante.

– Rozumiem. – Curcio poczul na plecach nieprzyjemny dreszcz.

– Sprowadźcie tutaj rodziców Ruggera Palladina i ojca Luki Maugeriego. Chłopcy są w kontenerach.

– Nie może pan mieć pewności – zaprotestowała Spinelli. – Poza tym Stefano Maugeri jest w areszcie i potrzebna byłaby zgoda sędziego.

– No to powiadomcie jego szwagierkę, Giulie Balestri. – Podyktował z pamięci adres i numer telefonu.

Curcio zapisał te informacje.

– Jeśli się pan myli, to tylko niepotrzebnie sprawimy im ból – zauważył.

– Ja się nigdy nie mylę. Może pan zapytać swojej podwładnej.

Miał na myśli Colombę, która uśmiechnęła się lekko.

– On się myli dość często, ale nie tym razem.

Curcio przekazał kartkę z danymi inspektorowi Infantiemu, który na widok Colomby niemal pozieleniał na twarzy. Kiedy zrozumiał, że ona nie zwraca na niego uwagi, oddalił się w pośpiechu.

Minęło pół godziny i technicy wprowadzili kamerę do pierwszego kontenera. Na monitorze pojawił się obraz małej celi więziennej z chemiczną ubikacją. Brudny nastolatek z długimi włosami stał odwrócony twarzą do ściany z rękami splecionymi na plecach i trząść się jak osika. *Wygląda jak ukarany uczeń*, pomyślała Colomba.

Dante poradził, aby do środka wszedł tylko jeden człowiek, nieuzbrojony i po cywilnemu. Wybrano sanitariusza, który miał miłą aparycję i dyplom z psychologii. Saperzy wyważyli drzwi i mężczyzna wszedł do kontenera. Więzień wpatrywał się w ścianę, udając, że niczego nie dostrzega. Idąc za radą Dantego, sanitariusz zwrócił się do niego: „synu” i położył mu rękę na ramieniu. Chłopiec krzyknął i zaczął biegać w kółko po celi, dopóki nie został pojmany i poddany środkom uspokajającym. Jego stan świadczył o tym, że od kilku dni nie dostawał jedzenia i wody.

Tak jak przewidywał Dante, dzieci reagowały spokojniej, zresztą były bardzo wycieńczone. Troje dzieci oraz dwóch nastolatków zdradzało oznaki autyzmu o różnym stopniu nasilenia.

Czwarty nastolatek na widok ludzi złapał za kij, który odrzucił natychmiast, gdy tylko usłyszał dobiegający z zewnątrz głos Dantego: „Zostaw to, Bestio!”. Uklęknął na podłodze, obejmując głowę rękami.

Dante poczuł się okropnie i w myślach poprosił chłopca o wybaczenie. Potem wzruszył się, tak jak większość obecnych i jak wielu widzów, którzy tego samego wieczoru zobaczyli zdjęcia wykonane przez ukrytego w zaroślach amatora kamery.

Dziewiątym ocalonym dzieckiem był Ruggero Palladino. Jego rodzice wysiedli z policyjnego helikoptera i objęli go na chwilę przed podaniem mu środków uspokajających. Ostatni chłopczyk, dziwnie spokojny grubasek w okularach obwiązanych taśmą klejącą, nazywał się Luca Maugeri. Na jego widok ciotka Giulia zemdląła i trzeba ją było cucić.

– To już koniec – powiedziała Colomba do Dantego i objęła go, nie zważając na kajdanki. Nie mogła wiedzieć, jak bardzo się myli.

Colomba została odwieziona do więzienia w Cremonie, a Dante do miejscowego szpitala, ale ich sytuacja uległa zmianie. Colomba zdała sobie z tego sprawę, słysząc, że większość kolegów ponownie zaczęło tytułować ją *dottoressa* i używać formy grzecznościowej. Pod oknami sali, w której położono Dantego, kłębili się ciekawscy i fani, których liczba rosła, w miarę jak rozpowszechniały się informacje na temat jego udziału w uwolnieniu dzieci z kontenerów. Gdyby ktoś zgłosił go w tym czasie do Nagrody Nobla lub zaproponował beatyfikację, pomysł miałby prawdopodobnie szansę na realizację. Zmieniła się też sytuacja Stefana Maugieriego, zwolniono go bowiem z aresztu natychmiast po odnalezieniu syna, no i przede wszystkim De Angelisa, któremu krajowa rada sądownicza odebrała w trybie natychmiastowym prowadzenie śledztwa w sprawie morderstwa w Praton. W ciągu dwudziestu czterech godzin sędzia śledczy zwołał dwie konferencje prasowe: podczas pierwszej próbował podważyć zasadność decyzji, w drugiej ogłosił rezygnację ze stanowiska i zamiar założenia prywatnej kancelarii. Oba wystąpienia wzbudziły niewielkie zainteresowanie.

Dochodzenie w sprawie Colomby i Dantego przekazano ostatecznie do prokuratury w Cremonie, która natychmiast wydała orzeczenie o zwolnieniu Dantego i przygotowywała odpowiednią dokumentację, aby oczyścić z zarzutów również Colombę, gdyż siedem dni po otwarciu pojemników w pobliżu gospodarstwa, na którego terenie stały kontenery, znaleziono należący do Niemca arsenał z bronią. Oprócz pistoletów i strzelb różnej produkcji i pochodzenia policja natrafiła tam również na dziesięć kilogramów materiału wybuchowego C4, którego skład chemiczny w stu procentach odpowiadał składowi ładunku wykorzystanego do zamachu na Roverego, oraz na plan jego mieszkania.

Gdyby śledztwo prowadził De Angelis, najprawdopodobniej upierałby się, że Niemiec i Colomba są współnikami, może nawet kochankami, na całe szczęście wszystko się zmieniło. Rankiem ósmego dnia Colomba opuściła areszt, niestety, nie pozwolono jej cieszyć się wolnością, bo od razu poproszono o udział w spotkaniu w prokuraturze, z Dantem w roli głównej. Zebranie miało się odbyć na zalanym słońcem tarasie. Kiedy Colomba zobaczyła przyjaciela w czarnym, nienagannie skrojonym garniturze z triumfującą miną wchodzącego na taras, od razu zrozumiała, że zapowiada się niezłe przedstawienie.

Dante zatrzymał się przy stole, pozwalając, aby wszyscy obecni przyjrzeni mu się dokładnie, po czym uśmiechnął się, zapalił papierosa i zaczął podawać rękę uczestnikom spotkania, powtarzając za każdym razem swoje nazwisko. Wśród publiczności znajdowali

się między innymi: Curcio, Spinelli z sekretarzem, lekarka patomorfolog z Labanof, zatrudniona przy badaniu znalezionych w jeziorze kości, oraz starannie obcięty na jeża mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna z brodą, w którym Colomba od razu rozpoznała funkcjonariusza karabinierów. Nazywał się Di Marco i był pułkownikiem służb specjalnych, Agencji Informacji i Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Dante uściskał mu dłoń z chytrym uśmiechem.

– Dał się pan przekonać – zauważył.

– Mam nadzieję, że nie będę żałował straconego czasu – odpowiedział ponuro pułkownik.

– A według mnie na to właśnie pan liczy – stwierdził Dante, siadając przy stole i kładąc na środku plik dokumentów, które przyniósł. – To krótki raport, który przygotowałem w ostatnich dniach albo raczej streszczenie. Na końcu znajdziecie bibliografię odnoszącą się do najważniejszych zagadnień, do których nawiązuję.

Każdy z obecnych otrzymał kopię: dwadzieścia spiętych stron maszynopisu. Colomba знаła już zawartość raportu, ponieważ Minutillo przyniósł do więzienia brudnopis, żeby nie narażać jej na szok. Gdyby nie wydarzenia ostatnich tygodni, w których brała czynny udział, uznałaby ten dokument za stek bzdur. Tymczasem teraz wszystko układało się w logiczną całość.

Przedstawiciel Agencji Informacji i Bezpieczeństwa Wewnętrznego spojrział na tytuł zdobiący pierwszą stronę raportu i zbladł. Napis głosił: PROJEKT BLUEBIRD.

– Pragnę przypomnieć, że dzisiejsze spotkanie ma charakter nieformalny i zostało zwołane, ponieważ pan Torre chce nam przedstawić swoją wersję wydarzeń, które objęte są śledztwem przez naszą prokuraturę – zaczęła Spinelli. – Może nam pan pokrótce streścić, o co chodzi?

Dante uśmiechnął się zdawkowo.

– W trzech słowach? O rację stanu.

– W tej sytuacji będziemy potrzebowali więcej niż trzech słów – powiedziała zaniepokojona prokurator.

– Zacznijmy od sprawdzonych faktów. Konkretnie informacje znajdują się na stronie numer dwa – stwierdził Dante przesadnie uprzejmym głosem. Brakowało mu jedynie staroświeckich binokli i spokojnie mógłby udawać profesora z poprzedniej epoki. Zaszleściły przewracane kartki. – W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku senacka tak zwana komisja Churcha w Stanach Zjednoczonych ustaliła, że poczynając od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego, aż do siedemdziesiątego trzeciego, CIA we współpracy z FBI przeprowadziła serie eksperymentów dotyczących kontroli zachowań oraz możliwości prowokowania zmian osobowości za pomocą narkotyków typu LSD, leków nasennych i znieczulających, przemocy fizycznej, tortur oraz deprivacji sensorycznej. Oficjalnym celem eksperymentów miało być formowanie tajnych agentów zdolnych do wykonywania rozkazów nawet wbrew własnej woli oraz niedających się złamać w trakcie przesłuchań.

Amerykanie przestraszyli się na wieść, że Związek Radziecki wyprzedza ich na tym polu. Trzeba nieboraków zrozumieć – dodał z ironią. – Zamierzali wysyłać takich szpiegów na Kubę, żeby walczyli z Castro, wyposażeni w wybuchające cygara.

– Kandydat – powiedziała Roberta z laboratorium Labanof.

Curcio spojrział na nią ze zdumieniem.

– Słyszała pani o tym?

– Nakręcono nawet film na ten temat – odpowiedziała z uśmiechem.

– I to niejeden – dodał Dante. – Ale ci, którzy na poważnie zajmowali się tą kwestią, utrzymują, że zadeklarowane cele były jedynie przykrywką. Nie można nikogo zmusić do zabijania wbrew własnej woli, człowiek nie jest robotem, którego da się zaprogramować w trakcie hipnozy, żeby po przebudzeniu wykonywał otrzymane wcześniej rozkazy. A poza tym mniej kosztuje wynajęcie płatnego mordercy. Natomiast możliwość trwałej zmiany cech osobowości przeciwnika, złamanie go lub wymazanie z jego pamięci niewygodnych wspomnień byłoby bardzo użyteczne dla każdej władzy i jej popleczników.

– Kim byli uczestnicy eksperymentów? – zaciekał się Curcio.

– Na początku tysiące amerykańskich żołnierzy, których zgodnie z regułami poboru traktowano jak ochotników. Ponadto wykorzystywano więźniów, pacjentów szpitali psychiatrycznych, a także nieświadomych, przypadkowych obywateli. Wśród tych, którym bez ich zgody podawano LSD, dochodziło do licznych samobójstw, okaleczeń, aktów przemocy oraz nawrotów hysterii. Wiadomo o przypadku podania narkotyków, a potem brutalnych przesłuchaniach wszystkich klientów jednego z burdeli. Liczono na to, że żaden z nich nie zdecyduje się na złożenie skargi. Innym razem w metrze rozpylono substancję wywołującą załamania psychiczne.

– To nigdy nie zostało udowodnione – wtrącił Di Marco.

Dante uśmiechnął się krzywo.

– To prawda, bo w siedemdziesiątym trzecim roku dyrektor CIA Richard Helms kazał zniszczyć większość dokumentów dotyczących przeprowadzonych doświadczeń. Pozostałe zostały świadomie umieszczone w niewłaściwym miejscu i dlatego śledczy mieli poważne problemy z ich odnalezieniem. Mimo to obecnie w amerykańskim Kongresie znajduje się co najmniej dwadzieścia tysięcy stron odtajnionych i powszechnie dostępnych akt. To zasługa ustawy Freedom of Information Act.

– Może mi pan wyjaśnić, jaki to związek z naszą sprawą? – zapytała Spinelli.

– Przepraszam, muszę przedstawić całą sprawę krok po kroku. Chodzi o to, że program naukowców związanych z CIA początkowo nosił nazwę Bluebird, czyli niebieski ptak, w nawiązaniu do symbolu stanu Nowy Jork, gdyż widnieje na nim właśnie sialia, mały niebieski ptaszek. W pięćdziesiątym pierwszym zmieniono nazwę na Artichoke, czyli karczoch, bo wymyślono, że w taki sam sposób, jak obiera się to warzywo, należy



postępować z umysłem uczestników eksperymentu.

– Niezły symbol – mruknął Curcio.

– Potem pojawiła się kolejna, bardziej neutralna nazwa: MKULTRA. Pewnie dobrze pan wie, pułkowniku, co oznacza termin ultra.

Di Marco lekko skinął głową.

– Pochodzi z czasów drugiej wojny światowej. Najwyższy stopień tajności.

– Jak wynika z danych zebranych przez komisję Churcha, pod tą nazwą kryło się ponad sto pięćdziesiąt mniejszych, finansowanych indywidualnie, projektów.

– Czy te wydatki przyniosły jakieś konkretne rezultaty? – zapytała Spinelli.

– CIA twierdzi, że nie. Natomiast według niektórych badaczy, na przykład Naomi Klein, eksperymenty prowadzone w ramach programu MKULTRA leżą u podstaw nowoczesnych technik tortur, których używają służby specjalne na całym świecie.

– Panie Torre – nie dawała za wygraną prokurator Spinelli – przytoczone przez pana fakty są niewątpliwie bardzo przekonujące i świetnie udokumentowane. Niemniej mówimy o dość odległej przeszłości i o wydarzeniach, które miały miejsce za oceanem.

– Projekt zakończono w siedemdziesiątym czwartym roku – zauważył pułkownik.

– Być może w Stanach... – W głosie Dantego można było wyczuć wątpliwość. – Jeśli chodzi o inne państwa... to nie ma pewności, ponieważ wszystkie dowody zostały zniszczone.

– Czy to znaczy, że podobne eksperymenty przeprowadzano również w Europie? – zapytał Curcio.

Dante pokiwał głową.

– Po ukazaniu się raportu kończącego prace komisji Churcha amerykański Kongres zakazał przeprowadzania podobnych doświadczeń na obywatelach własnego kraju, nie wspominając jednak o mieszkańcach innych państw. A przecież wiadomo, że jedna z sekcji zajmowała się prowadzeniem eksperymentów za granicą, na terenie całej Europy, chociaż ślady pozostały jedynie po dwóch projektach, realizowanych we Francji i w Kanadzie. Jednostka działająca za granicą przyjęła nazwę MKDELTA. – Dante się uśmiechnął. – Przepraszam, ale fantazja wojskowych jest dość ograniczona.

– Zwłaszcza kiedy muszą wysłuchiwać bajek – oburzył się Di Marco. – Zdaje pan sobie sprawę z tego, co pan opowiada?

– Moje słowa znajdują potwierdzenie w dokumentach.

– Ale fakt, że łączy pan program MKULTRA z porwaniem, którego stał się pan ofiarą, to zwykle nadużycie. – Di Marco popatrzył na pozostałych uczestników spotkania: Colomba odwzajemniła spojrzenie, próbując wyrazić wzrokiem swą dezaprobatę. – Czy naprawdę ktoś jest skłonny uwierzyć, że za to, co się przytrafiło panu Torre, odpowiada CIA?

Na tarasie zaległa grobowa cisza.

Dante zmrużył oczy.

– Pamięta pan tamten okres, pułkownika? Służby specjalne na Zachodzie obawiały się, że we Włoszech może dojść do rewolucji komunistycznej, i były gotowe zrobić wszystko, aby temu zapobiec.

– Tak, to były okropne czasy – przyznał Di Marco.

– I oczywiście wymagały odpowiedniego reagowania.

– Tylko dlaczego nigdy nie było żadnego śledztwa w sprawie, którą pan opisał – zastanowił się głośno Curcio. – Przecież byśmy o tym wiedzieli, tak samo jak wiemy o innych przestępstwach popełnionych przez zdegenerowane służby specjalne.

– Naprawdę sądzi pan, że wiemy o wszystkim? – zapytał Dante. – Przecież mówimy o tajnym, kontrolowanym eksperymencie, za którego przeprowadzenie odpowiadało kilku starannie dobranych włoskich żołnierzy, takich jak Ferrari i Bellomo, pełniących służbę pod rozkazami Niemca. A ofiarami było zaledwie dwadzieścia osób, dzieci i dorosłych, trzymany w całkowitym odosobnieniu, torturowanych i szpigowanych środkami psychofarmakologicznymi przez jakiegoś pseudouczzonego, który kazał nazywać się Ojcem i który razem z Niemcem nadzorował całe przedsięwzięcie. Pierwszy był cywilem i dbał o aspekt naukowy, jeśli można tak powiedzieć, a drugi należał prawdopodobnie do służb specjalnych i odpowiadał za bezpieczeństwo.

– Nie ma dowodów na to, że Bellomo i pozostali pełnili służbę wojskową – zaprotestowała Spinelli.

– To chyba normalne, że przywódcy wojskowi albo, co jeszcze bardziej prawdopodobne, konkretna osoba na szczycie władzy zadbała o to, aby wszystkie ślady zniknęły. Jeśli rzeczywiście oddział Niemca nie miał nic wspólnego z tą operacją, jak wyjaśnicie opowieść Pinny, którą Rovere spisał przed śmiercią?

– Szaleństwem świadka – odpowiedział Di Marco.

Dante skrzywił się ponownie.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego pana tu przysłano.

– Może pan sobie myśleć, co się panu żywnie podoba.

– A co pan powie o pojemnikach? Kto według pana zatopił je w jeziorze?

Pułkownik nie odpowiedział i Dante wykorzystał chwilę ciszy, aby przyjrzeć się zebranym. Spojrzenia obecnych wyrażały zdziwienie połączone z zainteresowaniem. Obraz wyłaniający się z relacji Dantego był na tyle przerażający, że wszyscy mieli nadzieję, iż nie okaże się prawdziwy. O wiele łatwiej jest zaakceptować istnienie seryjnego mordercy niż to, że państwowe struktury, mające strzec porządku publicznego, są w stanie więzić i mordować niewinnych obywateli. Osoby, które zebrały się przy stole obrad, nie były naiwne, ponieważ w związku z wykonywaną pracą widziały dostatecznie dużo, aby stracić wiarę w ludzkość. Tym razem jednak, słysząc relację Dantego, wszyscy poczuli niepewność i nieufność wobec swoich kolegów i zwierzchników.

– Panie Torre – odezwała się po chwili prokurator – przyznaję, że pańska hipoteza jest

bardzo przekonująca, mimo to pozostaje jedynie hipotezą.

– Czyż nie takie jest właśnie zadanie śledczych? Formułowanie hipotez i dążenie do ich udowodnienia?

– Teraz może jeszcze zacznie nam pan opowiadać o kosmitach? – skomentował Di Marco.

– To ciekawe, że właśnie pan wspomina o kosmitach – powiedział Dante. – Bo trzeba dodać, że w Ameryce, po tym jak opinia publiczna została poinformowana o istnieniu programu MKULTRA, doszło do prawdziwej epidemii wyznań osób, które utrzymywały, że jako dzieci zostali porwani przez wojskowych i dopiero po latach przypominali sobie o tamtych wydarzeniach. W Internecie jest sporo stron poświęconych tej kwestii, wystarczy wpisać w wyszukiwarce hasła: MKULTRA Children lub MKULTRA Abduction. Niektórzy świadkowie potwierdzają, że słynne relacje mówiące o porwaniach przez kosmitów były jedynie przykrywką dla eksperymentów związanych z programem MKULTRA. Osobiście zawsze uważałem to za bujdę, ale teraz dostrzegam niepokojące podobieństwa z moją własną historią. – Dante spojrzał znacząco na uczoną z laboratorium Labanof. – Czy badając szczątki tych nieszczęśników, znalazła pani coś, co potwierdzałoby moją tezę?

Zaskoczona pytaniem Roberta aż podskoczyła na swoim krześle.

– Skąd pan o tym wie?

– Zauważyłem pani minę, kiedy mówiłem o substancjach psychotropowych.

Kobieta spojrzała na prokurator Spinelli, która zezwalająco skinęła głową.

– Jeszcze daleko do zakończenia badań, ale mogę powiedzieć, że we fragmencie kości udowej znaleźliśmy dość dobrze zachowany szpik kostny. Jak wiadomo, szpik przechowuje ślady substancji krążących we krwi w momencie śmierci.

– Proszę kontynuować – powiedziała Spinelli.

– Uważamy, że ofierze podawano regularnie i przez dłuższy czas substancję podobną do propranololu. Był to lek uspokajający popularny w latach pięćdziesiątych, który obecnie stał się przedmiotem badań, ponieważ może powodować wybiórczą amnezję.

– Nie tylko – włączył się Dante z błyskiem w oku. – Używa się go do wzmocnienia efektów hipnozy oraz osłabienia naturalnego systemu zahamowań. Jest to jedna z substancji chemicznych, które naukowcy z CIA zamierzali wykorzystać do stworzenia serum prawdy.

– Niewykluczone, że chodzi o zwykły zbieg okoliczności – odezwał się Curcio.

– Trochę ich za dużo, nie sądzi pan? Jasne, że wszystko byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby Niemiec się przyznał albo gdyby któryś z mężczyzn ze zdjęcia zdecydował się na współpracę z policją.

– Czy zidentyfikowaliście już kogoś z nich? – zapytała Colomba.

– Tylko jednego, tego, który stoi obok Belloma – odpowiedział Curcio. – Skupiliśmy się na wspólnych znajomych Belloma i Ferrariego i wszystko wskazuje na to, że chodzi o instruktora skoków ze spadochronem, który sześć lat temu zginął w wypadku.

– No to zostaje jeszcze dwóch – zauważyła Colomba. – Razem z tym, który zrobił zdjęcie.

- Szukamy ich, *dottoressa*. Próbujemy ustalić też tożsamość Niemca.
- Ciągle jeszcze nie wiadomo, kim jest ten człowiek? – zapytała Roberta.
- Niestety, nie – oświadczyła Spinelli. – Ale wiemy już wystarczająco dużo, żeby móc oskarżyć go o porwania i o zabójstwo matki Luki Maugeriego. Panie Torre, jeśli przyjmiemy, że pańskie przypuszczenia są prawdziwe, to dlaczego w pewnym momencie Niemiec i jego oddział zdecydowali się zlikwidować wszystkich więźniów?
- Ponieważ sytuacja się zmieniła i podjęto decyzję o zakończeniu włoskiej wersji programu MKULTRA.
- Pod warunkiem że kiedykolwiek istniała – zauważył sceptycznie Di Marco.
- Pan jest na to dowodem – uśmiechnął się szyderczo Dante. – W osiemdziesiątym dziewiątym, po upadku muru berlińskiego, inwazja sowiecka stała się tak mało prawdopodobna, że trudno było usprawiedliwić wydatki związane z dalszym prowadzeniem operacji. Niemiec otrzymał rozkaz, aby zatrzeć wszystkie ślady. I kilka tygodni później wykonał zadanie. – Dante zapalił piątego z kolei papierosa podczas swojego wystąpienia. – Dziewiętnaście królików doświadczalnych skończyło w pojemnikach na dnie jeziora. Jeden ocalał i teraz stoi przed wami. Członkowie oddziału zajmującego się porywaniem obiektów oraz czuwaniem nad bezpieczeństwem całego projektu zostali odesłani na godną emeryturę. Spalono cały sprzęt i zbędne lekarstwa. I nigdy już byśmy o nich nie usłyszeli, gdyby nie to, że Ojciec wrócił do dawnego zajęcia około czterech lat temu, kiedy to miało miejsce pierwsze porwanie drugiej serii. Oczywiście pod warunkiem, że w jakichś kontenerach nie siedzą jeszcze inni więźniowie, o których nie mamy bladego pojęcia.
- Właśnie powiedział pan, że groźba komunistycznej inwazji jest już nieaktualna – zauważył Curcio. – Jaki sens miałyby powrót do projektu MKULTRA?
- Nie sądzę, że ktoś chciałby do niego wracać. Uważam, że Ojciec zmienił zleceniodawcę i teraz pracuje dla jakiejś prywatnej firmy.

Dante odpalił od niedopałka szóstego już papierosa.

– Myślę, że Ojciec w ciągu ostatnich lat kontynuował analizę swoich badań i doszedł do wniosku, prawdziwego lub nie, że stan jednego z jego podopiecznych znacznie się poprawił pod wpływem podawanej mieszanki leków. Jeśli się nie mylę, propranolol jest brany pod uwagę jak środek leczący jedną z pozornie nieuleczalnych chorób. Mam rację, pani doktor?

– Tak, chodzi o autyzm – potwierdziła Roberta, otrząsnąwszy się z odrętwienia. – Chociaż tak naprawdę to nie jest choroba. Raczej należałoby go określić jako zespół zaburzeń osobowości.

– To prawda – zgodził się Dante z przepaszającym uśmiechem. – Nie mam pojęcia, czy jeden z chłopców poddawanych eksperymentom naprawdę odczuł poprawę, zanim go zamordowano i rozpuszczono w kwasie, czy też Ojciec jest zwykłym szaleńcem. Wiem tylko, że znowu prowadzi doświadczenia na porwanych dzieciach, wybierając te z zaburzeniami.

– Pani prokurator, czy wszyscy więźniowie byli chorzy już przed porwaniem? – zapytał Curcio.

– Do tej pory zidentyfikowano jedynie połowę z dziesięciu chłopców, których uwolniliśmy z kontenerów. Wszyscy cierpią na jakąś formę autyzmu lub są opóźnieni w rozwoju – odpowiedziała Spinelli.

– To nie może być przypadek – zauważył Dante.

– Czy Ojciec prowadzi te badania tylko po to, aby znaleźć lekarstwo na autyzm? – upewnił się Curcio.

– Tylko??? Poza tym, że on uważa to pewnie za misję swego życia, zdaje pan sobie sprawę, ile zarobiłby na wyprodukowaniu skutecznego leku na autyzm? – zapytał Dante.

– Miliardy – odpowiedziała Roberta. – W samej Europie jest co najmniej pięć milionów ludzi z autyzmem. To ogromny rynek. Ale jak już wspomniałam, chodzi o zaburzenia, nie o chorobę. Pacjenci z autyzmem potrzebują terapii językowej i pomocy w nabywaniu nowych umiejętności, a nie zastrzyków. Środki psychofarmakologiczne stosowane są w niektórych przypadkach tylko po to, aby łagodzić kryzysy.

– A co pani sądzi o teorii, która mówi, że autyzm mogą powodować szczepionki? – zapytał Curcio.

– Głupoty – oburzyła się Roberta.

– Uważam, że ktoś zainteresowany postępem badań finansował eksperymenty Ojca. Ktoś,

kto ułatwił mu dostęp do uprzywilejowanej struktury, takiej jak Srebrna Busola, aby mógł wybrać sobie odpowiednie obiekty. Jednak dwa lata temu tajemniczy sponsor znudził się wyrzucaniem pieniędzy i zamknął portfel. W konsekwencji centrum zostało zamknięte, a Ojciec zaczął sprzedawać w sieci pornografię dziecięcą, żeby zebrać pieniądze na kontynuowanie testów.

– Kim mógł być sponsor? – zainteresował się Curcio.

– Znajdźcie tego, kto dostarczał mu leki, i będziecie mieli odpowiedź.

– Skoro Ojciec jest rzeczywiście przekonany, że może wyprodukować skuteczny preparat – włączyła się Spinelli – to dlaczego nie zdecydował się na legalne prowadzenie badań?

– Ponieważ żadna instytucja nie zatwierdziłaby planu opartego na jego metodach, zwłaszcza że nie może powołać się na doświadczenia z przeszłości. A także dlatego, że trzyma obiekty badań w odosobnieniu, tak jak czynił to w trakcie realizacji pierwszej wersji eksperymentu. W normalnych warunkach to niedopuszczalne. – Dante pokręcił głową. – *Dottoressa Caselli* i ja zadawaliśmy już sobie pytanie, dlaczego Ojciec nie zadowolą się porzuconymi dziećmi albo takimi, które mógłby zabrać z ulicy. Dlaczego ryzykuje, nie waha się zabijać i symuluje wypadki? Odpowiedź nasuwa się sama, kiedy skupimy się na fakcie, że chodzi o eksperymenty medyczne. Po prostu musi wiedzieć wszystko na temat swoich królików doświadczalnych, łącznie z informacjami dotyczącymi ich ewentualnych wad dziedzicznych. Musi wiedzieć, kim są rodzice, w jakich warunkach wychowują dzieci, jak je leczą...

– Warunki laboratoryjne – szepnęła Roberta.

– No właśnie – Dante popatrzył na prokurator Spinelli. – Przepraszam, że ośmielam się zastępować panią w zadawaniu pytań... Chciałbym się dowiedzieć, czy lekarstwa znalezione w piwnicy Niemca zostały już sprawdzone?

Kobieta przytaknęła.

– Do tej pory nie potwierdzono, aby były dostępne w sprzedaży.

– Może dlatego, że jeszcze nie zostały wprowadzone do obiegu.

– Panie Torre, jak rozumiem, całkowicie wyklucza pan możliwość, że Niemiec działał sam? – zapytał Curcio. – Podczas śledztwa istnienie Ojca nie zostało w żaden sposób udowodnione, a Niemiec może znać się również na medycynie.

Dante pokręcił głową.

– Wiem, że trudno uwierzyć w jego istnienie, ale zapewniam was, że Ojciec ciągle przebywa na wolności – powtórzył Dante. – Nie ma już współników, nie ma Niemca, który wykonywał za niego mokrą robotę, i nie ma sponsorów. Ale to on uruchomił tę maszynę i to on jest najniebezpieczniejszy ze wszystkich. Trzeba go powstrzymać, zanim rozpocznie swoje eksperymenty w innym miejscu z nowymi dziećmi.

Wśród zebranych zapadła cisza.

– Skończył pan? – odezwał się niegrzecznie Di Marco. – Powinienem wracać do

poważnej pracy.

– Tak, skończyłem – oświadczył Dante. – Dziękuję panu za istotny wkład w to spotkanie. Spinelli uścisnęła dłoń pułkownikowi.

– Dziękuję za udział w zebraniu.

– To mój obowiązek, proszę pani. – Di Marco wstał i wyszedł, nie zegnając się z nikim więcej. Pozostałe osoby wymieniły pełne wątpliwości, lekko zakłopotane spojrzenia. Dante westchnął w myślach. W głębi duszy miał nadzieję, że jego wystąpienie stanie się wielkim triumfem, a tymczasem rezultat okazał się raczej skromny, co można było zresztą przewidzieć. Mimo wszystko zasiał ziarno niepokoju i może z czasem coś z niego wyrośnie. Kiedy w przyszłości policjanci i sędziowie śledczy natrafią na nowy zbieg okoliczności, na jakiś niewyraźny ślad, to przynajmniej nie skwitują go obojętnym wzruszeniem ramion. Będą musieli się chociaż nad nim zastanowić.

Zapalił kolejnego papierosa i poczuł ogromną ochotę, żeby napić się prawdziwej kawy, a potem ulubionego drinka Moscow Mule – tak głębokiego, by można się było w nim utopić. Żegnając gości i dziękując im za miłe słowa – pani doktor z Labanof zostawiła mu nawet numer telefonu – Dante zauważył, że Colomba – z miną tak posępną, jak w najgorszych momentach, które ostatnio razem przeżyli – stanęła z boku. A przecież kiedy weszła na taras i podczas spotkania była w całkiem niezłym humorze. Co się stało? Właśnie zamierzał do niej podejść, ale Curcio go wyprzedził.

Policjant wziął Colombę pod ramię i poprowadził do barierki. Ona uśmiechnęła się nieznacznie, a komendant natychmiast się odsunął.

– Zebranie było bardzo interesujące, chociaż mam wątpliwości, czy może się na coś przydać. A co pani o tym sądzi?

– Wierzę w to, co powiedział Dante – skwitowała ponuro.

Curcio wygładził wąsy.

– Nawet bez dowodów?

– Dowody wyłowiliśmy z jeziora. Jeszcze raz za wszystko dziękuję.

Komendant się uśmiechnął.

– Już mi pani dziękowała, kiedy się spotkaliśmy na terenie gospodarstwa, ale jeśli chciałaby się pani odwdziaczyć... proszę przyjść do mojego biura w najbliższych dniach. Porozmawiamy o pani przyszłości.

– W policji? – zapytała zdziwiona.

– Minie jeszcze trochę czasu, zanim pani sytuacja prawna zupełnie się wyjaśni, ale jestem pewien, że wszystko będzie dobrze. Według mnie możemy już zacząć myśleć o pani karierze.

Colomba pokręciła głową.

– Proszę dać mi jeszcze kilka dni do namysłu.

– W porządku. Mam do dyspozycji samochód, który odwiezie mnie do Rzymu. Może się

pani przyłączy? Oczywiście razem z panem Torre, jeśli pani sobie życzy.

– Mam jeszcze coś do załatwienia tutaj, na miejscu. Muszę... z kimś się spotkać. – Colomba zauważyła, że Dante zbliża się do nich, i poczuła nadchodzący atak paniki.

– Przepraszam, ale teraz muszę już iść. – Odwróciła się na pięcie i wyszła w pośpiechu, zostawiając zdziwionego i urażonego przyjaciela na tarasie. Czuła się winna, że tak go porzuca, ale on umiał czytać w jej myślach z niewiarygodną wprost łatwością. Musiałaby kłamać, a pewnie i tak by się domyślił. Lepiej uciec i wytłumaczyć się już po wszystkim.

Dzień był zimny, a sklepowe witryny przypominały o zbliżających się świętach Bożego Narodzenia. Colomba ruszyła główną aleją w stronę starego miasta, wstępując po drodze do trzech aptek, aż wreszcie znalazła to, czego szukała. Potem skręciła w wąską, zamkniętą dla ruchu uliczkę i dotarła na dziedziniec osiemnastowiecznego budynku. Za bramą z brązu kostka brukowa przedstawiała doskonały obraz pawiego ogona. Zadzwoiła i już po chwili pokojówka prowadziła ją na pierwsze piętro. Minęły po drodze salon z kominkiem i długi korytarz, na którym stały regały z książkami.

Annibale Valle czekał na nią, siedząc w ogromnym fotelu, owinięty podomką, która wyglądała jak opończa rozbójnika. Trzymał w dłoni ledwie widoczny kieliszek koniaku.

– Czego pani chce? – westchnął ciężko. Na stoliku obok stała jedyna włączona lampka i padające światło znaczyło długie cienie na jego twarzy.

*Nie są do siebie podobni, pomyślała Colomba. Wcale nie są do siebie podobni. Jak mogłam się nie domyślić.*

– Nie cieszy się pan, że zostaliśmy z Dantem uwolnieni od zarzutów?

Mężczyzna pociągnął łyk alkoholu.

– Dzwoniłem do niego dziś rano z gratulacjami. Zaprosiłem go również na obiad, ale... myślę, że nie lubi mojego mieszkania. Zresztą ja też za nim nie przepadam, chodzi po prostu o świetną inwestycję. Dostanie je w spadku.

Colomba usiadła okrakiem na krześle na wprost gospodarza.

– Jutro wracamy do Rzymu.

– Doskonale – powiedział Valle.

– Tylko najpierw chciałabym pana o coś prosić. – Colomba sięgnęła do kieszeni i wyjęła zestaw do pobrania próbki DNA, który kupiła w aptece. Rozerwała woreczek i wyjęła próbkówkę, a z niej wysterylizowaną gazę na długim patyczku.

– Niech pan to włoży do ust.

Valle zmrużył oczy.

– Nie.

– To nie boli. Pobiorę tylko próbkę pańskiej śliny.

– Nie. Nie może mnie pani zmusić.

– Mogłabym użyć siły.

– Pobiłaby pani starego, niesprawnego człowieka?



– Pobiłabym pana.

Valle westchnął.

– Jak się pani domyśliła?

*A więc to prawda*, pomyślała Colomba, tracąc ostatni cień nadziei, że jednak się myli.

– Znalazłam rodzinny album, który ukrył pan w domu Wandy. Ten, który miał pan podobno spalić.

Mężczyzna uśmiechnął się smutno i na jego twarzy pojawiły się głębokie zmarszczki.

– Nie byłem w stanie go zniszczyć. Tylko to mi po nim zostało.

– Po Dantem?

– Tak – pociągnął kolejny łyk. – Po jakimś czasie pogodziłem się ze stratą syna. W więzieniu... przestało mi nawet zależeć na tym, żeby ktoś mi uwierzył. Aż pewnego dnia pojawił się mój adwokat z wiadomością, że Dante się odnalazł, że uciekł swojemu porwawczowi, który trzymał go w silosie. I że nie może się doczekać, żeby mnie zobaczyć. A ja uwierzyłem, że zdarzył się cud.

*Ja też*, pomyślała Colomba. *Wszyscy uwierzyliśmy*.

– Przynieśli mi przyzwoite ubranie i szybko uporali się z dokumentami, żebym mógł wyjść na wolność. W więzieniu wieści szybko się rozchodzą. Po raz pierwszy inni osadzeni nie patrzyli na mnie z pogardą. Nie byłem już... pedofilem, mordercą dzieci. Ktoś podał mi papierosy, czekoladę... Czułem się... – Pokręcił głową. – Nawet nie potrafię tego wyrazić. Przewieziono mnie do szpitala cywilnym samochodem, bez kajdanek. Wiedziałem, że mój syn się zmienił, wyrósł. Przecież minęło jedenaście lat. Zaginął jako dziecko, a odnalazł się jako dorosły chłopak. Ale to nie miało znaczenia. – Valle zaniósł się kaszlem. – Nie przestawałem wierzyć w cud aż do momentu, kiedy go zobaczyłem. On zawołał tato i objął mnie. Ale wtedy ja już wiedziałem.

– Wiedział pan, że to nie pańskie dziecko – wyrzuciła Colomba jednym tchem.

– Tak. To nie był Dante. To nie był mój syn.

Valle nalał sobie kolejny kieliszek koniaku i gestem zaproponował Colombie alkohol, ale ona stanowczo odmówiła.

– Proszę mówić dalej.

– Skoro pani nalega... – Zwilżył wargi językiem. – Chłopak cały czas wspominał o tym, co Dante robił, kiedy był dzieckiem. Ani razu się nie pomylił. Tylko że to nie był on.

– A pan nikomu nie powiedział o swoich wątpliwościach.

– Co by pani zrobiła na moim miejscu?

– Powiedziałabym prawdę.

– Żeby znowu zamknęli mnie w więzieniu, chociaż byłem niewinny? Zająłem się nim! Stworzyłem mu dom! I kochałem go... – Kolejny atak kaszlu przerwał wyznanie, które mężczyzna zakończył po chwili ściszym głosem: – Próbowałem pokochać go jak własnego syna...

– Wysłał go pan za granicę.

Valle wzruszył ramionami.

– Po jakimś czasie zorientował się, że jego wspomnienia nie przystawały do rzeczywistości. Coraz gorzej to odbierał. Wcześniej czy później zrozumiałby, że coś się nie zgadza.

– I zniszczyłyby panu życie – powiedziała z pogardą Colomba.

– Raczej swoje własne. Nagle przekonałby się, że jest... nikim.

Colomba spojrzała łąpczywie na butelkę koniaku, żałując, że wcześniej odmówiła poczęstunku. Wolałaby jednak napić się trucizny, niż przyjąć cokolwiek od swojego gospodarza.

– On jest kimś wyjątkowym – szepnęła.

– Teraz może i tak. Również dzięki mnie.

– Czy ktoś podejrzewał, że Dante nie jest pańskim synem?

– Nie. Wszyscy dali się wystrychnąć na dudka, zarówno sędziowie, jak i policjanci. Bodini umieścił jego imię w pożegnalnym liście, zanim popełnił samobójstwo. A testy DNA nie były wtedy jeszcze takie popularne. Wydaje się, że to było wieki temu... – Valle spojrzał Colombie w oczy. – Przecież mogłem zadzwonić na policję, zanim dotarliście nad jezioro. Mogłem was powstrzymać.

– Dlaczego pan tego nie zrobił?

– Bo jestem już zmęczony oczekiwaniem, że ktoś to odkryje. Nie ma pani pojęcia, jakie to

uczucie dźwigać na barkach taką tajemnicę.

– Wcale mi pana nie żal – oświadczyła twardo Colomba.

– No jasne, że nie. – Valle obracał trzymany w ręku kieliszek. – Pani jest jak anioł zemsty karzący grzeszników. Co takiego zobaczyła pani w albumie, że nabrała pani podejrzeń?

– Zdjęcie nad morzem – odpowiedziała Colomba. – Widać na nim pana syna w kąpielówkach. Na klatce piersiowej ma takie samo znamię jak to, które pan ma na twarzy. A Dante, którego ja znam, nie ma.

Valle przytaknął.

– Nieźle! Czy rozumiała pani również, dlaczego ktoś mu to zrobił? Po co kazano mu wierzyć, że jest moim synem? Nigdy nie udało mi się tego pojąć, chociaż bardzo się starałem. Nie znalazłem żadnego powodu.

*Chyba że chcieli udowodnić, iż jest to możliwe, pomyślała Colomba. Przy wykorzystaniu narkotyków i tortur. Udany eksperyment. Ale na głos powiedziała coś innego.*

– Nic mnie nie obchodzi, czy pan to rozumie czy nie. W pewnym sensie stał się pan ich współnikiem. Ponownie wyjęła patyczek z gazą.

– Niech mi pan da próbkę i wyjaśnimy to raz na zawsze.

Valle wziął narzędzie.

– A co pani potem z tym zrobi?

– W laboratorium porównają pańskie DNA z tymi pozyskanymi ze szczątków wyłowionych z jeziora i sprawdzą, czy wśród zamordowanych jest pański syn. – Colomba zbliżyła się do niego i rzuciła mu prosto w twarz: – Miejmy nadzieję, że badanie potwierdzi nasze przypuszczenia, bo w przeciwnym razie będzie pan znowu głównym podejrzanym. – Kiedy to mówiła, jej oczy miały kolor burzy.

Valle zawahał się na chwilę, po czym szybko włożył patyk do ust.

– Wystarczy – powiedziała Colomba, odbierając próbkę, którą zamknęła w pojemniczku.

– Powie pani o wszystkim Dantemu?

– Nie ja. Pan mu powie.

Valle chwycił dłońmi podłokietniki fotela.

– Chyba pani oszalała. Nie mogę tego zrobić.

– Dante pana kocha, Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego. Jeśli dowie się prawdy od pana, będzie mniej cierpiał. A poza tym ja nie daję panu wyboru. – Colomba wstała z krzesła i warknęła: – Niech pan wreszcie ruszy dupsko.

Valle nie był w stanie iść pieszo i odmówił prowadzenia samochodu. Colomba musiała więc wezwać taksówkę, żeby mogli pokonać te kilkaset metrów, które dzieliły ich od awangardowego hotelu Degli Artisti, gdzie Dante zarezerwował dwa pokoje. Colomba wpadła tam już na chwilę przed zebraniem, aby wziąć prysznic i założyć świeże ubrania, które przywiózł jej z domu Minutillo. W więzieniu musiała zadowolić się tym, co miała na

sobie podczas aresztowania, oraz rozprawianą nielegalnie bielizną.

Otwierając drzwi, Dante miał zamiar wypomnieć Colombie jej wcześniejsze zniknięcie, ale na widok ojca natychmiast o tym zapomniał.

– Tato, czy coś się stało?

– Musicie porozmawiać – wyjaśniła Colomba.

– O czym?

Colomba nie odpowiedziała.

– Jak skończycie, to zawołaj mnie. Jeśli będziesz chciał, dobra?

Oddaliła się pewnym krokiem, próbując zachować spokój, lecz gdy tylko weszła do swojego pokoju, chwyciła poduszkę i wykrzyczała w nią swoją frustrację. Miała ochotę coś rozbić albo przynajmniej pobiegać. Zadowolona się jednak serią pompek i brzusków, a potem spocona rzuciła się na łóżko z butelką piwa. Sącząc je powoli, zaczęła przełączać kanały w telewizji. Nie czuła głodu. Znalazła ze cztery programy typu talk-show dla gospodyń domowych, w których mówiono o dzieciach uwolnionych z kontenerów i zwracano się do widzów z prośbą o identyfikację tych anonimowych. Colomba zaczęła się zastanawiać, czy rodzice niektórych chłopców nie udają czasem, że ich nie rozpoznają, żeby nie musieli zabrać do domu nieprzystosowanych społecznie synów z problemami. Przeszło jej również przez myśl, czy nie potraktowała zbyt ostro Vallego, chociaż w tym momencie jedyną osobą, na której jej zależało, był Dante. Jak on to przyjmie? To znaczy, jak bardzo źle przyjmie tę wiadomość? Nie można przecież pozostać obojętnym na wieść, że twoja przeszłość jest kłamstwem stworzonym przez szpiegów i szalonych naukowców. Może byłoby lepiej, gdyby została z nimi? Sami mogą sobie nie poradzić. Z drugiej strony Dante nie jest dzieckiem, chociaż czasami ciągle tak się zachowuje. Ma prawo porozmawiać w cztery oczy z mężczyzną, którego uważa za ojca, bez potrzeby wsparcia z jej strony. Nie chciała go poniżyć. Kiedy już będzie po wszystkim, zaproponuje mu coś do picia i pozwoli się wyzalić. Teraz musi radzić sobie sam.

Przez następne pół godziny oglądała jednym okiem jakieś głupie programy, ale na żadnym z nich nie mogła się skupić. Wreszcie usłyszała, jak po drugiej stronie korytarza trzaskają drzwi. Przyjąwszy, że to sygnał zakończonej rozmowy, włożyła buty i pobiegła do pokoju Dantego. Zapukała.

– Wszystko w porządku? Otwórz mi, musimy spokojnie porozmawiać.

Kiedy drzwi się otworzyły, Colomba zdziwiła się, widząc przed sobą Vallego, który próbuje podnieść się z podłogi pobrudzonej rozlaną kawą i popiołem z papierosów. To Dante przed chwilą go odepchnął i wyszedł z pokoju.

Dante szedł szybkim krokiem, oddalając się od centrum.

*Drzwi do piwnicy, myślał. Te przeklęte drzwi.*

Nie zważając, dokąd zmierza, nagle zdał sobie sprawę, że znajduje się na obrzeżach miasta, na ocienionej drzewami alei prowadzącej na żelazny most nad Padem. Ulica wydawała mu się znajoma. Pamiętał, że przechodził nią dziesiątki razy w towarzystwie swego prawdziwego ojca. Chodzili razem do kiosku stojącego wśród platanów, gdzie ojciec kupował gazetę dla siebie i karty ze zdjęciami piłkarzy dla niego.

Tylko że nie była to prawda.

*O Jezu, drzwi do piwnicy, pomyślał ponownie.*

Jako dziecko przystawał zawsze przed jedną z willi, która stała przy tej alei. Miała dziwny kształt, coś pomiędzy zamkiem a minaretem, a na fasadzie budynku widniał ogromny żelazny pajak. Wierzył, że mieszka tam jakiś czarodziej albo potwór. Bał się, nie mogąc jednocześnie ukryć zachwyty.

A tymczasem nigdy tego nie robił.

Czasami jeździł tędy na rowerze, jeszcze zanim otwarto nową ścieżkę rowerową. Pamiętał, że kiedy udało mu się po raz pierwszy przejechać kawałek bez tylnych kółek, jego matka biła brawo.

To też było tylko złudzeniem. Podobnie jak wszystko, co – jak mu się wydawało – robił i widział, zanim trafił do silosu.

Niemniej uczucie wolności towarzyszące pierwszej samodzielnej przejażdżce było całkiem rzeczywiste, odczuwał je całym sobą. Być może też zdarzyło się naprawdę w jakimś innym mieście, w jakimś innym świecie, gdzie istniała również kobieta, która przytrzymała siodełko i mówiła: „brawo”. Prawdziwa matka, której wspomnienie Ojciec wymazał z jego pamięci tak dokładnie, że teraz nie pamiętał nawet rysów jej twarzy.

A może wszystko jest złudą? Nie tylko wspomnienia z dzieciństwa, ale również te dotyczące pobytu w silosie? Może wcale nie udało mu się uciec, ciągle siedzi w zamknięciu i wyobraża sobie realny świat?

*A co, jeśli umarłem?*

Na myśl o śmierci poczuł, jakby cały świat zewnętrzny rozpułnął się nagle w powietrzu, a jego ciało się zdematerializowało. Nie mogąc iść dalej, zatrzymał się i oparł o najbliższą bramę. Napał plecami na pręty: były prawdziwe. Czuł je przez materiał płaszcza. Uczepił się uporczywie tego odczucia, pozwalając, aby nim zawładnęło, aż odzyskał panowanie nad

własnymi rękami i włożył je do kieszeni w poszukiwaniu papierosów. Zapalił.

*Powiniem był się domyślić*, wyrzucał sobie. *Przez te drzwi do piwnicy*. Dopiero teraz zrozumiał, że to był pierwszy sygnał świadczący o zamieszanu w jego wspomnieniach, pierwsza rysa w sztucznie stworzonej przeszłości. Mentalny odpowiednik nieistniejącego stopnia schodów.

Kiedy wrócił do domu, który uważał za miejsce, gdzie spędził dzieciństwo, do mężczyzny, którego uznawał za rodzzonego ojca zwolnionego właśnie z więzienia, miał pewność, że w kuchni znajdują się drzwi prowadzące do piwnicy, a za nimi wąskie i strome kamienne schody. Pamiętał nawet kolor tych drzwi. Przez wyblakłą czerwoną farbę prześwitywały słoje drewna. Zimą przez szparę pod drzwiami okropnie wiało i trzeba ją było zatykać wałkiem z materiału, który wchłaniał kurz, za to latem można było się położyć na podłodze i rozkoszować rześkim powietrzem chłodzącym twarz.

Tymczasem drzwi nie było. Nie mogły istnieć, gdyż mieszkanie jego domniemanego ojca znajdowało się na trzecim piętrze kamienicy. Gdyby były tam czerwone drzwi, musiałyby prowadzić do łazienki sąsiadów. Tymczasem Dante ciągle wyczuwał obecność nieistniejącego przejścia, kiedy był w kuchni. Czuł je za plecami, poza zasięgiem własnego wzroku, ale gdy tylko się odwracał, znikają jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Teraz zdał sobie sprawę, że drzwi były tylko pierwszym z wielu sygnałów. Podwórko wydawało mu się małe i ciasne, a ściany jego pokoju miały niewłaściwy kolor. Pamiętał tapetę w granatowe pasy, która udawała szeroką firanę, a znalazł pomalowaną na biało ścianę, która zdaniem jego ojca zawsze taka była. Zlekceważył wszystkie znaki. Jak mógł nie zauważyć, że ucieczka okazała się nadszpiegowanie łatwa? Kiedy walczył z Niemcem na brzegu jeziora, przekonał się o ogromnej sile wciąż cechującej tego mężczyznę pomimo zaawansowanego wieku. Ledwie udało im się we dwoje z Colombą obezwładnić go i obalić na ziemię. Dwadzieścia pięć lat wcześniej był tylko niedożywionym chłopcem i za nic w świecie nie zdołałby go zaskoczyć i uciec. Jedyne rozsądne wyjaśnienie było takie, że Niemiec po prostu pozwolił mu się wymknąć. Dante musiał przyznać przed samym sobą, że nawet najbardziej bohaterski czyn w jego życiu był kwestią zaplanowanej strategii jego prześladowców.

Ojciec i jego drużyna przewidzieli wszystko: wyreżyserowaną ucieczkę, upozorowane samobójstwo Bodiniego, pożar w gospodarstwie. Dante były żywym świadectwem, że wprowadzony w życie system działa. Chcieli go sprawdzić na zewnątrz, w warunkach polowych. Ruszył naprzód, ale po chwili zatrzymał się, gwałtownie przytłoczony myślą zbyt przerażającą, żeby nie zawierała w sobie prawdy. *Ten drugi chłopiec*, pomyślał. Ten, którego zobaczył, zanim Niemiec go zamordował. Nie mógł być nikim innym, jak tylko tym, którego miejsce zajął. Prawdziwy Dante Valle nigdy nie zmieni nazwiska na Torre, nigdy nie zagra w blackjacka w Dubaju, nigdy nie pozna smaku drinka Bellini, serwowanego w barze u Harry'ego, nie napije się kawy kopi luwak i nie uzna jej za dowód na istnienie Boga. Kiedy

opisywał chłopca z sąsiedniego silosu, opisywał samego siebie. Nikt go nigdy nie szukał, bo nikt nie wiedział, że został porwany.

Zobaczył zbliżającą się taksówkę z oświetlonym kogutem i zatrzymał ją, machając zdecydowanie ręką. Uczynił to pod wpływem impulsu. Kiedy podał kierowcy adres, ten ponarzekał przez chwilę, że to daleko, po czym przyjął kurs.

Dante umościł się na tylnym siedzeniu i z nosem przyklejonym do szyby patrzył na mijany krajobraz, nie przywiązując wagi do szczegółów. Zjechali na drogę wojewódzką łączącą Cremonę z Mantuą. Wysokie ściany bloków wkrótce zniknęły, ustępując miejsca niewielkim skupiskom niskich budynków, barom pod szyldami Mocarabii i Segafredo, kościołom z boiskami do gry w piłkę na tyłach probostw. Potem wjechali na tereny wiejskie, zabudowane oddalonymi od siebie willami. Kiedy zaczął zapadać zmierzch, pojawiły się pierwsze gospodarstwa rolne, pierwsze białe metalowe silosy, pola ze snopami siana. Zjechali z drogi szybkiego ruchu w kierunku Acquaneyry i Dante musiał udzielać kierowcy szczegółowych wskazówek. Znał drogę bardzo dobrze, bo na początku ze sto razy pielgrzymował do miejsca swego odosobnienia, aby potem przez kolejnych dwadzieścia lat nie powrócić tu ani razu. To były przynajmniej jego własne wspomnienia z okresu po ucieczce albo raczej po uwolnieniu.

O zachodzie słońca kazał zatrzymać samochód przy gospodarstwie rolnym, na polnej drodze prowadzącej do rudery, której okna zabito deskami, a dachówki porosły mchem.

– Jest pan pewien, że chce pan tu wysiąść? – zdziwił się taksówkarz.

– Tak, to właściwe miejsce – potwierdził Dante, płacąc za kurs.

– Tu nie ma taksówek, żeby mógł pan wrócić do miasta.

– Ale jest pociąg. A przynajmniej był za moich czasów.

– Nie wiem, czy jeszcze jeździ. W każdym razie miasteczko jest tam. – Wskazał ręką kierunek. – Na piechotę to ładny kawałek.

– Lubię spacerować.

Dante wysiadł i ze ściśniętym żołądkiem ruszył w stronę gospodarstwa, za którym zniknęło ogromne, nabrzmiałe słońce. Mury pokrywały graffiti i znaki rozpoznawcze miejscowych subkultur, wulgarne napisy i hymny pochwalne na cześć Pantaniego<sup>29</sup>. Śmierdziało odchodami i zbutwiałymi liśćmi. Zapach się nie zmienił.

*Wróciłem do domu, pomyślał. Do jedyne go domu, jaki kiedykolwiek miałem.*

Może jednak to wcale nie był dom, lecz łono, z którego wyszedł na świat po jedenastu latach ciąży. Wcześniejsze czasy zakrywała biała plama.

Zbliżył się do wejścia na podwórze i zajrzał przez szczelinę w skrzydłach drewnianej bramy spiętych łańcuchem. Po drugiej stronie wały się śmieci i różne odpady, zauważył też kolejne napisy i bujnie rozrośnięte pnącza. Po lewej stronie widać było pozostałość po drzwiach do domu Bodiniego – ta część ciągle jeszcze nosiła ślady po pożarze w postaci czarnych smug na kamieniach. Po prawej stronie znajdowały się ruiny mieszkania matki

Bodiniego, które od czasu śmierci staruszki stało puste. Bodini zabił się właśnie tutaj, na parterze. Ze swojego miejsca przy bramie Dante nie był w stanie zobaczyć obory. Pamiętał, że do silosu dochodziły odgłosy zwierząt, szczególnie utkwił mu w pamięci płacz cieląt.

Ruszył wzdłuż muru otaczającego gospodarstwo i dotarł do zniszczonej przez wilgoć i upływający czas platformy z cementu o szerokości boiska do gry w piłkę nożną. To tu kiedyś stały dwa silosy: jego i ten, w którym uwięziono matrycę jego brata bliźniaka. Nowy burmistrz kazał rozebrać oba kontenery piętnaście lat wcześniej, ponieważ drażniły go niekończące się pielgrzymki okolicznej młodzieży, która opowiadała sobie o tym miejscu niestworzone historie. Bohaterem był duch chłopca z silosu, który miał ukazywać się w księżycowe noce, jeśli tylko ktoś wymówił jego imię. Taki miejscowy Candyman z dolnej Padanii. Chociaż Dante nie przyjeżdżał tutaj od czasu opuszczenia Cremony, to kiedy dowiedział się o usunięciu silosów, przez cały dzień próbował zdefiniować swoje uczucia. Czuł się zbezczeszczone, chociaż sam do końca nie wiedział dlaczego.

Na platformie ciągle odznaczały się okrągłe ślady po kontenerach – czarne plamy na szarym cemencie. Dante podszedł do miejsca, gdzie w przeszłości stało jego więzienie, i nagle poczuł, jak ściany zamykają się wokół niego. Zobaczył swoje dawne łóżko, wiadro na nieczystości. Dokładnie pamiętał, gdzie stały poszczególne sprzęty. Przykucnął w miejscu, gdzie zwykł siadywać, kiedy czytał fragmenty książek przynoszonych przez Ojca i uczył się zadanych lekcji. W tym momencie usłyszał warkot silnika i zauważył białą furgonetkę, która zatrzymała się przy platformie. Pomyślał, że to jakiś okoliczny rolnik albo pracownik urzędu gminy, którego zadaniem jest odpędzanie spragnionych makabrycznych wrażeń turystów, którzy ciągle jeszcze nocami zapuszczali się w te okolice w poszukiwaniu tanich emocji.

Uniósł dobrą dłoń w geście pozdrowienia.

– Proszę się nie obawiać, już sobie idę – powiedział.

Mężczyzna za kierownicą siedział nieruchomo. Było już prawie całkiem ciemno i z tej odległości Dante nie widział go dokładnie.

Zaniepokoił go właśnie ten dziwny spokój. Ponownie podniósł rękę.

– Już idę! Niczego nie uszkodziłem.

Zszedł z platformy po przeciwnej stronie od zaparkowanego samochodu z zamiarem przejścia odcinka porośniętego wysoką trawą i prowadzącego do ścieżki, która wiodła z kolei do drogi. Nie przejmował się wcale, że się ubrudzi.

Z ciężarówki dobiegł krótki dźwięk klaksonu i Dante odniósł wrażenie, że mężczyzna daje mu znaki.

Nie zareagował aż do chwili, gdy klakson odezwał się ponownie, a kierowca powtórzył jednoznaczny gest. Chciał, aby podszedł bliżej. I Dante tak zrobił, ostrożnie stawiając stopy. Szyba w oknie po stronie kierowcy zaczęła się obniżać.

Kiedy Dante rozpoznał siedzącego za kierownicą mężczyznę, rzucił się do ucieczki.



Niestety, było już za późno.

Z początku Colomba nie martwiła się zbytnio. Oboje pozbyli się komórek, kiedy zdecydowali się na ucieczkę, i dlatego nie mogła skontaktować się z Dantem. Bardzo ją to denerwowało, bo czekała na powrót przyjaciela, niecierpliwie co dziesięć minut zaglądając do jego pokoju. Pod wieczór zadzwoniła do Minutilla z nadzieją, że może Dante skontaktował się z adwokatem. Wreszcie zostawiła mu w drzwiach kartkę z wiadomością, że wybiera się na kolację z Robertą z laboratorium Labanof do tawerny Bissola, podając również wskazówki, jak tam dotrzeć.

O ósmej była na miejscu. Restauracja znajdowała się obok romantycznego kościółka i oferowała smaczną paellę, niemającą zbyt wiele wspólnego z lokalną tradycją kulinarną. Colomba tylko trochę ją podziobała. Bardzo martwiła się o Dantego, a poza tym apetyt odbierał jej również powód spotkania. Przyniosła próbkę DNA Vallego i miała zamiar opowiedzieć pani doktor o najnowszym odkryciu. Chciała powiadomić Dantego o swej decyzji i czuła się winna, że nie może tego zrobić, ponadto obawiała się, że zostanie uznana za wariatkę. Tymczasem Roberta zareagowała bardzo pozytywnie. Kiedy pokonała zaskoczenie, uwierzyła jej i zapewniła, że przekaże próbkę biologom z zespołu, gwarantując przy tym całkowitą dyskrecję. Przynajmniej do czasu, kiedy pojawią się wyniki, bo wtedy będzie musiała powiadomić prokuraturę.

– Czy są jakieś szanse, że się mylisz? – zapytała na koniec Roberta. Były na ty, od kiedy Colomba do niej zadzwoniła, prosząc o spotkanie, a Roberta zaprosiła ją na kolację.

– Najmniejszej – oświadczyła Colomba. – Sam się przyznał. Według mnie od dawna chciał się tym z kimś podzielić.

Roberta wzięła do ust kawałek kurczaka i zaczęła go powoli żuć.

– W mojej pracy mam do czynienia z wieloma okropnymi przypadkami, podobnie zresztą jak ty, ale ta sprawa przechodzi ludzkie pojęcie. Jak się ma pan Torre?

– Nie najlepiej.

– Mogę sobie wyobrazić. Kiedy go spotkasz, powiedz mu, że bardzo mi przykro.

Colomba się uśmiechnęła.

– Nie lubi, kiedy ktoś mu współczuje.

– Nawet mi to do głowy nie przyszło. Cenię go za logiczne myślenie i uważam, że jest bardzo atrakcyjny, chociaż chudy jak szczapa – dodała Roberta z rozbijającą szczerością. – Zmieniając temat, uważam, że powinnaś wiedzieć, że prokurator poprosiła o pozwolenie na ponowne zbadanie ciał z paryskiej restauracji.

Na wspomnienie o katastrofie Colomba jak zwykle poczuła, że zaczyna brakować jej powietrza.

– Chcą wrócić do tej sprawy?

– Spinelli robi co może, ale nie jest to łatwe. Jeśli dobrze zrozumiałam, poza zeznaniami twoimi i pana Torre nie ma dowodów na istnienie grupy, która pomagała Niemcowi w latach osiemdziesiątych i teraz. Związki wydają się zbyt... teoretyczne, jeśli mogę się tak wyrazić. Jak myślisz, czy amerykańskie służby zgodzą się na współpracę?

– Nie – odpowiedziała Colomba z ponurą miną. – Zresztą włoskie też nie. Sama widziałas reakcję tego pajaca w czasie zebrania.

– Wcale mnie to nie dziwi. Zawsze się tak zachowują.

– Miałaś już z nimi do czynienia?

– Tak, kiedyś zwrócili się do nas, żebyśmy zbadali ciała domniemanych terrorystów – wyjaśniła Roberta. – Nie udało mi się wydobyć od nich żadnych informacji. Komunikacja jest zawsze jednokierunkowa. Ale to chyba normalne, skoro mówimy o służbach specjalnych.

– No jasne. Gumowa ściana – zgodziła się Colomba. – Mamy dziewiętnaście trupów i dziesięciu porwanych chłopców, nie licząc ofiar w Paryżu oraz morderstw popełnionych ostatnio przez Ojca i Niemca w Rzymie, a wszyscy nabrali wody w usta.

Roberta pociągnęła łyk sangrii.

– Widziałam dzisiaj policjanta, który cię aresztował.

– Santiniego? – zdziwiła się Colomba. – Jest w Cremonie?

– Tak, zauważyłam go w hotelu Ibis, w którym się zatrzymałam. Zwykle wracam na noc do Mediolanu, ale jutro rano mam spotkanie z technikami z policji i chciałabym się wyspać.

– Co on tutaj robi?

– Nie zwierzał mi się. – Roberta uśmiechnęła się znacząco. – Sądzę, że Spinelli próbuje go przycisnąć. Nie udało jej się dobrać do De Angelisa, ale Santini nie ma takich dobrych znajomości.

– Jak na kogoś, kto nie wychodzi z laboratorium, sporo wiesz – zauważyła z przekąsem Colomba.

– To dlatego, że tutaj rzadko zaglądam do laboratorium. Większość dnia spędzam w sądzie na spotkaniach z prokuratorami i miejscowymi rzeczoznawcami. Szczerze mówiąc, okropnie mnie to męczy.

W tym momencie do stolika podszedł kelner, żeby spytać, czy życzą sobie czegoś jeszcze, a one zamówiły kawę i poprosiły o rachunek.

– Jak idzie identyfikacja zwłok? – zapytała Colomba.

Roberta spojrzała na gości siedzących przy sąsiednim stoliku, żeby się upewnić, czy nie przysłuchują się rozmowie o trupach. Taki temat może wpłynąć na apetyt.

– Wyszukaliśmy nazwiska zaginionych osób, które mogły być w wieku denatów. Teraz

spróbujemy skontaktować się z krewnymi, żeby zgodzili się na pobranie próbek DNA do porównania, chociaż nie mamy pewności, czy pozostałości z ciał z pojemników dostarczą nam materiału wystarczającego do identyfikacji. A tak przy okazji, przydałaby się też próbka od pana Torre.

Colomba skinęła głową.

– Byłoby wspaniale, gdybyśmy się mogli dowiedzieć, kim naprawdę jest.

– Nie rób sobie wielkich nadziei. Minęło zbyt dużo czasu, podobnie jak w przypadku tych nieszczęśników, którzy utknęli na dnie jeziora. Jeśli uda nam się zidentyfikować dwie, trzy osoby, będziemy mogli uznać, że szczęście nam sprzyja.

– Chyba trochę przesadzasz.

– W naszej kostnicy mamy prawie setkę bezimiennych ciał, chociaż w większości przypadków dysponujemy nie tylko kawałkiem zęba wyłowionym z kwasu siarkowego. Niektórzy koledzy uznaliby mnie za niepoprawną optymistkę.

Kiedy o dziesiątej Colomba wróciła do hotelu, zastała w holu czekającą na nią grupkę dziennikarzy i fotografów. Informacja na temat miejsca pobytu dwojga bohaterów, którzy doprowadzili do odkrycia tajemnicy z jeziora Comello, już się rozeszła. Oszłomiły ją migające flesze oraz poczucie, że znajduje się w centrum zainteresowania. Nie była do tego przyzwyczajona i wcale jej się to nie spodobało. Odmówiła odpowiedzi na pytania i wbiegła po schodach na górę, a kiedy znalazła się pod drzwiami pokoju Dantego, zobaczyła, że karteczka z informacją zniknęła. Odetchnęła z ulgą i zapukała, ale nikt nie odpowiedział.

Wróciła z powrotem do holu i jakiś spóźniony dziennikarz nie omieszkał zrobić jej kilku zdjęć, kiedy szła do recepcji.

Dyżurujący konsjerż przywitał ją przepaszającym uśmiechem.

– Próbowaliśmy ich wyprosić, niestety, ciągle wracają.

– To nie ma znaczenia – ucięła krótko. – Chciałam zapytać o mojego przyjaciela, Dantego Torre. Jest u siebie czy wyszedł?

Mężczyzna sprawdził szybko dane w komputerze.

– Obawiam się, że opuścił hotel.

Colomba początkowo nie zrozumiała słów mężczyzny.

– Proszę?

– Uregulował rachunek i wyjechał.

– Nie zostawił dla mnie żadnej wiadomości?

– Nie.

Colomba pokręciła głową.

– Nie wierzę. To nie w jego stylu. – Niezależnie od tego, jak bardzo był wzburzony, na pewno nie zostawiłby jej w taki sposób. – Z kim rozmawiał?

– Z panią dyrektorem. Mam ją poprosić?

– Tak, dziękuję.

Kiedy konsjerż zniknął za drzwiami prowadzącymi do pomieszczeń administracji, jeden z fotografów zbliżył się do kontuaru i zaczął robić Colombie zdjęcia starym aparatem.

Odwróciła się do niego z wściekłą miną.

– Zaczynasz mnie wkurzać, wiesz?

– Wykonuję swoją pracę, proszę pani – powiedział, cofając się o krok i nie przerywając fotografowania. – A hotelowy hol jest miejscem publicznym.

– Ale moja twarz nie jest publiczna!

– Szkoda, bo jest pani piękną kobietą.

Colomba już miała ochotę złapać go za kołnierz i walnąć z byka, na szczęście usłyszała głos dyrektor hotelu. Zobaczyła poważną kobietę koło czterdziestki.

– Pani Caselli... mogę w czymś pomóc?

– Tak. Czy widziała pani, jak Dante Torre opuszcza hotel? Czy wyglądał... – zawahała się, szukając nieistniejącego słowa – normalnie? – dokończyła, chociaż zdawała sobie sprawę, że nie było to odpowiednie określenie.

– Nie jestem pewna. Poza tym nie mogę naruszyć prawa do prywatności naszych gości... proszę zrozumieć.

– Wie pani, kim jesteśmy, prawda? I dlaczego przebywamy w Cremonie?

Kobieta westchnęła ciężko.

– Tak, proszę pani.

– Proszę mi więc nie opowiadać o prywatności. Widziała go pani czy nie?

– Nie. Uregulował należność przez telefon, podając mi numer karty kredytowej. Była już prawie dwudziesta pierwsza.

– A co z jego rzeczami?

– Poprosił o przesłanie ich na adres w Rzymie i zapłacił dodatkowo za tę usługę.

– To niemożliwe – powiedziała Colomba, czując, że serce podchodzi jej do gardła i zaczyna brakować powietrza. Bardzo się starała oddychać normalnie.

Dyrektor hotelu przyglądała się jej z niepokojem.

– Proszę pani... zapewniam, że tak właśnie było.

– Jest pani pewna, że to był Dante Torre?

Kobieta się zawahała.

– Tak sądzę. Nigdy wcześniej nie miałam przyjemności go słyszeć.

Colomba wróciła biegiem do pokoju i wyjęła z kieszeni złożoną kartkę, na której miała zapisane najważniejsze numery telefonów. Znalazła ten do prokurator Spinelli, ale zawahała się, wybierając go. Będzie musiała jej powiedzieć, że przed zniknięciem Dante pokłócił się z panem Valle, a wtedy nie może liczyć na zrozumienie. Dante jest dorosły i nie został objęty ochroną, ponieważ złożył już zeznania, które zresztą nie doprowadziły do ustalenia winnych. Nawet gdyby Spinelli wydała karabinierom polecenie rozpoczęcia poszukiwań, to Colomba musiałaby zostać w hotelu i czekać na informacje o postępach w sprawie,

a tymczasem Ojciec dowiedziałby się o wszystkim. Co do tego miała absolutną pewność.

Odłożyła słuchawkę na aparat stojący na nocnym stoliku. Musi znaleźć inne rozwiązanie, a na razie po głowie krążyła jej tylko jedna uporczywa myśl. *Chyba oszalałam, że w ogóle biorę ją pod uwagę*, pomyślała. Niemniej czuła, że musi przynajmniej spróbować.

Poprosiła w recepcji o adres hotelu Ibis i dowiedziała się, że wystarczy dwudziestominutowy spacer, aby tam dotrzeć. W piętnaście minut była na miejscu i udało jej się zdobyć numer interesującego ją pokoju za pomocą banalnego kłamstwa, że jest oczekiwanym gościem.

Santini pojawił się w drzwiach w podkoszulku. Był nieogolony i śmierdział potem. Kiedy Colomba wyjawiała mu powód swojej wizyty, roześmiał się szczerze pierwszy raz od dłuższego czasu. A potem zaprosił ją do środka.

Właśnie wtedy w zupełnie innym miejscu Dante powoli odzyskiwał przytomność. Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, było otwierające się okno w samochodzie. Potem zapadła ciemność, która teraz też go tłamsiła. Miała smak starej szmaty i zapach jego własnego oddechu. Potem ktoś zdjął mu z głowy worek i Dante zobaczył, gdzie się znajduje.

Zaczął krzyczeć.

Santini wysłuchał opowiadania Colomby, siedząc na pojedynczym łóżku i pijąc z butelki piwo, które kupił w hotelowym barze. W pokoju śmierdziało papierosami, pomimo że policjant zostawił uchylone okno.

– Może twój przyjaciel naprawdę wrócił do domu? – zapytał na koniec.

Colomba pokręciła głową z niezadowoleniem.

– Nie wierzę w to.

– Tylko dlatego, że się z tobą nie pożegnał?

– Gdyby zdenerwował się do tego stopnia, że zdecydowałby się na ucieczkę, zapominając o dobrych manierach, to nie zapłaciłby za pokój – wyjaśniła Colomba, próbując zachować spokój. – On jest nieco staroświecki i sądzę, że zapłaciłby również i za mój pobyt, zwłaszcza że zarezerwował oba pokoje.

– Nie możesz mieć co do tego pewności. Ludzie nie zawsze działają w przewidywalny sposób, zwłaszcza kiedy są zestresowani.

– Już go trochę poznałam i wiem, czego się spodziewać. Nie, to ktoś inny zadzwonił, udając Dantego.

– Niemiec jest w więzieniu. To on był niebezpieczny.

Colomba pokręciła głową.

– Nie, to Ojciec jest niebezpieczny. I ciągle przebywa na wolności.

– Daj mi jakiś dowód na jego istnienie.

– Wiem tylko, że Dante jest o tym przekonany i że od samego początku, od porwania Luki Maugeriego w Pratonii, miał rację. Gdybyś go wtedy posłuchał – dodała ze złością – nie wyszedłbyś na głupka.

Santini oparł się wygodniej na poduszce.

– W taki sposób prosisz mnie o przysługę?

Colomba przysunęła sobie jedyne krzesło w pokoju i usiadła.

– Wcale nie proszę o przysługę.

– Nie?

– Proszę cię, żebyś postąpił uczciwie.

Santini prychnął pogardliwie.

– Nie bądź śmieszna.

– Dobrze wiesz, że mam rację. Nawet jeśli mi nie wierzysz, chyba lepiej zacząć działać, niż siedzieć tu z butelką piwa i użalać się nad sobą.

Santini przymknął oczy. *Jak to możliwe, że ostatnio ze wszystkich pojawiających się pomysłów wybieram ciągle te najgłupsze?*

– Podzwonię po znajomych i zobaczymy, co się da zrobić – oświadczył. Cały czas chciało mu się śmiać.

Wykonał kilka telefonów i okazało się, że znalezienie śladów Dantego w takim małym mieście jak Cremona jest łatwiejsze, niż przypuszczali, zwłaszcza że Santini miał do dyspozycji dwóch podwładnych, których traktował jak wycieraczki do butów. Sprawdzili natychmiast pociągi, autobusy i agencje wynajmu samochodów, a potem szpitale, kostnice i hotele, aż wreszcie trafili na ślad taksówkarza, którego Dante zatrzymał na ulicy. Kierowca opowiedział im o zrujnowanym gospodarstwie, do którego zawiózł swojego pasażera.

Około północy Colomba i Santini dotarli służbowym samochodem na miejsce i najpierw sprawdzili teren, oświetlając go latarką, a potem obeszlili ogrodzone gospodarstwo i na tyłach znaleźli platformę z cementu.

– To tutaj go trzymali? – zapytał Santini

– Tak. Teraz nie ma już silosów. Po co on tu przyjechał?

– Podróż sentymentalna. – Santini rozejrzał się dookoła. Wszędzie panowały nieprzeniknione ciemności i poza blaskiem latarki nie było widać żadnego światła. – Nie ma go tutaj, a bez telefonu nie mógł wezwać taksówki. Pewnie zrobił sobie spacer.

Colomba dała znak ręką, żeby oświetlił teren przy platformie.

– Chyba że ktoś go porwał. Widzę świeże ślady opon – powiedziała, przyglądając się koleinom w błocie.

– Furgonetka – uściślił Santini, który miał większe doświadczenie w tych sprawach. – Ale mogła przecież należeć do tutejszego rolnika.

– Poświeć mi tutaj. – Colomba wskazała na interesujące ją miejsce na platformie.

Santini posłuchał, kierując snop światła na ciemne smugi.

– Zaschnięte błoto. Ktoś wycierał sobie buty.

– Nie ktoś, tylko Dante. I wcale nie czyścił sobie butów. Podejdź bliżej.

Kiedy Santini się zbliżył, zauważył, że smugi to wydeptane litery i numery EH29.

– Fragment tablicy rejestracyjnej – powiedziała Colomba. – Ciągłe uważasz, że to przypadek?

Policjant westchnął i sięgnął po komórkę.

W czasie gdy Santini dzwonił do biura, Dante obudził się ponownie w swoim więzieniu i tym razem przez dłuższą chwilę zachował świadomość. *Czymś mnie nafaszerowali*, stwierdził, czując, że jego myśli poruszają się powoli jak ślimaki. *Końska dawka środków uspokajających*. Bolała go szyja, więc pewnie dostał zastrzyk.

Nie wiedział, co mu podano, ale musiał przyznać, że lekarstwo było skuteczne. Poza tym,



że spowalniało reakcje, czyniło prawie znośnym jego więzienie, ciasne, prostokątne pomieszczenie, długie na sześć metrów i szerokie na trzy, z zamkniętymi szczelnie otworami. W rogu pobłyskiwało zielone światło, przypominające lampki w dziecięcych sypialniach. Ściany wyłożono dźwiękoszczelnym materiałem i obito deskami. W pokoju znajdowały się zlew i szafki kuchenne z dykty, stół i krzesło oraz piętrowe łóżko. Dante leżał na dolnym, a na szyi miał masywną obrozę dla dużych psów, zamkniętą na kłódkę i przymocowaną do metalowego łańcucha, który przylutowano do wezgielowa. Zdrętwiałymi rękami spróbował bezskutecznie oderwać łańcuch i przy okazji zauważył, że łóżko też jest przytwierdzone na stałe do podłogi.

Chcąc sprawdzić długość zwoju, poruszył się zbyt gwałtownie i obroza otarła mu szyję. Ból nie był zbyt silny, ale i tak poczuł, że zaczyna się dusić, a przypływ adrenaliny osłabił efekt działania preparatu. Ściany wydawały się zbliżać do siebie, jakby chciały go zgnieść. Otworzył usta, żeby wezwać pomocy, lecz nie udało mu się wydobyć głosu. Tracąc przytomność, zdołał uchwycić jedną, jasną myśl, która prowadziła do Colomby.

Miał pewność, że ona wie i spieszy mu na ratunek. Martwił się tylko, czy uda jej się zdążyć na czas.

– Nie ma takiej tablicy rejestracyjnej – powiedział Santini. Ciągłe jeszcze znajdowali się na terenie gospodarstwa, walcząc z zimnem i wilgocią. W policyjnym systemie nie było żadnej ciężarówki, której rejestracja zaczynałaby się lub kończyła cyframi odcisniętymi w błocie. Za to zdobył wykaz niezliczonej ilości samochodów osobowych.

– Albo Torre się pomylił – ciągnął Santini – albo my. Przecież dziś wieczorem mogli tędy przechodzić inni ludzie, na przykład ktoś, kto bawił się w poszukiwanie skarbów lub grał w statki.

Colomba pokręciła głową.

– Nie. To był Dante. To w jego stylu.

Santini zapalił papierosa.

– Skąd masz taką pewność?

– Mówiłam ci już, wiem, jak on reaguje. – Tylko czy naprawdę wiedziała? A może po prostu miała taką nadzieję, bo znalezione ślady były jedynym tropem, który łączył ją z przyjacielem. – Możesz się skontaktować z drogówką?

– Tu nie ma kamer.

– Ale jest szansa, że samochód wjechał na autostradę. Znamy przybliżoną godzinę i mamy fragment rejestracji. To powinno wystarczyć. Trzeba tylko sprawdzić w systemie.

Colomba miała na myśli Safety Tutor, program zapisujący tablice rejestracyjne samochodów, które przekraczają bramki, i przesyłający dane do centrali w Settebagni. Tam wykorzystywano je do identyfikacji kierowców przekraczających dozwoloną prędkość. Policja miała dostęp do bazy danych, ale liczba poszukiwanych przestępców i skradzionych

aut była tak duża, że aby otrzymać szybką odpowiedź, należało wypełnić formalny wniosek lub mieć odpowiednie znajomości. Na szczęście Santini miał.

O drugiej w nocy przyszła oczekiwana informacja. Siedzieli w barze usytuowanym przy drodze wojewódzkiej, gdzie zatrzymywali się kierowcy ciężarówek, i dlatego lokal był otwarty przez całą noc. Kiedy Santini się rozłączył, Colomba zauważyła, że z jego twarzy znikło zmęczenie i zniechęcenie, które gościły tam w ciągu ostatnich godzin.

– W porządku.

– Co w porządku?

– Miałaś rację.

Colomba odłożyła natychmiast zeschnięty rogalik, którego kawałek próbowała przełknąć.

– Znaleźli samochód?

– Tak. Białe ducato. Według danych EUCARIS<sup>30</sup> rejestracja należy do złomowanego fiata cinquecento.

– To znaczy, że tablica rejestracyjna jest skradziona. Gdzie go namierzyli?

– W okolicach Bolonii, potem we Florencji i w Rzymie. Zjechał z autostrady na via Salaria dwie godziny temu i straciliśmy go z oczu.

– Zabrali Dantego do Rzymu. Tam czeka na niego Ojciec – wyszeptła Colomba.

– Caselli, musimy wszcząć alarm.

– Nie – zaprzeczyła zdecydowanie Colomba. – Ojciec zaraz się o tym dowie.

– W jak sposób?

Colomba wzruszyła ramionami.

– Zamordował Roverego, bo zrozumiał, że komendant wpadł na jego ślad, a potem zlecił Niemcowi zabicie Jorgego, gdy tylko ten wyszedł z aresztu. Ma informacje z pierwszej ręki.

– Uważasz, że to ktoś z naszych?

– Myślę, że ktoś podobny do ciebie znajduje się na jego liście płac. Jeszcze niedawno byłam przekonana, że chodzi właśnie o ciebie albo o De Angelisa. – Colomba przygryzła wargi. – Albo o obu.

– Ja nie jestem na tej liście, a co do De Angelisa, to też możesz być spokojna, przecież zrezygnował.

– Jesteś pewien?

– Posłuchaj, pracowałem z nim przez dłuższy czas. Zrobiłby wszystko dla kariery i starał się usunąć każdego, kto mu stanął na drodze, ale nie jest mordercą ani współnikiem morderców. Poza tym nawet gdyby chciał przekazać Ojcu informacje, bo na przykład nie wie, z kim ma naprawdę do czynienia, to uważam, że teraz to już niemożliwe. Po ostatnich wydarzeniach większość kolegów omija go szerokim łukiem. Możesz być spokojna.

Colomba pokręciła głową, nie mówiąc ani słowa, i Santini zrozumiał, że czuje się zagubiona. To był odpowiedni moment, żeby się wycofać, a jednak tego nie zrobił.

– Posłuchaj, Caselli – zaczął rzeczowym tonem – spróbujemy ograniczyć przepływ

informacji do minimum. Zgłosimy po prostu kradzież ciężarówki i nic więcej. Nikt nie wie, że Ojciec jest w to zamieszany. I skontaktujemy się bezpośrednio z moim biurem.

– Ufasz wszystkim swoim pracownikom? – zapytała ze złością.

– Według ciebie nie powinienem nikomu ufać, co? Może masz rację. Ale sami sobie nie poradzimy.

Colomba zastanawiała się przez chwilę, przygryzając wargi.

– Ile czasu zajęła ci podróż do Cremony?

– Cztery godziny. Z włączoną syreną.

– Z powrotem musimy się bardziej postarać. Wydadz rozkazy, żeby zaczęli szukać ciężarówki, a my wracamy do Rzymu.

Trzecie przebudzenie było okropne. A może to było już czwarte? Dante nie pamiętał dokładnie. Wcześniej podano mu końską dawkę środków uspokajających, teraz zastosowano lobotomię chemiczną o porównywalnej sile. Nie mógł opanować drżenia, a obrazy w jego głowie zmieniały się jak w kalejdoskopie, nakładając się na siebie. Niektóre pochodziły z przeszłości, inne z koszmarów sennych, ale wszystkie wydawały się jednakowo realne. Trafił do piekła, znajdował się w silosie, uciekał przed niewidzialnym wrogiem, leżał przywiązany do łóżka w klinice, potem na tarasie w swoim mieszkaniu, które płonęło.

Jestem martwy.

*Nie, pomyślał. Jestem jeszcze żywy. On potrzebuje mnie żywego.*

Kiedy spróbował usiąść, obroża znowu zacisnęła się mocniej na jego szyi, ale tym razem ból nie spowodował ataku. Pomógł mu natomiast wrócić do rzeczywistości, przypominając, gdzie się znajduje. Znowu jest pogrzebanym żywcem więźniem zamkniętym w jakiejś klitce. Lek, który mu podano, utrudniał logiczne myślenie, ale działał skuteczniej i tym razem Dante nie zemdlał i nie krzyczał.

Opuścił zdrętwiałe nogi na podłogę. Zdjęli mu buty i przez skarpetki poczuł chłód. Posadzka sprawiała wrażenie plastikowej i pustej pod spodem. Zrozumiał, że nie trzymają go w mieszkaniu, być może znowu trafił do jakiegoś kontenera. Dobrą ręką chwycił kłódkę, która zamykała obrożę. Nie mógł jej zobaczyć, ale wyczuł model: Master lock z systemem czterdziestu liczb. Sześćdziesiąt cztery tysiące kombinacji. Nawet gdyby ustawiał jedną sekwencję co dwadzieścia sekund, sprawdzenie wszystkich zajęłoby mu trzysta godzin. A przecucie mówiło mu, że nie ma trzystu godzin do dyspozycji. Ani nawet trzydziestu. Kiedyś znał sposób, żeby zrobić to szybciej. Musi tylko wygrzebać go z kloaki, którą miał teraz w miejscu mózgu.

Stopniowo zaczął odczuwać coraz silniejsze mdłości i zrozumiał, że już dłużej nie powstrzyma wymiotów. Rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu jakiegoś pojemnika i zobaczył...

*Metalowe wiadro.*

*Takie samo jak w jego silosie. Wrócił do przeszłości.*

Pochylił się i zwymiotował żółcią. Na chwilę stracił kontakt z rzeczywistością. Otrzeźwiał skulony na łóżku, z kwaśnym smakiem w ustach, i próbował wmówić sobie, że silos nie istnieje, że przez dwadzieścia pięć lat był wolnym człowiekiem, ale dobrze wiedział, że oszukuje samego siebie. Tak naprawdę nigdy nie wyszedł na wolność. Po prostu jego

więzienie rozszerzyło się, obejmując cały świat, a teraz wrócił do celi. W tej samej chwili część ściany otworzyła się przed nim i Dante domyślił się, że patrzy na starannie zamaskowane drzwi. Wreszcie zrozumiał, gdzie się znajduje: to była przyczepa kempingowa. Bursztynowe światło ulicznej latarni załało pomieszczenie.

*Nie patrz na zewnątrz, ostrzegał jego własny głos z dzieciństwa. To wbrew zasadom. Zostaniesz ukarany.*

Całą siłą woli powstrzymał się, żeby nie zamknąć oczu. Dostrzegł podwórko z ubitą ziemią, a w oddali dachy z aluminium. Przy drzwiach stał około sześćdziesięcioletni mężczyzna, którego Dante już wcześniej widział. Był to kierowca furgonetki, ten sam, który zabrał go z gospodarstwa i zrobił mu pierwszy zastrzyk. Poznał go od razu, chociaż na zdjęciu, które Colomba znalazła w mieszkaniu Ferrariego, był o wiele młodszy. Należał do oddziału Niemca, siedział na ciężarówce z glanami zawieszonymi na szyi i uniesionym kciukiem.

Mężczyzna odsunął się natychmiast, a w drzwiach pojawiła się kolejna postać. Nieznajomy był wysoki i szczupły, miał na sobie roboczy uniform, grube rękawice i kominiarkę, która całkowicie zakrywała mu twarz. Oczy ukrywał za lustrzanymi okularami słonecznymi.

Minęło trzydzieści lat i jego ciało uległo zmianie. Teraz był chudszy, mniej zdecydowany w ruchach. Kiedy wszedł do środka, a kolega zamknął za nim drzwi, przechylił głowę na bok, jakby chciał przyjrzeć się więźniowi z innej perspektywy. Właśnie ten gest sprawił, że Dante go rozpoznał.

Tym razem rzeczywiście miał przed sobą Ojca.

Złe wiadomości dopadły ich za Florencją. Santini drzemał przypięty pasem, a Colomba prowadziła, pozwalając, aby powietrze wpadające przez uchylone okno chłodziło jej twarz. Zadzwoiła komórka i Santini chwycił ją, nie otwierając oczu.

– Słucham? – mruknął – Sprawdziliście? – zapytał już przytomniejszym głosem. – Nie, nie ruszajcie niczego. – Rozłączył się.

– Furgonetka? – zapytała Colomba, czując, jak pod wpływem stresu zaczyna ją boleć brzuch.

– Tak. – Santini przetaił oczy. – Znaleziono ją w pobliżu Foro Italico. Pustą. Wszystko wskazuje na to, że zmienili samochód, ale nie wiemy na jaki, bo w tym miejscu nie ma kamer. Nie sądzę, żeby to był przypadek.

Colomba uderzyła dłonią w kierownicę.

– O kurwa!

– Możemy wysłać techników, żeby poszukali śladów.

– Ojciec się dowie, no i stracimy zbyt dużo czasu.

– Caselli, nie mamy innej możliwości.

Colomba westchnęła ciężko.

– Posłuchaj. Ojciec przygotował tę scenę w hotelu, aby zyskać na czasie, i powinien myśleć, że jeszcze nie wpadliśmy na jego ślad, w przeciwnym razie koniec z Dantem.

– Po co mu więcej czasu?

– Na pewno nic dobrego z tego nie wyniknie – odparła drżącym głosem. – Jeśli ogłosimy alarm, wszyscy będą przeciwko niemu. Przecież chodzi o potwora, czarnego luda, który porywa dzieci. Rozdzwonią się telefony z informacjami, a wśród nich może być nawet ta prawdziwa. Ojciec zniknie na dobre, ale przedtem pozbędzie się Dantego. Musimy trzymać naszą akcję w tajemnicy, dopóki nie znajdziemy się w naprawdę beznadziejnej sytuacji.

– Caselli, ja już czuję się beznadziejnie – wyznał Santini i naprawdę tak wyglądał, co potęgowało jeszcze zmęczenie. – Nie po raz pierwszy szukam porwanej osoby i nauczyłem się jednej rzeczy. Odnalezienie zakładnika wymaga czasu i zaangażowania całej grupy operacyjnej.

– Teraz my jesteśmy całą grupą.

Santini pokręcił głową.

– Nas dwoje to za mało.

– Mamy głowy na karku i wiemy wszystko o Ojcu. Musimy się tylko dowiedzieć, czym się teraz porusza. Colomba wypila ostatni łyk wody, a potem rzuciła pustą butelkę na tylne siedzenie.

– Zaczniemy od porwania. Skąd wiedzieli, gdzie zacząć się na Dantego?

Santini zapalił papierosa. Na początku podróży Colomba protestowała, ale potem dała spokój.

– Śledzili go od momentu opuszczenia hotelu – odpowiedział Santini. – Albo nawet od chwili, gdy wyszedł ze szpitala.

– Dante był przekonany, że Ojciec miał go na oku również wcześniej.

– To znaczy?

– Od czasu gdy uciekł z silosu.

– Nie wiem, czy to prawda, ale jestem pewien, że nie uciekł – oświadczył Santini. – Pozwolili mu odejść.

Colomba spojrzała na niego zaskoczona tym, co usłyszała, dopiero po chwili ponownie skupiła się na drodze.

– Jak to?

Santini uchylił okno i strzepnął popiół, który natychmiast porwał silny podmuch powietrza.

– Gdybyś to ty stworzyła klona, to też byś chciała wiedzieć, jak się zachowuje w naturalnym środowisku, nie? Postanowili go sprawdzić w warunkach polowych.

– Dante mówił, że zakończyli projekt – zaprzeczyła niepewnie Colomba.

– I przypadkowo ocalała tylko jedna osoba?

Colomba zrozumiała, że Santini ma rację. Wcześniej się nad tym nie zastanawiała, bo instynktownie wierzyła w wersję Dantego.

– Jak według ciebie Ojciec go obserwował?

– Zwyczajnie. Pluskwy w mieszkaniu... monitoring środowiskowy – wymieniał Santini. – Poza tym, skoro chodzi o eksperyment medyczny, to z pewnością miał dostęp do kartoteki i wyników badań, żeby kontrolować stan jego zdrowia.

Pewna myśl wpadła Colombie do głowy niczym błyskawica i przy prędkości stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę kobieta skręciła lekko kierownicą.

– Klinika! – zawołała.

– Co za klinika?

– W kieszeni kurtki mam listę z numerami telefonów – rzuciła, nie odpowiadając na pytanie. – Wybierz numer Vallego i przełącz na głośne mówienie.

– Następnym razem ja prowadzę. Nie mam zamiaru robić za sekretarkę – obruszył się Santini, ale wykonał prośbę.

Po chwili tubalny głos Vallego wypełnił wnętrze auta.

– Kto mówi? Co się stało? – wysapał.

– Caselli przy telefonie.

*Naprawdę się o niego martwi czy tylko udaje?* – pomyślała Colomba.

– Nic się nie stało. Chciałam pana o coś zapytać. Czy pamięta pan tę szwajcarską klinikę, do której wysłał pan Dantego?

Valle zakaszła.

– Jasne, że pamiętam.

– Jak się nazywa?

– Nie może pani zapytać Dantego?

– Jak się, kurwa, nazywa ten ośrodek – wrzasnęła Colomba. Santini aż podskoczył na swoim siedzeniu.

– Eiche. Nazywa się Eiche... – Valle przeliterował nazwę. – Znajduje się w Erlenbach, niedaleko Zurychu, nad jeziorem.

Colomba dała Santiniemu znak, żeby zapisał informacje, a on wyjął długopis z kieszeni kurtki i jakiś rachunek ze schowka, na którym zrobił notatki.

– Dlaczego właśnie tam?

– Proszę?

– Dlaczego wysłał pan Dantego do tej kliniki? Jak ją pan znalazł? – Colomba ponownie podniosła głos.

– Chyba ktoś mi ją polecił.

– Kto?

– Nie pamiętam.

– Jak może pan nie pamiętać takiej ważnej rzeczy? – Miała ochotę go udusić.

Valle zaczął sapać jeszcze głośniej.

– Na pewno ktoś ze szpitala. Na litość boską, przecież minęło dwadzieścia pięć lat!

– Kto to był?

– Nie pamiętam! Może mi pani powiedzieć, dlaczego...

Colomba wyłączyła opcję głośnego mówienia, uderzając w kierownicę.

– Dlaczego uczepliłaś się tej kliniki? – zapytał Santini.

– Z dwóch powodów – zaczęła wyjaśniać Colomba, sprawdzając jednocześnie na nawigatorze, ile kilometrów pozostało im jeszcze do Rzymu. Pomyślała, że będą za jakieś pół godziny. Wyprzedziła ciężarówkę, która zjechała na prawy pas na widok migającego koguta. Colomba nie włączyła syreny z uwagi na niewielki ruch. – Po pierwsze, Ojciec jest lekarzem albo naukowcem, który obraca się w tym środowisku. Miał dostęp do nielegalnych leków i odpowiadał za eksperymenty medyczne we włoskiej wersji programu MKULTRA.

– Nie do końca przekonuje mnie ta historia.

– Postaraj się do niej przyzwyczać, bo to jedyny punkt zaczepienia, jaki mamy. Po drugie, Dante po ucieczce z silosu spędził cztery lata w szwajcarskiej klinice. Jeśli Ojciec chciał go mieć pod kontrolą, to musiał się tam pojawiać. Kto wie, czy to nie on wybrał ośrodek za pośrednictwem jednego ze swoich wspólników.

– Myślisz, że był lekarzem w klinice?

– Mam taką nadzieję. Pewnie nie zajmował się Dantem osobiście w obawie, że zostanie rozpoznany, ale wcale bym się nie zdziwiła, gdyby obserwował go z sąsiedniego pokoju. Mógł też od czasu do czasu brać udział w obchodach, korzystając z uprzejmości kolegów.

– Zdajesz sobie sprawę, że poruszasz się po omacku, co?

– Masz lepszą propozycję?

Santini pomyślał przez chwilę.

– Nie. Ale nawet jeśli masz rację, to mówimy o szwajcarskiej klinice. Musielibyśmy mieć międzynarodowy nakaz, żeby dostać listy pracowników sprzed dwudziestu lat. A nawet jeśli udałoby nam się do nich dotrzeć, to nie sądzę, aby przy nazwisku któregoś z lekarzy dopisano specjalizację porywacz.

– Ojciec jest Włochem. Dante zapewnił mnie, że nie mówił z obcym akcentem, a przecież ten niemiecki jest bardzo wyraźny. W ciągu jedenastu lat na pewno wymknęłoby mu się jakieś słowo w języku ojczystym. Dante na pewno zapamiętałby taki szczegół, możesz mi wierzyć.

Santini wzruszył ramionami.

– Tak, Włochów na pewno było niewielu i łatwiej moglibyśmy ich sprawdzić, ale to nie zmienia faktu, że nie mamy dostępu do danych.

– Rzuć okiem na stronę kliniki.

W czasie gdy Santini przeglądał Internet na swoim smartfonie, Colomba rozpaczliwie próbowała znaleźć w pamięci potrzebne informacje. Czowała, że coś ważnego jej umyka, coś,



co powiedział jej Dante... niestety, zmęczenie spowodowało, że mózg działał na zwolnionych obrotach.

– Nie ma takiej kliniki – odezwał się Santini. – Chyba pomyliliśmy nazwę. A nie, zaraz... Jest strona po niemiecku... – otworzył link – pewnie nie uwierzysz, ale znam ten język.

– Ty też pewnie nie uwierzysz, ale nic mnie to nie obchodzi. Co tam napisali?

– Klinika została zamknięta dziesięć lat temu. Przynajmniej nie będziemy musieli szukać sędziego, który wyda nakaz.

Na wspomnienie sędziego Colomba doznała olśnienia.

– Dante zwrócił się do sądu z wnioskiem o uznanie go w pełni zdolnym do przejęcia odpowiedzialności za własne czyny. Pewnie dostarczył opinię specjalisty z ośrodka.

– Powinna być w aktach – zauważył Santini. – Jeśli została podpisana, możemy spróbować odnaleźć autora w systemie. Tylko że w przypadku obywatela Szwajcarii będziemy musieli zwrócić się do miejscowej policji lub do Europolu.

– Na razie wystarczy nam opinia.

Santini spojrział na zegarek.

– Jest piąta, nieco za wcześnie, żeby otworzyli dla nas sąd.

– W mniejszych miastach wszystko jest łatwiejsze. Na mojej kartce masz numer telefonu prokurator Spinelli. Zadzwoń do niej.

Santini zaczął głośno protestować. Spinelli potraktowała go niezbyt uprzejmie i wątpił, żeby zechciała ich wysłuchać. Wreszcie wybrał numer i z niedowierzaniem przysłuchiwał się, jak Colomba, schlebiając, prosi o pomoc i narusza przy tym każdą możliwą zasadę poza jedną. Tą, która nakazuje zrobić wszystko, żeby uratować ludzkie życie.

Dwadzieścia minut później pewien urzędnik z sądu w Cremonie nie posiadał się ze zdumienia, gdy został wyrwany ze snu o świcie przez dzwoniący telefon i polecono mu otwarcie sądowego archiwum. Na szczęście miał zapasowe klucze.

Ojciec przyglądał się Dantemu bez słowa przez dłuższą chwilę, po czym podszedł do stołu i usiadł na jedynym krześle w pomieszczeniu. Dante trząsał się cały i lewą ręką objął podkulone nogi. Natomiast dobrą dłonią konwulsyjnie szarpał kłódkę.

– Cześć, Synu – odezwał się Ojciec. – Miło cię widzieć.

Jego głos także się zmienił. Teraz był piskliwy i słaby. Wymawiał słowa mniej wyraźnie, jak starzy ludzie, którzy mają problemy z zębami. Dante nie kojarzył tego głosu z mężczyzną, który go kiedyś więził, a mimo to musiał przyznać, że w pewnym sensie brzmiał znajomo.

– Dość tego... wystarczy już tych bzdur – wyjąkał, nie mogąc opanować drżenia. – Nie jesteś moim ojcem.

– Przecież cię wychowałem. Uczyniłem cię tym, kim teraz jesteś. Czyż nie taka jest rola ojca?

Dante pokręcił głową, trzęsąc się ciągle jak osika. Jego termometr wewnętrzny eksplodował, tylko środki, którymi go nafaszerowano, utrzymywały jego duszę w ciele.

– Jesteś... zwyrodniałym potworem. I mnie także... zmieniłeś w potwora. Powinieneś zdechnąć już dawno temu.

Ojciec nie odrywał od niego wzroku.

– Stałeś się jeszcze silniejszy, chociaż zawsze taki byłeś. Widziałem dorosłych, którzy po kilku miesiącach załamywali się całkowicie i zmieniali w pozbawione charakteru zera. Przystawali w ogóle reagować na bodźce, przestawali walczyć i czekali na śmierć. A ty nie. Ty wytrwałeś do końca eksperymentu.

– Zamordowałeś ich – powiedział Dante, próbując zrozumieć, skąd się bierze to poczucie poufałości. Miał przed sobą Ojca, ale czuł się tak, jakby nakładała się na niego jakaś inna postać. – I pogrzebałeś... na dnie jeziora.

– Nie sprawiło mi to żadnej przyjemności, uwierz mi – wyjaśnił Ojciec. – Po prostu było konieczne. Historia ludzkości składa się z mniejszych i większych poświęceń.

– A te dzieci, które... zamknąłeś w kontenerach? Też trzeba je było poświęcić?

Ojciec pokręcił głową.

– Oj, Dante, Dante... Jak to możliwe, że nic nie rozumiesz? Byłem ich jedyną nadzieją na wyzdrowienie. Nie sposób oszacować szkody, jaką wyrządziliście razem z Colombą. Będę musiał zaczynać wszystko od początku w jakimś innym kraju. Proszę Boga, by pozwolił mi żyć na tyle długo, żeby zobaczyć rezultaty.

*Colomba? Skąd zna jej imię?* Dante próbował odnaleźć w pamięci potrzebne informacje, ale trafił na chaos i pustkę.

– Ja proszę Go, żebyś się jak najszybciej przekręcił.

– Świat na zawsze mnie zapamięta jako pioniera, Dante. Następne pokolenia wszystko mi wybaczą. Chcę, żebyś wiedział, że nie kieruję się własną korzyścią i nie szukam pokłasku. To, co robię, robię dla dobra ludzkości.

Dante czuł się zbyt wyczerpany, aby ciągnąć tę dyskusję.

– Dlaczego... – okrucieństwo usłyszanych właśnie słów pozbawiło go głosu. – Dlaczego mnie tutaj sprowadziłeś? Czego ode mnie chcesz?

– Tęskniłem za tobą, Dante. Chciałem porozmawiać i mam dla ciebie prezent.

– O nie... niczego od ciebie nie przyjmę.

Ojciec nachylił się ku niemu.

– Nie chcesz wiedzieć, kim byłeś, zanim pozwoliłem ci się narodzić na nowo?

Dante miał wrażenie, że mężczyzna uśmiecha się pod kominiarką.

Właściciel baru Gold przy corso Francia w Rzymie podniósł żaluzje punktualnie o szóstej rano i zauważył przy drzwiach dziwną parę, która wyglądała groźnie i zachowywała się dość nerwowo. Zwłaszcza kobieta o dzikim błysku w oczach koloru butelki. Pomyślał, że ma do czynienia z dwojgiem rzezimieszków, i postanowił nie otwierać. Ale wtedy wąsaty mężczyzna przyłożył do szyby legitymację policyjną.

– Rusz dupsko – warknął zza drzwi.

Właściciel otworzył, przywołując na twarz zdawkowy uśmiech.

– Wybaczcie, ale już dwa razy mnie okradziono.

– Przyjmę to jako komplement – odgryzł się Santini.

Colomba pokazała napis na szybie: FAKS I FOTOKOPIE.

– Działa?

– Oczywiście – odpowiedział barista.

– Daj mi numer.

Mężczyzna posłuchał, a potem przygotował im podwójną kawę i tosty. W tym czasie Colomba zadzwoniła do prokuratora Spinelli, żeby podać jej numer, na który urzędnik sądowy miał przesłać interesującą ich dokumentację.

– Muszę otworzyć sprawę dotyczącą zaginięcia pana Torre – oświadczyła Spinelli.

– Proszę dać mi więcej czasu...

– Nie wykonałabym wtedy mojego obowiązku. Ale mogę poczekać do czasu otwarcia biura o wpół do dziesiątej.

Colomba zrozumiała, że to ostateczny termin.

– Dziękuję. Postaram się zdążyć.

– Niech mi pani nie dziękuje – dodała Spinelli – prawdopodobnie obie będziemy miały

przez to kłopoty.

Colomba oddała komórkę Santiniemu, myśląc, że absolutnie nic ją nie obchodzi, co się stanie, kiedy już odnajdzie Dantego. A jeszcze mniej w przypadku, gdy jej się nie uda. Santini z tostem w ustach zaczął pisać esemesa.

– Powinnam się bać? – rzuciła Colomba, mrużąc oczy.

Santini przełknął kawałek kanapki.

– Czego? A, o to chodzi... – Pokazał jej wyświetlacz i pozwolił przeczytać wiadomość.

*Słoneczko nie dam rady po Ciebie przyjechać. Pracuję. Przepraszam mamę w moim imieniu. Całuję tatuś.*

– Masz córkę? – zdziwiła się Colomba.

– Na pół etatu – zażartował. – Jakiś problem? Uważasz, że tacy jak ja nie powinni się rozmnażać?

Colomba wzruszyła ramionami.

– Myślałam, że cały czas spędzasz albo w domu, albo liżąc dupy przełożonym w biurze.

Santini ze złością ścisnął komórkę w dłoni.

– Nie mogę się doczekać, kiedy to wszystko się skończy i już więcej nie będę musiał cię oglądać.

W tym momencie za ladą pojawił się właściciel.

– Przepraszam... włączył się faks, to chyba do was.

Colomba i Santini rzucili się w stronę urządzenia ustawionego na półce w boksie z papierosami i zdrapkami. Prawie się pobili o to, kto pierwszy złapie wychodzącą kartkę. Zwyciężyła Colomba, walkowerem. Ponieważ na wydruku widniało jedynie logo sądu, zgmiotła papier i wrzuciła do kosza.

– Zawołajcie mnie, gdybym był potrzebny. – Mężczyzna postanowił się wycofać.

– Dobra, dobra – zbył go Santini.

Również druga strona trafiła do kosza.

– Mam nadzieję, że nie faksuje całego wyroku...

– Jak tylko dostaniemy listę z nazwiskami, przekażę ją do mojego biura. Zgadzasz się? – zapytał Santini.

Colomba przytaknęła.

– Właśnie przyszło mi do głowy, żeby porównać te dane z listą pracowników Srebrnej Busoli. To centrum dla dzieci z problemami, gdzie chodził Ruggero Palladino i połowa dzieci, które znaleźliśmy w kontenerach.

Santini spojrział na kolejną kartkę i po namyśle odłożył ją na półkę. Zawierała nazwiska sędziego i notariusza, który sporządził akt. Może się przydać.

– Wiem, że Spinelli wydała nakaz sprawdzenia fundacji, ale do tej pory śledczy niczego nie znaleźli. Większość z pracujących tam osób to byli wolontariusze działający w dobrej

wierze. To jeszcze trochę potrwa.

Santini rzucił okiem na kolejną stronę i wyrzucił ją do kosza, bo zawierała tylko zwykłe sądowe preambuły, typu: „niżej podpisany” i tym podobne.

Faks zamilkł na chwilę, po czym pojawiła się kartka, która różniła się formą od sądowych maszynopisów. U góry po prawej stronie widniało logo przedstawiające stylizowany dąb, a pod nim napis EICHE KLINIK.

– No, nareszcie – powiedziała Colomba.

Było to oświadczenie lekarza prowadzącego, które potwierdzało, że stan zdrowia Dantego uległ znacznej poprawie. Na szczęście dokument został przetłumaczony na język włoski. Ekspertyza zajmowała aż pięć stron i została podpisana przez doktor Maję Hutter.

– To kobieta – zauważyła rozczarowana Colomba. Miała nadzieję, że uda im się już przy pierwszym podejściu, chociaż przeczuwała, że Ojciec nie byłby na tyle nieostrożny, aby się ujawnić.

– Może ma męski głos?

– Dante nie dałby się nabrać – stwierdziła Colomba, mimo że sama przez chwilę o tym pomyślała.

– Poproszę, żeby ją namierzyli. – Santini sięgnął po telefon.

Tymczasem faks zatrzeszczał ponownie i wypluł kolejną kartkę z logo kliniki. Tym razem tytuł brzmiał: WISSENSCHAFTLICHE AUSSCHUSS. Colomba pokazała tekst Santiniemu.

– Co to znaczy?

Santini, nie odrywając telefonu od ucha, odpowiedział:

– Eee... poczekaj, Wissenschaft... Wissenschaft to nauka... komitet naukowy! – I zaczął rozmawiać ze swoim podwładnym, który odpowiadał mu znużonym głosem.

Faks zagwizdał cichutko i wyłączył się, a Colomba sięgnęła po ostatnią stronę, która zawierała listę członków komitetu. Kiedy dotarła do połowy, poczuła, jak krew odpływa jej z mózgu. Zachwiała się i oparła o szybę boksu.

Santini zakrył mikrofon.

– Co ci jest, Caselli? Źle się czujesz?

Pokręciła głową i wskazała mu palcem jedno z nazwisk, bo nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Kiedy Santini je zobaczył, przerwał połączenie, nie dbając o swojego rozmówcę.

Ojciec wrócił do przyczepy, niosąc jakiś duży przedmiot zawinięty w szmatę. Bez słowa położył go na stole i stanął obok. Wcześniej, po poinformowaniu Dantego o prezencie, natychmiast się oddalił, pozwalając mu cieszyć się myślą o poznaniu własnej tożsamości.

Dante wyciągnął się na łóżku, opierając głowę o ścianę. Dreszcze ustawały, chociaż był bardzo słaby i z trudem oddychał. Serce biło mu jak oszalałe.

– Przyniosłeś mi jeszcze jedną niespodziankę? – wykrztusił.

– Niezupełnie. Powiedzmy, że to prezent dla mnie.

Ojciec wyjął z zawiniątka tekturową teczkę, opaskę uciskową, butelkę wody utlenionej i strzykawkę. Potem zrzucił materiał na podłogę i Dante zrozumiał, że mężczyzna z takim trudem przytaszczył do przyczepy starą profesjonalną gilotynę do papieru, przypominającą bułat, z drewnianą rączką przymocowaną do metalowej podstawy. Używano ich kiedyś w drukarniach do wyrównywania ryz papieru i przycinania kart książek.

Na widok błyszczącego ostrza Dante zadrżał.

– Prezent dla ciebie?

– Potwierdzenie, że naprawdę jesteś mężczyzną, za jakiego cię uważam. – Przesunął stół w stronę łóżka na tyle blisko, że prawie się dotykały. Potem sięgnął po krzesło i usiadł. Teraz dzieliła go od Dantego zaledwie odległość jednego metra, taka też była mniej więcej długość łańcucha. Ojciec dokładnie wyliczył, że w ten sposób więzień będzie mógł sięgnąć jedynie do stołu. I do gilotyny.

– Co mam ci udowodnić?

– Siłę woli i zdecydowanie – wyjaśnił Ojciec, podnosząc tekturową teczkę. – Tutaj jest wszystko, co wiedziałem o tobie, kiedy zostałeś wybrany. To, czego dowiedziałem się od twoich rodziców: adres, przedszkole... Wszystkie informacje, jakie można zdobyć na temat czteroletniego dziecka.

– W chwili porwania miałem sześć lat – poprawił go Dante. Miał wielką ochotę, by wrzeszczeć i się szamotać. Próbując się opanować, obserwował profil mężczyzny pod kominiarką, kształt głowy, szyję. Nie mylił się. Już wiedział, z kim ma do czynienia. I ta świadomość uczyniła go silniejszym niż kiedykolwiek wcześniej, gdy znajdował się w pobliżu Ojca lub jedynie o nim myślał. Już nie musiał mierzyć się z anonimową zjawą, z cieniem z przeszłości.

– Obawiam się, że to pomyłka. Miałeś dokładnie cztery i pół roku. Prawie nic nie pamiętasz z pierwszych lat pobytu w silosie. Taki zabieg był konieczny, aby wszystko się zgadzało, rozumiesz? Spędziliśmy razem prawie trzynaście lat, nie jedenaście, jak sądzisz. Albo raczej jak kazałem ci myśleć – dodał z satysfakcją.

– Trzynaście lat – szepnął Dante.

– Jak już dowiesz się, kim naprawdę jesteś, może przypomnisz sobie także tamten okres. Kto wie? Ja też jestem bardzo ciekawy. Ale najpierw – wskazał na gilotynę – najpierw musisz poddać się ostatniej próbie. Najtrudniejszej. Musisz poświęcić część siebie.

Dante poczuł skurcz w żołądku.

– Mów jaśniej.

– Daj mi swoją złą rękę.

Szok był tak wielki, że Dante zamarł.

– Jesteś szaleńcem – wyjąkał po chwili.

– Prawda ma swoją cenę, Dante. Zawsze o tym wiedziałeś. A ja żądam tak niewiele. Bez

ręki, ale za to z własnym nazwiskiem, będziesz o wiele pełniejszą osobą niż obecnie.

– Nie ma mowy.

– Nie bój się. Pomogę ci zrobić to we właściwy sposób.

– Nie boję się, po prostu nie mam zamiaru dać ci satysfakcji.

Ojciec pokiwał głową z powagą.

– Twój wybór. Dam ci jeszcze minutę na zastanowienie, a potem odejdę na zawsze. Stracisz ostatnią szansę na poznanie swojej tożsamości, a przecież marzyłeś o tym przez całe życie. – Pochylił się w stronę Dantego, nie przekraczając jednak bezpiecznego dystansu. – Naprawdę jesteś gotowy zrezygnować? – W jego głosie można było usłyszeć satysfakcję i radość, chociaż starał się zachować neutralny ton.

– Dobrze się bawisz, co?

– Robię tylko to, co konieczne.

Dante pokręcił głową.

– Ty tylko udajesz naukowca, chociaż może kiedyś naprawdę nim byłeś. Teraz jesteś obłąkanym sadystą, upajającym się władzą nad drugim człowiekiem. Podnieca cię cierpienie twoich ofiar. Rozkoszujesz się nim. I chcesz mnie wykorzystać po raz ostatni.

– Zostało ci jeszcze dwadzieścia sekund. – Ojciec dotknął czoła palcem wskazującym. – Mam w głowie dokładny zegar.

– Naprawdę nie zdajesz sobie sprawy z tego, kim jesteś? A może wolisz oszukiwać samego siebie?

– Dziesięć. – Ojciec wykonał ruch, jakby chciał otrzeć sobie usta, zapomniawszy, że ma na głowie kominiarkę. – Nic nie poczujesz, obiecuję. Co najwyżej niewielki ból. Pomogę ci uderzyć prosto w przegub dłoni. Zrobisz sobie miejscowe znieczulenie. – Wskazał na strzykawkę – A potem zaszyję ci ranę. Tak jak wtedy w silosie, kiedy się skaleczyłeś. Pamiętasz?

– Czy ty naprawdę uważasz, że postępujesz słusznie?

Ojciec zerwał się na równe nogi.

– Czas minął. Spodziewałem się po tobie czegoś więcej – powiedział i ruszył w stronę drzwi, ale Dante go zatrzymał.

– Zgadza się.

Mężczyzna znieruchomiał.

– Zgadzasz się? Jesteś pewien?

Dante pobladł jeszcze bardziej.

– Tak, zróbmy to. Zła ręka przypomina mi o tobie. Przynajmniej się od niej uwolnię.

Ojciec powtórnie spróbował otrzeć sobie usta. Ręka lekko mu drżała.

– Świetnie... świetnie.

Wrócił i usiadł przy stole. Podniósł opaskę uciskową i rzucił Dantemu.

– Zawiąż ją sobie pod łokciem.

Dante zdjął kurtkę.

– Śledziłeś mnie przez te wszystkie lata?

– Miałem cię na oku.

Ojciec wziął butelkę z wodą utlenioną i spryskał ostrze gilotyny, a potem osuszył je kawałkiem materiału.

– Zdawałem sobie z tego sprawę – powiedział Dante.

– Wiem.

– Przeczuwałem też, że któregoś dnia po mnie wrócisz. To była tylko kwestia czasu. – Dante zaczął rozpinać koszulę.

– Pospiesz się – ponaglił go Ojciec, głaszcząc palcami ostrze gilotyny.

Dante zdjął koszulę.

– Chciałem wszczepić sobie nawet chip umożliwiający lokalizację, ale nie ma jeszcze takich, które umieszcza się pod skórą jak w filmach. Te, które mogą łączyć się z satelitą, są wielkości paczki papierosów i trzeba często zmieniać baterie.

– To też wiem – powiedział zniecierpliwiony Ojciec.

– Zrozumiałem, że kiedy już do tego dojdzie, będę musiał radzić sobie sam. Zdałem sobie sprawę, że muszę umieć otworzyć każdy zamek na wypadek, gdybym znowu trafił pod twoją opiekę. I przez wiele lat ćwiczyłem się w otwieraniu różnych zamków. – Popatrzył na Ojca. – I kłódek – dodał.

Dante chwycił obrożę i cisnął o ziemię. Skoczył naprzód, przewracając stół. Gilotyna spadła Ojcu na nogi. Rozległ się krzyk bólu.

Dante runął nań całym ciężarem ciała i złapał za szyję, chociaż ręce miał na pół zdrętwiałe.

– Jeśli wykorzystasz blokadę w kłódce, możliwe kombinacje ograniczają się do zaledwie osiemdziesięciu, wiedziałeś o tym? Osiemdziesiąt sekwencji. Pół godziny roboty. W razie potrzeby mogę się z tym uporać nawet z zawiązanymi oczami. – Zacisnął dłonie, wykorzystując resztki siły, które mu pozostały.

Ojciec szamotał się, próbując chwycić Dantego, ale dłonie w rękawiczkach ślizgały się tylko po jego ubraniu.

– A widzisz, tego nie wiedziałeś! Nie jesteś geniuszem. Jesteś zwykłym małym człowieczkiem ukrywającym się za doskonałą maską, tak jak czarnoksiężnik z krainy Oz, którego bardzo lubisz.

Otworzyły się drzwi i mężczyzna, który go porwał, wpadł do przyczepy, wymachując policyjną pałką.

Dante puścił Ojca i chwycił tekturową teczkę. Otworzył ją i zobaczył puste kartki. Rzucił skoroszyt na podłogę i niemal jednocześnie poczuł uderzenie w skroń. Upadł. Mężczyzna walił go kijem po żebrach. Dante usłyszał niepokojący trzask, próbując za wszelką cenę zachować świadomość.



Z bardzo daleka docierał do niego głos Ojca.

– Nie zabijaj go! I nie pozwól mu zemdleć.

Mężczyzna z pałką podniósł Dantego i rzucił na łóżko. Unieruchomił swoją ofiarę kolanem i wyjął z kieszeni garść plastikowych opasek używanych przez siły porządkowe – takich, których można się pozbyć jedynie przez przecięcie. Związał Dantemu ręce na plecach, a potem obezwładnił mu nogi, ściskając kostki tak mocno, że zatamował krążenie krwi.

Na koniec założył mu obrozę na szyję. Związane ręce uniemożliwiały Dantemu sięgnięcie do kłódki.

Ojciec z trudem stanął, krzywiąc się z bólu.

– Nie wiem, czy powinienem być zadowolony czy obrażony. Chyba jedno i drugie.

– Oszust – mruknął Dante. – Naciągacz. Świnia. Kanalia.

– Powiedziałem ci prawdę. Nigdy nie udało mi się odkryć, kim jesteś.

Dante się skrzywił.

– Dziękuję ci.

– Za co?

– Wspomnienie o tobie prześladowało mnie przez całe życie. Myślę, że nawet trochę się do ciebie przywiązałem, mimo zła, które mi wyrządziłeś. A teraz wreszcie zrozumiałem, kim naprawdę jesteś, i czar prysł, uwolniłem się od ciebie raz na zawsze. Nawet jeśli zamkniesz mnie w tej przyczepie, będę bardziej wolny niż kiedykolwiek wcześniej.

Ojciec nie zdołał opanować złości. Odwrócił się do swojego pomocnika z pałką.

– Idź po koparkę – rozkazał.

– Mam zostawić pana samego z nim? – Dante po raz pierwszy usłyszał jego głos.

– Teraz już nic nie może mi zrobić.

Mężczyzna wyszedł. Tymczasem Dante walczył z jedną uporczywą myślą: *Koparka? Co oni zamierzają ze mną zrobić?*

– Rozumiesz, że nie mogę pozostawić cię przy życiu, prawda? Ale nie martw się, zostanę z tobą aż do końca. – Wskazał na sufit. – Zamontowałem kamerę. Będę ci się przyglądał. Nagranie też ma swoją wartość.

– Jaką wartość?

– Dowiem się, jak reaguje osoba cierpiąca na klaustrofobię, kiedy jest grzebana żywcem. Można to sobie wyobrazić, ale nigdy wcześniej żaden naukowiec nie miał okazji oglądać takiej relacji na żywo.

Dante próbował odpowiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie ani jednego słowa. Zaczął się szamotać, chcąc pozbyć się opaski, ale jedynym rezultatem były rany na przegubach dłoni, które zaczęły krwawić.

– Żegnaj, Synu – powiedział Ojciec, stając w drzwiach.

– Wiem, kim jesteś! – krzyknął Dante. – Wiem, kim jesteś! Rozpoznałem cię! Byłeś u

mnie w hotelu.

Ojciec odwrócił się.

– Chciałem zobaczyć cię z bliska – potwierdził, zdejmując kominiarkę. – Chciałem stanąć twarzą w twarz z moim dziełem.

Patolog Mario Tirelli odsłonił swoją podłużną twarz o ostrych rysach.

Colomba przemyła twarz lodowatą wodą, korzystając z barowej toalety. Wcześniej dopadł ją lekki atak paniki. Przestała na chwilę oddychać i musiała ratować się, uderzając pięścią w kontuar i raniąc się w knykieć. Waliłaby dalej dla samej przyjemności odczuwania bólu, ale Santini ją powstrzymał. Na szczęście policjant zachował zdrowy rozsądek, bo ona nie była w stanie logicznie myśleć.

*Tirelli.*

Chociaż trudno było uwierzyć, wiedziała, że to prawda. Przypomniała sobie, że w Pratonii lekarz sądowy nie zauważył, iż ciosy zadane przez mordercę były zbyt precyzyjne i metodyczne, aby mógł je zadać małżonek w afekcie. Było to do niego niepodobne, zwłaszcza że na co dzień najmniejszy szczegół nie umykał jego uwadze.

*Po prostu wiedział, że to dzieło Niemca.*

A wtedy w szpitalu, kiedy poprosiła go o sprawdzenie Srebrnej Busoli? Prosiła go o dyskrecję, ufała mu.

*To wtedy postanowił ze mną skończyć.*

Wiedział również o rewizji w przychodni i kazał zabić Montanarię. Colomba właśnie do niego zwróciła się, aby poznać nazwisko lekarza prowadzącego. Na pewno nieźle się uśmieł.

No i jeszcze te pseudonimy. Tirelli uwielbiał stare filmy i seriale. Zardoz... Colomba przypomniała sobie, że Marcus Welby, na którego nazwisko wystawiono wirtualną kartę kredytową, to doktor ze starego serialu, który jej matka oglądała, kiedy ona była małą dziewczynką. Patolog zrobił w konia wszystkich, a zwłaszcza ją.

To ona była jego wtyczką, informatorką numer jeden.

*Głupia. Jeśli Dantemu coś się stanie, to będzie twoja wina.*

Zakręciła kran z taką siłą, że plastikowa rura aż się wygięła, po czym wytarła twarz i wyszła z toalety.

Santini czekał na nią przy drzwiach i razem opuścili bar, gdzie zaglądało teraz coraz więcej pracowników spieszących na ranną zmianę, przede wszystkim robotników i murarzy.

– Masz numer? – zapytała Colomba.

– Proszę. – Santini podał jej komórkę z wbitym numerem.

Po piątym sygnale odezwał się zaspany głos Anzelma, policjanta od przestępczości w sieci. Kiedy dotarło do niego, że rozmawia z Colombą, po prostu go zamurowało. Nie miał pojęcia, jak się zachować. Pogratulować jej zwolnienia z aresztu? A może raczej wysłać

ją do wszystkich diabłów z powodu wewnętrznego śledztwa, któremu go przez nią poddano?  
Colomba była szybsza.

- Potrzebuję twojej pomocy.
- Chyba żartujesz? Wiesz, w co mnie wpakowałaś...
- Ojciec porwał Dantego – przerwała mu. – Tylko my troje o tym wiemy. Jeśli wieść się rozniesie, Dante zginie.
- Jak to?
- Tirelli jest Ojcem.
- Nasz patolog? Zwariowałaś?

Colomba dała znak Santiniemu i przekazała mu komórkę.

- Zastępca komendanta Santini przy telefonie, już się poznaliśmy.
- Tak... *Dottore*, co się dzieje?
- Caselli już panu powiedziała. Albo nam pan pomoże, albo odłóż pan słuchawkę i zapomni o tej rozmowie.

Colomba wzięła telefon.

- Potrzebuję twojej pomocy. Pozostali albo mogą być w to zamieszani, albo przyjaźnią się z Tirellim. Ty jesteś czysty, domyśliłam się tego podczas akcji w przychodni. Chyba że jesteś urodzonym aktorem, ale postanowiłam zaryzykować.
- Caselli, musisz go zdemaskować – wyjąkał oszołomiony Anzelmo.

Colomba straciła cierpliwość.

- Obudź się! Naprawdę nie dociera do ciebie, że nie mogę? Tirelli zna prawie wszystkich w naszym środowisku. Wielu kolegów w całym kraju miało okazję z nim współpracować. Ten człowiek to prawdziwa instytucja. Jak tylko się dowie, że go podejrzewamy, po Dantem nie zostanie śladu.
- Co ja mogę zrobić?
- Namierzyć jego telefony i przesłać nam listy połączeń.

Anzelmo zdał sobie sprawę, że wpadł w szambo. Jeśli odmówi, będzie miał na sumieniu śmierć człowieka, jeśli się zgodzi, grozi mu kolejne wewnętrzne śledztwo, a nawet zawieszenie. Najgorsze jednak wydało mu się trzecie wyjście, czyli odmowa i udawanie, że nic się nie wydarzyło. A donoszenie nie leżało w jego naturze.

- Daj mi te numery – powiedział i westchnął głęboko.

Czekając na informacje, Santini palił papierosa, a Colomba rozglądała się wokół nieobecny wzrokiem.

- Podejrzewałaś go o coś takiego?
- Nie. Ciągle jeszcze nie mogę w to uwierzyć.
- Jaka jest szansa, że się mylimy?
- Zerowa. Nie ma takiej możliwości.

Komórka odezwała się po dziesięciu minutach. Anzelmo nie miał dobrych wiadomości.

– Tirelli wczoraj wyłączył komórki i zostawił je w domu. Zadzwoń do niego na stacjonarny.

– Odbiło ci?

– Znalazłbym jakąś wymówkę, przecież pracujemy razem. Pracowaliśmy... Ale i tak nie odbiera. Według mnie jest poza domem.

– Nie wziął ze sobą telefonów – zdenerwowała się Colomba. – Ciągłe jest z Dantem.

– Wysłałem ci listy połączeń – dodał Anzelmo. – Może tam znajdziecie coś użytecznego. Będę czekał w domu, dobra?

W tym momencie podszedł do nich barista z plikiem kartek.

– Faks do was.

Colomba wyrwała mu z ręki listę, rzuciła szybko okiem na informacje i podzieliła się stronami z Santinim. Listy połączeń przygotowano w programie Excel i zawierały numery, z których dzwoniło do Tirellego i do których dzwonił on, nazwiska właścicieli tych numerów i pozycje przekazników, z których pochodził sygnał. Zaczęli od końca, potem wrócili na początek i po kilku minutach zrozumieli, że szukają igły w stogu siana. Tirelli dzwonił w sprawach zawodowych do kolegów i przyjaciół z pracy, do restauracji, do siostry w Mediolanie, po taksówkę – krótko mówiąc, nie dostrzegli niczego, co mogłoby wzbudzać podejrzenia. Chociaż z drugiej strony wszystko mogło nasuwać wątpliwości, ale nie mieli możliwości sprawdzania, bo czas naglił. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin nie zanotowano żadnej rozmowy. Colomba ze złością rzuciła kartki na ziemię.

– Do jasnej cholery! Tracimy tylko czas!

– Możemy go znaleźć – powiedział Santini. – Ale musimy poprosić o pomoc. W ciągu dziesięciu minut mogę postawić w stan gotowości połowę naszych kolegów w Rzymie.

– Któryś z nich na pewno zawiadomi Tirellego! Oboje dobrze to wiemy.

Santini ujął ją pod ramię.

– To nasza jedyna szansa. Muszę podjąć taką decyzję, nawet jeśli się ze mną nie zgadzasz.

Colomba wyswobodziła się z uścisku o wiele spokojniej, niż miała w zwyczaju.

*Wcale nie jestem od niego lepsza, pomyślała. To moja wina, że Dante ryzykuje życie.*

– Jak to możliwe, że nie popełnił ani jednego błędu – szepnęła.

– Jego największy błąd kryje się w szaleństwie. Poza tym, skoro udało mu się przetrwać przez te wszystkie lata, coś w tym musi być. Prawdopodobnie nigdy w życiu nie wykonał żadnego kompromitującego telefonu.

– Wykonał – powiedziała Colomba. – Tirelli kontaktował się z matkami chłopców, przedstawiając się jako doktor Zedda. Co prawda Niemiec był odpowiedzialny za brudną robotę, ale jego głos jest łatwy do rozpoznania, pewnie z powodu uszkodzonych strun... musi porozumiewać się szeptem.

– Czy Tirelli ma jakiś dodatkowy numer?

– Nie, używał Skype’a.

Santini i Colomba spojrzeli po sobie, myśląc o tym samym.

– O cholera – powiedzieli równocześnie.

Dante usłyszał ogłuszający hałas koparki zbliżającej się do przyczepy, a zaraz potem pierwsze uderzenie rzuciło go na podłogę. Prawie zawisł na obroży. Ukłękął przy łóżku i oparł głowę na gumowym materacu, śmierzącym ostrym potem. Drugi wstrząs nie był już tak silny, ale trwał dłużej.

*Chcą mnie zgnieść*, pomyślał przerażony. Próbował pozbyć się opasek, pocierając o wezłowie, ale powierzchnia była zbyt gładka, a plastik wytrzymały. Nie udało mu się osiągnąć celu, jedynie nadgarstki zaczęły intensywniej krwawić. Spróbował ponownie, krzycząc przy tym i obrzucając obelgami mężczyznę, który obserwował go za pomocą kamery. Jakaś część jego mózgu podpowiadała mu, że powinien się uspokoić i nie dawać mu satysfakcji – była to ta część racjonalna, ale zdominowana przez zwierzęcy instynkt domagający się uwolnienia.

Również kolejne uderzenie nie zdołało zniszczyć przyczepy, która skrzypiąc, zaczęła się przesuwac. Koparka powoli pchała ją do przodu.

*Dokąd? Dokąd?* – krzyczała Bestia w głowie Dantego.

Domyślił się tego w momencie, gdy poczuł, jak przyczepa przechyla się w dół na ścianę, do której przytwierdzono łóżko i jego. Przetoczył się po materacu i uderzył głową w ramę. Przyczepa, nachylona pod kątem około czterdziestu stopni, trzeszczała i skrzypiała złowieszczo. Stół przejechał po podłodze, a drzwiczki małej szafy stojącej przy przeciwległej ścianie otworzyły się na oścież i wypadł z nich worek na śmieci, który rozerwał się, uderzając o podłogę. Wśród odpadków był szczur, który zaczął biegać w kółko, piszcząc cichutko. Przyczepa przechyliła się jeszcze mocniej i Dante uderzył czołem w kant łóżka. Z rany popłynęła krew. Szafa przewróciła się i rozpadła na kawałki, deska zakrywająca jedno z okien odpadła. Mimo że krew przesłaniała Dantemu widok, zdołał dostrzec poranne światło i przez chwilę poczuł przypływ niedorzecznej nadziei. *Jeśli uda mi się podejść do okna, będę mógł się wydostać*, pomyślał. *Uratuję się.*

Potem koparka popchnęła mocniej przyczepę, która spadała przez zaledwie ułamek sekundy i się zatrzymała. Światło w okienku zniknęło, ponieważ od dołu niczym zatraskująca się pułapka uniósł się cień, a podłoga wróciła do poziomu. Zepchnęli przyczepę do ciemnego dołu. W ostatnim przeblasku świadomości Dante poprosił o szybką śmierć.

Pomysł, który przyszedł do głowy Colombie i Santiniemu, był naprawdę prosty. Ojciec musiał łączyć się ze Skype’em za pomocą komputera i kiedy o tym pomyśleli, przypomnieli sobie, że Tirelli, pojawiając się na miejscu zbrodni, zawsze miał przy sobie laptop. Oboje

widzieli go setki razy. Łączył się z Internetem za pomocą modemu USB. Anzelmo zidentyfikował go i próbował namierzyć – niestety, był wyłączony. Ale to wcale nie oznaczało, że w tej chwili Ojciec nie korzystał z sieci, mógł po prostu używać innego połączenia, zarówno przez kabel, jak i wi-fi. Niektóre komputery są wyposażone w GPS na wypadek kradzieży i można je namierzyć – pod warunkiem że zna się kod dostępu. Oczywiście Anzelmo nie znał hasła, a ponadto szczerze wątpił, aby Tirelli włączył tę opcję w swoim laptopie.

I wtedy wpadło mu do głowy rozwiązanie: *cloud*. Podłączył się natychmiast do serwera w instytucie medycyny sądowej. Tirelli miał tam publiczny folder, w którym zapisywał swoje ekspertyzy i który aktualizował się automatycznie za każdym razem, gdy jego komputer łączył się z Internetem. Ostatnia aktualizacja nastąpiła przed dwudziestoma minutami. Anzelmo, siedząc w samych majtkach przy komputerze, przybił sobie piątkę, a potem skupił się na wykryciu miejsca, z którego Tirelli korzysta z sieci.

Colomba i Santini wrócili do samochodu i w pełnej gotowości czekali na informacje.

– Nawet jeśli dowiemy się, gdzie jest komputer, to jeszcze nie znaczy, że Tirelli też tam będzie. No i niekoniecznie będzie tam Torre – zauważył Santini.

– Wiem. Mamy jedną szansę. Jak nam się nie powiedzie, przejdziemy do twojego planu – odpowiedziała Colomba.

– Pod warunkiem że będzie na to czas. Jesteś pewna, że chcesz wziąć na siebie taką odpowiedzialność?

Colomba pokręciła głową.

– Nie.

– Ale i tak nie ustąpisz, mam rację?

– Tak.

– Cieszę się, że nie jestem na twoim miejscu.

Po dwóch minutach zadzwonił Anzelmo. Tirelli korzystał z połączenia wi-fi na parkingu przeznaczonym dla przyczep kempingowych.

Via Pontina to droga prowadząca z rzymskiej dzielnicy EUR do miasteczka Terracina. Parking znajduje się przy tej ulicy tuż za słynną obwodnicą zwaną Grande Raccordo Anulare. Nie należy do największych, jego powierzchnia wynosi zaledwie pięć hektarów i prawie w całości ma blaszane zadaszania, pod którymi w długich, regularnych rzędach stoją przyczepy. Główną bramę wyposażono w elektroniczny system uruchamiany za pomocą numerycznego kodu i umieszczono na niej tablicę z napisem głoszącym, że w związku z pracami renowacyjnymi parking jest czynny od dziesiątej do osiemnastej, a nie jak wcześniej – od siódmej do dwudziestej czwartej. „Przepraszamy za utrudnienia”. Być może z tego powodu parking świecił pustkami, chociaż bardziej prawdopodobną przyczyną było ogólne zaniedbanie, charakterystyczne dla opuszczonych miejsc. W głębi, w ogrodzonej części placu, niewidocznej z ulicy, pracowała koparka, zasypując ziemią wykopany wcześniej dół. Obok obracała się betoniarka, ustawiona między stertą worków z cementem.

O siódmej rano ruch na drodze biegnącej wzdłuż parkingu był już dość duży, ale nie dało się zauważyć ani jednego przechodnia. Dozorca, pięćdziesięcioletni Rumun mówiący źle po włosku i w ogóle rzadko otwierający usta, siedział w stróżówce przy bramie, obserwując ekran połączony z dwiema kamerami skierowanymi na ulicę i jednocześnie oglądając w telewizorze powtórkę jakiegoś starego filmu. Nazywał się Petru, ale wszyscy wołali na niego Dumbo z powodu wielkich, zdeformowanych uszu, które zostały mu po niezbyt pomyślnej karierze pięściarza. Jego zadaniem było niewpuszczanie nieznajomych na teren parkingu, a ponadto trzymanie się z daleka od tego, co właściciel robi w głębi placu. Zapewne chodziło o nielegalną budowę. Albo o ukrywanie toksycznych odpadów. Na pewno o coś parszywego, ale Petru miał to gdzieś. W końcu nie płacili mu za interesowanie się tym.

Usłyszał dzwonek. Na ekranie zobaczył mężczyznę z wąsami i jasnowłosą kobietę. Zadzwonili ponownie. Petru przesunął się na krzesło w stronę okna, otworzył je i wychylił się na zewnątrz.

– Zamknięte! – wrzasnął.

Wyglądało na to, że nieznajomi nie usłyszeli. Mężczyzna po raz kolejny nacisnął na dzwonek. Petru westchnął, po czym wstał i wyszedł ze stróżówki. Owiało go rześkie poranne powietrze i zatrzęsł się z zimna. W swojej budce miał grzejnik elektryczny, którego nigdy nie wyłączał.



– Otwieramy o dziesiątej. Tu jest informacja! – powiedział, podchodząc do bramy.

Kobieta wsunęła ręce między kraty i przyciągnęła go tak gwałtownie, że uderzył nosem o metalowy pręt. O dziesięć lat młodszy przeciwnik złamał mu go w ostatniej profesjonalnej walce i teraz był spłaszczony i zadarty. Mężczyzna wyjął pistolet i wymierzył mu prosto w twarz. W drugiej ręce trzymał policyjną odznakę.

– Otwieraj – rozkazała kobieta.

Ojciec siedział w opuszczonej przyczepie zaparkowanej w odległości około dziesięciu metrów od koparki. Kiedy któryś z klientów porzucał mało wartą przyczepę i znikał na zawsze, zwykle doprowadzano ją do porządku i wystawiano na sprzedaż. A jeśli była zbyt stara lub zepsuta, przepychano ją na obrzeża parkingu i porzucano w części zwanej „cementaryjskim słoni”. Ojciec używał właśnie jednego z takich kamperów, który ciągle jeszcze nosił ślady po poprzednich właścicielach. Na ścianach widniały dziecięce naklejki, a w kącie niszczała drewniana kołyska. Komputer korzystający z połączenia wi-fi umieszczony był na zlewie w aneksie kuchennym, a na ekranie zmieniały się obrazy przedstawiające agonię Dantego.

Ojciec stał obok i przyglądał się im w skupieniu. Mimo że bolały go nogi, żaden mięsień nawet nie drgnął na jego twarzy. To był punkt kulminacyjny jego pracy; sztuka, którą rozwijał w ciągu dziesięcioleci nieprzerwanych doświadczeń. Kiedy myślał o sobie, widział czujne oko zdolne do odkrycia każdej tajemnicy, zarówno żywych, jak i umarłych. W swojej drugiej pracy, która była jakby lustrzanym odbiciem pierwszej, wykorzystywał jedynie niewielką część możliwości, jakie posiadał, ale i tak czuł się znacznie lepszy od większości roztargnionych i nieuważnych kolegów, niezdolnych do zapanowania nad mnóstwem szczegółów. Jego fałszywe zajęcie napełniało go spokojem. Zajmował się bezwładnym materiałem, niezdolnym już do żadnej reakcji czy sprzeciwu. Nie napotykał oporu, kiedy wkładał termometr do odbytu trupa lub wyciągał jego serce z klatki piersiowej. Walka o życie toczyła się gdzie indziej, a na stole autopsyjnym lądowały szczątki tych, którzy przegrali. Szukając przyczyny śmierci, Ojciec trafiał na ślady wcześniejszego życia. Przyzwyczajenia, preferowane diety, nałogi i inne ukryte grzeszki. Obwąchiwał je, dotykał gołymi rękami. Całował po kryjomu, aby poczuć wyjątkowy, indywidualny smak. Ale to nie wystarczało, by rozwiać wątpliwości i dowiedzieć się naprawdę wszystkiego. Za każdym razem, gdy zaszywał ciało i przekazywał je do kostnicy, miał wrażenie, jakby zabierano mu fascynującą, dopiero co rozpoczętą książkę.

Dopiero kiedy wracał do swojego prawdziwego życia, zmysły mu się wyostrzały i ubywało lat. Niesamowite tajemnice żywego i reagującego na bodźce mózgu nie dawały się w żaden sposób porównać z mizernymi sekretami, które skrywał kawał gnijącego mięsa. Trzeba było zmagać się ciągle z niepewnością i zaskoczeniem, nie istniały wytyczone procedury. Żywe obiekty buntowały się lub go podziwiałały, biernie czekały na śmierć lub

próbowały go zabić. Przynajmniej na początku eksperymentu, zanim ich ostatecznie nie uformował według ustalonego przez siebie planu.

Dante oskarżył go, że czerpie przyjemność z dominacji, ale Ojciec stanowczo odrzucał ten zarzut. Przecież jest tylko artystą całkowicie oddanym swej pracy; przecież na najwyższym poziomie wtajemniczenia zarówno sztuka, jak i nauka dążą do osiągnięcia tej samej wartości: absolutnego piękna.

Rozjaśnił nieco obraz. Wewnątrz przyczepy lampa, bateria i kamera funkcjonowały całkiem nieźle, ale obraz nie był tak wyraźny, jak by Ojciec sobie życzył. W tym momencie na przykład twarz Dantego znajdowała się w półcieniu i nie mógł swobodnie interpretować mimiki. Widział jedynie otwarte usta, próbujące wciągnąć powietrze, którego powoli zaczynało brakować.

Kiedy pierwsza porcja piachu spadła na przyczepę, Dante zaczął uderzać głową w ścianę, prawdopodobnie po to, by stracić świadomość. Niestety, siły szybko go opuściły. Przestał się ruszać, pomijając skurcze nóg, niemniej był przytomny, o czym świadczyły otwarte szeroko oczy. Ojciec bardzo żałował, że nie może zajrzeć do środka.

Oderwał wzrok od przyczepy i wyrzwał przez okno. Dziesięć metrów dalej na skraju jamy zatrzymała się koparka. Operator patrzył w jego stronę, oczekując na dalsze instrukcje. Miał na imię Manolo i od samego początku pomagał Ojcu, który wybrał go osobiście. Nie tak jak ten gnój Niemiec, który odłożył wystarczająco dużo pieniędzy na dostatnie życie, a mimo to zatrzymał sobie odziedziczony po rodzicach parking.

Ojciec westchnął i pomyślał, że nadszedł czas, aby pożegnać się z ostatnią pozostałością po najpłodniejszym i najciekawszym okresie życia. Pomachał do Manola i dał mu znak, żeby zasypał dół z przyczepą.

Santini założył Rumunowi kajdanki i przypiął je do stołu. Colomba podeszła bliżej.

- Gdzie jest Tirelli?
- Kto? – zdziwił się Petru.
- Stary. Szczupły. Długie włosy.
- Ja nie znać.

W tej chwili z drugiej strony placu doszły do nich odgłosy wzmożonej pracy koparki. Petru spojrział tam instynktownie.

- Jest tam – powiedziała Colomba, zmierzając ku drzwiom.

Santini ruszył za nią, ale Petru pokrzyżował mu plany. Do tej pory nie stawiał oporu, ale nagle skoczył na równe nogi i demonstrując w całej okazałości metr dziewięćdziesiąt wzrostu, wyrwał nogę od stołu. Drewniana pałka półmetrowej długości tkwiła w kajdankach i Petru zamierzył się nią na odwracającego się właśnie policjanta. Santini zrobił unik i ochronił przed ciosem twarz, ale zaostzony kij wbił mu się w udo, przebijając je prawie na wylot. Padł na podłogę, trzymając się za nogę i wyjąc z bólu. Nie był w stanie sięgnąć po

broń.

Reakcja dozorczy była instynktowna. Chciał się tylko uwolnić i uciec, bo gdy już zranił policjanta, uznał to za jedyne wyjście. Jeśli da się złapać, nic mu już nie pomoże. Nie wypuszczą go. Zdechnie w więzieniu tak jak jego brat. Z pochyloną głową zaatakował stojącą przy drzwiach Colombę, młóćąc ogromnymi pięściami. Kobieta odsunęła się na bok i uderzyła go w twarz krzesłem biurowym, na którym przesiedział całą noc. Jedno z kółek trafiło go prosto w jabłko Adama i Rumun padł na kolana, chwytając się za szyję. Natychmiast zrobił się czerwony, usiłując za wszelką cenę złapać oddech.

Colomba kopnęła go w twarz. Petru uniósł ręce. Policjantka uderzyła ponownie, trafiając w oko, po czym podbiegła do Santiniego i wyjęła mu z kieszeni klucz do kajdanek. Funkcjonariusz zdjął pas i obwiązał udo nad raną, próbując zatamować krew. Klął przy tym po cichu.

Colomba otworzyła wolne ogniwo kajdanek i przyczepiła je do metalowej rury, przyciągnąwszy więźnia na odpowiednią odległość.

– Nie ruszaj się, bo cię zastrzelę.

Petru pochylił zmasakrowaną twarz ku podłodze i siedział bez ruchu.

Colomba wróciła do Santiniego.

– Masz zamiar umierać? – zapytała.

– Nie, chyba nie.

– Zostawię cię tu razem z nim. Zadzwoń po posiłki.

– Sięgnęła po pistolet Santiniego i wybiegła ze stróżówki.

Policjant oddychał regularnie, chcąc zachować przytomność.

Warkot silnika koparki odbijał się od blaszanych dachów parkingu i Colomba skierowała się do miejsca, skąd dochodził hałas. Minęła ostatni rząd zaparkowanych pojazdów i wyszła na plac przypominający bardziej złomowisko niż parking. Były tam wraki kamperów i zardzewiałe przyczepy, zniszczone stoliki kampingowe, stelaże parasoli, zwoje kabli, kawałki zwęglonego drewna i zapadnięte fotele samochodowe. Skraj placu porastały pożółkła trawa i chaszczce, a w pobliżu ogrodzenia oddzielającego parking od nieużytków pracowała koparka, zasypując ziemią długi dół.

Dół wyglądał jak grób.

Colomba wymierzyła broń w stronę operatora.

– Zatrzymaj maszynę – krzyknęła.

Dzieliło ich jakieś dziesięć metrów.

Mężczyzna skulił się w kabinie. Zaraz potem Colomba dostrzegła, że drzwiczki się uchylają i wysuwa się z nich lufa karabinu. Padła na ziemię, kryjąc się za pomalowaną w kwiaty przyczepą na kilka sekund przed serią z broni maszynowej. Do tej pory Colomba widziała skonfiskowane kałasznikowy w magazynach policji, nigdy zaś w rękach

próbującego ją zabić przestępcy.

Naboje przeszły przez róg przyczepy jak przez papier i Colomba skuliła się jeszcze bardziej. W normalnych warunkach poczekałaby na wsparcie, ale teraz nie mogła tego zrobić – nie w sytuacji, kiedy nie wiedziała, co się dzieje z Dantem. Nacisnęła na klamkę w drzwiach przyczepy. Nie napotkała oporu.

Wpadła do środka, licząc na to, że uda jej się znaleźć odpowiednią pozycję, żeby z zaskoczenia zaatakować operatora koparki. Kiedy kątem oka zauważyła podejrzany ruch, zrozumiała, że popełniła błąd. Zdołała jedynie przewrócić się na plecy i wtedy Tirelli uderzył ją w twarz laptopem, kręcąc nim jak kijem bejsbolowym.

Colomba poczuła ból w złamanej szczęce i upuściła pistolet. Zamroczone przestała oddychać, a jej płuca zamieniły się w dwa puste woreczki.

– Przysięgam, że nie chciałem zrobić ci krzywdy – powiedział Tirelli, podnosząc laptop i zamierzając się do kolejnego ciosu. – Zawsze cię lubiłem.

Colomba odsunęła głowę w ostatniej chwili, a laptop rozbił się, uderzając o podłogę. Ból wywołany ruchem sprawił, że odzyskała kontrolę nad własnym oddechem. Wyciągnęła rękę i chwyciła pochylonego nad nią doktora za cienki i delikatny nadgarstek. Pociągnęła do siebie i Tirelli wpadł prosto w jej ramiona. Próbował się wyrwać, ale nie był tak silny jak Colomba, która unieruchomiła go w mocnym uścisku, wbijając weń nabiegłe krwią oczy.

– Gdzie jest Dante? – szepnęła, z trudnością poruszając ustami. Jej szczęka skrzypiała jak rozbita szyba.

– Już za późno, Colomba.

Mężczyzna był lekki jak trzcina i Colomba z łatwością zrzuciła go z siebie. Upadł na plecy. Całym ciężarem przycisnęła go do podłogi, pozwalając, aby ślina i krew z rozciętych warg kapały mu na twarz.

– Gdzie on jest?

– W dole.

Skoczyła na równe nogi i podniosła pistolet. Wszystko widziała podwójnie.

– Wstawaj – mruknęła.

Posłuchał, a ona stanęła za nim i lewą ręką objęła go za szyję, zaciskając mocno.

– Ruszaj!

– Co ty wyprawiasz? – zaniepokoił się Tirelli.

Ścisnęła mocniej i doktor zamilkł. Zmusiła go do wyjścia z przyczepy i popchnęła w stronę koparki. Operator zobaczył szefa i – jak przypuszczała – nie odważył się strzelić.

– Każ mu odłożyć broń – rozkazała. Gdyby nie okropny ból, który towarzyszył każdemu słowu, sama zwróciłaby się do przeciwnika.

– Nie robi tego. Instynkt przetrwania jest silniejszy.

– Powiedz mu.

Tirelli wykonał polecenie.

Mężczyzna wstał, nie wypuszczając karabinu z rąk, ale nie celował już w ich stronę.

– Idę stąd – krzyknął.

– Nie – mruknęła Colomba.

– Ona się nie zgadza, Manolo – zawołał Tirelli.

– Pozwólcie mi odejść! Nie chcę mieć już dłużej nic wspólnego z tym gównem.

– Nie – jęknęła ponownie Colomba.

– Bądź rozsądna – powiedział Tirelli.

– Nie – powtórzyła.

Przeciwnik chyba wreszcie zrozumiał. Znienacka uniósł broń. Colomba za plecami Tirellego zrobiła to samo. Zaczęli strzelać niemal równocześnie. Połowa kul wystrzelonych przez Colombę trafiła do celu. Manolo padł na ziemię pod gąsienice koparki.

Dwa naboje z karabinu Manola przeszły klatkę piersiową Tirellego i ugodziły Colombę w lewy bok.

Miała wrażenie, że lodowe igły wbijają się jej w ciało. Pozwoliła osunąć się na ziemię Tirellemu, robiąc wszystko, żeby utrzymać się na nogach. Przyjrzała się leżącemu koledze i jego ranie w okolicy mostka. Krew tryskała obficie, tworząc na ziemi sporą kałużę. Mężczyzna na przemian ciężko oddychał i walczył z bezdechem.

Ojciec umierał i miał tego świadomość. Niedługo podniosą go z ziemi i umieszczą na metalowym stole, a potem będą badać jego ciało, tak jak on postępował z setkami kobiet i mężczyzn, również z tymi, za których śmierć odpowiadał.

W przedśmiertnym przebłysku świadomości pożałował, że nigdy się nie dowiedzą. Nie będą wiedzieli, z kim mieli do czynienia. Nikt nie zrozumie jego marzenia.

Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał Ojciec przed śmiercią, było dwoje groźnych zielonych oczu.

Chwiejąc się na nogach, Colomba ruszyła w stronę dołu. Pokonując odcinek, który zdawał się nie mieć końca, rzuciła na ziemię pistolet i w pewnym momencie miała wrażenie, że sama też upadnie.

Kiedy w końcu stanęła nad jamą, zobaczyła, że zasypano tam przyczepę kempingową, bo prześwitywała jeszcze część zapadniętego dachu. Przez okienko na górze widać było tylko piach. Jeśli Dante jest w środku, to na pewno już nie żyje.

Colomba zeskoczyła na przyczepę. Odległość była niewielka, niecały metr, ale i tak niemal straciła przytomność z wysiłku.

Kule, które utkwily w boku, zastępowały poniekąd środki hemostatyczne, mimo to straciła już sporo krwi, a ból szczęki stawał się nie do wytrzymania. Ześlizgnęła się w wolną szczelinę i zjechała w dół po piachu, docierając na drugi koniec przyczepy. Piasek wpadał jej do oczu i do gardła. Zanosła się kaszlem i zaczęła łkać z bólu. Szlochała głośno, zapomniawszy, gdzie się znajduje, aż do chwili, gdy podniosła wzrok i dostrzegła ludzką postać oświetloną słabym zielonkawym blaskiem. Z ziemi wystawała tylko głowa i część tułowia.

Dante miał na szyi obrożę i rozpaczliwie chciał dotrzeć do niej przez piach, ale nie udało mu się poruszyć.

– CC – jęknął jak zza grobu – wiedziałem, że po mnie przyjdiesz.

Colomba podczołgała się do Dantego i objęła go mocno, nie mówiąc ani słowa. Tak ich zastali ratownicy po przybyciu na miejsce.

# ZAKOŃCZENIE

Minęły dwa miesiące, zanim Colomba i Dante zdołali dojść do siebie i zapomnieć nieco o odniesionych ranach i godzinach spędzonych w zamknięciu. W tym czasie policja prowadziła śledztwo w sprawie Ojca, znanego jako Mario Tirelli, ale nie udało się wyjaśnić wszystkich wątpliwości, które się pojawiły. Nie zostawił żadnych zapisków dotyczących swoich kontaktów i sponsorów i nikomu o nich nigdy nie wspominał. Odpowiednie instytucje zdecydowanie zaprzeczyły, jakoby miał powiązania z CIA lub z włoską armią, a jedyny wart odnotowania ślad prowadził do pewnego generała w stanie spoczynku, który strzelił sobie w głowę pistoletem pochodzącym z czasów drugiej wojny światowej. Z jego życiorysu wynikało, że był dowódcą koszar, w których stacjonował Bodini, zanim wrócił do cywila i przez wiele lat figurował jako jedyny winny porwania Dantego

Nie było to jedyne samobójstwo związane z tą sprawą. Dyrektor administracyjny fundacji zarządzającej Srebrną Busolą otrął się gazem, a wcześniej zamordował nożem żonę. Śledczy uznali to za morderstwo i samobójstwo, chociaż niektóre gazety pisały tylko o morderstwie.

Kilka tygodni później na policję zgłosił się dobrowolnie mężczyzna, który twierdził, że to on zrobił pamiętne zdjęcie grupy Niemca, i utrzymywał, że obawia się o swoje życie. Nie potrafił jednak poprzeć swoich słów żadnym dowodem. Zeznał, że został zwerbowany do oddziału przez samego Niemca, nie znał jednak jego prawdziwej tożsamości i przyznał, że zajmował się dostarczaniem więźniom jedzenia. Jego jedyny wkład w śledztwo stanowiło wyjaśnienie sprawy zawieszonych na szyjach żołnierzy butów.

– To był nasz pseudonim, Dwa Buty – wyjaśnił podczas przesłuchania. – Wziął się stąd, że trzymaliśmy stopy w dwóch butach, we Włoszech i w Ameryce, rozumiecie? Zgodnie z niepisaną regułą, jeśli robiliśmy coś, co mogło przyciągnąć uwagę władz, mieliśmy zostawić na miejscu parę butów, i w ten sposób mogliśmy liczyć na ochronę.

Nie udało się ustalić, czy jego opowieści były prawdziwe, czy też chodziło o wymysły człowieka zafascynowanego całą sprawą. Grzebiąc w jego przeszłości, śledczy odkryli, że został odesłany do cywila wcześniej, niż przewidywał regulamin z powodu uzależnienia od narkotyków. Mężczyzna twierdził, że chodziło o zwykły kamuflaż.

Aresztowany Niemiec nabrał wody w usta i nie udało się ustalić, kim jest. Nikt nie zgłosił się, żeby go zidentyfikować, nie licząc osób, które znały go jedynie pod fałszywymi nazwiskami. Ponieważ nawet nie wiedziano, jakiej jest narodowości, zostawiano mu w celi gazety i książki w różnych językach europejskich, a on zdawał się rozumieć wszystkie.

W tym samym czasie jedna z amerykańskich firm farmaceutycznych została oskarżona

o dostarczanie Tirellemu eksperymentalnych leków, ale dyrektor generalny bronił się przed zarzutami, twierdząc, że w magazynach doszło do kradzieży, o której powiadomiono miejscową policję. Podejrzał szpiegostwo gospodarcze i zdawał się zszokowany wiadomością, do jakich podłych celów wykorzystano lekarstwa. To, że założyciel przedsiębiorstwa był jednym z chemików, którzy w latach pięćdziesiątych brali udział w projekcie Bluebird, uznano za nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Colomba i Dante utrzymywali stałe kontakty. On odzyskał wewnętrzną równowagę wcześniej, niż jej przestał dokuczać ból szczęki, i przekonał przyjaciółkę, aby spędziła z nim wigilię Bożego Narodzenia w jednym z jego ulubionych miejsc: w termach w Bormio. Hotel znajdował się w prowincji Sondrio i Dante uwielbiał tamtejsze masaże.

Pokój był przeszklony i łączył się bezpośrednio z otwartym basenem, wypełnionym wodą z gorących źródeł, w której Colomba i Dante zanurzyli się z rozkoszą dwudziestego trzeciego grudnia, podziwiając ośnieżoną panoramę i delektując się kontrastem pomiędzy lodowatym wiatrem a gorącą wodą.

Blizny Colomby już prawie znikły, a poza tym goście, którzy korzystali z basenu, mieli co innego do roboty niż zwracanie uwagi na ślady po kulach, które zatrzymały się kilka milimetrów od nerki.

Dante leżał na wodzie, czując jeszcze w ustach smak zielonej kawy, którą wypełnił walizkę, bo uważał ją za królową detoksykujących napojów.

– Wiadomości od Santiniego?

Colomba wysunęła głowę spod strużki gorącej wody tryskającej w rogu basenu.

– Wrócił do pracy. Mówi, że ciągle utyka, i ma nadzieję, że w ciągu najbliższego tysiąclecia się z nami nie spotka.

– Jeśli będziesz miała okazję, to powiedz mu, że odwzajemniam życzenie. – Dante zrobił syfon jak dziecko. – A ty już zdecydowałaś? Wracasz do służby?

– Jeszcze nie wiem. Curcio wydaje się w porządku, ale... – Pokręciła głową. – Pomyślę o tym. Mam jeszcze kilka dni zwolnienia.

– A ja postanowiłem, że zatrzymam sobie imię i nazwisko.

Colomba się uśmiechnęła.

– Cieszę się.

Wśród szczątków znalezionych w pojemnikach były fragmenty, które miały takie samo DNA jak Annibale Valle. Wywołało to chaos prawny, nad którym próbował zapanować adwokat Minutillo, aby Dante, ten żywy, mógł uzyskać zgodę sądu na używanie nazwiska matki, która przestała być jego matką. W końcu Valle zaproponował adopcję i Dante się zgodził. Sprawa była już w toku.

– Gdybym musiał zmienić imię, chciałbym się nazywać Leone. Co o tym myślisz? Albo Leonida.



– To czemu zaraz nie Rambo?

Dante się skrzywił.

– Albo poszedłbym w ślady Prince'a, wiesz, i nie używałbym żadnego imienia. Wybrałbym jakiś symbol.

– Ziarno kawy?

– Coś w tym rodzaju. Tylko że przyzwyczailem się już do mojego imienia. – Zbliżył się do ściany basenu z hydromasażem i oparł się o nią plecami, pozwalając, by woda spływała wzdłuż kręgosłupa. – No i jakie mam szanse, żeby poznać swoje prawdziwe nazwisko?

– Większe niż wyjść cało z zasypanej ziemią przyczepy – zauważyła Colomba.

Dante opryskał ją wodą.

– Nie cierpię, kiedy jesteś taką optymistką.

Colomba podciągnęła się na rękach i wyszła z basenu, a on próbował na nią nie patrzeć, jak to robiła połowa obecnych tam mężczyzn.

– Idę wziąć prysznic. Zobaczymy się na kolacji.

– Okej.

Dante położył się na wodzie. Unosił się na jej powierzchni aż do chwili, gdy usłyszał sygnał swojej nowej komórki, którą zostawił w szlafroku na brzegu basenu. Podpłynął do niego i nie wychodząc z wody, sięgnął po telefon. Na wyświetlaczu widniał komunikat: numer prywatny.

Dante się zawahał. Kiedy doszedł już do siebie, odbierał setki telefonów od ludzi, którzy prosili o pomoc w odnalezieniu krewnych, gratulowali zwycięstwa lub z niewiadomych powodów próbowali go obrażać. Dlatego zmienił numer i podał go tylko najbliższym przyjaciołom, którzy wiedzieli, że nie odbiera połączeń od nieznajomych. Ale teraz był na wakacjach i miał dobry humor. Dotknął zielonej ikonki i zapytał, z kim ma przyjemność.

W słuchawce usłyszał męski głos, bez wyraźnego akcentu ułatwiającego identyfikację regionu.

– Czy to ty używasz nazwiska Dante Torre?

– Kto mówi? – powtórzył Dante.

Mężczyzna po drugiej stronie sprawiał wrażenie niezdecydowanego. W końcu powiedział:

– Nie powinienem do ciebie dzwonić, lepiej, żebyś nie wiedział o moim istnieniu. Ale nie mogłem się powstrzymać, kiedy się o tobie dowiedziałem i poznałem twoją historię. Chciałem ci tylko powiedzieć, że bardzo się cieszę, że jesteś cały i zdrowy. To był dla mnie szok, kiedy odkryłem, że jeszcze żyjesz.

Początkowo Dante myślał, że chodzi o jednego z tych nawiedzonych, którzy go ostatnio molestowali, i zaczął się zastanawiać, w jaki sposób zdobył jego nowy numer. Jednak w głosie mężczyzny była jakaś szczerłość, która sprawiła, że nie zdecydował się na zakończenie rozmowy.

– Dlaczego tak cię to obchodzi?

Po chwili ciszy rozmówca odpowiedział słabym głosem, jakby obawiał się, że ktoś może go usłyszeć:

– Bo jestem twoim bratem.

W tym momencie połączenie zostało przerwane.

## OD AUTORA

Zmieniłem niektóre akronimy włoskich sił porządkowych, aby z większą swobodą opisywać sposoby ich działania, nie należy również traktować dosłownie wszystkich odniesień dotyczących siedzib, koszar, adresów i tym podobnych.

Ze sporą swobodą potraktowałem topografię Rzymu i Cremony. Nie istnieje na przykład budynek, w którym mieszka Santiago, podobnie jak nie istnieje Comello, chociaż opisane przeze mnie jezioro przypomina prawdziwy zbiornik wodny, który znajduje się w okolicy. Również Praton del Vivaro zostało dostosowane do wymogów powieści. W pozostałych przypadkach ograniczyłem się do zmiany nazw realnych i łatwo rozpoznawalnych miejsc.

Na temat programu MKULTRA można dowiedzieć się więcej z licznych książek, między innymi *The Search for the „Manchurian Candidate”*: *The CIA and Mind Control: The Secret History of the Behavioral Sciences* autorstwa Johna D. Marksa i *Mass Control: Engineering Human Consciousness* Jima Keitha, oraz z ogromnej ilości informacji, które znajdują się w Internecie. Oczywiście niektórzy twierdzą, że to zwykłe brednie, ale niech Czytelnik sam oceni. „Włoska” jednostka prowadząca tego typu doświadczenia jest wytworem mojej wyobraźni.

Chciałbym podziękować mojemu wydawcy Carlowi Carabbie i mojej menedżer Laurze Grandi za pomoc w końcowej fazie tworzenia powieści – bez nich nie udałoby mi się zrealizować tego zamierzenia. Dziękuję mojej pierwszej czytelniczce, Giulii Ichino, dziękuję Emanueli Cocco za sprawdzenie faktów, Licii Troisi za wyjaśnienie zasad nurkowania, Dinowi Abbresci za informacje dotyczące kamperów. Dziękuję redaktor prowadzącej z wydawnictwa Mondadori Fabioli Riboni oraz redaktor Paoli Gerevini za pracę nad ostateczną wersją tekstu, Yulii Buneovej i Pierowi Frabettiemu za cenne wskazówki, grafikowi Giacomowi Callo wraz z zespołem za wspaniały projekt okładki oraz Sabine Annoni za ciągłe zachęcanie mnie do pracy.

I dziękuję oczywiście wszystkim Czytelnikom za to, że zdecydowali się towarzyszyć moim bohaterom.

- 
- <sup>1</sup> Tytuł używany we Włoszech w odniesieniu do osób, które mają dyplom uniwersytecki, nawet I stopnia, czyli licencjat. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
- <sup>2</sup> Squadre Investigative Comuni – jednostki policji śledczej Unii Europejskiej, Eurojust.
- <sup>3</sup> Unità Analisi Crimine Violento – jednostka włoskiej policji państwowej zajmująca się przestępstwami popełnionymi ze szczególnym okrucieństwem i przestępczością zorganizowaną.
- <sup>4</sup> Falchi – specjalne oddziały włoskiej policji kryminalnej.
- <sup>5</sup> Obudziłaś się? (hiszp.)
- <sup>6</sup> Mamo, policjantka się obudziła! (hiszp.)
- <sup>7</sup> Gdzie idziesz? (hiszp.)
- <sup>8</sup> Nie wiem. (hiszp.)
- <sup>9</sup> Szalony gringo? (hiszp.)
- <sup>10</sup> Rebibbia to jedna z peryferyjnych dzielnic Rzymu.
- <sup>11</sup> Żeby nie truła dupy przez cały dzień (hiszp.); dosł.: nie rozbijała jaj, stąd odpowiedź w kolejnym zdaniu.
- <sup>12</sup> Nazwisko Pedini kojarzy się ze stopami: *piedini* to nóżki, stópki, *piedi* – stopy.
- <sup>13</sup> Nie wystarczy ci bałagan, którego narobiła? (hiszp.)
- <sup>14</sup> Patrz! Zobacz tylko! (hiszp.)
- <sup>15</sup> Rozumiesz? (hiszp.)
- <sup>16</sup> Dzieci są błogosławieństwem od Boga (hiszp.)
- <sup>17</sup> chłopiec (hiszp.)
- <sup>18</sup> Nie lubię posyłać ludzi za kratki (hiszp.)
- <sup>19</sup> Nie sądzisz, że przesadzasz? (hiszp.)
- <sup>20</sup> Masz coś do mnie? (hiszp.)
- <sup>21</sup> plecaki (hiszp.)
- <sup>22</sup> Wulgarnie określenie kogoś, kto za wszelką cenę chce zrobić karierę i w tym celu podlizuje się przełożonym, słowo *succhiacazzi* oznacza dosłownie: ten, który ssie fiuta.
- <sup>23</sup> Dokładnie (hiszp.)
- <sup>24</sup> Dużo szczęścia i do dzieła, przyjaciele (hiszp.)
- <sup>25</sup> Kiosk z napojami i przekąskami stojący najczęściej na plaży (hiszp.).
- <sup>26</sup> *Giudice per le indagini preliminari*, sędzia prowadzący postępowanie wstępne i decydujący o prawidłowości zastosowanych procedur.
- <sup>27</sup> Dosł. tatuś Boże Narodzenie – tak we Włoszech nazywany jest Santa Klaus, w odróżnieniu od Świętego Mikołaja, biskupa, którego święto przypada 6 grudnia, a relikwie spoczywają w bazylice w Bari.
- <sup>28</sup> Laboratorium Antropologii i Odontologii działające przy Uniwersytecie w Mediolanie, zajmujące się badaniem ludzkich szczątków i ich identyfikacją.
- <sup>29</sup> Marco Pantani (1970–2004), włoski kolarz szosowy.
- <sup>30</sup> Europejski System Informacji o Pojazdach i Prawach Jazdy.